

To opowieść o tych, którzy nie upomną się o swoją historię.
Ciepła, prosta i prawdziwa. Dajmy się jej uwieść. Polecam!
Małgorzata Gutowska-Adamczyk

Dziedzictwo

Krystyna
Januszewska



Prószyński i S-ka

Dziedzictwo

Krystyna
Januszewska

Prószyński i S-ka

Projekt okładki
Agata Wawryniuk, Robert Sienicki/Firma Belego

Zdjęcia na okładce
© [hikuta/iStockphoto.com](https://www.iStockphoto.com/hikuta)
© [mbbirdy/iStockphoto.com](https://www.iStockphoto.com/mbbirdy)
© [mangojuicy/iStockphoto.com](https://www.iStockphoto.com/mangojuicy)
© [Photodjo/iStockphoto.com](https://www.iStockphoto.com/Photodjo)

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Maria Talar

Korekta
Mirosława Kostrzyńska
Sylwia Kozak-Śmiech

ISBN 978-83-8069-959-5

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Wstęp

Konie stapały prawie bezszelestnie. W podmokłym gruncie znać było wyraźnie ślady ich kopyt. Puste wozy zbliżały się do zabudowań niczym duchy. Wynurzały się z zarośli w smugach matowego światła. W ciężkim powietrzu trudno było oddychać. Spłoszone ptaki, trzepocząc skrzydłami, strącały krople deszczu na rozgrzane końskie karki.

Lucjan kierował zaprzęg pod dom rodziców, celował tak, żeby ściana stodoły zasłoniła i wóz, i konia. Podwórko, skryte w cieniu budynków i rozłożystych drzew, dawało poczucie bezpieczeństwa. Morus skamlał pod budą, wyczuwając, że coś złego wisi nad światem.

Jan, na polecenie żony, wynosił z domu tobołki z pościelą i układał starannie na wozie. Na nich bochenki chleba zawinięte w płachty płótna, worek z mąką, słoninę wyjętą wczoraj z beczki i całe mięso z wiosennego uboju. Zerkał spod oka na żonę – jak wszystkiego dogląda, choć cierpienie zmieniło jej twarz. Myślała tylko o tym, jak najlepiej wyprawić dzieci. Ze wszystkiego, co osiągnęła w życiu, one były najważniejsze, trzeba je ocalić za wszelką cenę. Rozstając się z nimi, czuła, jakby jej ktoś odrąbał połowę ciała, a może nawet całe. Myślała w kółko, czy o czymś nie zapomniała.

Zjedli wspólny posiłek. Jan trzymał nerwy na wodzy, nie dawał po sobie poznać, jak bardzo jest przybity. Patrzył, jak żona drżącymi rękami znaczy krzyż na chlebie, jak potrąca garnek z mlekiem i jak je rozlewa, podając Antkowi talerz z owsianką. Patrzył na swoje dzieci, na synów, którzy mu byli najdrożsi na świecie, i bał się, że nie wytrzyma, że się rozpłacze.

– Weźmiesz jeszcze paczki z komory, cośmy je wczoraj wiązali sznurkami – powiedział dla niepoznaki do Antka. – Na miejscu daj je Maryśce, ona zrozumie, co z nimi zrobić.

– Na co jej całe bele materiału? – wtrącił się Lucjan. – Kto ma teraz głowę do szycia?

– Na wymianę jej daję – wyjaśniła matka. – Za żywność i za lekarstwa. Trzeba się zabezpieczyć. Kto zadba o was, kiedy mnie zabraknie? – zapytała zdławionym głosem.

– Przecież nie jadą do obcych. – Jan wskazał na chłopców siedzących przy stole.

– Kto wie, dokąd jadą – mamrotała półgłosem.

Lucjan, który miał konwojować wóz, od kilku dni planował ten wyjazd z ojcem. Rozmawiali wcześniej wiele razy, że oni też powinni stąd odejść. Jan nie dał się jednak synowi przekonać, a matka powtarzała jak w transie, że samego go nie zostawi. Ale chłopcy, jak jeden, Antek, Janek i Henio, powiedzieli, że pójdą z bratem. Jakiś instynkt samozachowawczy obudził się w nich, że tak bez wahania podjęli decyzję. A rodzice się na to zgodzili. Porażała ich świadomość nieuchronności i tego, że los kieruje człowiekiem i nie ma nad nim litości.

– Umówmy się – powiedział Lucjan, wstając od stołu – że kto z nas przeżyje, to napisze list do Gruszczyzna, do wujka Ludwika albo do Józefa. Niech każdy zapamięta to miejsce, niech napisze, gdy ocaleje, albo najlepiej przyjedzie.

Na te słowa matka uciekła od stołu, żeby się skryć w komorze. Po co straszyć dzieci, pokazywać, jak bardzo cierpi, jak się boi. Ojciec zbladł jeszcze bardziej.

Kiedy zarządzono odjazd, słońce już było wysoko, a z zachodu nadciągały chmury. Dzieci zerkały ze strachem na ciemną smugę na niebie. Rodzice trzymali się kurczowo wozu. Lucjan chciał zaciąć konia,

było już późno, za chwilę wozy wyjadą ze wsi. Zapłakany Henio tulił się ciągle do matki i płakał, kryjąc się w fałdach chustki. Janek próbował zachować spokój. Serce biło mu w piersi tak mocno, że chyba wszyscy słyszeli. Bał się odjeżdżać z domu, ale równie mocno bał się w nim zostać. Miał jedenaście lat, mówili, że jest dorosły, że ma mieć oko na brata, że to jego zadanie, bo Lutek i Antek będą powozić. Spoglądał z żalem na dom, na kochanego Morusa. Czy go kiedyś zobaczy? Myśl o psie dopełniła rozpacz, wielkie łzy stoczyły się bezdźwięcznie po smagłych policzkach i cichy jęk wypełnił chłopięce gardło.

Henio wył, gdy go w końcu oderwali od matki. Czas naglił. Nie dało się dłużej zwlekać. Lutek uściskał rodziców, Antek, jak to on, rzucił żart na pożegnanie. Już się jednak nie uśmiechał, próbował gwizdać, jak zawsze, kiedy czuł strach, ale gwizdanie ugrzęzło w głośnym lamencie, który towarzyszył wyjeżdżającemu ze wsi konwojowi. Jan z żoną stali w milczeniu, patrząc na ostatni wóz, który w niepewne zabierał im dzieci.

Wozy ruszyły drogą w kierunku Załazia. Dalej przez Dąbrówkę ku Wielkiej Głuszy, gdzie mieli znaleźć bezpieczne schronienie. Zanim wstanie kolejny świt, muszą dotrzeć do celu.

CZEŚĆ PIERWSZA

Kiedy czas stał się inny niż projekcja marzeń...
Piskłeta coraz dalej... Bardziej obce miasta...
Kiedy autorytety jak lodowce gasną –
wracaj do domu. Z garbem. Z bliznami na twarzy.

Kiedy sypie się pewnośc jak rażona gromem...
Gdy historia w szaleństwie i zgiełku ulicznym
jak wichur miota drzewem genealogicznym
krusząc konary. To nic. Ty – wracaj do domu.

To nic, że domu nie ma. Że babcina rzeka
między dwoma krajami w kolczastych zasiekach.
Ale jest – praprzyczyny pramiejsce rodowe.

Może zdołasz prawnukom świat ów nazwać słowem.
Odnaleźć proste drogi w meandrach pamięci...
Otulić się jej ciepłem... Zasnąć w jej objęciach...

Krystyna Konecka *Kołysanka dla siebie*

W podróży

Czerwiec, rok 2006

Przypadek to słowo pozbawione sensu; nie ma niczego, co nie miałooby swoich przyczyn.
Voltaire

Nigdy nie lubiłam korzystać z cudzych sentencji. Podpierać się czymś, co ktoś już wcześniej wymyślił, to jakby ukraść cudzy patent na mądrość. Ale nie jestem intelektualistką i moje cytaty są zbyt banalne, żeby ich użyć w sprawach istotnych.

Tego dnia pomyślałam jednak, że skoro życie, w którym nie zawsze czujemy się sobą, wynika z jakiejś przyczyny, to trzeba żyć, choćby się to wydawało pozbawione racji. A poza tym aforyzmy sprzed stu, pięciuset, a nawet sprzed tysięcy lat pasują jak ulał do teraźniejszości, i to jest cudowne.

Tamten czerwcowy dzień, w którym trafiłam na sentencję Voltaire'a, był o świecie zwyczajny, w południe trudny i przez przypadek, z każdą godziną zaczynał nabierać sensu.

Zbyt późno włączyłam nawigację. Głos Hołowczyca ostrzegał nachalnie, żeby zawrócić. Pomyślałam, że bez sensu przebijać się teraz na drugi koniec miasta. Czerwiec w Częstochowie to okres pielgrzymek, i miasto resztkami sił łapało już oddech. Z wszystkich stron nadciągały mniejsze lub większe grupki pątników. Ludzie szli chodnikami, ulicami, wzdłuż krawężników. Musiałam poddać się temu rytmowi, czekając, aż znajdzie się jakaś luka, przez którą wymknę się z pułapki. Nie było szans. Sznur samochodów przesuwiał się konsekwentnie na północ. Droga numer 46, w którą powinnam skręcić, pozostała za mną. W Kielcach miałam być o osiemnastej. Hotel sprawdziłam w internecie, był zaledwie kilka przecznic od biblioteki. Wyglądał porządnie, z pewnością uda się tam coś przekąsić. To dziwne, jaki przyziemny jest człowiek. Jedzie z misją słowa, a myśli o jedzeniu. Czy taki Konfucjusz, kiedy redagował *Księgę przemian*, troszczył się o sprawy codzienne? A Platon, czy tworząc naukę o duszy i niewidzialnym świecie idei, pogryzał na boku ogórka? Aż trudno się z tym pogodzić, a jednak proza wszędzie się wciśnie, a cytowany Voltaire był przecież królem życia w każdej jego odsłonie.

Stałam przez chwilę na światłach, kontrolując położenie według planu na monitorze. Nadłożenie drogi i przestój w korkach zsumują się w małą stratę w stosunku do pierwotnego planu. To nic. Podobne komplikacje trzeba zawczasu wkalkulować. Tego mnie nauczyło życie. Zresztą zmiany w podróży miały zawsze znamiona przygody. Kiedyś, w trakcie górskiej wędrowki, trafiliśmy z mężem do Jagniątkowa, niewielkiej miejscowości zaszytej wśród karkonoskich lasów. Niespodziewanie w szeregu zwykłych wiejskich domów, stojących na dnie doliny, wśród snopków siana, beczących owieczek, spośród kwitnących przy płotach słoneczników wyłonił się olbrzymi dom, a właściwie romantyczny zameczek z cylindryczną wieżą. Budowla na granitowej skale z widokiem na Karkonosze, monumentalna i tajemnicza, zrobiła na mnie niezwykle wrażenie. Wokół zadbana zieleń i cisza, rozległy park, miejsce wtopione w pejzaż, nieprawdopodobnie inne od otoczenia. Mieszkał tu przed laty i tworzył Gerhart Hauptmann, laureat Nagrody Nobla w 1912 roku. Teraz było tu muzeum pisarza – cudowne wnętrza,

zdjęcia, meble, książki i poruszająca biografia człowieka na tle czasów, w których żył, absurdów ludzkiego losu i okropieństw historii. Zahipnotyzowana miejscem i całym zdarzeniem krążyłam pomiędzy pokojami, pewna, że za chwilę spotkam w nich właściciela.

Tamta wyprawa i piękny słoneczny dzień w sercu Karkonoszy rozbudziły we mnie pasję zagładania w mało uczęszczane zakątki, na podwórka polskiej historii.

Tymczasem musiałam zmienić pas ruchu. Mijały mnie ciężarówki z lawetami, jechały jedna za drugą załadowane autami, jak piętrowe garaże.

„Przez dwa kilometry trzymaj się prawego pasa” – powtarzał w kółko nawigator. Łatwo powiedzieć, gdy się siedzi wygodnie w elektronicznym pudełku i tylko wydaje rozkazy. Zielona tablica z napisem „Włoszczowa 786” potwierdziła obraz, który pojawił się wcześniej na ekranie. Włączyłam kierunkowskaz, uważnie obserwując w lusterku reakcję kierowców. Usłyszałam zgrzyt hamulców i jedna z machin zwolniła, wpuszczając mnie przed siebie.

Zjazd z trasy Częstochowa–Radomsko był wybawieniem. Dwa inne auta skręcające za mną czmychnęły obok, wzbijając tumany kurzu.

Zwolniłam, wjechałam pomiędzy domy. Miejscowości, których granicą była linia asfaltu i las za domem, ciągnęły się jedna za drugą. Droga obsadzona szpalerem drzew wiła się lekko wśród pagórków. Minęłam po prawej sad. Niskie drzewka, niektóre z nich ukrzyżowane na drucianych stelażach. W środku przesuwiał się pokraczny pojazd. Z wysokiej dyszy buchał mleczny pył i opadał na zielone korony.

Przed oczami miałam zielen w wielu odcieniach. Pofałdowany teren ciekawie odbijał światło. Ciemne pola w dolinach i plamy słońca na szczytach wzniesień. W rowach krzewy dzikich róż obsypane bladymi kwiatami, krwiste maki, które już zawsze będą mi się kojarzyć z Monte Cassino.

Minęłam Koniecpol, Czarncę, miejscowości przechodziły szybko jedna w drugą. Ulicą Czarneckiego przejechałam przez Włoszczową i na prawo, Partyzantów, dalej na Kielce. Gdzieś w pobliżu Krasocina miał być zjazd na Małogoszcz. Kusiło mnie, żeby zjechać. Nazwę miejscowości natychmiast skojarzyłam z przeczytanym niedawno artykułem. Trafiłam na niego w materiałach o Asnyku. Otóż w styczniu 1863 roku odwiedzili go polscy patrioci, uciekinierzy polityczni, którzy na wieść o powstaniu styczniowym opuścili bezpieczny azyl w Turynie i za pożyczone pieniądze jechali przez Włochy, Szwajcarię, Niemcy do kraju, który był wówczas w potrzebie. Potem w batalionach kosynierów walczyli z Moskalami o Polskę. Trafili do Małogoszcza. Tam jedni zginęli, inni, ranni, przeżyli. Czytałam czyjeś wspomnienia, tekst w oryginalnym brzmieniu, żywy, bardzo realistyczny. W niewielu książkach śmierć była tak prosta i oczywista jak w tym sprawozdaniu. Byłoby dobrze spojrzeć z wysokości cmentarza na miasto i na miejsce, w którym umierali powstańcy. Tego dnia to nie było możliwe. Powstańczy zryw stał się zaledwie wspomnieniem, a tutaj, obok, toczyło się życie w czasie teraźniejszym i musiałam się z nim zmierzyć.

„Zwolnij, możliwy radar” – Hołowczyc przypomniał mi, gdzie jestem. Ocknęłam się z zamyślenia i powoli wracałam z przeszłości. Małogoszcz, powstanie styczniowe, niby tylko miejsce na mapie, rozdział w podręczniku, a jednak historia prawie ciepła i wciąż pulsująca.

Czułam coraz większe znużenie. Cieszył mnie ten hotel w perspektywie. Jeszcze godzina i będę na miejscu, prysznic, potem krótka drzemka.

Tuż przed Sułkowem poczułam dziwne drgania, a potem szarpnięcie. Jakbym przestała panować nad samochodem. Zwolniłam, obleciał mnie strach. To nie było dobre miejsce na awarię. Podrzędna droga, niewielki ruch, pola jak sięgnąć okiem, nie uświadczysz żywego ducha. Przy kolejnym szarpnięciu puściłam kierownicę. To jednak nie był przypadek. Zwolniłam i zjechałam z asfaltu. Droga była wąska, do tego rozjechane pobocze, widocznie trwały tu prace remontowe. Koła chwyciły żwir i wjechały miękko na trawę. Po lewej miałam kępę sosen z gęstym poszyciem, przez długie pnie przebijał zarys

budynku. Po prawej rozciągały się pola obsiane zbożem. Wśród zielonych jeszcze kłosów migotały kolorowe cętki maków i chabrów. Ładne miejsce na krótki przystanek w podróży, ale nic więcej.

Matko! – jęknęłam, opadając na fotel. – Oby to nic poważnego – pomyślałam w popłochu.

Widok przednich kół rozwiązał wszelkie nadzieje. Czyżby ktoś wysypał gwoździe na asfalcie? Zaczęłam wpadać w panikę. Słyszałam o złodziejach samochodów na stłuczce, na babcię, która zasłała, na blokady w ustronnych miejscach. Może i mnie spotkało coś podobnego. Nie wiedziałam, jak się zachować – zabarykadować wewnątrz auta i dzwonić na policję czy od razu wołać pomocy? Chwila skupienia dla nabrania dystansu sprawiła, że zaczęłam na chłodno oceniać sytuację.

Precyzyjny scenariusz dnia ulegał samoistnej zmianie. Stałam bezradnie i nic sensownego nie chciało mi przyjść do głowy. Zamiast tysięcy pomysłów, jak zazwyczaj, pustka, a raczej tysiące obaw. Cóż w takich przypadkach znaczą mądre sentencje? Wielkie słowa tracą znaczenie w obliczu zwykłych kłopotów. Dziurawe opony, ileż w tym treści i znaczeń, jakie konsekwencje. Poczułam się jednocześnie tragicznie i groteskowo. Czy można sobie wymarzyć taki przebieg wydarzeń? Stałam na wąskim poboczu bezradna jak dziecko. Śliczny dzień, na niebie kryształ błękitu, wokół soczysta zieleń i brzęczenie owadów, jakby ktoś potrącał cienką strunę harfy. Prawie upała, na tyle, że cienka bluzka zdążyła się już przykleić do pleców. Ale może to tylko z emocji. W uszach poza drżącym dźwiękiem natury słyszałam swój własny nerwowy oddech i cichutkie przekleństwa. Stara zasada liczenia do dziesięciu nie skutkowałą.

Drogą raz po raz przejeżdżał samochód. Kierowcy ostrożnie omijali dziury na chropawej powierzchni. Byli niemal na wyciągnięcie ręki. A ja stałam zawstydzona własną bezradnością. Nie miałam opracowanej strategii, pierwszy raz w życiu znalazłam się w takiej opresji. Zamiast działać, przypominałam sobie tytuły oglądanych horrorów. Mimo że stan drogi sugerował przyczynę zdarzenia, podeszłam do tego melodramatycznie. Rozsądek walczył bezsilnie z miłością do fabuły. D. Lynch albo S. King?

Zaczęłam kojarzyć fakty, analizując podróż od momentu wyjazdu z Krakowa. Tankowałam po drodze w Mysłowicach, a właściwie już sporo za miastem. Kończyła się benzyna i instynktownie zjechałam na stację. Pełen bak daje mi poczucie bezpieczeństwa. Kiedyś, zimą, stałam w korku na resztkach paliwa i prawie zamarzłam, bojąc się uszczknąć kropelkę. Od tego czasu dolewam, gdy tylko mogę. Tak na wszelki wypadek. Człowiek z wiekiem obrasta w dziwactwa.

Na stacji brakowało obsługi. Byłam jedynym klientem. Przestrzeń między dachem a tłustym asfaltem wypełniała duchota z rozgrzanych pól i mdlący zapach paliwa. Rozglądałam się trochę niepewnie, zaskoczona ciszą. Nawet powietrze zaległo w bezruchu. Po chwili zza rogu budynku, z czegoś, co przypominało park, a może raczej zarośla, wyłoniła się grupka wyrostków z pryszczatym przywódcą, który mówił głośno do kumpli, nadmiernie gestykulując. Przyglądałam się im ciekawie, dopisując każdemu fikcyjny życiorys i niechlubną przyszłość. To też zawodowe skrzywienie. Mimo to, widok ludzi podziałął kojąco. Pewność, że nie jestem sama, dodała mi otuchy.

Na stacji trwał remont, stąd pustka i biel za szybą. Był jednak kącik z kawą i podgrzewacz hot dogów. Za paliwo zapłaciłam sympatycznej brunetce, prosząc jeszcze o butelkę wody i nowy numer „Zwierciadła”. To trwało zaledwie chwilę. A jednak – przypominałam sobie wzrok tych chłopców. Paliły się w ich oczach ogniki sprytu i bezwzględności, kpiny i pogardy. Z rękami w obwisłych kieszeniach dziwnie podskakiwali, odbijając się stopami od spękanego asfaltu jak kauczukowe piłeczki. Ich zimny wzrok odprowadził mnie do zjazdu na trasę.

Zapach kawy, silny aromat świeżo palonych ziaren wymieszany ze słodyczą lukrowanych pączków, których nie lubię, sprawił, że poczułam silny głód. Sama woda to niewiele. Żałowałam tych gorących hot dogów podpiekających się na ruszcie, serwowanych na stacji. Słyszałam jednak wielokrotnie od

znajomych, że najlepiej spróbować dań regionalnych w mniejszych miejscowościach, gdzie nie wdarła się komercja i ciągle istniała stara, polska kuchnia, gdzie na hot dogi nie było jeszcze miejsca.

Zjechałam do baru „Pod Jemiołą”. Odruchowo spojrzałam w górę. Rzeczywiście, na stojącej obok topoli zobaczyłam liczne narośle. Podeszłam bliżej i niemal w tej samej chwili straciłam apetyt. Plakaty oblepiające szybę przy drzwiach, informujące o lokalnych imprezach, o wizycie mammobusu, spotkaniu z sołtysem i terminach kursów na prawo jazdy zwisały żałośnie. Widok podchmielonych mężczyzn, którzy wypadli przez drzwi niemal wprost na mnie, przesądził o końcowej decyzji. Ach, ta stara, polska kuchnia i polskie zwyczaje... po prostu zwykła przydrożna jadłodajnia, nic więcej. Zrezygnowałam z obiadu. Zmienię go na kolację w Kielcach. Umówiłam się ze znajomą, takie babskie spotkanie przed wtorkowym wieczorem autorskim w bibliotece.

W pełni objawiła się stara prawda, że nie chwali się dnia przed zachodem słońca. Ale trzeba mieć zawsze nadzieję. Wspomnienie oczu chłopców ze stacji benzynowej paradoksalnie mnie uspokoiło. Zło z oddali straciło swą moc, zostawiając tylko cierpki posmak goryczy. Postanowiłam, mimo wszystko, szukać pomocy u innych. Wiara w człowieka zwyciężyła, kiedy stałam na poboczu drogi przed Sułkowem, czekając na zbawienie.

Pojawiło się w postaci dwóch rowerzystów. Jechali niespiesznie i nie bacząc na samochody, zataczali raz po raz spore półkola. Pewnie omijali dziury, a na dodatek wyglądali na zmęczonych – po polsku, ale jakoś niewinnie. Nie czułam zagrożenia, mimo że nie sprawiali wrażenia, jakby się palili z pomocą.

Panowie po pięćdziesiątce, w roboczych drelichach, jeden pobrudzony smarem, pewnie wracał z warsztatu, drugi wapnem, a może cementem, chyba prosto z budowy. Obydwaj niechętnie zdjęli nogi z pedałów, jeden nawet nie zsiadł z siodełka. Mruczał pod nosem i kręcił nerwowo uchwyt kierownicy, jakby chciał odpalić motocykl. Drugi bez słowa, z twarzą zbolaną do granic, położył rower na trawie i uklęknął przy samochodzie.

– Nie obejdzie się bez wulkanizacji – stwierdził. – Tube Type – powiedział ze znawstwem. – Typowe, z dętką – dodał i pokazał palcem napis odcisnięty w gumie. – To lepiej, da się zakleić i po kłopotcie. – Poklepał brudną oponę jak konia przed biegiem. – Nowiutka. – Jeszcze raz klepnął i szybko podniósł się z klęczek. – Dwa, może trzy kilometry – pokazał palcem kierunek – jest zakład wulkanizacyjny. – Trafi pani, a jak nie, to wystarczy zapytać, każdy pomoże – pocieszał bez przekonania. Chyba się spieszył, zacierał nerwowo ręce, spoglądając na kumpla. Tamten z miną cierpienika patrzył tępo przed siebie. Wyglądał na spragnionego. Noga wsparta czubkami palców o asfalt podrygiwała nerwowo, a mętny wzrok i jasna obwódka wokół źrenic sugerowała regularne spożywanie płynów wysokoprocentowych. Marnie to wyglądało. Dwa, może trzy kilometry, niby niewiele, a jednak... To nie był nordic walking z koleżanką, to było samo życie.

– Trzy kilometry – westchnęłam. Na nogach miałam buty na obcasach. Ładne, zgrabne, do pokazania owszem, znośne do samochodu, ale nie do chodzenia. – Nie dojdę w tych butach – przyznałam szczerze.

Naiwna byłam, licząc na współczucie. Kobieta przy mężczyźnie odruchowo szuka oparcia, nawet wtedy, gdy jest przekonana, że jakoś sobie poradzi. Tym razem kobiecie odruch napotkał ścianę niechęci. Wiedziałam, że nie obudzę w ich sercach troski, jechali w przeciwnym kierunku i mieli przemożne pragnienie. Jednak próbowałam.

– Nie mógłby mnie któryś z panów podwieźć, zapłacę za drogę – zaryzykowałam na wszelki wypadek. Nie chciałam sobie wyrzucać zmarnowanej szansy. – Skoro to tylko dwa kilometry? – Spojrzałam błagalnie, podając tę krótszą wersję. Chyba ich zamurowało. Ten bardziej rozmowny otrzepał kolana i zarechotał lubieżnie.

– Mam panią wziąć na ramę? – Oblizwał wargi. – Czemu nie. – Podciągnął spodnie i rzucił mi szybkie spojrzenie. Widocznie nie byłam w jego typie, bo się rozmyślił. – Niestety, nie mamy z kolegą czasu.

Przejdzie się pani, to miły spacer, jest ciepło, można się nawet opalić – dodał na koniec, zmieniając ton na uprzejmy. – Ludzie z Sułkowa do kościoła stąd chodzą piechotą – zachęcał, wsiadając szybko na rower. Pani jeszcze młoda – dodał odwrócony już do mnie plecami. – Nie takie szły tędy boso – zachichotał złośliwie na koniec.

Pożegnałam wzrokiem niedoszłe zbawienie ciągnące do wodopoj. Może i dobrze, z takimi to nic nie wiadomo. Nie czułabym się bezpiecznie ani na ramie, ani na bagażniku. W odruchu rozpaczy próbowałam zatrzymać jakiś samochód. Wszyscy się jednak spieszyli. Widok samotnej kobiety na poboczu drogi i samochodu na flakach mógł wróżyć tylko kłopoty.

Dwa kilometry oraz piękne widoki na góry Lipskie i Gruszczyńskie – sprawdziłam w nawigacji, próbując zorientować się w terenie – to nie było wielkie wyzwanie. Robiłam już dłuższe trasy.

Słońce prażyło, miły wietrzyk psuł mi fryzurę, a ja szłam i szłam przed siebie. W dłoni ciążył mi laptop, którego nie odważyłam się zostawić w aucie, a na ramieniu wypchana torebka.

Przeszłam przez małą wieś prawie wyludnioną, omijając sterty piasku. Tutaj też będą coś remontować, pewnie poszerzać drogę – domyśliłam się, widząc w rowie kilka krawężników. Mijałam podwórka, boisko do gry w nogę, chałupy, jakie dzisiaj rzadko się widuje – drewniane, w trudnym do określenia kolorze, żółtobrazowym?, pamiętające czasy naszych dziadków, a nawet wcześniejsze. Białe okiennice, czyste firanki w oknach mówiły, że ktoś w nich jeszcze mieszka. Obok starych domów wyrosły nowe, a po nich kolejne, nowsze od nowych. Wszystko tak szybko się zmienia, jedno się nie zużyje, a powstaje następne, jak za tym wszystkim nadażyć?

Reklamę ujrzałam w ostatniej chwili, z daleka nie zwróciłam na nią uwagi. Człowiek obojętnie na barwne obrazki. „Serwis samochodowy, kompleksowa naprawa samochodów”. Obok nazwisko właściciela i zdjęcie dużego auta. Lepiej już być nie mogło. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy, tak blisko ratunek!

Minęłam rząd samochodów ustawionych pod płotem zakładu, jeden stał na ceglach – widać nie tylko mnie zdarzały się podobne uszkodzenia. Poczulałam braterstwo z właścicielem zepsutego pojazdu. Przeszłam wzdłuż domu mieszkalnego, z fontanną przed głównym wejściem, i dalej prosto pod drzwi warsztatu. Na drzwiach karteczka – „Przerwa urlopowa do 20 czerwca”.

Widać szczęście nie było mi tego dnia pisane. Uczucie euforii wyparowało bez śladu. Byłam zdruzgotana pechowym splotem wydarzeń. Zaczęłam podejrzewać udział w tym sił nieczystych i opieszałość mojego anioła stróża.

Opuściłam wieś, i znowu po prawej pola, po lewej lasek, aż do znudzenia. Od drzew powiało chłodem, z pól napływał intensywny ziołowy zapach, cudowny, miodowy, czysty. Poczulałam się jak w raju, gdzie dołem słodycz kwiatów, delikatność rosy, a górą powiew znad sosen i chłód leśnych strumieni. Uśmiechnęłam się do ckliwych porównań, wywołanych przez urok chwili. Szłam rażno, mimo obcasów, ale z wycuciem. Skóry na nogach miało mi przecież wystarczyć na dziś i na jutro. Kto wie, jak się wszystko potoczy.

Po lewej mijałam cmentarz. Lśniły w słońcu ciemne i jasne nagrobki. Sztuczne kwiaty w wazonach były wyblakłe i bez trudu kojarzyły się z umieraniem. Mogiły tonęły w niekoszonej trawie, wystawiając do słońca gołe krzyże. Ostatnie ludzkie przytułki, komnaty spokoju. Cicha przystań dla tych, którzy nie muszą się martwić laptopem ani oponami. Im upływ czasu nie sprawia przykrości, oni już wszędzie zdążyli. Śmieją się z moich problemów, patrząc beztrosko w niebo z niezbyt głębokich warstw ziemi. Wieczny sen, wielkie kołysanie w bezkresnym niebycie leczy z wszelkich bolączek.

Asfaltowa droga wijąca się między polami doprowadziła mnie do pierwszych budynków. Nogi strajkowały, a pantofle zaczęły uwierać. Szłam więc bosą po ciepłym asfalcie, drobiny piasku uwierały w stopy.

Wyrastała przede mną wioska, czysta i zadbana. Na prawo staw i duży budynek z podjazdem, a zaraz potem strumień płynący przepustem pod drogą. Niezbyt głęboki, ale wartki, toczył pewnie wodę z miejscowego źródła. Wzdłuż brzegu w wilgotnej trawie buszowały koty, nawet nie zastrzygły uszami na kici, kici. Rozglądałam się za jakimś człowiekiem.

Na skrzyżowaniu droga się rozwidła – w lewo na Chotów, w prawo do Kielc. Skręciłam w prawo, chociaż do Kielc piechotą raczej bym już nie doszła.

Kilkaset kroków i znów skrzyżowanie. Trasa na Kielce odbijała w lewo, na wprost biegła droga do Gruszczyna i Małogoszcza. Tuż obok budynek banku, sklep GS-u i bar „Rogatka”.

Na parkingu przed bankiem stało zaledwie kilka samochodów. Cóż, to tylko mała miejscowość, nie ma co liczyć na tłumy.

„Bank Spółdzielczy we Włoszczowie Oddział w Krasocinie” – przeczytałam na elewacji budynku. O, proszę, przynajmniej miałam możliwość lokalizacji. A więc Krasocin. Nie znałam tej miejscowości, chociaż nazwa nie była mi obca. Pomyliłam pewnie z Krasieczynem, z tym koło Przemyśla – pomyślałam, odrzucając możliwość skojarzenia z czymś innym. Teraz martwił mnie wyludniony parking i martwa cisza dookoła. O tej porze wiejski bank mógł być już nieczynny.

W końcu jednak dojrzałam ratunek, uchyliły się szklane drzwi, z których wyszedł potencjalny wybawca. Zniknął na chwilę za zielonym murem i za moment stanął na schodach. Mężczyzna w średnim wieku.

– Przepraszam – zawołałam. Nie usłyszał jednak. Za nim wyszła kobieta z małym dzieckiem na ręku. Płacz dziecka zagłuszył moje wołanie. Mężczyzna w tym czasie opuścił głowę i sprawdzał coś w komórce. Chyba się spieszył. Telefon po chwili trafił do prawej kieszeni, a mężczyzna ruszył rażno w kierunku samochodu. Nie miałam wiele czasu.

– Szukam warsztatu samochodowego. – Bez chwili namysłu zagroziłam mu drogę. – Mam problem z samochodem – wyjaśniłam. Potem szybko podałam szczegóły.

I znowu to głupie uczucie, że mężczyzna to symbol siły i bezpieczeństwa. Wystarczy, że stoi obok, a już widać światełko w tunelu. Po coś ten Bóg stworzył nas innymi, żebyśmy mogli szukać w sobie wsparcia – skwitowałam w myśli, żeby usprawiedliwić chwilę słabości, anachroniczny pogląd, że kobieta bez chłopa jest jak dom bez dachu. Pojawiła się także myśl ulotna, a raczej znak zapytania, czy ta sentencja jest moja, czy może kradziona. Pytany wyglądał na zaskoczonego, ale jego szaroniebieskie oczy wydawały się na szczęście spokojne.

– Przykro mi – odpowiedział dość chłodno, wyjmując z kieszeni kluczyki. Przez chwilę ważył je w ręce, jakby się zastanawiał. Podrzucił do góry raz, a potem drugi, przełożył z prawej do lewej i dopiero wtedy spojrzął mi w oczy. Ten ułamek sekundy i ten uśmiech przesądziły o wszystkim. Pomyślałam – jest niezłe, wygląda na dobrą duszę, nie odmówi kobiecie w potrzebie.

– W Krasocinie nie ma wulkanizatora, tego jestem pewny – dodał grzecznie, a mnie zmroziło. – Najbliższy jest w Mieczynie, ale tam pani na bosą nie dojdzie. – Spuścił wzrok na moje brudne stopy, a potem na pantofle, torbę i laptop.

– O matko! – jęknęłam. – Czyli nic z tego. – Jęk był taki sugestywny, że każdy by się zlitował. Gdyby nie wstyd przed ludźmi, którzy się właśnie pojawili przed bankiem, może bym i uklękła. Choć na co dzień bywam powściągliwa i słabości skrywam w sobie, tym razem nie miałam wyboru. Naprawdę potrzebowałam pomocy i usilnie pragnęłam wierzyć, że mam przed sobą człowieka z anielską duszą.

– Idę piechotą od strony Sułkowa – dodałam strapiona – i nie mam pojęcia, do kogo się udać. Nie znam okolic i nikogo w tej miejscowości. – Nie dałam za wygraną.

– A pani z daleka? – spytał.

– Jestem w podróży służbowej. Na osiemnastą miałam być w Kielcach – prawie krzyknęłam, bo coś mi mówiło, że nie wszystko jeszcze stracone.

– Minęła czternasta. – Spojrzał na zegarek. – Pomógłbym pani, ale czekają na mnie – dodał i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Ktoś dzwonił na moje nieszczęście. Nie odebrał rozmowy, tylko wyłączył aparat. A więc jednak anioł mi się trafił.

– A czy ja tu znajdę taksówkę? – zapytałam szybko, bo tylko to mi przyszło do głowy.

– Skąd, tu każdy ma swój samochód. Musi pani złapać okazję. Bank zamykają za dwadzieścia minut, więc lepiej szukać pod sklepem. – Wskazał uprzejmie kierunek.

Wszystko rozstrzygną sekundy. Lewy, a potem prawy płat czołowy zwielokrotnił obroty – „uruchamiam język serca, zapomniany język ludzkości” – czytałam w książce Marshalla o tym, jak trzeba rozmawiać z ludźmi, żeby osiągnąć swój cel.

– Nie znam okolicy. – Spojrzałam na niego błagalnie. – Zupełnie nie wiem, co dalej robić. Będę niezwykle wdzięczna, jeśli mi pan pomoże. Dobry uczynek sprawia, że wydzielają się endorfiny, podobno, a dobry nastrój przyda się każdemu – dodałam na wszelki wypadek. – Komuś stąd będzie dużo łatwiej niż obcemu, a szczególnie samotnej kobiecie. – Na koniec zamrugałam rzęsami.

Mężczyzna spojrzał i znieruchomiał. Byłam ciekawa, o czym teraz myśli. Nie mógł już chyba odmówić. Onieśmieliła go klarowna prośba i przeraziła moja naiwność czy po prostu nie miał sumienia odwrócić się tyłem i odejść? Próbował się jeszcze bronić i otworzył usta, lecz w tej samej chwili usłyszeliśmy wołanie.

– Panie Kuśmierczyk. – W drzwiach banku stała kobieta z kopertą w ręku. – Panie Piotrze – zawołała głośnie. – Zapomniał pan dokumentów. – Wspięła się na palce, machając zawzięcie.

– Pan się nazywa Kuśmierczyk? – Język miłości to jedno, drugie łut szczęścia, trzecie przeznaczenie. – Piotr Kuśmierczyk? – dopytałam na wszelki wypadek.

Mężczyzna był zaskoczony.

– A czy my się znamy? – zapytał ostrożnie.

– Raczej nie – pospieszyłam z odpowiedzią. – Kuśmierczyk to moje panińskie nazwisko, a Piotr to imię mojego pradziadka, mieszkał w Krasocinie, chyba się tu urodził. – Otworzyła się szuflada wspomnień z napisem „rodzina” i już wiedziałam, dlaczego nazwa miejscowości wydawała mi się taka znajoma.

Mój dzień poukładał się znowu, lecz nieco inaczej. Umówione spotkanie udało się jakoś przesunąć. Wizyta w bibliotece i tak miała się odbyć nazajutrz, więc nie było pośpiechu. Voltaire miał świętą rację. „Nie ma niczego, co nie miałoby swoich przyczyn”, tę tezę potwierdziłam osobiście. Lekcja do przemyślenia czy czysta praktyka? Dalej kolejny dowód – Piotr Kuśmierczyk też przestał się spieszyć. Swoje sprawy odłożył na później i pomógł odholować samochód, a potem, tak całkiem zwyczajnie zaprosił mnie do domu!

Cóż, czasem myślisz, że nic cię już nie zaskoczy, że tylko codzienna praca i obowiązki. Tymczasem los lubi się z ludźmi podroczyć, pokazać, że prócz rutyny ważne są niespodzianki.

Rano, gdy kończyłam w krakowskim hotelu śniadanie, wyznaczony cel podróży wydawał się oczywisty. Wystarczył przypadek, żeby wszystko postawić na głowie, a później jak w wahadle Newtona pierwsza kulka wprawiła w ruch ostatnią, zasada akcja równa się reakcji działała bez zarzutu.

Wtedy wydarzenia następowały w naturalnym ciągu, dziś splatają się jedno z drugim, współczesność

z historią, a niezwykle spotkanie w drodze z Krakowa do Kielc na wiele lat odmieniło moje życie.

Był ciepły czerwcowy wieczór. Siedzieliśmy na dworze, sącząc niespiesznie wino. Żona Piotra uraczyła nas dobrą kolacją. Rozmowa w sposób oczywisty dotyczyła rodziny. Więzy z Krasocinem, zerwane już dawno temu, jak korzenie zaczęły odrastać. Ród mojego ojca wciąż był tutaj obecny. Historia popłynęła jak rzeka, własnym korytem. Nagle za mgłą wyobraźni zobaczyłam dziadka, jeszcze bardzo młodego, wracającego do domu ulicą, przy której stał dom jego rodziców. Ciekawe, jak wtedy wyglądała wieś, jak i czym żyli tamci ludzie. Dreszcz emocji, jakaś część jego genów we mnie odtworzyła niemal realistyczny widok i weszłam do środka bez żadnych oporów.

– Mój dziadek, Jan Kuśmierczyk – płynęłam wraz z nurtem rzeki – mieszkał w Krasocinie przy ulicy Floriańskiej numer siedem.

Zaczęłam opowiadać. Niektóre fakty przetrwały w pamięci dziecka jako anegdoty, inne ku przestrodze, lecz były i takie, które wryły się głęboko, gdy rodzice rozprawiali o nich przy długim wiejskim stole w domu moich dziadków. Rozmowy o ludziach i czasach, w których to, że jest się Polakiem, nie miało żadnego znaczenia dla świata. Wiek dziewiętnasty obył się bez nas bez większego żalu...

Trudne wybory

Krasocin, sierpień, rok 1906

Wracał do domu po nocy spędzonej na łąkach. Wcześniej obszedł wieś dookoła, aż po skraj lasu, a potem zajrzał w dolinę zarośniętą gęsto olchą i tarniną. Po drodze mijał chałupy pogrążone w mroku. Niskie, pochylone domy wyłaniały się za opłotkami w cieniu gęstych zabudowań. Dzień czał się na skraju lasu, przenikał nieśmiało pomiędzy gałęziami sosen, prosząc srebrem wierzchołki drzew.

Był koniec sierpnia. Dni stawały się krótsze, noce ciemniejsze i chłodne. Słodczy lata przyprawiona cierpkością, zwiastowanie jesieni, nieodłączny żal, że znów to, co przyjemne, odchodzi w przeszłość.

Tego roku zebrali moc siana, tylko suszyć nie było jak. Często padało, siano długo leżało w stogach, zanim można je było przenieść do schowka nad izbą. Teraz łąki zakwitły dzwonkami i firletkami. Taką łąkę Jan lubił najbardziej, nie zieloną, kwietniową, nie majową – żółtą od mleczy i jaskrów, nie czerwcową pełną maków i chabrów, ale taką późnoletnią, lekko fioletową.

Łąka najładniej pachniała o świcie. Można było do woli zaciągać się zapachem ziemi i radować ciszą. Zanim zgłodniałe bydło odezwie się przeciągłym rykiem, cisza będzie trwać, a później z pierwszym dźwiękiem odpłynie aż do kolejnej nocy. Znał te dźwięki na pamięć.

Wiejskie psy, nadzwyczaj czujne, poszczekiwały. Te uwiązane szarpały bezsilnie łańcuchy, ujadając z niemocy, te spuszczone bywały groźne. Teraz odpoczywały przed kolejnym dniem. Jan nie bał się wiejskich psów. Żył z nimi w zgodzie. Czasem zabierał je na nocną wyprawę, cicho gwizdał i wyrastały spod nóg, gotowe na każde wyzwanie. Tej nocy nie miał ochoty na psie towarzystwo. Szedł tam, gdzie nie były mile widziane. Na dnie doliny utworzył się staw, właściwie bajorko porośnięte gęsto tatarakiem i trzcina. W szuwarach roiło się teraz od ptactwa zbierającego siły do odlotu, a psy lubiły polować.

Zbocza doliny zarosły krzewami, musiał się przedzierać pomiędzy gałęziami. Tarnina wyrosła wysoko, jak nigdy. Cierpkie owoce czekały pierwszych przymrozków. Trzeba było uważać, żeby na kolcach nie podrzeć kapoty. Choćby nie wiem jak się osłaniać, zawsze poszarpały rękawy. Matka mu potem głowę będzie suszyć, że niszczy ubrania. Znał nieokiełznaną naturę przyrody i gniew matki po równi.

Jan przyrodzie potrafił wybaczyć, ludziom nie zawsze, za to sobie nigdy. O błędy nie było trudno, zdarzało się wpadać w pułapki niedobrych decyzji. Potem i miód, i gorycz spijał z pokorą. Tej nocy zrozumiał, że najtrudniej podjąć decyzje dotyczące własnej osoby. Łatwiej sądzić sąsiada, krewnego, a już o wiele prościej obcemu wskazać drogę. Dotychczas myślał, że każdy jest panem sytuacji, i jeśli zechce, moc, którą nosił w sercu, wskaże mu właściwy kierunek. Dziś wie, że wszystkim rządzi konieczność, przypadek, ludzie i czasy, a nie wewnętrzne pragnienie.

To była noc decyzji, którą już podjął, ale wciąż rozpatrywał na nowo. Kilka dni wcześniej zdecydował, że odejdzie z domu. Z tą myślą jak uskrzydłony egzystował, marzył i planował. Skrupuły zakopał w ziemi i przycisnął kamieniem. Ja, Jan Kuśmierczyk, mam prawo do własnej drogi – powtarzał sto razy dziennie. Pożegnalny spacer miał go tylko umocnić w wyborze. Tymczasem wezbrany gniew niespodziewanie ustąpił. Zobaczył w innym świetle narosłe problemy. Może stało się tak pod wpływem modlitwy,

codziennego pacierza, zwykłego *Ojciec nasz*, którym zaczął nocną wędrówkę. W pacierzu utopił smutek, wątplenie i żal. I z pacierzem to wszystko odeszło? Postanowił, że jednak zostanie.

Uwielbiał ucieczki w samotność. Lubił zachodzić na łąki nad wytoką, siadać wśród traw na mokradłach, w miejscu odludnym i cichym, dobrym do dumania i podglądania przyrody. Można się było zacząć na czaplę, a czasem zobaczyć żurawia lub sarnę. Przysiadają tu także gęgawy. Nadlatywały z Oleszna, a jeszcze częściej od strony Chotowa i Borowca. Podmokłe chotowskie łąki były dla nich rajem. Wiosną gęsi zlatywały się tutaj setkami, a później, we wrześniu, gnały na odległy kraniec Europy, podobno aż do Hiszpanii, a nawet jeszcze dalej, do samej Afryki. Zastanawiał się, czy pojęcie miejsca rodzinnego znane jest ptasim mózdzkom. Dla niego dom to bliscy, czyli rodzina. Ale ważne jest także, gdzie się urodziłeś i do jakiej przynależysz grupy. Wszak właśnie to decyduje o codziennym byciu. Jak mogą czuć się ziemskie stworzenia – myślał o ptakach – które krążą po świecie i raz tu przysiadają, a innym razem tam? Tutejsze, to co innego, ale takie gęgawy – rzadko widział ich gniazda. Nadlatywały zazwyczaj dużymi grupami i były wśród nich mniejsze osobniki, widać, że z nowego lęgu. Trzymały się blisko, nie odstępowały stada, więc było oczywiste, że rodzinne gniazdo mają gdzieś daleko. Trudno sobie wyobrazić, że mały ptak może tak szybko przemierzyć odległość między kontynentami, że go te skrzydła niosą tak wytrwale. A on, człowiek, dlaczego chciał uciekać? Przecież kochał to wszystko, każdy skrawek ziemi, którą nawet nie wiedział, jak nazwać. Polska ona, ruska czy niemiecka. Więc dlaczego teraz się waha, odejść czy zostać, skoro obcy jest w każdej z tych wersji? Serce mówi inaczej niż rozum, marzenie walczy z rozsądkiem, górę w końcu bierze przyzwoitość.

Dzień nastawał powoli. Przeciągał się i ziewał, z milczenia nocy wchodził w stan wskrzeszenia. Jasny pas na horyzoncie znaczył trasę dla słońca. Ostatnie pohukiwania sowy, raczej westchnienie przed snem, niosło się niskim echem, jakby pomruk burzy. Gdzieś z krzaków dochodził słaby pisk jarząbka – leśnej, bojaźliwej kury, co się chowała w zaroślach nad wodą.

Obserwował te skrzydlate stworzenia, jak się miotają w zaroślach niczym ludzie w obejściu – żeby było gdzie spać, co jeść i jak się obronić. Zасыpiały o zmroku, wstawały o świcie, witały dzień poranną kąpielą, zdobywały pokarm na pierwsze śniadanie. Były wolne, swobodne, beztrudne. Zwierzęta gospodarskie, z którymi Jan obcował na co dzień, nie znały wolności. Miały pod nos podane paszę, wodę, siano. Człowiek sprzątał, mył je w strumieniu do czysta, karmił, a one w zamian miały mu tylko służyć – krowy dawać mleko, kury jajka, konie pilnie pracować. Buntowników brano pod nóż. Takie na wsi panowały prawa i żaden sąd nie mógł ich zmienić.

Wracał do domu wydeptaną ścieżką. Łąka sączyła rosą, nie chciał przemoczyć butów, te kupione w Kielcach zdarł poprzedniej zimy. Szedł drogą zjechaną przez wozy. Dopiero zwozili słomę. Podkute obręczami koła ciężko bezlitośnie gline, złościąc w niej głębokie blizny, które natychmiast wypełniały się wodą. Przydałoby się więcej słońca. Zboże w stodołach nabrało wilgoci, strach, że może zatechnąć.

Był już zmęczony, miał sporo w nogach, zatęsknił za łóżkiem. Zasnąć to raczej nie zaśnie, może choć chwilę przytuli się do poduszki. Miał noc na rozmyślanie, ale rozumu jakoś mu nie przybyło, tylko więcej rozterek.

Wiosną tego roku był z Adamem w Kielcach. Czekał na szwagra, który szukał w mieście zajęcia. Trwał nabór ludzi do pracy w hucie szkła „Leonów”, własności rodziny Heimannów, i Adam chciał spróbować. Jan chodził bez celu, podziwiając sklepy i ładne wystawy. Niewiele wiedział o mieście. Wieś była jego domem, ubogie chaty z glinianą podłogą i ludzie podobni do niego. Miasto to była kraina jak z zagranicznej pocztówki, wiejscy do miejskich nijak niepodobni, chociaż z tej samej gliny. Domy –

firanki w oknach, kokardy, lichtarze. Ulice – bryczki, powozy, lekkie koniki w ozdobnych uprzężach, jak na obrazie malarza, i tylko wróg był ten sam, z dwugłowym orłem w herbie.

W Kielcach od dawna trwały carskie represje za zryw narodowy, za powstanie styczniowe, za dziki upór zduszonej polskości.

Jednak miasto żyło i kwitło.

Jan obszedł całe śródmieście, widział hotel „Wersal” i bazar, Magistrat, katedrę i piękne ogrody. Nie dało się tego porównać z jego Krasocinem ani Włoszczową. Znał tylko chłopskie życie, proste jak bochen chleba, który od wieków pieczony był z mąki i wyglądał tak samo.

Na koniec wszedł do kościoła. Wewnątrz było chłodno i czysto, aż się bał podejść do ołtarza, że w takim marnym odzieniu stanie przed obliczem Pana. Długa nawa, która wiodła od głównego wejścia, była bogato zdobiona. Na ścianach wisiały obrazy, nie takie, jakie oglądał w chłopskich chałupach, dużo piękniejsze, pewnie malowane przez wielkich artystów.

Ten kościół był większy niż dwór dziedzica Sójkowskiego i o wiele bogatszy.

Kilka kobiet w ławkach szeptało modlitwy, on też przysiadł na chwilę. Chciał się pomodlić, ale nie wiedział, o co. W kościele powoli przybywało ludzi, więc wyszedł na zewnątrz. Dzwony biły na sumę.

Pod bramą zobaczył żebraka. Właściwie było ich kilku – jeden ślepy, bez oka, z czarną dziurą w głowie; drugi kulawy, sztywną nogę ułożył przed sobą i siedząc, wyciągał rękę do ludzi; kobieta z garbem, niestara, ale cała w strupach; biedni i chorzy szukali ratunku, grosza na przeżycie. Ten jeden zwrócił jednak jego uwagę. Mimo że nędznie ubrany, o zapadniętych policzkach i żółtej cerze, jakoś nie wzbudzał współczucia. Chyba drażnił wchodzących dumną postawą i hardym głosem, bo wymięta czapka leżała na ziemi pusta. Kiedy ostatni wierni zniknęli w drzwiach kościoła, Jan podszedł bliżej i podał mu pajdę chleba, którą na drogę dostał od matki.

– Bóg zapłać – powiedział żebrak, a potem gryzł ze smakiem, obcierając usta rękawem.

Usiedli obaj pod murem. Uliczny gwar i stukot końskich kopyt mieszał się z kościelną muzyką.

– Czekasz na kogoś? – zapytał stary, oblizując spierzchnięte wargi. Z wąsów spadły na brodę drobne kawałki sera. Zbierał je mozolnie i wkładał do ust.

– Na szwagra – odpowiedział Jaś i spojrzał na zimne oblicze żebraka. Twarz dojrzała, zorana chorobą, obraz nędzy i zaniedbania, długi zarost, na grzbiecie łachmany, na plecach podarta torba. Ludzie bez domu i bez rodziny, pełno ich było na każdym kroku, w mieście i na wsi, i wszyscy do siebie podobni.

– Nie jesteś głodny, że oddajesz mi swój posiłek? – zapytał nieufnie.

– E tam – Jaś wzruszył ramionami – matka mi wcisnęła na drogę. Wrócę, to będzie wieczerza – wyjaśnił krótko.

– A skąd droga prowadzi?

– Z Krasocina – odpowiedział chłopak.

– Z Krasocina! – mężczyzna cicho zagwizdał. – Na wieczerzę to raczej nie zdążysz, a do śniadania zgłodniejesz, biedaku.

– Nie ma strachu, szwagier się ze mną podzieli – uspokajał.

– Szczęśliwy, co głodu nie zaznał – rzekł żebrak, kończąc poczęstunek. Na przegubach rąk, na nogach powyżej kostek Jan ujrzał brunatne bruzdy, ślady po grubych sznurach. Sporo słyszał o tych, którzy cudem wrócili z zesłania.

Czasem we wsi robiono tajne zebrania, przyjeżdżał jakiś polityk lub działacz i w ukryciu, po domach, przy ognisku na łąkach, gdzie tylko się dało, naświetlał sytuację w kraju. Stąd chłopak wiedział, że po ulicznych strajkach i zajściach z wojskiem car nieco popuścił cugli. Nieliczni zesłani odzyskali wolność, lecz wracali na poniewierkę. Rodzina zdrajcy zazwyczaj traciła wszystko. Im kto bardziej zamożny, temu więcej zabrali. Ziemiańskie domy natychmiast sprzedawano lub oddawano Rosjanom na własność.

Odbierano ziemię i cały dobytek. Uwolnieni z niewoli, bezdomni, koczowali, pozbawieni szans na przeżycie. Zdarzali się wędrowcy, którzy i na wsi szukali kąta. Pomieszkiwali czasami w stajniach albo i w oborach. Dawniej zamożni, utytułowani, teraz żyli kątem u obcych, pracowali za miskę stawy, zapadali na zdrowiu, umierali samotni. Takie widoki nie były Jasiowi obce, a ludzka poniewierka powszechna. Każdy mógł skończyć na drodze albo pod kościołem.

Żebrał okazał się zakonikiem z kieleckiej Karczówki. Koniec 1864 roku przyniósł nasilenie carskich represji. Ósmego listopada nakazano kasatę klasztoru, a zakonników i pracowników podejrzewanych o sprzyjanie ruchowi narodowemu, w ramach czystek religijnych zesłano na Sybir. Zakonnika po długich latach wygnania wykupili dobrzy znajomi, obiecali bezpieczny azyl, ale i ich wkrótce zesłano. Kiedy wrócił do Kielc, stary, schorowany, już nie zastał nikogo, kto mógłby mu pomóc. Zaczął więc żebrać po wsiach i miastach. Opowiadał Jasiowi tragiczną historię, wspominał towarzyszy z zesłania, młodych i pełnych marzeń. Wyliczał tych, co umarli, i tych, jak on, tułających się bez nadziei. A chłopak słuchał, wstrząśnięty losem duchownego, ale i z podziwu dla jego mowy, miejskiej, starannej, jak wyczytanej z książek. Też chciałby mówić tak składnie, że każde zdanie było jak modlitwa. W duchu jednak cieszył się, że jest zwykłym chłopem, który nie zwraca niczyjej uwagi i ma swoje własne cztery kąty.

– Musisz wyjechać – namawiał zakonnik. – Pod carem nic cię dobrego nie czeka. Najlepiej jechać do Prus. W Prusach rozwija się przemysł i gospodarka. Bywałem tam często, w lepszych dla mnie czasach. Teraz nie mam dachu nad głową i nikogo bliskiego. Może też pójdę, gdzie oczy poniosą. Tak żyć to dla człowieka zniewaga.

Jaś słuchał życzliwych rad, myśląc, czy może kiedyś się na to odważy.

– Młody jesteś, pracy w Prusach dosyć. Nie umrzesz z głodu, a jeszcze się sporo nauczysz. Niemcy to naród zmyślny i praktyczny, a do tego bogaty.

Po powrocie do domu Jan często wspominał tamtą rozmowę w Kielcach. Ziarno zostało zasiane. Pomysł wyjazdu dojrzewał spokojnie na dnie chłopięcego serca, a teraz w obliczu matczynej presji przybrał bardzo na sile. I pewnie spełniłby swoje zamiary, gdyby się nie wygadał zawczasu.

Nieopatrznie zapytał Adama o ludzi, którzy przeszli granicę do Prus, czy wie, kto ich prowadził i za ile rubli, a Adam napomknął o tym przy matce. Ta wpadła w panikę. Od tego czasu zaczęła pospiesznie szukać dla syna żony.

A Jan właśnie tego nie miał jeszcze w planach. Na ożenek nie był gotowy, uważał, że to kajdany. Nie dość, że bieda ściska, że kraj ledwo oddycha pod carskim butem, to miałby się pchać w osobistą niewolę? Dnie miał wypełnione pracą na swoim, a później u sąsiadów. Lecz zawsze, kiedy był w duchowej potrzebie, gdy ciężko mu było na sercu, mógł niczym ptak pofrunąć, niczym zając schować się w trawie, jak daniel o świcie cały las obiec, zagubić się w gąszczu i wrócić. Czy żeniaczka nie podetnie mu skrzydeł, nie zmieni wolnego ptaka w lisa podszytego strachem?

– Stara już jestem – gderwała matka. – Stara i zmęczona. Ożeń się, Jasiu, bo nie daję rady. – Rozcierając skręcone artretyzmem ręce, patrzyła błagalnie na syna. Smutne oczy prosiły o wyrozumiałość. Znał to spojrzenie, często szantażowała go, patrząc tak bezradnie.

– Bola mnie kości, trudno się schylić, a jak się schylę, wstać już nie mogę. Rok był bardzo mokry, woda mi weszła w stawy, a kto wie, jaka czeka nas zima. Przyda się w domu druga kobieta i raźniej nam będzie razem. – Rozejrzała się zaraz po izbie, po ciemnych od dymu ścianach i zniszczonych gratach. W poprzednich latach wieszła zioła na różne choroby. Tym razem nawet ich nie zbierała. Włosy miała czarne, długie, błyszczące, bez śladu siwizny, ale twarz pooraną, spaloną słońcem i plecy bardzo pochyłe. Zestarzała się matka w tym roku. Praca i zmartwienia dobiły kobietę.

– Nie myślałem jeszcze o żeniaczce, za młody jestem – bronił się przestraszony. Odstawił talerz na piec i zaczął wkładać buty. Nie chciał obrazić matki, ale był zły, że wtrąca się w jego sprawy. – Jak będzie

czas, to znajdę dziewczynę. Do żeniaczki nie mam teraz głowy. – Zakręcił się szybko po izbie, aż z klepiska sypnęło piachem. Chciał wyjść, żeby uniknąć sprzeczek. Miał dość własnych problemów, żeby sobie jeszcze żonę dokładać na głowę.

– Wychodzisz – bardziej stwierdziła niż zapytała. Patrzyła, jak zmienia ubranie, jak szybko wkłada buty. – Gadać ze mną nie chcesz?

– Nie na tańce idę, a do pracy – odpowiedział hardo. – Muszę zwieźć resztę zboża, póki pogoda, a żeniaczką to się nie martwcie. Pomyślę, jak przyjdzie pora. Wiem, że wam ciężko. Wszystko robicie sami. Czas zadbać o lepsze narzędzia, żeby pracę usprawnić.

Matka spojrzała zgorszona.

– Co tu można usprawnić? – nie była dłużna synowi. Podniosła się ciężko ze stołka, jakby mu chciała zagrozić drogę. – Człowiek tu potrzebny, nie maszyna. Maszyna mleka nie robi ani nie wydoi krowy, nie upierze ani zupy nie ugotuje. – Stała w drzwiach, zmuszając go do słuchania.

– Ale w polu może pomóc człowiekowi. – Jan nie chciał się zgodzić z narzekaniem matki. Wierzył w potęgę wynalazków i w ludzką myśl. Zabrał ze stołu czapkę z samodziału, co mu uszyła z rękawa starej kapoty. – Trzeba nowy pług kupić, ze stalowym lemieszem, żeby skibę przewracał głębiej, i kosę, a w przyszłym roku w pole wezmę syna od sąsiadów, nada się, widziałem, że dobrze podbiera zboże. Nie będziecie już chodzić z sierpem. A dziś zostańcie w domu. Zimno jest, wieje i ciągnie od ziemi.

– Chleb trzeba zagniatać, sery robić, a kto cię opierze, kto nakarmi, jak ja zaniemogę? Adam obiecał przysłać tu Walerkę, ale ona jeszcze młoda, nie zna się na serach i słaba jest w rękach, masła nie ubije.

– Ubije, ubije – uspokajał matkę. – A ser zostawcie. Sam się nim zajmę, jak wrócę. Odpocznijcie, skoro jesteście zmęczeni.

Zanim wyszedł, zdjął czystą koszulę i włożył starą, przeznaczoną do pracy. Była już dziurawa i wytarta na łokciach, ale w pole się jeszcze nadała. Lubił ją, była przewiewna i miękka, zrobiona z delikatnego płótna, nie gryzła i nie raniła spoconego ciała. Sztuką było tak utkać tkaninę, żeby nie miała węzłów i zadziórów. Matka tkła dobre płótna i dbała o czystość. Do obiadu trzeba było siadać wymytym i w świeżej koszuli, a w pole wkładać zużyte i gorsze ubrania.

– Był wczoraj krewny z Gruszczyna – wydusiła w końcu, zanim zniknął jej z oczu. Zgarnęła okruchy ze stołu i sypnęła kurom przez okno.

– Konia chciał wynająć do zwózki? – Jan przypomniał sobie, że mu obiecał Siwka pożyczyć.

– Nie chodziło o konia – powiedziała, odwracając się tyłem. Czyściła piaskiem nalepę zapaćkaną tłuszczem. – W odwiedzinie przyszedł – mruknęła, szorując zawzięcie. – Zapytać o zdrowie.

Jan niedowierzał. Spoglądał nieufnie na matkę, czując, że do czegoś zmierza.

– Coś kręcicie, matko. – Zamarł na moment. – Mówcie, w czym sprawa, spieszno mi do roboty.

– Właściwie przyszedł do ciebie – przyznała. – Ma pannę w sam raz, chciałby prosić w swaty, jeśli ci się spodoba. – Mówiła tak naturalnie, jakby wszystko było dawno już ustalone. Bała się reakcji syna, ale w końcu kiedyś musiała to z siebie wydusić.

Już dawno prosiła o pomoc znanego w rodzinie swata. Miał dobrą rękę i potrafił dobierać ludzi. Może i Jaśkowi pomoże. Jasiek to dobry chłopak, pracowity jak nikt w okolicy i od dziecka taki poważny, spokojny, potrzebuje odpowiedniej kobiety. Sam sobie nigdy nie znajdzie, jest zbyt wybredny.

Jan stał oniemiały. Więc wszystko ukartowane i sprawy toczyły się poza jego plecami, jak zawsze. Nikt go nie pytał o zdanie. Matka swoim sposobem decydowała za niego. A on chciał jako człowiek mieć prawo do pewnych decyzji, dość już przypadków i przymusów. Nie rodził się tylko po to, żeby innym dogadzać, żeby zapomnieć o sobie i jak popychadło godzić się na wszystko. Zestarzał się przed czasem, czyż to nie dość? Mniej go w środku niż kiedyś, gdy planował życie, w duszy hula wiatr zamiast nadziei.

– Czasy są ciężkie, a ty mnie jeszcze dobijasz. Myślisz tylko o sobie, jestem dla ciebie jak ten koń,

któremu się dorzuca, zamiast trochę odjąć. Da radę czy nie? Ano, zobaczymy – rzucił matce w twarz i właśnie wtedy przez myśl mu przemknęło, że spakuje parę koszul, weźmie kilka rubli, które dostał we dworze, i pójdzie szukać pracy w mieście, zarobi, a potem pojedzie dalej, może do Ameryki. Matkę i ziemię zabierze Adam, lepiej od niego gospodarzy. Jan miał przecież prawo, jak każdy człowiek, układać się z losem na własnych warunkach. Ta kropla goryczy przelała kielich. Rzucił o ziemię czapkę i poszedł w pole.

Wrócił o zmroku z gotowym planem. W saszku schował tobołek, który wcześniej przygotował na wyjazd. Ukradkiem opróżnił skrzynie z najlepszych koszul, zabrał zmianę bielizny, kurtkę z samodziału. Dwadzieścia rubli powinno wystarczyć na przekroczenie granicy. Nie mógłby matce spojrzeć w oczy. Wolał się posłużyć ucieczką, żeby nie widzieć matczynej rozpacz.

Nocna wyprawa na łąki była pożegnaniem. Nie wiedział, czy jeszcze wróci. Świat mu się śnił po nocach i do tego świata uciekał. Matce postanowił pomagać z daleka. Przysyłać pieniądze na życie, żeby nie musiała pracować. W domu zostawił list, w którym wszystko wyjaśnia, i prośbę do szwagra, żeby miał nad tym pieczę. Adam matki nie ukrzywdzi, lubił teściową i szanował jej zdanie.

Jan miał nadzieję, że nocna wędrówka da mu ukojenie i rozwieje wątpliwości. Był już zdecydowany. Tymczasem wracał do chaty skruszony, spokojny i pogodzony. Ucichł w nim bunt, ostygł gniew, do głosu doszło sumienie. Nie może zostawić ziemi, ojcowizna jest mu pisana i trzeba się zmierzyć z losem. Skoro ludzie wracają do domu z dalekiego zesłania, pół świata idąc piechotą, jakże on miałby swój dom opuszczać dla płonnych marzeń?

Kończyła się noc. Rano musi się zwlec do roboty. O wyjeździe kiedyś pomyśli, teraz nie czas na dezercję.

Świtało, gdy dotarł do furtki. Zdjął przed wejściem zabłocone buty, wytarłszy je uprzednio w trawę. Czuł się potwornie zmęczony. Dławiło go w gardle. Zajrzał do drewnianego cebra stojącego na progu. Na powierzchni wody pływały żdźbła trawy i muchy. Matka zapomniała wstawić wiadra do sieni. Ma rację, że potrzebna jest druga kobieta.

Moment, w którym górna połowa tarczy słonecznej przekraczała linię horyzontu, budził w nim respekt. Widywał to niemal codziennie. Wstawał, kiedy pierwszy promień dotykał prawej strony dachu, a cienie liści podświetlonych przez słońce wpadały przez okno, trzepocząc na ścianie niczym motyle. Schował pod łóżkiem tobołek i zabrał list ze stołu. Usłyszał, jak matka kaszle.

Ślepy los?

Krasocin, lipiec, rok 1907

Dotychczas nie było w zwyczaju, żeby porządny chłopak uganiał się po wsi za panną albo panna za chłopcem. Dopiero by wzięli ich na języki. Zdarzało się czasem, że wpadali sobie w oko przypadkiem. On ścinał zboże, a ona na polu obok stawiała snopki. Mogli wtedy na siebie popatrzeć, a nawet zamienić słowo. Tak to szwagier zakochał się w Józzi, starszej siostrze Jasia, i byli dobraną parą. Młody Kaliszewski z Marianną znali się prawie od dziecka, a kiedy przyszła pora, prosili rodziców o zgodę. Zrobili piękne wesele, cała wieś im wiwatowała, nawet z dworu przysłali młodym prezenty. Bywało też, że na wiejskich zabawach chłopcy wybierali panny, która ładniejsza i lepiej ubrana.

Jan jednak wolał zobaczyć kobietę przy pracy. W tańcu zawsze się uśmiechały, pyszniły, zadzierały nosa. On chciał dla siebie taką, co cały dzień będzie uśmiechnięta, nie tylko w czasie zabawy. Nieraz przyglądał się napotkanym dziewczętom, ale żadna nie wydawała się dobra na żonę.

We wsi ludzie wiedzieli o wszystkim – kto bije kobietę, kto nią poniewiera, a który szanuje. Wiejskie kobiety pracowały jak woły. Pierwsze wstawały i ostatnie kładły się spać. Rodziły każdego roku, mało który się ulitował, gdy w połogu stawały przy pługu. Mało który chłop potrafił uszanować poświęcenie kobiet, gdy bez skarg, bez żalu za młodością i za urodą oddawały się całej rodzinie. Czasem jeszcze za włosy wytargał i z chałupy wyrzucił, kiedy wracał pijany po nocy.

Niektórzy żenili się tylko dla ziemi lub dla posagu, ci często swój los przeklinali i nie zaznali szczęścia. Odstęczało to Jana, nie chciał takiego życia, wolał od niego samotność. Mniej ludzi w domu, mniej kłótni i łez.

Kiedy się zwierzył matce ze swoich obaw, ta aż się wzięła pod boki.

– A czy to u nas takie były zwyczaje?! – zagrzmiała na syna. – Twój ojciec nigdy na mnie nie warknął, ani ja na niego. W naszej rodzinie był zawsze szacunek i zgoda, tak samo u naszych krewnych. Od ciebie wszystko zależy. Mąż i żona muszą być jak jedno, inaczej nic się nie uda. Dość w okolicy porządnych dziewcząt, tylko trzeba poszukać, a w samotności nawet najlepszy chleb nie smakuje, do pustych ścian gadać będziesz, kiedy mnie zabraknie?

I tym sposobem sprawa ożenku stanęła na ostrzu noża. Zanim Jan zdążył odetchnąć, matka znalazła mu żonę. Tamtej nocy, na łąkach, bez żalu pożegnał wolność, a marzenia zostawił innym. No cóż, już nie chce być ptakiem, który opuszcza gniazdo i leci, gdzie skrzydła poniosą. Woli zostać jarząbkiem w pobliskich szuwarach i wić gniazdo według matczynych zasad. Skoro do tego potrzebna kobieta, ożeni się, spełni jej życzenie, ale nie da się w ciemno wyswatać. Sam sobie pannę wybierze.

Między stanem chłopięcej wolności a męskiej ogłady istniała wolna przestrzeń, trudna do nazwania, stan podobny do nicości, gdy cały trud i praca zdaje się nie mieć sensu. Pewnego dnia zrozumiał, że musi tę pustkę wypełnić, że jest już na to gotowy.

Gdy tylko zrobiło się cieplej, Józefa zaczęła śpiewkę. A to o zdrowiu, a to o pracy, o bezdusznosci syna, że taki wygodny. Sarkała za dnia sąsiadom, narzekała w domu. Obeszła wieś z pretensjami, że syn taki uparty. Zaszła do Kaliszewskich, tym się najdłużej żaliła, bo dobrzy byli ludzie i rozumni. Adam już

nawet donosił, że i do niego robi podchody.

– Przepowiedz mojemu synowi – w końcu prosiła otwarcie – że mam dla niego dziewczynę. Lepszej w okolicy nie znajdzie. Ale jak się będzie ościagał, to wybierze innego.

– Przynajmniej zapytaj – doradzał Adam szwagrowi – może to panna warta niewoli. Po co się głupio upierać.

Wobec nacisków trzeba było Janowi zmienić nieco strategię. Zadzierać z matką byłoby głupotą. W złości można kogoś zranić, a słowa na wiatr rzucone i wrogie potrafią wrócić do źródła. Postanowił posłuchać Adama, poskromić swój męski upór i sprawdzić. Nie dostosuje świata do siebie, nie uniknie cierpień, będąc samotnikiem. Tylko jak wybrać mądrze i za rok nie żałować? Znał niemal wszystkie panny w okolicy, więc to musiała być jakaś obca, może z innej wsi, a może wdowa? Poczł dreszcz przerażenia i strach. Nie, na wdowę namówić się nie da. Chociaż niektórzy twierdzą, że to na żonę najlepszy materiał.

Walczył z wątpliwościami. Może gdyby miał obok ojca, mężczyznę, który małżeństwo znał od podszewki, to byłoby z kim porozmawiać. Pamiętał słowa dziadka Szczepana, był wtedy jeszcze dzieckiem, że samotne życie jest jałowe i puste. Nie ma dla kogo żyć i pracować. Czy powinien te słowa potraktować jak ważny drogowskaz, jak prawdę niezmienną w czasie?

Wiatr marszczył wierzchołki drzew, nadciągała burza. Siedział w stajni na sosnowym pieńku i patrzył na konia, jak szarpie uzdę po każdym uderzeniu pioruna. Wstał, żeby go uspokoić, klepał lekko po zadzie, niech się nie czuje samotny. O ziemię łomotał deszcz. Smugi wody targane wiatrem tańczyły mu przed oczami, a w gnieździe pod dachem stajni buszowały jaskółki. Natura lubiła pary – rozumiał to doskonale.

Po powrocie do domu zastał matkę skuloną na łóżku. Zauważył, że drzemie. Naszarpane wiatrem liście zasłały podwórze, a strumień wody zaczął już podmywać stopnie. Pies skrył się na ganku przemoczony do suchej nitki. A matka spała. Widocznie była zmęczona. Po chwili jednak otworzyła oczy. Obudziła się, gdy przeganiał szmatą kury, zawsze chętne do szukania na stole przysmaków. Zajrzał w końcu do garnka, bo i jemu głód zaczął się dawać we znaki.

– Zgłodniałeś? – spytała, widząc, że szpera na piecu.

Nie odpowiedział, tylko usiadł przy stole z talerzem pełnym zupy.

– A co to za panna? – Zaskoczył ją, na wpeł śpiąca uniosła się najpierw na łokciu. Potem wolno opuściła nogi i przez chwilę tarła rękami twarz, żeby nieco otrzeźwieć.

– Ano ta sama, której raz odmówiłeś – powiedziała, ziewając. Tyle było gadania, a on jakby spadł z księżycy. – Obraziłeś się na mnie za swaty, więc musiałam wszystko odwoływać. Zresztą – dodała – dziewczyna też odmówiła. Nie chciała wychodzić za mąż.

Aż się Jan zakrzusił kawą, której sobie nalał do kubka.

– Jak to nie chciała? – obruszył się na matczyne słowa. – A co, byłem złym kandydatem? – dodał z urazą w głosie. – Znam ją, jest z Krasocina? – dopytywał matkę.

– Chcesz wiedzieć, to jedź i pytaj, skoro to cię ciekawi – sprytnie odpowiedziała. – Jeśli nie znasz, to możesz poznać. Wszystko od ciebie zależy, i od niej oczywiście – dodała na wszelki wypadek. – Pojedziesz, zobaczysz i zdecydujesz, nikt cię nie będzie zmuszał.

– Co nagle, to po diable – powiedział pod nosem, ale myślał już trochę inaczej. Nie chciał się zgodzić od razu. Próbował wyciągnąć od matki coś konkretnego. Ale ona już nie miała ochoty na rozmowę. Zawsze, kiedy kończyła temat, prostowała się, rzucając warkocz za siebie. Znał ten jej gest od dziecka, wiedział, że kiedy jest zła, to warkocz nosi na plecach, a jak wesoła, upina dookoła głowy. Nie było sensu wracać do rozmowy. Wyszedł więc z domu, miętosząc w rękach czapkę.

Józefa chciała, jak każe tradycja, najpierw wysłać swaty, a potem uzgadniać warunki ślubu. Termin u księdza i zapowiedzi to kolejna formalność. Resztę młodzi muszą powierzyć Bogu w nadziei, że będzie

dobrze. Nie można tego ominąć w imię nowoczesności. Wszak ona też nie знаła przed ślubem przyszłego męża. Widziała go we wsi ledwo kilka razy, najczęściej w kościele. Rodziny szybko się dogadały, popytali u ludzi, czy to dobry kandydat i czy się dobrze prowadzi. Kto kocha ojca i matkę, to uszanuje kobietę – powiedzieli i było po wszystkim. Miała wprawdzie czas, żeby się nie zgodzić, lecz czegoś takiego nie brała pod uwagę. Zresztą nie było potrzeby, chętnie poparła rodzicielski wybór. Piotr był lubiany we wsi i podobał się pannom. Zaufała rodzicom i nie żałowała. Dla syna pragnęła tego samego.

Starsi lepiej potrafią ocenić i dobrać dzieciom małżonków. Myślała prosto, nie było w tym wyrachowania. Wierzyła w utarte zwyczaje i mądrość ludową. Tego nauczyło ją życie i własny przykład. Dobrali się z Piotrem i pokochali. Czas zatarł gorsze wspomnienia, za to z każdym dniem podkreślał zalety męża. Gdyby tak szybko nie odszedł, byłyby ciągle szczęśliwa. Miała różnych chłopców na oku, myślała nawet o innym przystojniaku, kto wie, gdyby nie rodzice... Ten żył jeszcze, mieszkał po sąsiedzku, ale we wsi wiedzieli, że pije i bije kobietę. Kiedy żona z dziećmi przymierały głodem, on hulał i trwonił pieniądze. Inny chłopak, sporo od niej starszy, także się o nią starał, ale zginął w powstaniu u Langiewicza. Poszedł się bić o Polskę i nie wrócił żywy. Trafiła go pierwsza kula, kiedy wyszedł z lasu. Więc Józefa dziękowała Bogu za szczęście, a rodzicom za wybór. Piotr nie pił, nie bił i nie ginął na wojnach, tylko ciężko pracował, żeby jej i dzieciom dobrze się wiodło. Ale umarł biedaczek i została wdową. Teraz uważała, że bliższe poznawanie przed ślubem nie ma większego sensu. Los i tak rozdaje karty, nikt nie wie, co komu pisane. Większe znaczenie ma, z jakiej człowiek pochodzi rodziny i co potrafi. Wierzyła kuzynowi, bo ten miał dobrą rękę i był Jasiowi przychylny. Nigdy nie wyswata jej syna z kimś nieodpowiednim.

– Jeżeli chcecie, Józefo – zadeklarował już w zeszłym roku – żeby wasz syn się dobrze ożenił, to mam dla niego dziewczynę. To Weronka od Dąbków. Dąbkowie mają dwie córki i dwóch dorosłych synów – wyjaśnił. – Starsza jak kwiat, szykują ją za męża. Rozmawiałem już z nimi w tej sprawie, a teraz od was zależy, czy pójdziemy w swaty.

– A ci Dąbkowie to kto? – zapytała Józefa, czując, że miękną jej nogi z przejęcia.

– To spokojna rodzina. Dziewczyny są ładne, zdrowe i robotne, chociaż nie bardzo bogate. Józef Dąbek jest we wsi sołtysiem, znają go i szanują. Córka będzie w sam raz na żonę. Prosta jak struna, radosna, aż miło patrzeć.

Spodobał się jej pomysł kuzyna. Tych Dąbków znała już trochę. Dużo dobrego słyszała o gruszczyńskim sołtysie. Chwalili go za rozwagę. Miło by mieć sołtysa w rodzinie, a i Jasiowi łatwiej będzie żyć, mając obok siebie doświadczonego teścia. Miotał się chłopak z kłopotami, sierota od młodych lat. Musiał się nauczyć fachu i szybko dorośleć. Nie chce kobiety, bo jeszcze nie wie, że jest potrzebna jak w źródle woda. Woli na razie za towarzysza mieć psa, wałęsać się nocami i marzyć przy księżycu, niż wiązać się z drugim człowiekiem. Powiedział jej kiedyś, że lepiej żyć samemu. Nie trzeba później płakać, kiedy umierają bliscy. Zapytał też, po co jej było to życie, skoro prawie wszystkich straciła. Tyle męki, pracy, tyle trudu, a teraz w pustej izbie płacze wieczorami. Byłaby sobie sama i żyła jak pani przy ojcu.

– Ale wtedy bym ciebie, Jasiu, nie miała. Może ten cały trud był tylko po to, żebyśmy razem zostali. Kto wie, co by się ze mną działo. Widać taki los był mi pisany. Każdy ma swój i nie ucieknie od niego – powiedziała ze smutkiem.

Minął rok, przelało się wiele słów i teraz siedzieli przy stole, rozmawiając o dalszych planach. Jan ze spokojem przyjął matczyny wybór i obiecał pojechać w swaty.

– Myślicie, że Dąbkówna jest moim losem? – Podrapał się po zaroście. Nie golił się kilka dni, chyba ze zgryzoty. – Kto wie, jak będzie, może panna wcale nie taka ładna, jak mi obiecują – drażnił się z matką.

– Coś mi się, Jasiu, wydaje, że ona jest ci pisana. Jak o niej usłyszałam, to mi się zrobiło ciepło na sercu, uwierz matczynym przeczuciom, bo one się nie mylą.

– A jeśli to nie jest kobieta dla mnie, mam się żenić na siłę?

– Od pierwszego dnia ją wychowasz, nauczysz, że twoje słowo liczy się pierwsze i że musi być mężowi posłuszna. Pokorna żona da ci z pewnością szczęście – tłumaczyła synowi.

Jaś zaraz przypomniał sobie, jak to u nich bywało, i chciało mu się śmiać. Ileż to razy matka ustawiała ojca i zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć, ona decydowała i wydawała rozkazy. Potrafiła na czas dopilnować wszystkiego i o wszystkim pamiętać. Gdy ojciec wracał do domu, nie musiał się martwić o dzieci ani o zwierzęta. Dlatego gospodarstwo nieźle funkcjonowało. Matka jeszcze teraz trzymała wszystko twardą ręką.

Ech, kobiety – pomyślał Jan i przeżegnał się przestraszony.

Kielce, czerwiec, rok 2006

Pamiętna podróż do Kielc była jak powtórka z życia. Oszołomiona spotkaniem z duchami, w miejscu, w którym narodził się mój prywatny wszechświat, pojęłam w jednej chwili, jak sprytnie przeszłość potrafi przenikać do teraźniejszości. Wizyta w Krasocinie, nagły podarunek od losu, zupełnie odmieniła znaczenie tamtej podróży. Po prostu cud, żeby przypadkiem, a do tego bosko, stanąć na ulicy Floriańskiej 7, w miejscu, w którym mój dziadek, ojciec mojego taty, zbudował swój pierwszy dom i założył rodzinę.

Po domu zostało tylko puste miejsce i jaskrawozielony trawnik. Ani śladu dawnych mieszkańców. Niechby choć jedna cegła, resztki muru czy studni, kilka desek, ślady fundamentu, cokolwiek. Cóż, pobożne życzenie osoby, która wcześniej niewiele myślała o swoich korzeniach. A więc trzeba zobaczyć i dotknąć, byle wzrokiem, żeby poczuć nagłą tęsknotę i wierzyć, że być może tli się tam jeszcze ciepło domowego ogniska i krążą nad trawą duchy tamtych ludzi?

Hotel przy ulicy Warszawskiej w Kielcach robił dobre wrażenie. Często korzystałam z tej sieci hoteli. W recepcji czekał już pracownik warsztatu. Przywiózł auto, rachunek za naprawę i za transport. Zapłaciłam pełną skruchy i wdzięczności, że może z ludźmi nie jest tak źle, jak myślałam. Samochód stał zaparkowany na tyłach hotelu. Wyjęłam z niego bagaże i wjechałam windą na piętro. W pokoju zostałam zaledwie kilka minut, żeby się przebrać i trochę odświeżyć. Kielce to miasto, które widziałam dość dawno, więc chciałam je ujrzeć po latach, dla porównania, a przy okazji coś zjeść przed spotkaniem.

Ulicą Warszawską, ładną i zadbaną, doszłam do samego rynku, a dalej aż pod Wzgórze Zamkowe. Spory kompleks dawnej zabudowy, ładne tereny zielone, kwiaty w ozdobnym kobiercu. To wszystko robiło wrażenie. Wracałam drugą stroną, zaglądając na plac Konstytucji. Był w trakcie remontu. Zapatrzyłam się na śliczne zaułki, urocze, wąskie ulice. Mnóstwo sklepów, sporo spacerujących po plantach ludzi. W końcu zapomniałam o głodzie.

Skończyło się na barze z chińszczyzną.

Już dawno minęła czternasta. Agnieszka miała spory poślizg, więcej niż studencki kwadrans. Kelnerka zdążyła przynieść kawę i zamówione ciastko – sernik z wisienką zalaną czekoladowym sosem. W zasadzie nie czułam głodu, ciastko było jedynie kaprysem, czymś, czym mogłam wypełnić chwilę

oczekiwania i zająć ręce. Nie było nawet smaczne, po prostu słodkie. Jadłam powoli, myśląc o Agnieszce i naszym dzisiejszym spotkaniu. A także o sprawie, z którą przyjechałam. Agnieszkę znałam od dawna, lecz nasze drogi rozeszły się w pewnym momencie i kontakt się urwał. Po latach wpadłyśmy na siebie przypadkiem, nie pamiętałam nawet okoliczności, zdaje się, że to było wczesną wiosną w Karpaczu, w marcu lub z początkiem kwietnia. Później znajomość odżyła w korespondencji mejlowej, niezbyt częstej, raczej okazjonalnej, i trwała do dziś. Agnieszka mieszkała kiedyś w Poznaniu, na tym samym osiedlu co ja. Po maturze wyjechała z miasta, nie wiedziałam kiedy. Po prostu zniknęła, podobnie jak inni znajomi, którzy rozpiechli się po kraju bez śladu. Dzisiaj wiem, że tak bywa, że nic nie trwa wiecznie. Ale wtedy trudno mi było zrozumieć, dlaczego większość z nas, choć byliśmy przecież zżyci, rozplynęła się w jednej chwili, jakby czas szkoły, młodzieńczych miłości i podwórkowych przyjaźni nic w naszym życiu nie znaczył. Dopiero później, pocztą pantoflową, docierały do mnie wieści z różnych stron Polski, a gdy granice kraju przestały być chińskim murem, kilkoro odezwało się zza drugiej strony kurtyny.

Agnieszka wysyłała mi zdjęcia z rodzinnych świąt, z wystrzałowych wakacji, z maratonów, w których od czasu do czasu brała udział. Wzbudzała mój podziw, a nawet zazdrość. Należałam do fotelowców, relaksowałam się czytaniem książek, tylko czasem, bardziej towarzysko niż sportowo jeździłam na rowerze. Ja też wysyłałam jej fotki. Oczywiście chwaliłam się dziećmi, to mój najdłuższy maraton ze złotym medalem na mecie, a później wnukami, urodziwym i oczywiście najmądrzejszym na świecie efektem ubocznym biegu. Tak więc zdjęcia krążyły w przestrzeni między Kielcami a Poznaniem. Dlatego byłam pewna, że rozpoznam Agnieszkę od razu. A jednak gdy stanęła w drzwiach kawiarni, niemal ją przegapiłam. Ona miała podobnie. Skonsternowana i niepewna lustrowała twarz na sali. Skrzyżowałyśmy w końcu spojrzenia i wtedy było jasne, że ona to ona, a ja to ja. Krótką przestrzeń od drzwi do stolika pokonała zgrabnie w kilka sekund. Pod pachą zaciskała wąską kopertówkę w kolorze cienkiego sweterka, w który była ubrana.

– Przepraszam – już od drzwi próbowała się kajać. – Podwiózł mnie znajomy, jestem bez samochodu. Pechowa awaria – wyjaśniła z absolutnym spokojem, tak jakbyśmy się niedawno widziały. Czułam jednak, że jest speszona, chociaż bardzo chciała to ukryć.

– Mogłaś po prostu zadzwonić – stwierdziłam na powitanie, myśląc, że ja również z powodu niesprawności auta przesunęłam spotkanie. Mimo to byłam zła, bo zwykle uprzedzam telefonicznie, kiedy wiem, że gdzieś nie zdążę. Agnieszka w odpowiedzi rzuciła się w moje ramiona, celebrując przesadnie powitanie.

– Chodzę na basen, mam problemy z kręgosłupem – wyjaśniła przepaszająco. Wyglądała dobrze, choć trochę inaczej. Kiedyś się nie malowała, uważała, że natura sama wie, jak ukształtować rysy, i nie powinno się tego poprawiać. Teraz miała na twarzy delikatny makijaż i grube okulary na nosie. Była wciąż ładna i całkiem świeża, jak na swoje lata oczywiście. Pamiętałam, że świetnie pływała, jeździła na Chwiałkowskiego, na jedyny w czasach naszej młodości kryty basen w Poznaniu. Miała też ładne dłonie, kiedyś i teraz, mimo wieku. Składała je i rozkładała, jakby chciała się nimi pochwalić, widocznie zdawała sobie sprawę, że zwraca nimi uwagę. Moje palce, pogrubiałe w stawach, nieco wykoślawione, nadawały się raczej do czasów, w których kobiety ukrywały je w rękawiczkach.

– Zagapiłam się, nie noszę zegarka, a komórkę zostawiłam w szatni – mówiła bez zbędnej skruchy. – Gdybyś wczoraj niespodziewanie nie zmieniła planów... – dodała z jednoznacznym uśmiechem. – Miałam zarezerwowany czas.

– Nie ma sprawy. Nie wszystko da się przewidzieć – stwierdziłam z wahaniem. Udało się jej wzbudzić we mnie poczucie winy, więc szybko zmieniłam temat.

– No właśnie. – Uśmiech ulgi rozświetlił jej twarz. – Cała ty – podsumowała. – Zawsze byłaś trochę

zwariowana, taki klasowy oryginał z fantazją. Zazdrościłam ci tego luzu – powiedziała niemal życzliwie.

– Chyba nie było tak źle – sama aż zwątpiłam. Wydawałam się sobie w szkole dość nudna i tuzinkowa. W każdym razie żaden tam oryginał, raczej średnia krajowa.

– W granicach rozsądku – szybko poprawiła. – Zresztą to stare dzieje, wiadomo, zmieniamy się, dawna ja i tamta ty, to przeszłość. Najważniejsze, że jesteś, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę. Po twoim telefonie kilka dni próbowałam odświeżać pamięć. Wystarczy dobrze poszperać, a wspomnienia wracają jak żywe. Niestety, nie wszystkie są dla mnie przyjemne. – Zrobiła dziwną minę, a ja znowu poczułam się winna. Próbowałam sobie przypomnieć, co może mieć na myśli. Nic istotnego nie przychodziło mi jednak do głowy, poza tym, że skłonność Agnieszki do szukania odpowiedzialnego za każde niepowodzenie zdawała mi się znajoma.

– Daj spokój, Agnieszko, cokolwiek to było. Ile lat, czterdzieści czy więcej? Nawet nie próbuj mi przypominać. Zamów coś lepiej. Jesteś dzisiaj moim gościem – przypomniałam.

Zamówiła koktajl z limonki z awokado, a do tego zieloną herbatę jaśminową. Jeszcze przez chwilę bardzo się starała, sztywna i sztuczna jak krochmalony kołnierzyk. Podniosła wieko czajniczka i cierpliwie moczyła herbacianą torebkę, to unosząc ją, to opuszczając. Zapach jaśminu, który wywołał na jej twarzy błogi uśmiech, mnie nieco zemdlił. Ale pomyślałam, że to raczej wina ciastka niż jaśminowej herbaty.

Kilka minut zajęło nam sprawozdanie z bieżących spraw. Kto, co i dlaczego. Jak dzieci, jak nasze małżeństwa, co porabiamy. Pewnie była to wersja skrócona, na specjalne okazje, w końcu ja też nie byłam szczerą. Tym bardziej że czas mijał i musiałam się spieszyć. Gdy rozmowa zaczęła zataczać niebezpiecznie odległe kręgi, próbowałam się jakoś ratować.

– Słuchaj, Agnieszko – powiedziałam już bez pardonu, odsuwając brudny talerzyk i pustą filiżankę po kawie. Zdmuchnęłam okruchy sernika, zerkając ukradkiem, czy nikt mnie nie obserwuje. Następnie wyjęłam z torebki lekko pomiętą kartkę. Woziłam ją kilka miesięcy, miała prawo wyglądać nieświeżo. – Mam prośbę – przesłam w końcu do rzeczy. – Nie chciałam, żeby nasze spotkanie wyglądało na interesowne, jednak w żaden sposób nie dało się tego uniknąć. Tak już niestety bywa. Czas spotkań dla samych spotkań, to już naprawdę rzadkość. Cudownie jest tak rozmawiać, poczuć, jak cofa się czas, a nam ubywa lat, już dawno tak mi się dobrze nie rozmawiało jak dzisiaj, jednak przyznam bez bicia, że mam też do ciebie interes.

– No właśnie, wspominałaś przecież, a właściwie pisałaś w mejlu – przypomniła mi ostatnią wiadomość, którą wysłałam do niej przed wyjazdem. – A więc z czym jeszcze przyjechałaś? Bo my tu rzeczywiście, gadu-gadu, a czas nieubłagalnie płynie. – Mówiąc to, wyjęła z kopertówki telefon komórkowy i odpisała w kilku słowach na dwa esemesy, które przysły do niej w czasie naszej rozmowy.

– W gruncie rzeczy – przesłam szybko do sprawy – prośba, z powodu której chciałam się z tobą zobaczyć, nie dotyczy mnie osobiście, tylko mojej znajomej. Jakiś czas temu obiecałam, że pomogę jej wyjaśnić pewną starą historię. Ślad w tej historii prowadzi prosto do Kielc. – Mówiłam bardzo wolno, żeby dać sobie czas na taki dobór słów, który pozwoli wszystko wyłuszczyć, ale nie odkryje zbyt wielu szczegółów. Nie wiedziałam, na ile swobody w rozmowie mogę sobie pozwolić. – Korzystając z okazji, że jestem w Kielcach, a do tego mam w Kielcach ciebie, Agnieszko – podkreśliłam dosadnie – mam wielką prośbę. – Odruchowo spojrzałam na kartkę.

– Coś ci załatwić? – odezwała się, czując, że brakuje mi słów. – Śmiało, jeśli to nie przekracza moich możliwości, to chętnie pomogę. Mam w Kielcach wielu znajomych.

– Och, dziękuję, chyba rzeczywiście znajomi mogą się przydać. – Nabrałam głębiej powietrza. – Jakiś rok temu poznałam kobietę, która nie mieszka w Polsce, ale jest Polką. Ta kobieta szuka w Kielcach swoich polskich korzeni. To sprawa wyłącznie sercowa i sentymentalna – wyjaśniłam na wszelki

wypadek. – Jakaś stara miłość, potem rozstanie, teraz powrót do źródła. Bohaterowie tej historii niestety nie żyją, więc sprawa nie będzie prosta.

– No tak, ale skoro nie żyją... – Agnieszka od razu zwątpiła w cel poszukiwań. – Zatem czego oczekujesz ode mnie? – zapytała zdziwiona.

– Jej chodzi tylko o to, żeby sprawdzić, a raczej odnaleźć pewną osobę, a właściwie poznać jej losy od momentu, gdy się widziała po raz ostatni z jej matką. Chodzi oczywiście o mężczyznę.

– Wojenna miłość? – spytała Agnieszka. Widać było, że jest ciekawa. Wydawało mi się, że widzę na jej twarzy rumieńce.

– Kochali się, a po wojnie zgubili. Kobieta jakoś nie miała odwagi pierwsza się odezwać, wiadomo, ambicja, dawne konwenanse itd. Teraz córka szuka wyjaśnień i śladów tamtego uczucia.

– Czy to nie sprawy spadkowe? – zapytała na wszelki wypadek. – Nie chciałabym pośredniczyć w rodzinnych niesnaskach. Kielce to duże miasto, ale jeśli chodzi o plotki, o! Te się szybko rozchodzą – zapewniła mnie ostrzegawczo.

– Daj spokój, ja też nie bawię się w coś takiego. Rodzinne kłótnie, brr – zapewniałam.

– Więc co? – spytała.

– Tylko sentymenty, listy z przeszłości, tęsknoty za umarłym światem, i tyle – dodałam pewnym głosem. Nie chciałam przecież zbytnio nalegać ani bagatelizować prośby, którą ją obarczałam.

Agnieszka czekała, aż skończę. Wzięła ode mnie kartkę i z uwagą przeczytała nazwisko.

– Wiktor Kasztelan, ulica Zimna cztery.

– Tam kiedyś była wieś albo peryferie Kielc – próbowałam pomóc. – Ten Wiktor Kasztelan pracował, zdaje się, na kolei. Więc pewnie w pobliżu dworca. Aha, i jeszcze to – coś sobie przypomniałam. Odwróciłam kartkę, na drugiej stronie był jeszcze krótki dopisek. – W pobliżu Karczówki – przeczytałam wyraźnie i głośno.

– A, Karczówka, już wiem, to bardziej na wschód – stwierdziła z ochotą. – Ładne miejsce, już prawie za miastem. Przy ulicy Zimnej jest szkoła, teraz kojarzę, kilka domów, uliczka jest ślepa – wahała się. – Tak, przypominam ją sobie, taki przesmyk od głównej, Karczówkowskiej. Myślę, że nie będzie problemów, żeby znaleźć numer czwarty, domów jest tam niewiele. Właściwie mogłybyśmy pojechać razem. Wzięłybyśmy taksówkę – zaproponowała z chęcią.

Zbliżała się szesnasta. Do wieczoru autorskiego została tylko godzina.

– Nie dam rady, Agnieszko, za godzinę muszę być w bibliotece. Ale to nic pilnego, naprawdę – próbowałam ją wyhamować i zgasić nadmierny entuzjazm. Chciałam się raczej wyręczyć i odfajkować zobowiązanie, z którym jeździłam od roku. Myśl, że mam chodzić po domach i pytać, nie była kusząca. A ona, kobieta tutejsza, robi to dużo lepiej.

– Będzie mi trochę niezręcznie. Nawet nie wiem, o co mam pytać – wzruszyła ramionami.

– Agnieszko, nic więcej, tylko spróbuj się dowiedzieć, czy przy Zimnej cztery mieszkał po wojnie Wiktor Kasztelan. A może w domu obok, a jak nie, to popytaj w dyrekcji kieleckiej kolei, może masz tam kogoś, jakieś dojście. Nie pali się, zrobisz to w wolnej chwili. Tyle miesięcy wożę już tę kartkę, że jeden więcej nie robi różnicy.

– Coś chyba wymyślę – zawahała się zakłopotana. – Sąsiad z ulicy, wprawdzie już emeryt, przez wiele lat był księgowym na kolei. Może on poradzi, jak to załatwić.

– Nic na siłę – próbowałam załagodzić sytuację. Wrabiałam ją i ona to czuła. – Wystarczy mi informacja, czy był ktoś taki. Jeśli był, dalej sama będę działać.

Zgodziła się w końcu, a ja wyłgałam się wyjazdem i terminami. Faktycznie jutro powinnam wracać do domu, ale mogłabym pojechać nieco później, niekoniecznie o świcie.

– Przyjdiesz na moje spotkanie? – zapytałam wyłącznie z grzeczności. – W miejskiej bibliotece

o siedemnastej?

– Niestety, nie mogę. Tak mi przykro, kochana – powiedziała słodko. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz?

– Daj spokój, to nic ciekawego, nudziłabyś się – uspokajałam. – Przecież wiesz o mnie prawie wszystko – dodałam z tą samą słodyczą. Byłam przyzwyczajona, że znajomi zazwyczaj nie bywali na moich wieczorach autorskich.

Rozmowy przed domem

Krasocin, rok 1908

– Dopóki panna pod okiem, chłopcy są spokojne, kiedy znajdzie swojego, wtedy we wsi robi się popłoch, każdy chce brać ją za żonę, nawet taki, co jej wcześniej nie zauważał – powtarzał zirytowany swat. Stękał, że buty zadcpcze, zanim się czegoś doczeka. – Już mi wstyd do Gruszczyzna chodzić – zagadywał Józefę.

– Ja tu nic nie mogę, a zmuszać nikogo nie będę – tłumaczyła się równie bojowo. – Suszę mu głowę od roku, to ucieka przede mną.

Swat siedział na stołku pod lipą, a ona sprzątała podwórze.

– Upartego masz syna, kuzynko – niemal do niej krzyczał.

– E tam, uparty nie jest, tylko wie, czego chce, i tyle.

– Szkoda byłoby wypuścić takiego gołąbka. Dąbkówna w sam raz dla niego – mówił coraz głośniej. Przyjeżdżał niemal codziennie i miał już dość zabiegów. – Powiedz mu, że nie ma przymusu, ale ociągając się nie wypada. W końcu dziewczyna wybierze innego.

– Nigdy się do dziewcząt nie pchał, tylko praca i praca. Co zrobisz, kiedy on robotę kocha najbardziej. Szczepan, jego dziadek, był taki sam, ponoć siłą go do kościoła ciągnęli. Jeszcze tydzień po ślubie do domu nie wracał, żony nie chciał widzieć – Józefa wspominała teścia. – Może Jasiek do dziadka podobny – przestała na chwilę zamiatać. Już nie miała pewności, czy to złość tak ją męczy, czy na starość słabnie.

– Szczepan żył w innych czasach. Młodzi teraz myślą inaczej.

– Ale Jasiek przez Szczepana chowany, to może jego krew, przez zasiedzenie – próbowała dociekać przyczyn.

– Przez Szczepana, a to dlaczego?

– Dziadkowie go wzięli do siebie, jak nam było ciężko.

– Niedobrze, jak stary chowa młodego – przerwał swat Józefie.

– Chłopcu się podobało. Miał jak u Pana Boga za piecem. Babcia mu dogadzała, a dziadek traktował jak dorosłego. Do szkoły carskiej posłał. Dzięki temu teraz dobrze czyta i pisze, a i liczyć niezle potrafi. Czyta mi na głos gazety, to wiem, że głupi nie jest. Szczepan powiedział, że jest pojętny, że trzeba uczyć chłopaka.

– Widać miał nosa. Wychował godnego następcę – szybko zmienił zdanie.

– Tak, tak – przytaknęła skwapliwie. – Marny mój los bez niego.

– Może nie warto się spieszyć, kuzynko – zauważył niespodziewanie. – Ożeni się, to i zupę będzie chciał inną niż twoja. Żona ma swoje zalety, da i jeść, i co innego.

Józefa zamilkła. Przysiadła obok swata i pomyślała, że chłop ma chyba rację. Pcha Jasia do tej żeniaczki, może na swoją zgubę? Trochę się przestraszyła.

– Znajdź tu mądrego, jak każdy mówi inaczej. Już chyba dam spokój z Jaśkowym ożenkiem – nagle zmieniła zdanie. – Nie będę się wtrącać, niech robi, co chce, żeby mi potem głowy nie suszył, że jest

nieszczęśliwy – stwierdziła niespodziewanie.

– Co racja, to racja. – Swat podkręcił wąsa. – Ale stary kawaler gorszy jak synowa – znowu zmienił zdanie. – Zacznie pić, hulać, wieczorami chodzić do karczmy, to i ziemię może w końcu przepić.

– E... Straszycie, kumie. – Machnęła ręką. – On nie z tych, co do gorzałki ciągną. Nigdy nie był pijący – stwierdziła pewna swego. – Czasami warto przypić do człowieka, interes przy tym zrobić. Ale on jak niedzisiejszy. Po trzeźwemu wszystko załatwia.

– Ano, czasami bez gorzałki żyć się nie da, to fakt, ani gospodarzyć – swat potwierdził z ochotą.

Słońce już weszło wysoko, grzejąc niemiłosiernie. Czapka swata zrobiła się mokra od potu, zdjął ją i wachlował się dla ochłody.

– Przyniosę coś do picia, zgrzałam się, a i tobie trzeba coś spożyć przed drogą – powiedziała do niego po chwili.

Wypili po kubku zakwasu, a swat poprawił to gęstą śmietaną. Koń stojący w zaprzęgu nerwowo szarpał uzdę.

– Pora mi, czas wracać. Jak koń grzebie kopytem w darni, to się spieszy do stajni – zażartował, zegnając się w prog. – Wpadnę za kilka dni. Zobaczę, jak sprawy stoją. A Jasiek kiedy wróci? – zapytał na wszelki wypadek. Miał nadzieję, że go tu jeszcze spotka.

– Poniedziałek przecie. Do Włoszczowy na targ pojechał, żeby sprzedać masło i sery. Narobiłam ich, a trzymać latem ryzyko. Kraśka nasza jest mleczna, dla nas wystarczy. Gdyby tak były dzieci... – Smętnie pokiwała głową.

Swat jeszcze postać chwilkę. Dziwnie się kręcił i coś zagajał o serze.

– A może wy, kumie, chcecie? – zreflektowała się szybko. – Została mi jeszcze osełka masła i duża gomółka sera.

– Co nie mam chcieć. – Swat przystał z ochotą, udając zakłopotanie. – Mówią, że wasze sery najlepsze w okolicy – pochwalił Józefę.

– Cudzych nie próbowałam, to nie wiem. Mnie i Jaśkowi smakują, sprzedają się szybko na targu, to pewnie nie są złe – dodała skromnie. – Idźcie zawrócić konia, a ja w tym czasie pójdę po ser do izby.

Rozstali się chwilę potem. Józefa pełna rozterek, a swat kontent, że chociaż z podarkiem wróci do domu. Bał się, że świeże masło roztopi się na słońcu, przykrył je słomą i popędził konia. Pogoniły go gęsi sąsiada, które się pasły pod płotem. Gąsior jeszcze frunął za wozem, a huk rozłożystych skrzydeł i krzyk wzburzonego ptaka unosił się długo w powietrzu.

Jan w tym czasie był już w drodze powrotnej. Co zabrał na targ, to sprzedał. Za część pieniędzy kupił matce sól i cukier, resztę dokładnie przeliczył. Kupi jeszcze dwa nowe sierpy u Siuta, miejscowego kowala, woreczek machorki i trochę bibułki. W sklepie z tytoniem zobaczył Maćka, znajomego, który mieszkał w Gruszczyńcu. Wziął go na bok, żeby wypytać o pannę, którą mu matka stręczyła.

Maciek aż zdębiał, słysząc, o kogo chodzi.

– Dąbek, ten sołtys z Gruszczyńca? – zdziwił się niewiedzy Jana. – Tośmy obaj rok temu obok nich stali w kościele.

– Kto? – Jasiek nie rozumiał.

– Ja z tobą – powtórzył, patrząc mu prosto w oczy. – W kościele, piątego maja – dodał zaskoczony. – Szliśmy do Czarnicy o świcie, prawie cała parafia. One z matką i ojcem szły przodem, my zaraz za nimi. Starsza, Weronika, pamiętasz, szturchałem cię palcem, cały czas na ciebie zerkała. Młodsza, Aniela, szła bliżej matki. W drodze powrotnej jechałeś na wozie Dąbka, a ja z sąsiadem zaraz za wami.

Jaś jakby dostał obuchem. Nie znalazł w sobie tych wspomnień. A Maciek, wiejski moczymorda, mało kto brał go poważnie, o wszystkim pamiętał. Mówili ludzie, że wódka rozum wypłukuje, więc może zmyśla?

Jan doskonale pamiętał ten świt majowy, a jakże. Kilka miesięcy przygotowań. Ksiądz Urbański pilnował porządku, co do godziny wszystkiego dopatrywał. I szycia białych sukman do konnego orszaku, i odświętnych strojów dla chłopów. Pierwsza szła wiejska orkiestra i straż konna. Dowodzili nią Ziętał i Simlat. Sztandary w pochodzie i ludzie w barwnych strojach. Szli z Krasocina do Czarncy. Szli z Kozłowa, z Borowca, z innych włoszczowskich parafii do kościoła Świętego Floriana, w którym pochowany był Stefan Czarniecki, poświęcić mu epitafium z wdzięczności za wielkie czyny.

Zima tamtego roku długo trzymała i maj też był zimny. Drzewa gołe, słońce tylko od czasu do czasu ogrzewało zgrabiące dłonie. Jan niósł chorągiew i zmarł po drodze. Gdy uroczysty pochód wkroczył na dziedziniec dworu w Czarncy, był na wskroś przemarznięty.

Stał potem w wielkim tłumie. Na przedzie transparent z polskim orłem, za nimi mrowie ludzi, księża, zakonnicy, goście z Warszawy, z Kielc i z Częstochowy. Kazanie wygłosił ksiądz Bogucki. Nawiązał do polskiej historii, przypominał o bohaterach, w szczególności o hetmanie Czarnieckim, dziecku ich rodzinnej ziemi.

Ołtarz stał przed cmentarzem na otwartym terenie. Była taka cisza, że nawet dzieci bały się płakać. Jan wszystko widział – jak później na placu miejskim, pod lipami, które jeszcze sadził Czarniecki, odczytano list od Henryka Sienkiewicza i przemawiał poseł Potocki, śpiewano *Boże, coś Polskę* i inne znane pieśni. Orkiestra z Krasocina mocno przygrywała wyćwiczone kawałki.

Tylko jej nie pamięta ani troszkę. Przed i za sobą widział tylko morze ludzkich głów i wielkie wzruszenie na placu, święto Polaków w zniewolonej przez wroga ojczyźnie.

Maciek wyciągnął skręta i podał Jasiowi.

– Widzę, żeś dzisiaj nieskory do rozmów – powiedział zaczepnie. – A wiesz chociaż, o którą pannę chodzi?

– Chyba o starszą – odpowiedział Jasiek. – Matka mówiła, że jest w moim wieku – dodał trochę zmieszany.

– Oj, żałuj, chłopie – zaśmiał się Maciek, przyglądając się Jasiowi z uwagą. – Ale widzę, że minę masz marną, pewnie nie chcesz się żenić – dodał ze współczuciem. – Mnie też do kobiety niespieszno. Dobrze samemu, do tańca zawsze się znajdzie chętna, a w chałupie wolę mieć spokój. – Zauważył kwaśną minę Jasia i aż przykucnął ze śmiechu.

– To córki sołtysa – dodał po chwili. – Są krótko trzymane, ojciec nie dopuszcza do nich byle kogo. Czeka na dobrą partię. – Cicho zarechotał. – Żebyś ty, Jasiu, czarnej polewki nie dostał przypadkiem. – Wyszczerył poczerwiałe zęby. – Już niejeden był spod drzwi odesłany. Może i ciebie odeśle. Lepiej sobie innej poszukaj, co sama za tobą pobiegnie.

– Już niektóre biegają – odciął się Jan bez obiekcji. Nie do kpin mu było, chciał się tylko zapytać o pannę. – Te, co biegają, biegają za każdym – powiedział ostro. – Skoro trzeba, to stanę w szranki z innymi z Gruszczyna – próbował przygadać koledze, który z pewnością nie miałby szans u sołtysa, a cóż dopiero u panny. – Pytam dla porządku. Nie lubię niespodzianek. Twierdzisz, że ładne, to mi pasuje, że ojciec pilnuje i krótko trzymane, to jeszcze lepiej – dodał na koniec. – Pójdę już – poklepał Maćka po plecach – trochę się spieszę, ale dziękuję za rady.

– Niedługo będą dożynki w Gruszczynie i zabawa w karczmie – rzekł Maciek na koniec. – Bez sołtysa się nie obędzie, to i córki sołtysa przyjdą. Wybierz się, sam zobaczysz. Będę na ciebie czekał. Coś sobie w końcu wybierzesz. Jak nie jedna, to druga, a może wypatrzysz sobie inną gruszczyniankę.

Jan wracał do domu, poganiając konia. Próbował bez skutku odświeżyć wspomnienia, przecież był

w samym centrum majowych wydarzeń w 1907 roku. Kiedy dwa lata wcześniej ksiądz Urbański zakładał orkiestrę, o mały włos grałby w niej na trąbce. Ksiądz mu obiecał instrument i nauczyciela. Szczerze zachęcał, tłumacząc, że każda umiejętność na coś się w życiu przyda. Jan początkowo podchwycił pomysł. Będzie grał i jeździł z orkiestrą, pozna różne miejsca i ludzi. Propozycja księdza była wyróżnieniem, jednak zrezygnował. Ziemia wybrała za niego. Na naukę grania brakowało Jaśkowi czasu. Brakowało też ojca lub starszego rodzeństwa, kogoś, z kimś mógłby dzielić się obowiązkami. Bał się, że nie podoła jednemu i drugiemu, a robić byle jak? Tego Kuśmierczyk nie miał raczej w zwyczaju.

W końcu nie żałował. Skupił się głównie na tym, co mu dawało pewność jutra i wewnętrzny spokój. Matka nie chciała nawet słyszeć o graniu. Nie pomogło wstawiennictwo proboszcza ani jego świętość. Józefa nie chciała w domu grajka.

Słyszał od czasu do czasu, jak orkiestra wytrwale trenuje. Dostojne marsze i skoczne poleczki wpadały raźnie do ucha albo pieśni kościelne wygrywane z wielką radością przez krasocińskich kolegów.

Ksiądz Urbański nie prowadził orkiestry, tylko jej sekundował, wspomagając czasem finansowo. Dodatkowo piastował stanowisko prezesa Koła Polskiej Macierzy Szkolnej. Miał wielkie ambicje i zapał, a także uznanie w parafii.

Z jego inicjatywy i ze składek miejscowej ludności zakupiono dziewiętnaście instrumentów: cztery kornety, trzy klarnety, dwa tenory, jeden puzon, dwa barytony, cztery alty, jeden bas C, jeden bas F, jeden bardzo duży bęben. Potem Adam Nowakowski, organista kościelny, rodem z Pacanowa, za własne pieniądze kupował partytury i uczył bezpłatnie muzyki. I grali latem ku radości calutkiej wsi, i szły co roku pielgrzymki na Jasną Górę z orkiestrą na przedzie, i grali przy byle okazji z pełnym poświęceniem, szlifowali teksty, próbowali nowe kawałki. Gdy w maju 1907 roku w drodze do Czarncy orkiestra prowadziła pochód w specjalnie uszytych strojach, w długich lnianych sukmanach z czerwonymi wyłogami, z pasem ozdobnym, w czerwonych rogatywkach obszytych barankiem, z pawimi piórami, Jaś był trochę zazdrosny. Szli z pieśniami na ustach, a Krasocin prężył się z dumy.

Ale teraz myślał tylko o dziewczynie. Orkiestra żyła swoim muzykalnym życiem, za to on ze swoim szarpał się bezsilnie. Wieczorem miał być we dworze w Lutni u dziedzica Piotrowskiego, więc trochę się spieszył. Droga, jak w dzień targowy, pełna była wozów i pieszych, a on z głową zaprzątniętą myślami musiał uważać, żeby nie zjechać do rowu. Był zły na siebie, wybrał złego doradcę. Że to akurat Maciek napatoczył się tego dnia pod sklepem. Przestrzegał go przed sołtysem i że niewart jest starszej Dąbkówny. A co to, on jest z nie gorszej rodziny. Ojciec matki był kiedyś wójtem. Oni też byli srogo chowani. Praca i modlitwa, a nakazane posty ściśle przestrzegane. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby się z tego wyłamać. W czasie postu Jan nie śmiał napić się mleka i czasem pracował z pustym żołądkiem. W Wielkim Tygodniu nie pili nawet serwatki, jedli chleb z ogórkiem lub z kwasem chlebowym, a na obiad wodziankę – chleb zalewany wrzątkiem.

Kościół w Krasocinie pod wezwaniem Świętej Doroty i Tekli znany był w okolicy. Nie każda wieś mogła się takim poszczycić. Ufundowali go w 1856 roku dawni dziedzice, Stojowscy. Poprzedni kościół był modrzewiowy. Stał cztery wieki, jak na drewno to było za długo, piątego już nie wytrzymał. Trzeba było budować nowy. Ludzie nawet chcieli przenieść go do Gruszczyna. Na szczęście Krasocin miał dobrą dziedziczkę. Karolina, żona dziedzica Stojowskiego, poprosiła męża o hojność, i niebawem na miejscu starego wyrósł nowy kościół z kamienia i cegły, z dachem pokrytym gontem.

Jan szanował proboszcza i podziwiał za stosunek do wiernych. Ksiądz nie tylko pilnował porządku, przede wszystkim dbał o kształcenie dzieci. Księża z przyległych parafii, którzy twierdzili, że im chłop

głupszy, ciemniejszy, tym bardziej pobożny, nie znaleźli u niego uznania. Niektórzy nawet brud wychwalali, twierdząc, że człowiek czysty na duchu i bez mycia czysty będzie. Jeszcze niedawno ludziska z kołtunami na głowach chodzili dumni, że ciało to nic, skoro dusza jak kryształ przejrzysta. Urbański tępił podobną ciemnotę i uczył ludzi higieny.

Niestety narażał się przez to władzy. Prawił polityczne kazania i w całym włoszczowskim powiecie mówiło się o nich. A potem słowa przekładał na czyny, bo nie był gołosłowny. Zapraszał więc do siebie mądrych ludzi, patriotów, pisarzy, inżynierów, i organizował w kościele odczyty. W końcu założył kółko rolnicze i spółdzielnię oszczędnościowo-pożyczkową na wzór zakładanych przez Stefczyka. Aż się o niego czasami martwili. Ostrzegali przed carskimi, że go ześlą na wygnanie. Ale on nic sobie z tych przestróg nie robił. Prowadził z chętnymi polityczne dysputy i uczył gospodarować. Zwoził z daleka nowinki, namawiał do używania nawozów, kupował je i rozdawał rolnikom. Jan na tym zawsze skorzystał. Raz dostał od księdza nawóz, tomasówkę. Podsypał go pod żyto, na jednym kawałku cienką warstwą, na drugim grubą. Gdzie grubo, tam wszystko spaliło, a tam gdzie cienko, żyto wyrosło bujne z kłosami pełnymi ziarna. Gdyby tak całe pole podsypać, ech, miałby co młócić do końca zimy. Cena nawozów przekraczała niestety możliwości przeciętnego rolnika i trzeba się było z tym faktem pogodzić, ale wiedza w Jasiu została i dawała do myślenia. Był księdzu wdzięczny za tamtą naukę i troskę o los rolników. Może kiedyś zmienią się czasy i każdy rolnik, jeśli tylko zechce, będzie mógł takie cuda stosować u siebie.

Lustro

Gruszczyn, sierpień, rok 1908

Włożył nowe spodnie, zgrzebne i trochę sztywne, za to w ładnym, słomkowym kolorze, do tego białą koszulę. Stroił się już od godziny. Lubił tę koszulę, dobrze w niej wyglądał. Zwykle wkładał ją do kościoła, potem zdejmował, żeby nie ubrudzić. Na koszulę narzucił lejbik z szarawego płótna, przyda się w drodze powrotnej, wieczór może być chłodny.

Matka spała zmęczona po całym dniu pracy, sen miała mocny, oddech głęboki, nie słyszała, że Jaś szykuje się do drogi. On w tym czasie spoglądał na swoje odbicie w szybie. Nie był próżny, starał się tylko godnie prezentować. Na wsi, gdzie chłop częściej babrał się w gnoju, niż paradował w świątecznym ubraniu, wygląd miał podwójne znaczenie.

Długo i cierpliwie układał koszulę pod paskiem. Włosy gładko zaczesał, a te po lewej stronie przedziałka, które nie dawały się jakoś ułożyć, wcisnął pod daszek czapki. Gdyby tak mieć kawałek lustra, można by sprawdzić, czy wszystko leży jak trzeba. Lustro widział w kościele, takie malutkie, odbijał się w nim święty obraz z przeciwległej ściany. We dworze lustra stały ponoć w każdej komnacie, duże, aż po sufit, całego człowieka było w nich widać. Jan nie był dziedzicem, więc o lustrze mógł tylko pomarzyć. W chałupie nie miał nawet podłogi, tylko klepisko, a meble proste, najczęściej własnej roboty, niektóre starsze, ciosane z drewna jeszcze przez ojca. Za to pościel mieli bez zarzutu, z białego płótna bielonego słońcem, wyszywaną przez matkę i siostry, do tego wielkie poduchy z gęsiego puchu, wietrzone na mrozie aż do sztywności, żeby przegonić choroby. Ściany domu zdobiły ręcznie tkane kilimy z barwionych nici, z wełny baraniej zwijanej w węzły. Nie miał się czego wstydzić, ale gdzie tam było jego chałupie do dworskich komnat albo do izb folwarcznych.

Do Gruszczyna było pięć kilometrów. Szedł drogą, która wiła się pośród pól Dąbrowy ciągle pod górę. Na rozległych łąkach pasły się krowy, w oddali widać było kilka koni zamkniętych w zagrodzie, a wiejskie psy ściagały się z wiatrem, płosząc motyle i muchy.

Za wsią wyszedł na główny trakt. Czuł się lekki i jakiś wesoły. Myśli biegły przed siebie szybciej niż nogi. Czuł tremę przed spotkaniem z dziewczyną, lekką niepewność tego, co może się zdarzyć. Jego los był prawie przyklepany, miał jednak prawo zobaczyć na własne oczy wybrankę. Złościł się każdego dnia coraz mniej i pokorniał z godziny na godzinę. Uświadomił sobie smutną codzienność. Gdyby nie nocne spacerki, poranne wędrówki po łąkach, musiałyby chyba z innymi zachodzić do karczmy. Niespodziewanie dotarło do niego, że już od dawna nic go nie cieszy. Może bał się, że kapryśna natura szczęścia zwiedzie go na manowce?

Powyżej lasu wyrastało spore wzniesienie, a na nim ruiny. Nagie ściany z kamienia i cegły, porośnięte częściowo bluszczem, zarośnięte krzakami, spoglądały groźnie z wysoka. O tym miejscu krążyły różne opowieści. Jedni twierdzili, że to mury kościoła Świętego Michała, inni, że dawny zbór ariański i że lochy pod ruinami prowadzą aż do drewnianego dworu stojącego w pobliżu. Mówili też, że Tatarzy spalili kościół, a zakonników wymordowali, że owiane legendą ruiny pełne są duchów i straszą tych wszystkich, którzy próbują je plądrować.

Za zakrętem pojawiły się kontury budynków. Droga przez pola prowadziła w głąb wsi. Tarcze słoneczników rosnących przy płotach wyznaczały kształt podwórek. Wieś należała do parafii Kozłów. Kiedyś była bogata, mówiło się, że Gruszczyn to osada rycerska. Władał nią ród Gruszczczyńskich i żyli tu zamożni ludzie. Czas świetności jednak szybko minął, koniec władania ówczesnych panów przyniósł ze sobą ubóstwo.

Jan dobrze znał Gruszczyn. Mieli tam krewnych i kilku znajomych. W samym środku wsi, na rozstaju, stała główna studnia z żurawiem, tuż za nią karczma i plac, na którym w ciepłe wieczory zbierali się młodzi na tańce. Pod koniec sierpnia każda osada obchodziła dożynki. Rolnicy prześcigali się w robieniu koszy i wieńców. Wszyscy odświętnie ubrani, dostojni, rano szli na mszę i święcenie plonów. A wieczorem zwieńczeniem uroczystości była wiejska zabawa.

Na placu przy karczmie zebrał się spory tłum. Pod ścianą budynku stały już zydle, donoszono długie ławy i stoły dla starszych. Młodzi jak zawsze będą podpierać drzewa i płoty. Niektórzy mieli już w czubie. Słychać było podniesione głosy, częste przytupywania i dziarskie okrzyki. Grupa grajków stroiła skrzypce i basy. Harmonista siedział pod drzewem i snuł jakąś smętną melodię. Obok bawiły się dzieci. Część z nich słuchała grajka, siedząc w kucki na trawie. Inne szczebiotały, krzyczały, śpiewały jak brzęczące trzmiele. Najmłodsze, najbardziej ruchliwe wzbijały kurz, biegając dookoła placu. Wśród gałęzi migały koszulki i wyblakłe w słońcu czupryny.

Spoglądał na sielski obrazek z zadumą. Wiejskie świętowanie jak na dłoni i w pełnej krasie, a obok zwyczajne życie – krowy przechodzące przez drogę, dziad z wózkiem, gospodarz z koniem prowadzonym za cugle, kobieta z dzieckiem na ręku, płacz niemowlęcia, głośnie rżenie koni i psy płaczące się pod nogami.

Coraz hałaśliwiej brzękały butelki, zabawa nabierała rozpędu. Kobiety zgromadziły się z jednej, mężczyźni z drugiej strony placu. W barwnych strojach, podniecone, pokrzykiwały do siebie, spoglądając na zalotników. Pasiaste spódnice wirowały jak szalone wokół bioder, na nich białe zapaski, a we włosach furkoczące tasiemki. Niby zawstydzone, ale spod powiek każda widziała to, co chciała zobaczyć. Szturchały się, zaczepiały, szmer słów zlewał się z szumem spódnic i leciutkich bluzek. Za nimi, nieco dalej, stały biedniejsze panny, ubrane w płócienne spódnice, a która mogła, przypięła bodaj kwiatek do włosów, żeby się przystroić i zwrócić na siebie uwagę. Każda wieś miała swoje zasady i kolory spódnic.

Jan jeszcze pamiętał, jak jego rodzice chodzili się bawić. Matka ubierała się skromnie, zawsze w chustce na głowie, a czasami w czepku, dużo biedniej niż dzisiaj stroją się krasocińskie dziewczęta.

Dla niego moda była wieczną tajemnicą i nie pragnął jej zgłębiać. Potrafił wyłowić z grupy ładną dziewczynę, ale żeby poznać po stroju, z której pochodzi wioski, to już było za wiele. Cenił skromność, wolał dziewczyny powściągliwe od impulsywnych i głośnych. Lubił w człowieku prostotę, czytelność, chciał wiedzieć, czego się po nim spodziewać, za co lubić, z czym się nie zgadzać. Uważał, że życie samo w sobie jest skomplikowane, po co je bardziej utrudniać? Więc którą wybrać? Pod barwnymi strojami kryły się charaktery, w jaki sposób poznać naturę kobiety?

Maćka jeszcze nie było, może i dobrze. Pokazać się z moczymordą byłoby dość ryzykowne. Maciek był mu jednak niezbędny. Sam nie rozpozna dziewczyny.

Karczmarz roznosił napitki w dzbanach, a w miskach kluski kraszone słoniną, zupę na kwasie chlebowym, cienkie placki pieczone na blasze z gęstą śmietaną, wysokie miski pełne parzonej kapusty z podpiekaną cebulą.

„Kaźcie wina nalewać, piwo niech ustąpi. Wino piją uczciwi, a piwo zaś skąpi” – ktoś zaintonował tradycyjną przyśpiewkę. Orkiestra weszła na plac, aż się rozległy wesołe okrzyki. Po chwili muzycy zajęli miejsce tuż pod ścianą karczmy. Zadrżały deski pod nogami tańczących.

Niektórzy zakrapiali odwagę od rana. Ci, którzy mieli panny na oku, ruszyli do tańca. Nieśmiali i trzeźwi poszli zamawiać napoje. Jan z kubkiem rzadkiego piwa lekko przytupywał. Od strony wsi podjeżdżały furmanki, bryczki, dołączali kolejni chętni do zabawy.

Przy stołach omawiane były zwykle wiejskie plotki, sprawy polityczne, wymieniano się doświadczeniami, komentowano sąsiedzkie zatargi. Prowadzono burzliwe dysputy, spory rozstrzygano na deskach. Im dłużej było spokojnie, tym muzykanci lepiej zarabiali, a młodzi mieli czas, żeby solidnie poszaleć. Chyba że poszło o jakąś dziewczynę i zanim starzyzna zaczęła pyskówkę, tłukli się już zakochani.

Promieniały twarze, rozgrzane tańcem i śpiewem. Trzęsione poleczki przeplatały się z krakowiakiem, aż pobrzękiwały metalowe ozdoby przy paskach, aż się unosił kurz nad głowami. Dudniły na deskach różne przytupy, śmigwały cholewki, furkotały szerokie spódnice. Nie brakło chętnych do tańca, wystarczyło grajkowi wrzucić monetę do basów, żeby ten rzępolił aż do upadłego. Czasem zamawiający muzykę intonował śpiew i pierwszy zaczynał, a po chwili wtórowali mu wszyscy. Śpiew niósł się po wsi od krańca do krańca, wysokie głosy snuły się echem po dachach, aż po szczyty świętokrzyskich wzgórz. Jaś też nucił pod nosem znajomą piosenkę.

Kto ma żonę ładno
I kunia karego
Ten się nie dorobi
Nicego dobrego.

Bo do zony ładny
To się chłopy garną
A kunia karego
Złodzieje ukradną.

Przerwał po chwili śpiewanie. Ktoś zbliżał się z drugiej strony placu. Krok miał niezdamy, chwiejny, dla równowagi podpierał się kijem. Trudno go było przeoczyć. Jan dał znać, że widzi, i tylko pokiwał głową na ten żaloszny obrazek. Taki – pomyślał o Maćku – taki niczego się nie nauczy. A Maciek jak gdyby nigdy nic wołał do niego z daleka, aż się Jaś skurczył ze wstydu.

– Hej, bo sobie oczy wypatrzysz za lubą. – Machał wolną ręką, roztrącając ludzi. Nie krył zadowolenia i śmiał się od ucha do ucha. Ale Jan nie odwzajemniał radości. Chwilowe odprężenie przeszło w irytację.

– Czekam już na ciebie godzinę, ale ty, jak widzę – Jan się siłą hamował – zabawieś się wcześniej, z innymi.

– Jak czas na zabawę, to szkoda przesiadywać w domu. Cała wieś świętuje od rana, dożynki przecież. – Klepnął Jasia przyjaźnie po plecach, drugą ręką podtrzymując się płotu. Był niski i krępy. Dłonie miał jak gliniane miski, wielkie i płaskie. Przyglądał nimi rozwichrzone włosy tak, że przyłgnęły całkiem do mokrego czoła. Spod przykurzonej sukmany wyzierała przepocona koszula. – Gorąco – stwierdził, ocierając zroszone czoło.

Jan spojrzał na niego krytycznie.

– Coś się tak grubo ubrał? – zapytał zdziwiony. – W ciężkiej kapocie chcesz podskakiwać?

– E, ja tam nieskory do tańca. Popatrzeć przyszedłem i spotkać się z tobą. No i pannę ci chciałem pokazać – szybko dorzucił i rozejrzał się uważnie na boki. – Tyle tu ładnych dziewcząt, aż miło –

zagwizdał przez szparę w zębach. – Może i dobrze byłoby poskakać. Kiedyś to się tańczyło, panny się same kleiły, mogłem tylko przebierać – ciągle się przechwalał. – Ale ty już pewnie jesteś niecierpliwy? – Mrugnął i znowu zagwizdał, aż z ust strzeliły kropelki śliny. – Szukałem jej wszędzie, chyba nie przyszła. Dąbka też nie widziałem – stwierdził rozczarowany. – Podobno zaprosił sołtysa z Kozłowa i pojechał po niego. Jak wcześniej popijają, to pewnie tutaj nie wróci.

– Skąd wiesz, że panny nie ma?

– Bez ojca nie przyjdzie. Ona nie z tych, co po wsi biegają – dorzucił rubasznie. – A furmankę sołtysa poznałbym od razu. Ciągle go widać we wsi. Kręci się i zagłąda ludziom do domów, że niby chce pomóc, takie tam gadanie, sprawdza i tyle.

– To co, nie jest lubiany? Słyszałem, że to porządny chłop, ludzie go chwala – przyznał się, że wcześniej zasięgnął języka.

– Kto go lubi, to lubi, jak komuś zajdzie za skórę, to i przeklina. Czepia się czasem, bo we wsi straszne złodziejstwo. Wiadomo, po to jest sołtys, porządku musi pilnować – dodał ze skruchą, jakby miał nieczyste sumienie albo był z sołtysem na bakier. Jan nie pytał, nie było sensu. Maciek ledwo się trzymał na nogach. Wodził ciężkim wzrokiem, przymykając co chwilę powieki.

– Coś mi się zdaje, że masz już dość, chłopie, długo nie postoisz.

– Gorzej bywało – odpowiedział Maciek, bełkocząc. Oczy miał mętne, a spojrzenie ciężkie.

– Baby przekłete, każdego potrafią zadreczyć – stwierdził rozbijając. – Jaśku, daj spokój z żoną. To jakby iść w niewolę. Lepiej wracaj do domu i prześpij sprawę. Gorączka ci przejdzie, jeszcze ją zakrop dobrze okowitą, a na przestrożę przed głupim krokiem posłuchaj starszego – dodał i na koniec siarczyście splunął w trawę.

– Powiedz mi lepiej, gdzie mieszkasz, żebym cię mógł odprowadzić, jak całkiem osłabniesz.

Ale Maciek nie dał się odciągnąć od sztachet. Utwierdził się w przekonaniu, że płot jest dla niego najważniejszym miejscem. Za wszelką cenę chciał się utrzymać w pionie, nie wiadomo, czy z powodu męskiego honoru, czy obietnicy złożonej koledze.

Zabawa trwała w najlepsze, skrzypki rażno cięty, przygrywały basy, bębenek utrzymywał rytm. Harmonia ledwo kwiliła, widać było, że muzyk nie był z zespołem, często się gubił i lekko fałszował. Niektórzy już trochę zmęczeni podpierali ściany, ale wielu dzielnie tańczyło. Pojawiały się nowe piosenki i chętni do tego, żeby je zaśpiewać lub przynajmniej wystukać obcasem.

Nagle w tłumie Jan zobaczył sąsiada. Stał ze znajomym z Sułkowa i z drugim z Jakubowa.

– Jasiek? – Młody Kaliszewski wyglądał na zdziwionego. – Ty tutaj? To dopiero nowina. Jak powiem w domu, to mi nie uwierzą.

Jan wzruszył ramionami, że niby nic takiego. Przecież nie był ostatnim dziwakiem. Rzeczywiście, nie lubił tańczyć. W tańcu wydawał się sobie pokraczny. Te podskoki, obroty, przytupy i zawijańce, czyste pajacowanie. Był młody i stary jednocześnie. Mógł stać pod płotem z piwem w kuflu i podśpiewywać, mógł ze starszyzną politykować przy stole. Taki już był i nie chciał niczego zmieniać.

– Przyszedłem popatrzeć, jak inni się bawią. Ludziska świętują aż miło.

– Dobrze grają, to i tańczyć można.

– Widzę, że jesteś z Malickim? – zauważył Jasiek. Nie miał pewności, czy dobrze rozpoznał, twarze były jakieś odmienione. Wszyscy mieli już w czubie. Zwyczajne rysy rozmyły się w kuflu piwa, w gorzałce i winie. Zmęczone, poryte twarze, na których słońce wypisało już testament, rozjarzyły się teraz w uśmiechu. Jedne tłuste, czerwone, z błyskiem gorączki w oku, inne łagodne i suche. Promieniste zmarszczki w kącikach oczu pędziły ku skroniom niemal u każdego. Wyryła je praca w skwarze i na mrozie, z domieszką deszczu i wiatru, więc w pewnym sensie byli do siebie podobni.

– Dołączysz do nas? – zachęcał Kaliszewski, sąsiad z tej samej ulicy. Jan mieszkał pod siódmką,

a Ludwik pod czwórką.

– Z chęcią, ale mam pod opieką kolegę. – Odsunął się trochę, pokazując pijanego Maćka.

– O! Maciek z Gruszczyzna – poznał go Ludwik. – Jego nie trzeba pilnować. We wsi znają go dobrze – zakpił. – Toś sobie znalazł godnego kompana, Jaśku – głośno zażartował.

– Ano przyłączył się do mnie i teraz mam kłopot – skłamał. – Samego go nie zostawię.

Przy stołach zrobiło się luźniej, starszyzna wracała do domu, młodszy zajmowali ławy, jedli i pili bez końca.

– Zostaw go, jak jeszcze stoi. Zjesz i coś popijesz. Będziesz go widział z daleka.

I poszli razem do stołu. Zamówili piwo i tłustą zakąskę. Jan usiadł obok Sornata, Ludwik przy Malickim. W rozmowie jak zawsze najważniejsza była polityka, potem sprawy wsi i na końcu chłopskie interesy. I było coraz weselej, piwo i wino rozwiązały języki. Jan cały czas wodził oczami. Mógł spokojnie przyglądać się każdej dziewczynie. Wiedział, że nie znajdzie wśród nich Weronki. Jednak w tłumie dojrzał nagle kogoś znajomego. Najpierw jasny warkocz dookoła głowy upięty w koronę, potem kwiecistą spódnicę, trochę jakby za krótką, mocne, proste nogi w kolorze gryczanego miodu.

– Aleś się, Jaśku, zapatrzył – zauważył Ludwik.

– Jakbym kogoś znajomego zobaczył – odpowiedział szczerze.

– Widzę, na kogo patrzysz, nie ty jeden – Ludwik skwitował. – Znasz ją? – zapytał ciekawy.

– Jakbym skądś znał – powtórzył święcie przekonany, że zna tę dziewczynę. – Tylko nie wiem, skąd i gdzie ją spotkałem – dodał na wszelki wypadek. Coś mu świtało, takie tam, dziecięce wspomnienia. Czyżby to mogła być ona?

– A o kim mowa? – wtrącił się Sornat. Spojrzał w kierunku tańczących, a potem podążył za wzrokiem kolegów.

– To Baśka, mieszka w Gruszczyźnie – powiedział bez chwili wahania.

– Baśka? – Jan szukał w pamięci kogoś o takim imieniu.

– Tak, Baśka – potwierdził Sornat. – Mieszka od dwóch lat w lesie na Występach. We wsi rzadko bywa. To bestia – dodał. – Jak kogoś omami, to już jest zgubiony. Tak mówią we wsi. Opowiadają o niej różne rzeczy, nawet w Jakubowie. Dziwne, że nie słyszałeś – zwrócił się do Ludwika.

– Cóż może zrobić chłopu taka ładna dziewczyna? – Jaś zerknął znów w jej kierunku. Widział już gdzieś takie ciemne oczy i jasne, bardzo jasne włosy. Ten kontrast kolorów i jak na kobietę zbyt kanciaste ruchy, choć niepozbawione powabu, gibkość jak u młodego chłopca, pamiętał doskonale.

– W Krasocinie była kiedyś taka, co rzucała czary. Mówili ludzie, że nocami chodziła wzdłuż cudzych zagonów i tam, gdzie stanęła, wypalała trawę – wtrącił swoje Ludwik. Był jeszcze dzieckiem, kiedy o tym słyszał. Zaśmiał się teraz ze swojej głupoty. Już nie wierzył w wiejskie historie o racicach na polu, o zatrutej wściekłym jadem studni.

– Aleś teraz powiedział – zakpił z niego Malicki.

– Baśka nie jest diabolicą – uspokajał Sornat. – Ma tylko diabła za skórą – powiedział i wychylił wielki kielich wina.

– Widać, że i ciebie kusi ten diabełek. Pilnuj się, Piotrek – ostrzegali życzliwi koledzy.

– Diablica – skwitował Malicki – tańczy, aż iskry lecą. – Sam był niskiej i drobnej postury. Nie miałby szans przytrzymać ją w tańcu, a co dopiero w życiu. Nawet o tym nie marzył.

– Sama mieszka na tych Występach? – zaciekał się Jasiek. Coś mu mówiło, że widywał ją dużo wcześniej.

– Z matką mieszka. Matka kupiła dom od brata, który się przeniósł do Kielc albo do Częstochowy – zawahał się chwilę. – Zabrał ze sobą syna, co się cudem wylizał z choroby. Za pieniądze z domu kupił dwie izby w mieście, tuż obok drukarni. Dostał pracę i już tu nie wrócił. Pochodził z Krasocina, ale żona

miała dom w Gruszczynie i ziemię, więc się do niej przeniósł po ślubie. Żona wcześniej umarła, właściwie zginęła, koń się spłoszył, poszedł w las razem z wozem. Zabiła się, a koń tak okulał, że trzeba go było zastrzelić. Poszli prosić dziedzica, tylko on miał strzelbę. Dziedzic przysłał leśniczego i ten sprawę załatwił jak trzeba. Płakali potem tak samo za koniem, jak i za kobietą.

– A co z tą Basią, skąd ona i czyja?

– Nikt tego nie wie. Mówią, że z Prus, w brzuchu przywieziona. Ojciec nieznany, a matka milczy jak grób.

– Nie ona jedna – dodał Malicki. – Nie jedna. A mało to dziewcząt pojechało do pracy, a wróciło z brzuchem?

Zadumali się wszyscy, i jeszcze długo patrzyli na tańczącą dziewczynę. Jeden podziwiał zgrabne, mocne ciało, drugi spoglądał ze strachem. Jasiek patrzył na nią z rosnącą sympatią. Powoli przejrzał na oczy. Przypomniawszy sobie, kiedy i gdzie widział ją ostatnio. Czas płynął, zrobiło się szaro. Poczł wielkie zmęczenie. Powinien wracać. Nie uprzedził matki, będzie się martwić o niego.

Ludwik chciał jeszcze zostać, Malicki zabrał Sornata i pojechali furmanką. Jasiowi zalegał pod płotem kłopot w postaci Maćka. Najpierw chciał prosić kolegów o pomoc, ale zrezygnował. Wystarczy, że jemu pijaczyna narobił kłopotu, nie będzie w to innych mieszał. Spojrzał na ciemny kształt leżący w trawie i czuł, że łatwo nie będzie.

– Maciek. – Potrząsał kolegą. – Zbieraj się, chłopie, pomogę ci dojść do domu. Mało to kryje się po krzakach rabusiów, tylko czekają. Rozbiorą cię z płaszcza, z koszuli i pieniądze ci wszystkie zabiorą.

Maciek był pieruńsko ciężki. Jan prosił i groził, Maciek go nie słuchał. Dobrze mu było w trawie. W końcu, opierając o płot, udało się podnieść go z ziemi i obłapać w pasie. Jan aż jęknął, bezwładne ciało ciążyło podwójnie. Zrobił kilka kroków, z trudem łapiąc równowagę. Każdy krok był prawdziwym wyczynem. Powinien kogoś poprosić o pomoc, sam chyba z tym nie poradzi. Spod karczmy dochodziły krzyki. Kilku pijanych, podobnych do Maćka, wytoczyło się przez drzwi na zewnątrz. Na tych raczej nie mógł teraz liczyć. Ofiar wiejskiej zabawy było jak grzybów po deszczu. Wieś jak piła, to piła, do oporu, do dna, do świtu.

Nie wiedział, w którą iść stronę. Głupio mu było zostawić chłopaka na drodze, z drugiej strony nie może brać na siebie winy za każdego pijaka. Może go jednak posadzić pod drzewem, znajdą go inni i dostarczą do domu.

Przed karczmę wytoczył się tłum wracających z zabawy. Początkowo szli w większej grupie, potem się rozdzielili. W stronę Jana szło dwóch mężczyzn i cztery kobiety. Mężczyźni głośno rozmawiali, nie miał odwagi ich zaczepić. Byli od niego starsi, wstyd mu było poprosić. Za nimi szły pewnie żony, cicho rozmawiając. Nie zwróciły na niego uwagi. Dwie starsze w barwnych chustach, żadnej z nich nie znał, niestety. Z tyłu dwie młodsze. Rozmawiały półgłosem i niemal na niego wpadły. Jedna ciemniejsza, z niebieską wstążką we włosach, druga niższa, w czerwonym kubraku, cała w jasnych lokach. Jan ze wstydu próbował schować się za drzewo. Nie zdążył, krok miał chwiejny i Maciek osunąwszy się, spadł dziewczętom pod nogi.

– Uważaj, Weronka – krzyknęła blondynka, omijając obydwóch z daleka. – Trzeba by ich jak kartofle na wózki układać, a potem pod furtką zrzucić – skomentowała ze złością. Druga z dziewcząt zatrzymała się chwilę, żeby spojrzeć na Jasia, wydawał się jej znajomy.

– Weronka, pospiesz się. Chcesz wracać sama? Jeszcze cię któryś zaczepi – nawoływała blondynka.

Jan stał jak urzeczony. Niebieskie oczy i wstążka we włosach; pomyślał, że widzi anioła.

Telefon od Jakuba

Poznań, rok 2006

Podróż do domu minęła błyskawicznie. Wracałam pełna niezwykłych wrażeń, niespodziewanych emocji. Tyle się działo, mój Boże! Wszystko świeże i namacalne. Z doświadczenia wiedziałam, że pierwszą rzeczą, którą powinnam zrobić, to wszystko dokładnie opisać.

Przekręcając klucz w zamku, myślałam tylko o jednym, żeby wyciągnąć się na tapczanie i zamknąć oczy. Z każdym rokiem coraz gorzej znosiłam trudy długich podróży.

Niestety, gdy weszłam do przedpokoju, usłyszałam, że dzwoni telefon. Chwila wahania, odebrać czy zignorować? Telefon dzwonił wytrwale. Agent ubezpieczeniowy, akwizytor z zaproszeniem na spotkanie, na którym, gdy kupię kołdrę lub garnki, dostanę „wartościowy” prezent? Może pracownik jednej z sieci komórkowych z kuszącą ofertą, bank z propozycją pożyczki? Telefon dzwonił zbyt długo, to ktoś, kto wie na pewno, że powinnam już być w domu. A więc pewnie rodzice. Odebrałam, strach o nich zawsze zwyciężał.

Dzwonił syn, odetchnęłam, chociaż telefony od dzieci dość często wróżyły kłopoty, a ja przecież byłam zmęczona i bardzo głodna.

Z pierwszych zdań doszło do mnie niewiele. Mówił dość chaotycznie, tak jakbym powinna wiedzieć, o co mu chodzi. Zrozumiałam jedynie, że sprawa została przedyskutowana z Piotrem, moim drugim synem, a dotyczyła mojego taty.

– Jak to, komputer? – próbowałam połapać myśli.

– Uważam, że to konieczne.

– Chyba żartujesz, chcecie dziadkowi kupić komputer? – Usiadłam na wszelki wypadek. Pomysł wydawał mi się absurdalny. – Ale po co? Zdenerwujesz go tylko i przestraszysz. Kuba! – jęknęłam. – Ja naprawdę kocham rodziców, ale znam realia. Dziadek ma przeszło osiemdziesiąt lat, a po ostatnim pobycie w szpitalu najbardziej na świecie potrzebuje spokoju. Nie poradzi sobie z komputerem. Możesz mi wierzyć – próbowałam nie dopuścić syna do głosu. – Ma problemy z odebraniem komórki, a ty mówisz o komputerze. Są inne sposoby, żeby mu sprawić radość.

– To znaczy? – zapytał z przekąsem.

– Po prostu częściej zagłądaj do dziadków, żeby porozmawiać, zapytać o zdrowie, czy czegoś im nie brakuje. Wiesz, jak was uwielbiają.

– Mamo. – Kuba próbował zachować spokój. – Jak możesz mówić w ten sposób? Widziałem dziadka, jak ostatnio śmigał w ogrodzie.

Żachnęłam się.

– Ogród i praca na powietrzu to co innego – powiedziała, chwytając się znanych argumentów. – To jego żywioł, jego korzenie, ma dobrą rękę do kwiatów i lubi przebywać na świeżym powietrzu. Zresztą z ogrodem też już nie jest jak dawniej.

– Przesadzasz.

– Przesadzam? A zapomniałeś, że on żyje dzięki takiej maszynie, która robi tik-tak, jak zegarek.

– A czy ja chcę go zabić? Mamo, niech sobie tyka ten zegar, byle dobrze i długo – wyśmiewał moje uwagi. – Nie rób z dziadka inwalidy. Mam wrażenie, jakbyś go wcale nie znała. – Usłyszałam szuranie krzesła, a po chwili szum. Włączył wodę i będzie robić herbatę, to znaczyło, że był wkurzony.

– No wiesz! To jest mój ojciec, kto ma go znać, jeśli nie ja? – obruszyłam się całkiem słusznie. Dałam się wciągnąć w dyskusję o talentach mojego taty i chyba zaczęłam się gubić. Okej, może syn ma trochę racji, ale to było kiedyś, teraz trzeba go oszczędzać i chronić, a nie wkręcać w nowe wyzwania. Znałam ojca, to jasne, jestem z rodzicami blisko. Wiem, że to człowiek czynu, lubi nowe wyzwania i jakoś sobie radzi. Wszystko ma jednak swoje granice. Postanowiłam zaważać o spokój mojego taty, czując, że wnuki mocno go przeceniają.

– Uważam, że nie masz racji. – Kuba nie ustępował. Czuł, że moje baterie są na wyczerpaniu. – Wiesz, że go kręcą wszystkie nowinki, a komputer najbardziej. Pogadaj z Piotrem, powie ci to samo, albo z Kasią, w zeszłym tygodniu założyła mu konto na Naszej Klasie.

Kasia to moja córka, zagląda do dziadków często, wiem, że uważa ich za dziadków kreatywnych, więc wszystko jest możliwe.

– E tam, Nasza Klasa – zakpiłam na wszelki wypadek. – Każdy może być w Naszej Klasie, to głównie portal dla staruszków – prychnęłam. – Ale na przykład komórka, no właśnie, może mi wytłumaczysz, czemu go nie kręci telefon komórkowy, skoro lubi nowinki? Sto razy pyta, gdzie się naciska, żeby odebrać rozmowę, a gdzie, kiedy się skończy, nie mówiąc o esemesach.

– Daj spokój, dla niego to tylko gadżet, to nie ta skala. Komórka to zabawka dla kobiet. Na co dziadkowi komórka, kiedy głównie babcia z niej dzwoni?

– No, no, uważaj – fuknęłam. – Kobietom daj spokój, wiesz, że tego nie lubię – podkreśliłam z naciskiem. – Ale fakt, babcia daje sobie radę – stwierdziłam po chwili.

– Więc dlaczego nie chcesz spróbować? Chcesz, żeby twój ojciec do końca życia rozwiązywał krzyżówki?

– Do końca, do końca – powtórzyłam, przewracając oczami. – Przecież jest po osiemdziesiątce, chyba mu wystarczy zapasu na te kilka lat życia. Lubi rozwiązywać krzyżówki i nie widzę w tym niczego złego. To jego pasja, od dawna. Nie będę mu jej odmawiać. Uspokaja się przy krzyżówkach i wycisza, rozszerza horyzonty myślowe i dzięki temu razem z babcią ćwiczą sobie pamięć. – Rozsiadłam się wygodnie w fotelu zadowolona z mało odkrywczych wywodów. Zsunęłam buty, nogi podniosłam do góry i oparłam o ścianę. Na dużym palcu widniał spory odcisk.

– Nie trzeba zaraz nowego komputera. Znajdzie się jakiś używany, coś na próbę, tylko dla zabawy. Wstawimy mu, pokażemy, jak działa, i zaraz będzie wiadomo, czy dziadek zaskoczy. Jak powie, że literki za małe i klawiatury nie widzi, to będzie test jednoznaczny.

Westchnęłam głęboko. Zamęczy mnie. Dzieciom się chyba wydaje, że rodzice mogą znosić ich pomysły bez końca – pomyślałam, zanim znów się odezwał. Dlaczego nie można mieć wreszcie spokoju, zająć się sobą, zaliczyć macierzyństwo czy ojcostwo, a potem cieszyć się życiem? Wstałam i wyszłam na taras. Słońce kładło już długie cienie na trawie. Upał zelżał i zaczęły się koncerty ptaków.

– Sama stwierdziłaś – Kuba był ciągle w natarciu – jak niedawno rozmawiałaś z tatą, że dziadek musi mieć coś do roboty, bo go bezczynność zabija. On się nie może nudzić. Jak chcesz mieć spokój, to mu poszukaj zajęcia.

– A kombatanci – przypomniałam sobie i poczułam ulgę. – Ma przecież swoich kombatantów, zajmuje się nimi od lat, zebrania, spotkania, wieczorki, prowadzi dokumentację i jakieś księgi. Pilnuje tego jak oka w głowie, aż do przesady. To chyba wystarczy? Babcia twierdzi, że się za bardzo stara. Nawet mnie w to wciąga – poskarżyłam się w końcu. – Znowu musiałam przepisywać mu sprawozdania z walnego zebrania. Powiedział, że ręcznie pisać to już nie uchodzi.

Usłyszałam w słuchawce rechot. Syn miał prawdziwy ubaw. Już wiedziałam, co na to powie.

– Jezu! Matka. – Tłumił w sobie śmiech. – To właśnie cały twój tata, ręcznie nie uchodzi, musi być na komputerze... – zawiesił głos. – I jaki stąd wniosek? Czy odhaczanie kolejnych zgonów to robota dla dziadka? Przecież ci kombatanci ciągle mu umierają. Sama wiesz, przepisywałaś, to wiesz, były ich setki, a została garstka i już mało który pamięta swoje imię. Chcesz, żeby jedynym zajęciem twojego ojca było wykreślanie nazwisk kolegów z kombatanckiego rejestru?

Westchnęłam zmęczona. A więc o to chodzi. Czułam, że syn zapędził mnie w kozi róg. Z drugiej jednak strony te wszystkie tabelki, zestawienia i spisy, które musiałam mu robić dwa razy do roku... W końcu to przecież żadna filozofia – stwierdziłam ku swemu zdziwieniu – trzeba tylko cierpliwości i czasu, a ojciec czasu ma sporo – nagle mnie oświeciło. – Może by sobie jakoś z tym poradził?

– No, tabelki mam jak w banku – przyznałam synowi rację. Abstrahując od sprawozdań i całej reszty związanej z kombatanckimi księgami, może był w tym głębszy sens. W końcu cóż to szkodzi spróbować. Komputer to jak dawna maszyna do pisania, plus to, że tekst można poprawiać zamiast przepisywać.

– Więc jak będzie? – zapytał Jakub. Ton głosu świadczył wyraźnie, że poczuł się zwycięzcą.

Cóż mogłam mu odpowiedzieć? Miałam być hamulcem rodzinnego postępu i obrońcą przesądów dotyczących wieku?

– Okej, Kuba, rób, jak uważasz. Tylko delikatnie.

Gdy odłożyłam słuchawkę, poczułam ulgę, wróciło też zmęczenie. Od pewnego czasu rozmowy z młodymi dużo mnie kosztowały. Za bardzo się starałam, chciałam im koniecznie dotrzymać kroku, nie dać się, zachować pozory młodości. Nadawali ton rozmowie, stosując własny język, własny sposób ekspresji, modny i widać potrzebny. Tak się porozumiewali, w taki sposób określali przynależność do grup i swoich społeczności. Czy powinnam zachować stosowny do wieku (przecież nie byłam młoda) sposób kontaktowania się z dziećmi, czy im partnerować? Nie wiedziałam, co było lepsze i mniej frustrujące. Pomyślałam o swoim ojcu. Gdyby chciał zachować dawny punkt widzenia, byłby już przysłowiowym staruszkim, a zamiast komputera dostałby bujany fotel i termofor w prezencie, a mama zamiast komórki, która dała jej swobodę komunikacji ze światem, różaniec i ciepłe kapcie. Uśmiechnęłam się sama do siebie. Jakie to wszystko niezwykle. Jeszcze na świeżo miałam przed oczami krasocińską wieś. Obok nowoczesnych domów drewniane chatynki, podwórka jak z katalogu i zarosłe nawłocią działki, kontrast nowego ze starym. Dla jednych taki domek to piękny skrawek historii, dla miejscowych rudera i niechciane wspomnienia.

Rok 2006 minął pod znakiem upałów i potęgującej się suszy. W lipcu nastąpił szczyt lata. Tak upalnego lipca nie było w Polsce i na całym kontynencie w całej historii pomiarów meteorologicznych prowadzonych od kilkuset lat. Upałom towarzyszyły czyste niebo i susza, która zebrała żniwo na polach i w ogrodach. Wrzesień, październik i listopad były jednakowo ciepłe i pogodne. Kto mógł i chciał, korzystał z uroków aury. Z tego powodu sprawa z komputerem nie znalazła swojego finału. Wszystkich członków rodziny ogarnął szal wyjazdów. Tymczasem rodzice źle znosili upały. Przyczaili się w swoim mieszkaniu w cieniu opuszczonych żaluzji, w chłodzie wentylatorów, ograniczając do minimum aktywność życiową. Wychodzili z domu o świcie do pobliskiej piekarni po masło i chleb i z tęsknotą czekali na wieczór, który czasem przyniósł im rześki powiew z dalekiej północy.

Zbliżał się koniec roku i dopiero wtedy podjęliśmy ostateczną decyzję. Rozmowę z ojcem w sprawie komputera powierzyłam synowi. Byłam pewna, że dwóch mężczyzn lepiej się dogada i zrozumie.

Rozterki matki

Krasocin, sierpień, rok 1908

Ciemniało, a Jaś nie wracał. Pewnie znowu poszedł gdzieś w pole myśleć nad życiem. Ogień w piecu wygasł, ale czy warto cokolwiek gotować? Ukroi kromkę chleba i popije mlekiem. Wieczór taki ciepły, niebo rozgwieżdżone. Usiadła na ławce, żeby poczekać na syna. Odczuwała głęboki smutek i bezdenną samotność. Po powrocie z kościoła cały dzień była sama. Nikt jej tego dnia nie odwiedził, jedni zajęci w polu, inni na zabawie w Gruszczyne. Ale gdzie tego Jasia poniosło? Znow szuka szczęścia w polu, w lesie, boi się zmian? Dosyć ich miał, chociaż tak krótko żyje. Ona to co innego, wierzyć się nie chce, ile jej serce musiało wytrzymać. Jakież świeże wspomnienia, młodość, małżeństwo, nadzieje. Mieli swój dom z Piotrem, trochę ziemi i byli tacy szczęśliwi. Głowy nosili wysoko, wszystko przed nimi – i wiara, która dawała siły, i pewność, że musi być dobrze. Nie brakowało zapału i planów mieli bez liku. Skoro byli zdrowi i każde z nich miało po dwie ręce do pracy, nic złego nie mogło się zdarzyć. Zabawy, wesela, chrzciny, duża rodzina, to i okazji nie brakowało. Łapali życie, póki młodość i siły.

Urodziło się dziecko, chłopczyk, zdrowe, ładne i silne, aż miło było patrzeć. Dziecko trochę płakało po nocach, jak dziecko, ciągle głodne i głodne. Chciało, żeby mu śpiewać, żeby się z nim bawić. Tej nocy też marudziło. Nie pomogło karmienie. Wzięli je do łóżka, myśląc, że będzie mu cieplej. Sami zmęczeni, po całym dniu pracy, szybko oboje zasnęli. Rano znaleźli je uduszone, zakręcone w pierzynie. Leżało zwinięte w kłębuszek, cichutkie i nieruchome.

Długo nie mogli przeboleć straty. Każdego ranka, kiedy otwierali oczy, powracało bolesne wspomnienie, wyrzuty sumienia i żal. Józefa odczuła to jak cios i karę boską. Ale cóż zawiniła Bogu w swoim krótkim życiu? Może się za dużo bawiła, zbyt szczerze okazywała małżeńskie szczęście, zbyt się z nim obnosiła po wsi. Ktoś rzucił urok? Z zazdrości? Ale dlaczego? Może inna, co się w jej mężu kochała, odrzucona, zraniona, zła?

O śmierci dziecka myślała jak o przestrodze, która przyszła do nich od Stwórcy, żeby nie było za dobrze, żeby nie mogli jak dawniej śpiewać i tańczyć, śmiać się i cieszyć, żeby musieli bać się każdej nocy, każdego poranka.

Kiedy na świat przychodziły ich kolejne dzieci – Józia, Katarzyna, w 1886 Jaś, a trzy lata po nim Andrzejek, każdego ranka dziękowała za szczęście. Każdy ranek witała na kolanach, każdy wieczór błagała o litość i zrozumienie.

Mijały lata. Piotr gospodarzył na dziewięciu morgach, które dostał od ojca. To nie było wiele, ale gdy się umiało liczyć i wstawiało o świcie do pracy, to ziemia się odwdzięczała. Józefa bez skarg znosiła trudy macierzyństwa, pracowała w polu, prowadziła dom i dbała o męża. Zapomniała już, jak to jest być młodą i beztroską. Kiedy rodzice byli zamożni, mieli służbę i pracowników najemnych, wtedy chodziła

jak dama po polach. Teraz musiała ciężko pracować, a czasy były niełatwe.

Chłopcy dorastali, Jaś był u dziadków, Andrzejek osładzał późne macierzyństwo radosnym szczebiotem, córki założyły rodziny. Józefa dziękowała stwórcy w codziennych modlitwach za pomyślność rodziny. Cieszyła się, że ma udane dzieci, patrzyła z dumą na wnuczki. Tamten okropny ranek i strata pierworodnego jakby zdarzyły się w innym życiu i komu innemu. Stwierdziła, że Bóg się po prostu pomylił, a teraz wszystko szczerze wynagrodził. Więc żyła spokojna o jutro, mimo że często od wiosny do wiosny, od żniw do żniw niepewna plonów i przetrwania, a carska władza dokładała swoje, gnębiąc, ile się dało. Z roku na rok było jednak lepiej, spokojniej, dostatniej. Już się przyzwyczaiła do szczęścia, jakby deputat był niewyczerpany, a im więcej tego szczęścia było, tym mniej czuło się jego obecność. Codzienna rutyna, zwykłe troski, czasami większe lub mniejsze problemy, zwyczajne, rodzinne niesnaski, po prostu życie, nikt sobie głupstwami nie zaprzętał głowy. Praca od świtu do zmroku, przerwy na posiłki, kilka chwil wytchnienia przed spaniem. Było ciężko, ale czuła się w pełni szczęśliwa.

Kiedy ziemia dobrze rodziła, wtedy zimy bywały łżejsze, bo dzieci chodziły syte. Zdarzało się jednak, że żyło się skromniej. Czasem gdy obrodził jęczmień, a gorzej pszenica, to dwa razy dziennie jedzono krupy. Na gęsto, w postaci zupy, postne, podsmażane lub z ziemniakami. Kiedyś obrodził groch, dania grochowe jedzono na różne sposoby. Dzieciom to się przykrzyło, tęskniły za czymś smaczniejszym.

– Mamo, zrób klusek na obiad – prosił raz mały Jasio. – Ten groch dlatego gotujesz, bo jest w komorze, a ziarno wysoko, na strychu? – zapytał naiwnie maluch.

Śmiała się wtedy z dziecięcego rozumowania. A ziarna po prostu nie było. Cztery korce odkładano zawsze na Wielkanoc i na przednówek, to była świętość nie do naruszenia. Wiosną zaczynała się praca w polu, potrzebna była mąka na chleb. Więc zimą musieli zadowolić się grochem. Taka była wiejska codzienność, życie w zgodzie z porami roku, z naturą w duecie, raz im przychylną, innym razem wrogą.

Okazało się, że gdy znika cierpienie, to szybko się je zapomina, choć wcześniej było nie do zniesienia. Zmartwienie, że susza wypala zbiory, przeradza się w radość, kiedy spadnie deszcz, a potem znów jest normalnie. Nie trwamy w tym szczęściu bez przerwy, żądamy kolejnych i kolejnych szczęść. Józefa przyjęła spokojnie tę naturalną zmienność, to dawało jej motywację i energię do pracy, ale była czujna. Bała się nadmiaru, wołała, żeby czasem mogło być ciut gorzej. Bała się duchowego cierpienia. Ciężka praca, zmęczenie, częste rany i skaleczenia napawały ją czasem radością. Niech boli, niech sobie boli – myślała skrycie – zniosę wszystko z radością, byle tylko życie polegało na takich cierpieniach. Jak prawdziwa kura rozkładała nad wszystkim skrzydła – przed burzą, wiatrem, spiekotą.

Którejś wiosny Piotr zaczął narzekać na zdrowie. Stracił apetyt, miał problemy z żołądkiem. Józefa czuła, że nadciąga zły czas dla rodziny, czas zmartwień i strachu o przyszłość. Modliła się gorąco o zdrowie dla męża i leczyła go sposobami, których nauczyła ją matka i życie. Łudziła się, że krótka niemoc będzie jedynie małym odkupieniem za popełnione wcześniej grzechy, że minie bez śladu i wszystko wróci do normy. Dni były w kratkę, raz lepsze, innym razem gorsze. Piotr się nie skarżył, nie chciał straszyć żony. Tłumaczył, że to nic dziwnego, iż ciało czasami się burzy i działa na opak. Trzeba spokojnie przeczekać – mawiał – aż wszystko minie, aż się chory organ wygoi i zacznie funkcjonować. Pracował, jak długo się dało, kładł się, to znowu wstawał, żeby nadgonić prace w gospodarstwie. W końcu jednak zaniemógł na dobre.

Na zwykłe z pozoru problemy z żołądkiem nie było dobrego lekarstwa. Nie mieli kogo prosić o pomoc ani finansowe wsparcie. Józia próbowała wszystkiego. Leczyła go u zielarki, znachorki, próbowała najbardziej sprawdzonych metod, żeby ulżyć mężowi w cierpieniu. Była nawet u księdza prosić o zniesienie postu dla niego przed Wielkanocą, żeby mógł pojeść tego, co mu najlepiej służy. Ale Piotr gasł z dnia na dzień, jadł coraz mniejsze porcje, a co zjadł, wszystko odrzucał. Schudł i zmizerniał biedaczek.

Jasiek był wtedy u dziadków. Zbliżało się lato, piękna pora na życie, ale los zamiast śpiewu ptaków, przyniósł mu smutną nowinę. Ojciec chorował, to było wiadomo, ale żeby aż umrzeć, tego jakoś nie dało się pojąć. Nikt nie myślał, że jest tak źle, że silny i twardy człowiek da się pokonać chorobie.

Przed oczami kobiety czekającej przed domem na syna przetoczyły się trudne lata. Na dworze pociemniało. Zwierzęta w oborze umilkły, tylko od czasu do czasu słychać było rzenie kobyły, którą sąsiad pasł nad strumieniem.

Jakoś tak w życiu bywa – pomyślała Józefa ze smutkiem – że szczęście nadpływa falami, a może jest jak te Góry Świętokrzyskie, których kształty widywała codziennie, gdy wychodziła za dom, raz się wznoszą ku niebu, a raz opadają, czasem są w słońcu, innym razem w cieniu, a w dolinach szumi woda wiosennych roztopów. Tak samo oni, ludzie, żyją raz w górze, raz na samym dole i trzeba się z tym pogodzić. Gdyby tylko nie tracić bliskich – na tę myśl jak zawsze truchlała ze strachu.

Wtedy, kiedy zabrakło męża, myślała, że nie podoła. Młodsza Kasia i starsza Józia same już miały dzieci. Dom opustoszał, nie miał jej kto pocieszać ani być podporą. Sporadyczne wizyty córek zajętych własnym życiem nie wypełniły pustki. W domu był tylko Andrzej, jeszcze dziecko, i więcej z nim było kłopotów na co dzień niżli pomocy. Czy Jaś, co ledwo przestał być chłopcem, podoła ciężkiej pracy? Wszystkie ojcowskie troski spadną teraz na niego. Skończy się długie spanie, nauka, wieczorne rozmowy z dziadkiem. Martwiła się jego przyszłością.

Nie było jednak rady. Wiosną Jaś wrócił do domu i gdy pierwsza trawa porosła ojcowski grób, zakładał jego drewniaki i wychodził z innymi do pracy.

Pierwszego dnia, kiedy wstał z matką o świcie, mógł tylko dreptać bezradnie i słuchać jej dyspozycji. W samotności płakał z przerażenia – miał wtedy trzynaście lat. Dziecięce wyobrażenia o przyszłości zmieniły się w obowiązek, życie nie dało mu prawa wyboru.

– Nie mam serca wyganiać go w pole – żaliła się córkom Józefa. – W lekkich pracach jakoś sobie radzi, ale kto wiosną zaorze, kto potem zwózkę zarządzi i ziarno sprzeda? A trzoda, a obora, wiosenny siew, przecież on nie ma o tym pojęcia.

– Przyjdzie czas, to będziemy radzić – pocieszała starsza z córek. – Adam przyjedzie pomóc. Nauczy Jaśka wszystkiego. Zarządzi, co trzeba, pożyczy konia, wóz i załatwi kogoś do pomocy. Wspólnymi siłami damy sobie radę. Rok, dwa, będzie z niego gospodarz.

Józia się nie myliła. Krótka, ale skuteczna praktyka u dziadków bardzo się przydała. Tego lata pomagali im wszyscy, a najwięcej zięć Adam. Bywali też inni krewni, nawet Szczepan zaglądał sprawdzać, jak sobie radzi jego wnuczek i wychowanek. A Jaś zmieniał się w oczach i doroślał. Teoria i praktyka to były, jak szybko stwierdził, dwie różne nauki, ale na szczęście dobrze się uzupełniały.

Adam pochodził z Ostrowa, z sąsiedniej wioski. Jego na męża wybrała starsza córka Józia. I dobrze trafiła. Ojciec oddał im cztery morgi ziemi w posagu, co zubożyło rodzinę, ale los odwdzieczył się dobrym i pracowitym człowiekiem, i właśnie on był wtedy dla Jasia największą podporą.

O ile Szczepan wyedukował wnuka w myśleniu, o tyle Adam Ciosek wpoił Jasiowi podstawy praktycznego działania. Nie tylko pracy na swoim. Zabierał go też na zarobek. Chłopiec szybko się uczył, a że był bystry, więc wkrótce sprawnie obrabiał obejście i pole. Podglądał innych, a później próbował

u siebie, nieśmiało, bo brak mu było wprawy, ale z nadzieją, że prędzej czy później stanie się przykładowym rolnikiem. Na szczęście, mimo złych czasów, wieś powoli odżywała. Coś drgnęło w mentalności chłopów. Motor postępu wjechał z hałasem do podkieleckich wsi i rozgościł się na dobre.

– Widać postęp i wiedza nie boją się cara. Wcisną się wszędzie, nawet do Krasocina. – Rozmawiali przy wspólnym obiedzie z Adamem i Kaliszewskim, który odwiedził Jasia, żeby dowiedzieć się czegoś o Olku i Felku, sąsiadach z ulicy.

– Zamożni gospodarze inwestowali w maszyny i zaczęli wprowadzać nowości, a to kosztuje – tłumaczył im Adam. – Co bogatsze folwarki jakoś sobie radzą, mniejsze, te co stawiały na pracę najemną, zaczęły upadać.

– Jak to, to nie ma kto pracować? Jeszcze niedawno całowałiby ręce, żeby choć rubla zarobić. – Młody Kaliszewski nie mógł jakoś pojąć ludzkiej filozofii.

– Siła robocza stała się za droga – odpowiedział mu Adam. – Bo ludzie odchodzą do miasta, a w mieście życie widać łatwiejsze i nie trzeba się martwić o plony ani o deszcz, ani o szkodniki. Robisz, co każą, a potem fajrant. Teraz za pracę w polu trzeba słono płacić. Za grosze, jak kiedyś, nikt już nie chce się nająć. Choćby wasi sąsiedzi, bracia Pawłowscy. Olek poszedł do Kielc, Felek do Częstochowy. Pracują u przemysłowca, nieźle zarabiają, popołudniami mają czas dla siebie. Młodzi są i zbrzydła im wiejska bieda. Do tego ziemi nie kupisz, a ojcowizna dzielona, to i wyżyć trudno.

– Miasto, wiadomo, całkiem inne życie – włączył się Jaś. – Ale w mieście, jak nie masz pracy, to umierasz z głodu. Wieś zawsze wyżywi, choćbyś samo żyto obsiał i inwentarza nie miał. Mnie do miasta niespieszno – dodał ściszone głosem, bo czuł, że w tych słowach nie jest do końca szczerzy.

– No i chwała Bogu – podsumował Adam. – Tutaj jest twoje miejsce. Jednak inni, folwarczni, bez ziemi, nie mają wyboru. Takie czasy i trzeba się dostosować – podsumował, nakładając na talerz gorącej grochówki na tłustym, wędzonym boczku. – I kto ci w mieście takiej zupy zgotuje? – zapytał, kręcąc wąsa.

Zadumali się w trójkę, myśląc o przyszłości. Jedli w milczeniu, smakując każdy kęs, każdą łyżkę strawy.

Tak ich zapamiętała i wspominała tego dnia Józefa. Wszystkie poprzednie niełatwe etapy w życiu i te ostatnie, spokojne i dostatnie stanęły jej przed oczami. Przecież jej życie to ziemia, rodzina, praca. Dobrze знаła realia chłopskiej egzystencji. A teraz wiele się zmienia, choćby nowe odmiany zboża, które rodziły coraz obficie, albo wczesne ziemniaki – już nie trzeba było podbierać malutkich bulw, albo nawozy, niektórym opłacało się nawet zaciągać pożyczkę, bo plony odpłacały się z nawiązką. Ona też ma dużo większe niż kiedyś stado gęsi i kaczek, Jan dobudował w podwórku komórkę na drewno, zrobił nowy kurnik, żeby lisy nie podkładały drobiu i królików. Czują, że szczęście znowu zawita w ich domu.

Ale szczęście to kaprys losu. Pojawia się tylko na chwilę, jakby je ktoś nagle obudził łagodnym dotykiem, zapachem, promieniem wstającego słońca. Wychyla się z kryjówki i trwa tylko chwilę. Kiedy znów znika, to zwykle na dłużej. Pozostaje szara, niełatwa codzienność i strach.

Przeboleła przecież swoje wdowieństwo, z synem postawiła na nogi dom i gospodarstwo. Wizyty córek i małych wnuczek, Apolonii i Walerki, rozświeciły mroki jej żałoby, a radość wspólnych wieczerzy ogrzewała serce. Znowu zaczęła z kobietami praść na kołowrotku, śmiejąc się i śpiewając. Rodzinna izba, ogień pod płytą, zapach świeżego chleba i Jędrus bawiący się z psiakiem, którego przyniósł mu Adam. Trzeba żyć, przecież trzeba żyć. I znowu duma rozpierała jej serce. Szkoda, myślała nieraz, że Piotr już tego nie widzi. Byłby dumny z syna i z całej rodziny. Cieszyło ją wszystko, nawet nowe poduchy z gęsiego puchu, w sam raz na wiano dla Jasia, jakby się wkrótce ożenił.

– Widzę, matko, że aż dwie gęsi siedzą w tym roku na jajkach. – Kasia zaglądała do koszy stojących w kuchni pod stołem.

– Trzy jajka odrzuciłam, jedno jest niepewne. Za tydzień zrobię pławienie, to się okaże, z których będą gąski. Ale gąsiorów już nie mam – żaliła się córce. – Jasiek obydwu sprzedał na targu Żydom. Ładnie były upasione i zdrowe sztuki. Nieźle na nich zarobił.

– O gąsiora się nie martw, pożyczę swojego. Pieniądze się przydadzą, Jaś ciuła na konia – rzuciła tajemniczo.

To była radosna zima i gęsi się tyle wykluło. Białutkich, o piórkach z czystego jedwabiu. Mogła nimi wszystkich obdzielić, a resztę wypasać na łąkach, jak chmurki na zielonym niebie. Lubiła patrzeć, gdy większa, co ją Jędrus nazwał Pierzată, bo ciągle stroszyła skrzydła, wzbijając kurz na podwórku, sama się mianowała przewodniczką stada i każdego ranka wiodła pozostałe gęsi nad strumień. Tak, tego roku wszystko szło jak z płatka.

Z początkiem następnego odszedł od Kasi mąż. Zostawił ją i dziecko. Poszedł za inną, którą bardziej kochał, jak twierdził.

Kasia mieszkała w Borowcu. Więc jeździli z Adamem, żeby ogarnąć siostry gospodarstwo. Kasia, młodsza i mniej zaradna z córek, wypłakiwała za mężem oczy z żalu i ze wstydu, że taka z niej zła żona, marna gospodyni i niedobra matka, skoro mąż ją zostawił i poszedł do innej. Po kilku dniach przestała jeść, gotowa umierać. Wtedy Józefa, jak przystało na matkę, przeniosła się do Borowca. Teraz ona chciała być podporą dla córki, pomóc jej oswoić się z sytuacją. Jaś, na ile pozwalały mu czas i pogoda, krążył między domami. Żal mu było siostry, nikt się nie spodziewał, że sprawy tak się potoczą. Jej małżeństwo było swatane na siłę i szybko się wypaliło. Kasia w posagu wniosła jedynie pieniądze, więc ziemia i gospodarstwo musiały zostać przy mężu. O oficjalnym rozwodzie i podziale własności nie było mowy. Małżeństwa zawierane w kościele nie miały praw do rozwodów. O ponownym wyjściu za mąż nie mogła więc marzyć. Nie miała też jako kobieta prawa do roszczeń majątkowych. Było oczywiste, że jeśli mąż Kasi uprze się i wszystko zabierze, to swoje życie skończy w Krasocinie na wycugu u matki i Jasia. Perspektywy były niewesołe. Najpierw jednak trzeba się było zająć Kasi dzieckiem.

– Zabiorę ją do Ostrowa – zaproponował Adam, widząc, że sytuacja nie wygląda najlepiej. – U nas będzie jej dobrze, a ty – zwrócił się do szwagierki, spoglądając jednocześnie na żonę – ułóż się w tym czasie z mężem.

– Dziewczynki będą się razem bawiły i mała szybko zapomni – zgodnym głosem wtórowała Józia. Mieli przecież o rok starszą Polę.

Po kilku tygodniach mąż Kasi zdecydował, że już do żony nie wróci, przysłał na rozmowy brata. Brat oznajmił, że rodzina zabiera ziemię, a jej i dziecku, dla sprawiedliwości, zostanie dom z obejściem, ogród i pół hektara za domem.

To była dobra wiadomość. Wszyscy, którzy bali się o przyszłość Kasi, odetchnęli z ulgą. Tylko matka miała obawy, czy córka sobie poradzi, czy dwie krowy w oborze, mały ogród i trochę drobiu wystarczy na przeżycie.

Na szczęście kolejne miesiące mijały w spokoju. Kasia się trochę ocknęła, zajęła dzieckiem i domem. Do matki zaglądała od święta. Oni też jeździli rzadko, bo wiosna nabrała rozpędu i na polach zaczęły się orki.

Dałby Bóg, żeby na tym skończyły się rodzinne kłopoty.

Jednak fala zmienia swój bieg i znów toczy się ciemną doliną. Pewnego dnia pod dom Kuśmierczyka zajechał znajomy z Borowca.

– Wasza Kasia jest chora – mówił już od progu. – Drugi dzień leży i kaszle. Moja zaglądała rano i zabrała do siebie Walerkę. Trzeba wam jechać, dom trochę oporzędzić i pomóc dziewczynie. Krowy wydojone, widać rano jeszcze wstawiała, ale na wieczór już chyba sobie nie poradzi.

I znów pojechali z pomocą. Dziecko zabrali Cioskowie, gdy Kasię zwała z nóg silna gorączka

i szarpał kaszel. Matka robiła, co mogła, chłodziła kompresami, a gdy trzeba, mocno nacierała, żeby poprawić krążenie i chociaż trochę ulżyć w cierpieniu. Czekali trzy, cztery dni, a gorączka wcale nie spadła i nie było widać najmniejszej poprawy. Zaczął ich ogarniać niepokój, a w końcu strach. Chora słabła z dnia na dzień i popadała w apatię. To nie mogło być przeziębienie.

– Jadę do Włoszczowy po lekarza – zdecydował Adam. – Sami nie poradzimy – stwierdził i w kilka minut siedział na wozie. Aż mu spod kół piaskiem sypało w oczy, tak rozpędził konia na piaszczystej drodze.

Na miejscu musiał poczekać. Lekarz był gdzieś w terenie, gospodyni twierdziła, że miał dużo zleceń.

– Kto wie, czy dzisiaj wróci, bywa, że pracuje do późnej nocy, a żeby jeszcze gdzieś jechać, to raczej niemożliwe.

Adam jednak cierpliwie czekał, tarasując wozem podwórze.

Lekarz wrócił do domu piechotą i na szczęście zgodził się jechać, mimo że do Krasocina było przeszło dwanaście kilometrów. Dotarli pod wieczór. Kasia ledwo łapała powietrze, nawet nie otworzyła oczu, kiedy ją doktor badał.

– Niestety – rozłożył ręce – ciężkie zapalenie płuc, organizm wycieńczony gorączką przestał się bronić – podał smutną diagnozę. – Zostawię syrop, może uda się chociaż trochę obniżyć temperaturę, i drugi, ten w ciemnej butelce, na kaszel, żeby mogła swobodniej oddychać. – Z torby wyjął olej do nacierania i obiecał zajrzeć nazajutrz, byle ktoś po niego przyjechał.

Ale Kasia umarła nocą. Opuściła świat w całkowitej niewiedzy, zamykając błękitne oczy, zanim dzień zajrzał przez okno. Zaskoczyła wszystkich cisza, która zapadła w izbie, a matka myślała, że lek jej tak ulżył i śpi córeczka, i wraca wreszcie do zdrowia.

Jaś zastał matkę oniemiałą obok łóżka córki, zastygłą w niemocy, bezsilności i strachu.

– Nie mam siły sprawdzić, czy jeszcze oddycha – powiedziała, nie patrząc na niego. – Przed chwilą widziałam, jakby lekko drgnęła. Może śpi tak mocno, biedactwo, może tylko śpi – szepnęła cicho, jakby jej nie chciała obudzić.

Jaś przysiadł więc na stołku pod piecem i bał się odezwać. Pomyślał, że w takiej chwili najserdeczniejsze słowo ma ciężar kamienia.

Adam przyjechał zaraz po śniadaniu w drodze po lekarza. Tylko zajrzał, żeby spytać, jak się czuje chora. Zajrzał i od razu uciekł na podwórze. Nie miał odwagi spojrzeć teściowej w oczy.

– Jak pojąć to wszystko? Jaki jest sens żyć, skoro ci, Boże, wystarczy kaszel, żeby zabić człowieka? Po co je rodzić, starać się, po co się cieszyć czymkolwiek? Czy takie krótkie życie jest tego warte? – Jęki zbolącej matki słychać było przez wiele godzin. Bo jak się z czymś takim pogodzić, gdy z dnia na dzień śmierć zabiera kogoś tak młodego? Może zabiły ją smutki, choroba trafiła w trudnym momencie, to i ciało, i duch szybciej się poddaje. Może nie chciała żyć i bała się przyszłości, może, może. Tyle miała pytań, wątpliwości, oskarżała siebie, że za mało dbała o córkę, trzeba ją było dłużej doglądać i zająć jej myśli, odganiać te złe, rozweselać?

Razem z Kasią odeszła radość, jej młodzieńczy śmiech, z którym kiedy jeszcze była szczęśliwa, często wpadała do domu. Odeszło też wsparcie dla matki, nie tylko duchowe. Ile wspólnych chwil, wieczorów, zabaw, ile czułości umarło wraz z jedną ludzką istotą. Taka była zawsze otwarta i miła dla innych. A to żart rzuciła, a to zanuciła piosenkę. Mówili w Krasocinie, że w czepku rodzona, bo śmiech nie znikał z jej twarzy. Widać mężowi jej uśmiech i lekkość bycia nie wystarczyły do szczęścia. A teraz Bóg ją zabrał do siebie, może chce też posłuchać, jak śpiewa. Ale po co mu, na co taka biedna dziecina, skoro ma własne chóry anielskie? Niechby ją nam zostawił, bo u nas rzadko ludzie się śmieją i coraz rzadziej śpiewają.

– Moje dziecko, moje biedne dziecko!!! – krzyczała Józefa w dzień pogrzebu. Całą noc czuwała przy

trumnie, patrząc z niedowierzaniem na bladziutką buzię. Dopiero co się widziały, piekły chleb, robiły pierogi.

– Trzeba ją było zabrać z tego Borowca, razem z Walerką. Byłaby pewnie żyła, gdybym jej nie kazała domu pilnować.

Zła była na Boga, nie poszła do spowiedzi, po pogrzebie wyszła z kościoła przepełniona buntem.

Miotła się między poczuciem winy a obrazą na Stwórcę. Potem wpadła w kolejną depresję, przekonana, że Bóg znowu jej groził. Każdy dzień mijał w zgryzocie, tylko łyż i praca. Chowala się z rozpaczą, żeby nie smucić pozostałych dzieci. Prosty, chłopskim językiem wznosiła bezustanne modlitwy, przeproszała za grzechy, żeby tylko nimi nie obciążać bliskich. Wymyślała pokuty, godzinami klęcząc w kościele, zaklinając niebiosa. W końcu zmęczona stwardniała. Już nie była w stanie dłużej trwać w udreće.

Zima minęła w smutnym nastroju. Ponure święta, przy stole coraz mniej bliskich. Przyjechała Józia z Adamem, z nimi Apolonia i Kasi Walerka. Bawiły się grzecznie z Andrzejem, który wyrósł, ale w głowie miał jeszcze psoty.

Adam źle zniósł rodzinne nieszczęścia, lubił szwagierkę, żal mu było zrozpaczonej żony. Postanowił znaleźć coś, co odwróci uwagę od wspomnień. A że na smutki najlepsza jest praca, w niej zaczął szukać ratunku. W majątku pod Borowcem były mielerze, w których wypalano drewno dla tamtejszej fryszerki i na sprzedaż. Szukali chętnych do pracy. Zaproponował Jasiowi, żeby się obaj najęli.

Pracowali przy wyrębie lasu od świtu do nocy, kładli na ziemię drzewa grubsze niż długość piły. Takie sztuki musieli najpierw dookoła obciosać, zmniejszyć obwód pnia i dopiero piłować. Później wycięte układali w sągi. Mordęga była zbawienna. Ciężka praca to stary sposób, żeby oszukać duszę. Zajął i ciało, i myśli. A smutki każdego dnia wyciekały przez skórę z potem.

Właścicielem majątku był bogaty ziemianin. Miał kilka tysięcy hektarów lasu, tartak, młyn, fryszerkę, mielerze oraz smolarnię. Wypalony węgiel ładowano później na furmanki i dostarczano odbiorcom. Niejeden wóz po drodze spłonął. Żarzący się miał w podmuchach wiatru potrafił podpalić furmankę. Mały ogień dało się czasami ugasić, przezorni gospodarze zabierali ze sobą pojemniki z wodą. Często jednak pożoga obejmowała cały zaprzęg i wtedy ratowało się tylko konie.

Praca w mielerzach wydawała się Jasiowi ciekawa. W pewnym momencie stwierdził, że mógłby tam pracować na stałe. Wracał do domu brudny i cuchnący, matka złościła się, że niszczy ubrania. A Jaś był zachwycony. Ciekawiło go wszystko, szczególnie proces powstawania produktów z drewna. Dla chłopaka to było jak magia. Podejrzewał czasami, że ociera się o alchemię. Widział, jak przy okazji powstaje smoła, garbniki do skór, potaż, potrzebny do bielenia tkanin, różne rozpuszczalniki. To było intrygujące. Podglądał pracę przy mielerzach, wielkich kopcach palonego drewna, przykrytego grubo darnią albo gliną, dyszących wiele godzin parą uchodzącą ze środka, a potem słuchał syczenia, kiedy były zalewane wodą. Majster tłumaczył mu, że to sucha destylacja – wtedy to brzmiało jak hokus-pokus. Później pojął, że dzieje się tak za sprawą temperatury spalania, wilgotności pochodzącej z wody i zachodzących przy tym procesów. Nauczył się bezbłędnie rozpoznawać drewno, już wiedział, do czego nadaje się dąb, a do czego olcha, i co można zrobić z ociekającej żywicą sosny.

Kobiety w tym czasie zajęły się dziećmi. Dom z dwiema Józiami – matką i córką – znowu wypełnił się gwarem. Tylko śpiew i wspólne wieczory mogły im pomóc przetrwać najgorsze chwile.

Tak minęła gospodarska zima, a potem następna. Jan wyrósł, wyprzystojniał i nabrał ogłady. Na wiosnę kupił wreszcie konia. Wcześniej do orki zaprzęgał krowy. Zrobił im jarzmo i cierpliwie szkolił. Ileż z tym było zachodu, czasami wiele śmiechu. Krowy, jak to krowy, nie chciały go słuchać. Potrzebny był jeden, a nawet dwóch pomocników, żeby raczyły ciągnąć pług czy lemiesz. Ciągnąć, to mało, przede wszystkim iść tam, gdzie chciał gospodarz, a nie gdzie kusiła soczysta łąka. Mieli odchowaną jałówkę, ta

poszła na sprzedaż za trzydzieści rubli. Udało się jeszcze zaoszczędzić, w sam raz na dziesięciomiesięcznego źrebaka. Kiedy źrebak skończył rok, Jan dał mu pełen etat w polu, a sąsiedzi wszystkie nadgodziny. Wiedział, że jeśli zwierzę okaże się silne i zdrowe, to z roku na rok powinno być lepiej.

Pierwsze szkolenie

Poznań, styczeń, rok 2007

Nie było mnie przy tym, kiedy Kuba z Piotrem instalowali komputer. Czterdzieści pięć kilometrów to niby niewiele, a jednak stanowiło problem. Zatłoczona, uczęszczana trasa, korki w mieście – z każdym rokiem wydłużał się dystans do rodzinnego domu. Żałowałam, że nie zobaczę reakcji ojca i nie usłyszę wszystkich komentarzy. Po tylu latach byłam jednak w stanie przewidzieć możliwy scenariusz. Tak naturalnie i bezboleśnie weszliśmy wspólnie w ich starość, w problemy ze zdrowiem. Wydawało się, że ten stan trwa od zawsze, jakby rodzice nigdy nie byli młodzi. Własne dzieciństwo traktowałam jak coś, co mi się kiedyś przyśniło.

Gdy rodzice byli młodszy, nie pozwalali zbyt głęboko wchodzić w swoje małżeńskie relacje, a jakakolwiek ingerencja w podejmowane decyzje była niemożliwa. Mnie i im było to na rękę. Później, kiedy zamieszkaliśmy już poza Poznaniem, rodzice zostali sami. Ta odległość wystarczyła dla zachowania całkowitej odrębności, ale nie przerwała bliskości. Wprawdzie po ślubie, kiedy zaczęły się w naszym małżeństwie pojawiać dzieci, przysłała naturalnie niezależność i głęboka odrębność. Czułam, że się od siebie oddalamy, my mamy swoje życie, a oni swoje. Później, proporcjonalnie do upływu czasu, znowu zaczęliśmy się zbliżać, szczególnie wtedy, kiedy dzieci zdały maturę i przenieśli się na studia do Poznania, a później dalej, we własne, niezależne życie. Wyludnił się dom na prowincji, wyciszył – czasem tylko grało radio, telewizor, latem śpiewały ptaki, a my toczyliśmy małżeńskie rozmowy o codziennych sprawach. Zawęziło się pole problemów. Syndrom pustego gniazda? Przecież nas miał nie dotyczyć. A jednak. Brakowało mi bezcennej czułości płynącej na co dzień od dzieci, ich paplaniny, energii, problemów i tej bezinteresownej miłości, której dowody odbierałam na każdym kroku. Mąż do wylewnych nigdy nie należał, raczej strofował, niż chwalił, pouczał, niż współczuł, tak zwany niemiecki chów, solidny, ale dość chłodny. To sprawiło, że i ja się zmieniłam.

Pozostało więc w domu dwoje ludzi wyrzuconych z orbity. Człowiek bez miłości usycha, kobieta, która nie czuje się kochana, zamyka się w sobie. Mężczyzna, którego nikt nie podziwia, traci grunt. Musieliśmy się docierać od nowa. To zajęło kilka trudnych lat. I nagle spostrzegłam, że oto zamyka się koło. Nasza córka stała się kobietą, czasem trochę obcą, odległą, zajęta własną rodziną i karierą. Synowie, już dorośli, często przemądrzali, dalecy, przytulają się do innych kobiet, nie do mnie. Ile mi zostało czasu, za ile lat nastąpi etap uzależnień? Kiedy zaczną przestawiać nam meble, kosić trawnik za dziadka i kupować babci komórkę w prezencie?

Świadomość jakiegoś końca pojawiła się niespodziewanie, a teraz z każdym rokiem stawała się coraz dotkliwsza. Kiedy rodzice zaczęli chorować, tracić panowanie nad swoim ciałem, wydawali się tacy bezbronni. Zostawić ich z tym, to jak porzucić dziecko pośrodku pustyni, aż coś ścisnęło za gardło. I znowu pojawiła się czułość, utracona przed laty, w relacji rodzic i dziecko. Wtedy zrozumiałam wartość tych więzi i pokrewieństwa. Podzieliłam życie na cztery etapy, dwa już miałam za sobą. Ten trzeci był etapem powrotu. Spełniłam swoje zadanie, dałam życie nowym istotom i teraz mogę wrócić „do mamy”, na ile się da i na ile to będzie możliwe. Z upływem czasu nauczyłam się sycić każdą godziną.

Kiedyś planowałam na kilka lat do przodu, później na rok, na parę miesięcy. Teraz cieszę się, że dzień minął szczęśliwie i następny może nie będzie gorszy.

Zrozumiałam, że Kuba ma rację, że pomysł z komputerem jest całkiem sensowny. Skoro mój syn uważa, że starość może być twórcza i ciągle poznawcza, dlaczego nie spróbować? Może to dobry sposób, żeby zatrzymać przemijanie, rozszerzyć pole widzenia, oszukując czas, pozyskując go w wirtualnym świecie.

Synowie życie traktowali jeszcze jak dobrą zabawę. Dylematy matki i córki wydawały się śmieszne w konfrontacji z ich zapałem i przekonaniem, że wiedzą już wszystko. Według tych standardów poza samochodem nic nie było dla nich tak ważne jak multimedialna swoboda i chcieli się nią dzielić z każdym, nawet z własnym dziadkiem. To było jak wirus, a solidarność męska kazała im działać natychmiast. Gdy tylko pojawił się osobnik, którego można było jeszcze przyłączyć do sieci, osaczali go. Poza tym drzemała w nich niepodważalna wiara, że dziadek Antoś jest niezniszczalny, ponadczasowy i że powinien znać się na wszystkim.

Tego samego dnia ojciec przeszedł pierwsze szkolenie. Windows 97, logo z kolorowym okienkiem na piętnastocalowym monitorze stało się jego nowym oknem na świat, a może i na wszechświat, jak przewidywał Kuba. Szybko uduchowił nowy nabytek, otwierając swój pierwszy dokument. Miał podobno minę chłopca, któremu pozwolili pierwszy raz zapalić papierosa. Nieśmiało dotykał klawiszy, badał myszką pulpit z ciekawością odkrywcy. Jeśli po kliknięciu komputer odpowiadał reakcją, cieszył się szczerą radością.

Wstąpiłam do nich po tygodniu. W dużym pokoju, w miejscu, w którym od zawsze stały kwiaty, teraz królowało biurko. Na biurku skromny komputer i mój tata wpatrzony w monitor. Nie pytałam na wszelki wypadek, bo czasami bywa, że odpowiedź rzucona bezmyślnie ucieleśnia się niespodziewanie i już nie ma od niej odwrotu. Nikt nie lubi odszczekiwać własnych deklaracji. Niech więc pytanie o to, jak sobie radzi, na razie zostanie w domyśle.

Pod koniec wizyty, po wypiciu kawy i zjedzeniu cytrynowej babki, którą rodzice piekli co tydzień, ojciec zwrócił się do mnie z prośbą.

– Zanim wyjdiesz – powiedział – chciałem cię prosić o kilka wskazówek. Myślałem, że zapamiętam, ale wiesz – spojrzał znacząco – ta moja głowa.

– Masz na myśli coś w komputerze? – zapytałam nieśmiało.

– Tak, tak, chodzi o komputer – potwierdził. – Zapomniałem, jak się zaznacza, no wiesz, kiedy chce się coś wykasować w tekście. No i jak przenieść w inne miejsce, zanim się skasuje. Wydawało się proste, ale po nocy mam w głowie mętlik.

Właśnie dopijałam kawę. Spieszyłam się trochę, ale tej prośby nie mogłam zlekceważyć.

– Jasne, tato, nie ma sprawy – uśmiechnęłam się, wstając od stołu. Pomyślałam wtedy – dobra nasza.

Po kilku dniach zadzwoniłam znowu. Odebrała jak zawsze mama. W tle słychać było stuk klawiatury.

– U was wszystko w porządku? Co robicie? – pytałam beztrosko, oczekując podobnej beztroski w głosie po drugiej stronie. Ale mama miała głos nietęgi.

– Ojciec od rana gada z komputerem, twierdzi, że go rozgryza – zabrzmiało dość tajemniczo. – Jest bardzo zajęty, ale chyba dobrze się bawi.

– Martwisz się? – zapytałam.

– Trochę schudł, nie wiem, co o tym myśleć. Nie ma po prostu czasu. I zmienił się.

– Jest bardziej nerwowy?

– Nie, raczej podekscytowany. Wszystko robi dwa razy szybciej. Czy to mu nie zaszkodzi?

– Miejmy nadzieję, że raczej wyjdzie na dobre.

– Teraz, na przykład – szeptała w słuchawkę – powiedział, że „szlag go trafi”.

Uśmiechnęłam się spokojna o życie taty. Znałam te odzywki, każdy kiedyś przez to przechodził.

- Nie martw się, to całkiem normalne, ojciec musi poznać wszystkie funkcje, wtedy przestanie przeklinać i zacznie normalnie rozmawiać – próbowałam ją uspokoić.
- Wiem, wiem, Kuba mnie uprzedzał. Zadeklarował też pomoc, gdyby było tragicznie.
- Dzielna jesteś – chciałam ją wesprzeć na duchu.
- Tylko żeby ciśnienie tak mu nie rosło. Rano jest dobre, a wieczorem wysokie, musiał zażyć tabletkę. No i... – wahała się, czy ma powiedzieć. – My prawie nie rozmawiamy.
- Musisz trochę pocierpieć, mamó. Za kilka dni wszystko wróci do normy, zobaczysz – tłumaczyłam, ale w gruncie rzeczy matka nie miała specjalnie zmartwionego głosu, raczej pełen zdziwienia, że ojca tak pochłonęła mała szara skrzynka.
- Miał mi wczoraj rozrysować wzór na serwetę. Znalazłam coś oryginalnego w starej niemieckiej gazecie, ale chyba się nie doczekam – smętnie dodała. – Ma teraz lepszą zabawkę.
- A coś tam pisze czy tylko się bawi? – Byłam ciekawa, co można tak długo robić w starym komputerze z podstawowym oprogramowaniem i bez internetu.
- Chyba się bawi, pisze, a potem maże.
- Powinno się mówić „kasuje” albo „wyrzuca do kosza” – poprawiłam mamę mimochodem.
- Jak to kasuje, do jakiego kosza? – Usłyszałam zaskoczenie w jej głosie.
- Po prostu, takie komputerowe nazewnictwo. Będziesz się musiała trochę przyuczyć – dodałam na koniec.

Wspomnienia

Krasocin, rok 1904

Na początku lutego ksiądz Urbański zapowiedział, że w następnym tygodniu odbędzie się msza w intencji rodzin, które pod koniec miesiąca wyjeżdżają do Ameryki za pracą. Wyjeżdżali raczej na zawsze. Wcześniej sprzedali ziemię, zabudowania i cały zwierzęcy dobytek. Pieniądzy powinno im wystarczyć na niezbędne dokumenty i podróż za ocean. Musiało wystarczyć także na łapówki. Począwszy od wójtów, którzy liczyli koszty podwójnie, trzeba było opłacić urzędników wszelkiej maści i żandarmów, żeby uzyskać najpierw zgodę, a potem przepustkę na legalne przekroczenie granicy z Prusami bądź przebyć ją na fałszywych papierach, a w najgorszym wypadku całkiem na dziko przez zieloną granicę. Statki na szczęśliwy ład odpływały z portów w Bremie lub w Hamburgu.

– Słyszałem, że czeka się czasami kilka dni w porcie na właściwy statek.

– Kilka dni? Czyli co, śpią pod gołym niebem? – ktoś się zaniepokoił.

– Śpią w specjalnych barakach. – Rozmawiali po mszy przed kościołem. Jaś słuchał z ochotą.

– Jak długo trzeba tam płynąć? – zapytał nieśmiało.

– Zależy czym się płynie – usłyszał w odpowiedzi. Po mszy pod mroźnym niebem zebrała się grupa mężczyzn. Temat był gorący i bardzo na czasie. Dochodziły słuchy, że setki młodych, odważnych wyruszały za chlebem na inne kontynenty. W rodzinnych stronach nie było dla nich przyszłości. – Parowcami pospiesznie płynie się kilka dni, zależy jaka trasa. Ale czasami wystarczy tydzień, żeby przepłynąć ocean. Pocztowymi dłużej. Przybijają po drodze do różnych portów, żeby dostarczyć przesyłki.

– Nasi płyną do Nowego Jorku, a potem jadą pociągiem – ktoś mu wyjaśnił.

– Ci z Gruszczyna mają bilet do Pensylwanii, będą pracować w miejscowej kopalni. Jadą do syna, jest tam od roku. Przesłał im pieniądze na bilet. Wyjeżdżają wszyscy, razem z małymi dziećmi.

– Co z domem? Mieli nowy dom, niedawno go przecież stawiali.

– Dom i ziemię kupił pośrednik. Zrobił dobry interes. Kupił tanio, sprzeda z dużym zyskiem.

– Jak tak dalej pójdzie, to nie zostanie po nas kamień na kamieniu – narzekał sołtys z Borowca. – Ziemię car każe zaorać i sobie pałac postawi.

– Jak wszyscy wyjedziemy, to car z głodu umrze.

– Albo na statek wsiądzie i ruszy do Ameryki – stroili sobie żarty.

– Dość tu biedoty zostanie, biednymi łatwo się rządzi.

– A na to wygląda – dorzucił Adam, który przyjechał na mszę z Ostrowca. – Wyjeżdżają młodzi, zostają starzy i kobiety z dziećmi.

– Młodzi uciekają przed poborem, i tyle. Kto by chciał służyć w carskiej armii? Też bym wyjechał, jakby mnie chcieli powołać. Mówią, że jadą czasem jak popadnie, byle uciec od tego, co czeka ich w przyszłości. Niektórzy bez paszportu, tylko z małą kartką, żeby nie pobłądzić.

– Widać mus, skoro jadą bez dokumentów w nieznane.

Zrobiło się ciemno, niebo zanosło się gęstymi chmurami.

– Czas na mnie – stwierdził Adam.

– Śnieg zaraz zacznie sypać. Trzeba wracać do domu. Matka czeka z obiadem. A co u Józi? – Jan zapytał o siostrę. Spodziewała się dziecka.

– Nie jest źle – powiedział Adam, wdrapując się na kozła. – Cięża jest duża, a Józia ma spory apetyt, jak zawsze, więc trochę utyla. Nastrój ma całkiem dobry. Chcieliśmy do was zajrzeć po kościele, ale z rana czuła się gorzej i została w domu. Wiesz – zawahał się na sekundę – gdybym mógł, też bym chyba wyjechał – zwierzył się Jasiowi. – Mam dość tej przekłętej siermięgi, ciągłego strachu, niepewności. Ale cóż. – Spojrzał na ciemne niebo, jakby na górze szukał odpowiedzi. – Z ciężarną żoną, z niemowlęciem, z córkami? Chyba na zatracenie. – Trzymał mocno uzdę, koń aż się obejrzał zdziwiony.

– Życz jej zdrowia – powiedział do szwagra. – Może zajadę w tygodniu, a jak matka zateśni, to ją do was przywiozę – zawołał, gdy Adam zacinał konia.

Ciąża Józi od samego początku przebiegała z komplikacjami. Matka widziała, że z córką dzieje się coś niedobrego. Akuszerka z Gruszczyzna powiedziała, że ciąża jest za duża na tak drobną kobietę. Kazała jej leżeć, oszczędzać siły na poród. Miała się tylko dobrze odżywiać i nie chodzić w pole. Ale Józia była nastawiona pozytywnie. Podśpiewywała, polegając w łóżku i szyjąc dziecku ubranka. Mówiła, że czeka na syna, bo córki ma już dwie.

Tymczasem każdego miesiąca dochodziły do nich wieści o kolejnych rodzinach, które opuszczały ziemię świętokrzyską, szukając dla siebie miejsca na ziemi obiecanej. Krasocin jeszcze się trzymał, ale w innych miejscowościach, tych bliżej Kielc, pustoszały niekiedy ulice, bo jeden ciągnął drugiego. Ksiądz początkowo starał się ludzi studzić, wyjazd tak, ale wyjazd z głową, a nie na oślep bez punktu zaczepienia. Przytaczał przykłady tych, którzy po kilku miesiącach słali rozpaczliwe listy, że trudno się żyje, że trzeba ciężko pracować.

– To jest inny system – próbował im wytłumaczyć. – Żaden z was – zwracał się głównie do mężczyzn – nie będzie już wolnym jak tutaj. Tutaj każdy jest sobie panem. Pracujecie ciężko, gdy trzeba bez wytchnienia, ale sami ustalacie czas tej pracy i czas odpoczynku. Wiele zależy od pory roku, od pory dnia, wiele od pogody. Nie macie przełożonych, nikt nie wydaje poleceń, nie zabrania świętować, kiedy przyjdzie na to ochota, posiedzieć, odpocząć, napić się ze znajomym. Tam, daleko od tych zwyczajów, wpręgna was w inny rytm życia. Będzie szef albo majster, albo właściciel, będziecie musieli się dostosować do nowych reguł, których wam samowolnie zmieniać nie wolno. Tam lato czy zima, deszcz czy śnieg, czasami praca nocą, w niedzielę i nawet w święta. Jeśli chcesz dość zarobić, musisz się z tym pogodzić.

To, co mówił proboszcz, dawało do myślenia. Często wyobrażenia o życiu na obczyźnie odbiegały daleko od prawdy i trzeba to było powiedzieć. Listy o sporych zarobkach, przysyłane rodzinom dolary potrafiły zawrócić w głowach. Magia zielonych banknotów wszystko przesłaniała, a stamtąd praktycznie nie było powrotu.

Poród zaczął się w samo południe. Dzień był upalny, burza wisiała w powietrzu. Kobiety były same w domu, Adam nie wrócił z pola, dziewczynki wzięła sąsiadka. Tak było z nią umówione, że jak tylko się zacznie, przyśle je do niej. Zaczęło się jak zwykle, najpierw odeszły wody. Wydawało się, że dziecko

jest duże, tymczasem brzuch wypełniała woda. Bóle nagle ustały, poród się zatrzymał. Matka czym prędzej posłała po akuszerkę. Bała się, że bez fachowej pomocy same nie dadzą rady. Posłała też po Adama, prosił, że w razie czego mają go zawiadomić.

Przez kilka godzin Józia ze wszystkich sił próbowała wyprzeć z siebie dziecko. Ono niestety nie chciało wyjść na świat. Akuszerka była bezsilna. Po całonocnej męczarni dziecko nie przeżyło, wypadło jak śnięta rybka. Zgrabne, malutkie, lecz martwe. Józia była potwornie zmęczona, po wszystkim natychmiast zasnęła. Ale krew nie przestała lecieć, więc zmarła z wykrwawienia kilka godzin po dziecku.

Niebieska wstążka

Krasocin, rok 1908

Nocne wędrówki przerodziły się w ciągłą bezsenność. Myślom nie było końca, a wszystkie biegly w jednym kierunku, jak cień podążały za błękitną wstążką. Wolność, będąca dla Jana podstawą szczęścia, przybrała nagle inne oblicze. Już nie sam w polu i nie sam na łące, ale samotni razem, ręka w rękę, jak jedno ciało i jedno istnienie.

Mocował się kilka dni z myślami, swój czas podzielił na przed i po, ważył za i przeciw, aż w końcu stwierdził, że dalej tak żyć się nie da. Praca leciała mu z rąk i stracił apetyt. Zmarkotniał, przestał chodzić do lasu, a świat zmałał mu do błękitnej wstążeczki.

Zdecydował, że nazajutrz w południe jadą do Gruszczyzna. Od zabawy minęły prawie dwa tygodnie. To były dni poważnych decyzji. Kończył się sierpień. Wieczory stały się chłodne, pogoda kapryśna. Światło rozmyło się, zszarzało, nabrało ciężkości. Poranna mgła dłużej niż zwykle ścieliła się w trawie, mocząc bezlitośnie bielone na łąkach płótna. Nie mógł tej nocy spać i z samego rana wyszedł przed dom, a potem przez wieś do miejsca, skąd widać było drogę na Gruszczyzn. Prosił niebiosą, żeby zesłały na jutro słońce. Jak iść do dziewczyny w deszczu, w czasie wiatru, kiedy kapota mokra, rozchełstana i człowiek cały zmarznięty. Drogi robiły się wtedy błotniste, zajechałyby jak nędzary i później nijak się pokazać kobiecie. Szczególnie jak taka wybredna. A nad Krasocin, jak na złość, nadciągały ciężkie chmury.

Wracał potem do domu markotny. Wieś pod takim niebem wyglądała smętnie. Bieda i brud. W pochmurne dni na wierzch wyłaziły kościotrupy zapuszczonych domów i zniszczonych zagród. Im dalej od centrum wsi, tym było gorzej. Spoglądał na marne chałupy wiejskiej biedoty, na zwierzęta brodzące w błocie i dzieci dopiero co wygnane z pościeli, jeśli takowa była w chałupie, bawiące się z prosiakami, specjalnie się od nich nie różniąc. Wszystko osnute ciszą mglistego poranka, smutne i przygnębiające. Poczł zapach stęchłej słomy i kwaśny smród z wałących się obór. Spróchniałe płoty, na nich garnki gliniane, wyszczerbione, a stalowe czarne od sadzy. Upiorny obraz najbiedniejszych domostw, peryferie wsi, gdzie czasem dzieją się rzeczy, o których lepiej nie wiedzieć. Nie pierwszy raz mijał to miejsce, zawsze, kiedy się zasiedział u krewnych, gdy zaskoczyła go noc, przechodził tą drogą. Wiedział, że tuż za zakrętem wszystko zacznie się zmieniać. Płoty stopniowo będą się prostować, a naczynia błyszczec, płótna rozpostarte na żerdziach zrobią się białe, a okna w domach rozświetlą płomienie świec albo światła naftowych lamp. Ciekawe, czy zawsze bieda musi iść w parze z niechlujstwem.

Sobotni poranek na szczęście wstał rześki. Bóg się zlitował nad Jasiem. Mgła uniosła się lekko nad ziemią, a za nią na linii lasu pojawił się pierścień słońca. Z każdą minutą stawał się coraz jaśniejszy. Jan zjadł śniadanie, zerkając przez okno, czy słońcu się nie odmieni. Na szczęście dzień zapowiadał się ciepły i raczej słoneczny. Modlitwy się opłaciły.

Swat zjawił się, zanim Józefa zdążyła odmówić zdrowaśkę. Zanim słońce dotknęło wierzchołków sosen, już siedzieli z Jasiem na wozie.

– Coś ci się, Jasiu, spieszy – swat trochę z niego żartował. – Dopiero trzeba cię było siłą ciągnąć do ślubu, a teraz sam konia batem poganasz. Stało się coś, że tak cię przycisnęło?

Swat, daleki kuzyn matki, czasami udawał głupiego, lecz na swataniu znał się bardzo dobrze. Wiedział z doświadczenia, że młodzi teraz chcą całkiem inaczej, sami wybierają, a potem tylko rodziców proszą o zgodę. Oj, nowe czasy, nowe zwyczaje i ludzie zupełnie inni. Jan od Kuśmierczyków to chłopak dawnej daty, ale i on chciał pewnie wcześniej zobaczyć dziewczynę, widać wpadła mu w oko i teraz się boi, żeby mu kto nie sprzątnął panny sprzed nosa. Weronka to dziewczę jak kwiatek, warta dobrego chłopca, żal by jej było dawać na stracenie. Skrzywdziłby inny, bo cicha i dobra. Ma pewnie wady, ale czy jest na świecie kobieta bez wad? Wiadomo, że nie ma.

Koń niechętnie opuszczał zagrodę. Smętnie odwracał łeb w kierunku obroku, który wisiał na ścianie obory. Wyczesany jak trzeba, że aż sierść mu lśniła na grzbiecie. Założył mu Jan świąteczne uprząże, nieco krótsze i trochę sztywniejsze, żeby koń nie mógł brykać na drodze. Matka położyła na siedzisku zielony dywanik, co go zrobiła z farbowanej włóczki, specjalnie na taką okazję. Koń, powózka i chłopak wyglądali sztywnie. Swat trochę gorzej, ale w końcu on jechał do pracy.

– Tylko pamiętaj – powtarzał kilka razy do Jasia – że to ja jestem od gadania. To są delikatne sprawy, każde słowo jest ważne. Niektórzy są przesadni, cedzą wyrazy, a myślą zupełnie inaczej, zanim coś powiesz, musisz dobrze pomyśleć. Odpowiadaj, jak cię zapytają, ale sam nawet nie próbuj, bo mi wszystko popsujesz. Znam Dąbka, wiem, na co go stać, a czego nigdy nie robi. Wyczuję opór, to odstąpię, ale posag być musi, to dla waszego dobra. Im więcej dadzą rodzice, tym lepszy start dla młodych, wiadomo, i los rodziny pewniejszy. Ty się do tego nie wtrącaj, bo...

– Mnie tam o wiele nie chodzi. – Jaś wszedł mu w słowo, zanim ten dokończył zdanie. – Skoro jest zwyczaj, że posag być musi, jak będzie, to dobrze, ale jeśli nie, to się nie stawiaj – chciał jakoś podejść swata, żeby ten czegoś nie zmagstrował zawczasu. Jeszcze mu dziewczynę przestraszy i panna pomyśli, że dostanie męża z wężem w kieszeni, co w sercu srebrniki ma zamiast sumienia.

– Jeszcze raz mówię, ty mi się, chłopie, wcale nie odzywaj. W takim przypadku trzeba myśleć głową, a ty, przecież widzę, że głowę ostatnio straciłeś. O pieniądzach ja będę mówił, a ty się zajmij dziewczyną. Jak ci ją zechcą pokazać, idź z nią na bok i sprawdź najpierw, czy ci się panna podoba.

– Podoba – zanim pomyślał, powiedział do swata. – Podoba – dodał już ciszej i poczuł, że się rumieni.

Swat trzepnął ręką w kolano i zaklął siarczyście. Z ciemnych nogawek uniósł się kurz. Widać było przetarte kolana i żółte plamy od tłuszczu.

– No tak! – Splunął w piach i głośno zawołał. – Widzę, żeś chyba dziewczynę już sam wytropił. Mówiłem przecież, że ładna i całkiem niegłupia.

– Że ładna, to fakt, widziałem – Jan przyznał speszony. – Czy mądra, tego sprawdzić nie mogłem, ale wierzę na słowo.

– To sprawdzisz dzisiaj i musisz się, chłopie, uwijać, czasu będzie niewiele. Ja pogadam z Dąbkim, ty wypytaj pannę, czy aby w głowie zamiast mądrości nie ma samego siana. A ja wyjdę do ciebie na słowo, to się coś w tej sprawie ustali. Wódkę kupiłeś? – zapytał od razu rzeczowo i aż mu oczy iskrzyły pod brwiami.

– Kupiłem. – Jan wyciągnął flaszkę z okowitą, którą wiózł w sianie pod siedzeniem.

Swat obejrzał butelkę uważnie. Przechylił na jedną, a potem na drugą stronę, czy nie ma osadu. Widać osad miał spore znaczenie w sprawie swatania.

– Dobra wódka – stwierdził po chwili – kupiona w sklepie. – Spojrzał na kartkę na spodzie. Nie umiał czytać, ale tyle, że nie pędzona w kominie, to wiedział i bez czytania. Sklepowa wódka miała poważanie.

Znaczyło, że gospodarz ma klasę.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Droga pięła się w górę, koła czasem grzęzły w piachu. Słońce przypiekało, zrobiło się duszno. Przed samą wsią natknęli się na dwóch mężczyzn leżących pod drzewem. Widocznie jeszcze trzeźwieli. Minęli ich bez słowa. W oddali, po lewej stronie, pojawiły się ruiny kościoła Świętego Michała. Wjeżdżali właśnie do wsi. Na niebie nie było ani jednej chmury. Obawy, że może padać, były niepotrzebne.

Swat pokazywał drogę. Jaś powoził i wypatrywał właściwej chałupy.

– To ten z malowanym płotem i szerokim gankiem. – Swat pokazywał palcem. Wjechali przez bramę i zatrzymali konia pod samymi drzwiami. Dom był Jasiowi znajomy. Bywając w Gruszczynie, często przechodził obok. Zapamiętał ten ganek, w szczególności okna od płotu. W szybach były białe koronki, na które zawsze zwracał uwagę. Nigdy przedtem takich nie widział.

Weszli do obszernej sieni. Na ścianach suszyły się zioła. Jan rozpoznał wyblakłe płatki modraków, które lubiła mama, i chabrów, błękitnookich aniołów. Z mieszkania dochodził zapach lawendy. Mdlilo od tego zapachu, wymieszanego z wonią kiszanej kapusty i parowanych obierzyn. W kącie zauważył dużą beczkę i cebrzyk przykryty ścierką, obok stołek i na nim miskę. Drzwi jak na niego były za niskie, więc się musiał mocno pochylić. Nad drzwiami, na białonej ścianie zobaczył kolorowe wzorki, szlaczek drobnych kwiatków w błękitnym i czerwonym kolorze.

W izbie zwyczajne sprzęty i skromnie, podobnie jak u nich w domu, tylko starania kobiet były bardziej widoczne. Na ścianie święte obrazki w ramach, a dookoła ramek podobne jak nad drzwiami malowane szlaczki. Były nawet półki pod oknem, a na nich poduszki na igły z zielonego sukna i gliniane, malowane naczynia. Na jednej z półek ujrzał dwojaki, obok stało na nóżce okrągłe lusterko. Zwrócone w kierunku okna odbijało jasne światło padające z dworu. Lustro, dowód luksusu, wieś się jednak zmienia – pomyślał Jaś, uśmiechając się w duchu. Zbytek tępiony przez Kościół, grzeszny przedmiot pożądania stał teraz w wiejskiej chałupie.

Jan zatrzymał się chwilę w progu. W izbie zrobiło się lekkie zamieszanie.

Ustawiono dla nich cztery stołki. Na stole stał talerz z pajdami chleba i cztery kieliszki do wódki. Widać czekali na gości od rana. Pierwszy do izby wszedł swat. W środku czekali już na nich ojciec i matka dziewczyny. Przy stole siedział jeszcze jeden mężczyzna, sporo od nich starszy. Wiek było widać po siwych włosach i mocno zgarbionych plecach. Wzrok miał uważny, skupiony, prawie przesywający. Dąbek zerkał gdzieś w przestrzeń za nimi. Był w luźnej koszuli wypuszczonej na spodnie i zgrzebnej bluzie, ubrany jak co dzień, bez wielkiego szyku. Matka cała na biało, w czepku, spod którego spadały na oczy drobne, jasne loki. Twarz miała ładną, ale oczy mocno podkrążone i bladą cerę. W dłoni ścisnęła nerwowo zapaskę, gniotąc ją z całej siły.

Dąbek pierwszy podał rękę wchodzącym, stary nawet nie wstał od stołu, tylko uniósł dłoń na znak powitania. Matka dygnęła nieznacznie, spłoszona albo przejęta niecodzienną rolą, i natychmiast uciekła. Słysząc jej głos w pomieszczeniu obok i inne kobiece głosy mówiące coś szeptem.

– Zapraszamy, wejdźcie, proszę – odezwał się Dąbek, wskazując im wolne miejsca. – Usiądźcie z nami do stołu. Czym chata bogata – szczerze zapraszał przybyłych.

Jan był skrupowany sytuacją, nigdy jeszcze nie czuł się tak dziwnie. Swat jednak znał obyczaje, przywitał się z gospodarzem i szybko przeszedł do rzeczy. Widać potrzebne były te ceremoniały, ukłony, sztuczne uśmiechy i wyuczone na pamięć zwroty. Musiał wypowiedzieć to wszystko, żeby dobrze przyklepać interes. Rozsiadł się przy stole bez krygowania i ostentacyjnie wyjął butelkę. Mężczyzna pod oknem, który okazał się teściem Dąbka, podał mu przyjaźnie rękę.

Początkowo rozmowa słabo się kleiła. Swat robił, co mógł, żeby nadać jej swobodny ton, ale Jan był dość sztywny i spięty. Krępowano go, że jest czymś w rodzaju towaru, konia na sprzedaż, któremu

zagłęda się w zęby, poklepuje po zadzie i głaszczce, a czasem wali po grzbiecie. Lepiej zabrałby dziewczynę na spacer, porozmawiał spokojnie i posłuchał, co ona do niego mówi, jak się zapatruje na życie i czego oczekuje. Potem kilka razy przyjechałby po nią i zabrał na mszę do kościoła, na zabawę, do domu pokazać ją matce, a dziewczynie dom, niechby wiedziała od razu, na co się zgadza. Uważał, że najważniejsza jest ich wspólna wola, a nie teścia czy swata. Tak myślał, ale nie mógł niczego zmienić, bał się buntować, żeby nie stracić dziewczyny. Swat w tym czasie zachwalał jak mógł, że kandydat ma do wszystkiego smykałkę, że zna się na stolarce, na ciesielce, że od dziecka radzi sobie z całym gospodarstwem, bo go ojciec wcześniej osierocił, że jest spokojny, pracowity i zdrowy. Jan zaczął go wreszcie kopać pod stołem. Chciał poznać dziewczynę, a nie słuchać bez przerwy o sobie.

– Przyszliśmy więc w swaty do waszej córki Weroniki – usłyszał wreszcie formułkę, bez której nie mogło się obyć. – Mamy nadzieję, że pozwolicie jej wyjść do kandydata, żeby się młodzi mogli zobaczyć. Trzeba im dać możliwość poznania, zanim ogłosimy zrękowiny.

Dąbek się trochę nasrożył. Grał, pewnie tak było trzeba, że niby nie jest jeszcze przekonany, że musi chronić córkę, zanim będzie pewien.

– Na słowo nam nie wierzycie? – zapytał więc krótko swata. – Mówiłem, że dziewczka szwarna i pracowita.

– Wierzymy, wierzymy – zapewniał swat szczerze. – Tylko ciekawość u młodych jest taka, żeby jednak sprawdzić. Nie ma co panny ukrywać, może i ona chętnie rozezna się, czy chłopak jej odpowiada.

– Panny ukrywać nie chcemy, tylko najpierw trzeba porozmawiać i dowiedzieć się, jak sprawy stoją i co nasza córka zyska na małżeństwie z tym tu Kuśmierczykiem. To dobra dziewczyna, nie damy jej na zatracenie. Jak porzekadło mówi: „Łatwiej słomianemu Jasiowi niżli złotej Kasi”. Dobrej dla niej partii szukam, na całe życie. Coby i wnuki były jak trzeba, ładne i zdrowe.

Swat też udawał, że się obrusza, i nie był mu dłużny. Poderwał się gniewnie od stołu, niby że zaraz wyjdzie z izby, w której go obrażano. Ale gniew był sztuczny i swat ani myślał wychodzić. Spojrzał w oczy Dąbkowi.

– Mówią – odwzajemnił się powiedzeniem – że chłopu wystarczy, żeby był od diabła ładniejszy. A ten, sami widzicie, gładki jest i dobrze mu z oczu patrzy.

– W oczy to ja mogę spojrzeć mojej kobyle, a nie chłopu, co ma utrzymać rodzinę.

– No to w sam raz trafiliście. Kandydat bardzo się nada. Uszanuje córkę, nie zrobi jej krzywdy. To wam gwarantuję. Znaie mnie, dbam o reputację. Byle kogo bym tu nie sprowadził. Chłopak ma rodzinę w Gruszczynie, popytać możecie. Każdy o nim powie dobre słowo. – Sprzedawał Jasia bez chwili wahania. Widać było, że czuł się mistrzem w tym fachu, kiedy bez końca wyliczał walory.

Jaś powoli zaczynał podnosić głowę do góry. Niby się złościł, z drugiej jednak strony przecież nic, co mówił swat, nie było kłamstwem. Myślał o sobie zwyczajnie, teraz zauważył, że jako partia, mimo słabych zasobów finansowych, całkiem nieźle sobie z życiem radzi. Miło usłyszeć pochwały. Nawet jakby mu wzrostu przybyło, wyprostował plecy i wyżej uniósł głowę. Byłby więc próżny tak samo jak inni? Aż się uśmiechnął pod nosem.

– Zachwalacie, aż miło – zauważył gospodarz. Zmienił już ton i spojrzał przyjaźnie na Jana. – Za mną już kawał życia i wiem, co znaczy rodzina. Ale to, że kobieta to ważna jej część, dowiedziałem się późno. Dlatego sprawdzam, czy kandydat jest już pouczony. Mówią ludzie, że chłop trzyma w domu tylko jeden węgiel, a kobieta cztery. Ale jest słabsza od chłopca, potrzebuje więc mocnych ramion – zaznaczył dość głośno. – A teraz, kumie, do rzeczy, trzeba pogadać o wianie. – Dąbek spojrzał znacząco na Jasia.

– Ale od konkretów jestem tu ja. – Swat wszedł mu w słowo. – Ze mną będziecie uzgadniać szczegóły. Niech się teraz młodzi sobą nacieszą, a my wypijemy. Przy wódce rozmawia się wartko i szczerze.

Dąbek przytaknął tym słowom i zawołał na żonę.

– Ale do rozmowy oprócz wódki potrzebna zagryzka – dodał ceremonialnie.

– Widzę, że zakąska stoi. – Swat spojrzął na talerz z chlebem. Chwycił szybko butelkę, zwinnym ruchem odkorkował szyjkę i nalał po jednym do czterech kieliszków.

– Za szczęście młodych – teść Dąbka powiedział dobitnie, przechylając dziarsko kieliszek. – Jako dziadek Weroniki jestem tu po to, żeby zaświadczyć słowem, żebyście później swoich obietnic zaprzeczyć się nie mogli. – Dokończył, wytarł rękawem usta i zamasyście strzepnął kieliszek, a resztki wódki skropiły deski podłogi.

– Ano, wzajemnie – odpowiedział swat zadowolony z obrotu sprawy.

Jan wypił jak oni, ale zagryzki nie brał. Co innego było mu w głowie, zresztą nie mógłby przełknąć niczego. Usłyszał szelest i odruchowo spojrzął za siebie. W drzwiach stała Dąbkowa z dużą miską w rękach. Doleciał Jana zapach kiszonych ogórków i gotowanej kapusty.

– Weronika czeka w sieni – powiedziała, stawiając na stole zagryzkę, i wyszła z izby, spoglądając ukradkiem.

Jaś szukał wzrokiem dziewczyny. W nogach czuł silne mrowienie, trochę się denerwował. Zobaczył, że wyszła z komory i stanęła nieśmiało pod ścianą. Bała się spojrzeć na niego, tak samo jak on na nią. To był strach przed pierwszym spojrzeniem, które miało wszystko rozstrzygnąć. Ona chciała poczuć uderzenie serca, jakby ktoś pieczęć przyłożył. Kobiety mówiły, że właśnie tak objawia się przeznaczenie. Wstrzymała na chwilę oddech i podniosła głowę. Uderzenia nie czuła, zobaczyła za to szare oczy, a w sercu poczuła ciepło i spokój. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. On czekał na miły uśmiech, nie był rozczarowany.

W końcu śmiało przestąpił próg. Musiał się znowu pochylić. Zrobił przy tym dziwny dyg, wywołując uśmiech na twarzy dziewczyny. Podobało się jej, że jest taki wysoki i pogodny na twarzy.

– Dygam przed tobą jak jakaś panna – powiedział, widząc, że się do niego śmieje. Stanął na wprost, tak zwyczajnie, jakby się od dawna znali.

– Mówiłam tacie, że przez te drzwi kawaler do mnie nie przyjdzie – nie była mu dłużna. – Nie myślałam, że dzięki temu najpierw się ładnie ukłoni. Więc może dobrze, że próg wysoki.

Stali przez chwilę, badając się wzrokiem. Czy to mogło wystarczyć do podjęcia decyzji? Tyle pytań miała do niego. To, że się ładnie uśmiecha, że jest miły, nie wystarczy, żeby poznać człowieka.

Jaś nie miał już wątpliwości. Panna miała wdzięczną powierzchowność, przyjemną twarz, trochę szeroką, ale pogodną i szczerą. Włosy proste, nie jak u matki, jasne i kręcone, lecz zaczesane i spięte w warkocz. Leżały gładko na głowie, a te niesforne zgrabnie założyła za uszy. Ubrana była w skromną sukienkę, szarą, na niej białą zapaskę. W warkocz wplotła czerwoną wstążkę.

– Usiądźmy. – Jan przysunął się w ciasnym przejściu. – Tu albo na ławie pod drzewem.

– Na podwórzu zaraz przyjdą młócić zboże. Gapić się będą i przeszkadzać, a u sąsiada dużo małych dzieci, hałas robią okrutny i ze wszystkiego zabawę. – Cofnęła się i usiadła na ławce pod ścianą. – Zostańmy tu – poprosiła. – Siostra poszła w pole, w kuchni jest tylko matka. Obiera jabłka na susz, nie będzie przeszkadzać. Przymknij tylko drzwi do izby, ojciec ma głos jak dzwony w kościele, a jak jeszcze wypiją, to kury uciekną w Góry Świętokrzyskie – żartowała z ojca i ze swata.

Jaś nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Usiadł obok i nerwowo poprawiał spodnie. Tarł przy tym tak kolana, że aż ciepło robiło się w dłonie. Nie wiedział, o czym gadać z dziewczyną, jak ją wciągnąć w rozmowę, żeby tylko nie wypaść na głupca. Spojrzął w górę, jakby na szarym suficie miały się ukazać pomocne znaki, ale poza kilkoma plamami z rozgniecionych much i sporej pajęczyny niczego nie ujrzał. Dopiero gdy popatrzył niżej, gdzie na białej ścianie tańczyły kolorowe szlaczki, temat sam mu przyszedł do głowy.

– Ktoś u was ładnie maluje – zauważył, pokazując szlaczek nad drzwiami. – Koniki same cwałują na

ścianie, ładne to. Pierwszy raz widzę, żeby w domu były malowane ściany.

– To siostra, ona ma dar do farbek – odpowiedziała wdzięczna, że pierwszy się do niej odezwał. Może i w tym obowiązywał konwenans, ale dla Jana był tajemnicą. Nikt go elegancji nie uczył, zresztą pierwszy raz starał się o dziewczynę i miał nadzieję, że po raz ostatni.

– Sama to wymyśliła? – zapytał zawiedziony. Był przekonany, że tylko jego wybranka może być taka zdolna. Nie wiedział, czemu ubzdurał sobie, że to jest dzieło Weroniki.

Nie odpowiedziała od razu. Może powinna skłamać, słyszała, że panny często kłamią przy takich okazjach, pokazują uszyte pierzyny, że niby same potrafią. Uznała jednak, że to nie jest potrzebne. Chłopak nie wyglądał jej na takiego, co lubi, jak się z niego żartuje.

– Byłyśmy u kuzynki w Zalipiu, gdzie kobiety malują swoje domy, a w tych domach piece i ściany, jakby na nich haftowały. Anielka była zachwycona.

– Widać, że dziewczyna ma talent do tego.

– Wróciłyśmy do domu i ojciec wystrugał jej kilka pędzelków z brzozowych patyków, kupił w Kielcach farby, więc wzięła się do roboty – tłumaczyła Weronka. – Początkowo nie szło jej zbyt dobrze. Narobiła plam i trzeba to było zdrapywać i bielić na nowo. Potem ojciec zrobił jej pędzle z końskiego włosia, tak mu ktoś doradził, i wtedy zaczęła malować. Najpierw chciała ozdobić piec, ale mama nie pozwoliła. Bała się, że ją we wsi wyśmieją za kwiaty na piecu, a nie daj Bóg, na zewnątrz domu – dodała. – Anielka zamiast pieca pomalowała drzwi od podwórka, ale mama kazała tacie szybko przemalować. Szkoda, bo były ładne, mnie się podobały. Ja nie potrafię malować tak ładnie jak siostra – próbowała się tłumaczyć.

– A koronki w oknach też zrobiła siostra?

– Koronki to moja robota – odpowiedziała trochę zdziwiona, że chłopak zwraca uwagę na babskie ozdoby.

– Piękne. – Jan szczerze podziwiał. – Jeszcze ładniejsze niż malowanki – powiedział, chcąc sprawić dziewczynie przyjemność.

– E tam, to nic trudnego – trochę się speszyła.

– A gotować, robić obrządek i szyć także potrafisz? – odważył się w końcu zapytać. Zrobił to jednak zbyt cicho i Weronika pochyliła się, żeby lepiej słyszeć. Zobaczył błękitne oczy i aż się nimi zachłysnął. Wystarczyło, że tylko w nie zajrzał, i strumień mu się przypomniał i czyste niebo. Kąciki oczu zwięziły się znowu w uśmiechu. Pomyślał, że jest pogodna, ładna i ma oczy jak letnie niebo.

– Matka mnie nauczyła – powiedziała bez skrępowania, nie dostrzegając niemego zachwyty chłopaka. – Od dziecka pomagamy w domu rodzicom. Może nie jestem zbyt prędką – przyznała szczerze. – Ojciec mówi, że Anielka jest szybsza, ale za to ja mniej hałasuję. Ona jest bardzo głośna, a jak mówi, to trudno jej przerwać. – Odruchowo spojrzała na drzwi, słysząc krzątającą się matkę. – Szyć nauczyła mnie babcia, bo mama... – ściszyła głos i spojrzała filuternie na Jana. – Mama szyć nie potrafi. Twierdzi, że słabo widzi, ale to tylko wymówka. Pewnie tego nie lubi. Sama wiem, że jak się czegoś nie lubi, to gorzej wychodzi.

– U mnie w domu też jest matka. Gospodarzymy razem. Jak za mnie wyjdiesz, będzie trzeba powiększyć dom. W tym co jest, będzie nam ciasno – tłumaczył dziewczynie. – Matka nie jest łatwa, to fakt. Czasem lubi rządzić. Przez to owdowienie zhardziała. Czasem trudno wytrzymać. To dobra kobieta, szczerą, tylko że nieustępliwa. Ciężko jej, kobieta, która za szybko straci męża, robi się przykra, tak mówią – tłumaczył dziewczynie. – Gdybyś mnie chciała – popatrzył jej prosto w oczy – dobrze byłoby, gdybyście się jakoś zgodziły.

Dziewczyna spłoszyła się, słysząc o trudnej matce, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zgadzać się bez słowa, to jakby się nie miało swojego zdania, ale buntować zawczasu też nie było potrzeby. Oswoiła się

z tym, że w domu trzeba słuchać ojca i matki, ale świekra to co innego. Kobiety mówiły, że jak raz wyczuje słabość synowej, to zamęczy i odsunie od chłopa, a i miłość wtedy u młodych gorsza, bo pod okiem zazdrosnej teściowej.

Jan wyczuł wahanie dziewczyny. Pewnie boi się odejść z rodzinnego gniazda, które jej wiją rodzice. Rozumiał doskonale, sam był także w potrzasku. Oboje musieli wybrać, on kobietę do domu, ona opiekuna i ojca dzieciom. Nie była to łatwa decyzja. Ciągnęło go do niej, ale czuł, jak po plecach spływa mu pot ze strachu, bo przecież wcale się nie znali. Cóż się można dowiedzieć w czasie krótkiej rozmowy, gdy za jedną ścianą nasłuchuje matka, a za drugą o losach decydują trzej pijani mężczyźni? Czy to jest właściwa kobieta? Czy on jest dla niej dobry? Spojrzał i zobaczył jej profil. Podniosła właśnie z ziemi kilka kłosów żyta, które wiatr przywiał z podwórza. Pękały z trzaskiem, kiedy je nawijała na palce. Oboje w skupieniu patrzyli, jak resztki kłosa osypują się po fałdach sukni. Za drzwiami sieni czaiła się kura, przechylając na boki głowę, spoglądała z nadzieją na spadające ziarno.

– Sio! – Machnął na nią. Nie chciał, żeby im teraz cokolwiek przeszkadzało. Kto wie, ile mają jeszcze czasu na rozmowę. Kura uciekła, pogdakując zła, że straciła posiłek.

– Nie jestem przyzwyczajona do luksusów. – Weronika zaczęła po chwili. – Kiedyś było nam gorzej, więc znam głód i wiem, jak trzeba pracować, żeby przeżyć. Lubię porządek i jestem czysta. Z rodzicami się zgadzam, ojciec jest bardzo dobry, matka też, ale nie wiem, jaka będzie teściowa. Wiadomo, dla niej syn zawsze ważniejszy. – Wbiła w niego bystre źrenice. Połamane drobinki kłosa wypadły jej z rąk.

Kiedy poprawiała warkocz, zarzucając go dłonią na plecy, Jan uśmiechnął się, bo ten gest przypomniiał mu matkę. Może nie będzie tak źle – pomyślał. Może się ze sobą zgodzą. Usłyszeli za drzwiami śmiech i rubaszne odzywki. Przodował w tym Dąbek, ale i swat nie był w ciemnię bity. Zagadywał, jak mógł, i przypijał co chwilę do Dąbka. Widać rozmowa jakoś się toczyła. Tylko czy aby w dobrym kierunku? Z ich słów wynikało, że mówią o czymś zupełnie innym niż powód, dla którego się spotkali. Młodzi na chwilę zamarli. Czyżby wódka do tego stopnia pomieszała im w głowie?

– Jak na mnie, za mało wypili. – Jan powiedział pierwszy, widząc zdumienie w oczach Weronki. Zaczęli nasłuchiwać.

– W Wielkopolsce już je mają od dwudziestu lat – słychać było głos Dąbka. – I wiele z tego wynikło dobrego. Mają kółka rolnicze i spółdzielnie, wspierają się i bogacą. Tylko u nas głupota i ciemnota.

– Tak, tak, może się jeszcze jako pierwszy zapiszesz. – Teść głucho warknął na zięcia. – Tylko patrzeć, jak kibitki po ciebie i wszystkich Dąbków przyślą. Tylko patrzeć – teść powtórzył dobitnie.

– Zapisali się już inni, nie czekali ani na mnie, ani na ciebie. Tylko dziękować, że się ksiądz za nas narażał i głowę za wieś podkładał. Jak przyjdą, to najpierw po niego. – Dąbek tracił cierpliwość. Swat siedział cicho jak trusia.

– Lepiej wypijmy – zachęcał i stukał butelką, żeby ich przywołać do porządku.

– Wieś z dymem puszcza, jak już nieraz było. Bez spółdzielni czy kółka da się jakoś żyć, bez dachu nad głową nie przetrwasz.

– Ojciec woli święty spokój i głowę w piasek, a my chcemy zmian. Car dał pozwolenie, już dwa lata mija, jak obowiązuje. Nie wiem, czego się bać, skoro już mają gdzie indziej i własne kasy bankowe, własne stowarzyszenia. Przykład tylko brać i Bogu dziękować, że idzie ku lepszemu.

– Ojciec już się kłóci z dziadkiem dwa miesiące – tłumaczyła Jaśkowi Weronka.

– W Krasocinie też wrze. Wieś jest podzielona, część boi się, że będzie jak dawniej, kiedy pięć osób zebrało się razem, to zaraz żandarmi pod dom zajeżdżali. Strach było nawet w święta, jak więcej osób zeszło się w chałupie. To teraz, gdy już wolno zakładać kółka i stowarzyszenia, to nie wierzą carowi.

Podniesione głosy Dąbka, teścia i w końcu swata, to raz wzmagaly się, to nagle cichły.

– U nas takich kłótni nie będziesz słyszała – zapewniał Jasiek. – Jedynie Adam, mój szwagier, zwozi ze

świata nowinki. Matka lubi go słuchać, a ja podyskutować. Czasami wpadają sąsiedzi z Floriańskiej. Ale nie są głośni. Trochę rozprawiają o tym, co w okolicy, czasem wypiją, lecz nie robią awantur.

– Ojciec i dziadek potrafią się kłócić. Potem dziadek wychodzi i przez miesiąc nie wraca, aż mu złość całkiem przejdzie. Matka złorzeczy na nich, że takie stare, a głupie.

– A ty... – Jan się przez chwilę zawahał. – Ty się lubisz kłócić? – Spojrzał Weronce głęboko w oczy, aż się trochę zawstydził.

– Ja? – zdziwiła się zaskoczona. – Musisz przecież wiedzieć, że dużo zależy od tego, jak mnie będziesz traktował, czy będziesz za matką, czy za mną. Nie dam sobie chodzić po głowie – dodała ostrzegawczo. Jej oczy zwęziły się lekko, oblizała wargi zmieszana własną odwagą.

Dziewczyna była konkretna i szybko myślała. To dobrze wróżyło. Skoro sama wie, co znaczy szacunek, i oczekuje szacunku, widać, że go potrafi okazać. To było dla Jana ważne.

– Nie jestem kłótniwy, z ludźmi się dogaduję, ale mam swoje braki – teraz on otwierał się przed nią. Czuł się zobowiązany, skoro tak szczerze mówiła o sobie. Nie ma sensu udawać. Po co ma się dziewczyna zawieść. Powie dobrze, to potem będzie zła, że skłamał, że wcale nie jest ideałem – pomyślał. Lepiej zaskoczyć z nawiązką, niż rozczarować. – Wychowałem się prawie bez ojca. Dziadek był moim opiekunem i jego mądrość jest mi bliższa. Od młodych lat muszę sobie radzić. Kiedy umarł ojciec, przejąłem jego obowiązki, a że wcześniej długo chorował, gospodarstwo było zaniedbane. Dopiero co wyszedłem z długów. Teraz się już o przyszłość nie boję, dlatego chciałem założyć rodzinę. Już czas najwyższy. – Mówił, jak jest, otwarcie, ale nie patrzył jej w oczy, tylko gdzieś w bok, na podwórko, po którym biegały kury i gdzie słychać było dziecięce krzyki. – Myślę, że jeśli oboje będziemy się starać, to wszystko się jakoś ułoży. Trzeba zaryzykować, jak nasi ojcowie kiedyś i nasze matki. Oni zaczynali podobnie, na początku mało się znali.

Za drzwiami zrobiło się cicho. W kuchennych drzwiach pojawiła się matka, przeszła obok bez słowa i popychając drzwi od izby, weszła do środka. Po chwili do sieni wymknął się swat. Przechodząc, szturchnął Jana w ramię i nachalnie, widocznym gestem kazał mu iść za sobą. Jan dał znać dziewczynie wzrokiem, że za chwilę wróci. Tak było przyjęte, że swat konsultował się z kandydatem w sprawie posagu.

– Dają mniej, niż chcieliśmy – wyszeptał, gdy wyszli z domu. – Ja bym odstąpił. Przetrzyma się ich kilka dni, to zmiękną. W końcu ona nie taka ładna, jak mi ludzie mówili. A jak nie, znajdę ci ładniejszą i taką, co wniesie pieniądze. Dąbek wódkę wypił i teraz się stawia. Mówi, żeś gołodupiec. Jak tak do mnie zaczyna, to ja się nie dam obrażać. – Podпиты swat stroszył się jak kogut.

– Ale jak to? – Jasiek aż się zakrztusił. – Ale co, nic nie rozumiem, to oni nie chcą, czy my? – pogubił się z tego wszystkiego.

– Dają, ale głównie wiano, pieniędzy niewiele. Chyba więcej nie mogą, mieli zły rok, zboże pogniło, a ziemi co kot napłakał, więc kręcą nosem. – Z kwaśną miną wymienił sumę. – Za mało, myślałem, że dadzą więcej, ale stoją twardo przy swoim. Nie wiem, co robić – stwierdził. Usiadł na stopniu przed gankiem, bo mu zabrakło powietrza. Twarz miał czerwoną z emocji albo od wódki. – Nie chcesz, powiem, że ci potrzebny czas do namysłu, a za kilka dni stwierdzę, że się chłopak rozmyślił, i będzie po sprawie. – Podniósł się, dając tym znać, że on już zdecydował.

Jan stał przez chwilę zdziwiony, wreszcie dotarło do niego, że sprawa jest zagrożona, poczuł, jak mu zasycha w gardle, a w głowie tłukły się myśli, że może stracić dziewczynę.

– I co teraz będzie, jak sądzisz? Może nie chcą mnie wcale – stwierdził z niepokojem. – Tylko tak mówią, że nie mogą, żebym się szybko rozmyślił, bo chcą bogatszego? W końcu nie jestem wymarzoną partią, jedynie zwykłym chłopem z kawałkiem ziemi i starą chałupą – wyrzucił z siebie.

Swat spojrział na Jasia i aż się od niego odsunął. Widział, że dziewczyna zawróciła mu w głowie.

– To znaczy, że mam się zgodzić? – zapytał szeptem.

Jaś szybko potwierdził.

– Ja już zdecydowałem, biorę ją tak, jak stoi – powiedział kategorycznie. – Jeśli oni mnie chcą, to się układaj.

– Bez obaw. Znają tu waszą rodzinę i masz u nich dobrą opinię. Chyba mówią szczerze. Pannę ci dadzą, to pewne.

Jaś czuł uderzenia serca. Nie bał się o pieniądze. Co tam, jakoś się je zdobędzie. Dziewczyna przypadła mu bardzo do serca, drugiej takiej może już nie spotkać.

– Niech będzie tyle, ile chcą dać. Już się z nimi więcej nie targuj – przykazał. – Ja wracam do panny, a wy ustalajcie terminy. Dłużej tu stać nie możemy – szepnął przestraszony i szybko wrócił do sieni.

Weronika czekała, tak jak ją przed chwilą zostawił. Kiedy usiadł obok, spojrzała złęknioma, bała się tego, co za chwilę usłyszy. Polubiła Jasia, szkoda byłaby wielka, gdyby się rozmyślił. Radość i łyzy chodzą zawsze parami. Jasne, że to nie były zwyczajne zaloty, żarciki i radosne ćwierkania, tylko poważna rozmowa. Ważny moment, minuty, które miały zdecydować o wspólnej przyszłości. Aż strach pomyśleć, że oto teraz wszystko się rozstrzyga. Jak w takiej chwili żartować?

Przypomniały się Jasiowi bociany i ich niebieskie szlaki, szkarłatny zachód słońca, żagle białych chmur, jesienne deszcze. Ptaki w drodze, istoty przestworzy, wędrowcy na długich nogach, a jednak i one w końcu wracają do gniazda. Nadchodzi czas budowania, karmienia, chowu, trzeba uczyć młode latania. I skoro one mogą godzić się z niewolą, dlaczego człowiek miałby się przed tym buntować? Kończy się jedno, a zaczyna drugie, każdy przez to przechodzi, czy to człowiek, czy zwierzę. Miał ochotę chwycić Weronkę za rękę, spojrzeć jej głęboko w oczy i o tym powiedzieć, bo nie jest pusta i próżna, wygląda na mądrą dziewczynę. Czuł, że wiele ich łączy, i że są sobie stworzeni.

Narada za drzwiami trwała w najlepsze, a oni wciąż rozmawiali. Weronika pytała Jasia, co uprawia i ile ma ziemi, a on ją, czy kończyła szkołę i czy potrafi pisać, bo jeśli nie, to ją chętnie nauczy. Rozmawiali o planach, o marzeniach, które z nich mogą się spełnić, a które wydają się zbyt odważne. Jan stwierdził po raz kolejny, że dziewczyna ma dobrze poukładane w głowie. Weronice podpowiadał instynkt, że Jan jest dobrym człowiekiem. Może był trochę mało zalotny, zbyt oficjalny i nieskory do żartów, a bez żartów życie jest smutne, z drugiej jednak strony, po co komu pajac na co dzień, lepiej mieć kogoś statecznego, co szacunek i sympatię uczciwością i pracą zdobędzie, a nie żartowaniem.

Z izby wyszła do nich matka i pytała, czy nie są głodni. Odmówili, nie mieli ochoty jeść w takiej chwili. Wyszli na zewnątrz i poszli we dwoje na spacer. Kto wie, kiedy zdarzy się druga okazja. Dzieci sąsiadów rzeczywiście robiły hałas, biegły za nimi, wrzeszcząc wniebogłosy. Zza chałupy wyjrzała ukradkiem jasnowłosa dziewczyna.

– To moja siostra – wyjaśniła Weronka. – Jest pewnie ciekawa ciebie, więc podgląda.

Janowi zrobiło się miło na sercu, zniknęły strach i obawy. Dziewczyna dostała rumieńców, oczy śmiały się słodko do niego. Już mu w głowie nie były gęsi ani bociany. Wszystkie doliny, lasy, całe niebo spadło mu teraz na głowę. Już nie pragnął fruwać ani biegać boso po trawie, tylko mieć obok siebie te oczy, ten warkocz rzucony na plecy i łagodny uśmiech dziewczyny. Rozmawiali całkiem swobodnie, on jej opowiadał o swojej rodzinie, a ona jemu o swojej.

Las nabierał kolorów, liście iskrzyły się w słońcu. Zapach dusznego lata i dymy snujące się nisko w parowach, zarys gór widocznych w oddali, podrywające się spod nóg owady i ona jak kwiat wśród łąki, on prosty jak krzak leszczyny wędrowali przed siebie niepewni i pewni jednocześnie, że długie życie przed nimi.

Czarne chmury

Gruszczyn, rok 1908

Nie minął nawet tydzień, gdy Jaś wyruszył spotkać się z Weronką. Już nie patrzył, czy dobra pogoda. Ciągnęło go do Gruszczyna każdego dnia, jak tylko otworzył oczy. Jednak zaraz po swataniu nie wypadało wydeptywać dróżki do domu ukochanej. Odczekał kilka dni, rachował, że cztery to dość, żeby się dziewczyna też za nim ciut stęskniła. Niedługo po śniadaniu, jak tylko uporał się z pilną robotą, dosiadł konia i wyruszył piaszczystą drogą pod wzgórzem prosto do wioski. Pogwizdywał radośnie, rozkoszując się piękną pogodą i wyraźnym powrotem lata. Wszystko zdawało się śpiewać, nawet koń rżał jakby weselej. Może zerwać jakiś kwiatek dziewczynie – zastanawiał się, zaciągając lejce. W trawie dojrzał świeżo zakwitłą nawłóć. Cóż tam, taka polna roślina. W ogrodzie u Dąbków dojrzał ładniejsze kwiaty, zreflektował się szybko. Pojechał więc dalej marnie ubitą drogą, co ją wozy rozryły na boki. Koń brnął w głębokich hałdach usypanych z piasku.

Na widok chałup Jasiowi odeszła odwaga i opuściła pewność siebie. Przestał już pogwizdywać, radość wymieszana z obawą, czy będzie dobrze przyjęty, ostudziła nagły zapał. Gruszczyn przywitał go cichy, jakby ludzi ze wsi wywiało. Letnio-jesienny dzień, słoneczne przedpołudnie, a wszystko nieruchome, powietrze, drzewa, kury drzemiące pod płótem Dąbków, zagrzebane w piaszczystych dołach, w komitywie z kotem i psem. Podwórkowe braterstwo mieszkańców, bez walki o terytorium i pozycję w stadzie. Pies nawet nie podniósł łba, kiedy Jaś zsiadał z konia. Podniósł zaledwie ucho, łypnął okiem, nie zadając sobie trudu obwąchania przybyszy. Pewnie syty, po dobrym śniadaniu trawił z lubością posiłek.

Jan czekał przez chwilę, ciekaw, czy ten bezruch to tylko słodka chwila wytchnienia, czy może cisza przed wielką burzą. Koń zarżał, gdy go przywiązał do drzewa. Pewnie i jemu było jakoś dziwnie. Na pociechę ze stajni Dąbków odpowiedziało im inne rzenie, znak, że gospodarz jest w domu. Jan szybko przygładził włosy i obciągnął na sobie koszulę.

Drzwi do sieni były uchylone, coś je blokowało. Po chwili w drzwiach ukazała się głowa Anielki, a za nią cała dziewczyna. Pochyliła się, żeby poprawić zwinięty dywanik. Uśmiechnął się nieśmiało. W twarzy dziewczyny dojrzał coś, co go zabolalo. Zaciętość?

– Ja do Weronki – wyjaśnił krótko zmrożony przywitaniem. – Zastałem Weronkę? – powtórzył pytanie.
– Pojechała z matką do kościoła – usłyszał w odpowiedzi. Tylko tyle. Dziewczyna bez słowa spojrzała pod nogi, nie miała czystego sumienia. Poznał to i skamieniał. A ona przed nim zaraz trzasnęła drzwiami. Usłyszał tupot drewniaków w izbie, i znowu martwą ciszę.

Stał osłupiały. Nie spodziewał się takiego przyjęcia. Cztery dni wcześniej częstowali go wódką, to czemu teraz trzaskają drzwiami? Białe koronki wisiały jak zawsze w oknie od ulicy, dzikie wino pięło się spokojnie po ścianie i cisza jak makiem zasiał. Tylko jego świat jakby się zawalił. Po chwili znowu rzenie konia w stajni, a pod stodołą wóz załadowany sianem. Więc czym pojechały?

W końcu wrócił po konia. Drugi raz w okna nie spojrział. Bał się, że ujrzy za szybą znajomą twarz i będzie to twarz Weronki, to by go całkiem dobiło. Liczył naiwnie na cud, że da się wszystko wyjaśnić,

że to jakaś pomyłka, zwykle nieporozumienie.

Do wieczora był bardzo markotny i wcześniej położył się spać. Kiedy jadł kolację, to jeszcze marzył, że ktoś wpadnie od Dąbków, bo może to czysty przypadek, a panna z matką pojechała z kimś innym wozem albo tylko spała i Anielka nie chciała jej budzić. Niechby cokolwiek, byle zasnąć i dalej śnić sen szczęśliwy. Przewracał się z boku na bok, aż się Józefa zdziwiła. Zazwyczaj zasypiał, zanim przytulił głowę do poduszki. Rano posłała po swata.

– Dowiedz się, kumie, co się wczoraj stało. Jasiek wrócił do domu jak zbity. Tylko konia nakarmił przed nocą, prawie nie ruszył kolacji i położył się spać o zmroku. Nie mówił czemu, więc myślę, że to delikatna sprawa i dotyczy kobiety. Trzeba zasięgnąć języka, bo mi się do cna zamartwi albo sobie jakąś krzywdę zrobi.

– Gadacie, Józefo. To chłop na schwał, nie jakiś słabeusz, co się będzie dla panny topił albo wieszał na krokwi w stodole. Miłość, wiadomo, to delikatna sprawa.

– Dobrze wiem, że Jasiek ma rozum i głupstwa raczej nie robi, ale trzeba mu jakoś pomóc, żeby się chłopak dłużej nie dręczył. Pojedźcie do Gruszczyzna i wypytajcie Dąbka. Tylko delikatnie i z taktem – prosiła.

– Jak trzeba, to pojedę. Nawet mi pasuje. Mam interes do Dąbka i papiery miał wyszykować, żeby dać na zapowiedzi.

Swat wrócił późnym wieczorem, ale mocno podpity. Czekala na niego we wsi przy figurze.

– Ano, kumo, jest taka sprawa – cedził słowa i mowę miał ciężką.

– Od zmysłów już odchodzę – zaperzyła się, słysząc, jak mętnie gada. Tak na niego liczyła, że wyjaśni sprawę i poradzi, a on się już dobrze napił, pewnie i o karczmę zahaczył.

– Z Dąbkim piłem, dla sprawy – szybko się tłumaczył. – Chory prędzej będę od tych tłustych pierogów. Dąbkowa stawiała i dokładała, aż mnie brzuch rozboleł.

– Jak ktoś łakomy, zamiast solidny, to inaczej nie będzie – fuknęła na swata. – A cóż żeście uradzili przy tych tłustych pierogach? – próbowała cokolwiek wydusić.

Swat podrapał się w czoło, zmarszczył brwi, jakby chciał sobie wszystko przypomnieć. Bolała go głowa, świat się trochę kręcił, do tego koń poniósł go w pole. Bydlę, zawsze wyczuje, kiedy jest pijany.

– Wiem już, o co poszło – próbował pozbierać myśli. – Tylko nie poganiaj. Łeb mi już pęka od tych babskich historii. A wasz Jaś nieźle narozrabiał. Niby taki święty, zaręczałem za niego, a dzisiaj musiałem się nieźle tłumaczyć.

Józefa słuchała i nie mogła uwierzyć. Jaś, narozrabiał? To nie mogła być prawda.

– Gadaj jaśniej, bo nic nie rozumiem – powiedziała podniesionym głosem. – Co mi tu będziesz głupstwa opowiadał.

Swat się tym razem obruszył. Spędził pół dnia na gaszeniu pożaru, a teraz jeszcze krzyczą.

– Czy to moja wina, że panna ma humory, a kawaler ułańską fantazję? Pojechałem, żeby wam pomóc, a teraz mnie sztorcujecie!

– Jak nie mam sztorcować, skoro mówicie nieprawdę.

– No to posłuchajcie, Józefo, czego się dowiedziałem. Matkom się zawsze wydaje, że znają swoje dzieci – zaczął po krótkim wstępie. Zaświszczało mu w krtani, gdy nabierał powietrza, pewnie od kurzu, którego nałykał się w polu. Ale cóż, taki jego fach, praca w drodze i z trudnym klientem – pomyślał i zaraz przeszedł do Jaśkowej historii, z Józefą nie było żartów. – Panna ma pretensję, że ją wasz chłopak oszukał. Przypomniała sobie po czasie, a jej młodsza siostra potwierdziła, że widziały Jaśka pod karczmą, jak się kulał po ziemi z Maćkiem moczymordą. Weronka milczy, jest chyba pod wpływem siostry. Dąbek zarzuca, żeśmy go oszukali, twierdząc, że kandydat jest niepijący. Mówię do niego – swat aż się wzdrygnął ze złości – a znacie chłopca, który nigdy się nie napije? Ja nie znam. A sołtys to jest bez

grzechu? – rzuciłem mu w oczy, bo wiem, że za kołnierz przecież nie wylewa. Widać była specjalna okazja, że chłopak przeholował. Na to on, że kto z Maćkiem pije, nie jest wiele wart, a że ja zachwalałem, podbijałem cenę, a tu trefny kandydat i basta.

– Każdy we wsi powie, jak jest, znają go od dziecka. Po co się długo tłumaczyć – obruszyła się Józefa.
– To i dobrze, że zrywają zaręczyny, po co Jasiowi kłótniwa rodzina, skoro przez plotki przeganiają swata?

– Ale pijaństwo to nie koniec kłopotu. Jest jeszcze inny. – Wykrzywił twarz w grymasie zgorznienia.
– A co może być innego? – Kobiecie ugięły się nogi. Przypomniała sobie, że syn ostatnio chodził nieprzytomny, właściwie od dawna był jakiś nieswój, kłótniwy się zrobił, czepialski. Może miał jeszcze inne kłopoty?

– Mówią, że Jaś ma inną kobietę i biega za nią. – Uniósł znacząco brew. W kącikach ust błędził lubieżny uśmieszek.

– Tyś chyba, człowieku, zmysły postradał – krzyknęła na niego. Pochyliła się niżej i syknęła mu w ucho, ale tak, żeby nikt nie słyszał. – Żebyś mi tylko głupstw po wsi nie rozpowiadał.

– A co ja mogę? – bronił się zawzięcie. – Są fakty, to mówię, sama mnie prosiłaś. Kilku chłopca widziało, jak się ślinił do innej. Zapytaj, skoro mi nie wierzysz. Jak wasz syn plotek nie sprostuje, to się z dziewczyną może już pożegnać.

Jaś się o wszystkim dowiedział dopiero późnym wieczorem. Wrócił właśnie markotny z pola, zjadł kolację i zapalił lampę. Przywiózł z Włoszczowy „Gazetę Kielecką” i chciał spokojnie poczytać. Na rozmyślanie nie miał ochoty. Od Dąbków nikt się nie zjawił, trzeba będzie w końcu powiedzieć matce o wszystkim, bo minie noc, i zacznie pytać. Postanowił jeszcze poczekać. Spojrzał na pierwszą stronę gazety, wolno przekartkował. Poczyta jej na głos kronikę wypadków. To może łatwiej zapomni.

– „Dziennik Kijowski” donosi – zaczął z wycuciem. Czekał, czy go matka nie zgani. Wyraźnie nie miała humoru. – Tłum włościan wsi Młynki z powiatu radomskiego postanowił dokonać samosądu na złodzieju, który skradł konia. Koniokrad uzbroił się w kosę i oświadczył, że każdego, kto podejdzie do niego, zabije. Włościanie zapędzili go do chaty, sami zaś postanowili rozebrać kawałek dachu i tą drogą wziąć złodzieja. Z pomocą wszakże pospieszyła mu żona, która rzuciła mu zapalki, radząc, aby podpalił chatę, i korzystając z popłochu, uciekł. Koniokrad zrobił tak, chata stanęła w ogniu, ale włościanie dopędzili uciekającego i zabili go, jak również jego żonę. Podczas gdy włościanie zajęci byli samosądem, pożar znacznie się rozszerzył. Rzucono się na ratunek, ale było już późno. Spaliło się około czterdziestu chat, a w nich dziesiątki cieląt, cztery konie i mnóstwo ptactwa domowego. Tak to ludzka głupota i brak wyobraźni prym wiedzie i zbiera żniwo.

– Za konia stracili życie, a wieś poszła z dymem – dodał od siebie. Zdziwił się, bo matka nic nie powiedziała. Zazwyczaj lubiła dodać coś od siebie. Czytał więc dalej, może kolejna wiadomość wywrze na niej wrażenie. Przebiegł oczami po stronie. *Bandydzi w Olkuszu*. Ostatnie słowa wybrzmiały i szybko zgasty. Józefa czekała, aż skończy. Musiała mu jakoś powiedzieć, lecz jak? Żeby się tylko nie uniósł, nie wybiegł z domu i nocą po polach nie włóczył. Nie mogła tego odkładać. Nie słyszała, co Jasio czyta. Gdy skończył, podniosła głowę. Zobaczyła, że składa gazetę, wstaje i wychodzi. Lampa na stole przygasła, zwęglony knot kopcił niemiłosiernie, że aż gryzło w oczy. Zdusiła żar w lampie i poszła do komory po świecę.

Jaś nalał do miski wody, miskę postawił na ciepłej płycie, żeby ją trochę podgrzać, i wyszedł sprawdzić obejście. Obszedł dom, wszystkie zabudowania, zajrzał do obory. Usłyszał znajome odgłosy krowich i końskich westchnień, chrupkanie warchlaków moszczących się w sianie i szum czmychających myszy. Lubiał zatrzymać się w progu i poczuć ten spokój w sobie. Dużo łatwiej chyba być zwierzęciem, ono nie zмага się z życiem jak człowiek, przyjmuje z pokorą swój los i godzi się z przeznaczeniem.

Zdarzało się, gdy był nieszczęśliwy, że zasypiał obok krów na sianie. Ciepło zwierząt i wewnętrzny spokój goiły w nim wszelkie rany.

Tymczasem Józefa zapaliła świeczkę i postawiła na występie pieca. Rozproszone światło dodało izbie powagi. Jan zastał matkę przy stole opartą na łokciach. Patrzyła na niego ze smutkiem. Po ścianie snuł się cień świecy, drgał jak Jaśkowe serce.

– Musimy porozmawiać.

Zrozumiał, że ona już wie, i że wie wiele więcej od niego.

Kolejny krok

Poznań, rok 2007

Nie dzwoniłam przez kilka dni. Oni także milczeli. Od dzieci nie było nowych wiadomości, musiałam się uzbroić w cierpliwość. W końcu zadzwonił telefon.

– Cześć, mam do ciebie pytanie – usłyszałam ojca w słuchawce.

– Cześć – odpowiedziałam, udając zaskoczenie.

Nastała przydługa cisza, ojciec widocznie myślał.

– Nie wybierasz się czasem do nas? – w końcu otwarcie zapytał.

Spojrzałam na kalendarz. Tydzień zazwyczaj kurczył się zaraz po wtorku, ale był dopiero poniedziałek.

Nie miałam specjalnych planów.

– Pracuję, więc w tygodniu raczej nie dam rady. Może wpadnę w niedzielę.

– Niedziela, hmm, to znaczy tydzień.

– Masz jakieś problemy, coś się dzieje z ciśnieniem?

– Nie, nie, z ciśnieniem w porządku – wyjaśnił. – Po prostu chciałbym wiedzieć, czy będziesz, bo mam kilka pytań w sprawie komputera. Kuba jest zajęty, a Piotrek wyjechał. Sam się tu męczę i nie wszystko rozumiem.

– Może spróbujemy przez telefon? – zaproponowałam.

– Nie, przez telefon nie dam rady, muszę to widzieć. Nie znam tych wszystkich fachowych określeń. Już próbowałem z Kasią i wykasowałem sobie tylko kawał tekstu.

– O! – ucieszyłam się. – Zaczęłeś coś pisać?

– Wiesz, to dość trudne. Nie rozumiem tych wszystkich pytań, które mi zadaje komputer i którymi mnie straszy, ale z godziny na godzinę jest lepiej. A chciałbym sobie uporządkować dokumentację kombatancką, więc jak coś mi wyskoczy, to potem boję się, żeby tego nie popsuć. Mam sporo papierkowej roboty, a teraz, jak jest komputer, to nie ma sensu pisać tego ręcznie.

– No tak – przyznałam z ochotą. – Ale z czym masz w tej chwili problem? Skoro piszesz, to znaczy, że znasz już funkcje klawiatury – stwierdziłam rzeczowo. – Teraz spróbuj kopiować, przenosić i powiem ci, jak wprowadzić numerację stron.

– Tak, tak, to już wiem, to już opanowałem – pospieszył z wyjaśnieniem. – Zrobiłem już nawet kilka zestawień i tabel, wiem, jak ustawić kolumny, ale nie mam pojęcia, gdzie szukać narzędzi do zrobienia wykresu. Przejrzałem cały program i nic. Czy jest możliwość, że takiej funkcji tu nie ma?

Po prostu mnie zatkało. Gdyby spytał o przepis na zupę z homarów, byłabym mniej zdziwiona.

– No wiesz – starałam się zachować normalny ton, – co do wykresów, to ja ci, tato, chyba nie pomogę. Na tym komputerze raczej nie dasz rady. Masz w nim podstawowy program do pisania i trochę miejsca na wklejanie obrazów.

– To znaczy, że tabelki tak, ale wykresy już nie? Rozumiem, masz na myśli Microsoft Office, taki program do robienia dokumentacji biurowych. Czy się mylę? – zapytał, sylabizując litery.

– Dokładnie ten – potwierdziłam. – Tego u ciebie nie ma, niestety.

– Aha, tak, rozumiem, rozumiem. – Słysząc było, że myśli. – To szkoda. No tak, szkoda.

– Rzeczywiście szkoda – potwierdziłam skwapliwie. – Skąd wiedziałaś o takim programie? – Nie mogłam sobie darować.

– A z książki – wyjaśnił krótko. – Mama mi kiedyś kupiła, żebym sobie poczytał. Już dawno, zdaje się pod choinkę.

– Jeszcze zanim dostałaś komputer? – Kolejny raz wyraziłam swoje zdziwienie.

– To prosty podręcznik, jak dla przedszkolaka – żartował jak zwykle. – Komputera jeszcze nie miałem, ale lubię być na bieżąco z różnymi nowinkami. To się czasami przydaje.

– Tylko że do tego musiałbyś mieć inny komputer – stwierdziłam już całkiem poważnie – twój jest po prostu za słaby. Nie myślałam, że będzie ci potrzebny Microsoft Office.

– Jasne, rozumiem, tak tylko pytam. Po prostu nie znam się na tym, ale broń Boże coś jeszcze kupować. To dla mnie i tak za wiele. We mnie już się nie opłaca inwestować. Pobawię się trochę i wystarczy. W końcu obejdzie się bez wykresów. Może spróbuję rysować. Jak się robi tabelki, to jest tam taki ołówek, może tym ołówkiem spróbuję – dodał, jakby chciał pocieszyć i siebie, i mnie. – Ale muszę już kończyć, mama stawia obiad. To na razie, Krysiu.

– Pa, tato. Trzymaj się – odpowiedziałam i usiadłam w fotelu, wydychając głośno powietrze.

Nie zdążyłam dobrze ochłonać, gdy mój telefon zaczął wygrywać swoją melodyjkę. Na ekranie wyświetlił się numer Agnieszki. W pierwszej chwili byłam zaskoczona. Rzadko dzwoniłyśmy do siebie. Zazwyczaj tylko w konkretnej sprawie, nigdy po to, żeby porozmawiać dla samej rozmowy.

Ciekawe, dlaczego dzwoni – pomyślałam. Na szczęście w ostatniej chwili, a właściwie na dźwięk jej głosu, olśniło mnie. Dopiero byłaby wpadka. Już kiedyś zarzuciła mi, że traktuję ją protekcyjnie. To była oczywista bzdura. Nie leży w moim zwyczaju zadzieranie nosa, ale też okazywanie pobłażliwej grzeczności. Zwykle jednak w głosie Agnieszki i sposobie wyrażania myśli było coś takiego, co nie sprzyjało rozmowie. Potrafiła na temat jednego zdarzenia mówić przez godzinę i wracać bez końca do tego samego, obracając jedno zdanie na sto różnych sposobów. Trzeba więc było przez całą rozmowę powtarzać cierpliwie „aha, aha, no, no, ojej, rzeczywiście, o matko, no tak, tak, no, popatrz, ale jaja, nie mów, naprawdę, niesamowite, kurczę, nie wierzę!”. Po takiej rozmowie zazwyczaj dostawałam duszności.

– Cześć. To ja – usłyszałam zadowolony głos koleżanki.

– A, cześć, fajnie, że dzwonisz – starałam się zabrzmieć przyjaźnie. – Właśnie o tobie myślałam – dodałam na wszelki wypadek. – Co tam, masz dla mnie jakieś wieści? Nie, żeby mi się spieszyło, ale jestem po prostu ciekawa.

– Patrz, to chyba telepatia. Od godziny chciałam zadzwonić, ale ciągle mi ktoś przeszkadzał – wyraźnie się ucieszyła.

– I co, dowiedziałaś się czegoś? – zaczęłam się jąkać. W popłochu próbowałam sobie przypomnieć nazwisko.

– Wiktor Kasztelan. Nazywał się Wiktor Kasztelan – powtórzyła dla pewności.

– Tak, rzeczywiście – potwierdziłam z ulgą. – Mam nadzieję, że nie było z tym większych kłopotów. W sumie miałam potem wyrzuty sumienia. Opowiedziałam mężowi, a on stwierdził, że cię po prostu wrobiłam.

– Nie było tak źle – zabrzmiało szczerze. – Nie powiem, zesłam połowę Kielc, żeby jakoś pomóc, skoro się jednak podjęłam... Prawdę mówiąc, to mi się nawet spodobało. W sumie mogłabym być detektywem – wyznała. – W pierwszej chwili opadły mnie wątpliwości, wiesz, nie mam w tym doświadczenia.

– Wiadomo – przytaknęłam. – Łatwe to raczej nie było.

– Nie, żeby coś wytykała, trochę czasu zawsze się znajdzie. W końcu mam taki komfort, że od roku nie pracuję. A chodzenie sprawia mi dużą przyjemność.

– No tak, rozumiem, to musiało potrwać. W końcu miałaś tylko nazwisko.

– I ulicę – sprostowała. – Tylko szkoda, że tak daleko. Wiesz, mieszkam dokładnie z drugiej strony miasta. Do tego padł mi samochód. Mówię ci, pech, że akurat w takim momencie.

– Oj, przykre, ale cóż, czasami przedmioty martwe potrafią być złośliwe – wysiliłam się na grzeczność.

– Już dawno powinnam go sprzedać. Więcej z nim kłopotów niż pożytku.

– Tak?

– Po prostu lubię go, mam do niego sentyment. Tylko że dłużej tak być nie może. Myślisz, że gdzieś dojedziesz, a potem wzywasz taksówkę.

– To się musiałaś jeszcze wykosztować – podchwyciłam aluzję.

– Daj spokój, Kielce nie są aż takie rozległe. Jeździłam autobusami.

– To rzeczywiście nie było łatwe – próbowałam docenić trud koleżanki.

– Wiesz, chętnie jeżdżę autobusem. Widzę wtedy miasto. Nie muszę się skupiać na drodze, mogę się porozglądać. Trwa to nieco dłużej, no a potem jeszcze trzeba dojść do celu i wrócić na przystanek – dodała wyjaśniająco.

Powinnam była jej przerwać i zwrócić uwagę, że wiem, jak to jest, ponieważ często korzystam z tramwajów, ale to i tak nie miałyby znaczenia. Jedynie wydłużyłoby oczekiwanie na puentę rozmowy.

– Ale, w sumie, to wyszło mi na zdrowie. Ruch od zawsze mi służy. Gdybym tylko miała wygodniejsze buty – stwierdziła nagle. – Uparłam się, że je rozchodzę, i oczywiście obtarłam piętę, dosłownie do krwi.

– Przykro mi, Agnieszko – kajałam się, jak mogłam.

– Z nowymi butami często tak jest, ale ja się łatwo nie poddam – żartowała. – Pamiętasz, kiedyś miałam złote paseczki, dawno temu, jeszcze w szkole, taki ówczesny hit, były na mnie za małe...

Czułam, że brniemy w ślepą uliczkę. Samochód, buty, praca. Agnieszka z każdą chwilą oddalała się od tematu.

– No, ale co z tym Wiktozem, znalazłaś faceta? – w końcu nie wytrzymałam. Czułam, że jak tak dalej pójdzie, nie wrócimy do głównego tematu. Odchrząknęła, chyba ją uraziłam. Coś zazgrzytało, głos Agnieszki zginął w nagłym szumie. – Halo, halo – krzyknęłam. – Jesteś tam, Agnieszka?!

– Tak, jestem – rozległo się po chwili. – Przepraszam, włączyłam pralkę. To woda tak szumi – wyjaśniła lekko nadąsana. – Pewnie się niecierpliwisz, a ja o tych butach.

– Z tego, co pamiętam – próbowałam ratować sytuację – twój telefon jest na karcie.

– Tak, ale mam spory zapas minut, a termin karty jutro się kończy, więc nie ma problemu – oznajmiła triumfalnie i głęboko nabrała powietrza. – Ale do rzeczy.

Odetchnęłam z ulgą.

– Na ulicy Zimnej byłam kilka razy – zaczęła od początku. – Niby niewiele domów, ale zanim wyszłam z jednego, to w drugim już nikogo nie było i całowałam kłamkę. W końcu obeszłam wszystkie.

– I co? – Odczuwałam rosnące napięcie.

– Na Zimnej nikt o nim nie słyszał. Większość rodzin pamięta swoich sąsiadów. Inni pamiętają tylko niektórych. Wiadomo, wszystko zależy od wieku. Jednak Wiktora Kasztelana nie kojarzyli.

– To pech – zmartwiłam się.

– Na szczęście niemal wszyscy pamiętali, że kiedyś stały tam dwa przedwojenne domy. Zostały zburzone, a na ich miejscu postawiono szkołę. Do jednego z nich wprowadziła się duża rodzina i mieszkała aż do końca, to jest do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego, a w drugim były dwa osobne mieszkania. W jednym z tych mieszkań mieszkał samotny mężczyzna. Ale niezbyt długo.

– Ktoś pamiętał takie odległe lata?

– Nie takie znowu odległe. Starsze małżeństwo, koło siedemdziesiątki. Byli wtedy dziećmi, ale dzieci o swojej ulicy wiedzą zazwyczaj najwięcej – wytłumaczyła sensownie.

– Pamiętali, jak się nazywał?

– Niestety. Wołali na niego „garbaty”.

– Garbaty?

– Starsza pani wyjaśniła, że był dobrze zbudowany, ale miał pochyloną sylwetkę i jedną łopatkę o wiele niższą. Niestety nie mogłam potwierdzić. Nie miałam niczego poza nazwiskiem.

– W sumie ja też nic o nim nie wiem – stwierdziłam. – Czy był wysoki, czy niski – przyznałam ze skruchą.

– No właśnie – przytaknęła Agnieszka. – Ale potem się potwierdziło.

– Aha, czyli masz jeszcze coś więcej – ucieszyłam się szczerze. Nagle sprawa Kasztelana stała się dla mnie ważna. W końcu nabrałam szacunku dla trudu, który Agnieszka włożyła w wyjaśnienie tajemnicy. Nawet ją podziwiałam.

– Miałam drugi trop.

– Tak?

– Ta wiadomość, że pracował na kolei – przypomniała.

– A, no właśnie. Jeszcze to – potwierdziłam. – Pracował na kolei, ale nie wiemy, na jakim stanowisku.

– Ja wiem – zawiesiła głos, wyczuła, że połknęłam haczyk, prowadziła mnie teraz na żyłce jak nieszczęsną rybkę. – Wspomniałam ci ostatnio, że mam sąsiada, który był urzędnikiem, chwalił się tym, że kiedyś kolejarz to był zawód szanowany, nie to co dzisiaj.

– Wspominałaś, jasne, że pamiętam.

– No więc – przeciągnęła „więc” w okolicy literki „ę” – sąsiad okazał się bardzo pomocny. Wyglądało na to, że temat kolei to jego konik, a właściwie niemal obsesja. Jak zaczął, trudno mu było przerwać – westchnęła. Widać rozmowa z sąsiadem zapadła jej mocno w pamięć. – Powiedział w końcu, że to dla niego pestka i z chęcią mi pomoże.

– I co? – nie mogłam się doczekać sedna.

– Przez tydzień nie dawał znaku życia.

– Aha, zapomniał?

– Podobno musiał najpierw uzyskać pozwolenie do wglądu w akta personalne dawnych pracowników.

– I dostał?

– Dostał. Musiał podpisać jakieś papiery. Urzędnik nie był formalistą. Znał go i pamiętał.

– Ojej, ale mnie teraz rozgrzałaś – przyznałam szczerze.

– No, ja to aż gęziej skórki dostałam. Miał zeskanowany dokument, akta Wiktora Kasztelana.

– Nie żartuj? – nie mogłam uwierzyć.

– Powiem ci, że wciągnęła mnie ta sprawa – wyznała szeptem. – Nie mogę teraz o niczym innym myśleć. Gdybym tylko wiedziała coś więcej. Jakies zdjęcie, bliższe dane.

W tym momencie zwątpiłam. Nie przypuszczałam, że z małej prośby wyniknie wielka sprawa. Znałam kilka istotnych szczegółów. Jakiś czas temu poznałam z grubsza historię tajemniczego Wiktora. Problem był tego rodzaju, że nie byłam upoważniona do rozpowszechniania informacji, po prostu wtedy nie zapytałam. Właściwie puściłam tę historię w niepamięć. Kilka wieczorów przy białym winie, szczerze rozmowy, mówi się czasem wiele niepotrzebnych rzeczy. Potem się często żałuje.

– I co, masz te akta w domu? – pytałam zaskoczona. Agnieszka zamilkła, czekała na moją reakcję. – Chyba żartujesz? – wydałam okrzyk podniecenia.

– Nie żartuję, już ci wysłałam mejlem. Poczytaj sobie, tam jest jego data urodzenia i dzień przyjęcia do pracy – wyjaśniła. – W aktach znalazł opinię przełożonego i dopisek, którego nie zrozumiał.

– No.

– Okazało się, że tak znakowano wtedy tajne dokumenty.

– Kurczę, co by to mogło znaczyć? – Rozmowa była naprawdę ciekawa. Czułam, że Agnieszka odkryła coś ważnego. Obyśmy tylko nie narobiły sobie kłopotów – pomyślałam.

Jan i Weronika

Wrzesień, rok 1908

W Europie było znów niespokojnie. Nic nowego. Ledwo się w jednym miejscu dogadają, to zaraz gdzie indziej wybucha konflikt. Ciągłe trzeba się o coś martwić. Jak nie miłość, to polityka spędzała z oczu sen i odbierała wewnętrzny spokój. Z każdym dniem zamiast ubywać, przybywało kłopotów. Jan długo myślał nad swoim wyborem. Czuł od samego początku, że jak już wda się w sprawy ożenku, to wszystko się skomplikuje. Kiedy dotarło do niego, o co poszło Weronce i dlaczego zamknięto przed nim drzwi chałupy, opadły mu ręce z niemocy. Że też wystarczy kogoś pomówić jednym kłamliwym słowem. Wystarczą pozory i już można skreślić uczciwego człowieka? Tak ciężko to pojąć, gdy samemu nie robiło się innym krzywdy. Głupstwo jakieś, powtórzona plotka, donos zazdrosnego rywala albo zwykła potrzeba niszczenia. Oszczerców było aż nadto, brakowało przeciw nim bronii. Jest tylko słowo przeciwko słowu, nie ma innego oręża. Jest jeszcze wiara, że może z drugiej strony spotka się dobrego człowieka. Czy powinien tylko strzepnąć sukmanę i wrócić do życia, które wcześniej pędził? Dać sobie spokój z dziewczyną lub poszukać innej? Rozum tak podpowiada, tego dowodzą doświadczenia innych. Ale dla Jasia było za późno. Nie pomogły podszepty życzliwych ludzi ani ich przestrogi. Serce mówiło własnym językiem, mówiło o wiele głośniej. Jaś nie ulegnie doradcom, sam się musi przekonać, czy jest o kogo walczyć. Co rusz wspominał spotkanie z dziewczyną, ich łagodną rozmowę, jej pełne rozsądku pytania i szczerą odpowiedź. Instykt podpowiadał, że miłość musi zwyciężyć. Nigdy się wcześniej nie kochał, lecz szybko rozpoznał uczucie i szczerą braterstwo serc. I o to musi zawalczyć.

– Pamiętasz, jak w lutym czwartego roku mąż ciotki Marianny i kilku ze wsi poszli na wojnę z Japonią, to już wtedy było wiadomo, że z Rosją źle się dzieje. – Jaś z Adamem wrócili właśnie z pogadanki u księdza i wymieniali wrażenia. Zostali po mszy, na prośbę proboszcza. Zatrzymał ich i zaprosił do siebie. Miał gościa z Krakowa, zeszło się jeszcze kilku innych ze wsi i słuchali z uwagą. Nakładł im ten gość do łbów, że aż im się z czaszek kurzyło. Na koniec doszedł Gołdyn, niewiele usłyszał, więc teraz przy stole u Jana w domu uświadamiali kolegę.

– To się dla księdza kiedyś źle skończy – przestrzegała Józefa. Nie miała pojęcia o całej rozmowie, ale co nieco uszczknęła. – Wszyscy we wsi dobrze o tym wiedzą, tylko czekać, aż przyjadą o świcie pod drzwi plebanii i Urbańskiego zabiorą.

– Ale przecież trzeba ludziom powiedzieć, jak się sprawy mają. Gazety nie o wszystkim piszą, zresztą mało kto we wsi potrafi czytać, a ten z Krakowa znał fakty prawie z pierwszej ręki. Słusznie twierdził, że się Rosja rozerwie od środka. Ta ich nowa Partia Robotnicza podzieliła naród.

– Znaleźli się w niezłym potrzasku – potwierdził Adam. – Miał rację Urbański, a potem przytaknął mu Młyńczak, że Rosja jest między młotem a kowadłem, między silnym przeciwnikiem ze wschodu

a rozruchami w kraju. Car uratował tyłek, ale na jak długo? Nawet u nas, w Wierzbniku i Borowcu, utworzyły się już ośrodki robotnicze. Jedni chcieli działać na własną rękę, inni wspierać tych z Rosji, i zaczęli nosić czerwone sztandary. Strach było wychodzić z domu.

– Mnie też agitowali – przyznał się Gołdyn. Jan z Adamem spojrzeli zdziwieni. – Ale nie chciałem przystąpić do ruchu, choć mi góry złota obiecali. Teraz widzę, że koniec Rosji nastaje. – Zamyślił się i zaraz dodał: – Tylko co to oznacza dla nas?

– Ten z Krakowa twierdził, że Piłsudski tego nie daruje, że tylko czeka na okazję. Już w lutym w „Robotniku” pisał, że jest potrzeba tworzenia grup zbrojnych. Jeden taki, agitator, co go często widuję w karczmie, przywiózł gazetę z Austrii, gdzie piszą, jak się młodzież gromadzi w związkach i uczy strzelać. Zabawa tylko, nic więcej – stwierdził z rezygnacją. Wiadomo, w Galicji można sobie na takie zabawy pozwolić, nie u nas.

Do Krasocina z Kielc zaczęły docierać wieści, że coś się szykuje na jesień. Większość jednak nie chciała rozboju. Pogubili się ludzie w politycznym chaosie i całkiem stracili zapał. Powrót do bezpiecznej stagnacji był im miłszy niż wiece i protesty.

– Bo gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta – dodał do tego Adam.

– Za plecami zaborcy zaczął negocjacje. Ale czy to coś da? Piłsudski pewnie liczy na to, że w narodzie jest jeszcze potrzeba walki.

– Bożeż ty mój. Toż ludziska mają już dość powstań. – Józefa weszła im w słowo.

– Jednak car się solidnie wystraszył. – Adam czuł podniecenie po spotkaniu u księdza.

– Car się nikogo nie boi, ma za sobą wojsko i stu sprzymierzeńców. – Gołdyn miał swoje zdanie.

– Jednak ogłosił ustępstwa i chce z ludem zgody.

– A bo to raz obiecywał – wtrąciła znowu Józefa.

– Może tym razem będzie trochę lepiej. Ponoć w urzędach można już mówić po polsku, w szkołach chyba tak samo. Polscy nauczyciele będą zatrudniani w szkołach.

– A skąd takich wezmą, jak wszystkich najpierw zruszczyli? – zapytał Jasio.

– E tam, zruszczyli, udają tylko. Wiadomo, jak jest. Będą mówić, jak dostaną przykaz.

– I tylko tyle obietnic?

– Jednak można się zrzeszać, tworzyć własne związki. Spółdzielnie już u nas działają i kółka, więc może dotrzyma słowa i pozwoli na więcej.

Jan bał się kolejnych ruchów w narodzie. Konsekwencje mogły być dotkliwe, obawiał się powtórki z roku sześćdziesiątego trzeciego. Car nie odpuści. Zmiecie każdą oznakę polskości, zmiążdży ją bezpowrotnie.

Nie na rękę Janowi było, że właśnie gdy się zakochał i miał się zamiar żenić, to jakby na przekór dzieją się takie rzeczy.

Gdyby nie temat ożenku, może wciągnąłby się bardziej w sprawy polityczne. W tej chwili polityka musiała poczekać. Wprawdzie stale przemykała za plecami, siejąc niepokój, jednak w obliczu nowych problemów w domu Kuśmierczyka była drugorzędna.

Tamtej nocy, gdy rozmowa z matką dała mu do myślenia, postanowił, że skoro życie tak szybko zrobiło z niego mężczyznę, wypada, żeby nim został. Widać jedni są dziećmi dłużej, inni trochę krócej, i trzeba się z tym pogodzić. Życie to nie zabawa jak w karczmie czy na odpuście, a słowa znaczą czasem więcej niżli czyny. Nie będzie, jak inni, bawił się i skakał, skoro sam udział w zabawie i niewinne rozmowy powodują takie zamieszanie. Ludziska nie warci są tego, żeby z nimi szczerze rozprawiać. Trzeba być zawsze czujnym, ważyć, co się powie.

Następnego dnia po rozmowie z matką pojechał do Jakubowa porozmawiać z Sornatem, z tym samym, z którym spotkał się na zabawie w Gruszczyźnie.

Zasiedli pod dużą gruszą. Gospodarz kazał donieść chleba ze smalcem i domowego piwa.

– Zajechałem do ciebie z prośbą – wyjaśnił Jan i zaraz przeszedł do sedna. – Jest taki kłopot.

Dogadałem się z Dąbkim co do jego córki. Chcę się z tą panną ożenić, mamy się ku sobie – dodał dla jasności. – Jesteśmy już po słowie.

– To się chwali – powiedział Piotr z rezerwą. Zdziwiła go Jasia wizyta.

– Tylko że nagle zerwała umowę. Wpadła mi w oko, nie chciałbym jej stracić – wyjaśnił.

– To dlaczego zrywa? – Piotr nic nie pojmował. O co Jasiowi chodzi i co on, daleki znajomy, może mieć do tego ożenku?

– Ktoś, kto był na odpuszcie w Gruszczyńce, doniósł jej, że biegam za Baską z Występów i że z nas para kochanków.

Piotr się na to obruszył.

– I przychodzisz do mnie z pretensją, że to moja sprawa?

– Nie przychodzę z pretensją, tylko po ratunek. Widziała mnie wtedy, jak targałem Maćka, ledwo stał na nogach. Więc do tego jeszcze doszło pijaństwo jako drugi zarzut – kontynuował. – Gdyby nie młodsza siostra, nie byłoby sprawy, ale ona i cięta jest na mnie, i chyba zazdrosna. Potwierdziła, że byłem z Maćkiem. – Wyjaśnił do końca, z czym przyszedł. – Nie chodzi o żadne pretensje. Ktoś pewnie nastawił ucha i usłyszał trzy po trzy, a potem przekręcił i doniósł, gdzie trzeba.

– A panna głupia, swoją drogą, że słucha oszczerców. Trzeba się było ciebie najpierw spytać, zanim zerwała umowę. Zawracanie głowy. Może i lepiej, że z tobą zrywa. Ma ci do końca życia suszyć o to głowę – poradził szczerze Sornat. Rozumiał Jasia. Nikt nie lubi, jak się go wrabia bez żadnego powodu.

– Daj sobie spokój z Dąbkówną. Zrozumie i sama przyleci albo niewarta twojego starania. Dobrze ci, chłopie, radzę – powiedział i podsunął sobie i jemu gliniany kubek z piwem. – Jadłeś śniadanie? – zapytał, bo pora była wczesna.

– Jadłem, ale chętnie spróbuję chleba ze smalcem – stwierdził, czując, że zrobił się głodny. Od rana miał gardło ściśnięte z żalu. Teraz, gdy nerwy puściły, odzyskał apetyt. – Przyjechałem do ciebie – wrócił do tematu, smarując pajdę smalcem – żebyś, gdy będzie trzeba, poświadczył prawdę. Ty wiesz najlepiej, jak było i co wtedy mówiłem. Pójdę do dziewczyny, żeby się rozmówić, ale na wszelki wypadek, gdybym miał problemy, poproszę cię o pomoc. Dziewczyna jest chowana pod kloszem. Nie zna życia i jeszcze nie wie, że nie wszyscy są jej życzliwi. Spodobała się może innemu, to na mnie nagadał głupot. – Jedli przez chwilę w milczeniu. Chleb był świeży, dobrze wypieczony, a pajdy wielkie. Dwie wystarczyły, żeby poczuć się sytym. Zjedli, popili piwem, widać się dogadali.

– Daj znać, jeśli będę potrzebny – powiedział Piotr, żegnając gościa. – Potwierdzę prawdziwą wersję i powiem o całym zdarzeniu. Możesz być o to spokojny. Ale jeszcze zastanów się, chłopie, i poczekaj z ożenkiem. Kto wie, co może się zdarzyć, zanim ona zmądrzeje.

– To mądra dziewczyna i dobrego serca, tylko łatwowierna i wstydu się boi, że ją we wsi wezmą na języki. Też na jej miejscu byłbym w kłopotcie. Dziękuję za poczęstunek i obietnicę pomocy. Mam nadzieję, że nie będzie potrzebna.

Jaś wrócił prosto do domu, żeby o wszystkim powiedzieć matce. Martwiła się o niego, ale najbardziej o chmury, które kładły się cieniem na przyszłym małżeństwie. Poczwała na własnej skórze, jak łatwo skrzywdzić człowieka. Wysłuchiwała Jasia relacji, знаła go, a jednak jakaś wątpliwość zawitała w jej sercu na stałe. W pierwszej chwili, gdy swat przywiózł straszne wieści z Gruszczyńca, zwątpiła. W końcu Jaś się nie spowiada, mówi jej to, co chce, reszty się sama domyśla, więc może i plotka miała w sobie

jakieś ziarno prawdy? Wprawdzie wieczorna rozmowa przy świecy wiele jej wyjaśniła, ale zostały obawy.

– Mam sprawę do Gajdzińskiego, obiecał mi drewno na zimę – powiedział, wychodząc z domu.

– Rano byłam w kościele, widziałam, jak jechał z Rakiem w kierunku Sułkowa.

– Podjadę do gminy, sprawdzę, jeśli go nie ma, wtedy od razu jadę do Gruszczyzna. Trzeba wszystko wyjaśnić, wóz albo przewóz.

– To się jeszcze po drodze zastanów, żebyś czegoś głupiego nie zrobił.

Matka żegnała go w drzwiach. Niby taki nieśmiały i cichy, a jak trzeba działać, to robi się z niego kawał silnego chłopca – pocieszała się biedna, jak mogła.

Rzeczywiście wójt pojechał rano do Włoszczowy. Proboszcz Urbański chce w Krasocinie założyć straż pożarną i ma z tym sporo zachodu, a władze Polakom bardzo nieprzychylnie. W gminie został tylko sekretarz, Feliks Rak, może z nim uda się załatwić przydział drewna na opał. Zasiedziało się trochę.

Do Gruszczyzna dotarł pod wieczór. Przed domem Weronki zobaczył Dąbka z synem. Zdejmowali worki z wozu. Na moment stracił odwagę. Ich spracowane twarze nie wyrażały uczuć. Dąbek uwalany mąką ładował worek na plecy i nawet nie spojrzał. Dopiero gdy Jan zbliżył się trochę, a spragniony koń począł sam do koryta, przerwali obaj robotę. Dąbek otrzepał koszulę i zapyłone spodnie. Stał przygarbiony, jakby ledwo łapał powietrze.

– Dobrze, żeś przyjechał – powiedział i podał mu rękę. Skrajem koszuli obtarł mokre czoło i chwilę zaniósł się kaszlem. – Zamierzałem do ciebie jechać, ale zeszło mi dłużej z robotą – dodał, wciąż pokaszując. – Dziewczyna mi płacze po nocach, skaranie boskie – wydusił i wskazał ławkę stojącą pod ścianą. Usiedli, brat Weroniki zniknął gdzieś za stodołą. – Wejdz i z nią porozmawiaj, bo ja nie potrafię. – Dąbek rozłożył ręce i zrobił zbolałą minę. – Słaby jestem w tych babskich sprawach.

– Podobno nie chciała mnie widzieć.

– Z nikim nie gada od kilku dni. Tylko z matką – poskarżył się Dąbek. – Naopowiadał jej ktoś głupot i teraz płacze, że niby nie wie, co dalej zrobić. Od razu mówiłem, że słucho zawistnych ludzi, ale ona jak raz zwątpiła, tak wątpi i już. Uparta jest jak jej matka – dodał zachrypniętym głosem. Kaszel ustąpił i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Skoro tak mi radzicie, to może spróbuję? – Przyzwolenie od ojca było mu na rękę.

– Otóż to, już najwyższy czas na poważną rozmowę. Jest sama, siedzi w komorze i obiera ziemniaki.

– Mam nadzieję, że mnie wpuści?

– Wcale nie pytaj. Drzwi są przecież otwarte – dorzucił, wstając. – Muszę rozładować wóz, z rana trzeba jechać do gminy. Gajdziński zwołał wszystkich sołtysów – dodał, wracając do pracy. – Aha – powiedział jeszcze – był tu przed chwilą Pietrek, krewny z Jakubowa. Jak wróciłem z młyna, już go nie zastałem.

Niby nie było za co przeproszać, bo ani jego wina, ani jej, że coś się nagle popsło, a jednak każde z nich wiedziało, że do zgody potrzebny jest akt skruchy. Doszli do porozumienia, że szczęściu trzeba dać szansę i nie ma się co oglądać. Szczęście samo nie przyjdzie, jeśli człowiek na własny rachunek nie dokona wyboru. Oni wybrali – on ją, a ona jego, i niechaj tak zostanie. Weronka wyszła przed dom szczęśliwa, a Jaś z wypiekami na twarzy. Dąbek tylko westchnął z ulgą, a Dąbkowa pobiegła przynieść ciemnego piwa.

We wsi wrzało od polityki, ale Jaś myślał o jednym. Trzeba było przygotować dom i obejście na przyjazd nowej gospodyni. O, jakże był ślepy, gdy myślał, że wystarczy wprowadzić kobietę do domu,

przekazując wszystkie obowiązki. To przecież jeszcze dziecko, dziewczynka, która wie tyle o życiu, co jej powiedzieli rodzice. Jak sobie poradzi w całkiem obcym miejscu, w którym brakuje wygód i panuje porządek prawie kawalerski? Chłodne spojrzenie na dom i podwórko wyłowiło sporo zaniedbań. W miarę możliwości trzeba je było nadrobić. A tu dzień zrobił się krótszy, zmrok nie pozwalał dłużej pracować, chłód wyganiał do domu. Matka szykowała nowe pościele, a synowi bieliznę. To, co wystarczyło dla kawalera, nie musiało pasować żonkosiowi. Jemu też się należała wyprawa i godny przyodziewek.

Młodzi w tym czasie zdążyli się lepiej poznać, polubić, a w końcu pokochać. Z kochaniem trzeba się było spieszyć, w urokach wiejskiego życia brakowało czasu na miłość. Zazwyczaj szybko pojawiały się dzieci, nadchodziły trudne zimy i przednówki, i żadnej pewności jutra. Młodym brakowało zwykłej intymności, warunków do tego, żeby się sobą nacieszyć. Praca szybko odbierała młodości wigor i romantyzm, a ciału urodę. Te kilka tygodni narzeczeństwa były chyba najbardziej beztrudne ze wszystkich, które przysły po nich. Ale młodzi o tym jeszcze nie wiedzieli, byli pewni, że dla nich los poprawi historię. Jan niemal codziennie bywał w Gruszczyńcu. Dopiero teraz rozumiał, jak ważna jest duchowa i fizyczna bliskość z drugim człowiekiem. Był w stanie zadurzenia, ciekaw tajemnicy, którą dopiero poznawał.

Dzień zaczynał się teraz dla Jana wczesnym świtem i późno kończył, a pytanie goniło pytanie. Czy ten ogród będzie się podobał Weronce, czy dziewczyna uśmiechnie się na widok huśtawki, którą dla niej zrobił i powiesił na drzewie? Co pomyśli, kiedy zobaczy strumień za domem? Jak nazwie psa, którego dla niej wziął od sąsiada, czy lubi koty? Janowi otworzył się świat i nowe niebo. Dopiero teraz rozumiał matkę, to, co mu chciała powiedzieć, myśląc o samotności, której zaznała od śmierci ojca. Ze smutkiem patrzył na jej zgarbione plecy, ręce zniszczone pracą, zgrubiałe kostki u nóg i strupy na łydkach od chodzenia po ostach i ścierniskach, i niekoszonych łąkach. Nawet nie chciał myśleć, że kiedyś jego młoda żona mogłaby się tak zestarzeć, że praca w słońcu, na wietrze i mrozie zmieni jej gładką skórę w pełną plam i skaleczeń. Oczadzony prawdziwym uczuciem myślał, czy będzie potrafił jakoś ją przed tym ustrzec.

Józefa była zdziwiona. Jan po dzikim oporze, obawach, że popadnie w niewolę, tak się przejął ożenkiem, że aż się trochę martwiła. Bała się, czy syn nie straci rozumu, bywało, że chłop głupiał na punkcie baby, później z zazdrości wpadał w poważne kłopoty. Czy znała go na tyle, żeby zachować spokój? Zapomniała, kiedy sama wypatrywała oczy za Piotrem. Czas zatarł najlepsze wspomnienia. Teraz jest trochę inaczej. Nie wiedziała, czy lepiej, czy gorzej, czas to pokaże. Cieszyła się jednak, że stało się według jej myśli. Będzie miała teraz wyrękę, pomoc i towarzyszkę na co dzień, a syn kogoś bardzo bliskiego.

W jednym domu

Krasocin, rok 1908

Po zrękowinach pojawiły się w kościele zapowiedzi. Trzeci raz ogłoszono je pod koniec września, później odbył się ślub. Wesele trwało prawie trzy dni, zjechali się goście z obu stron, trzeba było czasu, żeby się wszyscy dobrze poznali.

Nazajutrz, zaraz po wyjeździe krewnych, razem z dobytkiem, który dostała w wianie, na wozie z prezentami, jeszcze w ślubnej sukience Weronika Dąbek, a teraz Kuśmierczyk, zajechała przed dom w Krasocinie.

Dom trochę ją rozczarował. Okazał się nieduży, a do tego wąski. Wprawdzie stał przy głównej ulicy, lecz podwórko było niewygodne, wóz nie mógł zawrócić zaprzęgiem. Obejście schludne, wysprzątane, przed domem mały ogródek, ale w środku tylko jedna izba i mała komora, tego się Weronka najbardziej bała. Żałowała, że nie będzie miała osobnego pokoju, tylko wspólną izbę z teściową.

Jan obiecał, że zaraz po ślubie postawi nowy dom albo obecny nieco powiększy. Tymczasem matka będzie spała w komorze – zdecydował w zgodzie z Józefą. I ustąpi im miejsca. To Weronkę uspokoiło i wchodziła w małżeństwo mimo wszystko szczęśliwa. Lubiła Krasocin, bywała tu często w kościele. Wieś była ładnie położona, zaraz u podnóża pierwszych pasm Gór Świętokrzyskich, więc w oddali, ponad linią płaskich łąk i pól, na tle błękitnego nieba ciągnął się delikatny zarys pagórków. Teraz będzie rankiem wychodzić z domu i patrzeć, jak słońce wylania się zza łagodnych wzniesień. Za domem płynął strumień. Zaczynał się gdzieś daleko i oplatał korytem wieś od pierwszych zabudowań po ostatnie. Czerpano z niego wodę bez ograniczeń. W Gruszczynie z wodą mieli wieczne problemy, a teraz, wprost trudno uwierzyć, będzie się mogła kąpać i prac do woli, a wodę do picia czerpać ze studni przed domem. Nie spodziewała się takiej wygody.

I zmieniło się życie Jana, był już żonatym mężczyzną. W rytm dnia wprowadzono korekty. Żona wniosła własne nawyki i nowe zwyczaje. Do izby doszły sprzęty, naczynia, pościel, bielizna. Jan zrobił dla żony skrzynie i pomalował na jasne kolory. Zrobił też nowe łóżko i prawdziwy siennik. Po latach smutku cieszył się, że wszystko znowu żyje. Dom nabrał kolorów, a on promieniał.

Młoda gospodyni dzielnie się krzątała. Początkowo nieśmiała i trochę złęknioma, poznawała mężowskie kąty, nabywała praktyki, później już coraz pewniej zarządzała domem i dobytkiem. Szczególnie drobiazgowo pilnowała porządku. Dom jaśniał czystością, pojawiły się nowe serwetki, talerze i miski, lepsze palenisko, o które bardzo prosiła, żeby łatwiej było gotować posiłki. Teraz Jaś i teściowa dużo smaczniej jedli, bo gospodyni miała dryg do kuchni i wprowadziła nowe potrawy. Jeszcze niechętnie wychodziła w pole, ale dom i zwierzęta były zadbane. Józefa odstąpiła jej miejsca, szczęśliwa, że część obowiązków przejmie synowa.

Budowa domu jednak się spóźniała. Nadchodziła zima, więc i pora nieodpowiednia na rozpoczęcie prac budowlanych. Jaś teraz chętniej przesiadywał w domu. Zaglądał do izby, by patrzeć na żonę. Czuł wielką przyjemność, obserwując jej zgrabne ruchy, swobodny krok, zalotne spojrzenia. Lubił z nią rozmawiać, snuć plany i marzyć. Z każdym dniem zdawała się Janowi piękniejsza. Jak dobrze, że dał się

namówić matce na ślub i że tak cudownie trafił. Nawet jeśli miał jakiegokolwiek obawy, teraz się wszystkie rozwiały. Choć nie potrafił mówić o uczuciach ani ich zbytnio okazać, cały był wypełniony światłem. Dawniej nawet w słoneczne dni widział nad głową chmury, teraz wszystko było pastelowe i jasne. Prawdę mówili ludzie, że miłość człowieka oślepia.

Zima nie dała się na szczęście we znaki. Przez to łatwiej im się żyło we troje, bo trosk mieli mniej i codziennych problemów związanych z przetrwaniem. Jedynie incydent ze studnią dał posmak małżeńskich konfliktów. Jan pierwszy raz przekonał się, do czego może go zmusić kobieta. To było coś nowego. Normalnie sam podejmował decyzje związane z gospodarstwem, tymczasem sprawa studni odkryła przed nim inne tajniki i dowiedział się, że złość kobieca ma sporą siłę rażenia.

Po deszczowym lecie nadeszła sucha jesień. Do grudnia nie było deszczu i studnia przed domem zaczęła wysychać. Dniem woda napływała z wyższych terenów i nie byłoby źle, gdyby nie to, że na wodę Kuśmierczyka znalazł się chętny, szczególnie dokuczliwy sąsiad z końca ulicy. Dotychczas Jan nie robił z tego problemu. Wystarczyło mądrze tę wodę dzielić i dla każdego we wsi starczyło. Józefa potrafiła dla dobra ogółu przełknąć okresowe kłopoty. Nawet jeśli bywały dni, że studnia świeciła dnem. Teraz, kiedy w domu była druga gospodyni, problem dziwnie nabrzmiewał i z dnia na dzień psuł atmosferę.

– Zanim wyjdę przed dom, studnia jest pusta – narzekała Weronka. – Poi tą wodą byłdo. Tak być nie może, to nasza studnia. Porozmawiaj z nim, Jasiu – prosiła – niech szuka wody gdzie indziej – powtarzała stanowczo.

We wsi o zwadę nie było trudno. Wystarczył byle powód. Zawsze znalazło się kilku, co szukało pretekstu do bójki. Woda czy łąka, miedza czy krowa, nie miało znaczenia. Mądrzy gospodarze unikali konfliktów z awanturnikami, a sąsiad, Ginter Kordel, był jednym z nich. Kto wchodził mu w drogę, zaraz pożałował. Nie było sensu dogadywać się z nim o cokolwiek. Ponoć przez wiele lat pracował w kopalni na Śląsku, pięści miał jak dwa kilofy. Zjechał do Krasocina z żoną Hildą, bo mu po szwagrze i zmarłej siostrze dom został i kawał pola. Ale nie znał się na hodowli bydła ani na roli, a tych, co mu chcieli pomagać, przeganiał z podwórka. Nawet dzieciom nie pozwalał bawić się z sąsiadami. Mieli się chyba za lepszych, bo z miasta. Przywieźli trochę pieniędzy, ładne meble i wóz z koniem, ale z każdym rokiem było coraz gorzej. Zaczęli sprzedawać mienie, żeby przeżyć zimę. Próbowali siać na ugorze, głodzili zwierzęta, że nawet kury od nich przez płot uciekały. Może z głodu dostawały orlich skrzydeł, że raz po raz przelatywały na podwórka sąsiadów, szukając ratunku. W końcu wszystkie i tak trafiały do garnka.

– Znam go, nie ustąpi, jest zawistny i trudno z nim dojść do zgody. – Jan chciał, żeby żona zrozumiała, że sprawa jest trudna i trzeba ją mądrze rozegrać. – Nikt z nim nie wygrał. Po co nam sąsiedzkie konflikty? – tłumaczył spokojnie. Nie chciał jej i siebie narazić na zbędne kłopoty. Kto wie, co takiemu typowi może przyjść do głowy.

Weronka uważała inaczej.

– Nie możesz pozwolić, żeby się szarogęsił na naszym podwórku. Studnia jest nasza – powtarzała uparcie. – Chce wody, niech przyjdzie i grzecznie poprosi. Takiego trzeba nauczyć porządku. Dzisiaj woda, jutro co innego, jak zaczniesz kraść jajka i kury, to będzie za późno.

– Miałem już z nim do czynienia. To zły człowiek i z nikim tu nie przestaje, teraz się panoszy, bo mocny w barach. Wychowanie nic tu nie pomoże – tłumaczył. – Wolę mu schodzić z drogi. To tylko woda, zawsze jej użyzałem sąsiadom. Brali, kiedy było trzeba, sam czasem czekałem do nocy, żeby napełnić wiadra, nie będę nagle zmieniał zwyczajów. – Nie chciał być niegrzeczny, ale ostre słowa aż się do ust cisnęły. Matce by wyłuszczył swoje stanowisko, żonie nie miał odwagi. – Chcesz, to ci w nocy naniosę wody, dzisiaj i jutro, jak długo będzie trzeba. W Gruszczynie braliście ze wspólnej studni, to powinnaś wiedzieć, że wodą trzeba się dzielić.

– A w Krasocinie studnię ma prawie każdy, u Kordelów na podwórku też ją widziałam. – Weronika

spojrzała zdziwiona. Uniosła wysoko brwi, ręce oparła na biodrach, posąg gniewu i zdecydowania. – Musi być przecież porządek. To Kordel poi krowy, a ja nie mam wody w domu? – napierała. Nie mogła się zgodzić się z męzkowskim myśleniem i ani rusz nie chciała ustąpić. Obce jej były tutejsze zwyczaje, nie znała wszystkich sąsiadów. Nie to, co Jan, który żył w Krasocinie od dziecka.

– Będziesz się potem bała po wsi sama chodzić, kiedy się z nim pokłócę. Ma tu kilku takich zbójów jak on, co się szwendają i straszą ludzi.

– Nie kłóć się z nim, tylko mu powiedz grzecznie, że źle postępuje. Przecież nie każę ci iść na niego z batem, tylko przemówić słowem. – Weronika nie chciała ustąpić. Pierwszy raz tak się nastroszyła, że aż jej nie mógł poznać. Kto by przypuszczał, że tak ją to wszystko rozgniewa, że słodki anioł może pokazać rogi i nie pomogą żadne tłumaczenia

– Więc dobrze – powiedział – niech będzie, jak chcesz, skoro tak ci zależy. Pogadam z Kordelem. – Nie wierzył, że to cokolwiek pomoże, był raczej pewny, że tylko zaszkodzi. Cóż mógł poradzić na upór kobiety, jak ją przekonać, że nie ma racji?

– Ludzi trzeba uczyć porządku. Ustąpisz, to się rozpanoszy – trwała przy swoim, jak przystało na córkę sołtysa. Od rana nastawiona była bojowo i z warkoczem zarzuconym na plecy stawiała na stole obiady. Trochę to było zabawne, że taka zadziorna. Kto by pomyślał. Spoglądał ukradkiem, jak szoruje z zapalem meble.

Następnego dnia czekał na Gintera przed domem. Gdy Weronka z matką karmiły bydło, zobaczył go, jak idzie w kierunku studni. Zabrał ze sobą starszego syna Karolka, nieśli cztery wiadra na wodę. Na Jana prawie nie zwrócił uwagi, tylko podparty pod bok spokojnie opuszczał żuraw, jakby to była jego własna studnia i jego podwórko. Napięte mięśnie pulsowały pod cienką koszulą, gdy podawał wiadro synowi. Klepnął chłopaka po plecach i warknął do niego, kiedy ten z wysiłkiem uniósł je i ruszył do domu.

Jan czekał, aż chłopak nieco się oddali, chciał sprawę załatwić w cztery oczy.

– Sąsiedzie, a ładnie to brać ludziom wodę spod domu? – grzecznie zapytał. – Macie przecież swoją studnię, bierzcie wodę u siebie. Kobieta się skarży, że studnia pusta, bo każdego dnia opróżniacie do dna kilka razy.

Mężczyzna nawet nie podniósł wzroku na Jana, traktował go jak powietrze.

– Nie jestem tu obcy – odezwał się w końcu. Mówił wolno, dobitnie, cedząc każde słowo. – Moja studnia pusta, więc cóż mam poradzić? Taka to wasza pomoc sąsiedzka, ludziom żałujecie wody? Może jeszcze sprzedawać będziecie? Toć ona nie jest prywatna, tylko wszystkich, co mieszkają we wsi. Nieładnie tak skąpić innym, będącym w potrzebie. – Nie patrząc na Jana, wyjmował ze studni wiadro i natychmiast opuścił następne. Ręce miał mokre od wody i zachlapanie spodnie. Nie zwracał na to uwagi. Wygląd nie stanowił dla niego problemu, znać to było po dziurawych butach, które zanurzył w błocie po kostki. Ruchy miał kanciaste, mało precyzyjne, wyglądał na przepitego. Jan zrobił kilka kroków i przyjrzał się intruzowi. Z bliska nie wyglądał tak groźnie. Widać było przekrwione oczy i spuchnięte wargi. Pewnie noc była ciężka i skończyła się bijatyką, miał sińca na skroni i świeżą ranę nad okiem. Mężczyzna znieruchomiał i wreszcie spojrział na Jana, mrużąc przed światłem oczy.

– Ale ja wody nie skąpię – powiedział Jan, zanim się tamten odezwał – i pomocą zawsze będę służył. Oprócz sąsiedzkiej wspólnoty jest jednak sumienie, a wy wodę bez sumienia bierzecie – zaznaczył wyraźnie. – Ja wam na podwórko nie wchodzę i pod oknami o świcie nie stoję. Umówmy się po dobroci, że zaczniemy się tą wodą dzielić. Najpierw ja wody zaczerpnę, jako właściciel studni, a reszta będzie dla was i dla innych, którzy przyjdą poprosić. – Mówiąc to, spojrział mu w oczy, lecz nie dostrzegł w nich zrozumienia. Za to zobaczył, jak intruz zaciska szczęki, ledwo zachowując spokój.

– Ja tam nie będę się z nikim układał – odpowiedział oschle. – Prawo stoi za mną, że woda jest wszystkich, bez względu na to, z jakiej pochodzi studni. Tak jest i zawsze było, kto miał wodę, to się

dzielił z innymi. Może mam się na godzinę umawiać albo czekać, aż wasza kobieta najpierw się wyśpi? – zakpił. – Niech wstaje o świcie i bierze wodę przede mną, nikt jej nie broni. Nie ja jeden tu zachodzę, wodę biorą wszyscy.

– Jakoś tu nikogo nie widziałem, za to wy jesteście kilka razy dziennie. – Jan dalej mówił spokojnie. A jednak czuł, jak zbiera w nim złość. – Nie bronię wam wody – powtarzał cierpliwie. – Bierzcie jednak z umiarem, niech i dla nas tej wody wystarczy.

Sąsiad spojrzął z wściekłością. Wyciągnął wiadro i postawił obok studni. Z ulicy podbiegł pies, duży, kudłaty, i łąsił się do nóg Gintera, merdając ogonem. Pogłaskał psa po głowie, mówiąc coś półgłosem. Jan myślał, że go szczuje, pies posłusznie usiadł przy nodze. Grzbiet miał zjeżony, jakby się szykował do skoku.

– Najgorsze, jak się chłop babą zasłania, a jeszcze do tego wierzy w jej głupie paplanie – próbował Jana obrazić. – Krzyczcie głośniej, niechaj ludziska słyszą, jak się pod spódnicę chowacie, a mnie nie trzeba uczyć porządku, sam wiem, co mi się należy. – Po tych słowach podniósł pełne wiadra i rozchlapując na kamieniach wodę, bez słowa odszedł w swoją stronę. Pies szedł za nim, raz po raz spoglądając za siebie.

Jan był zły, źle to rozegrał. Niepotrzebnie wspominał o żonie. Trzeba było sprawę załatwić po męsku. Znał tutejsze zwyczaje, wiedział, że całe zdarzenie zostanie omówione przy wódce. Wiadomo, że społeczne problemy wsi załatwiano się w karczmie, była głównym miejscem posiedzeń, sądem i trybunałem. W niej zapadały decyzje najwyższego rzędu. Nie chciał sąsiedzkiej wojny. Puścił mimo uszu obraźliwe słowa, nie da się zaczepić i skłonić do bójkii. Nigdy się z nikim nie brał za bary. Rozmowa na pięści nie była w jego stylu. Dogadać się, ustąpić, kiedy trzeba, albo stać twardo po swojej stronie, ale żeby wymuszać pięściami, to nie wchodziło w rachubę.

Ku zaskoczeniu wszystkich rozmowa przy studni dała dobre efekty. Weronika przynosiła wiadra pełne wody rano i wieczorem. Spoglądała z wdzięcznością na męża, że się jednak odważył postawić w tej sprawie. Nie omieszkała rozmawiać o tym z sąsiadkami, zachwalała przed nimi Jasia. One jednak nie wierzyły zbyt w nawrócenie, już niejeden miał z Kordelem kłopoty.

W piątek był dzień targowy, Jan wybierał się wozem do miasta. Chciał sprzedać jajka i sery, zbliżały się święta, więc pieniądze bardzo się przydadzą, w tym roku chcieli ugościć u siebie teściów i siostrę Weroniki, zaprosili też dwie kuzynki z rodziny Sornatów, które znały się z Weroniką od dziecka. Trzeba się było godnie do wizyty przygotować i dom odpowiednio ustroić. Jan chciał, żeby Weronka mogła się w rodzinie pokazać z jak najlepszej strony. Wstał pierwszy i zanim poszedł zaprząc, wziął wiadra i ruszył po wodę. Na dworze prószył już śnieg, biały grysik stukał delikatnie w szyby i osiadał na powierzchni ziemi kruchą powłoką. To był pierwszy śnieg tego roku. Jan zatrzymał się chwilę i rozejrzał. Lubił, jak było biało, wieś wyglądała wtedy jasno i schludnie. Przyniesie wodę, zrobi niespodziankę żonie, nie będzie musiała wychodzić na zimno i moknąć. Dopiero gdy wrócił do sieni, zauważył, że z wodą coś jest nie tak. Zapalił świeczkę, żeby się dokładnie przyjrzeć, od wody bił zapach smaru. Może wiadra nie były czyste albo w coś wdepnął na dworze. Spojrzął na buty, na wiadro, a potem zajrzał do środka. Woda była zielonobrunatna, pokryta tłustymi plamami i okropnie śmierdziała.

Nie pomogło czyszczenie studni. Drewniana cembrowina nasiąknęła naftą. Zniknęły plamy, ale zapach i smak pozostał. Nie dało się tej wody używać w domu, nawet bydło wzdrygało się wypić. Jan nosił co dzień wodę ze strumienia.

Weronika całą winę wzięła na siebie i dopiero teraz pojęła upór męża. Nie było przecież wątpliwości, czyja to sprawa. Ludzie tylko kiwali głowami, też się spodziewali odwetu. Ojciec Weroniki chciał z tego zrobić sprawę, interweniować i sprowadzać strażnika, ale Jan się nie zgodził. Nie chciał tego ciągnąć, znał finał. Odgrywanie się nie miało by końca, a o nieszczęście nietrudno w czasach, gdy prawo dla

Polaka istniało tylko na niby.

– Nie martw się – uspokajał żonę. Widział, jak płacze po kątach. – Żyjesz wśród ludzi, to i ludzie cię krzywdzą, trzeba się z tym oswoić. Ale są inni, którzy pomogą, i na nich się trzeba opierać. Już jestem umówiony z kuzynem. Wynajął ludzi i będzie tu po niedzieli. Zaczniemy kopać i zanim przyjdą mrozy, zrobię ci studnię, lepszą od starej – jak mógł, pocieszał. – Cembrowinę postawimy wyższą, murowaną, żeby było bezpieczniej. Już nie będzie żurawia tylko koło, z wiadrem na łańcuchu. Zrobię też kłapę z zamknięciem. Może i dobrze się stało – żartował. – Czasami coś musi się popsuć, żeby można było poprawić.

Mimo incydentu ze studnią ich pierwsze wspólne Boże Narodzenie upłynęło w dobrej atmosferze. Już wieczorem, przed samą Wigilią, spadł świeży śnieg i przykrył całe obejście. Gdy przestało padać, wieś wyłoniła się w nieskalanej bieli.

– Żal postawić stopę, żeby nie zbecześcić – stwierdziła Weronika, stojąc w otwartych drzwiach. Tuż przed przyjazdem gości wyszli oboje przed dom, żeby spojrzeć, jak pięknie dookoła. Wyglądali na szczęśliwych, w odświętnych strojach, z wypiekami na twarzy. W kuchni czekały potrawy przygotowane przez obie kobiety.

Jan jak zwykle oddał się medytowaniu na temat sensu istnienia i nieodkrytych praw, których nie umiał zgłębić, i cudu istnienia, w którym miał zaszczyt brać udział. Trzymał żonę za rękę, za plecami czuł spojrzenie stojącej w izbie przy oknie matki, która z każdym dniem wyglądała na zdrowszą. Stali tak, obuci i ciepło otuleni kożuchami, patrząc w niebo, na którym było już widać kilka gwiazd. Czekali na dźwięk dzwoneczków przy saniach i na świątecznych gości.

Rozmowy przy kawie

Poznań, rok 2008

Słoneczny październikowy poranek spędziliśmy z ojcem na oddziale kardiologicznym w oczekiwaniu na zabieg wymiany stymulatora. Termin uzgodniony był wcześniej, a do szpitala przyjechaliśmy kilka minut po ósmej. Ojciec miał już na sobie piżamę i szlafrok, był po wstępnych badaniach, po EKG i pobraniu krwi. Jeszcze jedno spotkanie z chirurgiem i zostawię go samego na trzy, może cztery dni. Nie miałam dobrego nastroju, źle znoszę takie sytuacje, jednak jako opiekunka nie mogłam sobie pozwolić na głupie chwile słabości.

– Mały ten oddział – zauważył ojciec po wstępnej inspekcji. – Dwa pokoje na lewo i trzy na wprost. W tych na wprost są kobiety, na lewo panowie. A my pośrodku – dodał odkrywczo. Przydzielono mi bowiem łóżko na korytarzu, pod ścianą.

– Korytarz to świetny punkt strategiczny – pocieszałam. – Będiesz miał oko na wszystkich, a do tego na wprost jest dyżurka lekarzy, jakby co, wystarczy złapać za kłamkę.

– Mam nadzieję, że przetrwam tutaj bez nagłej pomocy – dodał po cichu.

Trzymaliśmy się jakoś oboje, chociaż trochę udawaliśmy. Takie dialogi na cztery nogi, żeby rozproszyć obawy i zamaskować prawdziwy stan ducha. Co tu wiele mówić, pobyt w szpitalu, z jakiegokolwiek powodu, nie należy przecież do miłych.

Czas płynął, a lekarza nie było. Pielęgniarka wyjaśniła, że jeszcze operuje i może to trochę potrwać. Zaproponowałam więc ojcu kawę w barku piętro niżej.

– Chętnie się czegoś napiję – stwierdził ochoczo. – Badania krwi zrobione, więc chyba mogę także coś zjeść?

Podaliśmy pielęgniarce numer swojej komórki i poprosiłam, żeby zadzwoniła, kiedy wróci lekarz, i zeszliśmy schodami do przytulnego pomieszczenia w rogu korytarza.

Jedyny wolny stolik stał tuż przy oknie. Z okna roztaczał się widok na zielone korony drzew i błękitne plamy nieba. Obok, za przepierzeniem, ciągnął się długi korytarz.

– Nie powinienem być dłużej niż trzy dni – wyjaśniał na wszelki wypadek. – Tak twierdził lekarz w czasie porannych badań. Jutro zabieg, pojutrze dzień relaksu, a pojutrze możesz po mnie przyjechać – powtórzył już po raz drugi, żebym nie zapomniała. Popijał w tym czasie słabą kawę z dużą ilością mleka i zagryzał drożdżową bułeczką.

– Sama się wszystkiego dowiem, no i będę dzwoniła, tylko nie wyciszaj komórki, proszę.

– Nie trzeba dzwonić. Nie ma o co robić hałasu. Dam wam znać w razie potrzeby.

– Mama na pewno zadzwoni, nie wytrzyma bez świeżych wieści – uświadomiłam ojcu, że rodzinka raczej będzie go dręczyć, i musi się z tym pogodzić.

– Kiedyś nie było telefonów i ludzie jakoś żyli – powoływał się jak zwykle na przeszłość. Z jednej strony wierzył, że do szczęścia nie potrzeba wiele, a z drugiej strony był zachłanny na zachodzące zmiany. To pierwsze przekonanie wyniósł z dzieciństwa, zrozumienie drugiego przyszło do niego wraz z zachwytem nad postępem, który dokonywał się na jego oczach.

– Kiedyś nie było samochodów i ludzie chodzili pieszo, chciałbyś, żeby tak było do dzisiaj? – kontrowałam ojca spostrzeżenie. – Obrastamy chętnie w dobrobyt i trzeba się z tym pogodzić.

– Mój ojciec często powtarzał, że człowiek na szczycie doznaje największej klęski. Gdy masz mało, to mało tracisz. Nie rozumiałem wtedy tych słów, bo młodość jest zachłanna. Dzisiaj inaczej to widzę, ale z drugiej strony nie chcę być zacofanym zgredelem.

– Trudno porównywać, tato. Żyjesz przecież dłużej od dziadka, masz lepsze wykształcenie i mieszkasz w mieście. Nie będziesz rezygnował z udogodnień tylko dlatego, że już nie jesteś młody, albo że wypada żyć jak człowiek z epoki kamienia łupanego, bo dawno temu tak powiedział twój ojciec. Zmiany zbyt szybko zachodzą i albo idziesz z prądem, albo się cofasz. A ty nie lubisz się cofać – próbowałam udowodnić jego niekonsekwencję.

Zamyślony popatrzył w bok, na swoje odbicie w szybie. Granatowy szlafrok podkreślał bladość twarzy i biel siwizny. W lewej ręce zaciskał kubek, poziom płynu uniósł się niebezpiecznie.

– Uważaj, wylejesz kawę – uprzedziłam.

– Wiesz, że w październiku dokładnie sto lat temu mój ojciec brał ślub? – oznajmił, odstawiając kubek. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią czoło. – Nie wiem, czemu o tym teraz pomyślałem. – Wzruszył ramionami z dziwnym wyrazem twarzy. – I nawet się przez chwilę poczułem, jakbym nim był – dodał, unosząc brwi. – Boże, to chyba nie jest widzenie przedśmiertne? – próbował żartować.

– Daj spokój, tak skojarzyłeś. Czasami zdarza się, że jakiś przedmiot, myśl czy słowo, cokolwiek, przybliży nas do sytuacji, która się kiedyś zdarzyła, i wspomnienie wraca jak żywe.

– No tak, może tak być, rzeczywiście. Tylko że mnie jeszcze wtedy nie było na świecie, więc cóż mogłem sobie przypomnieć? – dodał rozbawiony. – Chociaż, te lipy za oknem, hmm. – Spojrzał jeszcze raz przez szybę i pokiwał głową. – Co do lip byłbym skłonny przyznać ci rację, ponieważ od lip zaczęło się moje dzieciństwo.

– Ile lat miał dziadek, kiedy się ożenił? – zapytałam.

– Urodził się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym, miał więc dwadzieścia dwa lata.

– Zakochał się?

– Tego nie wiem, mam nadzieję, że tak. Takich rzeczy nie mówiło się dzieciom. Teraz rodzice odkrywają przed nimi każdą sferę intymności.

– Ale coś ci chyba zdradził, nie chwalił się podbojami? – Udawałam, że nie łapię krytyki.

– Mój ojciec? Chyba żartujesz. Wiem tylko, że poznali się latem, zdaje się w czerwcu, może w lipcu tysiąc dziewięćset ósmego, nie pamiętam dokładnie.

– To z dziadka szybki Bill – odgryzłam się. – Jak na mężczyznę ożenił się dość młodo. Niezbyt długo smalił cholewki.

– Nie ma się z czego śmiać – zwrócił mi uwagę. – Takie były czasy i zwyczaje.

– Nie śmieję się – sprostowałam. – Tylko żartuję. – Widziałam, że jest na mnie zły za ton, który nadałam rozmowie. Nie chciałam go złościć, tylko sprowokować.

– Zdaje się, że nie miał wyboru – dodał na zgodę.

– Musiał się zenić? No wiesz... – zapytałam, mrugając znacząco okiem.

– Musiał, ale nie z tego powodu, o którym myślisz – znowu mnie strofował.

Ojciec na co dzień nie wydawał się zbyt zasadniczy, życie traktował pogodnie i bez zadęcia. Można z nim było konie kraść. Tym razem jednak nie pozwolił na żarty.

– To może mi o tym opowiesz – zapytałam szczerze. – Już dawno chciałam porozmawiać o dziadku. Pamiętasz, jak wróciłam z podróży do Kielc...

Ojciec zaskoczył od razu.

– Jasne, pamiętam. To był naprawdę niezwykły splot wydarzeń. Takie przypadki, to jak drogowskazy,

sama tak wtedy twierdziłaś.

– Ale jakoś nam ta rozmowa nie wyszła – przypomniam. – Miałaś mi nawet dać swoje notatki.

Szukałaś ich, a potem mama zrobiła kolację.

– No właśnie – próbował sobie przypomnieć. – Ktoś nam przeszkodził?

– Włączyliśmy telewizor na wiadomości. Pamiętasz te trąby powietrzne w północnej Polsce? – odświeżałam mu pamięć.

– A, rzeczywiście – potwierdził. – To było straszne. Jak wyjechałaś, siedzieliśmy z mamą do późna przy TVN24. Nie mogłem po tym zasnąć.

– Notatek też nie znalazłaś.

– Niestety.

– To może teraz się uda, mamy czas – dodałam. – Zamiast notatek odświeżysz sobie pamięć przy kawie.

– Ale znaczy, że co, mam tutaj wspominać? – wyglądał na zdziwionego.

– Tak, jest ku temu dobra okazja – powiedziałam zbyt głośno. Kilka osób z sąsiednich stolików odwróciło się w naszą stronę.

– To chyba nie jest najlepszy moment.

– A właśnie że jest. Lepiej wspominać, niż się martwić. – Tym razem tylko szepnęłam. Popatrzył zdziwiony.

– Nie martwię się – zapewniał. – Ale może masz rację – przyznał po chwili. – Może i prawda, że jestem nerwowy, to czekanie jest irytujące, i ta niepewność. – Wypił swoją kawę i odstawił kubeczek. – Chciałoby się jeszcze pożyć, mieć plany na przyszłość. To najtrudniejsze. Nie mogę znieść myśli, że mnie ominie zakończenie historii – przyznał się skruszony. – Szkoda, że życie to nie film, który ma swój epilog. Chciałbym znać naszą historię do samego końca.

– Oj, tato – rozśmieszył mnie. – Może lepiej nie wiedzieć. A jak się skończy źle? Życie to nie melodramat z happy endem. Dobrego zakończenia nie da się zaplanować.

– Wiem. – Teraz i on się uśmiechnął. – Jednak gdy czuję na sobie dotyk nicości, to jestem przerażony. Brak perspektyw jest przytłaczający, widmo końca, prywatna apokalipsa. A tutaj jest tak ciekawie, szkoda odchodzić – skwitował.

– Przecież jeszcze tu jesteś, masz wszystko pod kontrolą i nas na wszelki wypadek. Spróbuj z tego skorzystać, a co będzie później, o tym po prostu nie myśl. Wszyscy mamy podobny problem, nie jesteś wyjątkiem. – Próbowałam go nieudolnie pocieszać. – Ale ci się zebrało na smętki. Ja tu o przeszłości, a ty lecisz za bardzo do przodu. Skupmy się lepiej na dziadku. Jeśli nas słyszy. – Odruchowo spojrzałam w sufit.

– O tak. – Ojciec też zerknął do góry. – On lubił wspominać, chociaż nie był wielkim gadułą. A więc pytaj. – Rozluźnił się nieco. – Co chciałabyś wiedzieć o moim ojcu?

– Zaczynaj od możliwie najwcześniejszych informacji, wykorzystaj wszystkie, które przychodzą ci teraz do głowy.

Wahał się, patrząc uważnie, czy aby go nie podpuszczam.

– To trudne. – Zamyślił się. – Raczej nie ma tego zbyt wiele – tłumaczył powoli. – Kiedy byłem dzieckiem, wolny czas wypełniało się rozmowami, nie było telewizji. Z tych rozmów przy stole poznałem z grubsza historię mojego taty, o mamie wiem dużo mniej, a może po prostu niewiele pamiętam.

– Z czego to wynika, nie interesowała cię ta gałąź rodziny?

– Nie w tym rzecz. – Wzruszył ramionami. – Byłem chłopcem, z ojcem spędzałem więcej czasu i częściej rozmawiałem. Z mamą też, ale to raczej ona mnie wysłuchiwała.

– Przekazywali ci jakąś wiedzę?

– E tam, wiedza, matka mówiła swoje, a ojciec swoje. Każdy na inną nutę, co kogo bolało, czego się

dowiedział. Albo o zbiorach, albo o rodzinie, często o polityce i tym, co nas dręczyło. Takie normalne rozmowy, jak w każdym domu.

– Dziadek interesował się polityką? – przerwałam ojcu, bo ten temat bardzo mnie ciekawił. Oczywiście inne tematy także były ważne, ale lata osiemdziesiąte dziewiętnastego stulecia, kiedy urodził się dziadek, i te następne, gdy dorastał, to był okres zaborów.

– Jak to chłopak, polityka i jej kulisy zawsze były domeną mężczyzn. Kobiety gadały o mężach, a mężowie o polityce – wyjaśniał.

– Rozmawialiście z ojcem o polityce?

Myślał. Próbował chyba odtworzyć przeszłość. Zmarszczka między brwiami znacznie się pogłębiła. Może zobaczył siebie w rodzinnym domu, jak siedzi z rodzicami przy stole i rozmawia. Czy miał skierowane w głąb siebie, niepatrzące, raczej skupione.

– Nie dało się pominąć rozmów o polityce, ponieważ była codziennością – stwierdził po chwili.

– No tak, wiadomo, ale chodzi mi o dziadka, czy wspominał o jakimś konkretnym ze znanych nam obecnie faktów, na przykład coś o powstaniu styczniowym. Czy ludzie wtedy też rozpamiętywali, jak my dzisiaj, analizowali przyczyny, skutki, kalkulowali? – próbowałam się wyrażać jasno.

– O historię pytaliśmy ojca już jako ludzie dorośli, po to, żeby ją skonfrontować z tym, czego uczyli nas potem w szkołach.

– A co z wykształceniem? – dociekałam. – Dziadek przecież umiał i pisać, i czytać, pamiętam, w ich domu zawsze były gazety.

– Ojciec skończył w Krasocinie trzy oddziały szkoły początkowej. Szkoła działała niestety tylko jesienią i zimą, wiosną i latem dzieci szły w pole, do pracy. W pierwszej klasie nie miał nawet zeszytu. Dostał go nieco później. Początkowo pisał na tabliczce rysikiem i zmazywał szmatką. Zimą dni były krótkie, czasami wracał do domu w ciemnościach. Później, przy świecach, z uporem ćwiczył litery i składał zdania, aż w końcu nauczył się pisać. Wspominał, że bardzo chciał kiedyś przeczytać książkę. Zawziął się więc i po kilku miesiącach radził sobie niemal z każdym tekstem. W szkole obowiązywał jednak język rosyjski, polski funkcjonował jako dodatkowy. Musiał więc uczyć się czytania i pisania w dwóch językach. Opowiadał nam, dzieciom, które już regularnie chodziły do szkoły, że nie miał na czym ćwiczyć czytania i korzystał, z czego się dało, nawet z politycznych ulotek.

Widać było, jak ojcu z każdą sekundą wracała pamięć. Czułam, że wszedł bezboleśnie w odległe dzieje.

– A jak wspominał dzieciństwo? Żył przecież w niełatwych czasach.

– Dzieciństwo prawie zawsze wspomina się dobrze. Wiem to po sobie, dla mnie to także były szczęśliwe lata. Ale ja urodziłem się jako człowiek wolny, pełnoprawny Polak, więc mam inne skojarzenia, a poza tym miałem obok siebie rodziców. Mój ojciec natomiast dorastał u dziadków.

– Nie wiedziałam – wyraziłam zdziwienie. – Kiedyś wspominałeś, że gospodarował z matką.

– Najpierw zabrali go do siebie dziadkowie, specjalnie, żeby ulżyć synowi i pomóc chłopcu zdobyć niezbędną wiedzę, podobno dobrze rokował, a w takie dzieci inwestowało się, oczywiście w miarę możliwości. Czasy się zmieniały, także na wsiach. Bez wiedzy nie dało się gospodarzyć. Rolnik musiał przecież kalkulować dochód i obliczać zyski. Żeby jakoś utrzymać rodzinę, trzeba było znać chociaż podstawy rachunków i pisma. O to szczególnie zabiegał dziadek ojca, Szczepan Kuśmierczyk. Przynajmniej tak się to w domu komentowało po latach.

– Rodzina w pewnym sensie dokonała selekcji, oddając go do dziadka – stwierdziłam.

– Być może, trzeba by zapytać Szczepana. Teraz możemy tylko się domyślać – skwitował. – Szczepan był ponoć strasznym gadułą, z pewnością miałby sporo do powiedzenia.

– A twój tata?

– A mój tata cierpliwym słuchaczem – wyjaśnił. – Gawędzili o pracy na roli i czasach, o których dzieciak słyszał tylko od dorosłych. Wciąż trwały represje związane z powstaniem styczniowym. Niektóre dwory opustoszały, zmieniły właściciela. Niewygodnych wciąż wywozili na Sybir.

– W waszej rodzinie był jakiś powstaniec?

– Szczepana nie wzięli. Miał już wtedy rodzinę i dzieci, takich brać nie chcieli, ale po syna sąsiada ponoć przyjechali, ukrywał się ze strachu w stodole, bał się, że pójdzie i zginie w nie swojej sprawie, bo tak wtedy chłopci myśleli. Szczepan ponoć wiozł kiedyś powstańców z lasu, byli ranni i głodni, chcieli się dostać do Małogoszcza. Innym razem potrzebowali wozu i woźnicy, trzeba im było prowiant zabrać ze dworu. Pojechało kilka furmanek, powstańcy żywność poskładli na sianie, zabrali wozy w las i odjechali. Chłopskie wozy zwrócili wszystkie, co do jednego, ale folwarczne zatrzymali.

– Rozeszło się po okolicy, że chłopci wieźli powstańcom jedzenie. Przyszli żandarmi, Szczepan się bał, że to już koniec, że czeka ich Sybir. Ale tylko wypytywali i zostawili w spokoju. Jeszcze długo bał się, że potem zabiją, a dom puszcza z dymem. Kilka dni żyli w strachu.

– Dziadek pewnie chętnie słuchał opowieści – stwierdziłam. – Skoro pamiętał takie szczegóły.

– Jak ja opowiadałem twoim dzieciom o wojennych przygodach, też słuchały w napięciu, ciekawe, czy ich dziadek był dobrym żołnierzem, czy patałachem. Mój ojciec jako chłopiec też był ciekawy powstania. Konsekwencje styczniowego przewrotu odczuwało się na każdym kroku. A on, jak dziecko, trochę niedowiarek, na własną rękę prowadził śledztwo. Chodził po wsi i wypytywał. Na przykład rozmawiał z krewnym, który pamiętał jeszcze Jakuba Szelę. Krewny twierdził, że Szela to chłopski bohater, bo mordował i okradał bogatych. Chłopcemu trudno było pojąć taką ocenę. Myślał jak dziecko nauczone miłości do drugiego człowieka i ludzką krzywdę zawsze traktował jednako. Nie potrafił zrozumieć takiej filozofii, która zbrodnią dochodziła swojego.

– W sumie chłopci nie popisali się w tym powstaniu. – Wygrzebałam w pamięci szczątki nędznej wiedzy.

– Byli po prostu bierni, sekundowali, ale z daleka. Nie mieli w tym interesu. Nie chcieli ginąć tylko dla idei.

– To raczej mało szlachetna postawa – stwierdziłam. Ale ojciec nie podjął zaczepki i spokojnie tłumaczył.

– Dla chłopca ojczyzna to ziemia, grunt, który daje plony. Ot, i tajemnica. Od wieków źle im się wiodło, chłopci wiecznie cierpieli biedę i nikt się z nimi nie liczył. Panowie tworzyli prawa tylko dla siebie, za nic mieli tego, kto u nich pracuje. Ojczyzny były pańskie, ale chłopska bieda – tak mówił mój ojciec. Może gdyby car tego dekretu nie wydał, tego o uwłaszczeniu, może by się władze chłopskie dogadały z Trauguttem w styczniu sześćdziesiątego trzeciego. Ale car ich wyprzedził. Jak grom z jasnego nieba poszły wieści, że chłopci dostaną ziemię. Wtedy wszystko przepadło. Każdy wolał wróbla w garści niż gołąbka na dachu. A narodowcy obiecali ziemię i nie dotrzykali umowy. To i powstanie upadło.

– Zresztą – dodałam po chwili – uwłaszczenie przypomina mi trochę socjalizm. Zdaje się, że nikomu nie wyszło na dobre.

– Zależy, z której strony spojrzysz – przekonywał ojciec. – Wiadomo, każda zmiana buduje i burzy. Wszystkich się nie zadowoli. Był to jednak jakiś krok do przodu.

– Ale dwory biedniały. Gdy chłopci dostali ziemię, to nie miał kto pracować na dworskim. A chłopska ziemia leżała odłogiem. Cóż można zrobić, gdy nie ma się na nic pieniędzy, ani na konia, ani na ziarno? Z jednej strony padały folwarki, majątki szły pod młotek, a z drugiej chłop patrzył bezradnie, jak ziemia zarasta lasem. Car wiedział, co robi.

– On wtedy myślał o jednym, zwalczać polskość. Chyba nie przypuszczał, że dając chłopom ziemię, wykończy ziemiaństwo.

Nasza rozmowa całkiem niespodziewanie zaczynała nabierać politycznych kolorów.

– Ale ludzie powtarzają swoje błędy bez końca.

– Wsie produkowały ludzi zacofanych i analfabetów. Komu potrzebny był mądry chłop, wystarczy, że miał ręce, nogi i mocny kark – ojciec podsumował.

– I to też był błąd ludzkości.

– Z czasem zaczęło się zmieniać – kontynuował. – Przyjeżdżali wtedy różni mówcy i agitatorzy, politycy, często pomyłenci. Jedni mącili w głowach, inni chcieli czegoś nauczyć, zachęcić do aktywności, nie tylko gospodarczej. Próbowali rozbudzić patriotyzm. Tłumaczyli, że tylko w grupie jest siła. Z drugiej strony urządzali na nich łapanki. Oni po prostu żyli w pułapce.

– Żyli z dnia na dzień.

– Tak właśnie było – ojciec zgodził się ze mną. – Problemem chłopów było przeżycie zimy, a nie kto stoi u steru państwa. Wszędzie było im źle.

– Aż trudno uwierzyć – stwierdziłam. – Nas karmiono ideą wolności od pierwszych dni życia, a im było wszystko jedno?

– Krysiu – zwrócił się do mnie jak do małej dziewczynki. – W ciężkich warunkach liczy się przetrwanie, patrząc na to czysto biologicznie. Wykarmienie stada, rodziny, gatunku. Nie w głowie ludziom polityka, kiedy jest problem przeżycia kolejnego dnia.

– Ale walcząc, można to naprawić – próbowałam polemizować.

– W perspektywie tak, warto walczyć, ale najpierw trzeba zadbać o to, żeby dzieci nie chodziły głodne i nie umierały. A do tego potrzebowali pieniędzy, konia, środka lokomocji. Nawet własnej kosy nie mieli, a przede wszystkim zdrowego światopoglądu. Za marną wiedzą szła w parze niska kultura, także zdrowotna. Ojciec mi opowiadał, że czasami koledzy z klasy znikali z dnia na dzień. Skaleczył się któryś, zabrudził ranę i już go nie było. Dzieci umierały jak muchy, niedożywione, brudne, ubrane nieodpowiednio do pory roku. Umierały z byle powodu, nie widząc na oczy lekarza.

Po tych słowach westchnął i jakby mu zabrakło siły. Oparł się na fotelu, na którym siedział. Wydał mi się bardzo malutki, przygnieciony kamieniem historii, dekadami lat, o których mówił.

– Wszyscy mamy wspomnienia dobre i złe – zagadałam zapobiegawczo.

– W każdym razie, kończąc ten temat – powiedział głośno – uważam, że pobyt mojego ojca w domu dziadka bardzo mu się później przydał. Do tego troska babci, zawsze miłe słowo, a poza nauką i pracą normalne dzieciństwo, ze wszystkimi prawami, które przysługiwały w tym wieku. Były obowiązki, ale prócz tego wiele swobody. Dzieci nikt wtedy nie trzymał w domu. Otwarta przestrzeń, życie w wiecznym ruchu, nieustanny kontakt z przyrodą. Wiejskie dzieci same musiały dbać o bezpieczeństwo. Rodzice nie mieli czasu, żeby ich pilnować, wiecznie zajęci pracą, liczyli na szczęście, na spryt i zdrowy rozsądek pociech, na to, że starsze przypilnują młodszych, nakarmią, ubiorą, po prostu zastąpią rodziców.

– Aż trudno uwierzyć, patrząc na to z dzisiejszej perspektywy – stwierdziłam.

– W miastach było inaczej, szczególnie u ludzi zamożnych. Biedota wiejska musiała sobie radzić według własnych zasad. Nie było szkolnych psychologów ani opieki społecznej. Dzieci poznawały życie nie z opowiadań, nie z książek ani z podręczników, tylko doświadczalnie. Dotykały wiedzy na co dzień, ucząc się na własnych błędach.

– Terapia szokowa. Już widzę dzisiejsze matki. – Uśmiechnęłam się, myśląc jednocześnie o intelektualnej przepaści między moim ojcem a dziadkiem.

– Szczepan uczył wnuka praktycznych rzeczy, a ten słuchał uważnie, bo wiedział, że w życiu ta wiedza będzie mu bardzo potrzebna – usłyszałam jakby w odpowiedzi. – Gospodarz musiał znać się na wszystkim, na budowie domu, na roli i na produkcji żywności. Nic się nie zrobiło samo. Maszyn nie było, potrzebny był człowiek. Szkoła nie mogła zapewnić praktycznej wiedzy. Praktyki uczył się zwykle od

starszych. Szczepan często powtarzał mojemu tacie, że wiedza z dziada pradziada to podstawa, którą potem trzeba ciągle ulepszać. To samo słyszeliśmy i my, ja i moi bracia, przez lata, tak długo, aż sami staliśmy się częścią historii.

– A kim był Szczepan, no wiesz – zapytałam – tak jako człowiek?

– Wywodził się z wolnych kmieci – wyjaśnił ojciec. – Od urodzenia mieszkał w Krasocinie. Był bogatym rolnikiem, ponieważ miał dwa łany frankońskie ziemi, po polsku dwie włóki – czyli pięćdziesiąt cztery hektary. Szczepana i jego potomków nazywano we wsi „Jaskółki”. Nie wiadomo, z czego wziął się ten przydomek, ale na pewno pozwalał odróżnić Szczepana i szóstkę jego dzieci od krewnych brata, Piotra, których dla wygody zwano „Pietrowiaki”. Nie trzeba było wiele tłumaczyć, kto z których Kuśmierczyków, wystarczyło użyć przydomka.

Poczułam się jak odkrywca rodzinnych tajemnic. Przecież już wiedziałam o tych przydomkach. Dziwnie mi było słuchać opowieści o czasach niby tak odległych historycznie, a przecież współczesnych moim dziadkom. Ich wiejski zaśpiew, szczególnie babci, wskazywał na przebytą drogę w labiryntach czasu i zdarzeń, mimo że w sumie wtedy dla mnie, dziecka z drugiej połowy dwudziestego wieku, byli bardzo współcześni.

– Mój pradziadek żył w miarę dostatnio. – Ojciec coraz bardziej wczuwał się w rodzinną opowieść. – Jednak od kiedy rozdzielił ziemię pomiędzy szóstkę dzieci, musiał się mocno ograniczać.

Słuchając opowieści o Szczepanie i Jasiu, moim dziadku, stwierdziłam, że troski mieliśmy podobne. Rodzice i dziadkowie też chcieli mądrych i wykształconych dzieci, które wezmą życie za rogi, dzięki wiedzy i dobrym przykładom. Żałowałam, że nie mam dyktafonu, chociażby kawałka kartki, żeby to wszystko zapisać.

Gdyby nie kawa, nadgryziona drożdżówka, gdyby nie cicha muzyka sącząca się z małego radjka stojącego na ladzie, czułabym się jak student na wykładzie z historii. Wiedziałam, że ojciec mógłby tak mówić bez końca, mnie jednak interesowały przede wszystkim fakty z życia rodziny. Z drugiej strony bez historycznego tła i tamtejszych realiów opowieść nie miałaby większej wartości.

– A jak żyły kobiety, co z nimi? – dopytałam jeszcze. – Orientowały się w sprawach politycznych czy tak ogólnie tylko o dzieciach, o krówkach i kurach?

– One w tym czasie zbierały się w domach. Wiedza potrafi wejść każą szparą, jeśli ma słuchaczy. A przy kobietach uczyły się dzieci.

– A co z rodzicami twojego taty? – spytałam, bo jak dotychczas nie było o nich ani słowa. – Tylko dziadek i babcia.

– Powiedziałem o moim pradziadku, żeby od czegoś zacząć. Skoro mnie pytasz o przodków i żeby od samego początku, no to tak właśnie było. Oczywiście, że miał rodziców. To Piotr i Józefa z domu Majecka. O dziadku wiem niewiele, tyle, że gospodarzył w Krasocinie. Matka mojego ojca też pochodziła z zamożnej rodziny. Jej rodzice byli właścicielami dużego gospodarstwa. Mówiło się, że wywodzą się ze zubożałej szlachty. Ojciec Józefy był w Krasocinie wójtem. Wójt w tamtych czasach odpowiadał za finanse gminy. Zarabiał sporo, lecz jeśli popełnił błąd, to straty w miejskim budżecie musiał pokrywać z własnych zasobów. Wiele lat dobrze sobie radził. Za którejś kadencji coś jednak poszło nie tak. Nie dopisała pogoda, banki odmówiły kredytu, wydatki przerosły zyski i nie było czym łątać budżetu. Na nic się nie przydał spryt Majeckiego i głowa na karku, rodzina ani koneksje. Licho nie śpi, jak mówią, czeka cierpliwie na stosowny moment. Musiał Majecki sprzedać kawał ziemi, żeby się wypłacić. Bieda zajrzała mu w oczy. Już nie był panem na włościach, musiał oddać majątek. Zostawił sobie tyle, żeby starczyło na życie, ale za mało, żeby pomagać córce. Młodzi musieli radzić sobie sami.

– Wypijesz soczek? – przerwałam ojcowską opowieść. Chciałam, żeby odpoczął. Czułam, że ta rozmowa sporo go kosztuje.

Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Dziękuję – odmówił półgłosem. Usłyszałam, jak nabiera powietrza, a potem spokojnie wypuszcza. Chyba trochę ochłonął. Kilka minut przyglądał się mętnym resztkom kawy, które przyłgnęły do ścian kubeczka. – Wolałbym drugą kawę, słabą, jeśli można prosić, ale tym razem bez mleka, za to z odrobiną cukru – dodał jeszcze ciszej.

Bar był samoobsługowy, mimo to uprzejma kelnerka osobiście przyniosła zamówioną kawę. Para unosząca się z kubka przyciągnęła na moment naszą uwagę. Po chwili ojciec znów zaczął mówić:

– Kiedy pomyślę o zmianach, które zaszły od czasów pradziadka – powiedział już całkiem spokojnie – to trudno uwierzyć. Nawet wspomnienia wydają się nierealne, jakby nie moje – dodał. Nagle zgasł i spochmurniał. – Szkoda, że życie się kończy. Przyszłość może być bardzo ciekawa, a ja jej już nie doświadczę.

Za oknem poszarzało. Znikło błękitne niebo, liście wysokich lip, już lekko pożółkłe, pokryły się wilgocią. Nie było słyhać deszczu, bezdźwięczne krople dotykały ziemi. Ojciec wciąż mówił, utknął głęboko w czasach, o których słyszał od swojego taty, w tych, o których czytał. Nie myślałam, że można tak mocno wejść w sferę łączącą różne przestrzenie czasu, że już nie jest potrzebny słuchacz, bo myśl toczy się sama, bez udziału osób trzecich. Ojciec był jak w transie. Z kieszeni szlafroka wyjął złożoną kartkę. Podniósł się i podszedł do pani przy kasie, od której dostał długopis.

– Co to jest? – spytałam.

– To tylko kopia skierowania na oddział, wziąłem na wszelki wypadek, gdybym zapodział oryginał. Ostatnio wszystko gubię – wyjaśnił. – Narysuję ci dom Szczepana, ojciec mi kiedyś zrobił taki szkic, żebym zrozumiał, jak budowało się dawniej wiejskie domy.

Oho – pomyślałam trochę przestraszona. – Znosi się na lekcję dawnej architektury.

Dosłownie w tym samym momencie zadzwonił telefon. Numer był niekodowany, wahałam się, czy odebrać.

– To może być pielęgniarka – ojciec zareagował.

– Halo – rzuciłam w słuchawkę. Rzeczywiście, miał rację. Słuchałam uważnie tego, co do mnie mówiła, a on z napięciem wpatrywał się w moje usta. Gdy wyłączałam telefon, od razu zapytał:

– To co, wracamy na oddział?

– Niestety, czas na nas. – Spojrzałam ze smutkiem.

– Lekarz już czeka? – dopytywał.

Podniosłam się z krzesła i poszłam zapłacić. Nie miałam sumienia powiedzieć mu prawdy, że pielęgniarka prosi o kolejne badanie krwi, bo są jakieś problemy z krzepliwością i poziomem elektrolitów.

– Szkoda, potrzebne mi było dosłownie pięć minut. Przecież nie wspomniałem ci wcale o historii, która padła cieniem na pierwsze dni ich małżeństwa.

– Ja też bardzo żałuję – przyznałam szczerze. – Jak wrócisz do domu, to sobie o wszystkim powiemy.

Nowina

Krasocin, rok 1909

Weronika spodziewała się dziecka. Coś naturalnego, następny etap, nieuchronna kolej rzeczy, ale też wielkie zmiany w życiu kobiety. Cała trójka wstrzymała oddech. Weronika przyjęła tę wiadomość spokojnie, lecz z lekką obawą. Jeszcze nie przywykła do roli żony, nie nacieszyła się mężem i życiem we dwoje. Więc wiadomość radosna z pozoru, w jakimś stopniu zakłóciła jej wewnętrzny spokój. Jak to? Już, nie za wcześnie? – pomyślała w pierwszym momencie. Nie będzie teraz najważniejsza dla Jasia. Ktoś inny zabierze część jego czasu i serca? Rozważała swój stan z niedowierzaniem i z buntem. Jej młodzieńczy egoizm, którego nie zdołała się całkiem wyzbyć, próbował dojść do głosu.

Po ślubie wszystko było dla niej nowością, bliżsi i dalsi znajomi, sąsiedzi, dom, meble i całe wyposażenie, obce zapachy i nawet zwierzęta wydawały się jej jakieś dziwne. Cóż dopiero ludzie, którzy wyrosli na tutejszej glebie, między swoimi. Brakowało jej śpiewu siostry, codziennego marudzenia matki i niskiego tembru ojcowskiego głosu. Ucichło to wszystko najpierw obok niej, a potem w środku. Czują straszną pustkę i żal za dzieciństwem. Szukała pociechy w miłych słowach męża i w jego towarzystwie. Od świtu do zmierzchu razem, w domu i na dworze, chodziła za nim krok w krok. Pokazywał jej dom i obejście, zdrowe deski i spróchniałe, które trzeba będzie wymienić, uczył rozpoznawać drzewa i pokazał okoliczne pola, powtarzał imiona sąsiadów, szwagrów, wujów i innych członków rodziny. A ona nic nie widziała, tylko rękaw jego koszuli. Później przywykła. Często zostawała sama i musiała sobie poradzić – nakarmić i napoić bydło, wydoić krowy, przetworzyć mleko, zebrać jajka, zadbać o warzywa, prać i suszyć bieliznę, a w końcu gotować. Aż pewnego razu poczuła, że jest już na swoim.

Trwało miesiąc, a może dwa, kiedy zupełnie przestała się bać. Pogodziła się z dudnieniem kół pod oknami izby, z glinianą podłogą, z brakiem przyjaciółek. Polubiła Jaśkowego psa, Rudzielca, bo tak go nazwała ze względu na kolor sierści, i ślepego kota, który wylegiwał się stale na schodach, nawet krzykliwe dzieciaki z ulicy też polubiła, mimo że inne były od tych z Gruszczyna. Poznała sąsiadki, miłe, w jej wieku Kaliszewskie, Gołdynki i o nazwisku Rak. Sporo było podobnych kobiet, jedne już dzieciate, inne jeszcze bez męża albo i wdowy.

Niestety, najtrudniej jej było przyzwyczać się do teściowej. Nie, żeby czuła do niej niechęć albo żal. Była grzeczna, usłużna, gdy trzeba pomocna, ale niezwykle chłodna. Nie mogła się jakoś oswoić, że ta kobieta ma zająć miejsce jej matki i powinna ją traktować tak samo. Mity o złej teściowej przywarły do serca dziewczyny i kładły się cieniem na ich wzajemne relacje.

Józefa była przez to nieszczęśliwa. Nadzieja, że w synowej znajdzie przyjazną duszę, drugą bliską kobietę, rozwiała się zaraz po ślubie. Już wtedy czuła, zobaczyła to wyraźnie w jej oczach, że nie jest w stanie zdobyć sympatii dziewczyny. Myślała – młodzi nacieszą się sobą, napatrzą, lepiej poznają, wtedy i o niej zaczną więcej myśleć. Na razie usuwała się w kąt, żeby ich nie peszyć. Modliła się cicho w kąciku, każdym rankiem biegła do kościoła wypraszać łaski dla nowej rodziny. Rozumiała syna. Zakochał się, myśli o swojej kobiecie, chce się przypodobać. Wiadomo, przecież przeżyła to sama w młodości, pamięta, jak było z Piotrem. Dlatego trzeba im dać więcej czasu. Za kilka miesięcy wszystko

będzie jak trzeba – myślała. Oboje w końcu ochłoną i zaczną normalne życie, w którym i dla niej znajdzie się miejsce.

Z biegiem dni nic się nie zmieniło na lepsze, syn stał się jakiś inny, trochę obcy. Już nie miał dla niej czasu jak dawniej, rzadko pytał o zdanie, i ze wszystkim chodził do żony. Matka płakała, kiedy nikt nie widział, wstydziła się łez i zazdrości o syna, ale żal narastał z każdym tygodniem. Taka wzajemna niechęć wróżyła kłopoty. Jan nie wiedział, jak ma postąpić, jak załagodzić trudną sytuację i dogodzić obydwóm kobietom. Manewrował między jedną a drugą, dopóki się dało. W końcu chciał je jakoś pogodzić. Fala żalu popłynęła z jednej i z drugiej strony, a żądania były skrajne.

– Nie może tak być – szeptała mu matka do ucha. Widział w jej twarzy zaciętość. Uprzedziła się do Weronki, co do tego nie miał wątpliwości. – Ona zachowuje się tak, jakby mnie nie było w chałupie. Dobrego słowa nie powie, milczy godzinami jak jakaś niemowa. – Szarpała go za koniec koszuli i przyciągała do siebie, żeby lepiej słyszał. – Zagaduję, pytam, chcę porozmawiać, to ona zaraz wychodzi. Z tobą to jej się usta nie zamykają, jak ktoś przyjdzie, to chętnie ugości i zabawia rozmową, a ze mną milczy jak grób. Zapytam, grzecznie odpowie, i zaraz się plecami odwróci.

– Oj, mammo. Cały dzień jesteście razem, to o czym tu gadać? – Jaś próbował bronić Weronki, tłumacząc półgłosem, żeby go żona czasem nie słyszała. – Przecież was nie krzywdzi, gotuje to, co lubicie, niczego nie skąpi, jest grzeczna, to nie wystarczy? A że nie bardzo rozmowna, to dobrze. Dopiero byś narzekała, jakby ci od rana suszyła głowę. – Jan jak rozjemca szukał rozwiązania. Kochał matkę, ale żona, wiadomo, była teraz dla niego ważniejsza, a od matki wymagał większej tolerancji. – Nie bój się, jeszcze się tak rozgada, że wspomnisz czasy, kiedy milczała. Chciałaś, żebym się ożenił, wybrałaś mi żonę, teraz musisz zrozumieć, że już tak samo jak dawniej nie będzie. Pogadam z Weronką, zapytam, może coś jej leży na sercu, może jej dokuczasz albo krytykujesz.

– Czasami coś powiem – przyznała Józefa ze skrucą, prostując się nagle. – W końcu mam prawo, gospodynią tu jestem, czy ona tego nie rozumie, że dopiero się uczy, że powinna brać przykład ze starszych? Tylko ścierkami macha, sprzęta, układa, sto razy poprawia, a w oborze ryczą krowy, świnie to tak jazgoczą, że aż sąsiedzi przez płot zagląдают. Czy to jest w porządku?

Takie sceny powtarzały się coraz częściej. Trudno było do nich przywyknąć.

Weronika, żeby nie siać niezgody i u męża nie wzbudzać złości, zaprzeczała wszystkiemu, a potem wносиła pretensje o różne drobiazgi. Ciekawe – myślał Jan. – Ludzie mają jedno życie, a tak je potrafią uprzykrzyć. Kłął pod nosem, gdy w izbie gęstniało powietrze, a one jedna na drugą patrzyły wrogo. Dziś też, stawiając w sieni wiadro z obrokiem, słyszał, jak matka stuka garnkami ze złości, mruczy pod nosem, gada do kury, którą Weronka próbowała przegonić z domu na podwórze.

– Że też tak szybko zapomniałaś, kiedyśmy byli we dwoje i nie miał kto izby posprzątać. – Jan próbował matce przypomnieć fakty z niedalekiej przeszłości. – Jak kury spały pod stołem, bo byłaś taka zmęczona, żeś ich nie miała siły nakarmić ani wygnać na pole.

Matka stała naburmuszona, kiedy ją Jan pouczał i karmił. Kiedyś nie miałby odwagi, zazwyczaj słuchoł i próbował cierpliwie tłumaczyć, teraz był zły. To jej na moment odebrało mowę, aż poczuła silne bicie serca i straszny żal za dawną bliskością z synem, za młodością utraconą zbyt szybko i bezpowrotnie, jak nigdy zatęskniła za mężem, za słodkim Andrzejkiem, który teraz pewnie nie dałby jej zrobić krzywdy.

Lecz zdarzały się miłe momenty. W domu słychoć było ich śpiew, bo od czasu do czasu znalazły powód do wspólnej uciechy. Na krótko zapominały o wzajemnych pretensjach, dając się ponieść radości. Weronka wniosła do domu świeży powiew życia i kobiecość, a na to Jan nie był obojętny. Józefa dawała mu poczucie stałości i bezpieczeństwa. Niestety takie dni zdarzały się coraz rzadziej.

Jak zaspokoić wszystkie żądania i pogodzić ze sobą kobiety? Rzeczywiście Weronka była czasami milcząca, a nawet markotna, nie ma się czemu dziwić, widocznie czuła się obco w ich domu, może nawet

trochę bała się matki. Liczył na to, że kiedyś ze wszystkim się oswoi. To, że lubiła porządek, nie było przecież wadą. Kobięce myślenie było dla Jana zagadką, wołał w tym względzie prostotę, jasność słów od przewrotnych sugestii. One za to zakładały maski i w tych maskach do niego mówiły. Załatwiały problemy, pytając, dlaczego to, dlaczego tamto, doszukując się ukrytych znaczeń w każdym niemal spojrzeniu. To utrudniało codzienne życie i dezorganizowało pracę. Stare czasy już nigdy nie wrócą, przecież nie odeśle żony ani matki z domu nie wyrzuci.

– A co to się w tył oglądać – matka nie omieszkała dalej komentować. – Mówiłeś, że nadejdą dla nas lepsze czasy, a tu gorzej i gorzej – wyrzekała w złości. Zaczęła się krzątać po kuchni, jakby się nic nie stało. Kiedy Jaś nie widział, ocierała łzy spływające wzdłuż bruzd na twarzy.

– Jak kto chce zwady, zawsze się powód znajdzie. Czasy nic do tego nie mają – skomentował krótko.

– Ja nie szukam zwady, tylko sprawiedliwości – zabrzmiało okrutnie.

– Sama wiesz, jak jest na wsi. Życie ciężkie, w gnoju i w błocie, ziemia słaba, sporo się trzeba nachodzić, żeby rodzinę utrzymać. – Przełknął gorycz po słowach matki. – Marny nasz żywot i krótki, ludzka praca za nędzny grosz, nikt jej nie ceni. Ludzie mrą jak mrówki, ścinają ich choroby, jakbyś zapomniała, a ja nie jestem z kamienia, sumienie mam i swój rozum. Nie zatruwaj mi życia, tylko pomóż.

– Jan odwoływał się do ich relacji jeszcze sprzed jego ślubu. Pamiętał, jak niedawno kwiliła z rozpacz i smutku. Ile trzeba było czasu i woli, żeby z tym żyć i pracować. – Tu, gdzie ludzkie życie warte jest ćwiartki wódki, a może i nie tyle, cóż warte są głupie kłótnie – dodał na koniec.

– Kto ma wiedzieć, jeśli nie ja – przyznała po chwili.

– Więc wytrzymaj, urodzi się dziecko, jakoś się ułożycie. – Jego głos brzmiał naprawdę szczerze. – Ona młoda, nie zna życia, nie raz przyjdzie do ciebie po radę – pocieszał.

– Czemuś wychodziła w taką ślizgawicę? – zapytał żonę. Nie ostygł jeszcze po trudnej rozmowie z matką i ciężko mu było utrzymać nerwy na wodzy. – Przeziębisz się albo upadniesz, do doktora daleko, a do tego zasypane drogi. Koń nie jest podkuty hacem, po śliskim nie pójdzie – powiedział do niej dość ostro.

– Byłam tylko u Hanki. Sama siedzi z dziećmi, jej chłop poszedł do miasta szukać roboty. Zaniósłam im trochę ciasta, to dała mi piękne jabłka.

Jan jadł powoli ziemniaki z omastą. Gorące skwarki z sadła pachniały w całym domu. Apetyt mu dopisywał, cały dzień był o kubku gorącego mleka, którym go poczęstował stajenny.

– Źle się dzieje, ludzie idą do miasta szukać łatwego zarobku. Młodzi nie chcą umierać tu z głodu – wtrącił, wycierając miskę kawałkiem suchego chleba.

– Hanka mówi, że Wojtek chce zarobić na nową chałupę, bo stara się rozsypuje. Do tego krowa im padła, ma młodą jałówkę, ale zimą mleka jeszcze nie da, zostali przy jednej krowie – powiedziała wyraźnie strapiona.

– Wiem, wiem – potwierdził. – Widziałem się z nim u kowala, złamał mi się lemiesz, jeszcze na jesień, chciałem zawczasu naprawić. Na to zjawił się mąż Hanki i mówił o krowie. Nasze krasule dają sporo mleka, jakoś się podzielimy.

Pogoda zaczęła się zmieniać. Mróz zamroził szyby i wiatr jęczał złowrogo. Okna były na szczęście niewielkie, nie odczuwało się chłodu, dobrze ogacone ściany też trzymały ciepło. Józefa napaliła w piecu, a Weronika zaparzyła dla wszystkich lipy i usiadła przy stole z robótką. Jan obok skręcał sznury, a matka przędła. Z grubych lnianych nici robiła worki. Trzeba je było często wymieniać, bo zimą myszy w nich grasowały. Każdy robił swoje i napięcie odeszło tak nagle, jak przyszło. Zmrok otulił ich

zgarbione sylwetki. Jan wstał, żeby zapalić świece, bo pociemniało w izbie.

Światło z łojowych świec było o wiele gorsze niż z wosku. Ale wosk pszczeli był bardzo drogi, a łój o wiele tańszy. Matka sama robiła świece, tylko ona wiedziała, jak przygotować tłuszcz i czego dodać, żeby się nie łamały, jak skręcać ugniecione plastry dookoła sznurka, żeby knoty nie gasły. Świece były niezbędne, nie zawsze było za co kupić naftę. Czasem jej po prostu brakło. A Jan wieczorami zawsze coś majstrował. Naprawiał cebry i beczki, łątał sita, ostrzył siekiery. Za dnia szedł na zarobek, wieczory spędzał w domu. Dużo rozmyślał nad życiem, czasami czytał gazety. Czytał na głos, przy stole, żeby wszyscy słyszeli, co ciekawego dzieje się na świecie. A więc o polityce, o zdrowiu, o tym, że w Częstochowie została otwarta Wystawa Przemysłu i Rolnictwa. Głośno przy tym marzył, jak byłoby pięknie zobaczyć taką wystawę na własne oczy. Przybyło na nią siedmiuset pięćdziesięciu wystawców, a odwiedziło trzysta pięćdziesiąt tysięcy, niezwykle sukces. Dowiedział się również, że od marca jest nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, William Taft, następca Theodore'a Roosevelta, duży wąsaty mężczyzna. Jan był ciekawy, jakie mu przyjdzie podejmować decyzje, z czym się będzie musiał borykać. Czytał o nowych szkołach, o zakładanych partiach. Otwarto jakieś kino, zamknięto most, ale jest już nowy... Ludzie uczą się astrofizyki, piszą wielkie sztuki, latają balonem, a oni tu ciągle w tym samym jarzmie, w strachu o jutro, o kolejny dzień. Czy jeszcze zdąży cokolwiek zobaczyć, wyrwać się dalej niż miedza sąsiada i sąsiednia wioska? Czy dożyje starości, czy może jak ojciec odejdzie szybko, zanim doczeka się pierwszego wnuka?

Wrócił po całym dniu pracy i chciał mieć chwilę spokoju, a tu od progu pretensje. Najął się do pracy kilka domów dalej. Pomagał sąsiadowi stawiać nowy dach na stodole. Poprzedni był słaby i zarwał się po silnej śnieżycy. Część zboża uratowali, ale słoma i siano solidnie przemokły. Pracował od rana do nocy, lecz na zapłatę musiał poczekać do wiosny. Może sąsiad odrobi na polu, bo o rublach Jan mógł tylko pomarzyć. Za to dziedzic zatrudniał jak trzeba. Konie zniszczyły zagrody, gdy je poniosło w stajni, wyrwały haki ze ścian, stratowały dziedzicowi chlew, zdeptując kilka prosiaków. Roboty nie było wiele, trochę stolarki, zniszczone koryta i tyle. Ale za to grosz wpadł od razu. Przyda się na łóżeczko dla dziecka. Była kołyska w składziku, ale za mała, na długo nie wystarczy, i wspomnienia, które bolały, a nawet zła wróżba.

Którejś niedzieli przyjechał Adam.

– Dziewczynki stęskniły się za babcią – oświadczył. – Obiecałem, że ją przywiozę. – I zabrał Józefę do Ostrowa na całą niedzielę.

Jan wykorzystał moment, żeby poważnie rozmówić się z żoną. Nie miał zamiaru robić jej wymówek. Tyle słów w tej sprawie już padło. Co innego miał tym razem na myśli. Był na strychu z rana i zobaczył starą kołyskę Jędrusia. Wewnątrz znalazł nawet stare gałganki, jakby mu brat zostawił specjalnie znak po sobie, ślad istnienia. Nigdy wcześniej tak bardzo nie odczuł utraty. Dopiero gdy zdał sobie sprawę, że niedługo zostanie ojcem, wtedy zrozumiał matkę. O śmierci brata nigdy nie rozmawiali. Inne śmierci dało się w końcu oswoić, ale to, jak umierał Jędrus, próbowali wymazać z pamięci.

Przy kolacji, którą zjedli we dwoje, postanowił jej o tym powiedzieć. Nie miał pewności, czy robi dobrze. Czy to właściwe, żeby żonie przy nadziei opowiadać smutne historie. Ale w końcu śmierć i życie splatają się ciągle ze sobą, nie istnieją bez siebie, są wiecznym dopełnieniem.

– Śmierć Józki matka zniosła o wiele spokojniej – opowiadał żonie. – A przynajmniej takie robiła wrażenie. – Miał jej zamiar wyjaśnić, skąd u teściowej w sercu jest tyle gorczy i dlaczego jest czasem taka dla niej przykra. Pomyślał, że skoro żona spodziewa się dziecka, łatwiej wszystko zrozumie. Nie

chciał Weronki straszyć ani smucić, chciał jej tylko powiedzieć, że bycie matką to jedna z najtrudniejszych ról.

Rzeczywiście, kiedy umarła Józia, taka mocna i żwawa kobieta, świat się powinien zawalić. Tymczasem matka zniosła to spokojnie. Być może śmierć w trakcie porodu namaszczona była świętością i ofiarne poświęcenie kobiety łagodziło utratę. Ból był przecież podwójny, zmarło także dziecko. Dwie śmierci niezawinione. Rodzenie za każdym razem ocierało się o ryzyko.

– Z każdą śmiercią matka jakby twardniała, może pogodziła się z faktem, że już inaczej nie będzie? – tłumaczył Weronce. – Stracić kolejną córkę, a wcześniej pierworodnego syna i męża, trzeba mieć sporo siły, żeby to wytrzymać.

– A Adam? – zapytała. – Tak ciepło wspominał żonę. Czasami mówił o niej, jakby jeszcze żyła.

– Adam marniał z rozpacz. Nie widziałem jeszcze mężczyzny, który tak bardzo cierpiał z powodu kobiety. Byli wesołym i zżyłym małżeństwem, aż się z nich czasem inni podśmiewali, że Adam siedzi pod pantoflem. Widać tak im pasowało, że jedno wydawało rozkazy, a drugie słuchało. Józia była energiczna i szybka, lubiła rządzić i rozstawiać po kątach, a Adam lubi krewkie kobiety i takiej sobie poszukał. Gdy został sam, to się zupełnie pogubił. Musiałem go jakoś pocieszać, tak jak on wspierał mnie w najgorszych momentach i nie odmawiał pomocy. – Jaś mówił, a Weronka słuchała. Znała wiele faktów z życia rodziny, ale nie chciała przerywać. Skoro mężowi zebrało się na zwierzenia, trzeba to docenić. – Tego samego roku poumierali dziadkowie – kontynuował. – Wiosna zabrała mojego dziadka Szczepana i babcię, a jesień obydwójce Majeckich. – Jan po kolei wyliczał. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się zrobiło pusto. Gdyby nie Jędrak, domowy wesołek i psotnik, chyba bym zwariował. Do tego matka bardzo zhardziała, zamknęła się w sobie. Pokorniała tylko w kościele. Kościół stał się jej drugim domem, tam nie była sama. Często chodziła nad rzeczka, pomodlić się przy kapliczce. Nie ona jedna, ale ona najczęściej. Kto wie, czy żyłaby jeszcze, gdyby nie Nepomucen.

– A co z Jędrusiem? Przecież był wtedy dzieckiem.

– Gdy umarła Józia, Jędrak miał trzynaście lat. W jego wieku zacząłem już gospodarować po śmierci ojca, więc i on, choć wolał biegać po łąkach, pomagał nam. Kręcił się zawsze przy matce. Byli ze sobą jakby na uwięzi. Dreptał za nią jak cień, od niemowlaka. Więc i za nią chodził do kościoła. Gdyby był trochę poważniejszy, mógłby iść nawet na księdza.

– Twoja matka kiedyś mówiła, że ganiał za spódniczkami.

– O, było trochę inaczej. – Jan ją poprawił. – To raczej one za nim biegały.

– Dlatego nie został księdzem – stwierdziła z uśmiechem.

– Między innymi dlatego. Trudno go było nie lubić – przyznał. – Tego lata były dobre zbiory. Wiosna z deszczowym i ciepłym majem i gorący lipiec. Wtedy dobudowałem składzik na wczesne ziemniaki i kapustę. Sianokosy i żniwa były długie i obfite, jak nigdy. Matka zgodziła się pomóc proboszczowi przy żniwach. Sam nie nadążał ze zwózką, poszliśmy więc pomóc. My z bratem i kilku chłopów ze wsi. Matka czuła się wyróżniona, że właśnie ją prosił o pomoc. Cieszyłem się, bo była w swoim żywiole. Poweselała, nabrała sił, zacierały się z wolna wspomnienia o smutnych latach. No bo cóż mogła zrobić, rwać włosy i skakać do rzeki? Nie było wyjścia, jak tylko wstać o świcie, nakarmić bydło, oporządzić obejście i iść jak zawsze w pole.

– Zwoziliśmy zboże do wieczora. Był potworny upał, nie zelzał nawet o zmroku. Ja zwoziłem, a Jędrak w środku układał snopki. Pełne furmanki przyjeżdżały jedna za drugą. Ci pod dachem nie mieli chwili wytchnienia. Dopiero gdy zapełnili zapole, zeszli na ziemię, żeby odpocząć. Kobiety przyniosły kwaśnego mleka i placków owsianych. Jędrak zamiast coś zjeść, odpocząć poszedł prosto do studni. Oblał się wodą z wiadra i solidnie opił. Pojechałem po ostatnie snopki. Matka wróciła do domu, bo ledwo stała na nogach, a on położył się gdzie bądź i zasnął. Wrócił półżywy. Następnego dnia

zachorował.

– Boże – westchnęła Weronka. – Przekleństwo jakieś?

– Nie wiem. Do dzisiaj nie mogę pojąć. Zmarł w niedzielę wieczorem – kończył na jednym oddechu. – Najpierw zwała go z nóg gorączka, potem padło na płuca. I tym razem lekarz nie był w stanie powstrzymać choroby. Zmiotła go, jak podmuch wiatru zmiata pierwsze pożółkłe liście. A potem od środka spaliła. Nie zorientował się nawet, nieborak. Zakwilił tylko jak szczeniak i matkę zawołał. Myślał pewnie, że gdy ją chwyci za ręce, to z nią dłużej zostanie. Stałem jak skamieniały, kiedy doktor powiedział, że kona. Wyciągnął do nas ramiona, był taki zdziwiony, powiedział, że są takie lekkie, jakby ich wcale nie miał. Twarz mu zupełnie zbielała, nabrał powietrza i jeszcze głośniejsze zawołał, a matka przed nim klęczała. – Zapadła cisza. Weronka zamarła. Chwyciła się za podbrzusze, jakby w obronie.

– I na nic klęczenie ani modlitwa. Nikt mu nie mógł pomóc. – Jan zamilkł, wspomnienie tamtej śmierci odebrało mu siły.

W domu było wtedy jak w grobie. Matka zawodziła przez całą noc. Wyrzucała sobie, że to wszystko przez nią, że niepotrzebnie brała ze sobą chłopaka. Nie mogła pojąć, dlaczego Bóg jest dla niej tak srogi. Czym zawiniła, jakim grzechem, że tak się z nią obchodzi? A może to za pierworodnego, którego z Piotrem zdusili w łóżku, może to jest pokuta za śmierć niewiniątka? Bóg daje i Bóg odbiera, tak ją uczyli w kościele, i o tym pamiętała. Dał, a potem szybko odebrał, najpierw roczne maleństwo, potem męża, dwie córki, a na koniec najmłodszego Jędrusia, słonko, które tak bardzo kochała. Została tylko z Janem. Czy i jego jej odbierze ten Pan Niebieski, który miał strzec i pomagać?

Człowiek buduje, troszczy się, krząta, a potem wszystko traci. Dlaczego, czy taki jest sens rodzenia? Czy nie po to cierpiała, żeby patrzeć, jak dzieci cieszą się życiem, jak zakładają rodziny, jak się kochają i gospodarzą? Miała w oczach ich twarze, pełne życia, bo przecież niedawno odeszli, pamiętała każdego, jaki był, co lubił, czym się najbardziej cieszył. Jakże to było świeże, nieprawdopodobnie realne. Jędrus lubił obgryzać chleb ze świeżej skórki. Złościła się za to na niego. Kiedyś schował się w komorze i oskubał tak kilka bochenków. Kasia zносиła do domu wianki, wieszala je gdzie popadło. Jaś te wianki rzucał potem królikom, żeby koniczyna się nie zmarnowała. Śmiali się, że ekonomem zostanie. Józia kochała jeść. Ostatnia odchodziła od stołu. Później lubiła gotować, dzięki temu mogła się najeść do syta i wydrapać garnki. Tyle było wspomnień, głosy zmarłych unosiły się jeszcze w powietrzu, wydawało się, że słyhać je wszędzie. Dom, który tętnił życiem, teraz wydał się martwy. Wieczorami skrzypiały sprzęty, przewracały się stolki, nawet koty uciekały w pole, zamiast się grzać na przypiecku. Męczył je nocny płacz i zawodzenia zrozpaczonej kobiety, których nie dało się nijak uciszyć.

Tymczasem był schyłek lata, prace w polu dobiegały końca. Jak zawsze pomagał Adam i dobrzy sąsiedzi. Matka nie miała siły wychodzić w pole. Ocknęła się jednak na tyle, żeby dom przygotować do zimy i zabezpieczyć zapasy.

Kiedy nadeszła wiosna, zaczęła szukać żony dla syna, to była jej nowa misja. Chciała, żeby dom znów się zapełnił ludźmi. Spadające nieszczęścia odebrały jej siły. Nie zniesie tej pustki. Miała zaledwie czterdzieści pięć lat, a czuła się stara i słaba. Teraz on, jej syn, jedyne dziecko, które Bóg zostawił na pociechę, musi założyć rodzinę. Z taką ideą pewnego dnia wyszła o świcie na pole i płacząc wniebogłosy, prosiła Boga o dobrą żonę dla syna.

Trudna to była opowieść, a historia jeszcze bardzo świeża. Jan z Józefą zakopali ją głęboko w sobie i przestali o tym rozmawiać. Jak żyć, gdy wyrzuty sumienia obojgu zatrzuwały dusze? Jan wyrzucał sobie, że nie on był na górze w stodole, tylko posłał tam młodszego brata, a Józefa, że z pychy zagoniła dziecko do pracy. Tak bardzo chciała przypodobać się plebanowi, zasłużyć na chwałę w niebie, gdy tymczasem wymodliła ją dla syna.

– Ja też straciłam brata, utopił się w stawie. Miał tylko siedem lat. Pamiętam, jak ojciec płakał. Nie bardzo wtedy rozumiałam tę rozpacz – zwierzyła się Jasiowi Weronka. Czuła, że mąż otworzył przed nią serce, jakby się tego dnia wyspowiadał.

W domu zrobiło się cicho. Wygasł ogień, wypaliła się świeca. Jeszcze chwilę siedzieli w tej ciszy, patrząc na gwiazdy, które obficie obsypały niebo. Noc była mroźna, ale bezwietrzna. Gdzieś we wsi wyły psy.

Wiosna w pełni

Krasocin, rok 1910

Wczesna Wielkanoc minęła w deszczu i lekkich przymrozkach, a wieś nie świętowała tak hucznie jak zawsze. Uroczystości Wielkiego Tygodnia przeszły bez większego echa, przy wtórze wiatru i w strugach deszczu. Nawet dyngus nie był potrzebny.

Weronka pod koniec ciąży trochę zmizerniała, była blada i znudzona. Brakowało jej ruchu, śnieżna zima uwięziła ją w ciasnym domu. Tęskniła do siostry, do rodziców, brakowało jej dawnych przyjaciół i tamtych dziewczęcych wiosen pełnych bez troski i śpiewu. Kiedy była jeszcze lekka i zwinna, kilka razy wybrała się do Gruszczyzna. Znała drogę na pamięć. Potem ojciec musiał ją odwozić wozem, zwłaszcza że jesienią szybko robiło się ciemno. Czasem zostawała na noc, a Jan ją nazajutrz odbierał. Wracła wtedy promienna, z nowymi gruszczyńskimi ploteczkami, z jakimś drobiazgiem od mamy lub kilkoma rublami od taty na ubranka dla dziecka. Kompletowała wyprawkę i cieszyło ją wszystko, cokolwiek dostała.

Poród budził w niej sporą obawę, tyle się nasłuchiwała! Jan, ile tylko mógł, odganiał czarne myśli i żarliwie pocieszał. Bywały lepsze i gorsze momenty, jak to w ciąży bywa. Na szczęście dla całej rodziny Weronka nie przysporzyła bliskim zmartwienia. Wczesną wiosną 1910 roku ku radości rodziny urodziła zdrową córeczkę. Dali jej na imię Ewa.

Latem obok kościoła, naprzeciwko plebanii, między drogą a rzeczką, za sprawą proboszcza postawiono świętą grotę z kamienia. W środku miała kapliczkę z ołtarzykiem, przy której można się było w skupieniu pomodlić. Kamienne sklepienie grotty tworzyło dobry nastrój do rozmów z Panem Bogiem. Na szczycie umieszczono figurę Matki Boskiej, a u stóp rzeźbę klęczącej pasterki. W święta kościelne do grotty prowadzono procesje. Wierni schodzili z całej okolicy, przyjeżdżali z innych parafii, żeby czcić Niepokalaną, a w majowe wieczory echo niosło pieśni wielbiące Maryję przez umajone pola i łąki. Jan, gdy zwoził materiał na budowę grotty i kiedy przy niej pracował, nie myślał, że kapliczka stanie się dla matki kiedyś drugim domem.

Pojawienie się maleństwa było wybawieniem. Dziecko wprowadziło do domu ciepły rozejm między kobietami. Uwaga wszystkich skupiła się teraz na nim. Weronika polegiwała dość długo w połogu, bała się, żeby nie umrzeć jak jej kuzynka, która za wcześnie wstała i dostała krwotoku. Dzieckiem w tym czasie pomagała zajmować się babcia. Jan sekundował kobietom, z radością patrząc na córkę i dwie szczęśliwe matki. W pierwszych dniach jakoś nie mógł uwierzyć, że został ojcem, wydawało się, że to jeszcze nie dla niego rola. Kiedy jednak nastał czas odwiedzin i zaczęli się zjeżdżać krewni, żeby zobaczyć pociechę, wcielił się w tę rolę bez większego problemu. Teściowie byli dumni, że ich córka

dobrze się spisała, a Anielka zazdrośnie zerkała na dziecko, myśląc, że i na nią czas do zamążpójścia.

Dziecko zniosło w domu wszelkie bariery. Jan był wniebowzięty, że oprócz cudu narodzin stał się cud kolejny – braterstwo między żoną a matką. Chmury niedomówień między kobietami rozwiła jeszcze jedna kobieta.

Weronika szybko odzyskała siły. Przekonana, jak każda matka, że urodziła najpiękniejsze dziecko na świecie, znajdowała przyjemność w macierzyństwie i dość szybko wracała do codziennych obowiązków w gospodarstwie. Szczęśliwa babcia Józefa, doceniona za praktyczne rady, pomagała bez narzekania. W domu zapanowało zdrowe podniecenie i pełna harmonia.

W końcu wiosna zawitała w pełnej krasie, jak zawsze z kluczami ptaków na błękitnym niebie i z rześkim powietrzem znad Gór Świętokrzyskich. Poranne mgły, wynurzające się o świcie z ciemności rozpraszały się w słońcu bez śladu. Ziemia odtajała, ruszyły kry na Czarnej, jak co roku zabierając czyjeś dziecko. We wsi liczono straty, rachowano zmarłych, cieszą się z tych, którzy im przybyli. Dzień robił się dłuższy, poranki cieplejsze, zaczęły się roboty w polu. Nie było czasu na dąsy i sprzeczki. Weronika zajmowała się dzieckiem, a matka pomagała synowi. Jakoś tej wiosny czuła się zdrowsza i miała chęć do pracy. Zapomniała o żalach, zmęczeniu, uniosła ją wiosenna euforia i uskrzydliła na wiele tygodni. Zamiast długich modlitw o poranku zaczęła śpiewać przy pracy. Nawet Weronice wydała się odmieniona, miłsza dla niej i cierpliwsza.

Ludziom jakby ktoś podał zastrzyk z sił i podwójną dawką wigoru. Zaczęły się orki, ruszyły furmanki z gnojem, bronowano pod zasiew, kobiety szykowały okrawki ziemniaków i kopały redliny. Od świtu do zmroku roiło się w polu od ludzi.

Jan wchodził w tę wiosnę z radością. Był starszy o kolejny rok, po ożenku stał się poważniejszy, dojrzały. Już nie był Jasiem, jasnym chłopcem, któremu trzeba pomagać i radzić. Miał żonę, dziecko, matkę, której nie opuścił w biedzie, i ziemię, której chciał zostać wierny do końca.

Zesłanie Ducha Świętego przypadło tego roku dość wcześnie. Piętnastego maja zaczęły się uroczystości w kościele i były huczniejsze niż zwykle. Władze carskie nie chciały zadzierać z polską tradycją. Po roku 1905 możliwe były nawet procesje poza granice kościoła. Tak więc Boże Ciało, dwudziestego szóstego maja, wieś obchodziła bardzo uroczyście. Nawet pogoda była łaskawa. Przez Krasocin przetoczyła się kolorowa procesja. Przed księdzem postępował korowód dziewcząt w białych szatach, które sypały kwiatki, ścieląc drogę jasnym kobiercem płatków dzikiej śliwki oraz żółtych mleczy.

Weronika nie uczestniczyła tym razem w procesji, była słaba, a do tego mała Ewa wymagała ciągłej opieki. Dziewczynka początkowo kaprysiła i popłakiwała nocami, z czasem jednak zaakceptowała swoją kołyskę i polubiła miejsce, w którym przyszła na świat.

Wiosna i lato minęły w słodkiej sielance. Ewa zaczęła siadać, trzeba ją było ciągle mieć na oku. Nadeszła pora zbiorów, a potem długich, mozolnych przygotowań do zimy. Kobiety nie dawały rady, ktoś musiał zająć się dzieckiem. Wtedy Adam przysłał Walerkę, córkę Kasi, która była już dużą panią. Walerka po śmierci mamy zamieszkała z wujostwem, w Ostrowie, ale po śmierci Józki wzięła ją dalsza rodzina. Nie czuła się tam dobrze. Ucieszyła się, że będzie mieszkać u babci i doglądać córki wujka Janka.

Znawcy przepowiadali srogie mrozy tej zimy. Ludzie gromadzili opał, robili zapasy. Niejeden pamiętał rok, kiedy wieś była odcięta od świata przez kilkanaście tygodni. Wspomnienia sprzed lat setki razy obieły okolice i wszyscy wiedzieli, jakie są konsekwencje braku przezorności.

Tegoroczne zbiory były udane, chociaż nie tak, jak sobie obiecywano. Wystarczyła jedna noc, jedna

burza z gradem potrafiła pogrzebać nadzieje dostatku. Na to Jan nie miał wpływu i z pokorą przyjmował kaprysy losu. Nie mógł się jednak pogodzić z konfliktem w domu. Między kobietami znowu coś się psuło. Powrócił problem podziału obowiązków i jak się wkrótce okazało – dochodów. Matka oświadczyła młodym, że chce podziału ziemi i domu. Przyzwyczajona przez lata do dysponowania własnym dobytkiem nie mogła się pogodzić z rolą najemnika, któremu daje się wikt i opierunek w zamian za pracę. Nie pomogły tłumaczenie i prośby, zacięła się w postanowieniu, że od wiosny chce rządzić sama.

Sprawa stanęła na ostrzu noża i wymagała porady prawnika. Jan zwlekał z tym, jak długo się dało. Miał płonną nadzieję, że coś się zdarzy i matka zaniecha pomysłu.

Lecz nie to miał na myśli, gdy pewnej wrześniei nocy ktoś włamał się do zagrody, zabił i wykradł świniaka z komory. Wcześniej udusił psa i wyrzucił biedaka na drogę. Jan z Adamem i jednym z sąsiadów, dalszym kuzynem Majeckich, spenetrowali okolice, wypytyjąc, czy ktoś nie widział człowieka z podejrzanym tobołem. Zajęło im dwa dni, nim się upewnili, że to raczej nikt z sąsiedztwa. Tutaj znali się wszyscy, cała wieś wiedziała, co kto miał w stodole i w oborze, co jadał, w czym chodził, z kim się procesował.

Podobne kradzieże nie były wtedy rzadkością. Kto słabo pilnował dobytku, ten rychło mógł wszystko stracić. Bieda zmuszała do strasznych postępów, a złych ludzi nie brakowało. Często bywało, że kradły dzieci, te przyuczone, które mogły bez trudu wcisnąć się w każdą dziurę, i te większe, którym natura nie poskąpiła sprytu i zuchwalstwa. Dużo się o tym mówiło, a wieś często musiała jednoczyć się w obronie. W pojedynkę walka ze złodziejstwem nie byłaby możliwa.

Tym razem upiekło się rabusiowi i rodzina Kuśmierczyków musiała to jakoś przeboleć. Weronika płakała po psie. Lubiła Rudzielca, ceniła za wierność, z jaką doglądał latem jałówek. Józefa rozpaczała bardziej za świniakiem, znała realia wiejskiego życia. O psiaka nie było trudno, pałętało się tego pełno po lasach, wystarczyło pokazać miskę z okraszoną śrutą. Nieszczęśliwe zdarzenie i poszukiwania przestępcy stały się w domu tematem numer jeden. Matka zapomniała o własnych problemach. Odwiedziła dalszych i bliższych krewnych, żeby zasięgnąć języka. Poszła nawet do tych, o których nie miała dobrego zdania i już od dawna się z nimi nie widywała. Skorzystała z pretekstu, żeby odnowić kontakty, o niektórych nawet zmienić zdanie. Poświęcenie Józefy nie przyniosło efektów poza tym, że pomogło zacieśnić zerwane więzi z krewnymi. Krótco przed Świętem Zmarłych Jan przyniósł do domu szczeniaczka, a matka z gospodarską zaradnością wystarała się o warchlaka, za którego obiecała utkać siedmiometrowe płótno kuzynce z Gruszczyzna i odrobić wiosną przy siewach.

Z początkiem grudnia zaczęło solidnie mrozić. Czwartego, w samą Barbarę, zamarzył staw w Krasocinie i pod Kielowym Lasem, drzewa obsypał szron. Jan zdążył jeszcze zabezpieczyć kopce i obłożyć gliną ziemiankę.

Powoli zbliżały się święta. Józefa cztery tygodnie spędziła w kościele, pomagając w sprzątaniu i ozdabianiu świątyni, ale przede wszystkim uczestniczyła w kościelnych obrządkach. Domem w tym czasie zajmowała się Weronika z Janem, pomagała im mała Walerka. Wstawili snopki, na ścianach zawiesili słomiane gwiazdy, łańcuchy, całą podłogę wyścielili słomą, a płoty ozdobili gałęziami sosny. Weronika dostała od Jana w prezencie opłatkową szopkę i małe gwiazdki.

– Widziałem takie opłatki we dworze. Zeszłego roku dziedzic przystroił nimi choinkę. Cudeńka to były prawdziwe – zachwycił się Jan zagadnięty przez żonę. – To sobie wtedy obiecałem, że i tobie kupię za rok. Nie są takie bogate jak tamte – chciał się wytłumaczyć.

– Są bardzo ładne. – Weronika podziwiała misterne obrazki odbite w cienkim opłatku, chroniąc je przed zaborczymi rączkami Ewy.

Dla córki przywiózł z miasta cukierki, ale przegrały z zachwytem nad koronkową, chociaż nietrwałą ozdobą, a Walerce sznurowane buty, stare miała już bardzo znoszone. Matce dał święty obrazek

malowany na desce. Powiesiła go zaraz na ścianie i codziennie się do niego modliła.

Ozdabianie domu świętymi obrazami świadczyło o jego mieszkańcach. Im więcej obrazów, tym rodzina zacniejsza. Przed świętami obrazy ozdabiano się jeszcze wiankami z papierowych kwiatów. Józefa zrobiła ich sporo dla księdza, teraz robiła dla siebie. We Włoszczowie Jan kupił jej ładną bibułkę, cieńszą i delikatniejszą niż zwykle. Ze wzruszeniem podziwiała obraz od syna i cieszyła się wszystkim – różowym wiankiem z papieru, rumianą wnuczką pałaszującą z apetytem kawałek suchego chleba i atmosferą. Uznała, że czas świąt to radosny okres i trzeba go przeżyć w zgodzie i w spokoju.

– Może w przyszłym roku dostanę na święta mały świerk, dziedzic mi już dawno obiecał. Miałyby Ewa w domu zielone drzewko zamiast słomy – powiedział Jan, głaszcząc po główce córeczkę. Cieszył się na te święta jak nigdy, dla młodej żony, dla dziecka, dla szczęścia, które go rozsadzało, i tylko wstydił się do tego przyznać. Dojrzewał w tym szczęściu powoli, jak dojrzewa się w życiu ze wszystkim, co człowiekowi to życie przynosi. Aż sam się dziwił zmianom, które w nim zaszły. Na stryszku trzymał świąteczne prezenty, drobiazgi dla kobiet, drewniane zabawki dla dziewcząt, które zrobił w jesienne wieczory. Mały wózek z dyszlem, do którego Józefa uszyła poduchę, zrobił też wiatraczek poruszany jak motowidło, a na każdym z czterech ramion kolorowe drewniane figurki, które tańczyły, gdy się nim kręciło. Ewa była jeszcze za mała do takiej zabawy, ale zabawka nie ptak, nie odleci. Miał też prezenty dla Adama i jego córki Poli, zaprosili ich do siebie na święta, żeby szwagrowi samemu nie było smutno.

Jan jeszcze kilka dni przed Wigilią kładł nowy dach na stajni u dziedzica, piękny, szkudłowy z modrzewia. Drewniane kliny z wpustem wzdłuż szerszej krawędzi sztywniały na mrozie, trzeba je było lekko dobijać, żeby dokładnie złożyć. Napracował się Jan, ale nie żałował. Szkudłowy dach kładł po raz pierwszy w życiu, nawet się do tego nie przyznał. W końcu to żadna sztuka, wystarczy spojrzeć, jak inni to robią, i naśladować.

Dziedzic, człowiek uczciwy, propagator postępu w całej okolicy, w rozmowie z Janem bardzo przeżywał śmierć Ludwika Górskiego, postaci o wielkich zasługach dla rolnictwa i ludu wiejskiego. Zdarzało się, że brał Kuśmierczyka do dworu, na rozmowę. Zimą częstował herbatą, latem zimnym piwem i wypytywał o kondycję wieśniaków. Tamtego razu opowiadał o Górskim, jakim to był wybitnym człowiekiem, jak wiele zrobił dla wsi i chłopów na Podlasiu. Wszystko, czego się dotknął, nabierało blasku i zyskiwało na znaczeniu, w szybkim tempie przynosiło korzyści. Dziedzic chciał go naśladować. Kiedy objął zaniedbane majątki, zaczął od zniesienia pańszczyzny i oczynszowania chłopów. Często cytował słowa Górskiego, że „właściciel ziemski powinien mieć zasady jasne jak słońce, co ziemię jego opromienia; gruntowne jak ziemia, którą uprawia; głębokie jak duch ludu, który go otacza”. Wprowadził u siebie pracę najemną, za którą płacił rublami albo w naturze. Meliorował bagna, powiększał tym samym grunty swoje i miejscowej ludności. Nauczył się stosowania płodozmianu i nawożenia. Jan słuchał go z otwartymi ustami.

Na szczęście zdążyli uporać się z dachem przed pierwszą gwiazdką. Dziedzic dobrze zapłacił, wdzięczny, że wszystko szło sprawnie i bez przestojów. Jan też był zadowolony. Wpadło ciut grosza na święta i na wszystko wystarczyło. W niektórych domach we wsi panował głód i brakowało na opał, więc trzeba się było podzielić. W święta Bożego Narodzenia nikt nie powinien być głodny.

Dzień przed Wigilią ktoś okradł syna Karola Siuta, miejscowego kowala. Mieszkał trzy chaty od Jana, miał duży dom i osobno chlew oraz stajnię. Nikt z domowników nie słyszał, jak z chlewu zabrano kury i warchlaka. Gdyby nie czas Wigilii, kował by nie darował. Przeszukałby dom po domu.

Nie chciał jednak robić we wsi zamieszania przed samą wieczernią, jakoś przebolewał stratę. Ale inni zaczęli lepiej zamykać furki i dokładnie ryglować chlewy.

Wieś świętowała mimo wszystko hucznie, młodzi kolędownali, starsi wznosili toasty, kobiety wspominały lepsze czasy i tych, co umarli. W takich momentach smutki i kłótnie odchodziły na dalszy

plan.

Krótko po Nowym Roku Jan i Weronka pojechali z wizytą do teściów. Z Ewą została babcia i Walerka. Jechali wcześniej rano. W nocy spadł śnieg, chwycił lekki mróz, ale nad ranem zaczęło tajać, a potem znowu padać.

– Pospieszmy się z wyjazdem – ponaglał żonę. – Jak się drogi roztopią, to koń nas nie uciągnie. Uprzedziłem ojca, że przyjedziemy o świcie, a świt już niedaleko.

Gdy wjeżdżali pod górkę do wioski, płozy już grzęzły w śniegu. Przemknęli pustymi drogami, koń jechał bez wysiłku, choć spod kopyt bryzgało mokrym śniegiem. Mimo wilgoci powietrze było rześkie, a oni w dobrych nastrojach. Kochali swoją córeczkę, ale ucieczka na kilka godzin od codziennych obowiązków miała swój urok. Weronka wtulona w męzowski kozuch, z głową na jego ramieniu robiła wrażenie szczęśliwej. Było jej żal, że do Gruszczyna tak blisko. Pojechałaby w taki poranek z Jasiem na koniec świata. Dobrze jej było. Nie dospała tej nocy, a stukot końskich kopyt usypiał jak kołyska.

Ocknęła się nagle, gdy z przeciwnej strony zobaczyła jadące sanie. Dudniły na wybojach obciążone ludźmi. Za nimi na drogę wypadły następne, a w środku jechała kibitka. Na saniach żołnierze w spiczastych czapkach, z karabinami, na których zatknięte były bagnety. Jan wstrzymał konia i lekko zjechał na prawo. Droga była wąska, a rozpędzone sanie przemknęły jak nocna zjawa. Zamarli, Weronka chwyciła Jana za rękę i wstrzymała oddech. Widok kibitki z więźniami w każdym budził strach. W końcu ruszyli, ale czar podróży prysł i jechali dalej w milczeniu, wypatrując kresu drogi. Słyszeli uderzenia płóz w oddali, kawalkada sań jechała do Krasocina. Zatrzymali się znowu i spojrzeli za siebie. Koń głośno zarżał, Weronka odruchowo zasłoniła usta, jakby się bała, że krzyknie. Czekali kilkanaście minut, patrząc ciągle za siebie. Dudnienie oddalało się z każdą chwilą, usłyszeli je cichnące na prawo od wzgórza.

– Nie bój się – Jan uspokajał. – Pojechali na Jakubów i oby jak najdalej. Pewnie jadą do Kielc. Czekali, aż zaległa absolutna cisza. Wtedy Jan szarpnął lejce i koń ruszył przed siebie.

– Ciekawe, kogo wiozą tym razem. – Weronka odzyskała głos, ale broda jej ciągle drżała.

– Może była obława we wsi, a winnego nie znaleźli, bo kibitka wydawała się pusta. Zresztą jechali tak szybko. Strach było patrzeć w tę stronę.

– Dziwne, obława o takiej porze.

– Taka pora najlepsza. O świcie ludzie tracą już czujność.

– Lepiej jedźmy – szepnęła ledwo dosłyszalnie. – Jeszcze po nas wróć.

Jaś pomyślał o matce i Ewie zostawionych w domu. Obleciał go nagły strach. Na samą myśl, że carscy żołnierze mogliby choćby zatrzymać się przed ich domem, niemal zastygł w bezruchu.

– Miejmy nadzieję, że nie zabiorą nikogo. – Nie zdradził żonie prawdziwych obaw. – Ominęli Floriańską, jestem tego pewny.

– Ojciec będzie coś wiedział. Pospiesz się, Jasiu, martwię się trochę o niego.

Jechali przez wioskę z obawą, że ktoś ich może zatrzymać. Jeśli jest zasadzka, wezmą każdego, kto się pojawi w pobliżu. Jaś przytrzymał lejce i koń jeszcze zwolnił. Stapał teraz cicho, ostrożnie, jakby i jemu udzielił się niepokój. Śnieg na drodze zjechał płozami odsłaniał grząski grunt. Wieś była jakby martwa. Zazwyczaj o tej porze nawet w zimie budziła się już do życia.

Zajechali bez żadnych przygód. W okienku od drogi paliło się światło. Weronka nasłuchiwała.

– Byli tu, jestem pewna.

Jan zeskoczył z sań i wjechał na podwórze. Po chwili w progu pokazał się Dąbek, za nim otulona chustką wyszła również teściowa.

– Jak dobrze, że już jesteście – westchnął z ulgą. – Bośmy się o was martwili. Modliłem się. Od trzech godzin czuwamy przy oknie.

– Byli tu? – zapytali, wchodząc do chałupy.

– Tylko przejeżdżali, całą wieś postawili na nogi. Ludzie siedzą w domach, boją się wyjść na drogę. Ubraliśmy się z ojcem, na wszelki wypadek. Gdyby po nas, nie daj Bóg, przyszli.

– Boże, człowiek tyle lat żyje w strachu. Kierowali się na Występy, więc nas zostawili w spokoju – tłumaczył Dąbek. – Zjechali okolicę. Kogoś szukali. Psy się mało nie wściekły.

– Na Występy? Po kogo tym razem? – dopytywał się Jasio.

– Podobno zabrali Baśkę od Marianny i jej kochasia. Mieszkał u nich od dawna.

– To chłop z Gruszcyna?

– A gdzie tam, z Warszawy za nią przyjechał. Mówią, że należy do jakiegoś nowego stowarzyszenia. Nazywali siebie Wolnomyślicielami. Przyjechało za nim jeszcze czterech innych, spali po chałupach, płacili za łóżko, to ludziska chętnie przyjmowali. Pewnie ktoś doniósł. Ale zabrali tylko Baśkę i tego jej, reszta zdążyła uciec. Marianny nie było. Pojechała do brata. Bała się ich, powiadała, że nie wierzą w Boga i chcą całkowicie znieść religię.

– A skąd to wszystko wiecie? – Jan dopytywał, ciekawy.

– Opłotkami przynieśli nowiny, jeden mówił drugiemu i tak się po wsi rozeszło. Carscy jeździli po domach i pytali o lokatorów i u kogo nocują.

– Złapali kogo?

– Nikt się nie przyznał. Nie było ich w łózkach. Mieli jakieś zebranie i wieczorem wyszli.

Cały dzień wieś nie mówiła o niczym innym. Kibitka nieraz pojawiała się w okolicznych wioskach, a nawet we dworach. Niewiele było trzeba, żeby się narazić władzy. Dąbkom też przyćmiła radość ze spotkania z dziećmi. Przed południem wpadł do nich Rak z Krasocina.

– Od nas nikogo nie wzięli. Myśleliśmy, że jadą po naszego proboszcza, bo jechali w stronę kościoła.

Dąbek wybrał się na Występy zasięgnąć języka, a Jaś w tym czasie pomagał szwagrowi w rąbaniu drewna. Pracowali w milczeniu. Grube, lecz nieco spróchniałe pnie wyciętych jesienią klonów pękały z traskiem.

Pracowali mechanicznie, Jaś myślami krążył w przeszłości. Wspominał Baśkę i swoje dzieciństwo. Mówili na nią Baśka, nie Basia, a tym bardziej Barbara. Gdy mieszkał z dziadkami, widywał ją często. Matka dziewczynki pracowała we dworze. Mieszkała wtedy ze starszym bratem. Rodzice im wcześniej pomarli, więc zostali sami. Później jej brat się ożenił i przeniósł do żony, to zostały w domu we dwie.

Matka Baśki była niezamężna. Sama zajmowała się dzieckiem, a że rzadko bywała w domu, to mała robiła, co chciała. W ochronce założonej przez żonę dziedzica przebywały dzieci kobiet pracujących we dworze. Baśka wytrzymała tam zaledwie kilka godzin. Nie znosiła niewoli, zamknięcia, żadnych ograniczeń. Wolny duch i ciało, które nie trawiło przymusu.

Jaś widywał ją niemal codziennie. Przewodziła chłopcom, z dziewczynkami nie umiała się bawić. Bały się jej. Za to chłopców trzymała krótko. Daliby się za nią pokroić, nie potrafili jej niczego odmówić. Kazała kiedyś ratować kota, który wpadł do studni, to się spuszczała w wiadrze do wody, byleby jej dogodzić. Kradli dla niej mleko, dojąc cudze krowy, zbierali grzyby, a potem temu, kto zebrał więcej, na ucho szeptała jakieś obietnice. Kazała księdzu żab do zakrystii nawrzucać, to je wiadrami z łąki przynosili, aż ich dorośli skarcili za to, bo żaby skakały później w ogrodzie plebana i niszczyły grządki.

Wszyscy chłopcy szaleli za Baśką, a on razem z nimi, ale trzymał to w tajemnicy. Zaczepiała go, zirytowana jego dystansem. Udawał niewzruszonego. Lecz gdy spojrzała z dzikością pantery, to i jemu miękły kolana.

Nie wiadomo, jak by to było, gdyby nie umarł ojciec. Baśka z dnia na dzień zniknęła z Jaśkowych oczu, a potem z myśli. Dopiero zabawa w Gruszcynie odświeżyła wspomnienia. Widać wciąż była głodna przygód, lubiła ryzyko i szalonych towarzyszy. Wolny ptak nie polecie bez skrzydeł. Co się stanie z tą

śliczną dziewczyną?

Podział

Krasocin, rok 1911

Tego roku pod koniec lutego spisano nowy akt podziału ziemi. Mimo próśb syna, Józefa nie chciała ustąpić. Jakaś się w niej dziwna złość zrodziła, przekonanie, że robią jej krzywdę. A przecież nie da się tak wspólnie żyć, żeby każdy mógł rządzić, jak chce, szczególnie w czasach, w których chodzi o przetrwanie, gdy nie ma nadmiaru, a jedynie braki.

Józefa jednak postanowiła inaczej, chciała iść pod prąd rozsądkowi, wbrew dobrym radom rodziny, mimo wieku i na przekór czasom. Cóż więc tak bardzo doskwierało kobiecie, że się porwała na spore ryzyko? Widać małżeństwo Jasia nie było tym, czego się spodziewała, gdy planowała jego związek. Nie miała doświadczenia, jak się żyje w domu z drugą gospodynią. Zawsze była panią u siebie. Piotr, mąż Józefy, spokojliwy i cichy, nie wtrącał się do niczego. Może myślała, że trzecia para rąk stanie się wybawieniem, że wystarczy mieć trochę mniej pracy, żeby się poczuć szczęśliwym.

Rozczarowanie i gorycz zalały serce matki. Uparta nie myślała logicznie, niosła ją złość i chęć odwetu.

Niech poczują, jak będzie bez matki – myślała w złości. Chciała ukarać syna za brak lojalności. Zapiekła się w sobie okrutnie. Nieważne, że sąd wziął sporo pieniędzy za nowy akt własności, że mierniczy i jego aplikant wyliczyli za wizyty pokaźną kwotę, postanowiła to wszystko przeboleć, byle tylko być wreszcie na swoim. Nie docenili tego, kiedy byli razem, teraz spróbują osobno. Niech się każdy rozlicza za swoje i na swoim rządzi.

Jan jej cierpliwie tłumaczył, że będzie ciężko, że ani sobie, ani im nie ułatwi. Na próżno. Myślała, że da się żyć z czterech mórg ziemi, że syn i synowa razem z małym dzieckiem wyżyją z pięciu.

Nie było sensu dłużej przekonywać. Mieli jeszcze trochę pieniędzy z posagu Weroniki i zaraz po żniwach zaczęli budować dom. Część drewna udało się pozyskać z drzew rosnących na skraju pola. Las był młody, drzewa niezbyt wysokie, nadawały się jedynie na ściany. Na przyciesie, płatwy i murlaty potrzebował długich belek z tartaku. Szkoda było Jasiowi tych drzew, za kilka lat byłby z nich spory zarobek. Pamiętał, że ojciec sadził je z dziadkiem na piaszczystym polu, na którym nie chciało nic rosnąć poza ostem i starcem. Liczył na to, że zaradne i niezbyt kapryśne sosny poradzą sobie w piaszczystej glebie, i miał widać rację. Wyrosły proste, strzeliste, z igliwem w głębokiej zieleni, dawały cień ptakom, a i Jan z Weroniką często tam zachodzili, żeby poczuć, jak pachną, kiedy w słońcu na pniach wytapiała się szklista żywica. Tylko w obwodzie były jeszcze cienkie, potrzeba im było kilku lat, żeby obrosły w ciało. Ciężko wycinać drzewa sadzone przez ojców, ale cóż, kiedy taka nastąpiła konieczność. Obiecał sobie, że wykarczuje dokładnie korzenie po sosnach i wsadzi na ich miejsce nowe sadzonki, żeby kiedyś syn, jeśli będzie miał syna, mógł z nich wycinać deski.

Powoli udało się zdobyć potrzebny materiał. Bale drewna, równiutkie, dobrze ociosane, czekały na przycięcie. Jan razem z zatrudnionym cieślą i jeszcze jednym pomocnikiem wzięli się do roboty. Najpierw uzgodnili wymiary – dom miał być dłuższy i szerszy od starego, dość już wąskich izb i ciasnoty. Zrobi też drewnianą podłogę i większe okna, żeby było nowocześniej i jaśniej niż w domu rodziców. Według planu miały być dwie izby, komora i spora sień. Podzielili się obowiązkami. Jan

załatwiał we Włoszczowie potrzebne papiery, cieśla z pomocnikiem wzięli się za przycinanie belek. O tym, że sprawy trzeba uzgadniać dokładnie, w każdym szczególe, Jan mógł się niestety przekonać po powrocie do domu. Zastał cieślę przy pracy, a na ziemi przycięte belki. Spojrzał jakoś nieufnie, bo zdawały się za krótkie.

– Chyba coś pomyliliście – zaniepokoił się.

– Jest, jak trzeba. – Cieśla sprawdził na wszelki wypadek. – Wszystko się zgadza, jedenaście łokci.

– Na moje oko za krótkie. – Jan jednak nie ustąpił i sam chwycił za miarę. – Ale w jakich mierzyliście łokciach – spojrzał przerażony – w rosyjskich czy nowopolskich?

– W rosyjskich oczywiście – odpowiedział cieśla. – Ja mam zawsze urzędową miarę, taka obowiązuje, jeden łokieć czterysta siedemdziesiąt cztery milimetry – dodał z powagą. – Jakbym ciął w nowopolskich, byłoby pięćset siedemdziesiąt sześć, a to spora różnica.

– Ale miało być w nowopolskich. – Pod Janem ugięły się nogi i pociemniało mu w oczach. Jak mógł zapomnieć, nie dopilnować zasadniczej rzeczy. Zmarnowały się najlepsze belki i pieniądze, które na nie przeznaczył. Ścięło go na samą myśl, co powie Weronce. Usiadł na pieńku przed domem i myślał, czy da się jeszcze cokolwiek naprawić. Tyle planowania, wytyczania miejsca, gdzie która ściana i gdzie drzwi i okna, zaplanowali każdy kąt i to, jak ustawią meble. Siedział i myślał nad sensowną radą. Musiałby mieć więcej czasu, żeby dokładnie policzyć, a najlepiej kupić nowy materiał, taki jak trzeba, nawet gdyby pieniądze musiał pożyczyć.

Ale cieśla nie chciał już czekać, miał gdzie indziej umówioną robotę i musiał się zmieścić w czasie. Nie czuł się winny. Taka była miara urzędowa i takiej się trzymał, był w końcu fachowcem.

Weronika zastała męża przed domem zajętego wartką rozmową. Wyczuła po tonie, że coś poszło nie po Jana myśli. Zawsze spokojny i wyważony, więc skąd u niego podniesiony głos i nerwowe ruchy? Takiego go jeszcze nie znała, objawił się jakiś obcy, bardziej męski i dosadny w rozmowie. Już nie Jaś, zwykle speszony i cichy, a chłop, mocny i pewny siebie. Poszłaby za nim w ogień, gdyby kazał, tak się jej nagle spodobał, kiedy brał w mocne dłonie jasne sosnowe belki i podnosił je bez trudu nad głowę.

Wieczorem, kiedy było już po całej burzy, a Jan spokojnie kończył kolację, próbowała go jakoś pocieszyć. Pogodziła się z faktem, że dom zostanie skrócony o dwa metry i o jeden zwężony.

– Może i dobrze się stało, Jaśku, podwórko będzie większe, narzekałeś, że miejsca mało na zaprzęg i studnia wypadłaby za blisko domu. Będzie w sam raz, nie ma się co gryźć bez potrzeby.

Dla Jana była to jednak bolesna nauczka, przeżył ją dotkliwie i nie mógł sobie darować. Czuł, że ile razy spojrzy na chałupę, tylekroć wspomni pomyłkę i niedopatrzanie.

Nowy dom

Krasocin, rok 1912

Tak czy inaczej, z pomyłkami czy bez, na wiosnę 1912 roku dom był gotowy. Krótszy i węższy niż planowali, ale ich własny. Jan całe wieczory spędzał nad stolarką. Zrobił meble – łóżko, ławki, stołki, półki na ściany, dwie sosnowe skrzynie – nowe, pachnące meble. Żółty kolor sosnowego drewna rozświetlał czystością wnętrze domu. Stół kupili w mieście, miał być prawdziwą ozdobą, ze smukłymi nogami i szlifowanym do połysku blatem, a do stołu cztery mocne krzesła z miękkim siedzeniem, jak u dziedzica we dworze. Weronika płonęła z emocji.

Z początkiem czerwca Jan przyniósł do domu książkę. Dostał ją od dziedzica za pomaganie przy orce. Książka miała czerwoną okładkę z płótna, a na grzbiecie złote litery i krótki tytuł *Anielka*. Napisał tę powieść Bolesław Prus. Przy okazji Jan dowiedział się od dziedzica, że pisarz, ten Prus, zmarł przed miesiącem. Dziedzic opowiadał, że ponoć cała Warszawa we łzach tonęła ze smutku, bo to był pisarz, którego nie tylko znali miejscowi, lecz cały kraj.

– Zamówiłem tę książkę dla córki – tłumaczył Jasiowi. – Ale nie chciała jej czytać, powiedziała, że smutna. Zapisalem się do ruchomej biblioteki – dodał mimochodem. – Przywożą zamówione książki prosto do domu.

Potem Jan dowiadywał się, jak działa ta biblioteka. Ruchoma? Wydawało się dziwne. Okazało się bardzo praktyczne. Dwanaście dworów wpłacało wartość zestawu trzech wybranych książek, sześć rubli. Książki przychodziły każdego miesiąca do jednego z dworów i wszyscy mogli przeczytać. W grudniu dwór dostał na własność te, które zamawiał. Książki zamawiano u Gebethnera i Wolffa w Krakowie. Jaś snuł śmiało myśli, że może kiedyś i jego stać będzie na taką rozwoźną usługę.

Wieczorami Weronka wołała teściową, siadali przy lampie i wtedy Jan czytał im na głos o życiu pięknej panienki, którą los tak bardzo doświadczył. Weronika co chwilę płakała nad dolą dzieci, trudno jej było oddzielić książkową fikcję od prawdy. Wyobraźnia malowała w jej głowie realne postacie ludzi i miejsca, w których żyli. W końcu któregoś dnia zapytała Jasia, czy może oni mogliby jakoś ulżyć kobiecie w niedoli, a on się tylko uśmiechał.

Zanim przyszły lipcowe słoty, mieszkali już sami; jaka swoboda, ile miejsca, jak czysto! Weronika zmiatała co chwilkę, żeby piach pod butami nie rysował desek. Położyła kolorowy dywanik, który już dawno dostała od teściowej, tylko było jej wtedy żal kłaść go na glinianą podłogę. Jakie dziwne uczucie, gdy w prostotę wkracza inne piękno, zdobne, błyszczące. Nowy stół rozświetlał wnętrze, odbijając światło, barwny dywanik ożywiał izbę, białe prześcieradła zwisające z sienników, drobne mereżki, białe hafty, krochmalone koronki. Czuła, że nadchodzą dla nich lepsze czasy, bo wieś pięknieje mimo ciągłej biedy, bo niektórzy ludzie chcą już żyć inaczej. Lubiła z rana wysprzątać izbę do czysta, wyświecić

rondle, wypucować szyby, na rozgrzanym piecu ułożyć liście lawendy, suchy kwiat lipy. Siadała później pod piecem, patrząc, jak mała Ewa bawi się z czarnym kotkiem na czystej podłodze.

A Józefa została na swoim. Nie przyszła nawet zobaczyć, mimo zaproszenia. Przez kilka dni czuła się radosna i wolna, samotność wydawała się piękna. W myślach układała plan życia i to, jak będzie zarządzać pieniędzmi. Też potrafi nająć pomocników, obrobić ziemię i zebrać plony. Większość życia spędziła przecież na roli, nie bała się obowiązków i odpowiedzialności, więc tym razem także sobie poradzi. Najpierw chciała zabrać do siebie Walerkę, zając się wnuczką, ulżyć jej w pracy przy dziecku, lecz dziewczyna wolała zostać u Jana. Nie chciała się nigdzie ruszyć bez Ewy. Cały dzień doglądała małej i tak się przywiązała jak do swojej. Musiała czasami zaglądać do babci, żeby jej pomóc, ale tylko czekała, jak tu się wymknąć do domu. Józefa nie miała jej za złe, że nie chce z nią mieszkać. Była nawet szczęśliwa, gdy dom pustoszał, mogła sobie klęczeć do woli i cały wieczór modlić się głośno do Stwórcy, czując, że ta modlitwa dodaje jej siły.

Rzeczywistość jednak była całkiem inna i przerosła wyobrażenia zmęczonej życiem kobiety. Czasy się zmieniły, przepisy i ludzie. Odwykła od pracy od świtu do zmroku, już nie mogła podsypiać z rana. Kładła się półżywa, półprzytomna otwierała oczy. Słońce czy deszcz, chłód i wicher trzeba się było krzątać koło domu, a później wychodzić w pole. Dopiero gdy obok zabrakło syna, przejrzała na oczy i pojęła, zbyt późno, jakie w nim miała oparcie. Nadzieja na poprawę życia okazała się złudna, a decyzja o samodzielności bardzo ryzykowna. Wspominała, jak ją syn ostrzegał, że łatwiej jest wspólnie uprawiać ziemię niż osobno, że w gorsze dni nie musiałyby wstawać z łóżka. Wreszcie zrozumiała, lecz nie chciała się przyznać do błędu. Gryzło ją, że się tak głupio uparła, przeceniła siły i że złość wzięła górę nad rozsądkiem. Dalej jednak oskarżała synową – o to, że kury zjadają jej ziarno, że krowa wchodzi na jej kawałek łąki, że ktoś podbiera jajka z kurnika.

Nie było sposobu na zawarcie rozejmu. Jak wytyczyć zwierzętom granice na małym podwórku i zabronić skubania trawy albo kurom wyjadania ziarna z matczynej miski? Płoty ma stawiać, toż podwórko było na trzy kroki. Robiło się coraz trudniej. Wrócił czas rodzinnej niezgody. Niepotrzebne to było i głupie, a jednak na głupotę próżno szukać lekarstwa. Jakby ktoś zasiał w sercu Józefy złe ziarno, a w duszy Weronki upór. Mogłaby przecież odezwać się dobrym słowem, zaprosić matkę na obiad.

Tylko Ewa biegała między domami bez względu na nastroje, zawsze z Walerką u boku, jak z własnym, dorosłym cieniem. Pogodna i miła, mało kłopotliwa, aż chciało się na nią patrzeć. Szybko stanęła na nogi, sporo mówiła, z wyglądu przypominała Weronce matkę; miała tak samo jak ona kręcone włosy, podobną karnację i delikatne rysy.

Niestety w kraju narastał kryzys. Po dniach tłustych przyszła bieda. Ceny na produkty rolne spadały na łeb na szyję, za to w sklepach były coraz wyższe. Ludzi dziesiątkowały choroby, jak nigdy szalała gruźlica. A państwo miało inne problemy niż niedola polskich wieśniaków.

Złe się żyło Kordelom. Nawet pomoc im nie było jak. Ginter jak dotąd, tak i teraz był we wsi postrachem. Tylko łypał złowrogo i gonił małą Ewę. Lubiła bawić się z Ritą, córką Gintera, starszą o rok, miłą, lecz zastraszoną dziewczynką. Jakimś cudem przetrwała wszystkie choroby i wyrosła wysoka i ładna. Kiedyś Weronka chciała jej dać cukierka wysmażonego z cukru i z mleka, ale mała uciekła spłoszona i ze trzy dni jej nie było. Pewnie ojciec ukarał dziewczynkę za kontakty z dzieckiem sąsiadów, bo kiedy wreszcie wyszła, to miała na nogach pręgi od bata.

Ludzie gadali, że u Kordela jadło się zieleninę z pola, bo w domu niczego nie było. Ginter, jak tylko zarobił parę kopiejek, zaraz szedł przepić do karczmy. Hilda za uprawianie ogrodu u organisty przynosiła

do domu resztki z obiadu. Mówiono we wsi, że organicie nie tylko ogród uprawia. Czasami przyniosła ziemniaki albo kapustę, zapach tych potraw „okraszanych” wodą znała okolica.

Weronka mimo współczucia dla biednej kobiety nie miała serca dla jej dzieci. Tolerowała jedynie Ritę. Karolkowi źle z oczu patrzyło, był podobny z twarzy do ojca, charakter miał jeszcze gorszy. Kordelowego drobiazgu Weronka nie znała. Ile ich było, które żyje, a które już pochowane w polu, tego nie wiedział nikt z Krasocina. Ale Hildy było jej żal. Pamiętała, jaka była kiedyś ładna i zadbana. Już nie przypominała tamtej kobiety. Nawet oczy przygasły. Przyjechała z miasta, miała ładne sukienki i buty na cienkim obcasie. Teraz nosiła łapcie ze słomy, zima czy lato okrywała się starymi derkami. Bieda musiała być u nich okrutna.

Jednego razu Ewa przyprowadziła Ritę. Weszły tylko do sieni, po wózek, żeby się bawić przed domem. Weronka przyniosła im po kawałku chleba. Dziewczynki zjadły bez słowa, popijając mlekiem. Zobaczyła, że mała ma na sobie koszulę męża. Poznała swoją robotę. Koszula była skrócona, a rękawy obcięte, ale łąta na plecach ta sama. Spojrzała na dziecko zdumiona, zadając sobie pytanie, jak to możliwe, skąd ta koszula w domu Kordela? Koszula zniknęła już dawno, zapomniała o niej, zresztą Jaś nosił ją tylko w pole. Więc może zostawił gdzieś, jak skończył robotę, albo wiatr porwał ją ze sznura, gdy suszyła pranie.

– Koszuli nie ma już z rok albo i dłużej – skomentował po powrocie do domu. – Szmata czasu, żeby pamiętać. Hilda raz była po trochę mąki, nie dałaś jej wtedy czegoś?

– Nie dałabym koszuli dla dziecka, a Ginter jest wielki, na co mu twoja koszula?

– Może matka dawała, trzeba by ją spytać. Już nie raz ratowała Hildę w biedzie. Widzę czasami, jak nosi mleko dla dzieci. Biedna ta Hilda. Po co jej było jechać tu z miasta, lepiej by z bliskimi została. Zawsze łatwiej z rodziną niż pośród obcych.

Matka zaprzeczyła. Jedzenie owszem, dawała, ale nic więcej.

– Jak bym to miała dawać Jasiowe koszule? – zdziwiła się obrażona. – Swoje mleko dawałam, nie muszę się przecież tłumaczyć. – Jak zwykle szukała zwady i każdy pretekst był dobry, byle zaczepić synową. Jan więc o nic nie pytał. Stara koszula, pewnie ją gdzieś zostawił i tyle.

Byłby zapomniał o wszystkim, gdyby nazajutrz matka sama do nich nie przyszła. Nie widziała jeszcze, jak się urządzili, więc podglądała ukradkiem. Zobaczyła ich razem przy stole, jak jedzą śniadanie, obok mała Ewa z rumieńcami na twarzy i uśmiechem od ucha do ucha i Walerka. Przykro się zrobiło Józefie.

– Ja jeszcze w sprawie koszuli – zaczęła od progu. Nie miała odwagi wejść do izby, stała zmieszana, zagniatąjąc dłonie. – Właściwie chodzi o skopek – plątała się trochę, widząc ich zdziwione miny.

– Wejdźcie – zapraszała grzecznie Weronka – może zjecie z nami śniadanie – zaprosiła teściową do stołu, a sama szybko wstała, żeby ją wpuścić na krzesło stojące pod oknem.

– Dziękuję. – Zerknęła na syna. – Nie przyszłam tutaj przeszkadzać, tylko porozmawiać.

– Nie przeszkadzacie. – Jan też wstał wzruszony i podszedł bliżej. – Będzie nam miło, jak usiądziecie – zapraszał szczerze. Nie czekał, aż się spłoszy, tylko pchnął ją lekko w kierunku okna. Czuł, że ma ochotę posiedzieć razem z nimi. Patrzył z przejęciem, jak bez oporu zajmuje miejsce za stołem.

– Zjecie chleba z twarogiem? – zapytała Weronka. – Świeży, wczoraj robiony. – Postawiła teściowej talerz i masło w glinianym garnuszku. – Jaśku – zwróciła się grzecznie do męża – podaj matce chleba.

– Zjem, skoro proponujesz – zgodziła się bez dąsania. – Jadłam już, ale jedzenie z bliskimi chyba lepiej smakuje. – Przynęła się bliżej, zerkając ukradkiem na meble i nowe firanki. – Toście się dorobili – stwierdziła, głaszcząc dłonią blat nowego stołu. Nie widziała jeszcze czegoś tak gładkiego. Nie pochwaliła wprost, pochwała nie mogła jej przejść przez gardło. To jakby się przyznać do błędu, pokazać, że czegoś żałuje. Zanim ugryzła pierwszy kęs i spróbowała sera, zaczęła wyłuszczać cel swojej wizyty.

– Wczoraj, zaraz po naszej rozmowie, w sprawie tej starej koszuli – dodała na wszelki wypadek – przypomniałam sobie, jak byłam ostatnio u Kordeli, zwykle czekam pod drzwiami, boję się Gintera, ale żal mi dzieciaków. Biega ich piątka, a jeden od drugiego chudszy. Czasem zaniosę chleba, innym razem mleka. Sama jestem, nie trzeba mi tyle. Ktoś zawsze do mnie wybiegnie i chętnie odbierze. Wczoraj dzieci były same w domu, więc weszłam do środka, najmłodsze płakało, pomyślałam, że głodne. Na stole leżał skopek do mleka, a brudny był, aż się niedobrze robiło. Chciałam dać dziecku popić, więc umyłam ten skopek, nabrałam mleka z konewki i podałam małemu. Pił chętnie, aż się zakrztusił. Potem przestał płakać. Przełałam mleko do pustego naczynia i wyszłam.

Weronika z Jasiem patrzyli na matkę zdziwieni, po co im opowiada o mleku i co ta historia ma wspólnego ze starą koszulą.

– Mieliście szczęście, że was Ginter nie przyłapał, matko. Mógł być przecież pijany. Trzeźwego to go już dawno nie widziałem – wtrącił Jan zatroskany.

– Nikt mnie na szczęście nie widział. Hilda była pewnie na zarobku. Ale teraz myślę o tym skopku – mówiła z namysłem. – To mój stary skopek, jestem tego pewna. Wisiał kiedyś na gwoździu w oborze. Od gorącej płyty przypaliła się rączka, więc go przestałam używać. Chciałam nawet wyrzucić, ale zrobił go ojciec, i jakoś mi było nieskoro.

Cała trójka spojrzała po sobie. Aż się Weronce niedobrze zrobiło.

– Czyżby to Ginter ukradł prosiaka i zabił psa, a przy okazji zabrał stary skopek? – Jan głośno myślał.

– Jednak pewności nie mam – stwierdziła skonsternowana. – Skopek mógł się po prostu u niego zaplątać, a koszula trafiła przypadkiem – nagle zaczęła się gubić.

– Przyszedł po prosiaka i zabrał, co było pod ręką, moją koszulę i stary skopek z gwoździa. – Jan łączył w pośpiechu fakty.

– Za rękę go nie złapałeś – rzekła Weronka, bała się kogoś niesłusznie skrzywdzić.

– Weronka ma rację. – Teściowa tym razem poparła synową. – Jak mu udowodnisz? A zresztą, nawet jakby się w końcu udało przycisnąć drania, to co z tego? Do sądu z nim pójdziesz? Prędzej komuś krzywdę zrobi, zanim się do czegoś przyzna.

– Jak to? – Jan jakoś nie mógł uwierzyć jej słowom. – Mam mu puścić płazem? – pytał z niedowierzaniem. – Ze studnią udało się draniowi, ale kradzież to już rzecz poważna.

Weronka wstała od stołu i chodząc po izbie, próbowała zebrać myśli. Czyżby tucznik kowala to również sprawa Gintera? Podzieliła się z mężem podejrzeniami.

– Prosiak był duży, miał z pięćdziesiąt kilo, jeden człowiek, nawet silny jak Ginter, nie dałby rady. Tucznik kowala miał z dwieście. – Jaś natychmiast połączył dwie sprawy.

– Dobrze mi, Jaśku, mówiłeś, żeby się z nim nie zadawać. Co teraz zrobimy? – zapytała lekko przestraszona. – Masz zamiar to zgłosić, po wsi rozpowiedzieć, z kowalem porozmawiać? A jak oskarżysz niesłusznie – próbowała ostudzić męża. – Poczekajmy, dzień, dwa, niech się to jakoś ułoży. Trzeba by dyskretnie pogadać z Adamem, może on na coś wpadnie.

– Niby na co ma wpadać Adam? – Jan obruszył się i z impetem zasunął krzesło, aż pies ze skowytaniem wypadł spod stołu. – Skaranie z takimi ludźmi. Nikomu się nie przelewa, ale żeby się takich rzeczy dopuszczać!

– Mówią we wsi, że na biednego nie trafiło, kowalowi nie ubędzie. – Józefa próbowała ostudzić syna. Bała się, że jeszcze na Gintera z pięściami pójdzie w złości. – A jak sobie dzieciśka Gintera trochę pojedzą, to tylko milsze Bogu. Kowal jakoś to przeżył, ty sobie też poradziłeś.

Jan pomyślał, że chyba źle słyszy, i tylko ręką machnął ze złością. Już się matce chyba całkiem pomyliła bieda z uczciwością. Nic na to nie odpowiedział, nie chciał z nią teraz zadzierać.

– Ale co to za przykład dla dzieci – ośmieliła się wtrącić Weronka, zgarniając dłonią resztki chleba na

talerz. – Dorosną, to zrobią to samo.

– A ja ci mówię – teściowa ciągnęła dalej – że jakby mieli, toby kraść nie musieli. Nędza zmusza człowieka do różnych złych czynów.

Jan jednak nie wytrzymał i musiał postawić się matce.

– Kto leń i złodziej, a do tego pijak, będzie kradł nawet jak syty. Taki ma to we krwi albo jest nauczony z domu, że mu kradzione lepiej smakuje.

Weronka spuściła głowę. Pomyślała, że matka ma trochę racji. Nie wie, jak by się zachowała, gdyby jej dziecko chodziło głodne. Pewnie szukałaby pracy. Tylko że zarobki są takie nędzne, że nie da się za nie wyżywić rodziny. Psie grosze płacą ludziom za ciężką harówkę, a kobietom to i tego nie dadzą. Za miskę zepsutej zupy idą na służbę, żeby choć tyle przynieść do domu.

Jan musiał podjąć ostateczną decyzję. Cokolwiek zrobi, będzie miał wyrzuty sumienia. Nie powie nikomu, to jakby złodziejstwo uprawiał, doniesie, zaszkodzi Kordelom i biedę ściągnie na siebie i na nich. Z drugiej jednak strony taki mąż i ojciec jak Ginter to tylko skaranie. Nie wiedział, jak ma postąpić, kobiety nie dadzą mu teraz spokoju, a jeszcze która coś we wsi chlapanie. Każda będzie chciała własną sprawiedliwość wprowadzać. Musiał to spokojnie przetrwać.

– Trawę trzeba kosić – powiedział, wychodząc do sieni. Na progu zmienił buty i zanim wyszedł, uprzedził, żeby się nie chwaliły po wsi swoim odkryciem.

– Wrócę, to porozmawiamy.

Dzień jakoś minął przy pracy, o zmroku poszedł na łąki. Już dawno nie czuł takiej potrzeby. Zabrał ze sobą Morusa, psa Weronki, co go dostała w zamian za Rudzielca. No i jeszcze ten pies zabity – przypomniał sobie. Złodziej był bez litości, to i on nie powinien mieć żadnych skrupułów.

Poszedł dawnymi szlakami. Jego ścieżki wydeptane i dobrze znajome zarosły wysoko i miał wrażenie, jakby ich nie poznawał. Łąka w pełni lata aż gęsta od roślin, wiesiołek, wrotycz, dziewanna – żółte plamy w zieleni traw. Gdzie sucho, tam starzec pchał się wysoko do światła. Znajomy zapach łagodził nerwy. Jan wspominał dzieciństwo i młodość, wysoką nawłóć, która zakwitała z początkiem jesieni, i jak on, mały chłopiec, wyrastał z roku na rok i mógł wreszcie spojrzeć ponad żółtymi wiechami kwiatów na złocistą łąkę.

Nie chodził tędy od lat, a wszystko co wówczas było ważne i miłe sercu, odeszło na dalszy plan. Szedł jednak ufnie, bo liczył, że dawnym zwyczajem te łąki i las, który się teraz wyłonił, natchną go mądrą myślą. Przecież wiedział, co trzeba zrobić, jak się powinien w tej sprawie zachować, więc czemu zwątpił? Zaczął uczciwość mierzyć miarą zysków i strat, i to go tak przytłoczyło. Miał swoje plany na przyszłość. Jeszcze sierpień, wrzesień, sporo pracy przed nimi, ma się teraz wplątać w kłopoty, może lepiej zostawić tę sprawę i wrócić do niej jesienią? Na rozliczenie z krzywd zawsze jest dobra pora.

Wracał do domu po ciemku. Pies cały mokry i brudny – wytarzał się w błocku na łące – teraz tarł się jak żrebak o trawę pod domem. Ciężko mu błoto na sierści i chciał się pozbyć zapachu, który mu przywarł do skóry. Noc będzie musiał spędzić pod chmurką, Weronka nie wpuści do domu brudasa.

Wszyscy już spali, gdy wrócił. Położył się, ale sen nie przychodził. Bardziej drzemał, niż spał, czując każdą niewygodę i duchotę w izbie. W końcu ostrożnie, żeby nie budzić żony ani córki, wyszedł na zewnątrz. Noc była jasna i cicha. Tylko za chatą szumiał wezbrany strumień. Między drzewami widać było zarys pagórków. Spojrzał na zachód, a tam nad lasem jaśniała jeszcze słoneczna luna, a na wschodzie wschodziła poświata nowego dnia.

Biedne to słońce – pomyślał. Nie śpi ani w dzień, ani w nocy. Usiadł nad wodą i patrzył w ciemny pasek strumienia. W górach musiało padać, bo przybyło wody.

Następnego dnia po powrocie z pola oświadczył, że tymczasem sprawę złodzieja zostawia. Kto wie, jak było naprawdę, i jeśli to wyjdzie od nich, to się i na nich skupi. Nie mają mocnych dowodów, żeby

posądzać człowieka. Złodziej sam się w końcu czymś zdradzi, a wtedy zobaczą, czy się podejrzenia potwierdzą.

– Ale już we wsi mówią – szepnęła Weronka – że w Kielowym Lesie ktoś znalazł palenisko i resztki uczty. Były też ślady dwukółki, głęboko wciśnięte w grunt, więc wózek musiał być ciężki. Kawałek dalej zakopali kości, pies je wyszperał w ziemi. Mówią, że dojdą po śladach.

– To mogłoby znaczyć – Jasiek wywnioskował – że złodziej nie z naszej wsi, raczej ktoś z okolic Borowca.

Kobietom spadł kamień z serca. Nie chciały kolejnych kłopotów.

Z początkiem września rozeszła się po wsi plotka, że wreszcie mają złodzieja. Kowal dopiął swego i złapał rabusia, co już nie tylko zwierzęta kradł, ale i na inny dobytek zaczął się łakomić. Tę nowinę przywiózł Adam.

– Ginter siedzi w więzieniu – oznajmił, stając w progu. – Przyjechali pod karczmę i zabrali, tak jak stał.

– To dlatego Hilda z rana tak strasznie płakała – krzyknęła podniecona Weronka. – Dzieciaki podniosły raban, że ojca im wiozą na Sybir – wyznała wstrząśnięta.

– A skąd wiedzą, że to on? Mają na niego dowody?

– Zostawił nóż, którym oprawiał prosiaka. Poznali po nożu, a najpierw przepytali ludzi, ktoś Gintera widział w lesie w pobliżu Borowca. Chłopy z nim pili w karczmie i twierdzą, że stawiał wszystkim piwo. Musiał się szybko wzbogacić, pewnie sprzedał mięso, kości zakopał.

– A skąd wiedzą, że nóż należy do niego?

– Nóż wygrał w karty zeszłego roku, nosił go zawsze przy sobie. Karczmarz zaświadczył.

– A Ginter co, przyznał się? – wypytywał Jan szwagra.

– Poszedł bez szemrania, nawet nie podniósł głowy, jak go prowadzili w kajdankach.

– Co by mu to pomogło. To znany we wsi wichrzyciel, nie jedno, to drugie można mu udowodnić. Połowa bójek w karczmie to jego sprawka. Zamkną go i ludziska w końcu trochę od niego odetchną.

Wieczorem Jan razem z żoną poszli na spacer w kierunku kościoła.

– I jest, jak mówiłeś – powiedziała do niego Weronka. – Dobrze, że to nie od nas wyszło. Nie mogłabym sąsiadom spojrzeć w oczy.

Jan objął Weronkę ramieniem i nic nie odpowiedział. Patrzył, jak córka drecze nieporadnie przed nimi i upada raz po raz na trawę. Słodko wyglądała w szerokiej sukience i w nieco za dużych butach.

Powrót do domu

Poznań, rok 2008

W dzień zabiegu chodziłam jak otepiała. Lekarze sugerowali, że nie ma się czym przejmować, bo odma, która wystąpiła poprzednio, była błędem w sztuce, a nie czymś, co musi się powtórzyć. Ja też wolę innych pocieszać, niż być pocieszana. Przyjmowałam z wdzięcznością wszelkie słowa otuchy, wewnątrz byłam jednak pełna obaw. Funkcjonowałam więc tylko połowicznie i stosownie do sytuacji. Po ponownej serii badań zabieg wykonano zgodnie z planem. Po dwóch dniach ojciec „był gotowy do odbioru”, jak naprawiony zegarek albo komputer. Dali nam o tym znać o szóstej trzydzięci.

Słyszając w telefonie smętny kobiecy głos, myślałam, że to już koniec. Tymczasem pielęgniarka właśnie schodziła z dyżuru i chciała zdać obowiązki, informując rodzinę o terminie wypisania pacjenta.

Do Poznania jechałam krętą i wąską trasą przez Murowaną Goślinę. Jesień pięknie ścieliła kobierce jaskrawych liści. Część już zaległa na ziemi, ale większość purpurzyła się i żółciła na drzewach. Ostatnia okazja, żeby nacieszyć wzrok kolorami. Jechałam wolno, słuchając muzyki. Lubiłam samotne podróże, samochód to mój mały dom, azyl, miejsce, w którym jestem sobie sterem, żeglarzem i okrętem, a ja kocham być panią siebie.

Poznań cichutki, jasnoszary, z lekko przydymionym słońcem ogrzewającym mój profil do samego centrum, żeby później zgubić się między kamienicami Starego Miasta. Szpital też bardzo śpiący. Na oddziale dzień bez zabiegów. Pustki na korytarzach.

Ojciec wyglądał dobrze, był odprężony, spokojny, jakby dopiero wrócił z upojnych wakacji.

– Raczej upiornych – podsumował, sunąc równym krokiem w kierunku wyjścia. Chyba się spieszył do domu.

– Sam twierdziłeś, że to tylko formalność, i nie ma się czym przejmować – jak zawsze nie byłam mu dłużna. Przekomarzanie się było naszym ulubionym zajęciem, jakby bez tego dzień „tata i ja” nie był możliwy.

– To była specjalna wersja dla rodziny – wyjaśnił. – Dla siebie miałem bogaty zestaw wątpliwości.

Znaczy się, dobra nasza – pomyślałam, równie jak on szczęśliwa.

Po półgodzinie byliśmy w domu.

Ojciec zjadł wczesny obiad i zaległ na tapczanie w pozie zwycięzcy, a mama dzielnie krzątała się w kuchni. Widać było, że są szczęśliwi. Mogli istnieć tylko w stanie pełnej równowagi, jaką zapewniała im wzajemna obecność, teraz już pełni spokoju po latach ostrych starć i kłótni. Pomyślałam, że czas ich zostawić, niech sobie gruchają we dwoje. Ojciec opowie jej tę gorszą wersję wydarzeń, zawiesi nad głową ciemną chmurę strachu, żeby później wszystko obrócić w żart i zbagatelizować.

– Pojadę już – oznajmiłam, pochłaniając ostatnie kawałki babki cytrynowej. – Wieczorem mam gości, muszę coś przygotować. Zrobię jeszcze zakupy – powiedziałam do mamy, która weszła właśnie z herbatą.

– Może weźmiesz kawałek ciasta – zaproponowała.

– Wezmę, nawet z chęcią, coś do tego dokupię i będzie na wieczór jak znalazł. Tylko sobie zostaw na jutro – wołałam, widząc, że już szykuje nóż i papier do zawijania.

Ojciec w tym czasie wstał i zaczął szperać w teczce z dokumentami, które przywieźliśmy przed chwilą ze szpitala.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, podając mi kilka zapisanych kartek. – Miałem wczoraj czas, całe popołudnie, spisałem to, co pamiętam. Oczywiście nie wszystko, tylko tyle, ile zdążyłem. Skoro to cię ciekawi, może się przyda.

– O! – ucieszyłam się szczerze. – Zajrzę, jak tylko dojadę. Albo nie, przecież dzisiaj mam gości. Więc jutro – zaklinałam się pewna, że dotrzymam słowa.

– Papier nie zajm, bylebyś nie wyrzuciła na makulaturę.

Spojrzałam na niego z wyrzutem.

– Nie żartuj. – Zrobiłam odpowiednią minę.

– Powiem ci, że ten wczorajszy dzień był bardzo pożyteczny – powiedział. – Nigdy bym nie przypuszczał, że pamięć człowieka potrafi zatrzymać aż tyle. Sporo myślałem przed zabiegiem i później. Odpłynąłem w przeszłość i tyle w niej odkryłem, że brakuje mi słów. Odnalazłem wiele pięknych chwil, sporo ważnych momentów i nie wiem, czy chciałbym bez końca bawić się w życie. Miałaś rację, człowiek powinien solidnie odpocząć. – Powiedział to z dozą smutku, ale nie był smutny. Poklepał mnie na odchodne i cmoknął w policzek. – Spróbuję coś o tym napisać.

– Super, tato, nawet nie wiesz, jak mi zależy. Pisz, proszę, wszystko, co sobie przypomnisz.

– Zrobione – powiedział z uśmiechem.

Za czytanie wzięłam się dopiero w czwartek. Wpadłam jak zawsze w wir codziennych zajęć, dzień był krótki, wieczory nużące, zasypiałam przy pierwszych słowach. Czułam się jednak nieswojo, a jeśli ojciec zapyta?

Konstrukcja domu Szczepana Kuśmierczyka była zrębowa. Sosnowe bale układane poziomo, jeden na drugim, łączone zaciosami, na tak zwany jaskółczy ogon, stanowiły szczelną konstrukcję. Sosna, drewno miękkie i łatwe w obróbce, dobrze się układało. Szpary pomiędzy balami wypełniano specjalnym spoiwem, mieszanką słomy i gliny. To pozwalało zachować wewnątrz ciepłe i suche. Dom był pokryty słomą, układaną kłosami w dół. Dzięki temu woda spływała swobodnie po dachu, nie przeciekając na strych. Drzwi wejściowe, zawieszane na drewnianych biegunach z dwoma czopami, latem otwierały się lekko i przyjemnie skrzypiały, ale zimą puchły od wilgoci. Dlatego belki z drewnianymi zawiasami robiło się z drewna twardszego, mniej wrażliwego na wilgoć.

Niestety, dalej już nie wytrwałam. Tylko inżynier mógł w taki sposób wspominać dzieciństwo.

Złożyłam kartkę i zdjęłam okulary. Może jutro przeczytam do końca.

Do Prus

Krasocin, rok 1913

Tej niedzieli kościół pękał w szwach. Ostatni raz mszę prowadził ksiądz Teodor Urbański. Odwołano go z probostwa w samą porę. Niemal każdej nocy przez okoliczne wsie przemykały kibitki. Kilka dni ukrywali proboszcza we dworze w Ludyni. Naraził się władzy carskiej za nadmierną aktywność propolską i polityczną. Nie tylko w kościele prawił ogniste kazania, nawet w karczmie potrafił rozgrzewać emocje. Poza parafią udzielał się niemal wszędzie. Kiedy to było możliwe, wspierał miejscowych, i nie tylko słowem. Zakładał polskie związki, kółka, ochronki, nauczał i pouczał, gdzie się dało. Planował otwarcie nowych szkół w Lipiej Górze, Sułkowie, Mieczynie i w Borowcu, ale nie zdążył. Kuria odwołała go z probostwa i niemal siłą zmusiła do wyjazdu. Po uroczystej mszy parafianie spakowali swojego proboszcza i następnego dnia rano pociągiem z Ludyni jechał już w kierunku Krakowa.

Parafię po nim objął nowy proboszcz, ksiądz Bolesław Zawadzki.

– Żal takiego proboszcza – utyskiwali ludzie przez kilka tygodni. Nowy jakoś im nie przypasował. Był typowym wiejskim księdzem, religijnym mentorem skupionym na sprawach wiary i parafii.

– Specjalnie nam takiego przysłali – narzekał Antoni Robak do Jasia w czasie jesiennej orki. Zrobili sobie krótką przerwę w pracy i omawiali zdarzenia ostatnich tygodni. – Będzie wprowadzał swoje porządki. Jak będzie posłuszny, to się może nawet przypodoba władzy.

– Ludzie szybko się przyzwyczają, zobaczysz. Za kilka miesięcy zaczniesz i ty zachwalać. – Jan uspokajał kolegę. Antek pokiwał głową, jakby przytakując. Wahał się jednak, czy przyznać Jasiowi rację. Takich księży, co tylko myśleli o sobie, mieli już kilku, Urbańskiego nikt nie zastąpi. Spojrzał w niebo, na płaty błękitu między jedną a drugą chmurą. Robiło się coraz cieplej.

– A może masz rację, Jasiu, teraz taki ksiądz, co więcej mówi o Bogu, jest nam na gwałt potrzebny – stwierdził z powagą. – Może się lud trochę uspokoi. Tak się teraz wszyscy rozkrzyczeli, że we wsi zamiast pracować, tylko dyskutują. Jeden chce mieć więcej od drugiego, a samo się przecież nie robi – podkreślił dosadnie. – Zrzeszyli się, mają, co chcieli, tylko Bogu dziękować, nic więcej.

– Lekcje Urbańskiego nie pójdą przecież na marne. Ile to lat, jak nam tłumaczył, że trzeba się rozwijać, że siła nie tylko w grupie, a przede wszystkim w jedności.

– Może i racja, ale są tacy, co już sprzedali domy. Idą za pracą do miasta – zauważył Robak. – Zostawią ziemię, to ją jakiś obcy kupi, a potem sprzeda za podwójną cenę. Handlarzy się namnożyło, a mało który to Polak. Bieda z tą jednością.

– Nie dziw się. Ludzie nie dają rady, idą tam, gdzie dla nich jest jakaś nadzieja.

– A ziemię to kto obrobi? Pan Bóg zaorze, zasieje, zbierze, a potem innych wykarmi?

– Mnie, Robak, nie pytaj; co wiem, to mówię, jak będzie, to czas pokaże.

– Ci, co odeszli do Kielc, chwalą się, że teraz tworzą nową potęgę.

– Potęgę?

– Jeden znajomy z Ostrowa mówi, że on to teraz nie chłop, tylko proletariat. „Prawdziwi ludzie pracy –

mówi – budują potęgę kraju, stawiają miasta, drogi i mosty”. Twój sąsiad, Kaliszewski, na przykład, wyjechał do Prus szukać lepszego zarobku.

– Słyszałem, Weronka mówiła. Biega codziennie do Hanki. Teraz, kiedy Hanka została sama, to moja dotrzymuje jej towarzystwa. Aż matka się denerwuje, że córkę samą zostawia. A Kaliszewski wyjechał zaraz po żniwach, długo szukał pracy.

– Teraz podobno pracuje w garbarni i nieźle zarabia. Jak będzie miał szczęście, to sporo zarobi.

– Szczęść mu Boże. Każdemu życzę dobrze, a Kaliszewskim szczególnie. To zacna rodzina i pracowita. Ale różnie to bywa, czasami wróci biedniejszy, szczególnie kiedy brak doświadczenia i doradców ma niewłaściwych.

– Też bym pojechał – przyznał się Robak. – Ale mówią, że jedziesz na własne ryzyko. Jak się trafi katorżnicza praca, to nie ma co liczyć na pomoc. Tylko związać manatki i wracać do domu – narzekał i zaraz stwierdził, macając się po kieszeniach: – lepiej zapalmy. – Podał Jasiowi trochę tytoniu i kawałek żółtej bibułki. Usiedli na miedzy, żeby odpocząć. Zrobiło się ciepło, że aż musieli rozpiąć koszule. Konie w tym czasie skubały trawę.

– A bo to wszyscy jadą tam za chlebem?

– A nie? – zdziwił się Robak.

– Jadą też polityczni albo ci, co muszą uciekać przed sądem albo wywózką. Sprzedają majątek i urządzają się gdzie indziej. Są też tacy, co w świat jadą zażyć przyjemności i coś zobaczyć w tym świecie.

– W Krasocinie nie ma takich bogaczy, jak jadą to tylko do pracy, zarobić na życie, na nowy dom czy na drugiego konia – zauważył Robak. – Też mam swoje potrzeby, ale jak mnie złapią na granicy? Aż mi się robi słabo, kiedy o tym zawczasu pomyślę. – Otrząsnął się z czarnych wizji. Widział już siebie na twardej pryczy w zimnej celi więzienia w Krakowie.

Siedzieli przez chwilę w ciszy. Każdy myślał o swoim. Dzień był bezwietrzny i ciepły. Dwie smugi dymu z papierosów snuły się wolno w górę. Nad nimi gęstniał rój drobnych muszek, mieniły się w słońcu jak okruchy złota.

– A ty pojechałbyś do Prus na zarobek? – zapytał nagle Robak.

Jaś spojrział jednym okiem, drugie przymknął, chroniąc je od dymu.

– Wyjazd organizuje specjalny werbownik. Taki werbownik zna się na rzeczy, on wszystkim kieruje – uspokajał Robaka. – Inaczej by nie zarobił. Z Krasocina wszyscy przeszli bez szwanku – dodał, chociaż nie bardzo wierzył w niezawodność podobnych akcji. – Najpierw zwołuje po cichu zebranie, a przychodzi, kto chce. Pasuje ci, to idziesz, tylko musisz zebrać pieniądze na podróż, na zapłatę za jego ryzyko i różne koszty, a potem dla siebie na początek, aż zaczniesz zarabiać. Idzie się nocą. Zawsze jest ryzyko. Byłe przeskoczyć na drugą stronę, już się tam zajmą tobą inni werbownicy. Wystarczy się odważyć. Zabierasz mały pakunek, nie może być duży, żebyś nie był ciężarem dla grupy. Czasami trzeba się wykazać mocnymi nogami i szybko biegać – żartował.

– Jakoś źle to widzę – skrzywił się Robak. – Narobiłbym w portki ze strachu.

– Jak człowiek musi, to nawet zostaje biegaczem. – Jaś dalej żartował.

– Aleś, chłopie, obeznany w temacie. Może też się do Prus wybierasz? – Robak zadał pytanie, chociaż znał odpowiedź. Był pewien, że kto jak kto, ale Jaś na pewno nigdzie nie wyjedzie. Nie zostawi kobiet na pastwę losu, zimy i carskich żandarmów, którzy ostatnio buszowali we wsi. Oka by w tych Prusach nie zmrzył.

– Nie ma co się od razu zarzekać. Idzie zima i długie wieczory. Może i mnie przyjdzie na wyjazd ochota – Jan stwierdził niespodziewanie. – Pieniądze trzeba jakoś zarobić, a w tym roku marne dochody. Z pięciu mórg trudno utrzymać rodzinę.

Kilka tygodni później, jak się tylko uporał z pracami i przygotował wszystko do zimy, wpisał się na tajną listę kandydatów. Postanowił spróbować szczęścia. Rozmowa z Antkiem Robakiem nie miała na to wpływu. Palił się do wyjazdu od dawna, chociaż się przed sobą nie chciał do tego przyznać. Wielu szukało szczęścia i dostatku, może i jemu uda się trochę zarobić. W polityce wrzało jak nigdy, ale na wsi ludzie byli przyzwyczajeni do niepokoju. Przecież wszelkie bitwy i wojenne potyczki odbywały się zazwyczaj w polu albo na łąkach, daleko od domów. Zresztą zimą było zazwyczaj spokojnie. Decyzji nie konsultował, zapisał się, a dopiero potem zaczął się martwić, jak o tym powie w domu. Bał się reakcji kobiet, więc odkładał rozmowę do ostatniej chwili, i taka wkrótce nadeszła.

Chodziły słuchy, że jest już komplet chętnych i za kilka dni będą wyruszać do Częstochowy, a stamtąd dalej, przez granicę do Prus.

Powiedział o tym zaraz po kolacji. Ewa i Walerka już spały, a kobiety szyły pościel w kuchni przy stole. Nastrój był w sam raz, bez kłótni i w pełnej zgodzie, więc się w końcu odważył. Nie przyznał się, że to już niemal fakt, najpierw chciał się zorientować, jak zareagują.

Bardziej niż żona przestraszyła się matka. Słyszała niejedno o tych, co stamtąd wrócili. Niektórzy bez ręki, inni wyniszczeni, część wpadła na granicy w ręce carskich żandarmów i trafiła do turmy albo na Sybir. Rosyjskie więzienia pełne były pechowców. Władze carskie nie zezwalały na opuszczanie terytorium państwa, uciekinierów tropiono, a samowolę przykładnie karano. Proceder przemycania ludzi kwitł jednak na całego. Mimo że wzmocniono strażę graniczną, strumień uchodźców nie malał. Po stronie niemieckiej było przyzwolenie, potrzebni im byli ludzie do pracy, a carskich strażników łatwo było przekupić.

– Tutaj nic po mnie – przekonywał załamana matkę. – Poradzicie sobie. Ewa ma już trzy lata, nie będzie wielkim obciążeniem. Jest i Walerka. Jedna gęba ubędzie, łatwiej przeżyjecie, a ja tam na siebie zarobię i jeszcze zaoszczędzę.

– A jak nie wrócisz albo zginiesz, co my tu same pocniemy? – Matka nie mogła zrozumieć decyzji syna. Nie podejrzewała, że jest zdolny porzucić ziemię. Dom i gospodarka były przede wszystkim. – Mało to we wsi wdów po tych, co pojechali do Niemiec? Policz, wieś mała, a ilu nie wróciło do domów? Chcesz i nas osierocić zawczasu? Nie dość dzieci straciłam? Tego ostatniego mam jeszcze pochować – biadoliła, jak mogła najgłośniej. Wycierała w fartuch zapłakane oczy, szukając ratunku u synowej.

– Przesadzacie – nie mógł słuchać tego zawodzenia. – Słyszałem, że niejeden wrócił i sobie chwalił. Trafił na dobrą pracę i nieźle zarobił – próbował ją jakoś pocieszać. – Kilku może i nie wróciło, wyjazd to zawsze ryzyko, ale trzeba spróbować i mieć głowę na karku. Nie utrzymam rodziny z pięciu mórg. Teraz są potrzebne nowoczesne maszyny i ziemia. Rosyjskie zboże tanie, wypiera nasze z rynku. Nikt go nie chce kupować, bo nasze jest za drogie. W tym roku dostałem grosze, a i tak lepiej sprzedałem od innych, bo sam jeździłem ze zbożem do miasta, na targ, sprzedawałem z ulicy. Ci, co odstawili zboże na umowę, poszli z torbami – wyjaśniał jej słowo po słowie. Lecz matka wiedziała swoje.

– Jak wszyscy chłopcy wyjadą ze wsi, kto będzie uprawiał ziemię? Legnie odłogiem. Car tylko na to czeka, żeby nam wszystko zabrać, dać swoim i wywłaszczyć. Wsie opustoszeją, jak ludzie pójdą za pracą do miast albo do Niemiec wyjadą. Co to za polityka w ludziach teraz dziwna? – Matka rzucała różne argumenty, żeby zatrzymać syna. Z jednej strony chciała być niezależna i sama gospodarzyć, z drugiej czuła się bezpieczniej pod skrzydłami dzieci, mimo że często wchodziła z nimi w konflikty. Jesienią chorowała, więc wzięli ją zimą do siebie. Jakoś jej się w głowie wtedy przejaśniło i zrozumiała, że w pojedynkę raczej nie da rady, a samodzielność, którą odzyskała, jest tylko pozorna. Dlatego decyzja syna tak ją przybiła. – Jesteś bez serca – musiała na koniec wykrztusić.

Zapadła cisza. Jan usiadł pod piecem, Weronika zerkała na dziecko, czy śpi, i mechanicznie przekładała

pierze do nowej wyspy. Józefa straciła ochotę do pracy. Wydało się jej, że świece mocno przygasły, że jakiś chłód ciągnie po plecach. A serce! Co też się działo z jej sercem! Liczyła na synową, że przemówi do Jana rozsądnie, ale Weronka milczała, jej twarz była zagadką i ten spokój, jakby to nie jej mąż i nie jej sprawa. Jan nie patrzył na żonę, spoglądał przez okno na drzewa, które z dnia na dzień traciły liście. Czas na mnie – powtarzał w myślach – czas na mnie.

– Historia uczy życia, a polityka kombinowania – powiedział głośno do kobiet. Widać było, że nie odstąpi, że już dawno zdecydował. – Nie przystoi mężczyźnie bać się ciężkiej pracy ani ryzyka. Dawno temu mężczyźni szli wojować, żeby zdobywać majątek, nie dziw się, że teraz ciągnie ich w świat za pracą. Kobieta od zawsze siedziała przy dzieciach, a mężczyzna zdobywał. Wszędzie tak jest, człowiek, ptak czy inne zwierzę, wszyscy mamy swoje do zrobienia. Pojadę zimą i wrócę na wiosnę – zapewniał.

Spoglądał przy tym na żonę i bał się tego, co powie. Była spokojna, ale na twarzy miała wypieki, wykwitły, jak tylko wspomniał o wyjeździe. Białe strzępki piór czepiały się gładkich włosów. Wyraz oczu ginął w pierzastej mgle, przebierała nerwowo palcami i szarpała wyspę, tak że połowa puchu spadała na ziemię. Kot, który siedział pod piecem, skoczył pod stół, łapiąc małe obłoczki. Dziwna się zdawała beztroska zwierzęcia w tej chwili.

– A co ty na to? – Nie licząc na wiele, zwrócił się w końcu do żony.

Odezwała się niemal natychmiast. Słowa spokojne jak samo pytanie dotarły do Jana, nim zdążył odetchnąć.

– Trzeba, to jedź – powiedziała bez chwili wahania. – Mąż Hanki wyjechał w sierpniu, już napisał. – Spojrzała na męża. – Chwalił się, że ma pracę i dobrze zarabia. Im też w tym roku gorzej się wiodło. Hanka mówi, że wiosną będą budowali nowoczesną oborę i hodowali bydło na sprzedaż. – Przerwała na chwilę, odkładając robotę. Ręce ułożyła równo na kolanach i wyprostowała plecy. Warkocz tkwił między łopatkami. – Trzeba, to jedź – powtórzyła głośno. – Ja sobie poradzę. Wiem, że ciągnie cię w świat, że się dusisz z nami.

Wzruszyła tym Jana, myślał, że mu zabroni, że się obrazi. Spoglądał przez stół na żonę, a ona na niego w milczącym porozumieniu. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że go rozszyfrowała. Nigdy nie wspominał o dawnych planach, że chciał się uczyć i zobaczyć więcej niż Włoszczowę i Kielce. Odłożył te plany na zawsze. Czasy były podłe, Polska w niewoli, carska władza niechętna młodym. Ale teraz jest dobra okazja, żeby wyjechać. Słyszał od ludzi, że tam, w Prusach, wszystko wygląda inaczej. Chciałby to zobaczyć, a przy okazji zarobić i zainwestować w dom i gospodarkę. Jest Weronka, więc matka nie będzie sama, nie mogło się lepiej ułożyć.

– Nie boisz się? – Józefa spytała synową z oburzeniem w głosie.

Weronika zacisnęła usta. Wciąż czuła żal za podział ziemi i za wieczne pretensje. To przecież przez matkę Jan wymyślił ten wyjazd.

– A co on, jakiś lebiega, że sobie rady nie da? – powiedziała hardo do świekry. – Tutaj pracuje ciężko, to i tam sobie poradzi. Jak będzie źle, to wróci. Boję się, jeszcze jak – szczerze przyznała. – Niech matka nie myśli, że jestem rada. – Odruchowo spojrzała na łóżko, w którym spała córka. – Ale sam wie najlepiej, co trzeba robić, żeby pomóc rodzinie.

– Mówisz, jakbyś się chciała go pozbyć, żeby na zatracenie poszedł. A dziecko sierotą ma zostać?

– Dziecko nie takie małe. Dom ciepły, jedzenia wystarczy, a jak zabraknie, są przecież moi rodzice. Nie odmówią, przygarną, jak przyjdzie bieda. – Weronika trzymała twardo stronę męża. – Hanka jest sama z dwójką dzieci – wspomniała znów o sąsiadce. – Radzi sobie bez męża i bez teściowej – mimowolnie dopiekła Józefie.

– Odważna jesteś. Lepiej się módl, żeby tam sobie innej nie znalazł.

– Jak głupi, niech szuka. – Weronika syknęła srogo i podniosła głowę znad stołu. W białej koronie,

z małutkimi piórkami na rzęsach wyglądała pociesznie. Tylko oczy miała zacięte.

– Zapisalem się już – przyznał otwarcie. – Nie będę tu tkwił bez roboty, czasami nawet od wroga można się czegoś nauczyć.

– Widzę, że już podjąłeś decyzję, nie patrząc na nas. – W głosie matki usłyszał pretensję.

– Nie jechałbym bez waszej zgody. Powiedziałem, jak jest i dlaczego to robię.

– Ale przecież ja się nie zgadzam – oświadczyła stanowczo. – Wolę żywego syna niż... – Zamilkła zdesperowana. Nie mogła mówić. Straciła poczucie siły i władzy, którą dawał jej fakt własności i wspólnoty. Od kiedy zabrała swoją część ziemi i odebrała połowę dochodu, jakaś część szacunku i matczynej mocy opuściła ten dom. Młodzi czuli żal, że nie chciała wspólnie gospodarzyć.

Na rozmowach, planach, obietnicach zesłała im cała noc. Długo się żegnali. Jedno i drugie bało się rozstania, a może bardziej tego, co po nim nastąpi. Na ile ten ryzykowny wyjazd okaże się dobrym pomysłem, na ile niebezpiecznym sposobem na życie. Jan nigdy nie chciał zostać bohaterem, nie lubił ryzyka. Więc może porywa się na zbyt wiele, niepotrzebnie naraża, stawiając na jedną kartę ich życie i swoje. Wahał się do ostatniej chwili, nawet wtedy, gdy już wpłacił pieniądze. Aż go serce bolało z trwogi, że popełnia życiowe głupstwo. Miał potrzebę, żeby ulżyć rodzinie, zarobić na lepsze życie, lecz pod podszewką chwalebnej intencji tliła się zwykła potrzeba przygody i realizacji chłopięcego marzenia.

Jak nigdy spali do południa. Nie zbudził ich poranny gwar ani płacz Ewy, która nie chciała zjeść śniadania bez mamy. Zapłakana Józefa krążyła bezszelestnie po domu i z trwogą myślała o przyszłości. Obiad jedli w milczeniu, a kolację z bijącym sercem. Wśród pocałunków, łez i zdrowasiek Jan opuścił dom i o zmroku wyruszył w drogę. Nie wiedział, co go tam czeka i czy jeszcze wróci. Wszak przed nim niewiadoma. W ostatniej chwili miał ochotę zawrócić. Dom nęcił go ciepłem i bezpieczeństwem, a tam, gdzie się udawał, czekał go świat obcy i nieprzychylny.

Antoni Robak, zaskoczony tym, co się stało, odwiózł go do Włoszczowy. Pociąg do Częstochowy odjeżdżał późnym wieczorem. Tam, pod osłoną nocy, razem z grupą innych uciekinierów mieli wyruszyć w kierunku granicy i przekroczyć ją, zanim się rozwidni. Wybrali ryzyko, nie oni pierwsi i nie ostatni. Po drugiej stronie już nic nie będzie im groziło, byle tylko nie wpaść w ręce carskich strażników.

Wiktor K.

Halifax, rok 2005

Kapitan zegnał pasażerów wyuczoną formułką i tym, którzy przybyli z wizytą, życzył miłego pobytu w Warszawie, pozostałym dalszej szczęśliwej podróży. Koła samolotu dotknęły płyty lotniska i na pokładzie jak zawsze rozległy się głośnie oklaski. Spojrzałam na spuchnięte kostki. Dziesięć godzin w powietrzu zrobiło swoje. Zegar biologiczny tym razem dał się we znaki. Samolot z Nowej Szkocji wyleciał w czwartek o siódmej trzydzieści. Teraz był czwartek, siódma rano w Warszawie. Czyż to nie piękne? Gdyby podróżować bez przerwy w obydwie strony, można by się wcale nie starzeć. W tym myśleniu czułam nieścisłości, lecz startując z niskiego poziomu wiedzy astronomicznej, nie miałam ochoty dociekać szczegółów.

Wracałam do domu po miesiącu nieobecności, ale cóż to był za miesiąc! Gdyby kilka lat temu ktoś mi powiedział, że zobaczę Wyspę Księcia Edwarda i dom, w którym wychowała się Ania Shirley, a właściwie Lucy Maud Montgomery, nie dałabym wiary. Wracałam z głową w chmurach, także w przenośni. W walizce i w sobie zamknęłam wspomnienia, mnóstwo zdjęć, którymi będę się mogła podzielić.

Z Okęcia wzięłam taksówkę. Musiałam szybko dostać się na Dworzec Centralny, żeby złapać pociąg do Poznania, w Poznaniu kolejna przesiadka i potem już prosto do domu.

Przywiozłam ze sobą piękną pogodę. Jeszcze wczoraj podawano w internecie, że w Warszawie jest zimno i deszczowo. Tymczasem rano przywitał mnie słońcem i błękitnym niebem.

Kilka miesięcy wcześniej sympatyczna Irena Sznajder, Polka mieszkająca w Kanadzie, właścicielka dwóch księgarni, zaprosiła mnie do Halifaxu. Poznałyśmy się w zasadzie przez internet. Niespodziewaną propozycję potraktowałam jak gest Polki, która chce być po prostu miła i z czysto patriotycznych pobudek zaoferowała mi szczerą gościnę. Zaproszenie jednak kusiło, raz – ze względu na miejsce, a dwa – na dogodne warunki pobytu. Halifax to miasto związane z autorką *Ani z Zielonego Wzgórza*, podobnie jak Wyspa Księcia Edwarda. Kulturowano tam pamięć sławnej powieściopisarki. Miałabym miesiąc, żeby dokładnie poznać drogi i ścieżki bohaterki mojego dzieciństwa. Nie mogłabym sobie darować, żeby nie postawić nogi w miejscu, do którego wielokrotnie podążałam myślami, kiedyś za sprawą sympatycznej Ani, teraz z powodu osoby, która ją stworzyła. Chciałam zrozumieć wyspę, poszukać atmosfery dawnych lat, wiktoriańskich ogrodów i domów. Tamta epoka, trudna dla ambitnych kobiet, inspirowała mnie już od dawna. Poza tym czułam się podobna do Montgomery. Miała wiele cech, o których czytałam w biografii i w pamiętnikach, wspólnych z moimi. Epilog życia pracowitej Lucy z małego miasteczka Cavendish leżącego nad Zatoką Świętego Wawrzyńca nie był pokrzepiający, ale oszczędziłam sobie myśli o nim.

Ostatecznie z propozycji wyjazdu skorzystałam w nagłym odruchu. Zapraǳnęłam uciec w samotność, daleko od domu, i po prostu odpocząć. Cudowna okazja, jednocześnie wyzwanie.

W Halifaxie mieszkałam w niekrępującym pokoju przy jednej z księgarni i nie płaciłam za nocleg. To była niemąla ulga dla kieszeni. Najważniejsza była jednak nie sprawa pieniędzy, a wizy. Wyjazd do

Kanady bez zaproszenia nie był wtedy możliwy. I tak na lotnisku przeszłam niemiłą kontrolę. Prosto z terminalu specjalnym chodniczkiem poprowadzono mnie z innymi Polakami do izby przesłuchań. Nie zostałam odesłana do domu tylko dzięki temu, że miałam ze sobą list od Ireny Sznajder.

Ceniłam sobie niezależność i jeśli miałam wypocząć, przynajmniej przez część dnia musiałam być sama. Przestronny pokój przy księgarni w wąskiej uliczce niedaleko portu okazał się idealny. Wieczorami sporządzałam notatki i spisywałam wrażenia z kolejnych dni, które później miały mi się przydać do książki.

Sporo spacerowałam. Miałam czas, byłam wszystkiego ciekawa. W końcu to jeden z największych portów na świecie i miasto z interesującą historią.

Krok za krokiem poznawałam kolejne uliczki, wszystkie bardzo podobne do siebie, z szeregami pastelowych domków zbudowanych z wąskich listewek, choćby domki przy Agricola Street, lukrowane ciasteczka, różowe, niebieskie, jasnofioletowe. Trochę mnie śmieszyły – jak domki dla lalek, jak perfekcyjne makiety.

Głównie jednak zwiedzałam tamtejsze księgarnie. Zachwyciła mnie pieczołowitość, z jaką traktowano w Kanadzie lokalną historię i losy ludzi, którzy ją tworzyli. Natknęłam się na niezliczone ilości pamiątek i książek opisujących trudne lata osadnictwa. Wiele z nich zawierało autentyczne relacje ludzi, którzy w dobrej wierze przebyli pół świata, żeby odnaleźć wymarzony Eden. Jednym poszło jak z płatka, zbudowali dom, otworzyli firmy, sprowadzili rodziny, inni stracili wszystko, ulokowawszy w złym interesie lub zbudowawszy dom w nieodpowiednim miejscu.

Spoglądając na grzbiety grubych tomów, pomyślałam od razu o *Rodzinie Whiteoaków*, szesnastotomowej powieści kanadyjskiej pisarki Mazo de la Roche, zwanej też cyklem *Jalna*, od nazwy posiadłości, w której toczy się akcja książki. Opowiada historię wiejskiego rodu osiadłego w Kanadzie na przestrzeni stu lat, od 1854 do 1954 roku. Czytałam ją i byłam urzeczona.

Zastanowiło mnie, czy losy zwykłej polskiej rodziny, spisane szczerze, bez fabularnych ubarwień i ukrytych tajemnic wyciąganych nagle z rękawa, byłyby na tyle ciekawe, żeby je zebrać w książkę. Codziennosc wydaje się nudna i bezbarwna, cóż w niej interesującego? I jak dotrzeć po latach do prawdy, kiedy ona już dawno umarła? Jakies szczątki wspomnień mniej lub bardziej bolesnych, narodziny, pogrzeby, śluby, odrobina historii, polityka, pieniądze, kryzysy. Wszystko już było, ludzkość od wieków niszczyły te same choroby – kult władzy, pieniądza, siła złych i dobrych namiętności. Pomyślałam o Virginii Woolf. Teraz przyszła mi na myśl powieść *Fale*. Sześciu bohaterów w ogrodzie nad morzem snuje swoje przemyślenia – monologi. Zaczynają, będąc dziećmi, czas upływa, zmieniają się oni sami, ich marzenia, uczucia, starzeją się w końcu. A obok nich słychać niezmiennie ten sam szum morskich fal, bezdusznych i nieczułych jak cała przyroda. Jakie to smutne – pomyślałam przez chwilę. – Przemijamy, zostaje tylko mgła naszych oddechów, trochę nawozu, garstka wspomnień, i one kiedyś odejdą. Jak po latach, gdy nie żyją już świadkowie zdarzeń, odtworzyć zapachy, uczucia i tamten czas? Czy współcześnie, nie przeinaczając faktów, nie przekłamując prawdy, dałoby się wszystko opisać?

Odwiedziłam Lucy Montgomery na zielonej wyspie. Tam, niestety, potwierdziły się moje obawy. Domek w Cavendish ani trochę nie pasował do wyobrażeń z dzieciństwa. Miejsce było wymuskane, nienaturalne. Pamiętałam, że Maryla Cuthbert zamiatała podwórko równie często, jak sprzątała dom, a z ziemi można by jeść bez obawy. Wszystko ma jednak swoje granice. Książkowe opisy Jeziora Lśniących Wód i Białej Drogi Rozkoszy działały na wyobraźnię. To, co przygotowano dla gości, nie miało nawet krzty romantyzmu. Czy więc nie byłoby lepiej nigdy tego nie widzieć?

Daleko od domu nachodzą mnie często refleksje, które umykają w codziennej krzątaninie. Trzeba mieć sporo wolnego czasu, do tego długopis lub ołówek – lubię zapisać myśl. Drugi raz taka myśl nie powróci, każda jest niepowtarzalna. Zapisywałam więc wszystko dosyć skrupulatnie. Miałam wiele samotnych

wieczorów, niemal wszystkie były twórcze.

Jakiś tydzień po przyjeździe moja fundatorka zaprosiła mnie do siebie na uroczystą kolację. Mieszkała w jednym z cukierkowych domków w pobliżu Cytadeli. Tyle że dom obrósł już w bluszcz, a kremowa barwa paneli miejscami zzieleniała. Wydawał się przez to wiekowy i bardzo dostojny.

Byłyśmy same. Mąż gospodyni przebywał w szpitalu, miał jakieś problemy z kolanem. Dzieci, już dorosłe, mieszkały samodzielnie. Miałyśmy czas i cały dom dla siebie.

W trakcie kolacji, w miarę konsumpcji lekkiego kanadyjskiego wina, rozwiązały się nam języki. I właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałam o Wiktorze K.

Niepokój

Krasocin, rok 1913

Przez miesiąc nie miały żadnych wiadomości. Umierały więc z trwogi. Zaczął się listopad, czas bolesnych wspomnień dla matki i zimnych, samotnych poranków Weronki. Dni wlokły się niemiłosiernie, nawet słodki placek z orzechami, który tak bardzo lubiła, wydawał się Weronce gorzki. Upijała po łyyczku herbaty z mięty i lipy, myśląc, co też tam pija jej mąż, czy ma czas na zjedzenie obiadu, czy ma gdzie spać i odpoczywać. Czy znalazł pracę, czy jeszcze żyje? Tyle pytań bez odpowiedzi, każde z nich było jak kamień u szyi.

Umówili się, że da znać najszybciej jak to możliwe. Pytała inne kobiety o listy od mężów.

– Mój nie umie pisać, ale dał znać przez szwagra, który właśnie wrócił do domu – oznajmiła jedna z sąsiadek.

– Nie napisze, ale wiem, że wraca, przysłał już swoje rzeczy. Nie napracował się długo, zawsze był leniwy – zwierzyła się inna.

– Oni rzadko piszą. Nie mają kiedy, wychodzą do pracy o świcie, a wracają w nocy.

Weronka cierpliwie czekała, modląc się w kącie, a Józefa z trwogi prawie rwała włosy i codziennie biegała klękać przed figurą. Na szczęście wiedziały już, że grupa bezpiecznie przeszła przez granicę. Rozstali się w pociągu do Lipska. Na dworcu każdy poszedł w swoją stronę, gdzie i do kogo, trudno było dociec. Te wieści nie wystarczyły kobietom do odzyskania wewnętrznego spokoju. Ciągle czekały, licząc dni, a potem godziny na jakąkolwiek wiadomość od Jana.

Pewnego dnia niebiosy wysłuchały niekończących się modlitw. Zjawił się u nich chłopak, szedł z Ludyni do Jakubowa. Wracał z Prus do domu na święta.

– Przywożę wam wieści od męża – zwrócił się do Weronki. Wybiegła mu na spotkanie, widząc, że idzie w kierunku domu. Pierwsza myśl była przerażająca. Gnębiona przecuciami obawiała się najgorszego.

– Co z nim? – Pobladła, pytając. Za nią przed dom wyszła także Józefa. Walerka z Ewą zostały za progiem, dziewczyna przytulała do siebie dziecko, bojąc się wieści, na które od dawna czekały.

– Obiecałem, że do was wejdę – tłumaczył chłopak. A Weronka słuchała, jak jej wszystko cierpliwie wyjaśniał. – Pani mąż miał wypadek, ale niezbyt ciężki – dodał szybko, widząc, że Weronka blednie. – Nie pisał, bo wózek z węglem przygniótł mu rękę. Ale teraz czuje się dobrze, ręka jest cała. Kilka dni temu wrócił na akord do pracy. Prosił wszystkim przekazać, że poza tym nic mu nie jest i niebawem do was napisze.

– Jak mu tam? – zapytała Józefa. Weronka nie miała siły pytać o nic więcej. Strach o męża tak ją obezwładnił, że stała bez życia.

– Dokładnie nic wam nie powiem, ja wracam z Lipska, a on pracuje daleko od miasta. Dowiedział się, że jestem z Jakubowa, i zaczął mnie na mszy w kościele.

Józefa odetchnęła głęboko. Jeśli jej syn może być w niedzielę w kościele, to znaczy, że wszystko z nim dobrze.

Zaprosiły chłopaka do izby, napiły i nakarmiły. Był sympatyczny i bardzo pogodny. Nawet zmęczenie nie mąciło w nim radości z powrotu do domu.

– Jesteś z Jakubowa? – zapytała Weronka. Odzyskała na szczęście głos, dobre wieści dodały jej siły. Z Ewą na kolanach wsłuchiwała się w relację chłopaka.

– Właściwie mieszkam w Stojewsku. Z bratem i jego rodziną. Brat nazywa się Kowal, ale nie jest kowalem – wyjaśnił na wszelki wypadek.

– To znaczy, że też jesteś Kowal.

– Na imię mam Maciej. Maciej Kowal.

– A rodzice? – dopytywała Józefa.

– Dawno już pomarli. Ojciec zginął pod Irkuckiem. Pojechał na zarobek. Budowali tam Kolej Transsyberyjską. Pisał listy, że dobrze zarabia, ale praca ciężka, i że wróci do domu przed zimą, bał się zimy na Syberii. Pisał, że pracują z nimi więźniowie spod Częstochowy, że strasznie zabiedzeni i głodni. Prosił o paczki z jedzeniem, z przyodziwkiem. Matka co miała, to słała. W końcu ojca przygniotła jakaś maszyna do układania torów. Pochowali go na wiejskim cmentarzu w jakiejś polskiej osadzie. Nawet ciała nie było jak wysłać do domu, chociaż kolej biedak budował.

– A matka? Co z nią?

– Matka poszła do lasu, zbierały z siostrą grzyby. Jakaś gadzina ugryzła ją powyżej kostki. Tylko w krzaki czmychnęła. Noga opuchła, nie pomogło czyszczenie rany ani zioła, nawet lekarz nie mógł już pomóc. Zmarła po kilku dniach. Nie było ratunku.

Żal im było chłopaka, taki ładny i grzeczny, a już sierota. Jaki ten los jest niemiłosierny, jakie to życie niewarte łez i udręki. Józefie przypomniał się Jędrus. Byłby jak ten chłopak ze Stojewska. Łza zakręciła się w oku i dopadła ją straszna tęsknota. Wszyscy się zadumali. Weronka głaskała Ewę po jasnej główce i myślała o mężu, a Walerka urzeczona wpatrywała się w gościa, jak ze smakiem wyjada z talerza zrobione przez nią pierogi. Piękniejszego kawalera chyba nie widziała. On wyczuł spojrzenie dziewczyny.

– A to wasza siostra? – zwrócił się do Weronki i aż się zaczerwienił. Widać poczuł, że pytanie było nieco dziwne.

– A to Walerka Omasta – wyjaśniła. – Wnuczka teściowej. Jak ty, też nie ma rodziców, więc mieszka z nami.

– Aha, myślałem, że siostra, bo nawet trochę podobna.

Walerka spuściła oczy zawstydzona.

Zeszło im kilka godzin na rozmowach i żartach. Zanim się chłopak zebrał do drogi, zrobiło się szaro. Widać dobrze mu było w domu Kuśmierczyków. A może to za sprawą Walerki. Długo się przyglądał dziewczynie. Zagadywał, pytał, ile ma lat i kiedy straciła rodziców. Wyjaśniła chłopcu, że tylko matkę straciła, ojciec żyje, ale nie dba o nią. Ma swoje dzieci z inną kobietą. Wydawało się, że rodzi się między nimi niewidzialna nić porozumienia. Smutne dzieci, co nie zaznały miłości rodziców, miały się widać ku sobie.

– A odwiedź nas jeszcze kiedyś – zachęcała Weronka. – To ci Walerka znowu narobi pierogów. Jej pierogi są lepsze od moich – zapraszała, widząc, że i on spogląda spod brwi na rumianą ze szczęścia dziewczynę.

– Zajdę, czemu nie – uśmiechnął się promiennie i pomachał im z drogi. – Jak będę w pobliżu, to na pewno odwiedzę – zawołał na pożegnanie i rażno ruszył przed siebie. Robiło się ciemno, a on przed nocą chciał przecież dotrzeć do domu.

Pierwszy list od Jasia przyszedł w połowie grudnia, a z listem niewielka paczka. W środku cukierki w czerwonych i złotych bibułkach. Pisał, że jest już zdrowy, że się nie mają o niego martwić. Ma pracę, robi w kopalni i nawet nieźle zarabia.

Wiosna

Krasocin, rok 1914

Od tygodnia wyglądała męża. W ostatnim liście napisał, że wkrótce wraca. Prosiła o to gorąco z tęsknoty, ale i z potrzeby. Kto mógł, czym prędzej wracał. Wojna wisiała na włosku. Sześć miesięcy bez męża dało się Weronce we znaki, więc modliła się o jego bezpieczny powrót do domu. Chodziły słuchy, że lada dzień zostanie zamknięta granica z Prusami.

Godziny czekania dłużyły się niemiłosiernie, a obawy, że Jaś może nie zdążyć na czas, doprowadzały Weronkę do łez. Miała matka rację, żeby mu nie pozwolić. Co zrobi sama, jak sobie poradzi z małym dzieckiem i chorą teściową, gdy wybuchnie wojna? Dręczyły ją ciągłe pytania i wyrzuty sumienia. Jaś zamierzał pracować do końca tygodnia, potem odebrać zapłatę i koło środy miał być w Krasocinie. Tymczasem minęła kolejna sobota, a jego ani śladu. Całymi nocami wystawała w oknie. Czekwała na powrót jak na zmiłowanie.

Świekra od wyjazdu syna bardzo podupadła na zdrowiu. Straciła chęć do życia i tylko wyglądała listów. Kiedy przyszedł, to wstawiała na kilka dni z łóżka, a potem znowu wpadała w otępienie. Jeszcze po świętym Józefie bieliła chatę i pomagała bielić Weronice. Jak co roku zajechał do wsi Żyd swoją starą furką i drąc się wniebogłose, obwieszczał wszem wobec: „Waaapno, waaapno sprzedaję”. Józefa kupiła wapno ze Stojewska, drogie, ale czyste, bez przerostów i piasku, dokładnie na wskroś przepalone. Chęcińskie było tańsze, Żyd nawet chciał opuścić, bo bryły miały liczne przebarwienia, ale Józefa nie żałowała pieniędzy. Nie chciała później wstydić się swojej roboty. Kupiła do tego lakmusu, dosypie do wapna, żeby nieco przełamać biel. Nie wierzyła, że Weronka robi to jak należy.

Kiedy Weronka jednego dnia pojechała z Ewą i Walerką do Gruszczyzna, Józefa zlasowała wapienną bryłę, aż się zrobiła z niej gęsta śmietana, zaprawiła leciutko lakmusem, a potem pędzlem zrobionym z prosa maznęła kilka razy, żeby sprawdzić kolor. Wyszedł jej pięknie, biel z niewidocznym odcieniem błękitu, że aż raziała w oczy.

Pracowała zawzięcie do samego wieczora, a potem padła na łóżko i mocno zasnęła. Taką ją zastała Weronka, śpiącą w ubraniu, z rękami uwalanymi wapnem. Aż dziw, że sobie wtedy oczu nie zatarła. Nazajutrz wzięły się do pracy, żeby podciągnąć robotę. Zajęło im tydzień, potem jeszcze poprawki w miejscach, gdzie gorzej pokryło.

Po tej akcji Józefa zaniemogła na dobre. Osłabła i zmizerniała. Nocami wołała syna, jakby się bała, że nie doczeka jego powrotu. Obowiązki domowe spadły na Weronkę. Gdyby nie pomoc wiernej i oddanej Walerki, chybaby nie poradziła.

W porze obiadu zjawił się Adam. Wpadł zapytać o zdrowie. Ostatnio często wpadał, sam albo z Polą. Weronka stwierdziła, że chyba i on stęsknił się już za Jasiem. Usiedli do posiłku, nawet teściowa przysiadła się do nich. Lubiła odwiedziny zięcia, jego wewnętrzny spokój, ogładę i nowe wieści ze świata, z którymi zawsze przybywał.

– Mówią, że Piłsudski szykuje polskie drużyny w Przemyślu. Co on zamyśla robić? Ludzie gadają, że zwołuje młodych, żeby się zapisywali, że niby dla sportu będzie ich uczył strzelać do tarczy, bo mu tam,

w Austrii, zabronili formowania wojska. Młodych chłopców ściąga do siebie. Tylko na nas sprowadzi nieszczęście. Mało mamy swojej biedy? Syn sąsiada z Ostrowca już tam pojechał. Pisał, że uczą się walki i zasad wojennych, że mu nawet mundur będą szyli.

– Żeby już tylko Jasiek do domu wrócił – biadoliła Weronka, sprząając ze stołu. – Boże, po co ja go namawiałam na wyjazd – wyrzucała sobie.

– Zatrzymało go coś, może jeszcze pracuje, został na dłużej i wróci, jak skończy. Wiadomo, nie wszystko da się zaplanować – uspokajał. – W razie czego, to do mnie zachodźcie. Razem będzie nam łatwiej. – Próbował jakoś pocieszyć. Wiedział, że lada dzień mają zamykać granice, kto wie, jak to się dla Jasia skończy.

– Nie ruszę się z domu. Wyczekuję go od kilku dni. Ludzie się do siewu szykują. Powinam już nająć kogoś, bo czas najwyższy. Matki ziemia też nieobrobiona – narzekała i natychmiast przeraziła się własnych słów. – Pisał, że wróci do siewów, to wróci.

– O siew się nie martw, nie zostawię was w biedzie – pocieszał Adam. – Józia już dawno nie żyje, ale to ciągle moja rodzina. – Spojrzał w kierunku teściowej. Odstawił na stół kubek po zakwasie, którym go poczęstowano i zaczął się zbierać do domu. Chciał coś jeszcze powiedzieć Weronce, ale się powstrzymał, tylko spojrzał ciepło, włożył czapkę i wyszedł bez słowa.

Nie miała siły, żeby się rozebrać. Tego dnia ciężko pracowały. Trzeba było odkryć kopiec i przebrać wszystkie ziemniaki. Kończyły już po ciemku. Walerka natychmiast zasnęła, zdążyła tylko zdjąć buty i umyć w misce nogi. W domu słychać było równe oddechy śpiących. Nie chciała hałasować. Przykryła się chustą i zasnęła na ławce pod piecem. Ale sen miała lekki, od kilku dni spała czujna i spięta. Więc kiedy ktoś zapukał, natychmiast podniosła głowę. Sen czy jawa, straciła poczucie czasu. Coś jej się śniło dziwnego, czekała, aż otrzeźwieje. Ale wstała, na wszelki wypadek, i dorzuciwszy do pieca, zostawiła uchylone drzwiczki, żeby mokre drewno złapało nieco oddechu. Później, prostując plecy, zerknęła w okno. Zobaczyła tylko cienie drzew i sztachety, a na nich zawieszono garnki. Można je było pomylić z ludzkimi głowami. Dziwnie to wyglądało. Poczowała, jak z niepewności drętwieje. Czekwała chwilę wpatrzona w gęstniejącą ciemność. Żadnego pukania, tylko cisza zakłócana odległym sapaniem teściowej. Jednak kot zeskoczył z pieca, jego też coś obudziło. Podniósł do góry ogon i czekał w napięciu. Ten leniuch rzadko się fatyguje, gdy się grzeje w ciepłe, nawet myszy ma w nosie. Zamiauczał i przechylił łeppek, jakby nasłuchiwał. Teraz i ona słyszała, jak ktoś znajomo ostukuje buty. Tyle razy słyszała ten odgłos. Już wiedziała, kto stoi za drzwiami. Ledwo zdążyła przyglądzić włosy i poprawić ubranie.

Stał w ciemności jak posąg. W ręku trzymał worek z rzeczami, na ramionach zarzucony miał płaszcz. Zobaczyła go w słabym świetle. Twarz zakrywał cień. Wydawał się bardzo wysoki.

– Urosłeś! – krzyknęła, tuląc się do niego. Pachniał inaczej, aż bała się spojrzeć mu w oczy, czy aby cały też się nie odmienił, może nieco schudł i – no właśnie – zapuścił brodę, dlatego cień twarzy był taki obcy. Przygarnął ją wolną ręką i chwilę tak stali, aż pies, który skamlał z radości, zaczął na niego skakać.

– Idź, Morus – odezwał się, popychając psa kolanem. Weszli szybko do domu, zostawiając psiaka na zewnątrz. Noc była zimna, wniknęła za nimi do domu razem z resztkami wiatru. Stali w sieni, korzystając z ciemności, szepcąc słowa miłości i słowa tęsknoty. Zapytała, czy nie miał kłopotów, czy droga bezpieczna i czy zje coś, bo pewnie jest głodny, a on tylko patrzył w jej niebieskie oczy i sprawdzał, czy to aby ta sama Weronka co przedtem.

– Rzeczywiście urosłeś. – Odsunęła się nieco, żeby sprawdzić. Usłyszała jego szczery śmiech.

– Kupiłem nowe buty, to pewnie dlatego. Jak mnie wpuścisz do izby, to ci je pokażę – żartował. – Dla ciebie też mam trzewiki. – Spojrzał przez drzwi do środka. Ujrzał w nich zarys postaci. – Wróciłem – powiedział do matki.

Gdy Weronika otworzyła oczy, słońce już dawno zamiotło podwórko przed domem i zaglądało w okno od strony ogrodu. Po szybach ściekała woda. Zanim zdołała sobie przypomnieć, zobaczyła Ewę przy stole całą w promieniach, jakby ją ktoś pomalował na żółto. Jadła śniadanie pochyłona nad miską, a Walerka jej cicho śpiewała o kotku i o mleku. Józefa w odświętnym fartuchu kręciła się, pomagając wnuczce jeść kaszkę.

– Pospałaś sobie – zwróciła się do Weronki łagodnie, zdrowa i pełna wigoru.

– Ano pospałam – odrzekła, zdziwiona kondycją teściowej. – Jaś już wyszedł? – zapytała, zerkając na kołek, czy wisi tam jego ubranie.

– Wstał o świcie i poszedł w pole. Pewnie zatęsknił do ziemi. Dobrze, że wrócił – dodała, tłumiąc łyżę szczęścia. – Strasznie się o niego bałam.

– Ja też – przyznała Weronka i przytuliła się do poduszki. Jak miło odnaleźć w pościeli ślady kochanej osoby. Wcisnęła nos w ciepłe miejsce. Czy człowiek musi najpierw tęsknić i cierpieć, żeby w końcu poczuć się szczęśliwym?

– Mamo, tato przyjechał – otrzeźwił ją głos córeczki.

– Wiem, Ewuś, wiem.

– A kiedy wstaniesz? Późno już, trzeba nakarmić świnię – stwierdziła rezolutnie.

– Zaraz wstanę, o, już wstaję. – Podniosła się z łóżka. – A świnię już nakarmione – wyjaśniła córce.

– Skąd wiesz? Przecież nie dawałaś im jeszcze kartofli.

– Wiem, bo ich nie słychać. Gdyby były głodne, toby już kwiczały.

Po obiedzie usiedli przy wspólnym stole. Jaś opowiadał do samego zmroku, a Weronka słuchała, aż dostała wypieków. Jego świeże wspomnienia robiły na niej wrażenie. W listach niewiele można przekazać.

Pracował w odkrywkowej kopalni węgla brunatnego Zwenkau, która zaczynała się koło miasteczka Cospuden.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, co to za kopalnia, ogromna, że końca nie widać. Wyrobiska ciągną się przez setki mórg. Zniszczono całe wsie, bo pod nimi był węgiel i ruda. Ludzie musieli zostawić domy, już nie ma po nich śladu, tylko wielka dziura w ziemi. Wkładaliśmy ten węgiel na wagony, które jeździły po ruchomych szynach, przesuwano się je coraz bliżej ściany urobku, żeby nie nosić daleko.

Pokazał ślady po ranach i złamany palec, który bez gipsu zrósł się trochę krzywo. Chciał się pożalić przed żoną. Nie zarobił planowanej sumy. Uszkodził sobie rękę w pierwszych dniach pracy i to mu obniżyło dochody, wypadł bowiem kilka dni z kolejki do wypłat, później trudno mu było nadrobić akord. Ale był zadowolony, to, co przywiózł, wystarczy im na dłużej.

– A gdzie mieszkałeś?

– Większość przyjezdnych mieszkała w barakach. Zakwaterowanie było marne, wszyscy na kupie. Smród, brud, ludzie niezwyčajni czystości. Warunki jak dla bydła. Na dłuższą metę ciężko było wytrzymać. Prawdę mówiąc, za nic tam mieli ludzi. Nie ten, to inny przyjdzie. Niby robotnik potrzebny, płacą uczciwie, tyle że bez szacunku dla siły roboczej. A człowiek był tak zmęczony, że nie miał na nic ochoty, tylko coś zjadł i szedł spać, żeby wypocząć przed kolejnym dniem. Za to niedziele mieliśmy wolne. Przestrzegano tego, żeby pracownik mógł się zabawić. Było wśród nas wielu Polaków.

– A mieliście tam kościół? – zapytała matka, która z boku przysłuchiwała się całej rozmowie.

– Jeździliśmy do Lipska.

– Do Lipska? To chyba daleko?

– Nie bardzo. Kilka stacji pociągiem. Za to można było trochę świata zobaczyć i innej kultury. Lipsk to bogate miasto, piękne i czyste. Dużo ogrodów, ładne domy, było na co popatrzeć – wspominał z rozrzewaniem.

To, co zobaczył w Prusach, było dla niego nowością. Nigdzie nie widział tylu parków i kwiatów. Chciałby móc to wszystko pokazać Weronce.

– Po mszy chodziliśmy nad brzeg Elstery, Elstera płynie przez Lipsk. Stoi tam pomnik Józefa Poniatowskiego, a na nim napis „Przechodniu, stań i pomyśl, co się działo z nami pod Lipska murami w 1813”. Pod tym pomnikiem spędziliśmy sporo czasu. Jeden, co z nami pracował, nauczyciel z Kielc, wiedział sporo o Poniatowskim. Ten książę to wielki bohater i człowiek czynu. Teraz by nam takich trzeba. Był patriotą, gdyby nie zginął, tak mówił ten człowiek, pewnie już wolność mieli. Znaczy się Polskę. Dostał wiele medali za swoje zasługi i zawsze powtarzał, że „Bóg mu powierzył honor Polaków i tylko Bogu go odda”. Swoje wojny wygrywał i dopiero jak poszedł z Napoleonem, to poległ. Zawzięty był ponoć i szybki. Ten nauczyciel różne o nim opowiadał historie, o tym, jak się sprzeciwił samemu królowi, nikogo się nie bał, śmierć miał za nic. Dopadła go w tej rzece, w Elsterze, chociaż niewiele brakowało, żeby ocalał. Tyle się dzieje w świecie. – Nagle spoważniał. – Ludzie chcą wolnej Polski, a my, na tej wsi, ciemni jak tabaka w rogu. Tylko aby do gęby – powiedział zgnębiony.

Kobiety słuchały z uwagą. Matka raz po raz donosiła na stół kartofle, które trzymała specjalnie dla niego w duchówce pod płytą. Kładł na nie łyżkę śmietany, gęstej jak masło, i jadł, aż mu się wąsy zrobiły białe.

– Taki bohater, a nie ma nawet swojego grobu – stwierdziła Józefa.

– Ma grób, a jakże. Na Wawelu jest pochowany. Ciało z rzeki wydobył po czterech dniach rybak, Jan miał na imię, jak ja – podkreślił wyraźnie. – Zobacz, i dzięki temu przeszedł do ludzkiej pamięci, zwykły rybak, co księcia z wody wydobył.

Weronika patrzyła na męża szczęśliwa, myśląc: jaki on mądry!

– Dobrze, że ty nie musisz wojować – powiedziała ze strachem, wycierając fartuchem blat stołu, na którym pojawiały się raz po raz małe kropki śmietany.

Nazbierało się roboty pod nieobecność gospodarza. Wrócił pod koniec wiosny, więc czasu było niewiele na siew i nawożenie. Pracował od świtu do nocy, żeby dogonić innych, i ciągle rozmyślał. Pobyt w Prusach dał mu ku temu powód. Raz po raz wspominał wcześniejsze lata, zagłębiał się w przeszłość, dociekał, czy coś się zmieniło na lepsze. Zapomniał już smaku wolności, ale nie czuł żalu. W miejsce tamtych radości przyszły inne, o większej wadze i ludzkim znaczeniu. Kiedyś się martwił ptakami i własną wygodą. Coś za coś, nowe zmartwienia, ale inne korzyści, inne myśli niż kiedyś, taka kolej rzeczy. Rozum mówił mu, żeby doceniać chwile za wszystko, co z sobą niosą, bo tak samo jak pory roku, zmieniają się pory życia. Zrozumiał to tam, w Prusach, kiedy tęsknota za domem przeszkadzała mu w pracy. Tylko że w życiu nie da się powtórzyć wiosny ani lata.

Kilka dni cierpiał, dostał dwa anonimy, że żona nie jest mu wierna i już biega za innym. Gryzł się tym, męczył po nocach, nie mógł uwierzyć, to nie było do Weronki podobne. Najpierw chciał to przemilczeć, w końcu jednak strach był silniejszy. Wysłał list do żony i wprost zapytał, napisał też do znajomego, który znał całą wieś, czy to może być prawda, co piszą. Zanim dostał od nich odpowiedź, przeżywał

prawdziwe męki. Odpowiedź na oba listy przyszła dosyć szybko. Weronka zaprzeczyła, prosząc, żeby w takie głupstwa nie wierzył i wracał, a przyjaciel zapewniał, że żona się dobrze sprawuje, a ludzie zazdroszczą mu i rozpuszczają plotki. Jedynie Adam często zagląda, chyba że on smali do niej cholewki. Jasiowi wróciły siły. O Adama się nie bał. Biega z przyzwoitości, w końcu matka to jego teściowa, a że lubi Weronkę, no cóż, a któż by jej nie lubił. Dał spokój z podejrzeniami, do końca pobytu czuł jednak lekki niepokój, dlatego nagłony potrzebą tak szybko wrócił do domu.

Spóźnił się kilka dni, obiecywał, że wróci, jak tylko odbierze zapłatę, ale tak się nie stało. Nie miał odwagi przyznać się żonie, że został, żeby dokładnie obejrzyć miasto. Pomyślał, że druga okazja pewnie się nie przydarzy, a jego paliła ciekawość. Imponował mu niemiecki rozmach i porządek. Chciał w samotności przyjrzeć się z bliska kościołom, zobaczyć stare miasto z wielkim ratuszem, obejrzyć budowę nowego dworca, zobaczyć nowoczesne zoo, o którym tyle słyszał od Polaków będących już długo w Lipsku.

Wędrował ulicami nowych dzielnic, podziwiał architekturę. Niedzielny Lipsk wywarł na nim duże wrażenie, ale dzień powszedni pokazał inne walory. Sklepy pełne towarów, stragany z nieznanymi owocami, dorodne warzywa. W obliczu tego jego życie wydawało się wyjątkowo marne, nawet nie pospolite, po prostu beznadziejne. Świat Krasocina kończył się obok miedzy, na ostatnim skrawku pola, i na trosce, żeby bliscy przestali umierać, żeby dzieci nie chodziły głodne. Czy jeszcze kiedyś dane mu będzie zobaczyć coś więcej niż tutejsze łąki? Dlaczego ojcowizna wiąże chłopca i jest mu kamieniem u szyi?

Kupił żonie czarne trzewiki, sznurek niebieskich koralików, takich jak jej oczy, a matce chustkę. A przecież jego kobiety mogłyby chodzić lepiej ubrane i zamiast nocami tkąć płótno, zakładać gotowe spódnice.

Pobyt w Lipsku utwierdził go w przekonaniu, że nie można liczyć na los. Czekanie, aż stanie się cud, to naiwne myślenie. Spotkał tam różnych ludzi, takich, którzy mieli marzenia, a do tego byli odważni, innych, co żyli z dnia na dzień, przepijając zarobek. Zrozumiał, że trzeba patrzeć dalej niż wyobrażenia, czasem zaryzykować, sprawdzić, ile wiorst trzeba przejść i przejechać, żeby dotrzeć do marzeń. Nie mówił o tym Weronce, nie zwierzył się matce, przestraszy ich tylko i namiesza w głowie, ale każdego dnia myślał o tym, żeby pokonać strach przed nowym i zaryzykować.

Teraz jednak był w szale pracy, a do tego martwił się matką. Niestety Weronka miała rację, pisząc mu, że musi wracać.

– Weronka znowu przy nadziei, musisz być zdrowa, żeby jej ulżyć – podzielił się z matką nowiną, którą sam dopiero usłyszał. Martwił się matką i żoną, która tym razem źle znosiła ciążę, ale najbardziej martwił się wojną, która wybuchła w Europie. Pod koniec czerwca gazety trąbiły o zamachu w Sarajewie. Po kilku dniach świat znał już przyczyny zamachu i prawdę o śmierci następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki księżnej Hohenberg. Jan pomyślał, że z takich wydarzeń nie wyniknie dla nich nic dobrego. Dopiero co ucichły echa wojny z Japonią, ciągłe niepokoje i międzynarodowe rozgrywki nie pozwalały ludziom odetchnąć. Ledwo kilka lat niebo nad głową nabrało jasnych kolorów, a już było widać kolejne burzowe chmury.

Złe wieści szybko się rozchodzą, następnego dnia w południe już cała wieś wiedziała o tragicznym wydarzeniu w Sarajewie. Ludzie najpierw zastygli w domach, pozamykali drzwi i się martwili. Niby nic się nie stało, to tylko jakiś pomyłony przeciwnik ustroju imperialnego dokonał zamachu. Złapali go, i dobrze, wystarczy teraz ukarać przykładowie, najlepiej na oczach świata, i będzie po sprawie. A inni, którym nic do tego, będą normalnie żyć. Przecież winą jednostki nie można obarczać obywateli państwa.

To tak, jakby w rodzinie sądzić za zbrodnię wszystkich jej członków, a nie konkretnego zabójcę. Pogadali więc, ponarzekali i poszli spać z nadzieją, że jutro będzie lepiej. Ale rano i nowy dzień nie cofnęły historii.

Kolejne dni jedynie wzmagaly niepokój. Wyczuwało się w codziennych nastrojach dziwne rozdrażnienie. Kowalczyk, Zygodlik i Piechowski zeszli się u Kaliszewskich na Floriańskiej, żeby wspólnie przedyskutować sytuację. Jan po kolacji dołączył do nich, ale nie wrócił do domu mądrzejszy, tylko zmęczony i skołowany. Płonne dyskusje, gdy jeszcze nic nie było wiadomo, wydawały się zupełnie bez sensu. Był środek lata, dzień miał przed sobą jeszcze kilka godzin, ale jemu chciało się spać. Ochlapał się tylko wodą, zwinął na łóżku i zasnął. Rano miał jechać do Stojewskich, do dworu. Obiecał pożyczyć konia i trochę pomóc przy żniwach. Polityka jest ważna, ale pracować trzeba, nawet w trudnych czasach, żeby żyć i walczyć, trzeba mieć co włożyć do garnka.

Wstał wczesnym świtem. Chwycił tylko kawałek chleba i chyłkiem wymknął się z chaty. O dziwo, koń był już zaprzężony, wóz gotowy do drogi. Na wozie, przykryta chustką, leżała śpiąca Walerka.

– Walerka! Boże! Co ty tu robisz? – zawołał zdziwiony. – Czy coś się stało, spałaś tu, na wozie?

Walerka przebudzona, ale ciągle nieprzytomna, mrużyła zaspane oczy.

– Zabierz mnie, wujku, ze sobą – prosiła. Leżała pod chustką w dziennym ubraniu, trochę potargana, ale w niedawno uszytej sukience i w kolorowym kubraczku, który zazwyczaj nosiła od święta. – W domu nie jestem potrzebna – oświadczyła z pełnym przekonaniem. – Mam tu chleb i mleko. Wystarczy nam do samego obiadu, dla mnie i dla ciebie.

– Ale ja, Walerka, nie jadę dzisiaj w pole. Umówiłem się w Stojewsku, będę pracował we dworze do samego wieczora. Zresztą – popatrzył na jej odzienie – do roboty w tej niedzielnej sukience?

– Wiem, wiem, wujku – dziewczyna krzyknęła całkiem przebudzona. – Babcia mi wczoraj mówiła, że się wybierasz z rana. Chcę jechać z tobą, może się na coś przydam – próbowała Jasia przekonać. – Nigdy nie byłam we dworze. Jak miałam jechać w starej spódnicy? – zapytała zgorzozona.

– Ale w domu przecież nic o tym nie wiedzą, będą się niepokoić. – Uśmiechnął się na jej słowa. Intencja dziewczyny była całkiem słuszna, jednak powód wątpliwy.

– Nie będą – oznajmiła stanowczo. – Powiedziałam wczoraj, że z tobą pojedę, babcia się zgodziła.

– To dziwne – dodał już ciszej. – Nikt mnie nie uprzedził.

– Bo tak szybko wczoraj zasnęłaś. Nie chcieli ci przeszkadzać. Babcia kazała mi rano pilnować, więc popilnowałam. Jeszcze spałaś, gdy zaprzęgam konia, i czekam tu, żebyś nie odjechał beze mnie – tłumaczyła cierpliwie.

– Nie żal ci nowej sukienki, dopiero ją dostałaś? W tej podrapiesz sobie nogi i potną cię końskie muchy. Weź coś, żeby na ręce zarzucić. No i nie wiem, czy twoja pomoc będzie we dworze potrzebna.

– Jak nie, to wrócę do domu. Głupie pięć kilometrów, też mi droga – zakpiła. – Przecież nieraz chodziłam dalej niż do Jakubowa – twardo negocjowała.

Jan nie znał kobiecych metod owijania w bawełnę, skąd ten dziwaczny pomysł, dlaczego właśnie dzisiaj tak jej na tym zależy. Przecież nie pierwszy raz jeździł do Stojewska. Przed wyjazdem do Prus bywał tam nawet codziennie, nigdy nie chciała z nim jechać, a raz nawet jak spytał, wykręciła się jakąś robotą. Najchętniej posłałby ją z powrotem do domu, ale tak na niego patrzyła, tak jej oczy jaśniały, że aż się zdziwił i nie miał sumienia gasić nagłego zapału ani prowokować łez, tylko patrzeć, jak strzelą fontanny. Ach, te kobiety – pomyślał skonsternowany. To jeszcze dziecko, a patrzcie, jak to już przedzie swój los, zamiast posłuchać starszych.

- Coś nagle taka pilna?
- Słyszałam dużo dobrego o Stojewsku.
- Od kogo? – zapytał z uśmiechem.
- Od takiego jednego – wyznała bez chwili wahania.

Jan pokiwał głową. O, tak, teraz był już w domu. Od razu się domyślił, o kogo Walerce chodzi.

- Sprawa idzie o Maćka?

Dziewczyna kiwnęła głową. Siedziała wyprostowana i ani myślała ustąpić.

Ruszyli więc do Stojewska. Walerka najpierw ucichła, żeby nie zwracać na siebie uwagi, ale gdy koła wozu zaczęły stukać po wiejskich wybojach, usłyszał jej radosny śpiew, niczym głos skowronka.

Przez kilka kolejnych dni Walerka wytrwale wstawiała z Jasiem o świcie i jechała do pracy. Pogoda była zmienna, lipiec dosyć kapryśny, w połowie miesiąca trochę padało, ale Walerka wcale się nie skarżyła. Jan na polecenie dziedzica cały czas powoził i krążył między majątkami. Dziewczynę widział czasami przy snopkach albo w ogrodzie. Kilka razy przemknęła mu w pobliżu dworu. Zobaczył ich ostatniego dnia, gdy odbierał zapłatę. Stali we drzwiach stodoły. Ona drobna, jak cherlawa brzózka, opierała się plecami o wrota, on stał bokiem, nieco w cieniu wrót, pochylony ku niej.

- Wasza Walerka zawróciła chyba w głowie Kowalowi. Biega za nią od poniedziałku – powiedział zarządca, wręczając Jasiowi pieniądze.

Rzeczywiście, wyglądali na dobrych znajomych. On dość swobodny coś do niej mówił, gestykulując, ona w niego wpatrzona, jakby świat poza nimi nie istniał. Miała dopiero czternaście lat, ile miał on, ten Kowal, chłopak ze Stojewska? Przypomniawszy sobie, jak jeszcze niedawno szedł, jak Pan Bóg przykazał, ze swatem w zaloty do panny, a teraz inna panna, która była zaledwie dzieckiem, przyjeżdżała tu wozem szukać swojego szczęścia. Czasy się zmieniają, ot, stoją sobie i rozmawiają. Ona z rozwianym włosiem, on w rozpiętej koszuli. Między nimi tylko powiew lipcowego wiatru i słodycz lata w samym jego środku, aż miło było popatrzeć. Jeszcze niedawno razem z Weronką spacerowali polami, ona ze wstążką w warkoczu, on w kapeluszu pilśniowym. Jak się to wszystko zmienia, słowa zastępuje się innymi słowami, dni dniami, ludzi innymi ludźmi. Zamyślił się Jaś w drodze do domu. Słodka chwila refleksji i wspomnień spływała do serca. Rozczulił się nieco i przez chwilę pozazdrościł dziewczynie.

Słońce już stało z zenicie, gdy wjeżdżali do wsi od zachodu. Zdążą w sam raz na obiad. Jakoś mocno zgłodniał. Ciekawe, co dzisiaj żona zrobiła na obiad, może jego ulubione smażone ziemniaki z kwaśną i tłustą śmietaną. Po obiedzie porozmawiają o przyszłości Walerki. Był jej opiekunem i powinien wiedzieć o wszystkim. Zerkał co chwilę na tył wozu i sprawdzał, czy nie zgubił dziewczyny. Siedziała teraz jak trusia, o pieniądze wcale nie spytała, co innego było jej w głowie.

Wojna

Krasocin, rok 1914

I nie było rady na miłość. Maciej Kowal zaczął ich odwiedzać niemal codziennie. W niedzielę po mszy wprosił się na obiad. Bez ogródek zasiadł do wspólnego stołu, jakby już był domownikiem. Początkowo Jan się buntował. Skąd taka śmiałość, żeby w cudzym domu rozpierać się łokciami?

– Oczywiście, ja wszystko rozumiem, że to moja wina, to ja go do was przysłałem. Obiecał, że wstąpi, wracając z Prus, i wywiązał się z obietnicy, ale żeby aż tak się oswoić – próbował dyskutować z żoną, zły, że ktoś nieproszony wkracza tak śmiało w progi jego domu. Sam by się sto razy pytał i przepraszał, a ten sobie usiadł przy stole i czeka.

– Śmiały jest, widocznie nauczony i śmiałości, i otwartości do ludzi. Mnie się podoba. – Weronka próbowała wytłumaczyć chłopaka.

– Ale co to za zwyczaje? Czy to jawne zaloty, czy tylko jakaś zabawa? On cały czas politykuje, a Walerka siedzi i patrzy jak w obrazek. To co, na rozmowy tu przyszedł czy do dziewczyny?

– Ma z nią gadać o kwiatkach?

– No właśnie – przytaknął. – Może i o kwiatkach, o pogodzie i zdrowiu, ale nie o Sarajewie i zamachu.

– Jest bystry i wygadany, to źle, że zna się na poważnych sprawach?

Jaś wzruszył tylko ramionami. Zabrał od niej miskę z plackami i postawił na stole. W tym czasie Józefa zdążyła chłopaka wypytać o nową osadę, którą dziedzic Stojewski budował niemieckim kolonistom, sprowadzonym do pracy we dworze.

– Mówią, że będzie budował kościół ewangelicki i szkołę.

– Takie miał plany – potwierdził chłopak. – Słyszałem od zarządcy, że najpierw postawi im lepsze chałupy, a potem dopiero szkołę. Teraz jednak wszystko przepadło. Ludzie mówią, że będzie wojna.

– Oficjalnie jeszcze nie wiadomo – wtrącił Jaś, siadając za stołem.

– Gazety piszą, że to prowokacja i że się Serbia w końcu doigra.

– Wszyscy się doigramy. Niewinni ludzie się doigrają. No bo cóż my możemy, nic. Tylko się przyglądać i czekać, aż mądrzejsi znajdą jakieś wyjście. Dwóch, co im życie niemiłe, porwało się z bombą na wielkie mocarstwo, teraz są tego skutki.

– Serbowie nie dadzą spokoju. I ogólnie sytuacja nie jest dobra.

Jan wiedział, że nieszczęście wisi na włosku. Nie wszystko jednak rozumiał. Sojusze między państwami i te wszystkie tajne układy przerastały jego wyobraźnię. Między nim a Maćkiem nie było wielkiej różnicy, zaledwie kilka lat, ale czuł się przy nim jak starzec, który wszystkiego się boi. Zbyt dużo miał do stracenia. Każdy ptak w czasie burzy boi się o swoje gniazdo – nasunęło mu się porównanie.

W „Gazecie Lwowskiej” z dwudziestego trzeciego lipca podano:

Jeżeli konflikt ma być zażegnany – nie ma powodu wątpić, że zażegnany będzie – to co należy uczynić? Czyż Serbowie nie rozumieją tego, że napierając się do dostępu do Adriatyku, nie tylko wstają przeciwko sąsiedniej potężnej monarchii, ale i dążą do przewrotu układu sił w całej Europie?

Serbia pozostaje małym państwem, a agitacja belgradzka opiera się na przeciwstawieniu własnych sił i jeśli nie będzie jej położony kres, musi doprowadzić to do starcia z rzeczywistością.

Maciek pojawił się z gazetą następnego dnia rano. Wpadł tylko na chwilę. Chciał się podzielić świeżymi wieściami i zobaczyć z dziewczyną. Ale Walerki nie było. Pojechała z Weronką i Ewą w odwiedzin do Gruszczyzna. W domu zastał Józefę.

– Jeśli wybuchnie wojna, a na to wygląda, to się zaciągnę do Strzelców – oświadczył zdumionej kobiecie.

Ludzie zastygli w oczekiwaniu, z nadzieją, że jakiś cudowny wiatr rozwieje chmury i obwieści czas wiecznego spokoju. Mówiło się o wojnie, jak zawsze, gdy rzucała z daleka cień i zsyłała same złe wieści, lecz myślano z nadzieją, że może grupa zawziętych przywódców po każdej ze stron tym razem obroni swoich obywateli przed pogromem. Któż bowiem dał im prawo decydowania o losie narodów? Dlaczego żaden sąd ludzki ani boski, tu na tej ziemi, nie ukarze dla przykładu za pychę i butę, za chciwość i żądzę krwi? Trzeba ostudzić, choćby groźbą i przestrogą, mordercze plany wszystkich katów świata.

Dwudziestego piątego lipca, dzień po tym, jak rząd rosyjski ogłosił wolę obrony Serbii, a inne mocarstwa w imię sojuszów wystąpiły przeciwko sobie, nie było już na co liczyć. Franek Złotnicki, ówczesny sekretarz gminy, oraz Gąsiorowski na polecenie wójta zarządzili naradę sołtysów i wójtów z okolicy. Trzeba było, na wszelki wypadek, zabezpieczyć obiekty i dobra państwowe o specjalnym znaczeniu dla gmin, ważne akty prawne, stare archiwa i plany, dokumentacje niektórych projektów, gminną kasę oraz sztandary, żeby zminimalizować straty i ocalić przynajmniej część gminnego dorobku. Piwnice urzędów i tajemne schowki w kościele, podziemne korytarze we dworach wypełniły się różnymi dobrami. Wszystko co wartościowe pod względem administracyjnym, politycznym i religijnym musiało przetrwać i służyć, gdy znowu nastanie pokój. Nikt nie miał pewności, co do przebiegu działań. Jaka ta wojna będzie, długa czy krótka, bardziej czy mniej krwawa. Trzeba się było zabezpieczyć na każdą z możliwych wersji.

Nie pomogły modlitwy w wypełnionych po brzegi kościołach. Niebiosa milczały, zostawiając świat na pastwę losu. Dwudziestego ósmego lipca Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii, już nie dało się niczego powstrzymać. Ogłoszono mobilizację. Na pierwszych stronach wszystkich dzienników wyróżniała się wielkimi czcionkami odezwa:

Na podstawie Najwyższej decyzji Cesarza d. 28 lipca 1914 wystosowane zostało do serbskiego królewskiego rządu wypowiedzenie wojny.

Legły w gruzach najświeższe gminne projekty – budowy szkół i wiejskich świetlic. Czekano tylko, w którym momencie kolejny okupant przejmie władzę i zarząd nad krajem.

Pierwszego sierpnia Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji i zamknęły granice. Czwartego sierpnia wojska niemieckie zajęły Będzin, Częstochowę i Kalisz. Ci, których wojna zastała po drugiej stronie granicy, nie mogli już wrócić do domów. Prawo powrotu dostały jedynie kobiety w ciąży i ciężko chorzy.

Wojna dla Jana i jego rodziny zaczęła się w poniedziałek, trzeciego sierpnia 1914 roku.

Odtąd nie ma Strzelców ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedyнным Waszym znakiem jest odtąd orzeł biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie Wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą Wasze dawne odznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce

może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najlżejszy nawet cień różnicy między Wami... Żołnierze!... Spotkał Was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna Wojska Polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie zaznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród Was pełnić funkcję dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z Was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowca, czego oby nie było... Patrzę na Was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam Was, jako Pierwszą Kadrową Kompanię.

To była odezwa Piłsudskiego, którą wygłosił na krakowskich Oleandrach. Rozchodziła się z prędkością błyskawicy. Młodzi pakowali plecaki, matki załamywały ręce. Jan cieszył się, że nie ma syna. Taki zryw, kolejny polski bieg do wolności wydawał się walką z goliatem. Nie zawsze chcieć to móc, tego już dawno Jaś się od życia nauczył.

Poza odezwą na placu odczytano listę osób zwerbowanych i zmobilizowanych do oddziałów strzeleckich. Piłsudski trwał w przekonaniu, że ten zryw powinien się udać, wystarczy się postarać i być konsekwentnym. Chciał wykorzystać okazję i u boku Austrii rozprawić się z Rosją, a potem kolejno z każdym z zaborców. Scenariusz, który wymyślił dla Polski, miał wiele wspólnego z utopią, i to dla Jana było oczywiste.

Któż mógł w Krasocinie przypuszczać, że wojna zacznie się u nich, za miedzą? Zazwyczaj krążyła jak letnia burza, omijając granice wsi. Obawy, że jak zwykle nie przyniesie niczego poza stratami i biedą, przerodziły się w strach o życie. Jeszcze nie czuli bezpośrednio zagrożenia. Zaledwie kilku chłopów z Krasocina powołano na front, tyle że w carskiej armii, więc nie było się z czego cieszyć. Dziwna to była wojna dla Jasia i innych mieszkańców wsi.

Tym razem, zanim Austriacy zaczęli na dobre wojnę przeciwko Rosji, pierwsi do Królestwa weszli polscy żołnierze. O świcie trzeciego sierpnia 1914 roku z rozkazu Józefa Piłsudskiego pierwszy patrol kawaleryjski przeszedł granicę austriacko-rosyjską pod Kocmyrzowem i szedł w kierunku Jędrzejowa, a już szóstego sierpnia, około godziny trzynastej trzydzieści Pierwsza Kompania Kadrowa ruszyła w kierunku granicy. Wieść się rozeszła, że Polacy odbijają tereny ruskiego zaboru. Opowiadali ludzie, którzy przybyli z tamtych okolic, że wysłannicy krakowskiego dowództwa obalili słupy graniczne w Michałowicach i parli naprzód przez Słomniki, Miechów aż w końcu zdobyli Jędrzejów, a dwunastego sierpnia około trzynastej trzydzieści czterystuosobowy oddział strzelców na czele z Piłsudskim wjechał do centrum Kielc.

Do Krasocina i przyległych wiosek docierały przeróżne wieści. Niektórzy mieszkańcy zaczęli wpadać w panikę. Toż Kielce pod bokiem. Wojna jeszcze nigdy nie była tak blisko, prawie na progu ich domów. Wici szły prosto z centrum działań. Część ludności z miasta uciekła na wioski. Jeśli kto miał się u kogo zatrzymać, wywoził swoich krewnych. Czasu było niewiele, wszystko działo się tak błyskawicznie.

Maciek przyjechał do nich w niedzielę wieczorem. Najpierw zdał Jasiowi relację, a potem wyjął z kieszeni wygniecioną kartkę i rozłożył przed nim na stole.

Związek Strzelecki informuje, że komisja poborowa będzie udzielać ochotnikom informacji w sprawie zaciągnięcia się w szeregi strzeleckie we wtorki, czwartki i piątki przy ul. Ziemiałkowskiego.

Wszystkie towarzystwa młodzieży akademickiej, mimo różnic politycznych, złączyły się w jeden wspólny komitet Zjednoczonej Młodzieży Polskiej i przyłączają do strzeleckich szeregów.

– Relacja z pierwszej ręki – zapewniał. – Cały batalion kadrowy dotarł do dworca kolejowego w Kielcach i tam się rozlokował – opowiadał. – Chyba do nich dołączę – dodał rozgorączkowany. Spojrzał na Walerkę, a potem na Jasia, czekając na akceptację. Walerka chyba nie pojęła intencji chłopca, wcale go nie słuchała. Sam fakt, że jest tuż obok, zupełnie jej wystarczył. Wydawała się

zaślepiona. Ale Jaś i Józefa słuchali uważnie.

– Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Poczekaj trochę, to tylko kilka dni, może jutro wojna się skończy, po co zawczasu pakować się w kłopoty.

Aż dziw brał Jasia, że po tylu latach upokorzeń, kiedy imię Polski zostało wymazane z pamięci, a naród zniszczony, byli tacy, którzy wciąż marzyli o wolności i chcieli za nią oddać życie, ot, choćby taki Maciek. Cóż on o Polsce wiedział? Część młodych zapomniała języka, inni zruszczyli nazwiska, pożenili się z innowiercami. Wymieszał się naród i zwyrodniał, z kim tu teraz Polskę budować?

Ale Maciek był zdecydowany. Młody i butny nie dał się przekonać. Długo wyjaśniał Walerce, żeby nie płakała. Dziewczęcy uśmiech rozpląnął się w strugach łez. Chłopak obiecał, że zanim wyjedzie, przyjdzie się pożegnać. Widać było, że jest rozdarty. Kiedy wychodził, podał Janowi rękę, a ten uścisnął ją serdecznie.

Niestety radość trwała krótko. Nazajutrz, około godziny dziesiątej, rozpoczął się rosyjski ostrzał. Piłsudskiego już w Kielcach nie było. Wyjechał do Jędrzejowa. Rosjanie w tym czasie odbili miasto. Zaczęły się aresztowania.

– Wszyscyśmy to przeczuwali – powiedział wójt następnego dnia do sekretarza. – Nie uda nam się ta wojna – stwierdził załamany.

Jakimś cudem jednak klęska poniosła naród do walki. Liczba ochotników rosła z każdą godziną. Powiększały się szeregi Kompanii, każdy chciał jakoś dopomóc. Wzruszyła wszystkich determinacja i odwaga Piłsudskiego, więc szturmem ruszyli do boju. Dołączały kolejne bataliony, polska armia rosła i rosła. Dziewiętnastego sierpnia Kielce zostały oswobodzone po raz drugi. Tego samego dnia do Polaków dotarła wiadomość o powstaniu Naczelnego Komitetu Narodowego i zgoda na formowanie Legionów Polskich.

Młodzież entuzjastycznie stanęła pod polskim sztandarem. Do ósmego września zebrano dziewięciuset siedmiu ochotników. Dla okolicznych miasteczek i wsi to była radość i cios jednocześnie. Wojna znowu zabrała z ich domów młodych i zdolnych do pracy. Ale ludzie żyli nadzieją, że może tym razem nie wszystko stracone. Maciej dołączył dziesiątego września, dokładnie tego dnia polskie wojsko pod naporem rosyjskiego uderzenia musiało uciekać z miasta. W Kielcach rozpętało się piekło.

Nowy sprzęt

Poznań, styczeń, rok 2009

Wiele razy dziękowałam w myślach synowi za pomysł z komputerem. Okazał się strzałem w dziesiątkę. Na osiemdziesiąte trzecie urodziny ojciec dostał nowy sprzęt, w którym można już było instalować internet. Teraz każdy swój dzień zaczynał i kończył, zgłębiając tajniki programów graficznych oraz tajemnice sieci. Poruszał się najpierw z obawą, czy aby zły wirus, który krąży w wirtualnej przestrzeni, nie pożre mu utworzonych plików. Później zapewniany, że nic mu nie grozi, a jeszcze później zabezpieczony programem antywirusowym, rozszalał się na dobre. Co innego spoglądać przez ramię, jak bawią się inni, co innego samemu móc zaglądać wszędzie, gdzie go wiedzie chęć poznania.

Nauczył się obsługiwać konto bankowe i żeby nie tracić czasu, wszelkie płatności wykonywał drogą elektroniczną. Z rodziną komunikował się bez problemu przez pocztę mejlową i Skype'a. Dokumenty kombatanckie to był pryszcz, ojciec zapragnął kolejnych wyzwania.

Zapomniałam już, kto pierwszy napomknął o pisaniu wspomnień. Odpowiedź znalazłam, szperając w ojcowskich zapiskach.

Impulsem była wnuczka Kasia. Krótco po tym, kiedy zostałem właścicielem pierwszego w życiu komputera i użytkownikiem internetu, przysłała mi link do programu, w którym można było stworzyć drzewo genealogiczne rodziny. Wciągnąłem się w to bez reszty. Początkowo jako pomocnik, a później dałem się pochłonąć własnej historii. Gdy jest się daleko od wspomnień, bo życie doczesne nie daje na co dzień wytchnienia, to przeszłość wydaje się zaledwie mgieniem. Kiedy się człowiek odda wspomnieniom, to stwierdza, że przeszłość była bogata i barwna, a do tego żył w czasach niepowtarzalnych, choć nie do końca szczęśliwych.

– Masz przecież sporo notatek. Jest broszura od stryjka Lutka. Kaziczek też dołoży własne wspomnienia. Był w tym czasie w Austrii, ale to nawet dopełni historię. A ty stworzysz wspólną bazę danych – namawiałam szczerze, kiedy już zaczął się nad tym zastanawiać.

– Chciałbym, Krysiu – odpowiedział. – Nawet miałem już takie plany, ale czy sobie z tym poradzę?

Fuknęłam. Teraz ja, jak kiedyś mój syn, zaczęłam go przekonywać. Były już przecież bogate materiały wcześniej zgromadzone. Gdyby to ubrać w szczegóły, dodać zdjęcia i krótkie opisy, powstałaby rodzinna kronika. Czy stryjkowie dadzą się namówić na mozolne pisanie o tym, co zapamiętali, o faktach utrwalonych w luźnych notatkach, na zdjęciach i w pamięci? Czy uda się bez zbędnych upiększeń i wymyślnych dramatów spisać tak po prostu najszczerzą prawdę? W takich momentach zazwyczaj zaczyna się oczyszczać pamięć z niewygodnych faktów po to, żeby zostawić potomności wymuskany obrazek, idyllę jakąś albo przeciwnie, obraz tendencyjnie tragiczny, fałszywie ubarwiony.

Przez dwa dni sporo o tym myślałam, trzeciego zadzwoniłam.

– Mama czyta jakiś bestseller, a ja siedzę przy komputerze. Rano był u nas Piotrek. Przyszedł z powodu drukarki – oznajmił ojciec.

– Popsuła się? – zapytałam zmartwiona. – Kilka dni temu narzekałeś, że łapie po kilka kartek.

– Tak, ale to się już naprawiło, papier był do niczego, za to teraz zepsuł się kartridż i tusz zabrudził

drukarkę. Skaranie boskie z tą techniką – narzekał i zaraz dorzucił: – Rozebrać, to ja rozbiore, ale ze złożeniem mam kłopoty. Dlatego potrzebny był Piotrek. Młody jest, ma dobre oczy i potrafi liczyć. Żadnej części nie zgubił. – Ojciec trochę żartował z ułomności, które przyszły z wiekiem, lubił się droczyć, a przez to zwracać uwagę na swoje problemy.

– Dzwonię, bo chciałam pogadać o stryжку Lutku – przeszłam szybko do rzeczy. – Umawialiśmy się, że do niego zadzwonisz – przypomniałam. – A właściwie, co tam u niego?

– U Lutka? – Ojciec zamilkł na moment. – Różnie, ostatnio trochę narzeka – odpowiedział z troską. – Siada mu krążenie i ciężko z chodzeniem, wiadomo, latka, skakać to on już nie będzie – stwierdził z rezygnacją. – Ale główka jeszcze pracuje – dodał na koniec. Nie chciał się zbytnio rozwodzić. Znaliśmy wszyscy zdrowotne problemy stryjka.

Mimo że był schorowany i często przebywał w szpitalu, zachował trzeźwy umysł, po prostu był wszechwiedzący. Gdy potrzebne nam były informacje o rodzinnych koneksjach, to się zaraz dzwoniło do Lutka. Wtedy on swoim cichym głosem, wolno, ale wyraźnie wyjaśniał szczegóły. Zadziwiająca, fotograficzna pamięć jednego z braci wszystkim imponowała. Zapamiętywał szczegóły, jakby je sobie zapisał w głowie na niezniszczalnym dysku. Czy była to cecha wrodzona, czy też zdolność wynikająca z pielęgnowania rodzinnych wspomnień? Trudno odpowiedzieć. Faktem bezspornym było to, że jako najstarszy z braci najdalej sięgał w przeszłość. Podejrzewałam, że najważniejsze fakty naznaczyły piętnem całe jego życie, bo przypadły na czas, w którym zaczynał pojmować i czerpać z niego najwięcej. Podobno, tak twierdzą psycholodzy, złe przeżycia najdłużej pozostają w pamięci. Żeby pamiętać dobre, trzeba do nich wielokrotnie powracać. Lutek wzmacniał pamięć, roztrzasał czas, w którym dorastał, ale także wspominał ludzi i miejsca, kontemplował z sentymentem zwyczajne. Wspomnienia były dla niego karmą. Pewnie gdyby był artystą, wyraziłby je jakoś w twórczości, a że nie odkrył w sobie żadnych talentów do sztuki, zbudował swój wewnętrzny świat oparty na tym, co już minęło. Zaprzeczał tym samym modnej zasadzie, promowanej często filozofii, że należy żyć dniem dzisiejszym i planować przyszłość, ponieważ tego, co było, już i tak nie da się zmienić.

– Cieszę się, że jest w niezłej kondycji – powiedziałam szczerze.

– Dzwoni do mnie w każdą sobotę albo ja do niego. Postępujemy sobie obaj do słuchawki, on o swoich chorobach, ja o swoich i czas nam jakoś upływa.

– A nie chciałbyś się z nim zobaczyć? – zapytałam zniechęta.

– Z kim, z Lutkiem? – Nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– No tak, myślałam, że moglibyśmy się wybrać do Dzierżoniowa, po drodze wstąpić do Strzelina, a nawet do Wilkowa – dodałam dla wyjaśnienia.

– Czemu nie – odpowiedział ojciec. – Nie widzieliśmy się już kopę lat. Byłoby cudownie – wyraźnie się ucieszył.

– No to tylko ustalimy kiedy. Wpadnę w niedzielę, obgadamy szczegóły.

– Nie ma sprawy, przyjeżdżaj. Jestem za.

Kontrybucje

Krasocin, rok 1915

Do Krasocina zbliżał się front. Gruszczyn otoczyły zasieki i okopy. Broniło się w nich rosyjskie wojsko. Mimo że Austria mocno naciskała, front stanął w miejscu. Część żołnierzy rozpierzchła się po okolicy. Ogniska walk przenosiły się w odkryte tereny, na pola, pod wiejskie domy. Małe i ciche cmentarze powiększały się o kolejne mogiły. Ginęli żołnierze, ale i cywile. Mnożyły się szpitale polowe, z setkami umierających w bólu żołnierzy. Wojna niszczyła wszystko. Ludzie uciekali z dobytkiem do lasu, szukali schronienia we wsiach oddalonych od frontu i nie mieli pewności, czy będzie do czego wracać. W listopadzie spłonęła wieś Bolmin. Pola zasłane były trupami żołnierzy i ludności cywilnej. Zniszczeniu uległ młyn ze starą papiernią, dwór obronny, nie ocalał ani jeden dom mieszkalny w okolicy, ani jedno zabudowanie gospodarcze. Jakimś cudem żaden z tysięcy spadających opodał pocisków nie naruszył świątyni w Bolminie. Ludzie mówili, że to obraz Matki Boskiej łaskami słynącej zakopany w ostatniej chwili pod murem kościoła uratował go przed zniszczeniem.

Niemcy wkroczyli do Krasocina dwunastego grudnia 1914 roku i zakwaterowali swoje wojsko na plebanii. Kilka dni później oddziały niemieckie i austriackie stoczyły na wschód od Krasocina, na Lipskich Górach, zaciętą bitwę z armią rosyjską.

Zimą okopy oblegali Rosjanie i Niemcy. Walki trwały przez wiele tygodni. W lutym 133 Pułk Piechoty Landwehry przyjmował wizytację. W Gruszczynie sam cesarz Wilhelm II nagradzał dzielnych żołnierzy, żeby ich podnieść na duchu. A potem w Ludyni na cmentarzu ksiądz odprawił pogrzeby. Trzydzieści grobów, tylu poległo kilka dni po wizycie cesarza.

W karczmie, która mimo ciężkich czasów wciąż funkcjonowała, rozprawiano przy piwie. Był Malicki, Zawadzki i Słowik, przyszedł też Kaliszewski, jeszcze kilku innych pojawiło się późnym wieczorem. Coś się ruszyło na froncie, trzeba to było obgadać.

– Podobno z urzędów znikają rosyjskie szyldy. – Malicki podzielił się sensacyjną informacją, którą jego syn przywiózł do domu prosto z Włoszczowy. – Urzędnicy carscy w pośpiechu opuszczają miasto. Pakują swoje rodziny, uciekają przed frontem. – Mimo tego, że polityczna świadomość chłopów nie była wówczas wysoka, to jednak poczucie krzywdy i niesprawiedliwości wytyczało pewien kierunek. Nikt nie żałował Rosjan, choć byli im przecież współobywatelami przez wiele długich lat, towarzyszami broni w czasie służby wojskowej i sąsiadami zza miedzy.

– Najwyższy czas – krzyknął ktoś z głębi sali. – Ludzka krzywda krzywdą się w końcu odpłaci. – Nikt mu nie zawtórował. Każdy miał swoje układy w mieście, w bankach i w sądach. Co się z tym wszystkim stanie, z procesami, z obiecany kredytem, z przydziałem na materiały budowlane?

– Żadna to pociecha. Już Niemiec tylko czyha, żeby się do nas dobrać – ktoś inny nieśmiało dodał.

– No właśnie – potwierdził Malicki. – Zdążyli już zastrzelić sołtysa w Zarogu. Nie są lepsi od innych.

– Podobno stawiał się i podburzał ludzi.

– Może ktoś doniósł na niego. Mało to zdrajców po wsiach – ktoś dodał mało odważnie. Kto wie, co myślą inni, komu to w smak, a kto może się czuć zagrożony. Pośród Polaków też zdarzali się zdrajcy.

Często z czystej zawiści i ludzkiej podłości.

– Zdrajców poznamy, jak zaczną uciekać. Wtedy okaże się, kto wróg, kto przyjaciel.

– To i sołtysa z Konieczna zabili niedawno.

– Niemcy czy Rosjanie? – ktoś zapytał na wszelki wypadek, bo w ostatnich tygodniach przez okoliczne wioski przechodziły wojska trzech armii.

– Rosjanie. Naraził się. Namawiał chłopów, żeby podatków carskim nie płacili. Wiadomo, takie wieści szybko się rozchodzą, i człowiek już nie żyje. Powiesili biedaka na polu, przed siedzibą powiatu. Żeby dać przykład innym, co chcieliby pójść w jego ślady.

– W czas wojny władza nie popłaca, a nawet może zaszkodzić.

– Ano, jak komu. Zależy, jak się ustawisz.

– Na każdego sprawiedliwość przyjdzie. Nie masz mądrych na wojnę. Każdy wtedy przegrany. Mnożą się groby na naszych cmentarzach, że swoich nie ma gdzie chować. Chciałoby się trochę spokoju, żeby żyć, choćby i po staremu.

Proste prawdy cisnęły się ludziom na usta. Nie było miejsca na długie wywody. Skala osądów skurczyła się do minimum. Skala potrzeb zresztą podobnie. Swój i wróg, proste stopniowanie, przeżyć, ocaleć, zjeść, odpocząć. Subtelności przestały istnieć, podstawowa potrzeba przetrwania zdominowała inne.

– Spokoju jeszcze długo nie będzie. Ruskie poszli, lecz zostawili Kozaków. Cała sotnia koczuje w okolicy. Podobno w pył rozgromili niemiecki zwiad.

– Podobno – potwierdził Słowik. – Gadają, że na Wolskiej Drodze zasadzkę zrobili na Niemców.

– Na skrzyżowaniu z Tarkową Drogą to było – ktoś inny potwierdził. – Niemcy byli ponoć na rowerach, a Kozacy na koniach. Rozjechali biedaków, że mało który skórę ocalił.

Kozackie wyczyny, które miały mieszać szyki, jeszcze niejedną raz dały o sobie znać. Naród stepowy, podstępny, trudno z takimi wygrać, a jeszcze trudniej się dogadać. Kiedy latem 1915 roku większość Królestwa Polskiego przeszła w ręce Austrii i Niemiec, Kozacy dobrali się do Austriaków. Tabory wojsk przegnali po lesie i potopili wojsko razem z ekwipunkiem. Nie było na nich sposobu. Pojawiali się nagle, niespodziewanie wypadali z lasu na drogi, a potem, przecinając na wskroś wioskę, podpalali domy i stogi.

Jan z rodziną żyli w wiecznej trwodze. Została im tylko modlitwa, bo ani gdzie uciec, ani jak się przed wrogiem schować. Drżał o żonę. Bał się o swoją rodzinę, o bliskich w Gruszczynie. Nie było pewności, czy znajdzie ich jutro przy życiu. Milczał i Maciek. Wchłoneła go wojenna pożoga, a Walerka traciła głowę. Tak jej ten chłopak przypadł do serca, że nie myślała wcale o sobie. Modliła się o zdrowie dla wszystkich, ale najbardziej dla niego. Obiecał, że da jakoś znać, czy żywy i zdrowy, ale milczał, od kiedy wyruszył z tobołkiem w kierunku Kielc, żeby ratować Polskę. W końcu odesłali ją do Adama. W Ostrowie było trochę spokojniej, po co dziewczynę narażać. Jan pomyślał też, że w towarzystwie Poli mniej się będzie zamartwiał.

Tymczasem wojna wchodziła w kolejny zakręt. Niemcy wyparli Rosję na wschód i zajęli północne tereny Królestwa. Austria obsiadła południe. Wydierali sobie skrawek po skrawku, każdy miał swoją specjalność, strategię unicestwiania narodu polskiego. Rosjanie przez czystki, Niemcy grabiąc doszczętnie, Austria nakładała kontyngenty, pozbawiając ludność podstaw istnienia i środków do życia. W niemieckich wagonach odjeżdżały na zachód urządzenia z fabryk, narzędzia pracy, drogie meble, dzieła sztuki z polskich pałaców. Pustoszały lasy, wycinkom drzew nie było końca. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, jechało w głąb Niemiec.

Jan był tym faktem wstrząśnięty.

– Patrz, Weronka, jak wojna zmienia człowieka – rozpacział. – Co się z człowiekiem robi, kiedy broń

do ręki dostanie.

W połowie roku władzę od Niemców przejęli Austriacy. Objęli urzędy i ustanowili wojenne prawa. We Włoszczowie utworzono nową jednostkę administracyjną CK Komendę Powiatową Włoszczowa, a z ramienia NKN powstało biuro werbunkowe do Legionów Polskich. Już jesienią poprzedniego roku pojawili się werbownicy. Ci, co chcieli walczyć w polskiej sprawie, sami się zgłosili. Z innymi nabór szedł dość opornie. Nie każdy młody człowiek miał w sobie potrzebę misji. Większość chciała po prostu przetrwać.

Wojna przybrała w tym czasie na sile, pokazując nieludzkie oblicze. Niemcy użyli gazów bojowych, broni dotychczas nieznannej. Dla wielu Boże Narodzenie 1915 roku miało się okazać ostatnim.

Kuśmierczykowie żyli z dnia na dzień, czekając na śmierć, która mogła nadejść niemal w każdej chwili. W zimowej scenerii za oknem dominowała biel śniegu na zmianę z błotem i krwią. Delikatna Weronka przybladła i skuliła się w sobie. Jan widział, jak jej serce stygnie ze strachu o Ewę, o niego, gdy go coś oddalało od domu. A przecież trzeba było dbać o dobytek. Był głową rodziny. Józefa zamknęła się w sobie. Straciła kontakt z Kościołem i to ją załamało. Po zamknięciu świątyni przez władze okupacyjne nabożeństwa czasowo odprawiano w Ostrowie. Nie mogła jak dawniej zaglądać co dnia do swojej świątyni. Nawet im dzwony kościelne zabrano z dzwonnicy.

Tymczasem władze austriackie ogłaszały coraz to nowe prawa, coraz bardziej restrykcyjne przepisy. Podnoszono kontyngenty, już nie dało się egzystować. Widmo głodu i skrajnej biedy odbierało wszelką nadzieję. Nocami żołnierze otaczali wieś i dokonywali bezprawnej konfiskaty. Czuli się właścicielami okupowanych terenów. Głód stał się codziennością, a jednocześnie wyzwaniem. Dopóki strach odbierał ludziom siły, byli posłuszni, wydawało się, że nie mają wyboru. Z upływem czasu zaczęli się jednak bronić. Nie mieli nic do stracenia, jeśli nie znajdą sposobu i tak czeka ich śmierć.

Najdotkliwsze były zasady kwaterowania po domach. Najmocniej ucierpiały na tym dwory i folwarki. Wojsko zajmowało co ładniejsze i zamożniejsze obejścia, nie omijali też wiejskich chałup bogatych kmieci, umieszczając w nich niższych rangą oficerów. W jasnym domu Szczepana, w którym mieszkał teraz jego wnuk od starszej z córek, kwaterowali zwyczajni żołnierze. Udało się na szczęście ocalić część wartościowszych sprzętów, obrazów i pościeli. To, co pozostało, potraktowane zostało iście po żołniersku.

Jan, obywatel z natury prawy i posłuszny, znosił wszystko w milczeniu. Z żalem wywoził z domu świeże sery, masło, zostawiając rodzinie suchy chleb i wodę. Wszystko po to, żeby bronić bliskich przed żołnierskim głodem. Nakarmiony wilk jest ośpały i wyciszony. Wygłodniały kieruje się głównie instynktem.

Z czasem i w nim zaczął się rodzić bunt. Podupadłą na zdrowiu matkę trzeba było dobrze odżywiać i wspierać duchowo. Zamknęła się w sobie, odcinając od reszty rodziny. Siadała przy oknie i bez przerwy płakała. Próbowali ją zająć czymkolwiek. Niby brała nóż do ręki, żeby obierać jabłka, lecz odkładała po chwili, widząc bezsens każdej z czynności. Jak żyć, gdy wokół tyle nieszczęścia? Przybywało ofiar we wsi i w rodzinie, ginęły dzieci krewnych, płonęły domy z dobytkiem, ziemia zmieniała się w popiół. Wojna podchodziła pod próg jej domu, zagrażając najbliższemu, więc jak mogła się czuć? Stare blizny, świat umarłych, poczucie krzywdy zdominowały jej myśli na dobre. Weronka i Jaś liczyli na cud, że może pod dobrą opieką w końcu wyzdrowieje. Posłańców ze złą nowiną odsyłali spod progu, tłumacząc, że matka niedomaga, a i tak wieści same przenikały ściany, docierając do uszu złąknionej kobiety. Jan ufał, że to tylko choroba duszy, że z czasem się ocknie i tęsknota do ziemi, do pracy przewycięży strach. Wieczorami siadał przy matce i często wspominał. Czuł, że to dobre lekarstwo. Szczególnie kiedy mówił o ojcu, o dzieciństwie u dziadków. Mimo że wspomnienia nie były krzepiące, to polatach, gdy osłabły ból i tęsknota, dało się je jakoś ogrzać. Czasem nawet bywało

wesoło. Łapali okruchy szczęścia z przeszłości. Tak jak kiedyś Jan chwycił motyle i przynosił jej w rękach do domu, tak teraz chciał jej podać na dłoni wiele kolorowych momentów z przeszłości, zapełnić nimi izbę i chorą głowę kobiety. Lecz myśli żyły króciutko, tak jak żyją motyle. Gdy cichł szmer skrzydlatych wspomnień, matka znów pogrążyła się w mroku, a ciepło, które dostała od syna i wnuczki, nie uzdrowiło schorowanej duszy.

Umarła w sierpniu 1915 roku, przechodząc próg życia i śmierci w błogiej niewiedzy. Nie spostrzegła nawet, w którym momencie sen stał się formą niebytu w nowej, nieznannej odsłonie. Poprzedniego wieczora była bardzo pogodna, zjadła z nimi kolację, powiedziała, że izba zrobiła się jakaś jasna, słoneczna, że widzi malwy w ogrodzie, że sięgają już szczytu i omiatają dach końcami łodyg. Zanim wszyscy pokładli się spać, w dziwnym półwidzie powiedziała do Jasia:

– Cały czas słyszę, że ktoś puka do okna.

Rano Jan zastał ją spokojną i cichą, ze śladem łez na policzku. Pewnie śnił się jej na chwilę przed śmiercią słodki Jędrus, jej słonko za życia, uśmiechnięty chłopiec znoszący pod osłoną nocy kwiaty z ogrodu, mąż, którego bardzo kochała, a może dobre i czułe córki, których śmierci nie mogła przeboleć. Może znów była dzieckiem, a może ptakiem, śmigłą jaskółką, która mości sobie gniazdo w zagłębieniu stropu. A może jednak, jak zapewniała ją wiara, pieści ją błękitny nieboskłon. Tak mocno w niego wierzyła. Jan ufał, że jest jakiś sens w przemijaniu, nie rozumiał go, ale wierzył w spotkania duszy, w ulgę, którą przynosi śmierć i akt wspólnoty z tymi, co odeszli, bez względu na formę i rodzaj istnienia.

W ostatnich tygodniach życia Józefy synowa odnowiła z nią serdeczne więzi. Mimo wojny w domu na chwilę zrobiło się jakoś spokojniej. Jan odetchnął z ulgą, że nadszedł koniec kobiecych dąsów i wzajemnej zawiści. Zresztą w obliczu sytuacji liczył się przeżyty dzień, a nie stare zwady. Szkoda, że było już za późno na radosną przyszłość i marzenia o niej. Matka odeszła w dobrym momencie, gdy nastał czas pełnej zgody i dobrych więzi. Jednak zabrakło jednego ogniwa i dom wydawał się przeraźliwie pusty, a łóżko boleśnie milczące.

Na pogrzeb Józefy Kuśmierczyk, z domu Majeckiej, zjechała się cała rodzina. Dokładnie tego dnia przechodziły przez Włoszczowę i Krasocin wojska austriackie, podążając na wschód za wycofującymi się wojskami rosyjskimi. Na widok orszaku pogrzebowego kolumna rozstała się na konieczną szerokość, by trumna z ciałem i pogrzebowi goście mogli spokojnie dojść do cmentarza. Józefa miałaby frajdę z takiej kolei rzeczy. Jan tylko musnął uśmiechem trumnę z nadzieją, że matka widzi to i też się uśmiecha.

W zasadzie od lipca na okolicznych terenach nie było już wojsk rosyjskich. W skład jednostek, które spychały Rosjan za Przemyśl, wchodziło w większości żołnierze polskiej narodowości. Pochodzili z Krakowa, Tarnowa, z Cieszyna, a dywizją nazwaną Krakowską dowodził Tadeusz Rostkowski.

Tymczasem w domu Jana i Weronki trwała wciąż żałoba. Ciężko im było oswoić się z sytuacją. Dobijał ich smutek Ewy, która tęskniła za babcią. To, czego wcześniej pragnęła Weronka, stało się nagle faktem. I nie było wcale wesoło, brakowało doświadczonej osoby, której można było bez obaw powierzyć dziecko. Jan lepiej radził sobie z wyrzutami sumienia. Ale często odwiedzał zagony lnu. Zachodził tam, by w samotności, daleko od spojrzeń Weronki móc ze spokojem uronić łzę i wspominać. Lny w tym czasie całkiem już zrudziały, jakby okryte smutkiem, ale on jeszcze miał w oczach postać matki, jak zgrabnie wiąże snopki i ustawia je w kopy. Trudno mu było uwierzyć, że już jej nie zobaczy, jak prostując zgarbione plecy, zamyślona spogląda w niebo.

Weronka od kilku dni sama prowadziła dom i zajmowała się Ewą. O przyszłości myślała z trwogą. Czy poradzi sobie, gdy urodzi, nie mając pod ręką świekry? Irytowała ją, kiedy żyła, a teraz czuła bezradność. Gdyby tak można było cofnąć trochę czas, choćby o pół roku. Tyle by można zmienić, tyle naprawić.

Kilka dni po śmierci teściowej robiła porządki. Ociągała się z tym. Pamiętała, jak Jaś wspominał

śmierć brata i rozpacz matki, jak się tuliła do jego pościeli i nie kazała sprzątać jego rzeczy. Czy wolno jej teraz dotykać łóżka, w którym umarła matka jej męża? Zaczekać czy raczej bez pytania wszystko uprzątnąć, żeby nie patrzył z żalem i tęsknotą?

Wojenna codzienność i kolejne problemy nie pozwalały zbyt długo rozdzierać ran. Okupant nie chciał popuścić, obywatel musiał się jakoś utrzymać i żyć, najlepiej powietrzem. Jan drżał tymczasem o konia. Utrata go to byłby cios dla rodziny. Na potęgę i bez skrupułów konfiskowano konie, często razem z wozami. Wszystko na potrzeby wojska, niby na kilka dni, lecz ani wóz, ani zwierzę nie wracały do właściciela. Tego się Jan najbardziej obawiał. Widział rozpacz Adama, który stracił w ten sposób gniadego. Ktoś widział konia kilka dni później, leżącego w rowie pod lasem z rozplatanym brzuchem. Adam na szczęście miał jeszcze klacz, dlatego mógł gospodarzyć, ale gniady był jego pupilkiem, pracowitym koniem i zasłużonym członkiem rodziny.

– Jutro mamy oddać żarna – powiedział strapiony, kiedy kilka dni później przyjechał do Jasia z Ostrowa. – Zarządzili konfiskatę we wszystkich wsiach w okolicy, słyszałeś? – pytał wzburzony. – Zboże ma być mielone na kwit nie w stodołach ani na podwórkach, tylko w młynie. Co z tym zrobimy? – Spojrzał na szwagra. – Z samego rana przyszli do mnie i przynieśli pismo z gminy. Kazali we wsi ogłosić. To powiesiłem w karczmie. Jeden odczyta, to reszta się dowie. Trzeba się będzie naradzić z chłopami. Ja żaren nie oddam – powiedział, nie kryjąc wzburzenia.

– Wiadomo, co ma iść do młyna, to idzie, ale dużo mielimy sami – potwierdził Jan, patrząc na szarą twarz szwagra. – Gdyby nie to, już dawno poszedłbym z torbami. Bez żaren też nie uciągnę. – Strzepnął czapkę i trzymając ją w palcach, obracał nerwowo. – I ziarno by trzeba schować, choćby na siew. Jak wszystko zabiorą, nie będzie czym wiosną obsiać. Już o tym myślałem, jak mi worek z kukurydzą ściągnęli ze strychu – wspominał niedawną wizytę austriackiej straży, co szukała po chatach oszustów. Oddał, co miał oddać, ale im wciąż mało. – Chyba zakopię w ziemi – dodał nieco ciszej. – Najlepiej schowam w beczkach. A ty też o tym pomyśl, Adam, póki nie jest za późno. Licho wie, co z nami będzie. Chłopu, wiadomo, wiatr zawsze w oczy. Mówią, że żywiciel narodu, że producent, a każą żyć w nędzy, łupią wszystko, co wyda ziemia, i jeszcze mu kijem dołożą. Potem żądają, żebyś był lojalny, a ja się pytam, za co?

Usiedli w słońcu na spróchniałych pniakach pod płotem i próbowali radzić.

– Przyjdiesz wieczorem do karczmy? – zapytał Adam. – Trzeba coś postanowić. Cała wieś miele na żarnach. Jeszcze się później wezmą za łby, ktoś musi ich uspokoić. Jak w głowach zaszumi, rozum od razu traci. – Wyciągnął nogi przed siebie i westchnął. Myślał przez chwilę. – A co robią w Gruszczynie, rozmawiałeś już z teściem? – Siedział zgarbiony z rękami na piersi. Obok pod pieńkiem ułożył się pies i od czasu do czasu podnosił łeb, nasłuchując.

Jan przyklnął oczy. Chciało mu się jeść i spać. Nie był od rana w domu. Z oddali dochodził zapach smażonej cebuli. Trzeba było wracać. Pewnie Weronka czeka z kolacją. Znowu go zruża, że kasza dawno wyschła, a słoniny, żeby okrasić, już w domu nie ma od dawna.

– Jeszcze mi przyjdzie z żalem wspominać carskich żołnierzy – powiedział zgorzkniały. Bywało źle, ale nie tak jak teraz. – Żeby nam brać narzędzia pracy, tego jeszcze nie było. Ledwo się uporałem z nowym kojcem dla świni, żeby coś ukryć dla siebie, a teraz te żarna – narzekał. – Ustawiłem wysokie rusztowania na słomę, a za nimi schowałem świniaka – znów ściszył głos, prawie do szeptu. – Kwiczy cholera najgłośniej ze wszystkich. Czuję, że będę miał kłopoty.

– Przynajmniej zimą nie umrzesz z głodu. – Adam nie umiał ukryć rozbawienia, słysząc wyznanie

szwagra. – Trzeba się jakoś ratować. Jak przyszedli domnie spisywać inwentarz, to dwie świnie ukryłem w ogrodzie, jedna miała sześć pudów. Żal mi jej było. Spisujący trochę mnie zna, to dobry chłop, przymknął na to oczy, że niby wierzy w dwa puste kojce. Tylko mi palcem pogroził na koniec.

– Ja już jedną nielegalnie ubiłem, na Wielkanoc – przyznał się Jasiek. – Jeszcze matka żyła. Musiałem to zrobić w stodole, żeby sąsiedzi nie słyszeli kwiku. Nie można dziś wierzyć nikomu. Gorzej, jak sprawiasz mięso i gotujesz, zapach idzie na wieś jak licho.

Adam zaczął się śmiać, aż pies się poderwał zdziwiony.

– Nic, nic, piesek, leż spokojnie. – Poklepał psa po karku.

– Ale mnie nie było do śmiechu – przyznał Jaś ze skrucą. – Portki mi się trzęsły ze strachu, że któryś doniesie. Weronka z Ewą siedziały w domu jak trusie – wspominał. – Mówią, że we wsi są donosiciele. Nawet przed swoim musisz się chować.

– Kontyngent powinni ustalić w liczbach – wtórował Adam – tobyśmy się jakoś starali, a nie, że im więcej robisz, tym więcej oddajesz. – Wzruszył ramionami. – To niech się nie dziwią, że każdy oszukuje. Kiedy to był u nas nadmiar? Zazwyczaj wszystkiego brakuje, a teraz jeszcze trzeba się dzielić z wrogiem. Człowiek czasami musi imać się różnych pomysłów, żeby przeżyć. Tydzień temu było zebranie w gminie. Przyjechali urzędnicy z miasta, sami Austriacy. Dziwili się, że w Krasocinie krowy się nie ciela. U nich, w Austrii, jest całkiem inaczej, mówili z dumą, krowa się cieli co roku. Nie mogli się temu nadziwić, ale przyjęli do wiadomości, że co kraj, to obyczaj, nawet u krów.

– Widać nie znali się na stworach, urzędnik nie we wszystkim uczony. We Włoszczowie jest taki Czerwonka, Czech, jest żandarmem w austriackiej armii. – Jaś dodał dla wyjaśnienia. – Ten to podobno zbój nad zbójami. Gnębi Polaków i ściga. Nic się przy nim nie uchowa, wszystko wyniucha, jak zechce.

– A wiesz, że Gintera wypuszczają z więzienia? – przypomniał sobie Adam.

– O, to się Weronka zmartwi, biedaczka, a i Hilda nie będzie szczęśliwa. Syn Gintera, Karolek, do wojska poszedł, podobno jest pod Brześciem. Widzieli go w mundurze i z pistoletem.

– Takiemu to pewnie pistolet jest w sam raz do ręki, zawsze mu z oczu zbójem patrzyło – skomentował Adam, wspominając chłopaka.

– Ale teraz to on za Polskę walczy – zauważył Jasiek.

– E, to mi nijak nie pasuje, żeby z niego był jakiś bohater. Raczej nieodrodny synek Gintera, pójdzie w jego ślady – zawyrokował. – Słyszałem, że we Włoszczowie zadarł z prawem. Ktoś go przyłapał, jak handlował jajkami na targu. Zamknęli go, bo nie chciał powiedzieć, czyje te jajka. Siedział kilka godzin, ale się nie przyznał, a że świadków nie było, musieli go puścić. Mam znajomego w komisariacie, taki kurier, roznosi pisma, zajmuje się zaopatrzeniem. Powiedział, że już dawno mieli oko na niego.

– Słyszałem, jak baby we wsi gadały, że te świniaki, co zginęły przed rokiem, to wcale nie Ginter szlachtował. Jak go zamknęli, Rita szepnęła Hildzie, jak było naprawdę. Że to robota synalka i jego kamratów, że Karolek zabrał ojcu nóż i zniknął na kilka dni. Hilda komuś zdradziła i wieść się szybko rozniosła.

– No, i wszystko jasne. Temu Karolek uciekł do armii. Ginter się podłożył za syna, gówniarz pewnie niejedno miał za kołnierzem, więc się stary dał zamknąć, żeby szczeniaka uchronić.

– To sobie Karolek napytał biedy. Nie ma co wracać do domu. Może go w wojsku rozumu nauczą. Tutaj to tylko na zmarnowanie się szkolił. We wsi coraz więcej rozboju, a i ludzie dla siebie z roku na rok gorsi.

– Chuligaństwa tyle po lasach, swoich napadają, rabują, wojna budzi demony. Naród ciemny, do tego zwyrodniały jak zwierzęta. Sąsiad sąsiadowi bandytą, sąsiad sąsiadowi córki gwałci, za małe dziewczynki się bierze. Takie to sobie niektórzy zabawy robią przy żniwach, że je po stogach i rowach ganiają, a inni jeszcze trzymają, żeby nie uciekły. Niejeden zadusi, bo głupi, sam bity i kaleczony oddaje,

czego się w domu nauczył. Bawią się ludzkim nieszczęściem. Nikt się za nimi nie ujmie, ludzie boją się zemsty.

– Nie dość carskiego bestialstwa, jeszcze ze swoim walczyć i zмагаć się trzeba – potwierdził Jan i ze zgrozą pomyślał o Ewie. – Zabiłbym gołymi rękami, gdyby tak mojej...

– Obyś nigdy nie musiał. – Adam aż szerniał. – Ciebie by w lochu zamknęli, a kobiety z głodu pomarły. Aż strach myśleć, a mówić jeszcze straszniej. Prędzej byłoby grób sobie wykopać, niż czegoś takiego dożyć. Lepiej powiedz, co będzie z żarnami. – Adam wrócił do tematu, z którym przyjechał.

– Najpierw pojedę do Dąbka, ciekawe, co on mi powie. – Jan odezwał się pierwszy. – Też ma na utrzymaniu rodzinę. Tylko czy jako urzędnik państwowy będzie się chciał narażać?

– Jesteś w końcu zięciem – zauważył Adam. – Chyba mu zależy na szczęściu córki i coś ci podpowie?

– A, to różnie bywa, kiedy władza patrzy na ręce. Słyszałeś, co zrobili sołtysowi z Konieczna. Powiesili go za bunt i niepłacenie podatków. Nie mogę narażać własnego teścia.

– Ale zapytać możesz. On nie taki znowu strachliwy. Jakby się bał wszystkiego, nie byłby już sołtysiem. Będiesz wiedział od razu, jak zacznie coś kręcić, wyczujesz – zapewniał Adam.

– Wiadomo, że poznam. – Jan wstał z pniaka i podał Adamowi rękę. – Pójdę już, Weronka będzie zła. Dawno miałem być w domu. – Spojrzał w kierunku dymu walącego z komina. – A może zajdziesz do nas. Posilisz się przed drogą? – zapytał szwagra.

– Późno już, chcę jeszcze jechać do leśniczego, drewna kupić przed zimą. Wpadnę niedługo, to pogadamy o wiadomej sprawie.

Rano Jan wybrał się do Gruszczyna. Trzeba szukać rady wszędzie, gdzie się da. Wojsko chciało jeść, a już nie było skąd brać tego jedzenia. Jan wiedział, że jeśli nic się szybko nie zmieni, to drobne oszustwa z ich strony nie poprawią złej sytuacji, jedynie przedłużą agonię. Widział, jak niektórzy z Krasocina popadli w prawdziwą biedę, szczególnie rodziny, w których zabrakło rąk do pracy albo gospodarza. Przestali obierać ziemniaki, tylko myli i jedli w całości. Nic się nie mogło zmarnować. Widział wiosną, jak całe rodziny zbierały na łąkach szczaw i pokrzywy na zupę albo kopały perz. Długie kłaczka suszyło się, mieliło na żarnach i dodawało do mąki, żeby zwiększyć objętość posiłków. Jaś sam w tym roku wcześniej podbierał ziemniaki.

Zasadził nowe odmiany, wczesne amerykańki i późniejsze, lepsze na zimę. Zewnętrzne bulwy tych wczesnych szybko osiągały przyzwoite rozmiary, były bardziej pożywne i lepiej się gotowały. Ewa za nimi przepadała. Jaś nie wyobrażał sobie, żeby córka chodziła głodna. Starał się za wszelką cenę zapewnić rodzinie byt i względny dostatek. Pracy najemnej nie było, a dziedzic wyjechał do miasta, we dworze panoszyli się od dawna żołdacy. Zjedli, co było, a resztę zniszczyli. Konie zajechane przez pijanych żołnierzy błąkały się po lasach, aż je w końcu wszystkie wyłapali i zaprzęgli do wiejskich furmanek. Służące i dziewczki uciekły, tylko stała służba została, żeby usługiwać nowym gospodarzom.

Kiedy Jan zajechał przed dom teściów, zobaczył, że Dąbek oporządza konia. Widać szykował się w drogę. Koń miał na grzbiecie derkę, bo trochę padało, a przy uszach na kłapach ozdobne rzemienie, takie same wisiąły przy bacie. Teść wybierał się chyba z oficjalną wizytą.

– Zajdź do izby – zapraszał serdecznie. – Wybieram się do Kozłowa. Mamy spotkanie sołtysów. Trzeba coś radzić, bo jak nie, zginiemy.

– Źle to wygląda – potwierdził Jaś. – My też radzimy po domach, sąsiedzi, rodzina, jeden chodzi za drugim i pyta, co dalej, co dalej.

Dąbek strzepnął z kurtki resztki obroku, którym wcześniej karmił konia, i zawołał do żony, żeby przyniosła piwa na stół, co je schował w piwnicy pod drewnem. Rozejrzał się za stołkiem dla gościa, bo ława była obstawiona miskami, w których leżały pokrojone jabłka.

– Owoce obrodziły, chociaż tyle – powiedział, przestawiając miski na ławkę pod oknem. – Owoców

jeszcze nie biorą – próbował żartować.

– Niektórzy i tego nie mają, parchy im zniszczyły zbiory, nawet się na susz nie nadają. Zbierają dziczki po lasach – dodał, kiwając głową. – Sam nie wiem, jak u nas będzie. Jeszcze takiego roku jak ten nie miałem, żebym już w czerwcu podbierał ziemniaki.

– Dlatego trzeba radzić, może wspólnie coś wymyślimy. Sołtys z Kozłowa chce zbierać dla najbiedniejszych, każdy ma się zadeklarować w swojej wsi, czy jest w stanie zorganizować zbiórkę i dzielić się, żeby tam, gdzie jest więcej, nic się nie zmarnowało. Jednemu może coś zbywać, a innemu się przyda.

– Takich, co mają za dużo, ze świecą szukać – powiedział Jaś.

– Ale, ale, trzeba w ludziach obudzić świadomość, żeby rozsądnie dzielili zapasy, niczego nie marnowali. – Dąbek nalał z glinianego garnka lekko mętnego napoju w żółtawym kolorze.

Jan wypił zachłannie. Piwo aż drapało w gardło. Czuł, że tego mu było potrzeba. Wylał rękawem pianę, co mu została na wąsach. Dąbek opróżnił dzbanek do dna, wypełniając kufle po brzegi.

– Ja do was w podobnej sprawie – Jan zaczął wyłuszczać teściowi. – Każą nam zdawać wszystkie żarna we wsi. Jest zakaz młócenia po domach. Nie wiem jak wy, ale ja bez żaren nie przetrwam zimy, inni też się buntują. Urzędnicy straszą karami, jeszcze nam sądy do szczęścia potrzebne – powiedział lekko wzburzony. – Rozmawiałem wczoraj z Adamem, obiecałem, że najpierw tu zajrzę i was zapytam o radę. Skoro w Krasocinie jest takie prawo, to w Gruszczyńcu chyba podobne.

Dąbek uśmiechnął się chytrze pod wąsem. Wziął dwa łyki i spojrzał spod krzaczastych brwi na zięcia.

– Z żarnami jest tak – zaczął tajemniczo. Jaś aż się pochylił, żeby nie uronić słowa. – Korzystanie z żaren i u nas jest zabronione. Kazali je zdać do magazynu gminnego na przechowanie. Ale magazyn mały, wtedy dopisali, że wystarczy zdać górny kamień, który rozciera ziarno. Bez niego żarna są bezużyteczne.

– Wiadomo – potwierdził Jaś.

– A nie masz to, Jaśku, kamienia po starych żarnach? – zapytał chytrze.

Jaś pomyślał i natychmiast potwierdził.

– Mam, jest taki, jeszcze po ojcu. – Coś mu świtało w głowie. Poczuł się nawet nieswojo, zdając sobie sprawę, że przecież jakkolwiek by było, rozmawia w tej chwili z władzą.

– To bardzo dobrze – ucieszył się Dąbek. – Skoro im chodzi o kamień, to oddaj im kamień, ale stary, ten bezużyteczny.

Jaś zaniemówił.

– To znaczy – zawahał się nieco – że mam sam młócić dalej, jakby nie było zakazu? A jak mnie za to zamkną? – dodał przestraszony.

Dąbek wstał szybko od stołu i podszedł do dużej komody stojącej przy drzwiach pod ścianą. Wyjął z niej kartkę papieru i rozłożył przed Jasiem na stole

– To ukaz od obecnej władzy. Czytaj. – Pokazał palcem. – Patrz tu i czytaj, a potem powiedz, czy to legalne. Żeby ludzi pozbawiać szans na przeżycie! Jeszcze nas nikt tak bardzo nie dusił, mówię ci, nawet carskie przepisy nie biły tak chłopca po karku. Dranie. Mamy się poddać bez słowa – ciągnął z zapałem. – Jest wojna, każdy ma prawo walczyć. Inni tracą życie z karabinem w rękę, żeby odzyskać wolność. Ja będę walczył tutaj, w Gruszczyńcu, na własnym froncie, ja będę z nimi walczył gospodarczo. – Wstał i poprawił koszulę, a potem szybkim ruchem włożył ją w spodnie. Po piwie zrobił się krewki. Jaś bał się, że jeśli znów pójdzie napełnić dzbanek, do Kozłowa pewnie nie dojedzie.

– Tylko na ile się nam ta walka opłaci?

– Musimy walczyć z głową – odpowiedział twardo teść i zaraz dodał: – Zachowując umiar i ostrożność. Trzeba się we wsi dogadać, ustalać kolejność, pilnować dróg i łapać donosicieli. Nie

chodzi tylko o młócenie. Ziarno na siew trzeba zabezpieczyć, część ukryć, kopać piwnice i schowki, kto może, kto potrafi. I pomagać, pomagać innym, żeby nie pomarli z zimna i głodu. Bo tylko w ilości siła, jak nas przetrzebią, to opór na nic się zda. Stara prawda – powiedział Dąbek przejęty przemową. Chyba ćwiczył ją przed spotkaniem w Kozłowie. Ale Jaś już wiedział, że sprawa jest dość poważna i opór musi być mądry.

Pozegnali się chwilę potem. Gdy wrócił do domu, to zaraz pojechał w pole, gdzie mieli z Adamem zwozić ostatnie snopki. Zdał mu dokładną relację i postanowili działać. Wieczorem spotkali się w karczmie w zaufanym gronie. Zrobili naradę i ustalili, że każdy odda do gminy kamień ze swoich żaren, żeby nie prowokować. Kto ma stare żarna, to odda stare, później będą sobie nawzajem pomagać i mieć na tych, które się uda uchronić. Trzeba ustalić dyżury, kolejność i zadbać o bezpieczeństwo.

Początkowo szło jakoś opornie. Ludzie bali się konsekwencji. Chowali ziarno w dołach, wywozili do lasu, wszelkimi sposobami próbowali cokolwiek ocalić. Ale cóż mieli robić, gdy już zabrakło mąki na chleb i nie było pieniędzy, żeby płacić młynarzowi, u którego i tak urzędnicy robili kontrole i co było, konfiskowali na potrzeby wojska? Zaczęło się młócenie po domach, nie było innego wyjścia. Młócili nad ranem, gdy wieś spała najgłębszym snem, a gorliwi urzędnicy snem sprawiedliwego. Młócili na zmianę sąsiad u sąsiada, który miał lepsze żarna i stodołę dalej od drogi.

Z czasem formy omijania prawa austriackich zaborców stały się odważniejsze. Pomysłów nie brakowało. Polak, wiadomo, jak go bieda przycisnie, znajdzie stosowne wyjście i sposób. W tym jego siła i umiejętność przetrwania.

Nie wszystkim jednak dopisało szczęście. Nachodzili z kontrolami domy, czasami wcześniej rano lub późnym wieczorem, przyłapując tych najmniej ostrożnych na nielegalnym uboju, w czasie karmienia ukrytego bydła. Śledzili, gdy jechali wozem do lasu podebrać ukryte zapasy. Kilku zginęło w czasie ucieczki, innym zabrali żarna, nakładając duże kary pieniężne. Wielu chłopów puścili z torbami, inni przed więzieniem uciekli z rodziną do miasta, na wikt i opierunek do krewnych.

Nadeszła jesień. Jaś od tygodnia pracował u bednarza w Borowcu. W ramach stawiania oporu zaborcom próbował różnych sposobów, żeby zarobić, i akceptował każdą pracę. Poza tym były mu potrzebne beczki. Miał dwie, dość duże, lecz mocno zużyte. W tej nowej chciał schować na zimę zboże. Beczka to spory wydatek. Stary bednarz z Borowca, ostatni w okolicy, nie nadążał z zamówieniami. Jan najął się u niego do pracy, za miesiąc robocizny jako zapłatę miał dostać beczkę i wiadro. Znał się trochę na drewnie, wystarczyło tylko opanować bednarskie zasady, nieco odmienne od znanych mu zwykłych, stolarskich. Więc robił wszystko, na co mu bednarz pozwolił, oczywiście pod ścisłym nadzorem. Robił beczki, duże i małe, cebrzyki do wody i wielkie cebry, a nawet spore balie służące do kąpieli. Z jednego kawałka miękkiej topoli, olchy lub brzozy wydłubywał niecki do wyrabiania ciasta, a większe do mycia naczyń i głębokie do kąpania niemowląt. Na duże niecki brakowało drewna, potrzebny był pień szeroki na metr. Ale pił metrowych nie mieli, więc musieli podcinać ręcznie, żeby zmniejszyć objętość pnia i pociąć go później na potrzebne plasterki. Drzewo na beczki rozdlubywało się wielkim toporem na ćwiartki promieniście, żeby klepki w beczkach były elastyczne i pęczniały pod wpływem wilgoci. Potem cięto się długie lub krótkie listewki na środku grubsze, wtedy beczka była pękata, lub proste, z tego powstawały cebrzyki i wiaderka. Najdroższe beczki, dębowe, służyły do kiszenia kapusty, bukowe do trzymania smalcu, a świerkowe do spirytusu. Drzewa miały bowiem poza innymi cechami swój własny smak i aromat.

Pasja poznawania, w którą Jana wyposażyła natura, kolejny raz ułatwiła mu życie. Z nastaniem zimy

miał już spore zapasy drewna. Część kupił całkiem okazyjnie od brata Weronki, resztę wcześniej wysuszył i wyheblował, żeby robactwo i pleśń nie zjadły mu desek. Później, wykorzystując nabytą wiedzę, spróbował na własne potrzeby wytoczyć pierwszą beczkę, a potem zrobił inne, niezbędne naczynia potrzebne w gospodarstwie.

Domowy warsztat stolarsko-bednarski rozrastał się w miarę potrzeb – stołki, łóżka i szafy, a jak trzeba i sanki. Jan pomagał naprawiać drewniane pługi, a do nich dyszle. Z kawałków kosy, ze złamanej piły robił ludziom noże. W gospodarstwie nic się nie mogło zmarnować, każdy przedmiot dało się przerobić w inny, mniejszy, ale tak samo potrzebny.

W połowie grudnia odwiedził ich Kowal, starszy brat Maćka. Wstąpił po drodze, żeby przekazać Walerce wiadomość od chłopaka. Jesienią jego pułk walczył w pobliżu rzeki Stochód. Trudne, podmokłe tereny. Tam Maciek zachorował na tyfus. Wracał wycieńczony chorobą, żeby w domu nabrać sił. Lada dzień powinien być w Jakubowie. Miał się wykurować na domowym wikcie, zanim znowu wyruszy na wojenny szlak z Legionami. Zanim trafił na wschód, przeszedł z 2. Pułkiem Piechoty wiele kilometrów. Najpierw walczył w rejonie Limanowej, potem koło Nowego Sącza, bił się na Podlasiu. W końcu dotarł na Wołyń, aż pod granicę z Polesiem, i tam stracił zdrowie. Dostał trzy tygodnie urlopu, w połowie stycznia musi się znowu stawić na froncie.

Jan dobrą wiadomość powiózł następnego dnia do Ostrowa. Niech się dziewczyna ucieszy. W końcu i on polubił Maćka. Miły był z niego chłopak i jakby trochę do niego podobny. Też dość spokojny i greczny. Może tylko odważniejszy i weselszy niż on za młodu.

– Szkoda, żeś nie widziała, jaka była szczebiotliwa. – Jaś śmiał się z Walerki. – Mówiła, że miała przeczucia, że śnił się jej ostatniej nocy. Już nawet prezent miała, czapkę mu uszyła z króliczej skóry i kamizelkę z gęsiego puchu, żeby biedaczek nie zmarł tam, gdzie będzie musiał wrócić.

– Trochę jest za młoda na poważne zaloty – stwierdziła Weronka. – To przecież dziecko. Cóż ona może wiedzieć o życiu? Ot, dziecięce zaloty – myślała. Uczucia przelotne, nietrwałe i płochy. Za chwilę inny się jej spodoba, roślejszy albo bogatszy.

– Dziewczyna nie ma własnej rodziny, to lgnie do niego. On też jest bez ojca i matki. – Wzruszył się radością Walerki i powagą chłopaka, tym, że pamiętał i kazał bratu przekazać wiadomość, co znaczy, że jest stały w uczuciach. – To się na przyszłość dobrze zapowiada – próbował przekonać żonę. Jeszcze niedawno oni też za sobą tęsknili, najpierw w narzeczeństwie, a potem kiedy był w Prusach. Też mu się Weronika śniła po nocach. Do dziś lubi na nią spoglądać i widzi, jak dobrze zrobił, że posłuchał swata. Bez niej byłby teraz sam jak palec i życie nie miałyby sensu. Tymczasem mimo strasznej wojny, że trzeba się nieraz kłaść w ubraniach do łóżka, to on jest dalej szczęśliwy. Jeszcze kilka dni, i jak Bóg da, urodzi się drugie dziecko, i jak im będzie los sprzyjał, to może przeżyją wojnę i nadal będą wić swoje ziemskie gniazdo.

Mimo ciąży Weronka poruszała się z wdziękiem. Była bardzo kobieca. Może nie wszystko robiła tak dobrze jak inne wiejskie żony, bo od czasu do czasu pozwalała sobie na dni słodkiego lenistwa i chwile melancholii, ale to nie miało dla Jana żadnego znaczenia. Tłumaczył sobie, że pewnie Bóg stworzył ją do czego innego niż ciężka harówka na roli, i musi mieć odrobinę czasu dla siebie. Dom prowadziła dobrze i promieniowała dziwną jasnością, przynajmniej w jego oczach. Lubił na nią patrzeć i podziwiał ją bezgranicznie.

Miłości do dzieci nauczył się od rodziców i dziadków. Nie opowiadali o niej, nie byli wylewni, ale dzieci, od kiedy pamięta, były w ich domu zawsze dobrem najwyższym. Matka dawała miłość, gorącą i czułą, choć czasem zaborczą, a ojciec zabierał w pole albo na łąki, jedno sadzał na plecy, drugie brał na rękę, a reszta dreptała obok, jak gąski za panią matką. Nawet dzieci sąsiadów dołączały czasem do stada. Wędrowali przed siebie, w ciszy, wsłuchując się w głosy przyrody, albo wspólnie pasali krowy, snując

opowieści. Gdyby żył, pewnie by się teraz cieszył i bawił z wnukami. Tych dobrych wspomnień o ojcu nie było za wiele, już nie dane było Jasiowi prowadzić z nim dorosłych rozmów i pobierać lekcji życia. Musiały mu wystarczyć lata krótkiego dzieciństwa.

Dwunastego grudnia wieczorem Weronka zaczęła rodzić. Jan przywiózł do domu akuszerkę i czekał w sieni. Nie mógł słuchać pojękiwań żony, żal mu jej było okropnie. Poród na szczęście przebiegał normalnie, więc czekał spokojnie, szepcząc cichutkie zdrowaśki. Na dworze prószło śniegiem. Było tak cicho, że sarna podeszła pod dom od ogrodu. Rano Jaś znalazł ślady racic pod stertą drewna i rozwleczone siano przy kurniku. Zdziwił się, że nawet psom się wymknęła spryciara. Nie słyszał, żeby ujadły jak zawsze, kiedy pod płot, od pól podchodziły leśne zwierzęta.

Weronika urodziła córkę, na imię jej dali Marysia. Jan później pomyślał, że to będzie pewnie sarenka, hoża i sprytna, jak ta, która przyszła nocą posilić się sianem. Będzie kolejna matczyna pociecha. Oj, trzeba jeszcze trochę poćwiczyć, żeby się doczekać syna, żrebaka, podpory dla ojca – pomyślał szczęśliwy, że jest już po wszystkim i że żona wyszła zdrowa z porodu.

I znowu historia

Halifax, rok 2005

Tamtej nocy w Halifaksie, bo w sumie była już noc, rozmowy zeszyły na dawne dzieje. Miałyśmy już za sobą główne tematy – młodość, małżeństwo i macierzyństwo, karierę zawodową i pasję. Pozostało nam tylko zanurzyć się głębiej w historię, w czasy, których żadna z nas nie mogła pamiętać, ale często o nich myślała. Chyba każdy pragnie poznać miejsce, z którego pochodzi, i ludzi, z którymi dorastał. Powstał na ten temat niejeden film, napisano o tym setki książek. Nie było więc nic dziwnego w tym, że w końcu i my chciałyśmy o tym pogadać. Tak się zazwyczaj składa, że powroty do przeszłości najlepiej wychodzą rozmówcom, gdy impreza dogasa. Oficjalna postawa przy stole przeszła w fazę półleżącą na sofach, które stały po obu stronach kwadratowej ławy. Blask kilku świec odbijał się od szklanej tafli stolika, mnożąc wąskie płomyki na naszych twarzach.

Dopijałyśmy wino, powinnam właściwie już wyjść. Jak na pierwszą wizytę mocno się zasiedziałam. Ale właśnie wtedy Irena podzieliła się ze mną swoją tęsknotą. Okazało się, że nie widziała nigdy miejsca swoich narodzin. Wyjechała z Polski, będąc jeszcze dzieckiem. Niewiele pamięta. Wie, że urodziła się w Chełmie. Tak jest podane w metryce. Wkrótce jednak przeprowadziła się z rodzicami do Wrocławia.

– Mama chciała studiować medycynę. Po sześciu latach, gdy tylko otrzymała dyplom, wyjechałyśmy do Kanady. Ojca już z nami nie było. Nie pytałam dlaczego. Wystarczyło mi, że od dnia, gdy po prostu nie wrócił do domu, mama bez przerwy płakała. Miała jeszcze przed sobą rok nauki. Byłyśmy bez środków do życia. Gdyby nie akademik i skromne stypendium, pewnie przerwałyby studia.

Wyznanie Ireny nie było czymś wyjątkowym. To częsty przypadek, że ktoś nie całkiem odpowiedzialny bierze nogi za pas, zostawiając na lodzie dwie bezbronne istoty. Dlatego w pierwszej chwili nie pospieszyłam z odsieczą. Po prostu spokojnie słuchałam.

– Natychmiast po studiach mama dostała pracę w Warszawie. Miasto powoli stawało na nogi, potrzebowali na gwałt lekarzy w szpitalach i w przychodniach. Dostałyśmy małe mieszkanie w świeżo odbudowanej przychodni. Spałyśmy na siennikach, mebli jeszcze nie było, dopiero dosychały ściany. Z mojego okna widać było ruiny, w których na wiosnę zakwitły kwiaty, zieleniły się młode drzewka, samosiejki. Pamiętam ten widok do dziś. Dziecku wydawał się piękny.

– A więc jednak coś pamiętasz.

– Czasami już nie wiem, czy to autentycznie pamięć, czy tylko wyobraźnia.

– Przyjmijmy, że pamięć.

– Pamiętam pierwsze święta bez ojca. Nie miałyśmy choinki. Mama przyniosła kilka gałązek jałowca. Jakies dwieście metrów za przychodnią musiał być dawniej park. Niektóre drzewka przetrwały.

– Jeszcze przed Nowym Rokiem dostała list. Nie pamiętam okoliczności ani tego, jakie na niej wywarł wrażenie. Byłam mała, obchodziły mnie inne sprawy. Znam to raczej z opowiadań.

– Niespodziewane listy potrafią porazić – stwierdziłam odkrywczco.

– No właśnie – uśmiechnęła się. – Po tym liście wiele się zmieniło. I w skrócie, żeby nie zanudzać, powiem, że po że po kilku miesiącach leciałyśmy już do Kanady. A list, który dostałyśmy, był

zaproszeniem do Halifaksu. Zaprosiła nas i zapewniła mieszkanie znajoma naszego taty. Nic z tego nie rozumiałam. Początkowo nawet byłam pewna, że się tam wszyscy spotkamy, że to było przez nich ukartowane. Ale nie.

– Nie bałyście się jechać do obcych ludzi? Tak daleko – zdziwiłam się.

– Tego ci nie wyjaśnię. Pytałam mamę niejednemu raz, dlaczego to zrobiła. Zwykle wzruszała ramionami, mówiąc, że nie miała wyboru.

– Jak to przeżyłyście? Mam na myśli podróż, potem nowe miejsce, obcych ludzi, a przede wszystkim język.

– Miałam kilka lat. Poszłam do pierwszej klasy. Uczyłam się pisać i czytać po angielsku. Nie poczułam nawet, że coś jest nie tak. Myślałam, że to normalne, skoro inni uczyli się tego samego. Mama też się uczyła, chodziła na kurs dla dorosłych i pracowała jakiś czas w pralni. Mieszkałyśmy w małym drewnianym domku.

– U kobiety, która was zaprosiła?

– Mieszkała kilka domów dalej. Mama się z nią widywała, ale ja ją pamiętam jak przez mgłę. Podobno pomagała nam także materialnie. Nie chodziłyśmy nigdy głodne. A po trudnych latach w Polsce, skromnych warunkach mieszkaniowych wśród ruin Warszawy, w tym małym domu z ogrodem czułyśmy się jak w raju. Przynajmniej ja – dodała po namyśle.

Irena upiła trochę wina i odstawiła kieliszek. Za jej plecami roztaczał się piękny widok na jasny i przestronny pokój, na drzwi wychodzące na taras i błękit wody w ogrodowym basenie. Pomyślałam, że pewnie jej mama dobrze wybrała, przyjmując to wsparcie.

– Potem, gdy zdała egzaminy, zatrudniła się w szpitalu. Początkowo jako salowa. Po kilku latach jako lekarz pediatra, ale w innej dzielnicy.

– Jakbym słuchała bajki o Kopciuszku – stwierdziłam szczerze. Pomyślałam jednocześnie, że mój pobyt w tym mieście ma w sobie podobne cechy. Wprawdzie nie byłam nigdy Kopciuszką, jeśli już to czasami złą macochą, mimo wszystko poczułam się bardzo bajkowo.

– To rzeczywiście przypominało bajkę. Byłam zachwycona. Mama chyba myślała inaczej. Ciągle ją widziałam, jak obciera łyzy i wyciera nos. Tłumaczyła, że tęskni za Polską. Dziwiłam się, myśląc, co ona z tej Polski mogła jeszcze pamiętać. Dla mnie życie na dobre zaczęło się w Kanadzie.

– Nie rozumiem – wyznałam. Bałam się, że z powodu wina straciłam nagle wątek, ale nie. Okazało się, że opowiadanie z przeszłości miało inny początek.

– Moja mama pochodzi z Chełma. Urodziła się w momencie, kiedy Chełm po latach zaborów stał się nagle polski. Ojciec mamy był wdowcem, jej mama zmarła młodo, była Ukrainką. W tamtych latach Chełm był bardziej ukraiński niż polski. Po śmierci żony ożenił się z wdową. Tym razem z Polką. Ta wdowa miała syna, był starszy od mojej mamy o trzy lata. Miał na imię Wiktor.

Wczesne ptaki

Krasocin, wiosna, rok 1916

Zima przeszła spokojnie. Dziecko rosło z każdym miesiącem ku radości rodziców. Nie miało wielkich wymagań, byle było co jeść i mama zawsze pod ręką. Jan trochę mniej pracował, więcej zajmował się żoną i małą córeczką. Jak tylko mógł, próbował zastąpić Józefę, która tak wiele wniosła w pierwsze miesiące życia Ewuni. Teraz bardzo jej brakowało.

Teściowie tym razem rzadziej bywali. Stary Dąbek miał wiele spraw na głowie, czasy były niedobre, na drogach niebezpiecznie. Bali się podróżować do Krasocina, dzień był krótki, a nocą na drogach grasowali bandyci. Jedni napadali z głodu, inni jak zwykli złoczyńcy rabowali dla zysku. Nawet obecność wojska niewiele ich obchodziła, jakby pod płaszczykiem wojny wszystko było dozwolone. Bogacili się na niewinnych ludziach, zabijali bezkarnie. Widać ludzkich hien nigdy nie braknie. Każda pora jest dla nich dobra, szczególnie wtedy, kiedy się świat pograży w chaosie.

Wiosna przyszła bez ociągania, niosąc jak zawsze nadzieję. Zanim jednak rozkwitła na dobre, sypnęła złym nasieniem, przyniosła różne choroby. W domu Jana przeszli przez to wszyscy poza Marysią. Najdłużej chorowała Weronka. Poród ją trochę osłabił, a potem się przeziębila. Trudno jej było pielęgnować maleństwo. Mała Ewa była na szczęście już dość samodzielna, radziła sobie, na ile to było możliwe. Weronka wydobrzała dopiero latem, a kilka dni wcześniej, na same żniwa, wróciła do nich Walerka. Tęskniła za małą Ewą i bardzo chciała zobaczyć Marysię. Kochała też dom przy Floriańskiej. Przez zimę wydorosła, nawet trochę urosła. Czy to czas tak ją wyciągnął do góry, czy miłość?

Listy od Maćka przychodziły rzadko, ale regularnie. Po chorobie nie wrócił na front. Wezwano go do Krakowa, tam miał pomagać przy koniach. W tym czasie walki na wschodzie utknęły na linii rzeki Stochód. Armie raz szły do przodu, to znów cofały się do pozycji wyjściowych. Ginęli żołnierze i najlepsi dowódcy.

Przyszedł słoneczny kwiecień, rozszalałe z miłości ptaki żyły swoimi prawami, ale ludzie nie czuli wiosny. Zamykali się w domach, myśląc naiwnie, że ich te ściany z sosnowych belek ochronią od złego. Najtrudniejsze bywały noce, ciemność i strach wypełniały wyobraźnię. Życie z wojną w tle nie pozwalało niczego planować, celem stało się tylko przetrwanie. Ludzie stracili wiarę. Tym bardziej, że w sprawie Polski nie było żadnych perspektyw. Pod koniec lipca rozeszły się wieści, że austriackie władze osadziły Piłsudskiego w magdeburskiej twierdzy, że wywieziono do obozów polskich oficerów i żołnierzy, bo odmówili złożenia przysięgi wierności austriackiemu państwu. Bez Piłsudskiego nie chcieli walczyć u boku obcej armii. Losy Polski zdawały się być przesądzone.

Huśtawka dobrego i złego zniechęcała nawet tych, którzy pewni byli zwycięstwa.

– Nie martw się, Jasiu – pocieszała przy kolacji żona. – Może to nie jest prawda. Już tyle różnych proroków zwoziło sprzeczne wieści. Może ta o Piłsudskim to zwykła plotka. – Weronka wiedziała o wojnie tylko tyle, ile jej mąż powiedział i co we wsi usłyszała od kobiet, które miały na froncie narzeczonych lub braci.

– To prawda, nie ma się co łudzić. „Gazeta Kielecka” już o tym pisała.

– A mnie się zdaje – powiedziała spokojnie – że on to zrobił celowo, mówiłeś, że jest sprytny. Przecież mógł się gdzieś ukryć i dalej swoją armią kierować. Skoro tego nie zrobił, to może specjalnie?

– Takie są prawa, że wielki wódz musi honor zachować, a nie jak tchórz kryć się po krzakach. Dopiero świat miałby o czym gadać.

– Co tam świat, mnie na opinii cara czy jakiegoś cesarza wcale nie zależy.

– A że cara wcale nie będzie, uwierzyłabyś kiedyś? Aha, jesteś zdziwiona, a na to się chyba zanosi – powiedział do niej, mając na myśli bolszewickie ruchy w Rosji.

Weronka wstała, żeby zamieść podłogę, Marysia próbowała raczkować. Była silnym i dużym dzieckiem.

– Kto to wie, Jasiu, kto wie – powiedziała, patrząc na córkę. – Już tam inni za nas wszystko załatwią. Nikt się nie będzie pytał, czego chcesz ty albo ja. Z carem czy bez cara, wszystko mi jedno, byleby zawsze razem. – Spojrzała na niego z czułością. Zebrała ze stołu talerze i miskę. Podsunęła marchewkowy placek posmarowany gęstą śmietaną. Niechcący przewróciła przy tym świeczkę, wosk rozlał się na płaskiej podstawce. Weronka spojrzała na Jasia, uśmiech, który zaczął wykwitać, natychmiast zamarł na ustach.

– Przewrócona świeczka przywodzi do domu złe duchy – cicho wyszeptała.

Jan się obruszył, aż na nią fuknął. Biorąc w dwa palce gruby kawałek placka, z politowaniem pokręcił głową. Nie znosił zabobonów.

– Opowiadasz głupstwa – powiedział półgłosem, żeby nie straszyć dziecka. – Przecież sama trąciłaś ręką, gdzie tu widzisz duchy? Mało masz zmartwień, kobieto, że sobie świeczką zaprzątasz głowę? Lepiej się pomódl za naszych, modlitwa pewniejsza, żeby ich w bitwach Jasna Panienska chroniła – zakończył polityczne dysputy, zajadając z apetytem ciasto.

Zmartwienie jednak przyszło, ale nie z pól bitewnych ani od wroga. Jednego dnia jesienną porą Jan zauważył u żony niezdrowe wypieki. Zaniepokoiły go szkliste oczy i dziwny kaszel, podobny do tego, którego pozbyła się z początkiem sierpnia.

Rano trochę się poprawiło, ale wieczorem znowu była rozpalona. Przestraszył się, że wróciła choroba. Trzeba ją było koniecznie zawieźć do lekarza. Lecz następnego dnia zasypało drogi, tak że ani lekarz, ani nawet Dąbek, który dowiedział się o chorobie córki, nie mogli dojechać z pomocą. Trzeba było Weronkę leczyć po swojemu tym, co było pod ręką.

Zaczęli więc parzyć na zmianę herbaty i napary z krwawnika z dodatkiem kwiatu bzu i liści majowej mięty. To miało zmniejszyć ból głowy, który pojawił się kilka dni później, i obniżyć temperaturę. Soki z malin, napar z kwiatu lipy, rozbite liście kapusty na rozpalone piersi, wszystko, żeby uzdrowić Weronkę. Do tego mleko z czosnkiem i chrzan, żeby się lepiej chorej oddychało, żywokost, dzięgiel, pokrzywy, lawenda, ziele tatarskie, babka, majeran, rozmaryn oraz prawoślaz. Dom się cały wypełnił zapachem ziół, a zmartwiony Jaś spoglądał na żonę ze strachem. Ona była jednak dobrej myśli, znała już swój organizm. Wadliwy był, bo często łapał choroby, ale zawzięty. Ileż to razy miała chory żołądek, spuchnięte nogi i bolące plecy. Żadna to u niej nowina. Poleży trochę, wygrzeje piersi i wstanie. Nie da się leżeć w łóżku, gdy małe dziecko nie może się obyć bez mamy.

Na szczęście po kilku dniach rzeczywiście przyszła poprawa. Do domu wróciła nadzieja. Weronka żartowała, że Jasio taki strachliwy, aż po pomoc do ojca posyłał.

– Początek zimy, to i choroby chodzą po ludziach, nie pierwszy raz i nie ostatni – tłumaczyła mężowi. – Dzień, dwa i sił nabiorę, w chałupie ciepło, to szybko wrócę do zdrowia.

Po dwóch dniach gorączka opadła. Mogła bez trudu wstać i zająć się domem, a było przy czym się krzątać.

Przez chorobę wiele zaniedbała. Dobrze, że Ewa miała w tym czasie opiekę i mąż mniej pracy poza domem. Dziwiła się nawet, że go nie ciągnie do stolarki. Wiedziała, że przyjął kilka zamówień, ale do pracy wcale się nie garnał. Nie chciała popędzać, ufała, że dobrze wie, co robi.

Tymczasem zima przyniosła sporo zmian na frontach wojny, rozciągając je o kolejne kraje. W Rosji wciąż wrzało. Siódmego listopada strzałem z krążownika Aurora rozpoczęła się na dobre rewolucja, zamach stanu obalił carat, nie było już tronu i władcy, powstała republika. Po dwóch dniach w Kijowie powołano Radziecką Ukrainę, a potem czerwona władza rozlała się po Rosji. Echa szeroką falą docierały do wszystkich zakątków. Świat oszalał, przywódcy ostrzyli zęby, żądni krwi, wpływów, władzy. A mała wieś nieopodal Kielc walczyła ze swoją biedą. Z frontu docierały wieści, że powstają kolejne oddziały polskich wojsk, gdzieś daleko od granic, na innych kontynentach, zbyt daleko jak na chłopską wyobraźnię i niedolę, której nie było widać końca.

Jan zgnębiony marzył o spokoju, dusił go brak perspektyw. Wojna na ustach i w myśli. Miotał się między karczmą, w której toczono dysputy, a domem. Przed nimi święta, ale nikt się z tych świąt nie cieszył. Walerka czekała na wieści od Maćka, a ten ostatnio zamilkł. Wiedziała tylko tyle, że jego Legiony zostały rozwiązane, a porucznik Hałaciński, u którego służył nad Stochodem, został wcielony do armii austriackiej i wyjeżdża na front do Tyrolu z innymi żołnierzami z Pierwszej Brygady. Dziewczyna bała się, czy aby chłopak nie pojechał z nimi. Jej obawy wkrótce się potwierdziły. Dał znać listem z miejscowości Terlago w Trydencie. Donosił, że pisząc do niej, ma przed oczami ośnieżone góry, że walczą z białym wrogiem, z niedobitkami włoskich obrońców skał i alpejskich szczytów. Dziękuję za czapkę, bardzo się tu przydała. Niestety kufajkę z pierza stracił kilka dni temu.

– On już chyba nie wróci do Jakubowa – żaliła się Weronce. – Zostanie w tych górach na zawsze. Nigdy go nie zobaczę.

– Wróci, zobaczysz, wojna nie będzie trwać wiecznie, minie zima i wiosną wróci. Na co mu obce góry? Ma swoje, Świętokrzyskie. I ciebie już sobie upatrzył, w rodzinnych stronach niczego mu nie brakuje, a tam sami obcy.

Walerka jednak chodziła smutna i ukradkiem obcierała łzy.

– Znowu pokaszujesz – zauważył Jan. – Zrób sobie syropu z cebuli.

– Niepotrzebnie poszłam na pogrzeb – przyznała ze skruczą. – Nie myślałam, że będzie śnieżycą, drogę nam całkiem zawiąło. Utknęliśmy w zaspach. Trzeba było iść pod wiatr, spociłam się i zdjęłam chustkę.

– Na pogrzeb, taki kawał drogi! Co ci też strzeliło do głowy, ledwoś się wykaraskała – powiedział wzburzony. Bał się jak ognia choroby. Miał wrażenie, że kolejna zwali ją z nóg całkowicie. Poród, potem ta ciągła gorączka odebrały jej siły, jeszcze wciąż nie nabrała ciała. Przydałaby się teraz jego matka, miałaby oko na wszystko. A tak za dnia niedojada, bo ciągle zajęta, na dworze mróz, mokre powietrze, które jej zawsze szkodzi. Musi powiedzieć Walerce, że ma jej lepiej pilnować, bo nieszczęście gotowe.

– Sąsiadki szły, to i ja poszłam, chowali księdza, jak tu nie pójść z nimi. To nasz obowiązek, taka ludzka posługa.

Jan nic więcej nie mówił. Tylko zerkał ukradkiem, czy aby nie ma gorączki. Przy wieczerzy zjadła ciepłą zupę i zagryzła chlebem, widać było, że je z apetytem. Zgłodniała pewnie. Ewa bawiła się w kącie, Marysia siedziała w kojcu.

– Jakie one ładne – zachwycała się Weronka swoimi córkami, patrząc spod pieca. – Jedna niepodobna do drugiej, a każda jak kwiatek. Drugich takich jak nasze we wsi chyba nie ma – stwierdziła z dumą. Zasnęła potem w ciepłe z błogim uśmiechem na twarzy.

Jan jednak patrzył z rezerwą. Nie chciał jej karcić za wyjście z domu. Nasiedziała się w izbie od lata. Ale czuł, że podstępna choroba tylko czeka na takie okazje. Jutro z nią porozmawia, nie powinna tak ryzykować. Dopóki nie puści Białka i trawa nie wykiełkuje, nie powinna wychodzić z domu. Z obejściem sam sobie przecież poradzi. Bydła w oborze tyle, co kot napłakał. Requirują wszystko, co tylko wpadnie im w ręce. Nie ma sensu wiele się starać. Wystarczy tylko tyle, żeby jakoś przetrwać zimę. Jak trzeba, to trochę zarobi i kupi w mieście. Teraz najważniejsze jest zdrowie. Przyjdzie wiosna, potrzebne jej będą siły. Czekał na tę wiosnę w udręce. Gryzło go, że żona niby taka radosna, a w oczach ma dziwne ognie. Dalej jej parzył lipę i zakazał wychodzić, nawet na próg domu.

I stało się tak, jak przypuszczał, kilka dni trwała radość, a od piątku z powrotem nieszczęście.

– Chyba już zdrowa nie będę – mówiła, gdy gorączka znów ją przykuła do łóżka. – Niepotrzebnie poszłam na ten pogrzeb – powtarzała bez końca. – Niepotrzebnie, trzeba mi było lepiej zostać w domu. Nie byłoby teraz kłopotu. – Czowała, że martwi wszystkich. Matka i ojciec jadą z Gruszczyzna, nawet Adam z Ostrowa się wybiera, żeby pomóc Jasiowi i lekarstwa przywieźć.

– Co ty, Weronko, jutro się polepszy. – Jaś próbował pocieszać, a ona nie chciała jeść ze zgryzoty, więc karmił ją jak dziecko. – Do świąt wszystko minie, będziemy razem ubierać choinkę. Już załatwiłem, że mi ją kuzyn z lasu przywiezie. Dziewczynki będą miały w izbie kolorowe drzewko.

– A jak nie przeżyję, co zrobisz sam z dziewczynkami? – pytała strapiona, myśląc o najgorszym.

– Sprzedam je na targu i kupię nowego konia – żartował, żeby ją trochę rozśmieszyć. – A potem w świat pojedę. – Udawał, że jest beztroski, ale czarne myśli krążyły jak muchy nad miodem. Znał to uczucie strachu, aż zastygł z przerażenia. Ujrzał Jędrusia, jak leży w gorączce, a później na marach, słoneczny chłopiec, dziecko dnia i wiecznej pogody. I ta rozpacz matki wyrwała mu wtedy pół serca. To się nie może powtórzyć. Nie wyobrażał sobie zostać tu bez Weronki. Nie tylko ze względu na dzieci, lecz na niego samego i na nią. Jakże tak, zaznać tyle szczęścia i wszystko utracić? Niedoczekanie. Przecież od kilku lat wszystko, co robi, jest dla niej i dla dziewczynek. Wstaje o świcie z nią pod skórą i z nią się kładzie spać. Przyrósł już do niej, jest celem każdej jego czynności. Nawet jeśli to tylko koszyk na drewno, to powstał z myśli o tym, że za pieniądze, które zarobi, kupi Weronce dobre świece do lampy, żeby jej nocą lepiej się przedło niżli przy świecach domowych. Żona dla Jana, jak koło napędowe, była sensem poranka, gdy o świcie wstawał do pracy, i dopełnieniem dnia, kiedy razem omawiali godziny spędzone bez siebie. Uzupełniali się bez wielkiego gadania, ona w domu, w obejściu, on w polu. Ludzi dwoje, a jedno ciało i myśl jedna.

Bali się wieźć ją gdziekolwiek. Drogi białe, mróz i wiatr, mogło się tylko pogorszyć. Dąbek z żoną często ich odwiedzali, myśleli tylko o córce. Kupili w mieście lekarstwa, które przepisał lekarz, żeby złagodzić chorobę.

W końcu zaczęło się Weronce poprawiać. Pewnego ranka stwierdziła, że jest już zdrowa. Nie mogła się doczekać świąt, chciała coś upiec, przygotować świąteczne potrawy. Jan aż promieniał.

– Kobieta zdrowieje, kiedy ma coś do roboty – żartował, patrząc z radością, jak się żona uwija w kuchni, podśpiewując od czasu do czasu ulubione przyśpiewki. Ewa chciała pomagać, a Marysia, trzymając się kurczowo fartucha, stawiała pierwsze kroki. Walerka ciągle nie w sosie z powodu chłopaka, pochlipywała pod nosem.

– Trzeba ją znowu wysłać do Ostrowa. Niech się nią inni zajmą. Damy sobie radę sami, Jasiu – tłumaczyła Weronka. – Tam więcej młodych, to ją rozwesela. Jutro przyjedzie Adam, obiecał trochę fasoli. A ja zrobiłam mu garnek masła. Przetopiłam, żeby nie zjełczało, jak znalazł do smażenia. Powiedz Walerce, niech się dzisiaj spakuje.

Z dnia na dzień było weselej. Wojna jakby odeszła za góry. Walki trwały jeszcze we Włoszech, w Rosji bili się o władzę, Europa ciągle zbierała po polach trupy. A w domach rodził się ludziom Bóg. Potrzebowali tego jasnego promienia w ciemności, odrobiny światła, które obiecuje rychłe wybawienie od wszelkiego bólu i podłości.

Jaś przytargał z dworu smukłe młode drzewko i jakby las wszedł do izby. Strzepnął z niego śnieg na głowy dziewczynek, aż się zaniósł śmiechem, łapiąc w powietrzu białe okruchy. Pachniało już ciastem, gotowaną kapustą, świeży chleb zawinięty w płótno czekał w komorze. Piernikowe ciasteczka zawisły na nitkach, do tego słomiane łańcuchy otuliły zielone gałęzie do samego dołu. I lekka niebieska bibułka. Nie było matki, która umiała robić z niej słoneczka i gwiazdki. Weronka nuciła kolędy, a gdzieś daleko wciąż ginęli ludzie, wojna zmiatała granice, gdy oni czekali na Gwiazdkę. Nie chcieli myśleć o smutkach, dosyć ich mieli na co dzień, święta to czas radości – przecież Bóg się rodzi!

Na Wigilię jeszcze napadało. Utworzyły się zasy i goście z Gruszczyna nie mogli dojechać. Mimo przeszkód zjawił się Adam z Ostrowa, z córką Apolonią, z Walerką, już dużo weselszą. Śpiewano kolędy, dzieląc się białym opłatkiem. Czapy śniegu przydały światu urody. Weronka tylko z okna patrzyła, jak dzieci z Walerką, Jasiem i Adamem bawią się przed domem. Sielankowy obrazek napawał nadzieją.

Na Trzech Króli Jaś się szykował na mszę do kościoła, gdy pod dom zajechał Kowal, starszy brat Maćka. Chciał rozmawiać z Walerką, ale jej nie zastał.

– Maciej już nie wróci do domu – oznajmił przygnębiony. – Zginął pod śniegiem. Przysypała ich w nocy lawina. Miał akurat wartę. Porucznik Andrzej Hałaciński, z którym Maciej pojechał na front, uciekł z włoskiej armii. Jest teraz w Warszawie. Dał nam znać przez swojego kuriera. Przywiózł po nim kilka drobiazgów. Ciało zostało pod śniegiem.

Jan aż usiadł, gdy o tym usłyszał. Jak to powiedzieć Walerce, toż ona już wiano haftuje, ciuła na bieliznę, myślami buja w obłokach, a oczami jest w niebie.

Na wieść o śmierci Maćka dziewczyna przestała jeść. Całe dni nie wstawała z łóżka. Na nic prośby i groźby, na nic pocieszanie. Młode serce krwawiło boleśnie i nie dało się temu zaradzić. Los ją bardzo doświadczył, nie szczędził rozczarowań. Niby swoja, a jednak obca, przenoszona z domu do domu, podrzucana, raczej potrzebna niż mile widziana. I nagle ten promień światła, ktoś tylko dla niej, kto nie troszczył się z obowiązku, ale z własnego wyboru. Odczuwała to intuicyjnie, nie z rozwagą, nie z kalkulacją dorosłego człowieka, lecz z naiwnością dziecka. Po prostu do siebie przyłgnęli, dwoje dzieci, dwa samotne serca. Początkowo nie mogła uwierzyć. Zbiła Adama, kopnęła go w złości, gdy jej o tym powiedział.

– Nie kłam – krzyknęła z wściekłością. – Nie okłamuj mnie, nikomu nie wierzę! – Tupnęła nogami, nie dała sobie nic wytłumaczyć, aż w końcu uciekła do stajni i została tam do wieczora. Tuliła się do ostatniej świni, która im jeszcze została, czuła, że tylko zwierzę jest w stanie ją pocieszyć. Wróciła nad ranem, jak już wszyscy spali, weszła do łóżka i została w nim na długo. Dopiero wieść o nawrocie choroby u Weroniki wyrwała ją z zamroczenia.

W połowie stycznia wrócił kaszel i bóle w piersiach, znowu silna gorączka. Całe noce kaszlała, tracąc

co chwilę oddech. Ranki zносиła lepiej, wieczory odbierały wszelką wiarę. W lepsze dni Jan i Weronka dużo ze sobą rozmawiali. Lubili te małżeńskie dyskusje, snucie planów, wspomnienia, marzenie o przyszłości córek, nowe pomysły na ulepszenie domu, planowanie wizyt i rodzinnych spotkań. Wtedy odzyskiwali wiarę w przychylność losu i że szczęście ich nie opuści. W trudniejsze dni dopadały Weronkę z wątpienia. Wtedy płakała i prosiła Boga o litość dla dzieci. Jednak trzymała się dzielnie. Brała lekarstwa, które zapisał lekarz, starała się jeść, żeby zachować siły.

– Jakże ja mam je osierocić, skoro to takie maleństwa? Zginą bez matki, sam wiesz. Dwie dziewczynki trudno ci będzie wychować bez kobiecej ręki. Zobacz na Cioska, a przecież ma tylko jedną.

– Nie kracz, Weronka, nie kracz – próbował karcic żonę. – Czarne myśli trzeba odganiać, bo zatruwają ciało. Pamiętasz, sama mi to powtarzasz, że zło minie, tylko je trzeba z głowy wyrzucić. Teraz ja tobie każę tak zrobić. Nie trzeba myśleć o śmierci, żeby jej nie zapraszać do domu. Przecież nie raz chorowałaś i potem było dobrze – spokojnie tłumaczył, chociaż czoło miał mokre od potu, a plecy napięte i straszny ból w głowie. Trudno mu było zachować spokój. Parzył kolejne herbaty, nacierał, okrywał.

W końcu dziewczynki zabrała do siebie teściowa, żeby Jan cały czas mógł poświęcić żonie. I znowu było jej raźniej, cieszył ją nawet drobiazg, każda chwila u boku męża.

Któregoś dnia znowu zaczęła wspominać o śmierci.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że gdybym jednak umarła... – Zrobiła poważną minę.

– Przestań. – Jan błagał bezsilnie. Cały był jedną raną. Tłukł się z myślami i kłócił z losem, żeby mu jej nie odbierał, bo takiej straty jego serce na pewno nie wytrzyma. Dziwił się, że jeszcze nigdy tak mocno nie cierpiał, nawet kiedy odchodził Jędrus, kiedy umarła matka. Płakał nad grobem dziadka, kiedy ten niespodziewanie pożegnał się z życiem, ale to, co odczuwał teraz, z niczym się nie dało porównać. Ta drobna kobieta, zmożona chorobą, z roziskrzonymi oczami, była mu droższa nad życie.

– Ale ja muszę ci to powiedzieć. Jeśli chcesz, żebyś dzisiaj zasnęła i zjadła całą kolację – próbowała żartować, widząc strach w oczach męża.

– Tylko żeby to nie było nic smutnego – zaznaczył na wszelki wypadek.

– To mała prośba – wyznała z uśmiechem.

– Prośba może być, choremu nie wypada odmawiać – zgodził się. Czuł w gardle ucisk i ból w skroniach.

– Po mojej śmierci – powiedziała cicho. – Tylko się nie złościć, proszę. Powiem to raz.

Jaś milczał, ale serce tak mu waliło, że z ledwością oddychał. Nie miał siły zaprotestować, skoro tak jej zależy, niech to z siebie wyrzuci.

– Więc gdybym jednak umarła – mówiła wolno, ważąc każde słowo – to pamiętaj – zniżyła głos – ożeń się z Wikta od Sornatów. – Spojrzała znacząco i tak mu zajrzała w oczy, że aż się przestraszył. – Wiktoria Sornat to moja cioteczna siostra – mówiła spokojnie, nawet z lekkim uśmiechem. Tymczasem jemu wydawało się, że to prawie rozkaz. – Tyle co z Prus wróciła, była na robotach, to dzielna dziewczyna, mówią, że pracowita jak żadna w rodzinie. Ona nie skrzywdzi dzieci i dobrze wychowa. Mieszka w Gruszczynie. Rodzice ci ją pokażą. Jeśli umrę, muszę mieć pewność, że moim córkom nie stanie się krzywda, i że będą kochane. Obiecuj mi, proszę – zażądała.

– Obiecuję, Weronko, obiecuję. – Gładził ją po ręce pełen niepokoju i strachu, żeby się ta obietnica czasami nie musiała spełnić. – Kochać to ja je będę za ciebie i za siebie, o dzieci się nie martw, tylko szybko mi zdrowiej, żebyś więc nie musiał składać takich obietnic.

– I mam drugą prośbę – nieśmiało dodała, splatając na piersi drobne, blade dłonie.

Jan milczał, siedząc nieruchomo. Cóż jeszcze mógł jej obiecać?

– Co jeszcze cię trapi? – pytał coraz ciszej. Strach było spojrzeć w roziskrzone oczy i nie stracić wiary.

– Teraz to się już chyba będziesz mocno gniewał – ledwo wydusiła.

– Mów, śmiało, zrobię, co tylko zażadasz – próbował udawać wesołość. Oczy miał półprzymknięte i bardzo smutne, i ta wesołość do niczego nie pasowała.

– To będzie ostatnia prośba, ale bardzo ważna. Wiesz, jak bardzo lubiłam lipowe pudełko, w którym trzymałam korale, to, które mi zrobiłeś rok temu na święta, z napisanym moim imieniem na wieczku. Teraz w nim Ewa trzyma swoje skarby.

– Pamiętam, a jakże. – Jan się trochę ośmielił, byłby jej zrobił dziesięć takich skrzynek, gdyby zażądała.

– Proszę cię teraz, i to mi na koniec obiecaj. – Nabrała głęboko powietrza i chwyciła męża za rękę, drugą przykładając do serca. – Chcę, żebyś to ty wystrugał mi trumnę. Na wieku nie pisz imienia, aniły mnie poznają bez tego.

Cóż mógł jej na to teraz odpowiedzieć, chyba tylko zapłakać.

Następnego dnia Weronce jakby ulżyło. Kiedy otworzył oczy, siedziała wyprostowana, spoglądając w okno. Obudziła się jakaś radosna. Dzień był słoneczny i cichy. W południe rozgrzał się dach i zaczęły ociekać sople, jakby się zaraz miała zacząć wiosna. Ptaki odurzone jaskrawym światłem narobiły świergotu za domem. Tańczyły na łysych drzewach, obsiadały płoty, mokre parapety, chyba tylko po to, żeby kotom namieszać w głowach.

– Dzisiaj chce mi się jeść – oznajmiła mężowi. – Zrób mi kaszę i wytop skwarki, muszę się wzmocnić, jeśli mam żyć – powiedziała do Jasia, który się kręcił przy kuchni.

I jemu zrobiło się miło, gdy usłyszał, jak się dziarsko odzywa. Podłożył jej poduszkę pod plecy, żeby wygodnie usiadła, i podał miseczkę, a obok garnuszek z kawą.

– Ładnie pachnie, czuję, że zjem wszystko – poganiała męża.

Karmił ją małymi porcjami, wolno i cierpliwie. Jadła z apetytem, szybko połykała, żeby zdążyć, zanim minie poranna euforia. Podał jej kawy, wypiła łyk, lecz przy następnym trochę osłabła.

– Odpocznię. – Oparła się o poduszkę. – Zmęczyłam się, karmisz mnie chyba za szybko – dodała z lekką pretensją. Odczekał więc, zanim podał jej kolejną porcję. Żuła powoli, patrząc mu w twarz nieruchomym wzrokiem. Ręka już nie trzymała łyżki, tylko opadła na pościel. Spojrzała jeszcze na męża z ogromnym smutkiem.

– Te ptaki za oknem – szepnęła cichutko. – Strasznie hałasują.

– Weronka – wyszeptał martwymi ustami. – Weronka – zajęczał z rozpaczą.

A ona tylko westchnęła, spoglądając po raz ostatni na izbę, a potem na niego. Westchnęła i spuściła głowę.

– Weronka! Weronka! – powtarzał bez końca. – Weronka!

Ale Weronka już go nie mogła pocieszyć.

Samotność Jana

Krasocin, rok 1918

Jan po śmierci żony zapomniał o wojnie. Zamknął się na kilka miesięcy i zapadł w ciemną otchłań. Unikał ludzi, stronił od rodziny, bał się, że będą pytać i współczuć. Rana była zbyt świeża, ciało obolałe, a smutek jak wierny przyjaciel nie chciał na krok odstąpić. Tęsknota i pustka były nie do zniesienia. Wychodził o świcie, wracał przed nocą, żeby się szybko położyć, zasnąć i nie myśleć. Dziewczynki były u dziadków, a Walerka Omasta mieszkała u Adama, ona też leczyła rany.

Życie Jana, rzetelną budowlę wzniesioną w karkołomnym trudzie, toczyło teraz zwątpienie, całkowity bezsens wszystkiego, co robił. Nie myślał o jutrze, niczego nie planował, żył z dnia na dzień, pracując na pełnych obrotach, bo tylko zmęczenie pomagało jakoś egzystować. Bolesne wspomnienia odebrały całą radość i niczym nie umiał się cieszyć. Spoglądał na sprzęty dotykane przez żonę, na koronki u prześcieradeł, które sama dziergała, wyszywane poduszki, pamiętał, jak go jeszcze niedawno pytała, jakie lubi kolory, żeby mu zrobić przyjemność. Śmiał się, że kolory to nie jest jego specjalność, a ona, że przecież lubi zielony, bo zawsze na widok wiosennej trawy śmieją mu się oczy. Tyle w niej było delikatności, urody, taki ładunek pogody i wiary w cuda. Będzie mu jej brakowało. Na półce przy kuchni stały w glinianych pojemnikach ziarna fasoli, które razem łuskali, w garnku na ziemi kisiły się wielkie ogórki, podjadali je czasem późnym wieczorem, kiedy głód przeszkadzał iść spać. Wszystko, na cokolwiek zwrócił uwagę, związane było z Weronką, i na każdym przedmiocie zostawiła ślady swych rąk. Czy będzie w stanie o wszystkim zapomnieć i znaleźć w czymkolwiek pociechę?

Jeszcze miał świeżo w pamięci rodzinne wieczory, kiedy z jednym i drugim szwagrem szatkowali kapustę, napełniając beczki. Kłócili się o politykę, trochę żartowali. Weronka jeszcze wtedy dobrze się czuła i z honorem pełniła rolę gospodyni, częstując dyniowym ciastem i winem. Tyle było śmiechu, dom aż się ze szczęścia unosił. Słyszy ten śmiech do dziś, jak dzwoni pod powałą, widzi żonę, jak tupie na niego, niby w złości, gdy mu się żartów zachciało sprośnych. Taka żywa, jakby była niedaleko, tuż, tuż, wystarczy drzwi do sieni otworzyć i głośno na nią zawołać, a odpowie z głębi ogrodu albo wyłoni się z wiadrem świeżo udojonego mleka, a za nią Ewa, w podskokach, z zieloną gałązką, którą krowom odganiała muchy.

Trudno się było pogodzić ze stratą, z każdym dniem czuł się coraz gorzej. Czas nie przynosił ulgi, raczej pogłębiał samotność i żal. Adam, stary druh, który kilka lat wcześniej przeżywał tę samą tragedię, zostawił go w spokoju. Sam szukał samotności, kiedy umarła Józia. Cudze współczucie zamiast pocieszać, potęgowało stratę, budziło żywą zazdrość i nie mogło być szczere. Taki smutek trzeba oswoić w pełnej samotności, nie tłamsić go, nie ukrywać, udając bohatera. Smutek każdy musi do dna przechorować, tak długo, aż się zmęczy, aż się poczuje, że się ginie. I wtedy się wyzdrowieje.

Tymczasem przyszła wiosna, pojawiły się pierwsze stokrotki. Czas był najwyższy, żeby dzieci wróciły do domu. Tęskniły za matką. U dziadków w domu nie miały kiedy myśleć o smutkach, Ewa w pełni świadoma tego, co się stało, Marysia zbyt mała, ledwie co stanęła na nogi i zaczynała rozumieć, a jednak pustka w domu sprawiała, że czuła się opuszczonym dzieckiem. A Jan nie wiedział, jak je pocieszać, czym zająć, żeby nie płakały. Nie był w tym dobry. Krył się z uczuciami, ani miłości, ani rozpacz nie okazywał publicznie, za to wspierał się intuicją, więc milczał, pozwalając dzieciom nasycić się bólem, dopóki wieczorny sen nie zrobił za niego roboty.

Rodzina jednak czuwała. Teściowie robili wszystko, żeby jakoś ukoić tęsknotę zięcia i wnuczek, choć sami rozpaczali. Jak tylko drogi stały się przejezdne i obeschło błoto, można się było częściej kontaktować. Ewa, nauczona przez matkę porządku, sprzątała izbę – zamiatała, wycierała statki. Pomagała przy porannej toalecie – polewała wodą, podawała ojcu ręczniki, ubierała młodszą siostrę i jak matka karmiła. Miała już osiem lat i jeśli tylko chciała, potrafiła być całkiem dorosła. Wysyłali ją nawet na łąki doglądać krów, lecz nie było co zrobić z Marysią. I wtedy znowu pojawiła się siostrzenica. Adam kolejny raz przywiózł Jasiowi Walerkę, żeby mógł ze spokojem wychodzić w pole, nie prosząc innych o pomoc.

Walerię pochłaniała opieka nad dziećmi. Kiedy zabrakło Weronki, czuła się gospodynią. Jan jej nie przeszkadzał. Nie wtrącał się i nie poprawiał. Żył jakby bezwiednie, zjawiał się w domu i znikał, jakby go wcale nie było.

Mimo jej starań to już nie był ten dom, co dawniej. Walerka była za młoda. Dom podupadał z dnia na dzień. Z grubsza wydawało się, że wszystko funkcjonuje, a jednak z czasem to i owo zaczynało nawalać. Jaś widział, że izba już nie lśni czystością, podłoga z rzadka szorowana dawno nie widziała ługu i nabrała ciemnych kolorów, okna przyprószone kurzem, brudna pościel, nie mówiąc o jego ubraniach. Zmalały zapasy mydła, nie miał go kto zrobić, w szafliku na kuchni pleśniała słonina, w maślnicy gorzkniało masło źle wytluczone, sery się warzyły. Zorientował się dopiero wtedy, kiedy w izbie zaczęło śmierdzieć. Jak mógł, interweniował, ale to było zbyt czasochłonne, i w końcu brud mu zaczął powszednieć. Pogodził się z gorszym jedzeniem, z tym, że już nie będzie tak samo jak kiedyś, a sztywne firanki przy szybach obrobiją w końcu muchy, aż trzeba je będzie wyrzucić. Teraz sam musiał wietrzyć na mrozie futra i samodzielne ubrania, żeby ich robaki nie zjadły. Uderzając w nie brzoową trzepaczką, spoglądał w niebo z nadzieją, że tam u góry Weronka widzi, jak mu bez niej ciężko.

Co kilka dni chodził na cmentarz. Czasem prosił żonę o wsparcie, pytał, czy widziała się z matką, czy jego brat jest także z nimi i tato. W samotności płakał jak dziecko i pojękiwał z żalu. Wykopał w lesie złote kaczeńce, jasne zawilce, zasadził na grobie, kładł młode gałązki brzozy. Kiedyś przyniósł cukierka, którego kupił we Włoszczowie, z różanym nadzieniem, jej ulubionym, i położył pod krzyżem. Może sięgnie z nieba, kiedy nikt nie będzie widział.

Wiosna 1918 roku była mokra i zimna, jakby się wszystko sprzysięgło. Ponure poranki i deszczowe dni pozbawiły Jana optymizmu. Pług grzązł w gliniastych skibach, koń okulał, trzeba go było podkuwać na nowo i doglądać. W domu też szło niemrawo. Dziewczynki bywały kłótlive, markotne i często płakały. Trudno im było bez matki. Walerka nie zawsze radziła sobie z ich żywiołowością.

A ziemia czekać nie chciała, aż sobie gospodarz najpierw dzieci wychowa. Życie toczyło się dalej. Dni przynosiły kolejne wyzwania, dzień i noc przeplatając w cyklu – praca i odpoczynek. To pomagało Janowi przetrwać najgorsze, ale od czasu do czasu zaglądał teraz do karczmy. Początkowo dla towarzystwa, później dla rozrywki.

Zaczęły mu doskwierać samotne wieczory, więc kiedy dziewczynki szły spać, wymykał się z domu na wódkę. Odkrył, że kiedy wypije, zdaje się trochę szczęśliwszy, a i perspektywy widzi nieco jaśniej. Czasem po wódce nawet się rugał, że taki jest miękki. Nie on jeden przecież został bez baby, we wsi co drugi to wdowiec, kobiety często umierały. Słabe, bo albo z brzuchem, albo w połogu wykrwawiały się i marniały od pracy. Taki już los wisi nad człowiekiem, że każdemu coś przeznaczone. Mężczyźni giną na wojnach, kobiety rodząc kolejnych żołnierzy.

Karczma była pełna zmarnowanych bytów, rannych na ciele i duchu, zagubionych i głupich. Kilka nocnych wizyt w mrocznym przybytku sztucznej wesołości, gdzie płacz trudno było odróżnić od śmiechu, wystarczyło mu, żeby zobaczyć dno piekieł.

Kiedy przesadzał z pićciem, gdy czasem przebierał miarkę, wtedy pytał Stwórcę w amoku, dlaczego krzywdzi ludzi. Nijak nie mógł zrozumieć, czy bawi go, że to, co stworzy na swoją chwałę, ginie potem w strachu, w biedzie lub w chorobie. Tyle lat za młodu Jan służył do mszy, miał Kościół w wielkim poważaniu, a Boga za Ojca, który zsyła na niego opiekę i błogosławi, że w zamian za tę służbę kościelną wynagradza jak dziedzic za uczciwą pracę. Przyjmował z pokorą razy, podnosił się z rozpacz, bo wierzył w sens, w cel, w boski plan, miał wiarę, że kiedyś to wszystko zrozumie. Ale im dłużej chodził po ziemskim padole, tym większe czuł rozczarowanie, on, prosty człowiek, element wielkiego planu. Czuł, jak się upodabnia do matki, która także pytała Pana, czym zawiniła, że tak ją mocno doświadczył. Tylko że ona wybaczała Mu, a on, Jan Kuśmierczyk, rolnik z dziada pradziada, nie był tak bezkrytyczny.

Źle znosił poranki po wieczornej libacji. Nie był przyzwyczajony. W końcu to, co przynosiło ulgę, stało się tylko cierpieniem, zostawał ból głowy i mdłości. Dom brudem porastał i pole leżało odłogiem – jawne konsekwencje upadku i rozwiązłości.

Gdyby nie ziemia, gdyby nie dzieci, chybaby się zatracił. Pewnej upalnej nocy pod koniec czerwca zmęczony bezsennością, po kilku piwach, wstał, włożył buty i wyszedł przed dom. Księżyc wisiał nisko, zahaczał brzuchem o korony drzew, a one kładły się ciemną falą w tę stronę, w którą odpływał. Jan poszedł nad strumień, woda toczyła się wartko kamienistym korytem, szemrząc jednostajnie. Przeskoczył go, mocząc nogi. Później przez pola, przez zagony młodej kapusty, depcząc po liściach, łamiąc je i miażdżąc stopami, ruszył przed siebie. Poczul siłę w tym marszu, ciepły wiatr nadał mu koszulę jak żagiel, każdy krok dodawał siły, dalej i dalej, wspinał się po lekkim wzniesieniu. Nad nim niebo, pulsujące nieznanym bytem, tajemniczym bezkresem, pod nim ziemia, która nigdy nie zawiodła, żywiła go i wspierała w latach niedoli. Na lewo za pasem soczystych łąk, które tak kochał, dojrzał linię lasu, szedł przez pola, żeby nie było widać kresu, niczego, co mogłoby go zatrzymać i odebrać siły, których przypływ nagle w sobie poczuł. Wdychał głęboko zapach wilgotnej ziemi, jasnych łanów zboża, świeżo skoszonej trawy, wiatru w krzakach głogu i dzikiego bzu. Ożywczy strumień wypełnił mu płuca, coś w nim na nowo obudził. Pierwszy raz od kilku miesięcy był prawdziwie szczęśliwy. Szedł oczyszczony, pozbawiony złudzeń, ale i strachu, wolny od smutku i z nowym planem. Takie banalne oczyszczenie, takie pospolite odkrycie, dlaczego rano wstaje, czemu się kładzie wieczorem, zrozumienie, że już samo istnienie jest przecież celem i sensem, nawet jeśli koniec niczego nie obiecuje. Choćby dla tego wiatru, co go popychał do przodu, dla powietrza z ożywczym zapachem, dla pracy bez końca, dla urody wszystkiego, co widzą oczy, mimo że nie ma już tych oczu kochanych, co mu słodziły trudną codzienność. Już nigdy do niego nie wrócą, są bezpowrotnie stracone, odeszły jak wczorajszy dzień i nic już na to nie można poradzić. Płakał, ale nie smutek był powodem jego łez, tylko nadzieja, że jeszcze nie wszystko stracone.

Tymczasem zniszczenia i wojenne grabieże dotknęły wieś bardzo boleśnie. We wszystkich zaborach produkcja zmalała o przeszło połowę, a naród bez ziemi i bez wyżywienia nie był w stanie dźwignąć gospodarki. Wojny zniszczyły w całości lub w części dorobek chłopów i polskiego ziemiaństwa. Spadła liczba zwierząt gospodarskich, domy zostały zrujnowane, całe wsie puszczono z dymem. Wyrąbano miliony hektarów lasów.

Wieś żyła siłą rozpędu i chęcią przetrwania. Chłop zwyczajny biedy głód i śmierć przyjmował z pokorą. Natomiast w miastach ludzie wpadali w popłoch na myśl o kolejnym dniu bez chleba i mleka.

CZEŚĆ DRUGA

Gdy odchodzą, odchodzi świat. Ta cała jego
logiczna użyteczność, choć on nie wie o tym.
Sen bez sen-su w pościeli zimnej jak na brzegu
Styksu. I umieranie z tęsknoty. Z tęsknoty.
Przez jakie trzeba przebrnąć bezdroża rozpaczy.
Przedzierać się przez ile zapętlonych nocą
labiryntów milczenia. Gdy krzyk nic nie znaczy,
bo nie ma kogo wołać i oprzeć się o co.
I oto złapać oddech daleko przed świtem.
Zaniemówić. Bo nagle ta postać w oddali.
Bo na polu kwitnącym cichym lnem błękitnym
w ślepym od dawna sercu płomyk się zapalił...
Nie pytajmy o sensy. Uwierzmy najprościej:
są takie przebudzenia. Powroty z ciemności.

Krystyna Konecka *Powroty* (2013)

Wiktorija

Gruszczyn, rok 1918

Zobaczył ją w polu, jak pielila len. Sama pośród niebieskich łąnów. Otoczona najdelikatniejszym z odcieni błękitu, drobna, niewysoka, z włosami pod białą chustką, taką ją zapamięta na zawsze. Ciepło mu się zrobiło na sercu. Odruchowo zaśpiewał piosenkę, którą matka często nuciła przy pracy.

*Wyjechałem rano w pole,
Kiedy był już dzień.
Napotkałem tam dziewczkę
Co pielila len,
Co pielila len.*

Do Gruszczyna szedł tym razem piechotą. Dzień był piękny, słoneczny, aż chciało się iść. Droga wiała się pośród niebiesko-złocistych pól, między nimi raz po raz paski zielonej miedzy. Za Janem w roli swata, z butelką wódki pod pachą, podążał stary znajomy. Jan szedł pochylony, wpatrzony w czubki butów. Przypomnił sobie tę drogę, gdy z Weronką jechali świtem, a na wprost nich sunęła kibitka z więźniami. Kiedy to było?

Swat pogwizdywał raźnie, nieświadom myśli Jana, humor mu dopisywał i cieszyła nietypowa misja, której próbował sprostać. Podziwiał dorodne zboża i łąny lnu, które tak pięknie odbijały światło, czyniąc okolice niebiańską. W polu zobaczył dziewczynę z motyką, która pielila len.

– O! I masz swoją pannę. – Zatrzymał się i spojrzał przed siebie. Nie mógł się pomylić. – Wiktorija Sornat, tę ci Weronka na żonę wybrała. – Podparł się rękami pod boki.

– Ano wybrała. – Jan spokojnie potwierdził. Uniósł głowę i spojrzał w tym samym kierunku. – Więc ja dotrzymam słowa – dodał bez emocji. Nie chciał przed nikim okazać słabości, zdradzać się z uczuciami. Od dnia, w którym podjął ostateczną decyzję o ożenku, czuł wielki kamień na sercu.

– Może ci wyszła naprzeciw. – Swat żartował, widząc, że dziewczyna na ich widok uniosła znad ziemi głowę.

– Już ją kiedyś widziałem, u Dąbków. – Jan odpowiedział, nie odrywając wzroku od panny. – Kilka lat temu, zanim do Prus wyjechała. Nie przyjrzałem się jej wtedy, nie pamiętam, czy była ładna. – Wspominał Wielkanoc w Gruszczynie, Ewa miała wtedy dwa lata. – Skąd mogłem przypuszczać, że kiedyś będę do niej chodził w konkury?

– Więc jest okazja, może się uda przyspieszyć ożenek – odpowiedział swat i ruszył wąską miedzą w kierunku dziewczyny, a Jan podreptał za nim. Dom czy pole, nie jest już w końcu młokosem, żeby się wstydzić kobiety. Trzydzieści dwa lata, nie czas na zaloty i śmiechy. Albo mnie zechce takiego, albo od razu odrzuci. Zdjął czapkę i poprawił koszulę. Przypomnił sobie, jak stroił się za pierwszym razem, kiedy jechał do swojej Weronki. Teraz już na nic nie zważał. Ożenek tym razem miał być raczej aktem

rozwagi, na amory nie miał ochoty.

– Tak od rana w polu? – Swat zagadnął dziewczynę, widząc, że za nią kawał oczyszczonego pola. – Skwar taki, mogłabyś wrócić do domu. Męża ci prowadzę, z wódką do was idziemy – powiedział prosto z mostu.

Janowi zrobiło się głupio, poczuł się trochę niezręcznie. Kiedy na niego spojrzała, bez większej uwagi, zaledwie zerknęła, a potem znów wróciła do pracy, strapił się, że chyba nie wpadł jej w oko.

– Nie wrócę, dopóki nie skończę – odpowiedziała, pokazując miejsce, w którym pole rozszerzało się o kilka zagonów.

– Sucho, chyba ciężko się pieli. – Swat próbował ożywić rozmowę.

– Nie bardzo – odpowiedziała. – Zielsko dobrze wychodzi, ziemia jeszcze nie całkiem obeschła, tutaj jest niższy teren. – Wyprostowała plecy i poprawiła na głowie chustkę. – Sąsiad ma ziemię na górcie, u niego gorzej.

– Podobno wróciłaś z Prus – pytał, widząc, że nic jej nie peszy.

– Spędziłam tam całą wojnę – wyjaśniła. – Wróciłam wiosną, wszystkie wróciliśmy, tęskno już było za domem.

– A ciężko? – zapytał, bo był ciekawy. Imponowały mu odważne kobiety, które bez strachu jechały do Prus za robotą.

– Praca była cały boży rok. Jedna się kończyła, druga zaczynała. Posyłali nas w różne miejsca – tłumaczyła cierpliwie. – Od wiosny do zimy w polu, a potem w młockarni. Spaliśmy po stodołach, czasami w specjalnych domach dla służby. Źle nie wspominał – dodała na koniec.

– To teraz pewnie za mąż chcesz wychodzić. – Uśmiechnął się do niej, czując, że najwyższa pora, żeby przejść do sedna.

– Czemu nie – odpowiedziała szczerze. – Jak się dobry chłopak nawinie...

– A ten tu. – Chwycił Jasia za rękaw. – Ten ci się podoba?

Dziewczyna spojrzała ukradkiem. Trochę się jednak zmieszała.

– Jana znam przecież. – Podniosła wzrok, spoglądając nieśmiało, a zaraz po tym wzruszyła ramionami.

– Trzeba będzie, to wyjdę. Nie jest mi całkiem obcy. Znałam dobrze Weronkę – dodała po chwili i szybko spuściła oczy. – Szkoda jej. Taka młoda umarła.

– A ja znam Józefa, twojego brata. – Jan przełamał treść.

– Wiem, wiem – potwierdziła z uśmiechem. – Pamiętam, ale długo nie było mnie w domu, zmieniliście się wszyscy. – Uśmiechnęła się wreszcie. Swat wyczuł, że lody już przełamane.

– Więc jak, wracasz z nami? – zapytał powtórnie.

– Idźcie, idźcie, ja jeszcze zostanę. – Wytarła ręce w fartuch i strzepnęła go potem dokładnie ze śmieci.

– Tędy i wzdłuż między, będzie wiele bliżej. – Pokazała im drogę na skróty. A potem przez chwilę patrzyła za nimi. Swat duży, barczysty, Jan szczupły i prosty, jak ta topola, co stała opodal przy drodze. Coś się w niej obudziło. Ciche marzenie o własnej rodzinie.

Wiktorii nie miała rodziców. Oboje wcześniej umarli. Była od zawsze sierotą, kątem u kogoś, u brata lub u macochy, a Jan miał dom, niezłe gospodarstwo, był grzeczny i pracowity. Może razem będzie im dobrze. Ale Jan ma dwójkę dzieci. To nic – pomyślała – mało to ich wychowałam? Kręciły się zawsze w pobliżu, miała też młodsze rodzeństwo, po drugiej żonie ojca. Dzieci Weronki to bliscy krewni po dziadku Bartłomieju Sornacie i ciotce Marii, matce Weronki. Poradzi sobie, tym bardziej że to dziewczynki. Pracy przy dzieciach Wikta się nie bała, a ziemia była jej miła i jednocześnie przychylna.

Jan sam nie wiedział, jak ma postąpić. Idąc za swatem, myślał, czy dobrze robi, czy Wikta to odpowiednia dziewczyna. Kiedy zobaczył ją w polu, w tym lnie, taką błękitno-białą, poczuł do niej sympatię, lecz chwilę po tym dopadły go wątpliwości. Właściwie nie musiałby się żenić, gdyby nie

dzieci, gdyby nie prośba żony... Czuł, że dom popada w ruinę, sam też się marnuje. Chyba nie umiał już żyć samotnie, bez kogoś bliskiego. Dzieci, wiadomo, jak dzieci, mają swój świat i dziecięce problemy, a on miał swoje, dorosłe. Nie powie im przecież, że ziarno pleśnieje, że musi je jeszcze przerzucić, że kapustę jedzą robaki, a na skupie zboże tanieje. Nie każe siedzieć córkom wieczorem dla towarzystwa, a zimą wieczory są długie i trzeba je czymś wypełnić.

– Tylko czy ona temu podoła? – wahał się. – Nieduża jest, drobna, ale dość żywa, nie jakaś gapa. Gapy by przecież Weronka nie polecała. Ciężko pracowała na saksach, to się nie boi roboty. I ładna taka, przystępna, nie jakaś wyniosła.

Do domu Józefa Sornata, w którym mieszkała Wiktoria, zostało już kilka kroków. Józef był prawnym opiekunem siostry. Lubił Jana i szanował, jednak miał obawy, czy wdowiec z dziećmi jest odpowiedni dla siostry. Nie chciał jej skazywać na trudne życie. Nie, żeby miał coś do Jasia, ale to zawsze jakby z drugiej ręki. Ogarnęły go wątpliwości. Żałował, że zanim się zgodził na swaty, nie zapytał wcześniej Wiktorii.

– Wikta, Wikta. – Głos przyrodniej siostry słysząc było z daleka. – W domu są swaty, do ciebie – krzyczała zaaferowana. – Masz przyjść, o matko, szykują ci Kuśmierczyka – wydusiła zdyszana. – Ale on bardzo stary, Wikta, i dzieciaty – dodała wzburzona. Policzki miała czerwone od krzyku i wojownicze spojrzenie.

Wiktoria patrzyła na nią z uśmiechem. Pyzata buzia siostry wzruszała ją i śmieszyła.

– Nie taki stary, siostrzyczko, sześć lat to nic wielkiego.

– Pójdiesz za niego? – zapytała prawie zgorszona.

– Jak ma się tyle lat co ty, to się wydaje stary. Dla mnie jest akurat.

– Ale dzieciaty. Ewa niewiele starsza ode mnie – prawie krzyknęła. – Będziesz miała od razu dzieci na głowie – zapiszczała zdziwiona spokojem siostry.

– Ciebie też wychowałam, a mniejsza byłam, kiedy się tata drugi raz żenił. Zapytaj mamę, czy źle jej było za wdowca wychodzić. Toż ona tak samo wzięła dzieciatego i nie z dwójką, ale z czwórką, i jeszcze mieli swoich drugie tyle. Mogę i Ewę tak samo karmić i dbać o młodszą Marysię – powiedziała do zaskoczonych siostry.

– A co będzie z nami? – Dziewczynka spochmurniała.

– Duża już jesteś, sama za mąż niedługo pójdziesz. Już ci nie będę potrzebna. – Pogłaskała ją lekko po twarzy.

– Ja tam za chłopca nie wyjdę. Z miasta sobie męża poszukam. Będę jeździć powozem, a nie furmanką, a latem nosić parasolkę. Nie chcę pracować w polu.

Wiktoria zmarkotniała. Sama myślała podobnie, ale życie zmienia ludzkie plany.

– Nieznane są wyroki nieba – powiedziała do małej półgłosem.

Szły na skróty przez pola kwitnącego zboża. Mała biegła przodem, zrywając wielkie kąkole. Nad łanem unosił się tuman kwiatowego pyłku, że aż kręciło w nosie. Wikta szła brzegiem miedzy, prawą ręką dotykała kłosów, ich miękkie wąsy lekko łaskotały skórę, a żółty proszek oklejał spoconą dłoń aż po nadgarstek. Słyszała w oddali porykiwania krów idących do stawu. Na dnie zbiornika zostało trochę wody. Słońce było w zenicie, paliło krowie grzbiety oblepione od much. Kopyta zapadały się w ciemny muł, który wyłonił się wskutek suszy. Aż się prosiło o deszcz, solidną ulewę, która zmyłaby resztki gnoju i pot z krowich grzbietów, a przede wszystkim wypełniła zbiornik.

Na ścieżce przed domem czekał na nią brat.

– Przebierz się i zajrzyj do izby – powiedział do Wikty półgłosem. Był podekscytowany. – Masz w izbie kawalera, przyszedł o rękę prosić. Zgodziłem się na te swaty, ale ty nie musisz się spieszyć.

Możesz ich odesłać, przyjdą innym razem – cierpliwie tłumaczył.

– Przecież się nie spieszę – mówiła całkiem spokojna. – Mogłam tu być wcześniej, gdybym tylko chciała.

Brat spojrzał zdziwiony.

– Spotkałam ich przy drodze – wyjaśniła krótko.

– To wiesz już?

– Wiem – odpowiedziała.

– Jana znamy od dawna. Chce się z tobą ożenić. Uważam, że to wartościowy człowiek, ale jest wdowcem, ma dwoje dzieci. To jest poważna sprawa. Nie można decydować pochopnie.

– Ano, jak trzeba, to trzeba. Skoro tak go chwalicie.

– Ty sobie, Wikta, nie myśl, że my się chcemy ciebie z domu pozbyć. Ale skoro jest już starający się, to trzeba mu odpowiedzieć. Nie dzisiaj, to jutro, mamy czas, wszystko od ciebie zależy. Zatrzymam go jeszcze, a ty sobie spokojnie kalkuluj. Nikt cię przecież zmuszać nie będzie.

– Wiem, że chcecie dla mnie dobrze.

– Pamiętasz, jak zaplanowałaś wyjazd na saksy? Byliśmy przeciwni. Ale ty chciałaś być samodzielna, mieć własne pieniądze, poznawać ludzi. To i pojechałaś. Wojna ci przeszkodziła w planach, wróciłaś do swoich, ale dalej masz wolną rękę.

Wiktorია stała w sieni, słuchając uwag brata. Minę miała poważną i rozsądne spojrzenie.

– Przebiorę się i przyjdę do izby, czekajcie na mnie – powiedziała i weszła do swojego pokoju. Tam już czekała macocha.

– Swaty są w izbie, przebierz się – powtórzyła za Józkiem.

Rozśmieszyło to Wikte.

– Tak, tak, wszyscy mówią tylko o jednym.

– To dobry kandydat, Wikta – szeptała półgłosem. – Chwalą go, że pracowity i bardzo łagodny. Dąbkowa też go zachwala, jaki to z niego był dobry zięć, że lepszy czasem od synów rodzonych. Ciągłe oplakuje córkę, ale i tobie przecież dobrze życzy.

Wiktorია słuchała z kamienną twarzą, ale serce biło jej w piersi, szamotało się, jakby zgubiło drogę. Nabrała głęboko powietrza, żeby odzyskać spokój.

– Józek mi mówił to samo – powiedziała oschle.

Kiedy weszła do izby, goście siedzieli przy stole, popijając wódkę. Według zwyczaju matka albo ojciec oficjalnie przy świadkach powtarzali dziewczynie, że goście przyszli w swaty, i zadawali pytanie, czy zgadza się na zrękowiny. Formułkę tę wygłosił za nich Józef, a Wiktorია, zamiast dać odpowiedź, usiadła do stołu i wzięła kieliszek wódki, przypijając do swata i do kawalera.

Jan spojrzał z uwagą.

Szykuje mi się żona z charakterem – pomyślał ze strachem, ale i z nadzieją.

Ślub

Krasocin, rok 1918

Ślub Wiktorii Sornat, córki Ignacego i Marii z Wolskich, urodzonej drugiego grudnia 1892 roku w Gruszczynie, z Janem Kuśmierczykiem, synem Piotra i Józefy z Majeckich, urodzonym czwartego marca 1886 roku w Krasocinie, odbył się w lipcu 1918 roku w kościele parafialnym w Kozłowie. Wesele było skromne. Świeże rany po śmierci Weronki wielu jeszcze bolały, a i wojna niosła kolejne ofiary. Robiło się ciche wesela ze względu na trwającą żałobę w rodzinie, a także w ojczyźnie.

Panna młoda w posagu wniosła trzy morgi ziemi, która leżała na Dąbrowie, blisko Krasocina, i trochę grosza za ziemię pozostałą przy braciach.

Małżeństwo zamieszkało w domu Jana. Wraz z nimi Ewa i Maria Kuśmierczyk, córki Jana i Weroniki Dąbek, oraz sierota, Waleria Omasta, jego siostrzenica. No i cóż można jeszcze dodać? Chyba tylko to, że początki nie były łatwe.

Tuż po weselu nastał okres zbiorów. Młodej parze brakowało czasu na długie rozmowy i małżeńskie zaloty. Poznała ich ze sobą praca i krzątania od świtu do nocy, ale to chyba było potrzebne, żeby przełamać lody i oswoić się z nową sytuacją. Jan był u siebie, ale ona, zanim odważyła się cokolwiek zmienić, musiała najpierw poznać tutejsze zwyczaje. Macocha jej poradziła, żeby robić porządki pod nieobecność męża.

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – powtarzała jej jak modlitwę. – Każdego dnia zmieniaj tylko jedną rzecz. Chłop się nie spostrzeże, uwierz mi, za miesiąc będziesz panią na włościach, a on zapomni, że kiedyś było inaczej.

Rady macochy śmieszyły Wiktorię, ale w praktyce okazały się przydatne. Jak mówią, co dom – to obyczaj, w jedzeniu, spaniu, w ubiorze, w zabezpieczaniu zapasów. Zmiany zaczęła od komory, tam mąż najrzadziej zaglądał. Dopiero później zajęła się dziećmi, domem i całym obejściem. Inaczej piekła chleb, wolała inne ciasta, inaczej smakowały jej masło i sery. I znowu nowa miotła robiła porządki. Domownicy stopniowo musieli się z tym oswoić. Krasocin znała od dziecka, ale przyjeżdżać w gościnę, a mieszkać i gospodarzyć to całkiem nowa bajka. Następnego dnia po weselu obeszła okolicę. Był środek lata, zbliżał się czas zbiorów. Na pola wyległy całe rodziny. Nadarzyła się świetna okazja, żeby poznać sąsiadów zza płotów i zza miedzy.

Jan początkowo nie wiedział, czy znajdą wspólny język. On lubił czasem pozartować, szczególnie jak trochę wypił. Ona z reguły spokojna i cicha, miała wieczny uśmiech w kącikach drobnych ust, a mimo to była z jej twarzy powaga. Była inna niż zwiewna Weronka. Wiktorii brakowało czaru i okazywanej przed mężem słabości, która najbardziej wzruszała Jana. Tego nie znalazł w nowej żonie. Dziwnie było mieć obok kobietę, która wiedziała sporo o pracy na roli i miała na wszystko gotową odpowiedź. Za to rano, gdy otwierał oczy, już się krzątała po izbie, kładła drewno do pieca, które wcześniej przynosiła z podwórka, szykowała posiłek dla niego i dzieci. Dom żył od samego świtu, a on nigdy nie wychodził bez śniadania w pole. Wszystko w cichej pokorze, z pełnym przekonaniem, że taka jest właśnie jej rola.

W czasie pobytu w Prusach nabrała oglądy i sprytu. Widziała na własne oczy, jak wygląda życie w mieście, sprawdziła tak samo jak Jan na własnej skórze smak pracy najemnej. Mieli więc o czym rozmawiać i czym wypełniać wieczory. Chciała jak mąż decydować i stawiać warunki, nie tylko bezwolnie słuchać.

– W Prusach zboże ścinało się kosą. Mało kto sierpa używał – opowiadała mężowi. – Przez cztery lata można się było wiele od Niemców nauczyć. Myślałam, że kiedy wrócę, opowiem w domu, ale brat nie chciał nawet słyszeć, że to niby słoma się kruszy i ziarno marnuje. Macocha nawet twierdziła, że kosą nie po bożemu. – Wzruszyła ramionami. – Czy to Bóg wybiera narzędzia do pracy?

– Raczej się cieszy, że chłop zaradny – przytaknął żonie. – I nie trzeba się tyle pochylać, a przyłożenie do kosa daje większy rozmach, bo i drzewiec długi, i ostrze mniej wygięte, więc lepiej zagarnia. – Jan bardzo się do tego zapalił. Też w Prusach oglądał kosy. Przyjrzał się ich konstrukcji. – Myślisz, że dałbym radę? – pytał niepewnie żony.

– A co nie miałbyś dać, skoro inni dają – zapewniała szczerze. – Tylko kosę musisz najpierw kupić, taką z płótnem na pałąku.

– Nie o koszeniu mówię. Zastanawiam się, czy dałbym radę zrobić coś takiego. To chyba nie będzie trudne. – Zamyślił się. Rysując palcem po piachu, planował, od czego zacznie. – Płótno będzie potrzebne, przymocuje się je do pałąka, tuż nad kosiskiem, pod pierścien, będzie lepiej zagarniać zboże i układać w rzędzie, wtedy snopki wyjdą równe i proste – głośno komentował. – Kowal wyklepie ostrze, tylko oprawić w drzewiec, dobić krótki uchwyt i można kosić. – Spojrzał na Wiknę, czy aprobuje ten pomysł.

– Zrobić zawsze taniej niż kupić. Po co wydawać pieniądze, skoro jest rada jak tego uniknąć – pochwaliła pomysł i już nazajutrz Jan zaczął wcielać w życie swój racjonalizatorski projekt.

Karol Siut, miejscowy kowal, miał wprawę, ostrza do kos robił na zamówienie. Wyklepał Jasiowi podobne, długie, lekko zaokrąglone i niezwykle ostre. Dodał do tego osekę.

– Tym musisz ostrzyć kosę przed każdym koszeniem, inaczej tylko słomę poszarpiesz.

Pierwsze koszenie szło raczej opornie. Dopóki Jan nie nabrał wprawy, nie zawsze trafiał do celu. Wikta szła za mężem, cierpliwie zbierając pokosy w naręcza. Najpierw sypały się w różne strony, lecz z każdą godziną coraz ładniej kładły się w wachlarz. Tępy sierp nagarniała łodygi i wiązała w nieduże snopki, żeby wieczorem wspólnie stawiać z nich kopki lub mendle. Niektóre pokosy, zarośnięte chwastem, zostawiała lekko rozłożone, żeby można je było później przebrać.

Tamte żniwa miała długo pamiętać. Nowy dom, nowa rodzina i nowe zwyczaje w polu. Plecy bolały od ciągłego schylania, ręce poranione od ostów, których tego roku przyroda nie żałowała. Do tego bracia krytykowali odwagę Kuśmierczyka i patrzyli z obawą, jak sobie z kosą poradzi. Ustalone od lat zasady używania sierpa miały swoje plusy. Ręce z wyczuciem traktowały zboże, w szczególności kłosa. Natomiast kosa cięła na oślep, część kłosów trafiała w ściernisko, z którego trzeba je było potem zbierać grabiami. Praktycznie jednak straty były prawie niezauważalne, a tempo prac wielokrotnie większe, co pozwalało zaoszczędzić czas i siły na inne, dość pilne prace przy żniwach. Mały zagon pszenicy i prosa, ze względu na wartość ziarna, a także sposób zbierania, trzeba było kosić po staremu. Wysokie żyto, które wybijało i poszło w łodygi, zbierano ręcznie. Słomą zbożową Jan później naprawiał poszycia dachu i stodoły. W gospodarstwie, które miało się samo utrzymać, trzeba było myśleć o wszystkim i znać się na wielu drobiazgach. Popełniane błędy dawały się we znaki w późniejszym czasie, kiedy już nie można było niczego naprawić.

Rok 1918 przyniósł ze sobą radość zwycięstwa i wolność. Państwo polskie powróciło na mapy

Europy. Rosja osłabiona i wycieńczona po rewolucji wycofała się z działań wojennych. Zniknęła razem z aparatem państwowym i policyjno-wojskowym, który niegdyś skutecznie trzymał polskie ziemie w granicach rosyjskiego imperium. Wraz z rewolucją zniknął carat – symbol niewoli i uciemnienia. Ofiary tych zmian były straszne. W lipcu w okrutny sposób zgładzono cara i całą jego rodzinę. Pojawił się nowy symbol łopoczący na wietrze flagą w kolorze czerwonym. Jedna wojna przechodziła w drugą, stary porządek w nowy, nikt jeszcze nie wiedział, który będzie gorszy.

W myśl reguły, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta, Polska odzyskała tożsamość. Ale splądrowany i zniszczony kraj dźwigał się z wielkim trudem. Mieszkańcy trzech zaborów przekazywani z rąk do rąk do ostatniego dnia wojny nie mieli pewności, czy wrócą do domu, a jeśli tak, to czy to będzie dom i czy zostaną serdecznie przyjęci. Przecież bili się często po przeciwnej stronie barykady. Granice wrogich państw ciągle istniały, choć nie na papierze. Nikt nie wiedział, jaką postać przybierze ten kawałek świata i do kogo będzie należał. Kto wróg, a kto przyjaciel. Koncepcje też były różne, sprzymierzeńcy mamili obietnicami, raczej bez pokrycia.

Z rozmachem szerzył się bolszewizm. Obalić stary porządek i zmienić oblicze świata z jednej skrajności w drugą, to była nadzieja dla jednych, dla drugich zguba, z konsekwencjami trudnymi do przewidzenia. Nie było czasu na szukanie sojuszy. Polacy zjednoczyli się pod wspólnym sztandarem, ci proaustriaccy i prorosyjscy, i z wszystkich innych opcji, nie patrząc na polityczne skłonności i orientacje, szli na bój w jednej walce o wolność.

Wieści z frontu dochodziły do Krasocina ustami powracających do wsi żołnierzy, rannych, chorych, czasem dezertów, którzy nie wytrzymali w szeregach i nie chcieli zginąć pod sztandarem wroga. Gazety komentowały sytuację na froncie, relacjonując losy kolejnych bitew, a ludzie ogłupiali czekali, co będzie dalej, bojąc się, że już chyba nikt nad tym nie panuje. Jedni chcieli nowego ustroju, budowali już dla niego przyczółki, gotowi odpowiedzieć na pierwsze wezwanie, inni liczyli na uczciwe prawo, które da im wolna ojczyzna.

Mimo że wojna skończyła się w listopadzie 1918 roku, kraj trwał w ciągłym niepokoju. Państwo ogołocone z narodowego majątku, pozbawione władzy i prawidłowo funkcjonującej administracji borykało się z ustaleniem granic. Tymczasem ludność na własną rękę próbowała porządkować ojczyznę.

Jedenastego listopada o świcie, gdzieś we Francji, w wagonie kolejowym podpisano wreszcie rozejm, formalne zakończenie wojny. Władzę cywilną w kraju oraz naczelne dowództwo nad siłami zbrojnymi przekazano w ręce Piłsudskiego. Żołnierze zaczęli masowo wracać do domów, a w miastach i na wsiach dokonywano ostatnich rozbrojeń. Kształtowały się granice niepodległej Polski.

O pełnym spokoju jednak nie było mowy. Zaczynały się walki o Wielkopolskę. Buntował się także Śląsk, trwała walka o Lwów. Wszczęto powstania, żeby wydrzeć co tylko się da od byłych zaborców. Daleki krewny, który kiedyś mieszkał w Krasocinie, lecz przed wojną wyjechał na wschód, wysyłał wieści o sytuacji na wschodniej granicy. Donosił o ciężkich walkach i strasznych ofiarach. Pierwszego listopada Ukraińcy wkroczyli do Lwowa. Obrońcom brakowało ciężkiego sprzętu i artylerii. Dopiero dziewiętnastego listopada z Przemyśla wyruszyła długo oczekiwana odsiecz. Następnego dnia Lwów był wolny, pod naporem polskich oddziałów Ukraińcy wycofali się z miasta, ale zginęło wielu Polaków, wśród nich głównie uczniowie i studenci. W Krasocinie wzbudziło to wielkie emocje, a krótko po tym zaczęto już śpiewać po karczmach piosenkę o Jurku Bitschanie, chłopcu, który wymknął się z domu, żeby walczyć o swoje miasto. Wskoczył przez okno sypialni i poszedł z dorosłymi bronić cmentarza. Dostał dwie kule w nogi i zmarł, leżąc samotnie. Następnego dnia ojciec znalazł go bez życia, przykrytego cudzym płaszczem.

Jan przyniósł tę historię do domu któregoś wieczoru i opowiedział żonie. Tyle nieszczęścia wszędzie, niby jedno życie mniej już nie powinno mieć znaczenia, a jednak wzruszyła ich ta historia, a myśl

o utracie dziecka przejęła trwogą.

Ośmioletnia Ewa nie rozumiała jeszcze sensu słów ojca, patrzyła zdziwiona na łzy Wiktorii. Nauczyła się żyć w atmosferze zagrożenia, którego nie rozumiała. Poznała wprawdzie strach, kiedy nocą zabłąkany żołnierz łomotał do drzwi chałupy, a potem, strasząc karabinem, zabierał jajka i kury, lecz co to krew i zabity człowiek nie miała na szczęście pojęcia. Słyszała to i owo, kiedy rodzice rozmawiali o wojnie, że zginął syn sąsiadów, a inny, ranny, uciekł z niemieckiej armii i umarł po drodze z głodu, lecz ani ona, ani najbliżsi nie zaznali szczególnych okrucieństw, wojna jej nikogo nie zabrała, a ciągła obecność i troska najbliższych dawała poczucie bezpieczeństwa. Mała Marysia miała dopiero trzy lata i w głowie jedynie psoty. Wytargać psa za uszy, wylać wodę z konewki, wrzucić do wiadra z wodą przestraszone kociątko, to były jej główne zajęcia. Nie miała pojęcia, co znaczą smutki. Za to Jaś i Wiktorcia przejęci wojną nasłuchiwali ze strachem, co im los jeszcze przyniesie.

Długa droga

Krasocin, rok 1919

Cała powojenna Europa nagle odkryła skarb, narodowy zaczyn w postaci chłopstwa. Hurmem wszyscy chcieli edukować, pomagać, zabezpieczać, wprowadzać innowacje i reformy. Oczywiście przede wszystkim oparte na chłopskim przywiązaniu do ziemi, ale i na kapitale, a głównie kredytach. Bankowcy zacierali ręce. Reformy miały poprawić warunki życia i zapewnić rozwój produkcji, ale były trudności z ich wprowadzaniem. Polska została drastycznie zredukowana z miliona do 388 634 kilometrów kwadratowych. Trzeba więc było wyżywić ojczyznę z tego, co zostało. A kraj ciągle jeszcze płonął na granicach i trudno było o porządek i sprawne działanie.

Jan z Wiktorią walczyli o przetrwanie. Trudne czasy – chaos w państwie, niepewność jutra – scalały ich związek. Dziewczynki rosły, a małżeństwo zaczęło dojrzewać. Każdego dnia stawali się sobie bliżsi. Jesienią urodził się syn – Edward, ich pierwsze dziecko. Jan szczęśliwy, że ma wreszcie dziedzica, mógł już planować przyszłość, ale ta przyszłość zależała nie tylko od niego. Do tego synek niestety często chorował. Więc pod osłoną pozornego szczęścia krył się wieczny strach o jego życie.

W połowie sierpnia na Górnym Śląsku wybuchło powstanie. Nagły zryw w obronie aresztowanych kolegów przerodził się w jawną walkę. Ludność umęczona niemieckim terrorem zażądała przyłączenia do Polski. Znowu połała się krew. A Wiktoria tak bardzo pragnęła spokoju. Ile się można bać? Już nie pamiętała, kiedy się czuła bezpieczna. Nie dane jej było dorastać bez strachu o życie najbliższych. Na wojnie straciła brata, Staszka. Zginął we Francji i wrócił do domu w trumnie. To była wojenna rana, którą czuła dotkliwie. Przecież dobrze wiedziała, że wojna zbiera żniwo i jak nienasycony smok pożera swoje ofiary. Szczęśliwy ten, kogo dom cudem ominęła. Bała się jednak, czy aby smoczy oddech nie dotrze do Krasocina.

Każdy dzień stawiał przed nimi nowe problemy. Nadeszła jesień, a z nią deszcze. Cały wrzesień padało. Pogoda utrudniała wykopki. Zwozili do kopców rozmiękle i ubłocone ziemniaki i nie mieli ich jak wysuszyć. Jan dobudował niewielki składzik pod ścianą chlewu. Obstawił go drewnem z przydziału, a w środku złożył zapasy lnu i łądygi konopi – skarby prawdziwe w każdym chłopskim domu. Z lnu Wiktoria będzie tkala zimną materiały, konopie przeznaczą na sznury, na lejce i na worki. Konopie w tym roku wyrosły wysokie. Jan zrobił żonie nową międlicę, stara była za krótka do takich długich łądyg. Będzie się trzeba zabrać za czesanie. Im szybciej oddzieli się łąty i oczyści ze śmieci, tym sznury będą trwalsze.

Lało nieustannie. Ci, którzy zdołali zwieźć wszystko z pól, walczyli z wilgocią. Woda wdzierała się do gospodarstw, zalewała podwórka, domy, ziemianki. Wymywała grunt spomiędzy kamieni, a gliniana zaprawa wciekała z błotem do piwnic.

Rozmyło też drogi, konie grzęzły w błocie razem z wozami. Jan wracał wieczorem przemoczony do suchej nitki. Prognozy były marne, przed nimi zima, nie będzie kiedy suszyć płodów. Pod koniec września na szczęście opady ustały, ale dopiero w pierwszych dniach października wyrzało słońce. Wikta stała przy oknie, patrząc z nadzieją, jak pomarańczowa kula chowa się za szczytem lasu.

– Jutro będzie ładny dzień, jestem tego pewna – powiedziała strapiona do Jana.

– Czas byłby najwyższy. – Usiadł do stołu, na którym dymiły ziemniaki z podsmażaną cebulą. – Jeszcze tydzień i wszystko diabli wezmą. Ziarno zgnije, słoma już czarna miejscami. Dobrze, że siano udało się jakoś dosuszyć. Jakby tak jeszcze powiało ciepłem, to byłbym uratowany – powiedział z nadzieją w głosie. Od rana pomagał w wykopkach sąsiadom. Skończył też naprawiać nadgniły dach stodoły. Bał się, że nie przetrzyma kolejnego deszczu.

– Spójrz, jaka łuna i niebo caluśkie niebieskie, ani jednej chmurki. – Wpatrywała się w czysty horyzont.

– Niebiosa się wreszcie zlitowały nad nami.

– Ano widać, że niebo czyste, ale co nam świt przyniesie? – Jan patrzył nieufnie w jaskrawą łunę słońca, które przed chwilą zaszło za dach sąsiada. Zawsze jak czepił się złudnej nadziei, to było na odwrót. Marzyć nie miał odwagi, wołał zwątpienie. Wtedy krzywda wydawała się mniejsza. Wikta, jak to kobieta – działały na nią kolory. Zobaczyła słońce na wieczór, to cały tydzień od razu planuje.

Kładł się jednak spać z nadzieją, że rano wstanie pogodny. Najpierw myślał, że wcale nie zaśnie, po całym dniu pracy bolały go plecy i nogi. Dłonie miał poharatane od wideł, spod których wybierał ziemniaki. Ale zasnął natychmiast, jeszcze zanim Wikta zdążyła nakarmić Edka. Nocą, kiedy usłyszał nad uchem jej zrozpaczony głos, przebudził się nieprzytomny. Otworzył oczy i zobaczył żonę trzymającą w objęciach dziecko. Uniósł się na łokciu, przecierając oczy.

– Znowu jest chory – powiedziała z lękiem. – Zobacz, jaki gorący.

– Robiłaś mu kompresy? – zapytał zaspanym głosem.

– Owijałam go w mokre płótna, ale bałam się, że go całkiem wyziębię. Jasiu – szukała w mężu ratunku.

– Jasiu, co ja mam robić? Boję się, tak jakoś płytko oddycha. – Położyła mu dziecko na łóżku.

Rzeczywiście mały Edek był rozpalony. Spoglądał spod lekko przymkniętych powiek, ale nie wodził wzrokiem, patrzył gdzieś poprzez nich, jakby coś widział w oddali.

– Czekaj. – Oddał jej dziecko i wysunął się spod pierzyny. – Ubiorę się i pomyślimy. – Był obolały i nie całkiem przytomny. Wkładając spodnie, zastanawiał się, co teraz pocznie. Mały jakiś czas temu kaszlał i sporo płakał, ale ostatnio jakby wydobrał. Widać choroba wróciła i teraz już bez doktora raczej się nie obędzie.

Małeństwo nie chciało jeść ani pić. Wikta próbowała bez skutku napoić go piersią albo z łyżki lipową herbatą. Jan nacierał małe ciało delikatnie, żeby przyspieszyć krążenie, robił zimne okłady na rozpaloną główkę, ale Edek nie reagował na żadne starania. Jan czuł się bezradny, patrząc, jak dziecko cichnie z każdą minutą. Z bezsilności chciało mu się płakać. Wikta z rękami przy twarzy płonęła z emocji, czuła, że cała truchleje. A on myślał tylko o jednym. Kołysał syna i cicho się modlił, przepraszał za grzechy i prosił, żeby Najwyższy nie zabrał mu dziecka.

– Nie będę czekał beczynn timer – stwierdził nagle i poderwał się z łóżka. – Ubierz się, weź dobre buty. Małego porządnie owiń.

Spojrzała na męża zdziwiona.

– Jasiu, co ty chcesz zrobić?

– Do lekarza idziemy – powiedział krótko. – Tylko tak możemy mu pomóc. Nie będę czekał, aż tutaj umrze.

– Ale doktor aż w Koniecpolu, chcesz tam iść piechotą? Lekarz z Włoszczowy na wojnę pojechał, ludziska do Kielc jeżdżą.

– Wikta, w tym błocie żaden wóz nie dojedzie. Ugrzęźniemy po drodze i będzie prawdziwa bieda, bo jeszcze kłopot z koniem. Przecież szliśmy piechotą do Częstochowy z pielgrzymką. Koniecpol w połowie drogi, jakoś dojdziemy. Dziecko leciutkie, na zmianę go poniesiemy. W Koniecpolu się przenocuje, byle tylko zastać lekarza, a jak będzie wszystko dobrze, to może i zdołamy wrócić do domu. Mam trochę

pieniędzy, na doktora i nocleg wystarczy, gdyby było trzeba.

Stała przez chwilę zdumiona. Patrzyła w oczy mężowi i widziała w nich przerażenie.

– Masz rację – natychmiast przyznała. – Nie będziemy czekać, aż umrze. Wezmę płachtę, zawiążę na szyi i poniosę w niej dziecko.

– Eee, płachta nie będzie potrzebna – stwierdził. – Jest cięższa od dziecka, poniosę je w beciku, tylko dobrze opatul. Toż on lżejszy niż koszyk, który noszę co tydzień do Włoszczowy na targ.

Zanim się wschód wychylił zza lasu, oni byli już w drodze. Do Konięcpola, idąc na skróty, mieli do przejścia trzydzieści pięć kilometrów. Szli równym krokiem prawie w milczeniu. Jan tylko od czasu do czasu zaglądał w becik i sprawdzał, czy Edek żyje. Żył i nawet wyglądał lepiej niż w domu. Rześkie powietrze chłodziło mu czoło, które wystawało z głębokiego puchu. Ranek był rześki i pogodny. Słońce nie zawiodło, jak zaszło czerwone, tak wstało, tylko z innej strony świata. Wiktoria spojrzała z wdzięcznością na jasny krąg, który się wolno wyłaniał zza sosen. Nie myśleli o deszczu. Szli szybkim krokiem, dopóki starczało sił. Przysiadali po drodze na krótki odpoczynek. Wikta próbowała nakarmić małego i nawet trochę wypił. Wstąpiła w nią nadzieja i zaraz szło im się raźniej. Z każdym kilometrem małe dziecko zdawało się cięższe. Żalowali jednak, że nie zabrali płachty. Janowi omdlały ręce, więc brała od niego syna, ale i ona traciła siły. Przerazili się, że chyba w ten sposób nie dojdą. Na szczęście szli teraz twardszym gruntem. Już nie grzęźli w błocie. Droga prowadziła powyżej pól, kamienistym grzbietem wzniesienia. Słońce było wyżej, grzało im twarze, lekko oślepiało i dodawało otuchy.

Wikta zatrzymała się i spojrzała w niebo.

– Robi się cieplej – powiedziała do męża i zaczęła rozwiązywać wełnianą pelerynę, którą była okryta. – Poniesiemy w niej dziecko – oznajmiła. – Jestem ciepło ubrana, a słońce mocno przypieka. – Podała Jasiowi swój pasiak. – Będziemy szybciej szli, lżej nieść na szyi niż w rękach.

Jan zgodził się bez wahania. Ramiona miał już całkiem zdrętwiałe, a przez to i nogi słaby. Dał sobie zawiązać pelerynę na plecach, a do środka włożyli dziecko. Teraz mógł trochę odciążyć ręce i wyprostować plecy.

– Tak dużo lepiej. – Spojrzał z wdzięcznością. – Bylebyś ty mi się nie przeziębiła.

– Ciepło mi – uspokajała. – W marszu jest nawet gorąco. I słońce już coraz wyżej.

Dziecko zaczęło cichutko kwilić, dając znaki życia. Jan i Wikta uśmiechnęli się tylko do siebie i ruszyli w dalszą drogę.

Była już pora obiadu, kiedy dotarli na miejsce. Lekarz miał gabinet w małym domku w pobliżu kościoła. Długo przystawiał słuchawkę do małego ciała. Dziecko słabo reagowało, leżało cichutkie z przymkniętymi oczami. Już nie było takie gorące. Lekarz kazał Wikcie nakarmić chłopczyka, a wcześniej podał mu na łyżeczce kilka kropel z ciemnej butelki. Mały niechętnie oblizwał spalone wargi, krztusząc się lekko. Niestety nie chciał matczynego mleka. Zaledwie kilka razy pociągnął pierś i z niechęcią odwrócił głowę.

– Trzeba często próbować – powiedział do Wikty lekarz. – Nawet kilka kropel coś daje – pocieszał. – Ale dziecko jest bardzo chore. – Stał nad małym Edkiem i przecierał zmęczone oczy. Widać długo jeździł do chorych, bo buty miał obłocone. – Tutaj są krople, trzeba je dawać co trzy godziny. Nakarmić pierś i podawać, dopóki nie zaśnie. Macie się gdzie zatrzymać? – zapytał z troską.

– Myśleliśmy, żeby wracać z powrotem. – Jan przyznał szczerze.

Doktor spojrzał na zmęczone twarze i maleństwo na lekarskim stole.

– Dwie ulice stąd jest karczma, mają tam czyste pokoje. Tak będzie lepiej dla dziecka i wam przyda się odpoczynek – stwierdził, patrząc, w jakim są stanie. – A rano zajrzyjcie tu z synem, obejrzę go, zanim wrócicie do siebie.

Jaś zapłacił lekarzowi za poradę i za lekarstwo, a potem poszli poszukać karczmy. Rzeczywiście była

niedaleko. Wynajęli więc pokój i zostali w nim do rana. Wikta karmiła i przewijała dziecko, a Jan jej pomagał podawać krople. Późnym wieczorem zasnęli znużeni. Nad ranem obudził ją gwar, krzyki na ulicy i stukot ciężkich kół na miejskim bruku. Wiktoria otworzyła oczy i zamarła. Jana przy niej nie było.

Bracia

Poznań, Wilków, Strzelin, Dzierżoniów, rok 2009

Pomysł z rodzinną wyprawą udało się zrealizować dopiero w październiku. Ustaliłam, że na pierwsze spotkanie wystarczy nam jeden weekend, a potem się zobaczy. Zanim wyjazd doszedł do skutku, wymiana informacji pomiędzy braćmi trwała przez kilka miesięcy. Wywołała w rodzinie spore poruszenie i nieufność co do intencji. Później pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę. Bracia zwarli siły, odrzucili koce, laski i krzyżówki.

– Jest robota, hurra!!! – stwierdzili z radością – trzeba się więc do niej przyłożyć.

Początkowo liczyli na własne notatki i pamięć. Z dnia na dzień otwierały się im kolejne szufladki, powracały wspomnienia lat, które wspólnie przeżyli. Przecież zawsze marzyli, żeby swoim wnukom opowiedzieć o ich korzeniach. Dożyli takiego wieku, w którym każdy dzień był darem od niebios. Pokolenie wojenne z nadszarpniętą psychiką i zdrowiem to nie był trwały materiał. I jeszcze ten bolesny bagaż wspomnień. Mimo to było w ich życiu wszystko – dzieciństwo, młodość i miłość. Powtarzali uparcie swoim potomnym, że doświadczenia przodków są najlepszym nośnikiem historii, że dzięki nim mogą wciąż istnieć narody, rodzić się patrioci. Nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości, za to przeszłość jest znana w szczegółach, trzeba ją tylko zapisać, utrwalić, a potem mądrze z niej korzystać.

Na biurku mojego taty piętrzyły się kartki. Zapiski nadchodziły stopniowo. Niektóre odręczne, inne już przepisane na komputerze przez moje kuzynki. Trzeba je było usystematyzować i ułożyć chronologicznie. Do akcji włączyła się cała rodzina, kto mógł i potrafił. Pojawilo się jednak wiele rozbieżności, zbyt istotnych, żeby właściwie połączyć wątki i domknąć historię rodziny. Intensywne konsultacje telefoniczne owocowały kolejnymi ustaleniami, które mój ojciec skrzętnie wpisywał w odpowiednie miejsca sagi naszego rodu. Opanował bezbłędnie Photoshopa, żeby lepiej obrabiać zdjęcia, poznał możliwości map satelitarnych niezbędnych do wędrówek po rodzinnych stronach i tajniki domowych drukarek. Do pełni szczęścia konieczne było bezpośrednie spotkanie z braćmi przy filiżance herbaty.

Zebrane dotychczas dane okazały się zaskakujące. Te szczegóły, którymi różniły się wspomnienia, sprawiły, że ukazało się kilka obrazów przeszłości. Ten sam czas, ci sami ludzie, a historia jakby trochę inna. Nasuwa się pytanie, czy wszystkie przekazy pochodzące od minionych pokoleń są takie subiektywne. Na ile prawdziwe jest nie tylko zabarwienie uczuć, wrażenia czy ówczesne intencje, lecz same fakty.

Na ciekawych warsztatach poznawania ludzkiej percepcji, na które uczęszczałam wcześniej w celach poznawczych, robiliśmy proste ćwiczenia, które miały nam uświadomić, jak różnie widzimy te same miejsca, obiekty i przedmioty. Kilka osób oglądało pewien pokój i każda z nich dostrzegła inne szczegóły – jedna obrazy, wazon, fotografie i półki z książkami, druga markę kina domowego i sprzętu muzycznego, trzecia meble, dywany, firanki, zaplamioną podłogę i kota pod jednym z foteli. Okazuje się, że każdy widzi i zapamiętuje co innego. Oczywiście to odnosi się również do wspomnień. Żeby powstała wiarygodna wersja historii, najlepiej byłoby ją skonfrontować z jak największą liczbą uczestników.

Z tego właśnie powodu, żeby ustalić granice prawdy, konieczne było spotkanie rodzinne.

Wyruszyliśmy w piątek prawie o świcie, przebijając się na drugi kraniec miasta. Rodzice ciekawie zmian, które z każdym miesiącem pochłaniały miejsca miłe ich sercu, przeobrażając je w miejsca miłe sercu ich wnuków, rozglądali się, komentując od czasu do czasu lśniące szkłem galerie handlowe, szerokie chodniki, ślimacznice tras szybkiego ruchu, które biegły przez uroczę nie tak dawno przedmieścia Poznania, między małymi domkami z poprzedniego stulecia. Wspominali jezioro Malta i niedzielne wypady nad wodę, z kocem i badmintonem, i las, w którym zbierali grzyby, teraz zastąpiony szachownicą nowoczesnych bloków, parkingów i osiedlowych uliczek. Aż mi się chciało płakać z żalu nad światem, który oni bezpowrotnie stracili, tak samo jak tracili zdrowie, poczucie siły i samodzielności. Podziwiałam, że potrafią zachować pogodę ducha i z pokorą godzić się z kolejną rzeczą. Gdybym miała taką moc sprawczą, zrobiłabym wszystko, żeby przenieść ich chociaż na chwilę do tamtych lasów, na tamte ulice i miejsca, żeby odmłodzić ich nogi, wyprostować plecy, zwrócić własne soczewki utracone po operacjach zaćmy, żeby mogli z iskrami w oczach przebiec po swoim mieście i zakochać się w nim i w sobie raz jeszcze.

Nie pomyślałam wtedy, że oto i moje miasto odchodzi w przeszłość. Nie pomyślałam o swoich dzieciach, które także dzielą już miasto na przed i po, pokazując własnym potomkom, nieświadomym jeszcze przemijania, miejsca swojego dzieciństwa.

Najpierw pojechałam z rodzicami do wsi Wilków. Taka kolejność wydawała się najlepsza. Wprawdzie nie miałam pewności, czy Janek, najmłodszy z braci, zechce włączyć się w dzieło pisania rodzinnej opowieści, ale i tak wizyta w Wilkowie była w tej chwili niezbędna.

Jan Kuśmierczyk, dla bliskich Janek, zaszył się w domu na wsi. Wiele lat temu osiadł na ojcowiznie, niekoniecznie z wyboru, i pracował na niej razem z żoną Jadwigą. Trafił mu się skarb prawdziwy, żona na każdą pogodę. Wychowali razem szóstkę dzieci i w końcu jako emeryci spoczęli na laurach. Dzieci poszły na swoje, trzeba było sprzedać ziemię, ale został dom, duży ogród i ten sam widok rozpościerający się za stodołą. Dla mnie, miastowego dziecka, wrota stodoły były jak tęcza, po której drugiej stronie znajdował się istny raj. Dla miejscowych natomiast tam zaczynała się harówka.

Janek ucieszył się z naszego przyjazdu, szczególnie z widoku dawno niewidzianego brata. Perspektywa spotkania z Lutkiem nie wystarczyła jednak, żeby przekonać go do wyjazdu z domu. Wolał w bezpiecznym, oswojonym miejscu po swojemu układać klocki życia. Stan uniesienia wytrącał go z równowagi i mąci w głowie. Nie chce radości i wzruszeń, to mu szkodzi. Powiedział „Nie” i wiedzieliśmy, że nie ustąpi. Coś w sobie tłumził i zamknął na wieki.

Pewni już na sto procent, że spotkanie braci odbędzie się niestety bez Janka, wyruszyliśmy dalej. Dojechaliśmy do Brzegu, mojego rodzinnego miasta, miejsca mitycznego i świętego, wartego osobnej historii.

Nazajutrz kierunek Strzelin, sympatyczne miasteczko, do 1945 roku będące pod władzą Hohenzollernów. Przyłączone zostało do Polski w konsekwencji sprawiedliwych podziałów powojennych, które jednym dużo dały, a innym wszystko zabrały... Piszę o tych miasteczkach, ponieważ trudno pominąć ich znaczenie w naszej podróży. Miały się wszak pojawić w pisanej przez stryjków kronice. Bez kontekstu historycznego byłaby zwykłą opowieścią albo nawet gawędą. To mnie zobligowało, żeby o tych miastach poczytać.

Wyjaśniam więc czytelnikowi, że w Strzelinie mieszkał Kazimierz Kuśmierczyk, drugi z młodszych braci. Człowiek pogodny i bardzo dowcipny, ulubiony stryjek wszystkich Kuśmierczykowskich dzieci. Krążyło o nim kilka trafnych anegdot. Jego czas jednak przeminął, choroba zgasiła zapał, zabrała ciało sprężystość i wyłączyła siłę głosu. Bładziutki, delikatny jak brzoza wyrosła na piasku witał w drzwiach

gości i zapraszał serdecznie do środka. Jego żona, mała ciocia Gienia, rodzinny anioł, wiernie dreptała za mężem, kusząc nas poczęstunkiem.

Strzelin dopisał. Jechaliśmy dalej w pełnym składzie w dwa samochody. W jednym ja i moi rodzice, w drugim kuzyn Mirek z siostrą Anią, z Gienią i Kazikiem. To była podróż jak z bajki, w przeszłość z przyszłością w jednym samochodzie. Wokół na polach kwitł rzepak, droga wiała się na południe w kierunku Gór Sowich.

Lucjan Kuśmierczyk, najstarszy syn Jana, czekał już w oknie stołowego pokoju, w domu przy jednej z piękniejszych ulic Dzierżoniowa. Miasto od 1742 roku, będąc pod panowaniem Prus, nosiło nazwę Reichenbach, a po 1946 przemianowano je, honorując wybitnego pszczelarza i naukowca, księdza Jana Dzierżonia.

Poznań, Wilków, Strzelin, Dzierżoniów – rozsypali się bracia po kraju. Nieprzewidywalny los poniósł ich w różnych kierunkach. Teraz chcieli być razem. Przeszłość, ich wspólna matka, ożyła i nabrała kolorów i paradoksalnie odjęła im lat.

Lutek, rodzinny kronikarz, był nieco wyższy niż reszta braci. Wiek pozostawił na twarzy ślady dawnej urody i piękne, łagodne oczy. Zbliżał się do dziewięćdziesiątki, wciąż był jednak sprawny. Owdowiał wiele lat temu, mieszkał więc sam, lecz pod troskliwą opieką córki Małgorzaty.

Wzruszający był widok trzech siwych głów. Witali się jak zwykle, żartując. Pokrywali w ten sposób wzruszenie, żeby pierwsze minuty spotkania jakoś bezpiecznie przetrwać, bez łez i niemęskich tklivości, bo do tego byli skorzy. Żart, serdeczny docinek, pozornie złośliwy przytyk, to była ich broń od zawsze. Bracia, mężczyźni, którym natura dała wrażliwe serca, pracowite dłonie i psychikę, która była dla nich raz siłą, innym razem słabością, wyraźnie się sobą cieszyli.

Najdłużej radzili nad mapą miejsca, gdzie stał rodzinny dom – nadali ulicom nazwy, ponumerowali posesje, zidentyfikowali mieszkańców. Dopiero później zaczęli ustalać daty, kolejność wydarzeń, nazwiska ludzi, którzy brali w nich udział. Skrętnie omijali – bądź zostawiali na koniec – sprawy najistotniejsze, zdarzenia, z powodu których Janek nie chciał tu przybyć, które najmłodszego z braci na zawsze zamknęły w ścianach wiejskiego domu.

My, młodszy pokolenie, chociaż też już wiekowi, zerkaliśmy szczęśliwi. Czuło się w pokoju nastrój uniesienia. Antoni niedosłyszał, Kazik mówił za cicho, a Lutek bał się podniesionych głosów, do tego sam mówił, cedząc każde słowo. Komicznie więc brzmiało, gdy się strofowali nawzajem. Jednemu było za cicho, drugiemu za wolno, a trzeciemu przeszkadzały krzyki. Wszystko w ciepłym wydaniu szczęśliwego tercetu.

Wracaliśmy na nocleg do Brzegu. Ojciec milczący, wzruszony, z niedosytem i żalem, że tyle spraw pozostało niejasnych. Musiałby chyba zamieszkać z bratem, żeby wszystkie spisać. Codziennosc każdego z nich stawiała jednak bariery odległości i czasu. A potem wyrzuty sumienia, dlaczego tak rzadko widywali się wtedy, kiedy byli niezależni od dzieci.

– Wiesz, Krysiu – usłyszałam nagle za plecami. – Chciałbym tu kiedyś przyjechać na dłużej. Najchętniej pobyłbym w Wilkowie. Tyle z tym miejscem wiąże się wspomnień. Przeszedłbym się po wsi, po polach, jak kiedyś, powspominał rodziców – dodał łamiącym się głosem. – Jakoś się to nagle wszystko urwało, ciekawe, dlaczego przestałem jeździć do braci. Teraz to do mnie dotarło, że kończy się coś ważnego, a ja się czuję bezsilny.

– To naturalne – stwierdziła mama. – Zakładasz rodzinę, przenosisz na nią uczucia, poświęcasz czas. Tu nie ma co rozumieć – powiedziała konkretnie. – Robimy tak wszyscy, a przynajmniej ci, którzy są normalni – skwitowała krótko. – Dzieci były małe, chętnie jeździły do dziadków, a my razem z nimi, a potem rodziły się wnuki, były ważniejsze sprawy niż rodzinne biesiady.

– A mnie się wydaje – odpowiedział ojciec – że było odwrotnie, powroty do domów rodzinnych to nie

był wymysł dzieci. To nas gnała tęsknota.

– Tęsknota. – Mama na chwilę zawiesiła głos w nucie powątpienia. – Prędzej troska – stwierdziła.

– O nich czy o siebie? – zapytał.

– Oczywiście, że o nich, i o to, żeby się czuli kochani, a dzieci żeby miały kontakt z dziadkami. –

Wzruszyła ramionami zdziwiona, że on tego nie wie.

– Nie ma sprawy, tato, to się da naprawić – odpowiedziałam pojednawczo. Bałam się, że rodzice zaczną niepotrzebną dyskusję. Zmęczenie trudami podróży i przeżycia ostatnich godzin podniosły między nimi napięcie. – Wilków to nie koniec świata, tato – uspokajałam. – Szkoda, że dopiero teraz o tym rozmawiamy.

– A... – westchnął – nasza mnie nagle taka potrzeba. Póki się nie widzi, żyć łatwiej, codzienność zabiera czas i pochłania myśli. Żeby zatęsknić, trzeba znowu zobaczyć.

– To może wstąpimy w drodze powrotnej i wtedy zostaniesz na dłużej. Przed wyjazdem dzwoniła Hela. Przygotowała dla nas jabłka i orzechy. Więc jeśli nie jesteście zmęczeni, możemy zahaczyć o Wilków, zanim wrócimy do domu – namawiałam rodziców.

– Wstąpić, bardzo chętnie, ale teraz zostać nie mogę – wyjaśniał ojciec. – Mama ma w czwartek wizytę u okulisty, a ja kardiologa w piątek. – Powiedział to z lekkim smutkiem, podszytym jednak ulgą, że znalazł się ważny powód. – Pomyślę o tym za rok, przygotuję się wcześniej. Czeka mnie dużo pracy z materiałem, który ze sobą wiozę. Muszę na świeżo, póki pamięć jakoś funkcjonuje, zredagować materiał od Kazika i Lutka. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę – zabrzmiało dramatycznie.

– Poradzisz sobie – zapewniałam, wiedząc, że to tylko ojca kokieteria. Lubił jej nadużywać, tak na wszelki wypadek.

Mama zamilkła, myśląc już o domu, o tym, co ją czeka, gdy wróci. Obowiązków mimo wieku niestety nie brakowało, a nawet wprost przeciwnie. Bo problem nie był w ilości, tylko w tempie załatwiania spraw.

Do Wilkowa dojechaliśmy w południe. Jeszcze spacer po okolicy, chwila na rozmowę, czas dla braci, żeby podsumować wyprawę. Szli wolno, przystając raz po raz, żeby nacieszyć oko widokami. Janek pokazywał, a ojciec słuchał z uwagą. Gospodarcze sprawy bardzo go interesowały. Kto wie, jak by się potoczyły losy braci, gdyby nie wojna. Janka ciągnęło w świat, jednak los tak samo jak jego ojcu właśnie ziemię przeznaczył.

– Jak Lutek? – zapytał po chwili, jakby sobie nagle przypomniał. – Trzyma się jakoś? Bo Hela mówiła, że słaby i ledwo chodzi.

– Słaby, słaby, ale jakoś drepcze po domu. Stęka, ale się nie poddaje, mówi, że teraz ma misję, zadanie na kilka lat, więc umierać nie pora. Wczoraj, kiedyśmy wspólnie radzili – ojciec napomknął – pytał o ciebie. Czy nie chcesz się do nas przyłączyć. Narzekał, że mu dołożyłem zadań. Mówił, że na pięciolatkę starczy. Trzeba jeszcze uzupełnić spis osobowy kolonii.

Janek słuchał ciekawym wiadomości od brata, ale nie spieszył z pomocą.

– To się przez lata ciągle zmieniało. A Lutek pamięta wszystko. Z detalami wpisywał nazwiska w przygotowaną tabelkę. Jestem pełen podziwu – podkreślił ojciec.

– To dobrze, że ma zajęcie, starym najbardziej szkodzi nuda. Zresztą – Janek dodał z uśmiechem – on to bardzo lubi. Poradzicie sobie beze mnie.

– Mądrała, jesteś o sześć lat młodszy – bronił się ojciec, robiąc smutną minę. – W tym wieku to dużo. – Aż się zamyślił. – Sześć lat, jeszcze bym pogospodarzył. – Wskazał brodą na pola przed nimi. – Szkoda tej ziemi, żeś ją musiał oddać w dzierżawę.

– Chłopie – zaśmiał się Janek – to nie te czasy, dziś wszystko robią maszyny, ziarna to nawet nie dotkniesz. Ja jeszcze śpię w najlepsze, a tutaj już zaorane. Kładę się spać, na polu żyto, wstaję – już tylko

spraszana słoma. Pracują nawet nocami. A jak się dobrze obróca, a ja ciut dłużej poleżę, to i słomę w pryzmy ułożą, i ziemię zaorzą. Cud, że nie zasieją za jednym zamachem. A maszyny są takie, że kierowcy w nich nie dojrzysz. Chłopie, na jakim ty żyjesz świecie?

– Wiem, wiem, czytam o tym przecież – obruszył się ojciec. – To sobie już człowiek pomarzyć nawet nie może ani powspominać?

Janek machnął ręką, nie lubił wspomnień. Wolał obserwować i komentować codzienność.

– Od tego to tylko żal w sercu ściska. Ja od wspominków uciekam daleko. Szkoda mojego zdrowia. – Przyspieszył kroku.

– A jednak szkoda, że nic od siebie nie dodasz. To jakby ciebie z nami nie było – próbował obudzić w bracie wyrzuty sumienia.

– A byłem? – zapytał Janek. – Każdy z nas inaczej przeżył ten czas, wy sobie i ja sobie. Nie będę do tego wracał. – Szedł teraz wolniej, z rękami w kieszeniach i z wzrokiem wbitym w ziemię. Był zły, że dał się bratu wciągnąć w rozmowę o książce.

– Pamiętasz – odezwał się znowu – pamiętasz, tylko ja pojechałem, jeden jedyny miałem odwagę, mały Janek, który ocalił w sobie, mimo wszystko, obraz szczęśliwej krainy i pięknego domu – przypomniał zdarzenie sprzed lat.

Rzeczywiście pojechał tam, żeby zobaczyć rodzinny dom, za domem sad i długą lipową aleję od dworu do dworu, którą wspominał z rzewnością, a kiedy wrócił, stał się już innym człowiekiem.

– Jasiu, musisz na to spojrzeć inaczej. – Ojciec dobrze znał epilog tamtej podróży. – Żeby żyć, trzeba się nauczyć czerpać z każdego doświadczenia. Zobacz, wydawało się, że tyle jeszcze przed nami, ho, ho, tyle mieliśmy osiągnąć, Bóg jeden wie, gdzie chcieliśmy pojechać. A droga, no cóż, okazała się krótka. Więc cóż pozostało jak nie wspomnienia? Gdyby nie pamięć, byłbyś jak rybka w słoiku. Dzięki pamięci żyjemy trzykrotnie, raz w przód, dwa razy do tyłu.

– Jak można do tego wracać? – zapytał zdziwiony. – Do tego, co się wtedy zdarzyło? A później, cała ta reszta, mój powrót i Heniek. – Aż przełknął ślinę. – Boże, on przecież był taki mały. Każdy dzień wypełniony strachem. Mam ciągle przed oczami, jak idzie za mną i płacze. Miał dziesięć lat, ja dwa lata więcej. – Zatrzymał się i spojrzał w niebo. – To było okropne. Zrozum, nie zmusisz mnie, żebym wrócił do życia, które mnie unicestwia.

Później przestali rozmawiać. Gdzieś z tyłu, za nimi, szły wolno kobiety. Słysząc było ich śmiech. Przystawały co chwile, żeby spojrzeć na grządki, Jadzia pokazywała rzędy winogron, nowe odmiany kwiatów, gęste krzaki malin.

Z dachu stodoły zerwał się bociek i długo nad nimi krążył, aż powiew wiatru bocianich skrzydeł zakołysał trawami.

– Wraca tu każdej wiosny. – Janek pokazał gniazdo. – W tym roku miał dwoje małych, klekotały od świtu do nocy.

Mobilizacja

Krasocin, rok 1920

I znowu praca stała się dla nich ratunkiem. Po śmierci syna oboje rzucili się na nią zachłannie. Jan z zapalem oddał się działalności społecznej, inaczej by zwariował. Każdego dnia umierał od nowa po tym, jak z dzieckiem na ręku biegł o świcie do lekarza, widząc, że jego maleństwo leży z rączkami do góry, jakby się samo próbowało ratować. Lekarz wyszedł do niego w długiej białej koszuli i tylko spojrzał, i wiedział. Przytulił Jana do siebie, wzruszony widokiem mężczyzny z martwym dzieckiem na ręku, i lekko poklepał po plecach, tylko tyle mógł dla nich zrobić.

Wiktoria całymi dniami tkła, bez wytchnienia pracowała przy krosnach. Kończyła, gdy świtało, a potem przesyiała ranki. W dzień piekła, robiła sery, dokupiła nawet jałówkę za pieniądze z wiana, żeby mieć więcej mleka dla dzieci, żeby tylko znaleźć zajęcie, żeby było co robić i o czym rozmawiać, i nie wracać do upiornej nocy i powrotnej drogi z martwym dzieckiem w objęciach. Dotarło do niej, że jej życie, podobne do życia innych wiejskich kobiet, będzie niestety smutną powtórką losów wszystkich matek na świecie i nic tego nie zmieni. Przeraziła ją myśl, że takie przeżycia, jak grzebanie kolejnych dzieci, zabiją w niej nadzieję i ufność, której tyle w sobie miała, i zgaszą cały entuzjazm, z którym weszła w dorosłe życie.

Zaraz po pogrzebie, na który zjechała zaskoczona rodzina, chętnie zamykała się w czterech ścianach domu. Jej złamanego serca nie dało się niczym ukoić. Nawet bardziej od tego stwardniała. Za to dla męża miała miękkie serce. Stara prawda, którą często słyszała od ludzi, że nieszczęścia zbliżają, i u nich wydała owoce. Stali się z Jasiem bardzo sobie bliscy, jakby byli razem od zawsze, a jemu coraz lepiej było z dobrą i zaradną kobietą. Weronkę rzadziej wspominał, pierwsza i druga żona z wolna zlewały się w jedną. Wspólnie raźniej odganiać udręki. W dzień każdy robił swoje, ale wieczory były już dla nich.

Jan z końcem roku zapisał się do straży pożarnej. To była odskocznia od domu i pracy na roli. Za radą włoszczowskiego posła na sejm, pana Piaszczyńskiego, jako jeden z niewielu piśmiennych zredagował pismo od Zarządu Straży Pożarnej w Krasocinie do Zarządu Głównego z prośbą o przydział specjalnej tkaniny na mundury dla miejscowych strażaków. Pismo zawieźli do Warszawy we trzech – Jan, jeszcze jeden przedstawiciel krasocińskiej straży oraz ów poseł. Pismo złożyli w urzędzie i dostali zgodę od ręki. Piaszczyński skorzystał z okazji, żeby w przerwie obrad pokazać chłopom sejm.

– Druga taka okazja pewnie się nie zdarzy – zachęcał.

Ale ich zachęcać nie było potrzeba. Aż im się oczy do tego świeciły. Zobaczyć sejm, miejsce, gdzie posłowie zbierają się na obrady, fotel marszałka, krzesła sekretarzy, sektory dla poszczególnych stronnictw, których było wtedy w polskim sejmie kilkanaście, to prawdziwa gratka, a dla Jana ogromne przeżycie. Wspomnienie tamtej Warszawy, ulic, budynków i placów zapadło mu mocno w pamięci. Zamarzył, że może kiedyś przywiezie ze sobą żonę i dzieci, żeby im także pokazać stolicę.

Tymczasem bolszewicka Rosja szykowała się na podbój Europy. Wystarczyło zająć Warszawę, żeby otworzyć sobie bramę na Zachód. Wiosną 1920 roku było dla wszystkich jasne, że wojna polsko-bolszewicka zbliża się do końca. Sowieci zwyciężyli na wszystkich frontach wewnętrznych i mogli skierować swoje siły w stronę Rzeczypospolitej. Zjazd komunistyczny w Moskwie na początku 1920 roku wydał na Polskę wyrok. Iść dalej, „na Zachód”, po trupie znienawidzonego sąsiada, i wchłonąć go w czerwone imperium. Bój dwóch śmiertelnych wrogów, wojna dwóch wykluczających się światopoglądów weszła w końcową fazę. Nowa rosyjska władza podsyciała nienawiść do Polski tak samo jak carat. Taka polityka sprawiła, że do Armii Czerwonej licznie wstąpili doświadczeni carscy oficerowie. Tymczasem Europa przestała się bronić i Polsce, jak zawsze, zabrakło sprzymierzeńców. Wielki ogólnoeuropejski front antyrosyjski został doszczętnie rozbity, Polacy zostali sami.

Tak trudno zdobytej wolności nie oddaje się jednak bez walki. Kiedy w sierpniu wojska rosyjskie wkroczyły na wschodnie tereny, ogłoszono mobilizację.

– Jadę do Ludyni. – Jan tylko zajrzał do chaty, żeby zmienić koszulę. Umył się w pośpiechu pod studnią, osuszył na słońcu i osiodłał konia. Od strony kościoła nadszedła kilka furmanek, aż iskry szły spod końskich kopyt. Spojrzał w kierunku drogi, umówił się z Kaliszewskim, że go ze sobą zabierze. Słowik i Gołdyn pojechali wcześniej z Mazurem.

– Pali się gdzieś? – Wiktoria wyszła za nim na schody. Lato mieli suche tego roku, o pożary nie było trudno. Przewiązała na głowie chustkę i wytarła czoło. Żar z rozpalonej kuchni potęgował sierpniowy gorąc. Zbliżał się dzień porodu, podtrzymywała brzuch obiema rękami, przeszkadzał jej w chodzeniu i w pracy, ciągnął ku ziemi jak balast. Chwyciła się drzwi, żeby nie stracić równowagi. Dziwił ją ten pośpiech i nerwowość w mężowskich ruchach.

– Masz, czytaj. – Podał jej kawałek kartki z napisanym odręcznie tekstem. – Odpisałem z „Gazety Kieleckiej”.

– Ojczyzna w potrzebie! – czytała na głos. – Wzywa się wszystkich zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie zaciągali się do szeregów armii; jak jednolity, niewzruszony mur stanąć musimy do oporu, o pierś całego narodu rozbić się ma nawała bolszewizmu! Jedność, zgoda, wyteżona praca niech skupi nas wszystkich dla wspólnej sprawy!

Skończyła i spojrzała na męża. Poczwała, jak słabnie jej ciało. Musiała się oprzeć o ścianę.

– Chcesz się zaciągnąć – powiedziała do męża półgłosem. Pomyślała, że nie zdoła z siebie wydusić więcej ani słowa, teraz bała się odpowiedzi. Jan spojrzał nie mniej poruszony, wahał się, co powiedzieć. Kolejny raz sprawdził uprzęż na koniu i rozwinął lejce. Koń zarżał, chętny do drogi, pomimo upału.

– Będą nas mobilizować. Jest lista na stacji w Ludyni. Trzeba się od razu podpisać i odebrać papier. – Spojrzał na ciężarną żonę. Przeżegnał się na wszelki wypadek. – Muszę jechać, jedzie połowa wioski. Nie wiadomo, czy wezmą wszystkich, czy tylko niektóre roczniki. Ale jest rozkaz, żeby się stawić. Dezerterzy będą karani.

– Ale to nie jest wezwanie. To tylko odezwa, dla ochotników – stwierdziła, pokazując na kartkę.

– Jedno to odezwa, a drugie rozkaz. Obydwa obowiązują. Wszyscy jadą, to i ja jadę. Jak mus, to nie ma wyjścia – dodał już nieco odważniej. Pierwszy szok minął i trzeba się było wziąć w garść, nie okazywać kobiecie słabości. Widział, że stoi przerażona na progu i jeszcze mu omdleje. – Do domu idź. Zostaw na chwilę robotę. Nie będę jadł teraz obiadu, niech Walerka pilnuje dziewczynek, a ty się zaraz połóż. Nie bój się, niedługo wrócę. – Podeszedł i pomógł jej wejść do izby. Potem musnął lekkim pocałunkiem, takim przelotnym, przecież nie ostatnim. Usłyszała, jak woła na konia, i stukot kół na kamieniach przy bramie, i gwizd bata w powietrzu. Jęk przeciągły, który długo brzmiał w uszach, aż ją zabolalo.

Po chwili na podwórko wjechał inny wóz. To nie był Jan, poznała, że koń inaczej stąpa, a jeździec zbyt głośno uspokaja konia. Natychmiast poznała głos brata. O Boże, przecież są jeszcze bracia, pewnie i oni

stawią się w Ludyni. Z ledwością zniosła mężowskie rozstanie, teraz będzie się żegnać z bratem.

– Mamo! – usłyszała głos młodszej, Marysi, która jak zawsze pierwsza była przed domem. – Wujek Józek przyjechał! – zawołała z radością. W jej głosie słyhać było wielkie poruszenie. Na próg wyszła także Ewa. Śmiech dziewczynek uspokoił ją nieco. Podniosła się z wysiłkiem z pościeli. Podparła rękami o kant łóżka i powoli wstała. Ciało miała napięte. Bała się, że to wszystko przyspieszy poród. Nie chciała teraz rodzić.

Do izby wszedł brat Wiktorii. Pomógł jej zrobić kilka kroków i zaraz posadził na ławie. Sam usiadł na stołku, naprzeciw. Do izby zajrzała też Julka, przyrodnia młodsza siostra Wiktorii. Macocha ją przysłała, tak na wszelki wypadek. Usłyszała złe wieści i zadbała o pasierbicę.

Zrobił się wielki harmider.

– Dzięki Bogu, chociaż ciebie nie wzięli. Bałam się, że tylko kobiety zostaną w całej okolicy. Jasiek mówił, że wszystkim kazali się stawić

– Mnie nie biorą, jestem inwalidą – przypomniał siostrze. Rzeczywiście nie tak dawno chorował na tyfus i nie całkiem wyzdrowiał. Dostał ze szpitala papier, że nie jest zdolny do służby. – Wzięli za to naszego Jasia – dodał ze smutkiem.

Wiktorii zmarmotniała. Czowała, jak jej świat któryś raz się wali. Była silna siłą ciała i woli tak długo, dopóki nie bała się o najbliższych.

– Mobilizują siły w całej Polsce. Ze wschodu idą wielkie hordy ruskich. Chcą przez nas przejść jak po stepie i tylko step zostawić – dał upust swojej złości. – A nasi chcą masę rzucić, przeciwko hordzie hordę wystawić do boju. Choćby tylko dla samej liczebności, bo przecież walczyć to chłopstwo nie umie.

– To broni im nie dadzą? – zapytała wystraszona Wiktorii.

– A będą jej tyle mieli? – Józek miał wątpliwości. Zaczął chodzić nerwowo po izbie, zapalił papierosa. Bał się o młodszego brata i bał się o szwagra. Nie chciał zostać sam na trzech gospodarstwach – zaciągnął się mocno, a potem wypuścił chmurę dymu i wielkiego zwątpienia.

– Głodny nie jesteś? Jest obiad na piecu. Jan wyjechał i nie zdążył zjeść, wypadł z domu, zabrał wóz i konia. Pojechali z Kaliszewskim. W taki upał. Pewnie zgłodniał do tego czasu.

– Obiad przyda się, gdy Janek wróci. Jadłem, zresztą nie mam apetytu. – Znowu się mocno zaciągnął. Od tego poczuł zawroty głowy. – Zostawić ci Julkę? Matka kazała pytać. Obawiała się, czy aby nie będziesz rodzić.

– Według moich obliczeń jest trochę czasu. Według wyglądu jakby go nie było. Ale Julkę zabierz ze sobą, niech wraca do domu. Do porodu przyjdzie akuszerka, sąsiadka obiecała pomóc. Jan pewnie na noc wróci. Jakby coś się działo, wyślę po was Walerkę.

Słońce już zaszło za drzewa, zrobiło się chłodniej.

Jan wrócił o zmroku. Dom tonął w ciszy, jakby już dawno wszyscy w nim posnęli. Tymczasem kobiety siedziały w milczeniu, czekając, aż wróci. Dziewczynki nawlekały kwiaty rumianku na nitkę, będą je potem suszyły na słońcu. Walerka cerowała dywanik, dla wzmocnienia wplatała grubsze nitki, dobierając kolory. Wiktorii łuskała groszek. Zielone ziarenka wpadały bezdźwięcznie do miski. Pod stołem kwiliły kilkudniowe kurczaki. Marysia pilnowała porządku w koszyku. Jej wybraniec, z ciemną plamką na łepku, miał specjalne przywileje.

Na widok ojca dziewczynki narobiły hałasu, takie skore były do radości. Wiktorii przymknęła oczy. Nie miała siły sprawdzić, czy to aby on, a nie kto inny.

– Wróciłem – powiedział od drzwi. Na twarzy Jana widać było ulgę. – Jestem za stary – oświadczył. –

Brali tylko roczniki od dziewięćdziesiątego w górę – wyjaśnił i zaraz zaczął wyliczać, kogo zmobilizowano. Nie było wśród nich brata Wiktorii, ale żal im się zrobiło innych żon i matek.

– Dobrze, że wróciłeś, bałam się zostać sama, i że z tej wojny nie wrócisz – dodała, żeby wiedział, jak się o niego martwiła.

– Powiem ci, że różnie było. Tylu chłopów zginęło, żebyśmy mieli wolność, a ja jak tchórz całą drogę do Ludyni mówiłem *Pod Twoją obronę*. Jak czytali nazwiska, to mi mało serce gardłem nie wypadło, bo kilku znajomych trafiło na listę. Mogli pomylić daty, w życiu bywa różnie. Potem, gdy tamci stali już w szeregu, to ci co zostali, a ja wśród nich, chyba nie czuli się dobrze. Miałem ochotę przejść na drugą stronę i zgłosić się bez przymusu, bo życie przestało mnie cieszyć. Powiedzieli nam, że tysiące Polaków zgłaszają się na ochotnika, że potrzebna jest siła ludu. Tylko myśl o tobie i o naszych dzieciach przed tym mnie uchroniła – szczerze wyznał żonie, kiedy zostali sami. Ona milczała. Nie mogła ani mu przyznać racji, ani też potępić. Rozpierało ją bezgranicznie szczęście, że wrócił cały i zdrowy.

Ósmego sierpnia wezwali Jana do gminy. Żniwa były na ukończeniu, tylko zwozić do stodoł. Wstał o świcie, żeby nie stracić dnia i chłodu, bo zapowiadał się kolejny upalny dzień. Zwozili od trzech godzin, kiedy od wsi przybiegł najmłodszy Gołdyn.

– Tatę wezwali do gminy. – Biegł przez świeże ściernisko. – Was też wzywają – powiedział zdyszany.

– Matka mnie przysłała. Macie się zgłosić do wójta. Inni już poszli.

– Inni to znaczy kto? – Jan się dopytywał.

– No, inni, ze wsi – krzyczał i pobiegł pędem z powrotem.

Jan tylko pokiwał głową. Za chwilę poganiał konia prosto pod stodołę. Na podwórku zobaczył żonę. Stała przy studni z bańką pełną mleka. Dopiero skończyła doić.

– Do gminy idę – powiedział, wyprzegając konia. Podstawił mu wiadro z wodą, koń zaczął łapczywie chleptać. Widać był spragniony.

– Zjedz coś – prosiła męża. – Kto wie, ile to potrwa. Ostatnio jak radziliście o kupnie wozu dla straży, nie było cię do wieczora.

– Zjem, jak wrócę. Inni już poszli, nie wiem, o co chodzi. Tylko zmienię koszulę – zawołał, wchodząc do domu. Przeczesał palcami włosy. – Niechaj Walerka wprowadzi konia do stajni – dodał i wybiegł w pośpiechu. Wiktorii dźwignęła wiadro i weszła z nim do izby. Trzeba mleko wstawić do piwniczki, zanim się skwasi.

Krótko po obiedzie wpadła do domu Hanka.

– Naszych na wojnę biorą – wołała od progu i aż przysiadła. – Wikta, to i nas spotkało – załkała żałośnie. Wiktorii zrobiło się słabo. Dziecko w niej mocno się przekreśliło i zaczęło tupać od środka o ściany brzucha.

– Jeszcze nie teraz – prosiła. – Jeszcze nie teraz. – Głaskała je łagodnie, tam gdzie czuła główkę. – Poczekaj trochę, poczekaj.

Zebrali ich w długie kolumny i wysłali w kierunku Radomia, do punktu formowania oddziałów. Zdążył się tylko pożegnać z żoną i z dziećmi. Stamtąd, po krótkim przeszkoleniu i przydziale broni, przez Grójec, Czersk i Górę Kalwarię mieli iść dalej, na Radzymin, leżący na północ od Warszawy. Jan wiedziony

wspomnieniami oglądanej niedawno stolicy z nienawiścią myślał o wrogu. Bardziej niż widmo niewoli dręczyła go jednak myśl, że zostawił w domu rodzinę. Bez niego przecież zginie. Jeszcze nie otarł łez po stracie syna, a już rozpaczał, że może za kilka dni i jemu przyjdzie odejść. Bał się o Wiktorię, jak sobie biedna poradzi? Już zaczął tęsknić do córek. Co zrobić z tą tęsknotą, ze strachem, co paraliżuje, co z niemożliwego robi możliwe? Myślał z podziwem o ludziach, którym misja dawała siłę, a cel motywację. Idą tacy do walki, bo ojczyzna w potrzebie, bo wojna i nic więcej się dla nich nie liczy. Na apelu usłyszał, że stworzono nawet Legię Kobiet, nawet one miały dosyć odwagi, żeby stanąć po właściwej stronie. A on widział przed oczami wioskę. Teraz nawet z całym swoim błotem i biedą wydawała się piękna i swojska. Jakże tak iść na stracenie, zostawić wszystko bez lęku? Czy zdoła wykazać się jakąś odwagą, gdy przyjdzie mu stanąć do walki? Przecież nie ma w nim aż takiej złości, która każe zabijać. Obok szli jego sąsiedzi, znajomi, młodzi chłopcy, szwagrowie, bliscy. Któremu z nich dane będzie wrócić?

Piętnastego sierpnia, w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, udało się obronić stolicę. Bitwa toczyła się na przedpolach miasta, co uchroniło Warszawę od zniszczeń, za to pola i łąki wokół tonęły we krwi. Wielu z tej wojny nigdy nie wróciło. W Krasocinie czekano na wieści z frontu, w każdym domu kogoś zabrakło, ktoś poszedł na wojnę i ślad po nim zaginął. Walerka Omasta wspominała swojego Maćka. Gdyby przeżył wojnę we Włoszech, pewnie poległby w bitwie pod Warszawą. Taki już z niego był junak, odważny i waleczny, jak ten piętnastoletni Zbyszek Kehl, syn właścicieli folwarku Lipie, który pod koniec sierpnia uciekł na wojnę, żeby bronić stolicy. Czmychnął z kieleckiego liceum, w którym się wtedy uczył, i wrócił, ale po trudach bitwy warszawskiej, schorowany i słaby zmarł w domu rodzinnym. Pochowano go z wojskowymi honorami na cmentarzu w Lipie. Ten miał przynajmniej grób, a Maciek został pod śniegiem. Nawet mu kwiatów na grób nie zanieśli.

Krasocin wyczekiwał wieści. Wiktorcia zacisnęła usta i każdego dnia wyglądała męża. Postanowiła, że póki nie wróci żywy, ona nie będzie rodzić. Śmiały się z niej kobiety, że taka jest głupiutka, że choćby nie wiem, jak się zaparła, to się jej nie uda. Ale mijały dni, minął nawet termin, a dziecko nawet nie drgnęło.

Dziewiętnastego sierpnia czuła się jednak gorzej. Wieczorem wołała do siebie sąsiadkę, nad ranem przyszła kobieta.

A Jan razem z innymi czekał na decyzję. Czternastego sierpnia miało miejsce ostateczne starcie. Padło miasto Radzymin, zajęli go Rosjanie. Z Radomia wyruszyły na swoje pozycje pierwsze kolumny świeżo uzbrojonego wojska. Główną siłę stanowili chłopci spod Kielc i Częstochowy. Piętnastego sierpnia, zanim dotarli do celu, doszło do kontrofensywy, odbicia miasta i zepchnięcia wroga za Bug i za Narew. Od tego momentu zaczęto wiwatować zwycięstwo.

Tymczasem w Radomiu szkolono następne oddziały. Te poszły pod Grodno i Brzostowice i doszły aż do Lidy. Nie dla wszystkich jednak starczyło mundurów i broni, spora grupa czekała w koszarach; wśród nich byli chłopcy z Krasocina. Okazało się, że wojna dobiegła końca i nie są na froncie potrzebni. Nie mieli stopni wojskowych, mundurów ani broni, której dostawy w końcu wstrzymano, więc wszystkich zwolniono do domu.

Część szalała z radości, inni żalowali – nagła demobilizacja wytrąciła ich z równowagi. Duch wojny zagnieździł się w niektórych chłopskich głowach i skłaniał do tego, żeby dołączyć do pułku i walczyć na własną rękę.

Lucjan

Krasocin, rok 1920

Jan wracał do Krasocina. Czuł wielką ulgę i radość, że jeszcze nie pora umierać. W domu czekali na niego najbliżsi. Na kilkanaście dni zupełnie o nich zapomniał. W atmosferze walki trudno mu było myśleć o czymkolwiek. Teraz jakby się rodził na nowo, lecz coś na podobieństwo wstydu odebrało mu część radości. Pogodził się ze śmiercią, z tym, że i on poświęci coś ojczyźnie. Tymczasem bohaterstwo nie było mu przeznaczone. Może pomogła modlitwa, opieka Świętej Pani, wszak nie darmo zwyciężyli w dniu wniebowstąpienia?

Jak wiadomo, nic nie stoi w miejscu, po łzach i strachu, po rozterkach i wątpliwościach powraca szczęście, tym razem być może na dłużej. Wiktoria złamana lękiem o męża, po nieprzespanej nocy, dwudziestego sierpnia o świcie urodziła syna. Kiedy Jan przekroczył próg domu, usłyszał kwilenie malucha i cichy śpiew Wiktorii. Bóg odbiera i Bóg daje, często w momencie, w którym już nie ma nadziei. To dlatego nie zginął tam, na przedpolach Warszawy.

Na imię dali synowi Lucjan. Urodził się z nastaniem dnia, o świcie, w blasku światła. *Lux* – po łacinie światło. We wsi nie było jeszcze Lucjana. Imię szlachetne, dźwięczne. Jan znalazł je w kalendarzu i zaraz wpadło mu w ucho. Na rodziców chrzestnych poprosili Jana Dachowskiego, męża Stasi Majeckiej, i Słowikową, wnuczkę dziadka Szczepana.

Lucjan, Lucek, śliczny chłopiec. Trudno było oderwać od niego wzrok, miał im oświetlać drogę, osłodzić zgryzotę, wyrównać rachunki z samym Panem Bogiem.

W domu

Poznań, rok 2009

Człowiek jest dziwną istotą, lubi i chce należeć do jakiejś całości, mimo że w życiu jest jak meteor mknący przez swój własny kosmos. Spotkanie z miejscem, z którego przed wielu laty dziadek Jan wyruszył w świat w poszukiwaniu szczęścia, pobudzało moją wyobraźnię. Na wieczorze autorskim w Kielcach opowiadałam kobietom, jak chodząc po Krasocinie, miałam wrażenie, że otaczają mnie i witają w rodzinie duchy z przeszłości. Gdzieś drogą, polem, ścieżką nad bystrym strumieniem, który teraz nazywają rzeczką, wędrowała kiedyś moja babka. Ocieranie się o własną historię było niezwykłym przeżyciem. Na cmentarzu na wielu nagrobkach odnalazłam swoje panięńskie nazwisko, i to było wzruszające. A później spotkanie z Agnieszką i nasza rozmowa, i moje wspomnienia z Kanady. Te wszystkie zdarzenia uświadomiły mi nagle potrzebę spojrzenia za siebie i poszukania łączności z grupą, do której wkrótce przyjdzie nam dołączyć. W pewnym wieku w naturalny sposób zostawiamy dzieciom świat przyszłości, żeby samym zwrócić się w stronę tych, którzy już odeszli.

Po powrocie z Halifaksu miałam gonitwę myśli. Przywiozłam do Polski nieznane dotąd emocje, poznałam nowych ludzi, ich sukcesy i dylematy, i konstatację, że pozycja społeczna ani stan konta nie mają istotnego znaczenia, bo o prawdziwym szczęściu decyduje tylko stan ducha.

W domu Ireny i Pawła Sznajderów (Pawła poznałam kilka dni później) poza miłym, bezinteresownym przyjęciem i szczerą gościnnością usłyszałam niezwykłą historię Polaków, których los rzucił do innego kraju. Helena Wojciechowska, matka Ireny, do końca swoich dni tęskniła i nie przestała płakać. Gdyby chociaż mogła poznać prawdę. Każdego ranka zadawała sobie pytanie: „Dlaczego mnie porzucił?”. Im była starsza, tym bardziej chciała to wiedzieć. Przez cały pobyt w Kanadzie czuła się kobietą opuszczoną. Umierając, obarczyła tym córkę, wymusiła na niej, żeby odnalazła grób swojego ojca i znalazła odpowiedź.

Irena nie wybierała się jednak do Polski. Wystarczyło jej, że wyszła za Polaka, który szczerze jej to odradzał. Najpierw straszył, że zabiorą jej w Polsce paszport, potem, gdy urodziły się dzieci, mówił, że to nie ma większego sensu, może jak dzieci podrosną?

– Mąż przyjechał do Halifaksu w latach siedemdziesiątych. Byłam po rozwodzie. Pierwszy mąż pochodził z RPA i wrócił do ojczyzny. Jego ojciec, jak się okazało, był zatwardziałym rasistą zaangażowanym w politykę. Wysłał syna na studia do Kanady, a potem wezwał do siebie. Nie zgodziłam się na wyjazd. Afryka nie była moim marzeniem, a poza tym miałam tu matkę. Nie mogłabym jej zostawić.

Nie wiedziałam, że Irena jest rozwódką, ale mój Boże, czy to było wtedy istotne i czy cokolwiek w tej historii zmieniło?

– Z Pawłem poznaliśmy się przypadkiem. Wracalam z pracy, a on z kartką w ręku szukał jakiegoś adresu. Przyjechał z Poznania. W Polsce studiował rolnictwo. Przyjechał do Kanady na praktyki zawodowe. Były lata siedemdziesiąte, w Polsce poluźniono nieco granice, szczególnie dla studentów. Niedaleko nas był pensjonat, w którym miał zamieszkać. Któregoś dnia podwiozłam go samochodem i tak się wszystko zaczęło.

– I już nigdy nie wrócił do Polski? – zapytałam, bo byłam bardzo ciekawa.

– Wtedy w zasadzie możliwa była podróż w jedną stronę. Gdyby chciał, mógł oczywiście wracać, ale to byłby koniec naszej znajomości. Więc został. – Uśmiechnęła się ciepło. – Początkowo miał problem z wizą, ale nasz ślub załatwił sprawę.

W trakcie kilku wizyt u Sznajderów dobrze poznałam gospodarzy. Ileż życie ma w sobie zakrętów. Patrzysz na kogoś, na nowo poznanych ludzi, uśmiechają się, trzymają za ręce, myślisz, jaka szczęśliwa para. Później poznajesz szczegóły i własnym uszom nie wierzysz. Zaczynasz porównywać. Zastanawiasz się, ile razy w życiu ty byłaś szczęśliwa. W pracy, na urlopie, na spacerze z dziećmi, w intymnym momencie? I stwierdzasz w końcu, że bywasz szczęśliwa przypadkiem.

Tej nocy w domu Sznajderów poznałam też inne fakty. Wiktor Wojciechowski, pasierb ojca Heleny, był uroczym i przystojnym chłopcem. Znali się od dziecka, lecz nigdy ich znajomość nie miała znamion miłości siostrzano-braterskiej. Oboje wiedzieli od początku, że są dla siebie stworzeni. Rozdzieliła ich wojna. W czasie wojny Wiktor służył w lotnictwie. Miał skończony kurs pilotażu na małych samolotach. Zanim zasiadł za sterami dużych maszyn, przeszedł dodatkowe szkolenia. Latał nad Anglią, na spitfirze M1. Wykonał kilkanaście lotów, gdy pewnego dnia jego maszyna została uszkodzona, a on lekko ranny.

Był rok 1941, wrzesień. Po krótkim pobycie w szpitalu kilka dni pracował w sztabie, a po dwóch miesiącach odesłano go do kraju. Utknął jednak gdzieś po drodze i zniknął. Najbliżsi go pochowali, zanim dał znać rodzinie.

Od lipca 1941 do kwietnia 1944 roku w Chełmie funkcjonował jeden z największych niemieckich obozów jenieckich. Przez Stalag 319 przeszło około dwustu tysięcy jeńców, z czego około dziewięćdziesięciu tysięcy poniosło śmierć. Rodzice Wiktora bali się, że ich syn został tam osadzony, i szukali sposobu, żeby się czegoś dowiedzieć. We wrześniu czterdziestego pierwszego, kilka miesięcy po zaginięciu Wiktora, ojciec Heleny i matka Wiktora, Leokadia Wojciechowska, zostali zastrzeleni na ulicy przed swoim domem.

W mieście, od kiedy zdobyli je Niemcy, dochodziło do częstych aresztowań. Tego dnia, gdy wracali do domu, Niemcy urządzili łapankę. W samochodach zabrakło miejsca, tych, którzy nie weszli do bud, rozstrzelali na środku ulicy. Helena w tym czasie przebywała na wsi, u znajomych jej rodzonej matki.

Dzięki przeczności ojca Helena uniknęła śmierci, ale bała się wrócić do domu. Była w nim tylko raz, ukradkiem. Pojechała, żeby zostawić list dla Wiktora. Chciała, żeby, gdyby jednak wrócił, dowiedział się, co z resztą rodziny. Na pustej kartce napisała: „Rodzice nie żyją, ja jestem”.

Tymczasem w Chełmie szukało schronienia tysiące ocalałych po ukraińskich pogromach Polaków z Wołynia. Dwudziestego pierwszego lipca 1944 roku Chełm zdobyła Armia Czerwona. Mimo zakusów, żeby przyłączyć go do Ukrainy, dzięki ostatecznym ustaleniom, że granicę ma tworzyć linia rzeki Bug, Chełm pozostał polski.

Wiktor wrócił pod koniec wojny. Powiedział, że był w partyzantce. Nie pisał, bo nie chciał narażać rodziny. W czasie wojny im mniej się wie, tym lepiej. Ogólnie nie mówił wiele. Męczyła go jakaś trauma. Krzyczał po nocach, przez wiele miesięcy śniły mu się naloty i ciągła ucieczka. Helena cierpliwie leczyła wspólne rany, nie pytając wiele. Kochała go nad życie. Nie chciała go niczym zranić, pielęgnowała jak dziecko, aż wróci do zdrowia. Stwierdziła, że w końcu nadejdzie czas i wszystko sobie wyjaśnią, i tak mieli szczęście. Stracili rodziców, ale nie siebie.

Pobrali się w sierpniu czterdziestego piątego. Helena była już w ciąży. Gdy na świat przyszła Irena, przenieśli się do Wrocławia.

Wiktor dostał pracę w Stoczni Rzecznej, w dziale zaopatrzenia. Po wojnie remontowano w niej wraki, statki wydobyte z dna Odry i ze wszystkich kanałów bocznych. Helena studiowała. Irenka chodziła do żłobka, później do przedszkola. A potem Wiktor zniknął, po prostu nie wrócił z pracy. Został po nim jeden sweter i kilka drobiazgów.

To było w zasadzie wszystko o Wiktorze. Już nigdy się nie spotkali. Nie szukał ani jej, ani córki. Nikt nie znał jego losu, nie wiedział, czy żyje, a jeśli tak, to gdzie i dlaczego odszedł. Helena szukała przez wszystkie możliwe służby i organizacje. Była w stoczni, pisała do Chełma, do jego dawnych znajomych. W końcu zrezygnowała, skończyła studia i wyjechała. W Warszawie odnalazła ją daleka rodzina z Kanady.

I ten wątek interesował mnie wtedy najbardziej.

– A kobieta, która dała wam w Kanadzie schronienie i w końcu tak bardzo pomogła? Była jego krewną czy tylko znajomą? Ktoś jej musiał polecić twoją matkę – próbowałam na siłę drążyć wyczerpany, jak się nam wydawało, temat.

– Po wojnie spora grupa Polaków, którzy zawczasu uciekli z kraju albo żyli tam od dawna, czuła potrzebę niesienia pomocy rodakom w zniszczonym kraju. Ci zamożniejsi wpłacali fundusze na specjalne konto lub sami się tym zajmowali. Tak było właśnie z nami.

– Poznałaś tych ludzi?

– Kiedyś nas odwiedziła ta kobieta. Wróciłam właśnie z basenu. Spieszyłam się. Przed domem czekał chłopak, w którym się podkochiwałam. Mama kazała mi się przywitać. Kobieta była w starszym wieku. Wtedy wszyscy powyżej trzydziestki wydawali mi się bardzo starzy – dodała z uśmiechem. – Przywitałam się w biegu, ona podała mi rękę i stwierdziła, że jestem do niego podobna. Zdziwiłam się, bo wszyscy twierdzili, że ze mnie wykapana mama. Gdy już biegłam przez trawnik do bramy, za którą w aucie czekał na mnie chłopak, ona odjeżdżała spod domu, ktoś inny prowadził. Wieczorem, gdy wróciłam z randki, mama już spała. Na stoliku w sypialni zobaczyłam kopertę. Obejrzałam ciekawie, bo na kopercie był polski znaczek, nazwisko adresata, które nic mi wtedy nie mówiło, i nadawcy, tak samo obce – Wiktor Kasztelan, Kielce, ulica Zimna 4. To nazwisko i adres zostały mi długo w pamięci. Obiecałam sobie, że kiedyś o nie zapytam. Tymczasem kobieta, która nam pomagała, kilka lat później odwiedziła nas ponownie. Przyszła się tylko pożegnać. Chciała przed śmiercią zobaczyć Europę i odwiedzić Polskę. Już nigdy nie wróciła do Halifaksu. Przez kilka miesięcy jej dom stał pusty. Później wprowadził się jakiś prawnik z rodziną. Z nikim z ulicy nie utrzymywał kontaktów. Po dwóch latach dom sprzedano powtórnie. Mieszkają tam obecnie zakonnice z Polski. W okolicach świąt Wielkiej Nocy zapraszają nas na uroczyste śniadanie. Od czasu do czasu przyjmujemy zaproszenie. Okoliczni mieszkańcy twierdzą, że ten dom dostały w darze od zamożnej Polki, która w nim kiedyś mieszkała. Ale to chyba plotki.

Ta opowieść mnie prześladowała. Przez kilka tygodni po powrocie do Polski myślałam o niej codziennie. Obiecałam Irenie, że spróbuję się czegoś dowiedzieć. Ona jednak przestała pisać, a ja o wszystkim wkrótce zapomniałam. Błędny wspomnienia, nasza rozmowa przy winie i kilka następnych utonęły w codziennej rutynie.

Marzenia Jana

Krasocin, wiosna, rok 1921

Z nastaniem wiosny na przeludnionych terenach Kielecczyny coraz częściej pojawiali się pośrednicy, którzy namawiali rolników do kupna ziemi na odzyskanych Kresach. Sprzyjała temu polityka państwa. Polska ludność na tamtych terenach procentowo była w mniejszości i trzeba to było zmienić. Nowe państwo stworzyło obywatelom dogodne warunki zakupu gruntu. Na wszelkie sposoby zachęcano chłopów do osiedlania się w upadłych majątkach, na ziemi, która leżała od dawna odłogiem i czekała na gospodarza.

Właśnie wtedy w Krasocinie zaczął działać Jan Gąsiorowski, sprytny i obyty urzędnik. Jan z uwagą słuchał tego, co mówił do chłopów zwolennik nowej polityki. Oferta była kusząca, ale perspektywy odległe. Jan słuchał z czystej ciekawości. Nie lubił mydlenia oczu, już niejeden szaleniec próbował namieszać mu w głowie. Dlatego z dystansem traktował tę agitację.

Z tego, co rozumiał, Gąsiorowski szukał ryzykantów. Opowiadał o żyznej ziemi, leżącej odłogiem na odzyskanym Polesiu, którą można ponoć kupić za bezcen, o możliwościach, jakie daje chłopu nowe państwo, i obiecanych kredytach. Zapewnienia Gąsiorowskiego wydawały się nierealne. Nieufność wykształcona przez lata niewoli wyostrzyła uwagę, a jednocześnie studziła zapalały, spowolniła podejmowanie decyzji. Jan był bardzo ciekawy, czy znajdzie się ktoś odważny, kto zechce zaryzykować. A Gąsiorowski zachwalał, jak mógł, oferowaną ziemię.

Jak kropla draży skałę, tak jego słowa odnalazły w końcu drogę do ludzkich głów. Niejeden posłuchał, poczytał, rozpytał, aż zaczęła w nim kiełkować wola działania. Jan wyliczył, że za kawałek pola w Krasocinie kupi tej ziemi cztery razy tyle. Aż trudno było uwierzyć. Coś, co dotychczas było niemożliwe, miał na wyciągnięcie ręki. Powoli zyskał przekonanie, że wyjazd na Kresy nie byłby głupi.

Tymczasem wyludnione i zniszczone miasta na Kresach oczekiwały pomocy. Potrzebni byli lekarze, bankowcy, inżynierowie, brakowało wszystkiego, w tym również producentów żywności. To już nie był jedynie wymysł handlarza ziemią, o tym szeroko pisały gazety. We wsi zrobił się szum, w karczmie gorące głowy zaczynały planować. Ktoś zrobił na próbę listę, wpisało się kilka rodzin. Ktoś inny dodał, że z Kielc wyjechali pierwsi osadnicy, że Włoszczowa się organizuje i kto pierwszy, ten lepszy, bo będą dotacje i wsparcie od państwa dla tych, którzy wyjadą.

– Po co tam chodzisz? – dziwiła się Wikta. – Wracasz zasepiony, nerwowy. Na co ci ten Gąsiorowski? – Racjonalna Wikta nie była zadowolona. Kobiety bały się zmian. Nawet te odważne i przedsiębiorcze jak ona. Dość już wycierpiały od życia, najadły się strachu i biedy. Teraz, kiedy nie ma nad głową cara ani Prusaka, chciały żyć w spokoju.

– Chodzę, bo chcę wiedzieć, co się tutaj dzieje. Inni też chodzą, każdy chce posłuchać.

– A słuchaj, słuchaj – dogadywała. – Tylko niech się na tym skończy. Nie chcę o niczym wiedzieć – próbowała się bronić.

– Czy ja coś mówię? – obruszył się Jasio.

– Oczy mówią za ciebie, iskrzą się jak u Morusa, gdy ma w głowie psoty.

– To źle? – pytał zdziwiony.

– Ano źle, dobrze znam te iskry. Widzę, że coś planujesz. A tu pola już obsiane, kury i kaczki nasadzone, dziecko dopiero od ziemi odrosło, nie pójde stąd za żadne skarby.

Jan jak wszedł, tak wyszedł. Nie lubił się kłócić, chciał z nią tylko o tym rozmawiać. Usiadł więc na ławce przed domem i długo myślał. Rozumiał obawy żony. Kobiety wiedziały swoje, strach im szeptał na ucho lub kobieca przezorność, żeby zostać wśród swoich. Nie chciały się narażać. Ale on był mężczyzną i bał się stagnacji. Stagnacja to jakby cofanie. Wiedział, że wszystko ma swoje granice, nawet niewola, ale postęp po to wymyślono, żeby z niego korzystać. Czuł się nareszcie wolny i czuł podniecenie. Coś się zmieniało na lepsze i chciał w tym uczestniczyć. Mierziło go takie życie, męczyła codzienność i brak perspektyw. Kobietom macierzyństwo zazwyczaj wypełniało plany, były stworzone do ochrony gniazda. On, owszem, doceniał swoje szczęście, niejednen przecież nie dożył tych czasów. Ale bał się zastoju i nie lubił nudy.

Poszedł pod studnię. Nabierał garściami wody i obmywał twarz. Potrzebował na gwałt ostudzić gorącą głowę. Był młody i stary zarazem, ojciec, syn i dziad. Nie zmieniło się wiele od czasu, kiedy mu Szczepan powiedział, że musi wracać do domu, bo umarł ojciec i matka została sama, i ziemia bez mężczyzny. Teraz było podobnie, kobieta, ziemia, a do tego malutkie dziecko i bieda w perspektywie.

Wiatr mu wysuszył włosy, ostudził czoło, lecz nie uspokoił. Powinien pójść do Adama i z nim się naradzić, może i on da się namówić na wyjazd. We dwóch daliby radę. Czuł, że to dobry pomysł, że może wtedy łatwiej mu będzie przekonać żonę. Już był prawie pewien, że Gąsiorowski ma rację, kto przegapi okazję, ten kiep.

Kwietniowe słońce zachodziło powoli za dachy, powiał chłodny wiatr i zaczęło siąpić. Jan zgłodniał od tego myślenia, a w domu pewnie niedługo kolacja. Obszedł jeszcze podwórko, zajrzał do obory. Koń cicho zarżał, dorzucił mu owsa i poklepał po karku.

– Dobry siwek, dobry – powiedział pieszczotliwie. Zwierzęta jak ludzie. Gdyby siwek mógł mówić, ciekawe, co by mi radził, zostać czy wyjechać? – zastanawiał się, wracając do domu.

W garnku na piecu gotowała się woda na kluski. Wikta stała przy stole odwrócona do drzwi plecami i wałkowała ciasto. Wchodząc, narobił hałasu, odwróciła się, kładąc palec na ustach.

– Ciii. – W kołysce pod oknem spał malutki Lucek.

– Masz rację – powiedział szeptem. – Namieszali mi w głowie i rzeczywiście słucham Gąsiorowskiego, ale dla dobra rodziny – tłumaczył spokojnie. – On gada z sensem i dobrze myśli. Pokazał nam wyliczenia, dokładne plany. Widzę, jaka to dla nas okazja, ile możemy zyskać. Sprzedać tu, a tam kupić, będzie trzy razy tyle.

– Zyski i zyski, te wasze pieniądze – syknęła.

– Ja też nie lubię ryzyka, a jednak wciąż ryzykuję – nie dawał za wygraną. – Kupiłem na wiosnę ziarno, nową odmianę jęczmienia, kto wie, jak na tym wyjdę? Sprzedałem żrebaka, a siwek coraz starszy, może paść i wtedy zostanę bez konia. Pożyczyłem pieniądze na bronę, a jeśli nie zarobię, to jak oddam dług sąsiadowi?

Wiktorcia milczała. Jakoś jej nie przekonał. Robiła z ciasta wałeczek, a potem cięła ukosem. Ciężki nóż stukał o deskę. Bolały ją nogi od stania. Od połogu minęło kilka miesięcy, a wciąż nie czuła się dobrze. Mleka miała za dużo, bolały ją piersi, nie w głowie były jej zmiany, bała się tego, czym sobie Jasio nabijał głowę.

– Chcesz mnie stąd zabrać, daleko od bliskich, od domu? Mnie więcej nie trzeba jak to, co tutaj mamy – broniła się szczerze. Zwolenniczka niezależności zmieniła zapatrywania. Mieli dwanaście mórg, dzieci i dom, zadbaną ziemię i gospodarstwo, nie było się czego wstydzić. – Józek uważa – cytowała brata – że to zbyt duże ryzyko, kto wie, co tam zastaniesz. On nie pojedzie, nigdy, mówił mi, ani nikt z rodziny.

– Każdy ma prawo do własnych decyzji.

– No właśnie – podkreśliła. – Moja jest właśnie taka, żeby nie wyjeżdżać. Sami tam będziemy – dodała złąkniona i świat jej nagle pociemniał. Już nie była taka jak kiedyś. Od śmierci Edka stała się mniej odważna, bardziej ostrożna i zachowawcza. Pójdą, gdzie nie ma miasta ani doktora, a tutaj trójka dzieci, co z nimi będzie?

Jaś milczał, nie chciał niezgody, musiał jednak myśleć o jutrze.

– Mój dziadek, Szczepan Kuśmierczyk, miał aż pięćdziesiąt mórg, kiedy się żenił. Jak mu dzieci dorosły, wszystko podzielił i z tych kawałków nikt się już nie mógł wyżywić. A my, co damy dzieciom, kiedy dorosną, jak podzielimy ten mały kawałek?

– A może nie zechcą pracować na roli – ostro się postawiła. – Może pójdą do miasta, a przedtem do szkół?

– Uprawiamy ziemię od dawna – zachnął się na to. – Ile to już pokoleń? Nic się nie zmieni – tłumaczył żonie. – Taki nasz chłopski los.

On, który kiedyś marzył o świecie, o lepszym życiu, powoli przestał w to wierzyć. Z czasem zapomniał o młodzińskich planach i poddał się, zjadły go codzienność i troski. Dopiero Gąsiorowski otworzył mu na powrót oczy.

– A może to jest szansa – dalej przekonywał. – Może tam czeka lepszy świat i lepsze życie. Gdybym sprzedał dom i ziemię, kupił za to grunt na wschodzie, to byłoby tego dużo więcej – powtarzał z uporem. – Podobno drzew tam tyle, że mógłbym ci wybudować pałac i pełną gębą rządzić.

– Ja nie księżniczka, żeby mieszkać w pałacu – rzuciła przez ramię. – Umiar jest najlepszym gospodarzem, Jasiu. Młodzi jeszcze jesteśmy, zdążymy się tutaj dorobić.

– Ale dwór dziedzica to ci się kiedyś podobał. – Jaś prowokował.

– Jasiu, ocknij się – żartowała z męża. – Co też ci się marzy. Jeszcze niedawno twierdziłeś, że los nasz przesądzony, że po grób ci ziemia pisana, a teraz chcesz zostać dziedzicem i to daleko od ojcowizny?

– Życ można wszędzie i ziemię lepszą kupić, i dom lepszy postawić. Umiar umiarem, a bez postępu cofać się będziemy.

– Postęp znajdzie drogę do Krasocina, już ty się nie martw. Ludzie przywożą nowinki ze świata, to i tutaj wszystko się zmieni. Łatwiej być postępowym między swoimi, bo i pomoc jest, i wsparcie.

– Wikta, tam jadą całe wsie. Sąsiad ciągnie sąsiada, zanim się ockniesz, będzie ich więcej tam niż tutaj, za płotem.

– Aha, i okaże się, że obok nas same Kordele mieszkają, od nich się pomocy nie doczekasz – dogadywała Jasiowi.

– Kordel już ledwo chodzi, inne kresy mu bliższe.

– Chłopaka stracił na wojnie, przez to bez przerwy pije. Wiesz, że Karolek był jego oczkiem w głowie.

– Wikta próbowała usprawiedliwić nałóg sąsiada. – Poszedł za niego do turmy i siedział trzy lata.

– A jak wyszedł – Jan przypominał – to go tak stłukł, że cudem chłopak przeżył. Uciekł do wojska przed ojcem, a nie z miłości do kraju.

Wikta nie chciała przyznać mu racji.

– No, to teraz pije z udreki. Może i on pojedzie, żeby odkupić winy.

– Tacy jak Kordel na Kresy nie pójdą, oni są już tutaj straceni, tam nie mają czego szukać.

Pragnienie jest jak choroba, nie poddaje się argumentom, żyje własnym, niezależnym życiem.

Jaś po rozmowie z Wiktą potajemnie snuł dalsze plany, wyliczał i kalkulował. Nie chciał zawczasu

denerwować bliskich. Jak kiedyś, gdy umawiał się na pracę w Prusach i ukrywał przed żoną, tak teraz przestał rozmawiać z Wiktą o przyszłości. Ona jednak widziała przemianę, która w nim zaszła, nie pytała, gdzie jedzie i kiedy wróci, widząc, jak siodła konia. Bała się zawziętości męża, a z drugiej strony zaczynała słabnąć w oporze. Pomogły rozmowy z sąsiadkami. One nie miały aż takich obiekcji.

Wątpiła nadzieja, że z odrodzeniem kraju odbuduje się również wieś, że chłop zacznie w Polsce coś znaczyć, toczyła duszę Jana. Tkwić w starym świecie, gdy dookoła takie zmiany, byłoby grzechem. I nie przypadkiem trafił do karczmy, gdy Gąsiorowski zajechał z nowiną.

Z gminy Krasocin zebrało się kilkanaście rodzin zdecydowanych na wyjazd. Widać inni też poczuli powiew nowego. Dołączyli do nich chętni z innych miast powiatu częstochowskiego. Ale nie chcieli kupować w ciemno i ryzykować. Na zebraniu uzgodnili, że najpierw kilku pojedzie wszystko zbadać na miejscu. Wybrano sześć osób z dwóch gmin, odważnych i gotowych sprostać zadaniu. Zainteresowani wyjazdem złożyli się dla nich na bilety. Jan chciałby jechać, ale nie miał odwagi, dostałby w domu za swoje. Lutek był jeszcze malutki, Wikta zła za to, że się rządzi bez niej, gdzie mu tam zostawić wszystko i ryzykować niepewną wyprawę.

„Inspektorzy” pojechali na wschód pociągiem z Włoszczowy przez Kielce, Lublin i Chełm do Kowla. Z Kowla do Kamienia Koszyrskiego, do miejscowości Krymno, gdzie już podwodami wozili ich do różnych majątków, żeby mogli się przyjrzeć terenom wystawionym na sprzedaż. To, co zastali, mocno ostudziło emocje, a niektórym nawet odebrało ochotę na wyjazd.

Majątki były zniszczone, zaniedbane. Część dworów spalona, większość rozgrabiona, reszta wykupiona przez handlarzy, którzy chcieli na trupie polskiego ziemiaństwa zrobić dobry interes. Polskie dwory od dawna podupadały. Dobiły ich zsyłki i konfiskata ziemi. Znamienite rody wymarły bez następców, młodzież poginęła w powstaniach i na wojnie. Kobiety zostały same, z gromadami dzieci, a ziemia bez gospodarzy. Tysiące hektarów nieużytków, zniszczone osady, wyludnione miasta – kiedyś metropolie, teraz zatechła prowincja.

– Ziemia jest opuszczona, pola zachwaszczone, nierzadko zarośnięte kilkuletnim lasem, który trzeba najpierw wykarczować, a dopiero potem zaorać i zasiać – relacjonował główny „inspektor”. Wizyta na Polesiu dała mu do myślenia i ostudziła zapał. W końcu nie każdy czuł się na siłach sprostać takim zadaniom.

– Ziemia, owszem, nieco zaniedbana, ale kto się pracy nie boi i zakasze rękawy, dopnie swego – przekonywał wytrwale Gąsiorowski. Sam chciał koniecznie nabyć tę ziemię. Za werbunek obiecano mu kilkanaście mórg i dom. – Z Włoszczowy do Krymna w dwa tygodnie dojdzie się na piechotę, czego się bać, ludziska! – Gąsiorowski miał dar przekonywania i potrafił wejść na ambicję. Zwołał w karczmie kolejne zebranie.

– Nie tylko ziemia tam licha, ale miejsce dzikie – relacjonował jeden z sześcioro, którzy odbyli podróż do Krymna. – Bieda u nich, aż piszczy. Tamtejsi, których zwą Poleszuckami, nie są nam zbyt łaskawi. To dziwny naród, mówi koślawo, ni to po polsku, ni po ukraińsku. Gąsiorowski niech zaświadczy, widział i słyszał to samo.

Gąsiorowski siedział przy wyjściu zasłuchany w relacje przybyłych.

– Musicie zrozumieć, chłopcy, że to ziemia po naszych przodkach, skropiona krwią rodaków i ich niedolą – odezwał się do nich po chwili. – Żyje na nich sporo wspomnianych tu Poleszucków, ale i Białorusinów, Ukraińców i Żydów, to historyczna spuścizna. Mieszka tam polska szlachta i trochę polskiego ziemiaństwa. Car i rozbiory zrobiły swoje, dwory i ziemie skonfiskowali za kolejne powstania, za polskość, za wiarę. Trzeba teraz więcej Polaków, skoro ziemia znów nasza, żeby wesprzeć tych, co tam trwają od wieków. Kościoły trzeba budować i szkoły, i miasta. Piłsudski osadza żołnierzy, nagradza ziemią za wojenne zasługi. Potrzeba lekarzy, urzędników, inżynierów. Potrzeba polskich

rolników, żeby ziemia zaczęła znów rodzić. Poleszycy to lud spokojny. Nie zrobią wam krzywdy, jeszcze skorzystają, może i docenią. Przywieziemy ze sobą narzędzia, wiedzę o ziemi, naszą chłopską praktykę, wszyscy na tym skorzystają i oni, i my. Nieufni są, boją się zmian, jak wszyscy. Nasza w tym głowa, żeby nie było waśni, tylko braterstwo i zgoda. To nasze zadanie – próbował wejść na ambicję zebranych w karczmie. – Większość z nas nie była na wojnie. Ziemia nie daje urlopów, naród trzeba było wykarmić i wrogom dać jeść, bo od nas tego żądali. Teraz nadchodzi czas, żeby to wszystko nadrobić, wcielając polskość na odzyskanych terenach. Ziemia się odwzajemni, trzeba się tylko postarać.

– Mamy wpaść z deszczu pod rynnę? – odezwał się ktoś z końca sali. – Gnębili nas swoi, teraz nas obcy gnębić będą. Pod carem byłeś, ale wśród swoich, teraz pod Polakiem, ale wśród obcych.

– Na Polesiu byłem kilka razy, sporo się nasłuchałem. – Gąsiorowski mówił dalej. – Stolicą jest Pińsk, kiedyś ponoć piękne miasto, teraz ograbione, zniszczone, całkiem wyludnione. Najpierw car ogołocił, potem Niemiec zniszczył, a na koniec bolszewicy dobili. Garstka ludzi w tym mieście została. Wsie dookoła spalone, ziemia opuszczona, las porasta i wdziera się woda z dopływów Prypeci, trzeba kopać kanały, osuszać łąki. Tutaj brakuje wody, tam ile dusza zapragnie. Tutaj stagnacja, tam są perspektywy, ale i ciężka praca. Coś za coś. Kto ze mną pojedzie, temu ziemia się odwdzięczy, i zysk będzie, i zadowolenie, że się pomogło ojczyźnie. – Zamilkł na chwilę, żeby dać im czas do namysłu. Wśród zebranych rozpętała się wrzawa. Były głosy na tak, były słowa sprzeciwu, utworzyły się dwa obozy. Gąsiorowski czekał. Uznał, że teraz każdy musi dojść do porządku z własnym sumieniem i skonfrontować plany. W zgiełku trudno było wyłowić sensowne słowo. Chłopy dobrały się w grupy i jeden przez drugiego krzyczał. Zdawało się już, że jest jednomyślność, to znowu ktoś podnosił krzyk, że banki się będą bogacić i tacy jak ten tu Gąsiorowski, a chłop jak zawsze po dupie dostanie.

Dyskusja trwała do zmroku. Jan przysłuchiwał się z boku jednej i drugiej stronie. Nie dziwił się, że ludzie nie mogą się zgodzić. Ilu chłopów, tyle oczekiwań, każdy myślał na swoją modłę. Fakt, ziemia daleko, jak się noga powinie, nie będzie odwrotu. Sprzeda się ojcowiznę, a tam ani pieniędzy, ani ziemi nie będzie. Czy można zawierzyć ludziom w czasach, gdy wkoło bezprawie? Wiele było pokus i sporo zagrożeń. Sprzedać jest łatwo, ale dobrze kupić, w tym cały kłopot.

W końcu znalazło się kilkunastu odważnych, którzy chcieli jechać. W zasadzie nie mieli nic do stracenia, tutaj bez szans na lepsze życie postawili na jedną kartę – wóz albo przewóz. Tym, którzy się zdecydowali, Gąsiorowski przedstawił pokrótce historię majątku, którego ziemię mogliby nabyć, więc Jan nastawił ucha.

Nowy podział administracyjny związany był z nowymi granicami Polski. Urząd Wojewódzki w Brześciu zarządzał terenami Polesia i północnymi rejonami Wołynia. W południowej części województwa poleskiego, przy linii kolejowej z Kowla do Pińska, leżało miasto powiatowe Kamień Koszyrski. Szesnaście kilometrów na północny wschód leżała wieś Krymno, a w niej majątek ziemski należący do pani Zawadzkiej. Po śmierci męża, który zginął w 1863 w powstaniu styczniowym, wysłała po raz drugi za mąż za emerytowanego generała armii carskiej.

Generał okazał się dobrym gospodarzem i razem z żoną sprawnie zarządzali majątkiem. Dzięki wysokiej emeryturze, a także dzięki kredytom zaciągniętym w Banku Ziemskim doprowadzili do jego rozkwitu. Ponieważ wiosną pobliskie tereny często zalewała woda, odwodnili także łąki i pola należące do majątku.

To były lata świetności. Niestety pani Zawadzka owdowiała ponownie. Majątkiem zajęli się zarządcy. Zaraz po wojnie sprzedano połowę gruntów. Kupił je bliski krewny, człowiek handlujący ziemią, Antoni Nipanicz. Nipanicz był młody, kończył dopiero studia i chciał zostać geodetą.

Ale majątek Zawadzkiej zadłużony był w bankach Wileńskim, Połtawskim oraz Odeskim. Pożyczkę zaciągnął generał, zadłużenie przeszło na Nipanicza i ciążyło na hipotece. Po rewolucji i zmianie ustroju

kredyt w dwóch bankach uległ unieważnieniu, w Banku Wileńskim, który funkcjonował także w Polsce, był niespłacony. Bank zarekwirował ziemię i zajął się jej sprzedażą, a Nipanicz musiał opuścić majątek. Taka to była historia. Ludzie lubią ładne opowieści. Skoro carski generał mógł zrobić majątek na polskiej ziemi, to polski chłop będzie miał z niej pożytek na pewno.

Przegadali z Wiktą niemal całą noc. Próbowali odpocząć nad ranem, zanim Lucek narobi hałasu, ale sen już odpłynął. Bo jak spać, gdy głowa cała w wątpliwościach, a serce rozdarło? A właściwie dwie głowy i dwa rozdarło serca, a każde w inny sposób. Jana serce widziało nowe i lepsze perspektywy, ale żal mu było ojcowizny, a serce drugie wypełniło się obawami o przyszłość dzieci i swoją, strachem przed utratą bliskich, których trzeba będzie opuścić. Serce Jana, racjonalne i logiczne, obawiało się jednak, czy aby jego dziadom spodoba się decyzja sprzedaży dziedzictwa, czy nie dotknie go zemsta z zaświatów. Tymczasem Wikta bała się, jak mąż podoła wyzwaniom i ciężkiej pracy, która czeka go daleko od domu. Tak więc każdy miał o czym rozmyślać tej kwietniowej nocy, której ciężar przeniósł się na wiele kolejnych, równie bezsennych nocy majowych i czerwcowych, i lipcowych...

Jaś już wcześniej czuł, że Wiktorija zgodzi się na wyjazd. Mimo to długo zagadywał, nie chciał jej przestraszyć. Wiedział, że boi się jechać, ale w sercu liczył na wsparcie. Poznał ją już na tyle, żeby docenić przywiązanie, ufność i pokorę wobec jego decyzji, a może i posłuszeństwo, które wyniosła z domu. Nie był w stu procentach pewny, co dzieje się w duszy żony, ale serce już poznał i wiedział, że nie będzie stawiała oporu.

Miała tylko trochę smutne oczy, kiedy jej wszystko wyłuszczał. Widział w nich łany lnu, łąki pełne kwiatów, jej dłonie na kłosach; zobaczył, jak przełyka ślinę, kiedy mówił o rychłym wyjeździe, jak ściera łzę z policzka. Był zaskoczony, że przyjęła to tak spokojnie. Pomyślał o niej z czułością, bo pierwszy raz tą łzą odkryła przed nim duszę. Czyżby to była miłość prawdziwa, czy przywiązanie? A może i jej przyśniła się wielka przygoda i zmiana, daj Boże, na lepsze.

Trzeba było jeszcze znieść gniew reszty rodziny i przekonać ich do planów. To było chyba najtrudniejsze. Krasocin, wieś, w której co któraś chata należała do rodziny Kuśmierczyków, i Gruszczyn, gdzie co krok mieszkali z dziada pradziada Sornaty, poprą ich czy potępią? Wydawało się, że nowa idea nie znajdzie w ich wsiach akceptacji, a odważny plan Gąsiorowskiego spali na panewce.

Tymczasem, kiedy przyszło podjąć ostateczną decyzję, na listę chętnych wpisało się aż czterdziestu czterech gospodarzy. W tym byli i Kaliszewscy z ulicy Floriańskiej, Gołdynowie i Maliszewscy. Byli chłopcy z Sułkowa, Chotowa i innych okolicznych wsi. Do podziału na Kresach mieli tysiąc czterysta mórg, czyli po trzydzieści dwie morgi na jedno gospodarstwo, kupowano jednak różnie. Jan kupił mórg czterdzieści, na tyle było go stać, musiał przecież zostawić jakąś sumę na podróż i na pierwsze miesiące życia poza domem.

Kajetan Kaliszewski miał w okolicy dwie włóki ziemi, a do tego z dwóch małżeństw osiemnaścioro dzieci. Bez wahania zdecydował się wyjechać. Dorosłym dzieciom przekazał część gospodarstwa, żeby mogły się usamodzielnic, a za trzydzieści mórg krasocińskich dostał dziewięćdziesiąt mórg na Polesiu, w tym las z drzewostanem na domy dla młodszych dzieci i owdowiałej córki Zofii razem z jej przychówkiem. Jan i Wiktorija dziękowali niebiosom, że będą mieli za sąsiadów takich porządnymi ludzi. Dzięki temu rozstanie z domem będzie mniej bolesne.

Latem przeprowadzono formalności rejentalne, które obowiązywały przy kupnie i sprzedaży. Jedni zajęli się formalnościami i kontaktami z pośrednikiem właściciela ziemi, inni pilnowali umowy z mierniczym. Wszystkiego nie dało się załatwić na odległość, zadbać o szczegóły kontraktu i przejąć

ziemię zgodnie z umową. W tym celu wybrano przyczołek, najbardziej obytych w temacie przedstawicieli nowych kolonistów z grupy częstochowskiej, którzy mieli dopinać umowę na miejscu.

Tymczasem w Krasocinie zaczęło się wielkie pakowanie. A trzeba to było zrobić z rozmysłem. Jechali w nieznaną, mimo że wiedzieli dokąd. Polska nie Polska, Rosja nie Rosja. Kto wie, jak ich tam przyjmą. Nabyli grunt od Polaka, jechali na odzyskane ziemie, a jednak czuli, że są im obce. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, na co się narażają. Jechali z podwójną misją, tak jak mówił na zebraniu Gąsiorowski. Zaludniać odpolszczone tereny, odbudować polskie zaplecze. Będą stawiać domy, gospodarzyć, rozmnażać się, wypełniając miejsca po Polakach zesłanych, zamordowanych, wynarodowionych. Lecz czy to się powiedzie? Tego nikt nie potrafił przewidzieć.

Tak jak długo medytowali nad sprawą wyjazdu z rodzinnej ziemi, tak szybko zaczęli go realizować. Przeprowadzkę z całym dobytkiem odłożyli jednak na później. W Krymnie nie będzie dla nich domów ani ciepłej strawy, może kąt u kogoś, ziemianka, mała komórka, w której będzie się można przespać i pożywić. Przed nimi sroga zima, mroźniejsza od zim kieleckich. Wikta więc zostanie w domu, przetrwa bezpiecznie pod opieką rodziny i zajmie się dziećmi. Jan pojedzie sam, postawi dom, wykopie studnię, dopiero potem ściągnie do siebie najbliższych.

Ostatni dzień w domu, potoki łez, wzruszenie i wielki niepokój. Wyjeżdżali mężowie i dorośli synowie zdolni do ciężkiej pracy i przetrwania w trudnych warunkach. Jechało też kilka całych rodzin. Kto mógł, zebrał plon, żeby zabezpieczyć tych, którzy zostali na miejscu. Spieniężyli, co tylko możliwe. Trzeba się było spieszyć, czekała na nich ziemia, którą muszą uprzętnąć i przygotować pod zasiew. Podstawowy sprzęt zabierali ze sobą, niezbędne były konie, wozy, pługi i brony, narzędzia do pracy w lesie i przy budowie domów. Poza tym pościel i trochę naczyń, niektórzy wieźli i meble.

Wynajęte wagony czekały na nich w Kielcach. Dobytek jadących na Kresy został załadowany i dokładnie zabezpieczony, a później kilka dni podróżował po Polsce podczepiany do innych transportów.

Po traktacie w Rydze na kolei obowiązywał już nowy porządek, nowe władze i inny rozkład jazdy. Zdarzało się, że postój trwał dłużej, wtedy poiło się konie, uzupełniało zapasy wody, robiło posiłki. Wszystko zależało od miejsca postoju. Jeśli pociąg stał w polu, jadło się to, co było pod ręką. Nieważne co, byle nie być głodnym i dojechać w dobrej kondycji.

W końcu dotarli do Kowla. Stacja zadbana, jadłodajnia z ciepłym posiłkiem, gorąca herbata. Kto wie, kiedy znowu nadarzy się taka okazja. Niektórym kończyła się żywność, a najbardziej cierpliwość. Musieli przetrwać jeszcze dwa albo trzy dni, zanim dotrą do celu. Jasiowi został tylko suchy chleb, który Wikta upiekła w domu i dała w płóciennych workach na drogę, żeby mu w razie czego pomógł przetrwać najgorsze. W Kowlu poszedł z tym chlebem do jadłodajni poprosić o wrzątek, żeby zrobić wodziankę. Widok biednej zupy wzbudził emocje u dwóch kolejarzy. Zajadając się kraszoną kaszą, żartowali sobie na boku.

– Taki to się dorobi – powiedział jeden. – Wodzianka niewiele kosztuje – dorzucił zaczepnie.

– A dokąd to drogi prowadzą? – zapytał drugi z czystej ciekawości, widząc, z jakim apetytem Jan pałaszuje posiłek.

– Za Kamień Koszyrski – wyjaśnił im, nie przerywając jedzenia.

– A tak dokładnie?

– Dokładnie to do Krymna – odpowiedział.

Tylko pokiwali głową. Widać te słowa zrobiły na nich wrażenie. Jana ogarnął nagły strach i zwątpienie. Na ten krótki moment poczuł w głowie zamęt, na czoło wystąpił mu pot, chyba bał się tego, co kolejarze powiedzą za chwilę.

– Będziecie mieli ciężko – odezwali się w tonie współczucia. – Tereny tam zapuszczone, ziemia

jeszcze krwawi. Ludzie zagubieni, co pan, to inne zwyczaje. W czasie wojny wzdłuż Stochodu była linia frontu, trzy lata z nawiązką. Ziemia leży odłogiem, błotnista i pełna zarazy. Ugory jak okiem sięgnąć.

– Ugoru to ja się nie boję ani zarazy, ani nowej władzy. Niejedno się przeszło, kark mam twardy – odpowiedział im hardo. Starał się być grzeczny, ale strach podpowiadał mu słowa. – Przywykłem do pracy. Raz-dwa wyprowadzę ziemię i będzie gdzie gospodarzyć – dodał już ciszej.

– Jedząc chleb z wodą – jeden z nich zakpił.

– To tylko przekąska, dla leniucha wystarczy – odpowiedział Jan kąśliwie. Widząc, jak im przeszkadza jego skromny posiłek, odzyskał rezon. Zwątpienie ustąpiło złości.

– Niech więc droga szczęśliwie prowadzi – powiedzieli do Jasia, dostrzegając jego wzburzenie. Źle go osądzili. Patrząc po skromnym posiłku, myśleli, że z jakimś włóczęgą mają do czynienia.

Jan szybko ochłonął. Zdziwiło go, że tak się zdenerwował. W końcu przecież nic się nie stało. To tylko zmęczenie, a może niepokój przed tym, co wkrótce zobaczy.

Do Kamienia Koszyrskiego jechali dwie godziny. W stosunku do całej podróży był to prawdziwy ekspres. Nowe tory, zbudowane przez Niemców na potrzeby wojny, sprawdziły się bez zarzutu. Wagony toczyły się przez wołyńskie łąki, pola, nieużytki, które wydawały się nie mieć końca. Niektóre z nich dawno nie widziały kosy ani lemiesza. Od czasu do czasu widać było ślady niedawnych potyczek. A to spalony dom, rozjechane pola, rowy wypełnione wodą, zarośnięte chwastem. Ziemia pocięta rzekami, sporo terenów podmokłych. Zdarzały się połamane wozy zatopione po osie w błocie i samotne krzyże w polu, pod drzewem albo gdzieś przy drodze. Sterczały ponad nieskoszonym zbożem, które samo wyrosło w dziczy. Przepastne tereny bez śladu człowieka, gdzie przyroda po swojemu planowała krajobraz. Na stokach niedużych wzniesień powalone pnie drzew, może po huraganie albo zimą przygniecione śniegiem, leżały jedne na drugich jak szczapy w ognisku. Dzikość w tym była i piękno zarazem

– Ile ziemi! – Jan nie mógł się temu nadziwić. – Tyle się dobra marnuje. – Rozglądał się oszołomiony.

Kamień Koszyrski, z tego co wiedział, zbudowała rodzina Koszyrskich. Ostatni z rodu, Adam, postawił w pobliżu klasztor dominikański, a ten za sprawą kobiety z jego rodziny stał się później siedzibą Jerzego Krasickiego. Ale dawno zniszczony klasztor Kozacy zrównali z ziemią. Już go Jaś nie zobaczy, tylko murów kawałek zostało. Ale znał historię klasztoru. Ksiądz im kiedyś na mszy opowiadał i ta wiedza teraz się przydała. Wtedy, kiedy o tym słyszał, nawet mu na myśl nie przyszło, że miejscowość, w której stał ten klasztor, będzie jego miastem powiatowym.

W Kamieniu Koszyrskim pod wagony podjechały podwozy. Ci, którzy mieli własne furmanki, zaprzęgli je i pozostałą drogę przez piaszczyste tereny Polesia przejechali już sami. Pozostali podróżni z bagażami przesiedli się do kolejki wąskotorowej i nią dojechali do Krymna.

Na stacji kolejowej czekali osadnicy, którzy przybyli wcześniej. Powitanie było gorące. Zasypano ich setką pytań, każdy był ciekaw i ziemi, i miejsca. Jan aż truchlał z emocji. Marzenia wydawały się wiele miłsze niżli ich spełnienie. Z trudnością wiązał sznurki na swoim bagażu. Palce nie chciały go słuchać. Za kilka minut zbiorą się wszyscy i będą radzić, co dalej. Zobaczy wyczekaną ziemię, której obraz wymalował już sobie dawno, a teraz bał się rozczarowania.

– Jesteście już prawie u celu – odezwał się Antoni Kazik, który mieszkał w Krymnie od kilku tygodni. Jego donośny głos rozbrzmiewał w miarę dziarsko. Jan uniósł nieśmiało głowę. Nie może być znowu tak źle, skoro Kazik taki radosny. – Przed wami pola ukraińskiej wioski Bronicy. – Zataczał krąg nad ich głowami, pokazując ręką południe. – Nasze pola, pastwiska i las są trochę dalej, jakąś wiorstę stąd. Las nazywają Zabratów, a dojazd do niego jest tą drogą z lipami. – Pokazywał palcem kierunek, a oni wyciągali szyje jak mogli najdalej.

– A nasze pola? – zawołał ktoś z grupy.

– Boczny tor, który tu widzicie – tłumaczył Kazik – odchodzi na północ od toru głównego, do wsi Załazie. Po drodze przebiega przez podwórze dworskich zabudowań w Krymnie. Musimy poczekać na resztę wozów, które są jeszcze w drodze z Kamienia Koszyrskiego. Czekamy także na dodatkowy parowóz, który wagony z naszym dobytkiem dostarczy do dworskiego majątku – próbował przekrzyczeć gwar podnieconych głosów. – Tam wszystko rozładujemy i zostawimy na placu. Nie udało się niestety znaleźć pomieszczeń, żeby dobrze zabezpieczyć bagaże. Mam nadzieję, że nie będzie padać. Zostawimy warty, pilnować będziemy na zmianę. Pola zobaczycie później, najpierw trzeba się dobrze rozmieścić.

Do dworu dotarli w południe. Stał na niewielkim wzniesieniu w zachodniej części Krymna. Na północ od głównego wejścia rozciągał się widok na przyległe tereny. Zmęczeni, zbici w grupkę podróżnicy słuchali z uwagą relacji Stanisława Śmigielskiego, jednego z organizatorów wyjazdu. Trudno im było powstrzymać emocje. Patrzyli z nadzieją na ziemię obiecaną i dopiero teraz zdali sobie sprawę z nieuchronności podjętych decyzji. Sto myśli, wiele wątpliwości i strach. Tymczasem Śmigielski, który rozeznał już sytuację, pokazywał przybyłym teren, na którym będą mieszkali.

– Przed nami, jak sami widzicie, roztacza się wąska dolina, a na niej łąka i rów. Za rowem ciągną się nasze pola – powiedział, przekrzykując gwar. Wskazującym palcem rysował w powietrzu linię. – Na lewo biegną tory. Prawie pod kątem prostym do rowu. Tory też są granicą, oddzielają ziemię dworską od naszej, która ciągnie się jakieś dwie wiorsty w kierunku północnym. – Ludzie słuchali w skupieniu.

– A te budynki na wprost, za rowem, tuż koło torów? – zapytał któryś z przybyłych. – Stoją na naszej ziemi?

– Tak, w tym domu mieszkał były zarządca. Należy się Gąsiorowskiemu – powiedział głośno. – Tak było umówione i jest potwierdzone prawnie. Reszta ziemi jest do podziału.

– Tych pól jest co kot napłakał – ktoś zauważył. – Do pierwszego wzniesienia jest całkiem dobrze, dalej to same chaszczce. Prawdę mówili ludzie, że ziemia od lat leży tu odłogiem.

– Nie jest tak źle – odezwał się Gąsiorowski, który stał z boku jak inni. Chciał pomóc Śmigielskiemu uspokoić grupę.

– To prawda, że ugorów jest sporo, ale trzy, góra czteroletnich. Uporamy się z nimi bez trudu i za rok jesienią będziemy orać i siać.

– Jak to, widzę samosiejki wysokie i grube, mają więcej niż cztery lata. Gąsiorowski! Nieźle nas urządziłeś.

W grupie zawrzało. Jedni uspokajali, drudzy buntowali. Widać było, że są zmęczeni i niespokojni. Nie wszyscy chyba zdawali sobie sprawę, na co się porwali. Ci, którzy wcześniej zasięgnęli języka, nie spodziewali się cudów, reszta chyba liczyła na więcej.

– Spokojnie. – Gąsiorowski nie dał się sprowokować. Wystąpił odważnie przed wszystkich. – Jesteście tu dopiero godzinę, a już narzekacie. Takie rozkosze mieliście u siebie, że teraz wam źle?

– Samosiejki to samo dobro – ktoś krzyknął pojednawczo. – Przydadzą się, drewna nigdy dosyć, choćby na podpałkę.

– Spokojnie, ludzie – powiedział Malecha. – Nie ma tu co podżegać. Ziemia jest dobra i wystarczy dla wszystkich, tylko się trzeba w zgodzie dogadać. – Wszedł na spory kamień leżący w podwórzu i próbował zaprowadzić spokój.

– Mów, Malecha, mów – ktoś głośno zawołał. – Czasu szkoda. Jesteśmy zmęczeni. Nie ma się co szarpać za łby, trzeba nam radzić, co dalej, a nie strzępić język i krzyczeć.

Malecha odczekał chwilę, aż zaległa cisza.

– Za łąką jest równy teren, jakieś pół wiorsty – mówił już spokojniej. – W sam raz na założenie kolonii. Umówiliśmy na jutro mierniczego. Na tym kawałku wyznaczymy działki pod domy i obejścia. Każdy będzie miał za domem kawałek pola dla siebie, na ogród, na sad, na co zechce. Dalej jest las. Wprowadzie

przerzedzony, bo co lepsze drzewa wycięto jeszcze przed sprzedażą, ale to, co zostało, zupełnie wystarczy. Będą z tego domy i zabudowania, każdy sam zaplanuje gospodarstwo. Do zimy postawimy baraki, żeby jakoś przetrwać. Teraz najważniejsze, żeby się dogadać z tutejszymi z dworu i ze wsi. Zgodzili się przyjąć osadników do siebie. Za chwilę przyjdzie tu sołtys. Będzie z nami chodził od domu do domu, żeby pomóc znaleźć jakiś kąt na czas przejściowy.

Jan dość szybko znalazł sobie dobre schronienie. Domówił się z Walerianem Mazurem, miejscowym Polakiem, który miał dom w pobliżu dworskich zabudowań, i zamieszkał u niego w komorze. Udało się również zabezpieczyć przywieziony do Krymna dobytek.

Obok Mazura mieszkała wdowa Fedorka z synem Kiryłem, oni przyjęli do siebie Gołdynów, a Kajetan Kaliszewski z rodziną ulokował się u Paulina, przy drodze do Pniewa. Paulin pochodził z Włoszczowy. Był przed wojną żandarmem. Ożenił się z Polką, która przyjęła dla niego prawosławie, i zaraz wyjechali do Krymna, dlatego tak chętnie zgodzili się pomóc nowym osadnikom.

W domu po Nipaniczu zamieszkało kilka rodzin, głównie tych, które przybywszy wcześniej, przygotowały grunt dla reszty grupy. Po dwóch dniach od przyjazdu każdy z przybyłych znalazł sposób na przetrwanie.

Trzeciego dnia pojawił się mierniczy z ekipą. Zwołali zebranie, bo było jeszcze sporo spraw do wyjaśnienia, zanim dokona się ostatecznych podziałów. Ci, którzy liczyli na szybkie zasiedlenie, czuli się rozczarowani.

Mierniczy przywiózł mapy terenu, dzięki którym łatwiej było zobaczyć ziemię w całości i zrozumieć zaistniałą sytuację.

– Obszar pod zabudowę ma powierzchnię tysiąca mórg. – Zakreślił wyznaczony teren.

– A co z resztą ziemi? – zapytał ktoś niecierpliwie.

– Pozostałe czterysta mórg leży na południe od Krymna, w miejscowości Zawratów.

– Daleko to? Mówili, że wszystko będzie w jednym kawałku i blisko dworu. – Na sali zrobił się szum.

Geodeta niecierpliwie postukał ołówkiem w stół, na którym rozłożył mapy. Czekał, aż gwar ucichnie, a potem kontynuował. – To nie jest daleko. Dojeżdża się dobrą drogą wzdłuż stacji kolejowej.

– A co to za ziemia?

– To jest wasz las – wyjaśnił zebranym. Wiedział, że wiele sobie po tym lesie obiecują. Musiał na wszelki wypadek odpowiednio dobierać słowa. – Niestety las został przeredzony niewielkimi wycinkami, na których znajdują się niwki. W tej chwili są własnością mieszkających tu od dawna chłopów. Kiedyś odrabiali na nich pańszczyznę, później dostali w ramach uwłaszczenia. Przed ostatecznym podziałem ziemi musimy się z nimi dogadać.

– A będą to chcieli? – rzucił ktoś. – I dlaczego dopiero teraz mówi się o tym, było nas wcześniej uprzedzić.

– Dlatego, że miejscowi chłopci mają wolę, żeby się z wami ugodzić i zamienić tę ziemię na inną, jaka wam będzie wygodna, a i dla nich w korzystniejszym miejscu. Po co było przed czasem robić niepotrzebny zamęt?

– Czy aby nie stracimy na takiej zamianie? – odezwał się starszy z Gołdynów.

– Trzeba będzie trochę odpuścić. Rozmawiałem z nimi już wcześniej. Chcą za jedną morgę swojej niwki dwie na skraju lasu. Nie mam jeszcze dokładnych obliczeń. Dzisiaj będziemy mierzyć. Szacujemy, że jest tego około trzydziestu mórg. Poza tym – dodał trochę głośniejszym głosem – ci sami chłopci mają od dawna prawo wypasania krów na skraju lasu. Jeśli dodacie jeszcze po mordze, zrzekną się tego wypasu.

– To wyjdzie prawie sto mórg, dla nich niezły interes, a dla nas strata.

– Za to większa wygoda. W ostateczności okaże się, po dokładnych pomiarach, rozmowach i uzgodnieniach, że i wy będziecie z tej zamiany zadowoleni. Tak tu było od lat, ludzie mają prawo odzyskać swoje.

– To nam opóźni budowę domów, zanim się uzgodni szczegóły, zacznie się zima.

– Nie musimy w tym roku robić tej zmiany – uspokoił ich geometra. – Zaczniemy dopiero wiosną. Tymczasem czas porządkować teren i odchwaszczać glebę. Z tego lasu będzie dość drewna na zagrody i domy. Dzielenie budulca będzie na kubiki. Urodzajność gleby wszędzie w jednej klasie, nie ma co kapryścić. Podzielimy proporcjonalnie od liczby zakupionych mórg. Jeśli ktoś kupił dziesięć mórg, pod dom otrzyma półtorej, a jeśli czterdzieści, dostanie sześć mórg w obrębie zagrody.

– A co z drogą? Nie ma którędy przejechać. Jeśli plac ma być po tamtej stronie wsi, to trzeba ją będzie zbudować. Musimy mieć dobry dojazd.

– Racja – potwierdził mierniczy. – W tej chwili jest tylko ścieżka przez łąkę, ale na podmokłym terenie, który nie jest waszą własnością. Bez drogi będziecie odcięci od wioski i od powiatu, więc trzeba od tego zacząć.

– A na początek, zanim się ją zbuduje?

– Jest droga, która prowadzi z dworu. Wy musicie mieć swoją, która połączy starą wieś z nową – zaznaczył mierniczy. – Trzeba więc będzie wykupić od wioski teren. Wtedy usypiecie groblę. Poza tym – dodał po chwili – jest jeszcze sprawa pieregonu, pasa ziemi szerokości trzydziestu metrów, długości kilometra, który przylega do lasów rządowych. Dawna właścicielka majątku przydzieliła go miejscowym gospodarzom, żeby mieli dostęp do łąk i pastwisk. Jeśli zgodzicie się na to, że będą mogli korzystać z waszej drogi i przepędzać nią bydło, może zgodzą się pieregon odstąpić. Wiem – mocno podkreślił – że to wszystko wydaje się skomplikowane, ale trzeba żyć w zgodzie z innymi, inaczej dobrze nie będzie.

Narada z geometrą trwała kilka godzin. Wielu rozczarowanych urągało organizatorom wyjazdu, inni ze spokojem podchodzili do kolejnych wyzwań. Zadania wyłaniały się jedno po drugim, wydłużając listę. Trzeba było wyznaczyć teren pod szkołę i pod boisko. Byli tacy, którzy wspominali także o kaplicy, żeby nie chodzić daleko na mszę. A jeśli będzie kaplica, musi być miejsce na cmentarz. Po ostatecznych podsumowaniach na infrastrukturę kolonii potrzeba było kilkanaście mórg i musieli się z tym pogodzić.

Do pilnowania podziału ziemi i sumienności mierniczego wytypowano Walerego Malechę, Jana Kuśmierczyka i Antoniego Kazika. W grupie potworzyły się grupki sąsiedzkie, trzeba było działać uczciwie i zgodnie z sumieniem, żeby nie zaczynać od niesnasek i pretensji.

Kolonia

Krymno ,lata 1921–1922

I w taki sposób po kilkunastu dniach gorączkowych narad i ustaleń, w wyniku rozmów i kompromisów powstał ostateczny plan zagospodarowania terenu. Geometra długo wytyczał granice poszczególnych działek. W trakcie pomiarów od czasu do czasu wynikały jakieś problemy. Każdy z osadników skrzętnie kontrolował pracę, czy na danej działce ziemia niezbyt piaszczysta, czy grunt pod domem nie będzie grząski i jak ustawić dom w stosunku do drogi. Różne były nawyki, mierniczy musiał się liczyć z każdym klientem i wszystkim dogodzić. Ustalono, że kolonię podzieli się na sektory zgodnie z pochodzeniem poszczególnych rodzin, gdyż częstochowianie chcieli mieszkać obok siebie, podobnie gospodarze z Krasicyzna i z Włoszczowy.

W końcu udało się wszystkim dogodzić. Stało na tym, że główna droga będzie biegła na północ wzdłuż wyznaczonej ścieżki w kierunku Załazia, a potem przez pagórki i las do granic pastwisk, obok wioski Luć. Od drogi głównej odchodzić będą trzy drogi na zachód i dwie na wschód. Pierwsza na lewo podejdzie pod starą granicę wsi i połączy folwark z drogą główną, druga, na prawo, poprowadzi przez pagórki prosto do Wynimka. Przy drogach wyznaczono poszczególne działki i miejsca pod domy, które miały tworzyć symetryczną i uporządkowaną zabudowę. Jednak w trakcie szczegółowych ustaleń pojawiały się kolejne wyjątki.

Mierniczy pracował swoim tempem, a ludziom bardzo się spieszyło. Im dłużej mieszkali kątem u obcych, tym częściej dochodziło do różnych sytuacji, zadrażnień i kłótni. Nie z każdym też łatwo się było dogadać. Jan Bujak, Walenty Głowala, Resiak i Trojanowski pomieszczeni mierniczemu szyki. Stawiane przez nich w pośpiechu baraki skomplikowały układ wyznaczonych dróg i dojazdów do domów. Dla nich zmieniano pierwotną wersję i stosowano kosztowne poprawki. Ci jak Jaś, co nie mieli przy sobie rodzin i łatwiej im było przetrwać trudne chwile, radzili sobie lepiej. Za miejsce do spania i dwa posiłki Jan płacił tylko pracą. Popołudnia poświęcał pracy na swoim.

Działka Kuśmierczyka stała przy głównej drodze, niemal w samym środku kolonii, między dwiema bocznymi ulicami biegnącymi na zachód. Miała kształt prostokąta i była większa od działek sąsiednich, długich i wąskich. Niestety w wyniku kolejnych poprawek ze wszystkich stron musiała być otoczona płotami, co podnosiło bardzo koszty zabudowy i Janowi dołożyło zmartwień. Ale i tak był szczęśliwy. Widział już w marzeniach duży dom z ogrodem, z Wiktą i z dziećmi na ganku. Planował budowę wygodnej obory dla bydła, obowiązkowo stajni i chlewów, a na siano, słomę i ziarno osobnych spichlerzy. Za domem zasadzi sad z jabłonią, a z sadu widok na pagórki będzie jemu i Wikcie przypominać rodzinne strony.

Miał także gorsze dni, pełne bólu i rozczarowań, umęczony był pracą i pogryziony przez muchy, których tutaj nie brakowało. Niedaleko były torfowiska, tereny podmokłe. Nie pomyślał, żeby zabrać z domu mazidła do odstraszania natrętnych owadów. Tutaj zresztą wszystko było inne, nawet wykwyty po ukąszeniach bardziej bolesne i często zapalne. Miejscowi przywykli, ich skóra oswojona nie bała się tak ukąszeń. Pocieszali, że z czasem i on nabędzie odporności. Tymczasem miejscowe babki okadzały go

dziwnym dymem, zanim wyszedł z domu. Nie na wiele jednak zdały się duszące kadzidła.

Bywały dni, że wpadał w zwątpienie. Brakowało mu domowych wygód, ulubionych potraw, czystości, a przede wszystkim troskliwej żony. Tęsknił do syna, martwił się córkami. Z daleka, wiadomo, strach o bliskich zazwyczaj się nasila. Coraz częściej wyrzucał sobie, że może postąpił pochopnie. Żał mu było łąk, ptaków, taki go ogarniał smutek za domem, że gdyby mógł, gdyby się nie wstydził, to szłochałby czasami, wspominając rodzinne strony, ziemię, gdzie leżą prochy bliskich, dziadkowie, rodzice i ukochana Weronka. Ogromna przestrzeń, niekończące się lasy i bagna przytłaczały go i wywoływały zwątpienie. Kochał przyrodę, jej tętno, które budziło go rano i usypiało wieczorem, ale tutejszy rytm był całkiem inny, nierówny i nieobliczalny, nawet nocami był nie do zniesienia.

Całe dni pomagał Mazurowi, taka była umowa. Konia z wozem wynajmował za pracę u innych gospodarzy. A potem, w wolnym czasie, karczował własną ziemię, wywoził zeschnięte łąty w wyznaczone miejsce, wyciągał z mokrej ziemi korzenie drzew, całe kępy rozrośniętej olchy. Do domu wracał po ciemku. Jeść mu się nawet nie chciało, taki był czasem zmęczony. Ale w końcu cieszył się z postępów. Wolno, lecz systematycznie odsłaniał czysty skrawek ziemi, ciemną, choć niezbyt żyzną glebę.

W pobliżu trwały prace melioracyjne przy tyczeniu dróg, utrudniony był dojazd do działek. Sprawa łąk, lasu i pastwiska, to wszystko było jeszcze przed nimi. Martwił się, że nie może sprowadzić Wikty, że budowa domu ciągle się oddala. Gdyby nie musiał pracować u innych, byłoby mu o wiele łatwiej uporać się z własnymi kłopotami. Ale nie był w tym osamotniony. Byli w grupie i wspierali się nawzajem.

Najbliżej starego folwarku mieszkali Gąsiorowski, Walkiewicz, Cizek, Śmigielski i Malecha. Na tyłach domu, w kierunku zachodnim, rozpościerały się działki Jana Bujaka, Głowali, Resiaka i Trojanowskiego. Częstochowianie okupili prawą stronę kolonii, wzdłuż dróg biegnących na wschód, a za nimi, niżej, osadnicy z Włoszczowy. Miejsce, w którym jeszcze niedawno królowały głównie osty i trawy, z dnia na dzień zaczęło zmieniać swoje oblicze.

Większość osadników niemal całe fundusze przeznaczyła na zakup ziemi. Ale ziemia nic nie jest warta, jeśli nie ma jej czym obsiać, kiedy nie ma co jeść i gdzie mieszkać. Uradzono więc, że trzeba czym prędzej zwrócić się o pożyczkę. Kilka osób obeznanych z bankami, w tym sam Gąsiorowski, który już całkiem śmiało poruszał się po nowym terenie, a oprócz niego Śmigielski i niedawny najemca Nipanicz, zajęło się sprawą kredytów. Znajomy radca sporządził odpowiedni wniosek do Banku Wileńskiego i poparł go silnymi argumentami, naświetlając ciężkie położenie osadników. Szanse na przychyłność banku były niewielkie, ponieważ na sprzedanej ziemi założona była hipoteka. Ku ich zaskoczeniu rząd Polski dał szybką odpowiedź i w ramach wspierania osadnictwa na Kresach przychylił się do ich prośby, udzielił im poparcia oraz państwowych gwarancji. Bez tego zdobycie funduszy nie byłoby możliwe. Pieniądze wypłacono jeszcze tego roku, dzięki czemu mogli przystąpić do niezbędnych zakupów.

W kierunku Kamienia Koszyrskiego ruszyły wozy osadników. Lista potrzebnych rzeczy była długa. Wszyscy działali w tej samej sprawie, im szybciej powstanie kolonia z prawdziwego zdarzenia, tym lepiej dla ogółu i każdego z osobna. Czas naglił, trzeba było się dobrze zorganizować. Ściągano do pomocy krewnych z Kielecczyny. Przyjeżdżali, choćby na kilka tygodni. Każda para rąk była na wagę złota.

Jaś musiał działać w pojedynkę. Wspomagał się narzędziami, które zabrał z domu. Ale te szybko się zniszczyły, a niektóre po prostu przepadły. Więc i on wybrał się do miasta na wielkie zakupy. Wśród sprawunków były i zbytki – papierosy, herbata i świeże gazety. Czuł się tu odcięty od świata. Wieści z kraju ginęły w gąszczu poleskich lasów, tonęły w bagnach i głębokich nurtach Prypeci. A tam, na jego rodzinnych ziemiach, przecież wciąż działały się ważne rzeczy. Od czasu do czasu docierały do Krymna nieścisłe i mało precyzyjne wieści o kolejnych powstaniach, sojuszach i traktatach. Jaś nie chciał niczego

przegapić, wszak od tego, jak się potoczy historia, zależą i jego losy. Każdy dzień może przynieść coś nowego.

A Europa jeszcze płonęła. Tu i ówdzie wybuchały nowe zarzewia. Głębokie zmiany, które zaszły w podziałach terytorialnych, nie mogły przejść bez echa. Nowe granice wprowadzały nowe problemy. Niemcy osłabione wojną walczyły rozpaczliwie z wewnętrznymi konfliktami. Adolf Hitler, nowy wódz Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, nawoływał do wskrzeszenia potęgi niemieckiego mocarstwa. W Polsce trwały walki o każdy skrawek ziemi, we Włoszech zrodził się faszyzm z Mussolinim na czele, październik upłynął pod znakiem masakry w Lizbonie, w Tokio zaszytletowano premiera Japonii, Albert Einstein otrzymał Nagrodę Nobla z fizyki. A z Rosji na wschodnie granice Polski napierały tysiące uchodźców szukających ucieczki przed bolszewicką pozągą. Zalewały przygraniczne tereny, postępując w głąb kraju. Gazety donosiły o zmianach w strukturach społecznych, o postępującej demokracji, o próbach konsolidacji poszczególnych warstw społecznych, a także o nieudolności polskiego rządu w walce z zalewem obcych elementów. Pierwsze strony gazet zdobiły zazwyczaj reklamy banków, Aukcyjny Bank Przemyski lub Lwowski Bank Przemysłowy, Wileński Bank Ziemiański. W *Kronice miesiąca* Jan czytał o losach powstania śląskiego, trzeci akt rozegrał się wiosną, a teraz czekano na podpisanie stosownych dokumentów i zwrot części Górnego Śląska. Naczytał się tego do syta i wtedy zrozumiał, że tutaj, mimo problemów wyrastających każdego dnia jak grzyby po deszczu, jest cudowny spokój.

Czterdzieści cztery rodziny, każdy miał własne wymagania i pretensje. Ludzie byli już niecierpliwi, zmęczeni i niespokojni. Jedyńm sposobem, żeby finanse i harmonogram budowy nie wymknęły się spod kontroli, było powołać kolejną grupę do pilnowania porządku. Utworzono trzy czteroosobowe zespoły. Na przewodniczącego powołano Jana Kuśmierczyka. Współmieszkańcy Krymna pozytywnie oceniali jego skrupulatność i zmysł techniczny. Jan początkowo bronił się, tłumacząc, że jeśli się tego podejmie, zaniebda własne sprawy, nie miał wszak pomocnika, do Krymna przyjechał sam. Ale zebrani na kolejnej naradzie prosili go, żeby nie odmawiał, bo jemu jednemu wierzą bez zastrzeżeń. Znał się na kubikach i obliczeniach, pracował w lesie przy wycinkach, przy spławie, budował ludziom domy, stawiał kościoły.

Zebrali się na starym folwarku w stodole. Dzień był pochmurny, od rana zaciął deszcz ze śniegiem. Kończyła się jesień, lasy zrudziały, liście ledwo drgały na wiotkich ogonkach, a coraz silniejsze wiatry zrywały je i niosły w nieznane. Ubywało ich na drzewach, zaściełały ziemię. Z jednej strony dobrze, łatwiej będzie karczować bezlistne gałęzie. Jednak coraz bardziej dokuczało zimno. Bywały dni, że z domu nie dało się wyjść. Wiar szarpał odzież i porywał czapki, nie daj Bóg, żeby spadł większy śnieg albo ziemia zamarzała. Wszyscy bali się tutejszej zimy. Zeszli się jednego dnia, gdy nie dało się w polu nic zrobić, i radzili, co dalej.

– Jeden dom łatwo postawić, policzyć drewno, dobrze oszacować, ale czterdzieści cztery? – Jan próbował jakoś się bronić. Dość miał obowiązków, nie w smak mu było brać sobie na grzbiet dodatkowe ciężary. – A kto w tym czasie zajmie się moim domem, zwózką i budowaniem? Wy macie synów przy sobie, zięciów. – Rozglądał się, pokazując palcem na niektórych. – I jeszcze chcecie, żebym za was prowadził rachunki i sprawdzał porządek.

– Jasiu, nie będziesz sam, jest nas dwunastu – zawołał Malecha, jeden z bardziej obrotnych chłopów. – Chodzi o to, żeby wreszcie ruszyć. Mamy pieniądze, drzewo wytniemy sami, ty z resztą zespołu będziesz sprawdzać, komu się ile należy. Czas goni, zima za pasem, nie ma się na co oglądać.

– Malecha ma rację – poparli go Ciszek i Bujak. – Drewno trzeba przydzielać według ilości ziemi. Tego masz się trzymać, tak zapisano w papierach. My dopilnujemy zwózki, a wy tylko sprawdzicie ilość, żeby nie było kłótni. – Wołali na zmianę. Widać było, jak im się dymi z głów od emocji. Niektórzy

potrafili nad tym zapanować, większość jednak ponosiły nerwy. Jaś czuł, że lekko nie będzie, i że raczej się nie wywinie. Skoro więc da się cokolwiek przyspieszyć, czas podwijać rękawy.

– Zgoda – zawołał, żeby uciszyć krzyki. – Będę się trzymał przydziałów. Kupcie mi duży kajet, będę robić zapiski, i żeby mi tylko nie było pretensji. Skoro każdy już wcześniej wyraził zgodę, niech teraz innych nie bałamuci – zaznaczył na wszelki wypadek, bo w grupie zaczęto podawać w wątpliwość zasady przydziałów.

Przez jakiś czas pogoda dopisała i zwózka szła bardzo sprawnie. Od świtu, kto mógł, na zmianę stawał w lesie do wyrębu, a potem zwoził. Jednym szło lepiej, bo mieli więcej czasu i swoje wozy, inni dłużej marudzili ze zwózką. Zrobił się spory bałagan. Zespoły, które sprawdzały ilość i obliczały kubiki, musiały pertraktować. Część gospodarzy zwoziło za dużo, inni mieli za mało. Próbowano wtedy wprowadzać na siłę porządek, lecz ludzie się bronili. Nie znając zasad liczenia kubików, oskarżali komisję, że oszukuje. Niektórzy nie myśląc wiele, zwozili, ile się dało, a potem nie chcieli zwrócić. Sporo było przy tym bałaganu. Jan czuł zmęczenie i złość na ludzi, że tacy są niesłowni.

Z początkiem grudnia w Krymnie zrobiło się białe. Śnieg zasypał drogi i pola, ludzie wrócili do chat czekać na lepszą pogodę.

Agnieszka

Poznań, rok 2009

- Cześć, to ja.
- O! Agnieszka – udawałam zaskoczoną. Zapomniałam, że miałam oddzwonić. Poprzedniego dnia przysłała mi esemesa. Prosiła o kontakt.
- Zapomniałaś? – pytała rozczarowana. – A do Ireny dzwoniłaś, powiedziałaś jej, że go znalazłam? O tym nie zapomniałam. Przypominała mi dosłownie co kilka dni.
- Ciągle nikt nie odbiera – powiedziałam szczerą prawdę. Zresztą wiedziała, że dzwonię codziennie.
- Może coś się stało? – zastanawiała się. Czułam, że jest zawiedziona, a nawet niespokojna.
- Może po prostu zmieniła komórkę – próbowałam to jakoś wyjaśnić. Irena od dawna milczała. Telefon był okej. Gdyby zmieniła numer, byłby odpowiedni komunikat. Tymczasem telefon był aktywny, tylko jego właściciel nie dawał znaku życia.
- On też zmienił komórkę? – Tym razem była złośliwa.
- Agnieszka – uniosłam się trochę. – A co ja właściwie mogę? Mam do nich polecieć?
- No, ale coś zrób! Może spróbuj przez kogoś, przez sklep albo przez inne księgarnie w Halifaksie. Może ktoś ci pomoże, zna nowy numer, a może do nich podejdzie. Przecież pamiętasz ich adres. Albo! – niemal krzyknęła – przecież możesz do nich napisać.
- Agnieszka naprawdę bardzo mnie zaskoczyła. Miała rację, przecież mogłam napisać. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Czyżbym tak bardzo dała się omamić nowym technikom komunikacji, że zapomniałam o najstarszej metodzie przesyłania informacji?
- To jest jakieś wyjście – przyznałam. – Jeszcze dzisiaj wyślę do nich list. Za kilka dni dojdzie, więc pewnie zaraz oddzwoni, więc...
- Jest jeszcze jedna sprawa – Agnieszka weszła mi w słowo, jakby się gdzieś spieszyła. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na dziwne odgłosy w tle. Najpierw ogromny hałas, wiele podniesionych głosów, a potem dziwny terkot.
- A co to za hałas? – spytałam z czystej ciekawości. – Gdzie ty teraz jesteś? Na basenie – domyśliłam się. Terkot ustał, usłyszałam tylko plusk wody.
- Teraz jestem w szpitalu – powiedziała całkiem zwyczajnie. W kibelku – oznajmiła rozbijającą. – Tylko tutaj mogę z tobą rozmawiać. W pokoju i na holu jest okropny hałas.
- A co ty robisz w szpitalu, masz tam kogoś z rodziny? Dlaczego nie powiedziałaś, zadzwoniłabym później.
- Złamałam nogę – usłyszałam krótką odpowiedź.
- Co?! Nogę złamałaś, matko, Agnieszka! Chyba żartujesz?
- Nie żartuję, niestety – powiedziała mniej optymistycznie.
- To okropne, Boże, tak mi przykro. – Rzeczywiście było mi przykro. Agnieszka cała oddała się sprawie. Historia Wiktora Kasztelana wypełniła jej życie. Zaczęła od Kielc, a potem jego tropem przemierzała Polskę. Gdzie tym razem poniosły ją nogi, że aż jedną złamała?

– A gdzie tę nogę złamałaś? – chciałam mieć pewność.

– Mam pękniętą kość piszczelową i złamaną strzałkę – zrelacjonowała, jakby to chodziło tylko o mały i średni palec. – Lekarz, który zakładał mi stabilizator, powiedział, że w typowym miejscu, żebym się nie martwiła. No, to się nie martwię. Ale sześć tygodni z głowy, cholera.

Pytając gdzie, miałam raczej na myśli miejsce, w którym doszło do wypadku.

– Spadłaś z czegoś? – próbowałam to jednak ustalić.

– Nogę złamałam w Krakowie – wyjaśniła krótko. – Przewróciłam się na cmentarzu, przecież mówię.

– Matko, potknęłaś się o nagrobek? – nie mogłam sobie darować. Złamać nogę w takim momencie, i na cmentarzu, a dlaczego w Krakowie? – Tylko mi nie mów, że to przez Wiktora? Miałaś już dać z nim spokój. Przecież wiemy wystarczająco dużo. – Tego, że wiele lat mieszkał i pracował w Krakowie, Agnieszka dowiedziała się dość dawno. Potem trafiła na inne ślady, kim był, jak sobie ułożył życie i dlaczego pewnego dnia nie wrócił z pracy do domu.

– No tak, ale w sumie chciałam zajrzeć na cmentarz. Dowiedziałam się, gdzie jest pochowany i gdzie mieszkał kilka lat przed śmiercią. Miałam ci to wszystko wysłać mejlem, ale nie zdążyłam. A teraz to nie wiem kiedy. Wygląda na to, że jakiś czas będę unieruchomiona.

– Chodzisz o kulach? – zapytałam.

– Mam wózek, jeżdżę na wózku. Kiedyś miałam taki sam w domu, dlatego sobie radzę. Mąż chorował na podagrę i jak miał zaostrzenie choroby, to na nim jeździł. Po rozwodzie zabrał ze sobą – wypaliła.

Udawałam, że tego nie słyszę. Rozwód? Nie wiedziałam, że jest rozwódką. Byłam na tyle wstrząśnięta, że całkiem straciłam rezon.

– Dalej jesteś w Krakowie? W którym szpitalu? – Pomyślałam, że może powinnam ją odebrać. W końcu wszystko stało się przeze mnie i przez moje pomysły. Uświadomiłam sobie po chwili, że przecież do Krakowa mam około pięciuset kilometrów. Pozałowałam swojego pytania.

– Nie, wróciłam do Kielc. Jak mnie wypiszą ze szpitala, to pójdę do córki, aż nauczę się chodzić w tych dziwnych szynach. Nie jest tak źle, nie martw się – próbowała mnie uspokoić.

W sumie była w porządku. Potrafiła się elegancko zachować. To raczej ja, miała rację, traktowałam ją protekcyjnie.

– W takiej sytuacji nie mam o czym pisać Irenie, poczekam, aż wrócisz i prześlesz swoje notatki – stwierdziłam.

– Wiesz prawie wszystko. Jak wrócę, to prześlę ci tylko dane personalne, adres, telefon do jego pasierbicy i numer kwatery na cmentarzu. To Irenie chyba wystarczy.

– Ona chce przede wszystkim wiedzieć dlaczego.

– Ale co dlaczego?

– Dlaczego od nich uciekłam.

– Tego nam z grobu nie wyzna. Bez przesady, Kryśka, nie jestem cudotwórcą, i tak uważam, że dokonałam niemożliwego. Po rozmowie z jego córką wszystko jest chyba jasne.

Rzeczywiście Agnieszka przeszła samą siebie. Dokopała się do sedna i znalazła faceta bezbłędnie. Chyba autentycznie ma w tym kierunku predyspozycje. Lubi rozmawiać z ludźmi i ma dar przekonywania, że z taką lekkością otwierają przed nią serca.

– Musisz pojechać do Chełma – powiedziała zdecydowanym głosem. Wskoczyła z tym jak diabeł z pudełka. Aż zaskoczona odsunęłam od siebie telefon. Jeszcze jedna sensacja z jej strony i chyba się poddam. Ja tu na myśl o Krakowie niemal nie zemdlałam, a ona mi mówi o Chełmie?

– Jak to, do Chełma? Agnieszka, zlituj się, ja nie jestem hożą trzydziestką. Mówisz do mnie „Chełm”, i ja już jadę. Mnie potrzebny tydzień, żeby się psychicznie przygotować, a potem drugi, żeby ustawić sprawy zawodowe. Do diabła, przecież się nie pali! Przez pięćdziesiąt lat nie byli ciekawi, co się stało

z tatusem, a teraz ja mam stanąć na głowie, rzucić wszystko i gnać na złamanie karku albo nogi, jak ty? – Odchrząknęłam na wszelki wypadek, żeby nie czuła się urażona.

– W Chełmie znajdziesz źródło prawdy – walnęła z grubej rury. – Podam ci adres, znam go na pamięć. Zapisz sobie i jedź. Zakończmy tę sprawę, żebyś mogła normalnie żyć – naciskała jak pięćdziesięciotonowy czołg PT 91 (trochę się znam, mój ojciec był saperem).

W panice szukałam kartki i długopisu. Pobiegłam do kuchni, modląc się o rychły koniec gonitwy za Wiktorem Kasztelanem. Agnieszka od kilku miesięcy uparcie podążała jego tropem i im więcej miała problemów, tym bardziej się rozgrzewała. Czyżby finał poszukiwań miał być moim dziełem?

– Więc tak, słuchaj uważnie, potem powiesz, że źle cię poprowadziłam. – Zrobiła przerwę, żebyś mogła się wygodnie rozsiąść i pisać. – Więc tak, pojedziesz normalnie, trasą na Chełm, potem do miejscowości Zagroda, bez trudu znajdziesz w nawigacji. Przejedziesz przez Zagrodę, potem przez Kozieniec na Siennice. Dojedziesz do drogi w lewo, znajdziesz ją bez trudu. Potem będzie kilka domów i lekki skręt do lasu. Zapisz sobie numer domu. – Numer domu i dokładny adres powtórzyła chyba cztery razy. – Zapiszaś?

Zapisałam, ale coś mi mówiło, że ten adres to nie jest tylko jej wędrówka po mapie.

– Agnieszka – niemal krzyknęłam w słuchawkę – tylko nie mów, że już tam byłaś?

Na chwilę zaniemówiła. Ktoś wszedł do toalety. Usłyszałam znajomy terkot, a potem hałas, chyba wózek uderzył w futrynę. Agnieszka zakłęła. W telefonie słyszałam głuchy pogłos otwartej przestrzeni.

– Musiałam wyjechać do holu, wózek tarasował wejście do kibelka – krótko wyjaśniła. – Oczywiście, że już tam byłam, skąd miałabym znać trasę tak dokładnie. Pojechałam tam w minioną niedzielę. Trochę się naszukałam, ale w końcu trafiłam w dziesiątkę. Nie będziesz żałowała, piękna okolica,

– Skoro już byłaś, to dlaczego mam tam znowu jechać?

– Bo nikogo nie zastałam, po prostu. W drzwiach zostawiłam kartkę z numerem telefonu. Zadzwoiła we wtorek. Umówiłam się na piątek. Musisz wyjechać o świcie. I załatw sobie wcześniej jakiś hotel. Nie dasz rady obrócić.

Sąsiedzkie stosunki

Krasocin, rok 1922

W tym czasie Wiktoria razem z Walerką gospodarowały w Krasocinie. Walerka, dobra, pracowita dziewczyna, zajmowała się Ewą i Marysią, pomagała w domu i w obejściu. Kończyła właśnie dwadzieścia lat, cztery lata była już u nich na służbie. Jakoś nie znalazł się odpowiedni kawaler, żeby się mogła wydać i założyć własną rodzinę. Chodzili w swaty, jeden i drugi, ale ona kręciła nosem, żaden się jej nie spodobał. Woląла spokojne życie w domu Kuśmierczyka niż niepewne zameście. Posag miała nieduży, który z lepszych chłopaków zechce ją bez wiana. Kochała dziewczynki jak swoje, nie ciągnęło jej do innego życia, a na poniewierkę do obcej rodziny iść już nie chciała. Lubiła to miejsce, dom nad strumieniem i piękne widoki za domem. Obchodzono się z nią uczciwie, doceniano pracę i dobry charakter, szanowano jak członka rodziny.

– I co będzie z tobą, Walerka? – pytała zatroskana Wiktoria. – Minie zima, pojedziemy na wschód, gdzie się wtedy, dziewczyno, podziejesz? Może jednak zgodzisz się na swaty, życie sobie ułożysz. Dziewczynki raz-dwa urosną, zostaniesz sama, bez własnych dzieci, bez swojego domu. – Wikta próbowała doradzać. Nie chciała jej krzywdzić, ale kto wie, co czeka ich tam na Kresach. Z drugiej jednak strony Walerka była pomocna, lepszej ze świecą nie znajdzie. – Zapytaj w rodzinie, może ktoś by cię zabrał do siebie.

Walerka spuściła wzrok przestraszona, że Wikta chce ją odesłać. Jakże to, miałyby ich zostawić i odejść, kiedy tu jest jej dom, a dziewczynki kocha jak swoje? Gdzie pójdzie biedna sierota?

– Bez was nie zostanę – broniła się szczerze. – Weźcie mnie na wschód. Uschnę z tęsknoty za wami i dziećmi. Jesteście moją rodziną, nikogo więcej nie mam, a za mąż nie pójdę. – Spojrzała hardo. – Najlepsi chłopcy ze wsi poginęli, wojna ich zabrała, ten, co mi się podobał, nie wrócił, nie wiem nawet, gdzie jest pochowany.

– Dziewczyno, tam czeka nas ciężkie życie i wiele pracy, daleko od domu, od swoich, a ty jesteś młoda, zdrowa, pracowita, jakoś sobie w życiu poradzisz. Znajdziesz chłopaka, wielu cię zechce na żonę, nawet bez posagu. Kręcą się przecież pod domem, w okna zagląдают. Bylebyś na nich kiwnęła.

– A jak mnie będzie bił albo wygoni? Do kogo pójdę po pomoc, kiedy was zabraknie? Wolę już głodem przymierać, ale z wami, niż jeść kartofle z mięsem okraszone łzami. Nie straszne mi Kresy, pracy się nie boję.

– Ale tam nawet nie ma domu i ziemia jeszcze nie rodzi. Do obcych na łaskę jedziemy.

– Razem łatwiej wam będzie, zajmę się dziećmi, kiedy pójdziecie pracować, a jak trzeba, to i w polu pomogę. Lucek rośnie zdrowo, będzie z niego niedługo pożytek. – Walerka spojrzała na chłopca, który zaczynał dopiero chodzić. Uśmiechnęła się z pobłażaniem, patrząc, jak szoruje kolanami podłogę.

– Oj, chłop to z niego na razie żaden, dopóki w portki robi – żartowała Wikta, wyciągając ze skrzyni ostatnią płócienną pieluchę. – Trzeba jeszcze przed nocą rozwiesić pranie, wiatr i mróz do rana wysuszą. – Podniosła się z ławy, chwyciła za nieckę z bielizną i pusty koszyk spod pieca. – Przyniosę drewna z podwórza, do rana może nie wystarczyć, noc zapowiada się chłodna, bo szyby się rosą. A ty zagotuj

wodę i wysyp kaszę, tylko nie przypał – jak zawsze dodała na koniec. Taki już miała zwyczaj dopilnować wszystkiego. Walerka bez skargi znosiła częste uwagi, że to czy owo robi niewłaściwie. Wikta musiała pogadać i dodać coś od siebie, taka była rola gospodyni, pouczać i upominać, nawet wtedy, kiedy to nie było konieczne. Józef, brat Wikty, pocieszał Walerkę kiedyś, żeby sobie tego nie brała do serca, że Wikta taka już jest, zawsze lubi mieć rację i nie da sobie niczego przepowiedzieć.

– Widzieliście, że drewna jakoś szybko ubywa? – zapytała Wiktorię dziewczyna. – W sobotę wieczorem naniosałam kilka koszyków, pamiętam, że zdjęłam ostatnie polana z rzędu, a dzisiaj widziałam, że już następny rząd napoczęty. Dawaliście komuś? – zapytała Walerka niepewna, że może się jej przywidziało.

– Mnie się zdaje tak samo. – Wikta aż przystanęła. – Sporo szczap ubyło, Jasiiek przecież narąbał aż pod dach sąsiada i gęsto ułożył. A widzę, że sęgi sięgają do połowy płotu. – Zmartwiona wyszła przed dom przyjrzeć się drewnu dokładniej. Sprawa była istotna, grzanie i gotowanie to podstawa życia w każdym gospodarstwie. Zapobiegliwy gospodarz już wczesną jesienią zaczynał gromadzić opał.

Jaś zawczasu wykupił przydział u leśniczego. Porąbał kłocę, żeby dobrze przeschły, zanim przyjdzie zima. Ogłowił także kilka wierzb, które każdego roku szciodrze obrastały w gałęzie. Pocięte gałązki ułożył na poleniu w komorze, dosychały sobie bezpiecznie, roztaczając w domu miły zapach. Wiosną przycinał odrosty z drzew, karczował krzaki za domem na podpałkę, a Wiktor z Walerką zbierały jesienią szyszki, drobny chrust i robiły wiązki. Zanim nadeszły chłody, zapasy były gotowe. Każdy we wsi znał wagę drewna i było honorem zawczasu o nie zabiegać.

Następnego ranka drewna znowu ubyło, a wieczorem brakowało kolejnych polan. Wikcie przypomniał się Kordel, ale on już nie kradł. Całą zimę z domu nie wychodził. Nikogo nie posądzała. Drewno leżało pod płotem sąsiada, żeby nie chodzić daleko, ale płot był blisko drogi, więc każdy mógł sięgnąć. Sąsiad miał własne drewno, wielka sterta wystawała spod dachu obory, to porządny człowiek, cudzego nie weźmie. Rozejrzała się zaskoczona, jakby chciała wypatrzeć złodzieja, który się czai o zmroku przy drodze, i aż ją przeszły dreszcze. Nieraz widziała we wsi wracających do domu żołnierzy, może i któryś z nich zaplątał się w okolicy. Żebrzący też się zdarzali. Wojna już dawno skończona, a oni jeszcze wracali, wracali. Czasami trudno ich było zrozumieć, gadali po rusku, czasem po niemiecku, każdy z innej ziemi. Wojna ich poniosła daleko, szli więc z powrotem piechotą nawet kilka miesięcy. Niektórzy po drodze przymierali z głodu. Zaplątał się któryś, to się go zupą ciepłą nakarmiło albo dało ubranie czy łapcie, żeby miał w czym dojść do celu, czasem i drewno dawała, żeby się który ogrzał przy ogniu, wody zgotował. Może to któryś z nich na drewno się złakomił. Na pastwisku sporo szałasów, co je stawiali latem przed deszczem i wiatrem. Niechby sobie i wziął raz czy drugi, ale do końca zimy nie starczy drewna, żeby się nim dzielić. Koniecznie chciała rozwiązać tę zagadkę. Myśl, że ktoś plądruje podwórko, przejęła ją grozą. Nie wszyscy są ludźmi honoru, żołnierz, a może włóczęga, któż przejrzy jego zamiary?

Przez następne dni sprawdzały dokładnie, ale złodziej się nie pojawił. Kobiety odetchnęły z ulgą. Trudno, jeśli komuś pomogły, niech już tak zostanie. Byleby nie brał więcej. Dręczył je jednak niepokój. Dopóki nie minął, każdego ranka zaznaczały polana, aż do dnia, gdy do wsi powróciła Baśka.

Baśka z Gruszczyzna wyjechała kibitką, a wróciła automobilem, z własnym, przystojnym kierowcą. Zajechała ponoć odwiedzić matkę. Nie wiedziała, że matka dawno już umarła, a dom sprzedany. Właścicielem był Żyd, kupił dom w celach handlowych i czekał cierpliwie na kupca. Ale dom był przegniły, a Żyd nie chciał inwestować. Tak więc kupca na dom brakowało.

– Ludzie na Występach mówili, że jak wróciła córka Marianny, to nie mogła uwierzyć. Kazała się zawieźć na cmentarz i nad grobem ponoć płakała. – Wikta słuchała relacji od swojej macochy. – Taka troskliwa, a nie było jej kilka lat, trudno policzyć ile. Pół wsi wymarło w tym czasie, a ona, patrzcie, zdziwiona. Pani z niej taka, że aż oczy bolały patrzeć na kapelusz i suknię całą w koronkach. Takiej pani

to Gruszczyń dawno już nie widział.

– A mówili, że zginęła, że ją carscy wywieźli na Sybir.

– Tak mówili, jej matka przed samą śmiercią oczy wypłakiwała. Może gdyby dała jakiś znak, posłała list, byłoby lżej kobiecie umierać.

Wiktorija trochę pamiętała piękną Baškę. Od zawsze była we wsi gorącym tematem. Tamtej pamiętnej nocy ślad po niej zaginął. Pochowali ją ludzie z ochotą. Była im solą w oku, taka ładna i taka bezwstydną. A teraz do nich wróciła, ponoć dalej piękna, a jeszcze do tego bogata.

Po kilku dniach cała okolica poznała szczegóły wizyty dawnej mieszkanki Gruszczyńa i znając ludzi, pewnie tylko część informacji była prawdziwa. Ludzie zawsze drugie tyle dodają od siebie, więc dobrze było dzielić na pół każdą zasłyszaną wiadomość. Ale to, że samochód był na francuskich tablicach, okazało się prawdą, a to, że jej towarzysz po polsku mówił raczej słabo, faktem. Powiadano, że był dyplomata, że jego rodzice pochodzili z Polski, ale zanim przyszedł na świat, znaleźli się w Paryżu. I on w związku z tym przyjechał z Paryża. Oj, było o czym rozmawiać. Wiktorija z pewnością puściłaby mimo uszu najnowsze sensacje, a Baškę szybko wymazała z pamięci, gdyby nie fakt, że pewnego deszczowego ranka samochód z czarnym dachem zajechał pod dom Kordelów.

Dziewczynki tego dnia bawiły się przed domem. One z Walerką trzepały na podwórzu pierzyny. Usłyszały nietypowy hałas i podeszły ciekawe do studni. Automobil właśnie minął ich dom, zwolnił i zatrzymał się kilka domów dalej. Kobieta w samochodzie otworzyła okno i pomachała do bawiących się dzieci.

– Gdzieś tu ponoć mieszka Hilda Kordel? – zapytała pierwsze dziecko z brzegu, a cała gromada, przekrzykując hałas silnika, pokazała palcami na rudere stojącą kilkanaście metrów od drogi.

– A czego ona chce od Hildy? – zdziwiła się Wiktorija. Przez chwilę pomyślała, że Hildy nie ma w domu, jest tylko Ginter, pewnie od rana pijany albo trzeźwieje od wczoraj. Ale Hilda była. Wyszła ciekawa hałasu. Po chwili przed wszystkie domy w sąsiedztwie powychodzili mieszkańcy, a każdy ciekawy, cóż to się dzieje. Co robią tacy goście pod domem ubogich Kordelów. Sensacja była niemała.

Hilda jak skamieniała stała przy samym płocie. Pomyślała, że to pewnie pomyłka. Otulona w kraciatą chustkę obserwowała, jak ładnie ubrana kobieta wyjmuje jakąś paczkę i idzie z nią w kierunku domu, a za kobietą biegną wszystkie dzieci z ulicy.

Z miejsca, w którym stała Wiktorija, niewiele było widać. Tyle tylko, że kobiety przez chwilę ze sobą rozmawiały. Z samochodu wysiadł też kierowca. Pałac papierosa, spoglądał z daleka na scenkę pod płotem. Trwało to kilka minut. Tłum dzieci rozstał się nagle i ujrzała kobietę wracającą do auta bez paczki. Jeszcze chwila, zawarczał silnik, trochę białego dymu i tyle ich było widać.

Po kilku dniach, gdy emocje opadły i ludzie zajęli się innymi sprawami, Hanka Kaliszewska wpadła, żeby podzielić się nowinami.

– Baška z Gruszczyńa teraz ma na imię Barbara i nazywa się Popławska. Mieszka z mężem w Krakowie. Odwiedziła rodzinne strony i przywiozła Hildzie pozdrowienia od rodziny z miasta. Dowiedzieli się, że Hildzie ciężko, i chcieli jakoś pomóc. Ponoć oni także mieszkają w Krakowie, mają dwa sklepy i dobrze im się powodzi.

– To dobrze – stwierdziła Wiktorija. – Bo bieda tam aż piszczy. Przyda się taka pomoc, szczególnie dzieciom. Żal patrzeć, jak się marnują.

– Mówią, że dali jej trochę pieniędzy.

– Miejmy nadzieję, że Ginter ich nie zabierze. Hilda słaba po ostatnim porodzie, nie obroni pieniędzy. Zbije ją, a ona nawet nie piśnie.

W końcu wszystko ucichło. Hilda przez kilka dni nie wychodziła z domu. Wymykała się gdzieś polami, najczęściej o zmroku, żeby jej nikt nie widział. Ludzie przestali gadać. Przestali też wspominać Barbarę

Popławską. Wróciła do swego Krakowa i nikt jej więcej nie widział.

Był późny listopad, zaczął sypać śnieg i od razu się topił. Niedobry czas dla ludzi, buty grzęzły w błocie, dzieci siedziały w domach znudzone, czekając na zimę. Wtedy znów spod płotu zaczęło znikać drewno.

– Trzeba się będzie przyczać nocą i przyłapać złodzieja – powiedziała Wiktoria po powrocie do domu. – Jutro pojedę do Józka – dodała z przejęciem. – Poproszę o pomoc i niechaj częściej do nas zagłąda, żeby było widać mężczyznę przed domem. Samotne kobiety z małymi dziećmi to łatwa zwierzyna. – Powiedziała, siadając pod piecem. – Licho wie, kto się tu czai w ciemności, trzeba przed zmrokiem ryglować drzwi i już nie chodzić po polu. – Wstała i podeszła do okna. Cienie ledwie zarysowanych drzew skrywały prawdę. Rąbkami chustki przetarła szybę z nadzieją, że więcej zobaczy. Zmrok gęstniał z każdą minutą. Walerka w skupieniu obszywała wystrzępione powłoczki, doszywając z dwóch stron koronki.

– Widzicie tam kogoś?

– Cisza i spokój, żywego ducha. Nadejdzie pewnie nocą, kiedy spać pójdziemy. A ty, Morus, dlaczego nie szczekasz? – zapytała psa, którego wpuściła tym razem do sieni. – Był kot albo gołąb, to wychodzisz ze skóry, a na drania nie szczekasz. – Nie podobało się Wikcie, że pies nie przegonił złodzieja.

– Może i szczeka – powiedziała Walerka – ale kto go tam słucha. Przecież on szczeka bez przerwy, byśmy musiały całą noc sterczeć przy oknie. Jego nawet chmury denerwują, i jak wiszą nad domem, to na chmury szczeka, trudno zrozumieć jego psią mowę – dodała, robiąc na nitce supełek.

– Szkoda twojej roboty, Walerka, ta powłoka już się do niczego nie przyda – komentowała starania dziewczyny.

– To moja ulubiona, jeszcze po babci Józki. Jaś też ją lubi i każe często powlekać.

– Już jej nie weźmiemy ze sobą – dodała Wiktoria. – Wszystko trzeba będzie przebrać, żeby to, co nie jest nic warte, nie przysporzyło zbędnego bagażu – powiedziała. – A co zostanie, damy Kordelom, u nich wszystkiego jest mało. – Szybkim krokiem poszła do komory. – Sprawdzę, czy aby z komory nic nie zniknęło. Jak się licho przyczepi, w każdy kąt wejdzie. A tam nasze zapasy. Na strych wejść jutro, teraz jest już za ciemno.

Drzwi komory lekko zaskrzypiały, aż Morus podniósł uszy. Przebiegła wzrokiem po ścianach, spojrzała na polepę. Tutaj nie było desek, tylko twarda gliniana podłoga. Niczego nie brakowało. Kadłuby z lipowych pni wypełnione po brzegi ziarnem stały rzędem pod ścianą, jeden poziomy, zamknięty z boku deskami osadzonymi w wężorach z ziarnem do siewu, który miał jechać z nimi do Krymna, leżał wsunięty pod ławę. Spojrzała także na beczkę z kiszoną kapustą, na półcie suszonej słoniny owinięte w lniane worki i wiszące na żerdzi, na gliniane garnki z miodem i smalcem, na koszyki z przykrywką, gdzie schowała obsuszone sery. Policzyła też kosze z płaskimi plecami, wiszące na ścianie, z suszem i z grzybami. Zajrzała do sieni, gdzie w miskach ze słomy leżały jajka, przesypane plewami i sieczką, a w wąskich koszach plecionych z korzeni czekała fasola i groch. Poczła ulgę, widząc, że wszystko w porządku.

Następnego dnia wstała pierwsza. Sprawa drewna nie dała jej zmrużyć oka. Wystarczyło tylko spojrzeć na sągi, brakowało dwunastu polan. Policzyła jeszcze raz i drugi, nie było pomyłki. Postanowiła, że pośle po brata, może on coś na to poradzi.

Kiedy poszła wydoić krowy i siedziała na skopku, przez szparę w deskach ujrzała podwórko. Widać było płot sąsiada i kawałek chałupy. Ujrzała go, jak się wychyla zza płotu, jak odsuwa sztachetę i podbiera drewno. Spojrzała z niedowierzaniem. Duży kosz z wikliny, który podpierał biodrem, powoli napełniał się drewnem. Wikta poderwało się szybko od krowy i wybiegła z obory. W pośpiechu potrafiła wiadro. Wokół nóg krowy zrobiło się białło.

– Ładnie to, sąsiedzie, zabierać spod płotu opał, sumienia nie macie – krzyknęła z furją. – Nie wstyd okradać samotne kobiety, małe dzieci na zgubę narażać? Gdzie nam w środku zimy teraz drewna szukać? A może i ja nocą przez płot przelezę i z waszej stery zacznę do siebie przerzucać? – wołała rozgoryczona, a jej głos niósł się po głuchej wsi szerokim echem.

– Cicho tam – zasyczał sąsiad, przykucając pod płotem. – Nie róbcie we wsi hałasu – próbował uciszyć rozwścieczoną Wiknę i dalej napełniał koszyk, aż się polana osunęła na ziemię. – Moje drewno mokre, nie pali się dobrze, wasze biorę tylko na podpałkę.

– Kradniecie na podpałkę, to dlaczego zniknęła połowa zapasów?!

– Na co wam tyle drewna, sąsiadko, skoro wyjeżdżacie? Jak nie ja, to inni rozkradną – powiedział bez wstydu i splunął siarczyście na ziemię. Chwycił jeszcze kilka kawałków i odszedł z pełnym koszykiem. – A czort z babą – rzucił od niechcienia.

Wiktorcia stała zdumiona. Zmroziła ją bezczelność sąsiada. Nie wiedziała, jak się powinna zachować. Szukać ratunku u innych czy od razu zrobić awanturę. Nabrała głęboko powietrza i ciężko westchnęła. Była prostą kobietą, ale nie głupią. Wiedziała, co znaczy uczciwość i szacunek dla pracy i do drugiego człowieka. Była stanowcza i szybka, pełna ludzkich słabości, ale czynienie zła było jej wstrętne od zawsze. Dlatego czyn sąsiada tak ją poruszył, że aż straciła rezon i grunt pod nogami. Jeszcze w uszach miała obraźliwe słowa. Było jej zimno, ale nie mogła zrobić kroku. Wiatr jej targał spódnice i starą chustkę po matce.

A może po prostu wrócić spokojnie do domu i chwilę pomyśleć? W pośpiechu nic się mądrego nie rodzi – wspomniała słowa, które często słyszała od męża. Tak, trzeba zachować spokój, przynajmniej na chwilę, choćby po to, żeby pozbierać myśli.

Spojrzała ze złością na okna domu, który jeszcze niedawno wydawał się taki przyjazny, a ludzie w nim chętni, żeby udzielić pomocy. Jaśku – przywołała imię męża. – Ty byś pewnie wiedział, co zrobić. – Westchnęła po raz drugi i okryła się szczelnie chustą, a potem poszła w kierunku obory, żeby skończyć dojenie. Biała rzeka płynąca wyłobionym rowkiem powoli wsiąkała w ziemię.

Wróciła z wiadrem, które wstawiła do sieni i przykryła deską przed kotem. Na desce położyła kamień. Już raz tak było, że kocur odrzucił deskę i zrobił sobie śniadanie. Musiała wylać mleko świniom, bo się w nim cały wykapał

– Walerka, ubieraj się, idziemy przenosić drewno – prawie krzyknęła.

Dziewczyna, widząc wzburzenie ciotki, włożyła kubrak z kozuszką i stanęła gotowa w sieni, czując, że stało się coś ważnego.

– A gdzie będziemy układać? – zapytała.

– Znoś do stodoły, nie dam draniowi ani jednego polana. Jasiek się narobił, żebyśmy miały drewno suche, dobre do palenia, a ten – syknęła, zerkając w kierunku sąsiedniego domu – bierze jak swoje. Nie dam mu ani szczapki, choćbym i jutro miała stąd wyjechać. Na drogę wyrzucę albo do strumienia, jak będzie trzeba.

Walerka domyśliła się, skąd u Wiktorii takie wzburzenie. Jej wzrok był jak otwarta księga, zerknęła na dom sąsiada i zaciskała zęby. Widać było, jak nosi ją złość i dodaje sił do pracy.

Umęczyły się i spociły, ale dopięły swego. Zanim nastał zmierzch, drewno było schowane. Nawet Ewa i Maria pomagały, nosząc po jednym kawałku.

Pod koniec tygodnia przyjechał Adam Ciosek. Ostatnio rzadziej odwiedzał rodzinę. Pracował w mieście, a gospodarkę zostawił córce. Podobno miał też na oku jakąś kobietę. Był jeszcze młody, mógł sobie szczęśliwie ułożyć życie. Teraz, kiedy Jaś wyjechał na Kresy, nie miał z kim porozmawiać o planach, interesach i o polityce. Było mu żal, że nie jadą razem. Zżyli się bardzo przez lata, niejedno wspólnie przeszli, może powinni i tam mieszkać przy sobie. Jednak miał dobrą pracę, możliwy zarobek

i życie w miarę dostatnie. Po co więc pchać się w kłopoty. W sumie podziwiał Jasia za odwagę i za młodzieńczy zapał.

Wiktorija przy okazji wizyty Adama poradziła się, co zrobić z sąsiadem złodziejem. Bardzo się zdenerwował. Ale Jasiowi nie kazał pisać i odradził jej kłótnię sąsiedzką.

– Nie ma sensu jeszcze teraz wchodzić z nim w zatargi. Raz wyszło z niego zło, to wyjdzie i drugi. Już nie dba o sąsiada, bo go zaraz straci, pokazuje więc prawdziwe oblicze. Jak będziesz chciała, jedynie uprzedź tych, co dom kupują, żeby ich zawczasu ostrzec, ale po wsi nie ma co rozgłaszać. Ma swoich popleczników, mścić się potem będą na dalszej rodzinie.

Wiktorija przyznała mu rację. Drewno schowała, już jej niczego nie weźmie. Jeszcze się tylko ośmieszy, mówiąc o tym wszędzie, bo jeden uwierzy, a reszta przeklnie. Machnęła na wszystko ręką, nie będzie już o tym więcej myślała.

– Masz rację, Adam, szkoda mojego zdrowia, ile ja jeszcze tutaj pomieszkam. Ale to dla mnie na przyszłość nauczka i rada, zanim nie sprawdzisz, nie ufaj nikomu i zawsze miej się na baczności – stwierdziła z przekonaniem.

– A ogólnie jak sobie radzisz? – zapytał, siadając przy stole. Patrzył, jak Wikta na ogniu zapieka dla niego pierogi. Słonina mocno skwierczała, a obok smakowicie pachniał czosnek.

– Niczego nam nie brakuje. Brat mi jeszcze pomaga. Wpada czasami z prezentem dla dzieci, podrzuci gęsinę, czasem i miód dowiezie, nie mogę narzekać. Ale trochę się boję podróży. I nie wiem, co zrobić z Walerką, brać ją ze sobą czy tutaj zostawić.

– Ja tobie też kurę na obiad przywiozłem. Córka oporządziła, wystarczy tylko opalić, bo piór kilka zostało. – Wyjął z płóciennego worka świeżą kurzynę. – Nieduża jest, bo to młoda czubatka. Mam kilka czarnych, przywędrowały z dworu, kiedy armaty rozjechały kurniki i zniszczyły zabudowania dziedzica. Rozlazły się po okolicy, szukając jedzenia. Teraz nasadzam, ale słabo się niosą, za to rosół palce lizać.

Wiktorija podziękowała. Adam nigdy z pustymi rękami nie przychodził, chociaż sam czasami nie miał, to zawsze w kieszeni chował podarunek albo jak teraz coś do jedzenia.

– Dałbyś, Adam, spokój, swoim byś zostawił. – Spojrzała na niego z wdzięcznością. – Na pewno w domu nie zbywa.

– Mój ojciec często powtarzał, kiedy kaprysiłem, że człowiek nie po to żyje, aby jeść, ale je po to, żeby żyć. „Posiłek ma ci dać siłę” – mawiał. Więc chętnie się z wami podzielę, nie dla obżarstwa, ale dla siły. Jesteście jak swoi, komu mam pomóc? Przywiązaliśmy się z Jasiem jak bracia. Lubiłem też Weronkę, podobała mi się, że aż strach przyznać. I dobra z niej była dziewczyna, tylko za delikatna jak na wieś i ciężką pracę. Nie zawsze sobie radziła. Lubiłem ją, często o niej myślę, kiedy patrzę na Ewkę, jaka jest do matki podobna – wspomniał pierwszą żonę Jana.

– Tak mówią we wsi, że Ewa to cała matka, także z usposobienia. Maryśka to huncwot, ale Ewa jak anioł – przyznała szczerze. Oswoiła się z myślą, że Weronka miała w rodzinie należne miejsce, i nie było się co oburzać. Położyła kurzynę do miski, patrząc z podziwem, jak była starannie obrana. Żołądek z wątrobą i spreparowaną głową osobno, nóżki obrane, złożone razem, związane czystymi jelitami, zawinięte w kawałek płótna. – Staranna ta twoja Apolonia. Sama bym lepiej nie oprawiła – pochwaliła córkę Adama.

– Udała się, cóż, sierota od dawna, od dziecka musiała pracować – powiedział smutno, wycierając oczy, w których zebrały się łzy nie wiedzieć po czym, po żonie czy po Weronce, a może z troski nad córką. – A co tam nasz Jaś, masz od niego wieści?

– Tak, pisze, pisze. Ostatnio przysłał posłańca z rysunkiem ziemi i działek, żebym mogła zobaczyć, gdzie jest plac, na którym stanie nasz dom, gdzie jest las i pola pod uprawy. Widzę, że cieszy go zmiana, dobrze się czuje wśród ludzi. Tylko robota idzie nie tak, urzędy spóźniają się z wydawaniem zezwoleń na

nowy podział gruntu, na przebieg drogi. O wszystko trzeba zabiegać i pisać papiery. Mierniczy i prawnik to spore koszty, a ciągle się trzeba układać z jednym albo z drugim.

– Nowe prawo, to i nowe zwyczaje. – Adam potwierdził ze znanstwem, jakby się o tym wszystkiego naczytał. – Hipoteki są zablokowane, banki niemrawe, ponoć przyznano w tym celu dwa miliony marek, żeby zapewnić ludziom dogodne warunki do zakładania gospodarstw. Gdyby Jaś był w wojsku i walczył na wojnie, dostałby ziemię za darmo, sporą sumę pieniędzy i wsparcie od rządu, ponoć nawet konia dają i krowę na początek każdemu.

– Jak to, krowę? – zdziwiła się. – A jak taki żołnierz nie jest zwyczajny zajmować się krową czy koniem, to jak sobie poradzi?

– Taki, co się całkiem nie zna na ziemi i trzodzie, nie pójdzie na gospodarkę. Są jednak inni, pewnie spróbują pracy na roli. Wielu z nich wszystko straciło, nie mają gdzie wracać i z czego żyć, a pochodzili z majątków ziemskich, dla nich krowa to nie nowina. Taki zaryzykuje, jeśli się nie wystraszy chłopskiej roboty, to będzie żył z pożytkiem dla siebie i kraju – tłumaczył Wiktorii.

Zdziwiły ją takie słowa, nie, że chłopak z dobrego domu, który miał wszystko podane i w mieście brał nauki, do tego żył dostatnio, jeszcze darmo dostanie ziemię, ale fakt, że znowu dla polskiego chłopca jest inne prawo i nic nie otrzyma od państwa, tylko każą mu kupić, a jak weźmie pożyczkę, to spłacić do końca i jeszcze procenty zabiorą.

– Nam nic z nieba nie spada – narzekała, wspominając minione lata.

– Klasa, która jest słaba i głupia, zawsze dostaje po grzbiecie – powiedział do Wikty Adam, wyciągając papierosa. Bawił się nim przez chwilę, kręcąc w palcach bibułkę. – Jesteśmy ciemną masą produkującą jedzenie, niby ważni obywatele, ale łatwo jednego zastąpić drugim. Głupi się nie upomni.

– Jasiek mi pisał, że do Krymna ściągają różnych ludzi, nie tylko chłopstwo. A w Kamieniu Koszyrskim zakładają szkoły, remontują szpital i kładą nowe ulice na miejsce zniszczonych wojną. Potrzebują specjalistów. Im pewnie też dają domy za darmo.

– Zostało trochę mienia po tych, którzy odeszli w głąb Rosji, ale i państwowe urzędy, hotele są teraz niczyje. Zanim to wszystko ruszy, minie trochę czasu. Najbliższe lata będą ciężkie dla władzy.

– Uważasz, że z tymi żołnierzami, którym chcą dawać ziemię, to mądry pomysł? – pytała Wiktorii. Widać ta sprawa nie dawała kobiecie spokoju. – Że ziemia nie pójdzie na marne?

– Przynajmniej żołnierz będzie miał dom i pracę. Wszystkiego się można nauczyć, wystarczą dwie ręce i trochę rozumu.

– Biedny Jasiek, poszedł na pierwszy ogień, prawdziwy z niego kolonizator – podziwiła szczerze.

– Jaś jest zaradny i głowę ma nie od parady, poradzi sobie i innym jeszcze pomoże, dom zbuduje i zadba o ziemię. Od małego był taki. Ja wiem to najlepiej i niejedno ci mogę poświadczyć. Chyba czuje potrzebę żyć z tobą w innym miejscu, lepszym, szczęśliwszym, dalekim od Krasocina, z którym kojarzą się smutki, chociażby śmierć Edka. A to, że jako jeden z pierwszych osadników podjął ryzyko, to dobrze, państwo ich wesprze jako odważnych pionierów.

– Obyś miał rację. – Wiktorii zrobiło się raźniej na duszy. Płakać jej się chciało z tęsknoty za mężem. Ukradkiem obtarła łzę.

– A kiedy do niego pojedziesz? Coś słyszałem, że Kaliszewscy jadą na wiosnę. Chcą Wielkanoc spędzić już w Krymnie.

– Jak oni pojedą, to my z nimi pojedziemy jednym podwozem. – Zdjęła ze ściany pęczek majeranku, złamała kilka gałązek i rozgniotła je w palcach. Posypała grubo pierogi i zakreśliła kopyścią, żeby dobrze wymieszać. Ewa i Marysia usiadły do stołu, a mały Lutek kręcił się na czworakach między ich nogami. Tylko Walerki jeszcze nie było, ubijała w komorze masło. Nie słyszała całej rozmowy, myślała o wyjeździe, marzyła się jej podróż w dalekie strony.

Rodziny w drodze

Krymno, rok 1922

Wielkanoc 1922 roku przypadała szesnastego kwietnia. Miesiąc wcześniej długim pociągiem specjalnie w tym celu skompletowanym i wynajętym przez stęsknionych mężów, ojców i braci rodziny pierwszych osadników kolonii Krymno jechały na wschód. Opuszczali rodzinne strony w poszukiwaniu szczęścia, dostatku i sprawiedliwości. Marzył im się Eden, miejsce do życia, do spokojnej pracy i harmonijnego rozwoju. W kilkunastu wagonach towarowych i w sześciu osobowych przemierzali nieznane tereny, żeby po trzech dniach dobić do celu podróży.

Na peron wyległa niemal cała kolonia Krymno. Przybyli wozami, na koniach, jak tylko się dało, żeby przywitać bliskich i dowieźć ich bezpiecznie do celu.

Wiosna jeszcze spała pod mokrą grudą ziemi, zmarzniętą, miejscami pokrytą skorupą zbitego śniegu. A Jan tak na nią liczył, że choćby słońcem ogrzeje drogę, którą będą za chwilę jechali. Tymczasem dzień wstał szary, mgły zasłoniły horyzont aż po dach stacji kolejowej i tylko gwizd lokomotywy, radosny i natarczywy, dobrze się spisał. Jan czuł ogromną treść przed spotkaniem z żoną i odpowiedzialność za konsekwencje podjętych decyzji. Teraz musiał zdać sprawdzian z życia przed całą rodziną. Nie miał dla żony dobrych wiadomości. Dom nie był jeszcze gotowy, jednak czekać już dłużej nie można, on już nie mógł czekać. Tęsknił za nimi ogromnie, podobnie jak inni przybyli wraz z nim kilka miesięcy wcześniej.

Zapał i dobre chęci nie zawsze idą w parze z realiami. Czasami można się przeliczyć. Zamiast obiecanych pałaców czekały na nich zaledwie prowizoryczne budynki, prymitywne baraki lub cudze stodoły. Wszyscy jednak chcieli być razem, dzielić się troskami i cieszyć z sukcesów. Za osadnikami była pierwsza krymneńska zima, święta Bożego Narodzenia w obcych domach, cicha modlitwa w wigilijny wieczór i wspólny opłatek na polu. Rodziła się już świadomość jednego losu i miejsca. Scalala to harmonia interesów, niedoli i wspólnego pochodzenia. Z każdym tygodniem na obcej ziemi kiełkowały drzewa lokalnego patriotyzmu, czułości do miejsca i do członków nowego zespołu.

Stali na peronie w napięciu, na baczność, jak żołnierze przed bitwą. Na widok lokomotywy z długim wiankiem wagonów zdjęli z głów czapki i w dymie parowozu wypatrywali znajomych twarzy.

Pierwsze zobaczyły ojca dziewczynki, stały w otwartym oknie, w czapczkach na głowach, owinięte szczelnie w szaliki. Ich radosne buzie osłodziły ten trudny moment. Wiktorii nie zauważył, tylko Walerkę z uśmiechem wymalowanym na twarzy, jakby czekała na cud. Z jej naiwnych oczu biła nadzieja i dziecięcy zachwyty. Na peronie zakwitły kwiaty podróżnych chust i pasiaste spódnice chłopek spod Gór Świętokrzyskich. Zgrzyt kół, oddech lokomotywy z chmurą pary i z sykiem obwieścił koniec podróży.

Wiktorię zobaczył dopiero po chwili, choć wypatrywał oczy. Szła w jego stronę z koszem, z węzełkiem na plecach, tuż po tym, jak zdjęła ze schodów bagaże i podała je komuś, kto wysiadł na peron tuż przed nią. Podbiegł i bez słowa podał jej rękę. Podniosła wzrok, czując jego obecność. W twarzy miała zdumienie, strach i setki pytań.

– Jasiu, na Boga – westchnęła, zasłaniając oczy – gdzieś ty nam kazał przyjechać? – Powiedziała to machinalnie, w pierwszym odruchu rozpaczy i zmęczenia, a potem lekko przybladła, widząc, jaki jest

szczupły i ciemny na twarzy.

A on liczył na to, że najpierw rzuci się mu na szyję i mocno przytuli. Nie zrobiła tego, nigdy nie była wylewna. Więc i tym razem witała się z nim tylko spojrzeniem, które zmiękło i zaszklilo się po chwili wzruszeniem.

– Do domu, Wiktorio, przyjechałaś do domu i już nie będzie inaczej. Musisz się z tym pogodzić. – Nie spieszył się tym powitaniem, tylko ją mocno uściskał, żeby poczuła siłę i pewność w jego ramionach. Drżała z zimna, a może z pośpiechu, wyczuwał w niej wielki niepokój. Zaciśnęła na piersiach ręce, jakby się chciała przed nim obronić. Wyczuł jej dystans i rozumiał dlaczego. Pamiętał siebie pierwszego dnia po przyjeździe. Miał kolana jak z waty i bał się tego, co zastanie. A ona zamknięta w jego uścisku powoli topniała. Co będzie, kiedy dojadą na miejsce? Mój Boże, gdy zobaczy dom Mazurów, załamie się do reszty. Usłyszał nagle płacz dziecka i głos Walerki.

– No, Lutek, proszę, przywitaj się z tatą. – Dźwięczny głos młodej dziewczyny, jasny i czysty. Chwila zwątpienia zniknęła, jakby ją wiatr rozgonił. Oczy Jana spoczęły na dziecku, które płakało z pretensją, że nikt nie zwraca na nie uwagi.

– On się nikogo nie boi – powiedziała Walerka, widząc wahanie Jana. – Może go wujek wziąć śmiało na ręce. Do obcych twarzy już się przyzwyczaił – dodała bez wahania, a mały ciekawie przyglądał się tacie, wdzięczny za jego uwagę, i rzeczywiście przestał płakać. Za to dziewczynki stały zdumione nową sytuacją, ojcem w takim obcym miejscu, ludźmi, którzy rzucali się sobie w objęcia i głośno pokrzykiwali. Ewa bardzo wyrosła, miała dwanaście lat, robiła się z niej ładna panienka, bardzo podobna do matki – zauważył. Miała te same oczy i delikatne spojrzenie. Ojciec ją onieśmielał, wydawał się całkiem inny niż zapisany w pamięci. Jasiowi zadrżało serce na widok tych jasnych oczu i tęskne wspomnienie zalało ściśnięte serce. Był bardzo wzruszony, odpłynął w przeszłość, tracąc poczucie chwili. Marysia duchem nieobecna patrzyła za siebie, na pociąg, który nabrał oddechu i głośno westchnął. To było o wiele ciekawsze niż nudna rodzinna scenka.

– Jasiu – odezwała się Wikta po chwili. – Zobacz, kogo ci jeszcze przywiozłam. – Odsunęła się nieco do tyłu, odsłaniając mężczyznę, który stał za jej plecami.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – zawołał Kuśmierczyk zdumiony widokiem szwagra. – Jakże to, i ty chcesz mieszkać na Kresach? – Patrzył z niedowierzaniem. – Taki świat z nimi przyjechałeś, żeby im towarzyszyć, sprawdzać, czy są grzeczne w podróży? – żartował i bardzo się cieszył z widoku brata żony.

– Matka i Józef bali się o nią i o dzieci. – Wskazał na całą gromadkę. – Jak to, wysłać w daleką drogę dwie kobiety i trójkę maluchów? Nie mogliby spać spokojnie. Józef mnie prosił, a ja chętnie przystałem, żeby kilka tygodni zostać tu z wami. Przydam się chyba? – zapytał z uśmiechem na twarzy. – Sam nie dasz rady ze wszystkim. We dwóch pójdzie nam szybciej. Ustaliliśmy w rodzinie, że trzeba ci trochę pomóc.

Wzruszająca scena na dworcu na długo została wszystkim w pamięci. Strach i obawy Jana ustąpiły miejsca pewności, że teraz, kiedy nie jest już sam, może być tylko lepiej. Przyjazd Jasia Sornata, młodszego z dwóch braci Wiktorii, był jak wielka wygrana. Nigdy nie zapomni, że mimo krytycznej oceny jego decyzji o wyjeździe, w najtrudniejszym momencie zechcieli podać mu rękę i pomóc w stawianiu domu.

Znad bagien nadciągał mrok. Wozy z dobytkiem przybyłych jechały starą drogą w kierunku dworu, a później do kolonii. Już wcześniej przygotowano drewnianą zagrodę z dachem, pod którym złożono meble i urządzenia domowe na tak długo, dopóki każde z nich nie znajdzie dla siebie miejsca. Rzeczy osobiste, pościel, bieliznę przyjezdni brali ze sobą. Każda z rodzin miała umówione miejsce, w którym przyjdzie im czekać i żyć tak długo, jak będzie trzeba.

– Na początek zamieszkamy w domu u Mazurów. – Jaś objaśniał, siedząc obok Wiktorii na wozie. – Zgodzili się przyjąć nas wszystkich i wspólnie zamieszkać.

- Wiem, pisałeś mi w liście. A będzie gdzie wstawić meble, łóżka, nasz stół i krzesła, te co dostałam w wianie od ciotki Majeckiej?
- Niestety, Wikta, większość mebli zostanie w stodole. Dom Mazurów jest na to za mały. Nie byłoby się gdzie ruszyć. Jakoś się musimy przemęczyć w takiej prowizorce.
- Jak trzeba, to trzeba – odezwała się swoim zwyczajem, spokojnie, z pokorą w głosie, chociaż nikt nie wiedział, co myśli naprawdę. – Gorzej w Prusach bywało i człowiek wytrzymał, tylko wtedy nie miałam dzieci, można było spać, gdzie popadnie, a teraz trzeba najpierw o nich pomyśleć.
- Zabrałaś jednak Walerkę, chociaż się o nią bałaś, ale z tego, co widzę, to ona całkiem szczęśliwa.
- Nie dała się namówić na swaty. Było kilku, ale ich przegoniła.
- Dziwna jakaś – stwierdził Jaś.
- Twierdzi, że jej mąż zginął na wojnie, a innego nie chce – powiedziała, pochylając się nad Lutkiem, który w ciepłym kożusku po młodszej siostrze zasnął pod ich nogami. – Zmęczony – rzekła, patrząc na dziecko. – W podróży był grzeczny. Myślałam, że mnie bardziej umęczy. Gorzej było z Marysią, nudziła się i dąsała. Ona jest bystra i szybka jak górski strumień, usiedzieć chwilę na miejscu to dla niej prawdziwa kara.
- Bystre dzieci ciekawe są świata – dodał Jan żartobliwie. – Wierci się, bo jak ma usiedzieć, gdy wszystko dookoła kusi. W Krasocinie też więcej jej było niż Ewki. Zanim tamta się namyśliła, ta już pierwsza biegła.
- Rzeczywiście, Marysia jest szybka i zwinna. Tylko jeść nie chce i ciągle kaprysi.
- Żeby tylko nie było jak z ojcem – przestraszył się Jasio. Bolało, bolało, matka ziółka parzyła, a on i tak umarł i nikt nie wie na co.
- Jak to, porównywać małą dziewczynkę do starszego człowieka. Ma siedem lat, a twój ojciec miał ze czterdzieści.

Zajechali na miejsce. Koń zwyczajny drogi sam wjechał na podwórko przed dom Mazurów. Szarzało. Przez malutkie okna sączyło się liche światło. Wiktoria zeskoczyła z wozu, patrząc z obawą. Dom nie wydawał się mały. Miał może dziesięć metrów długości i z pięć szerokości. Wejście pośrodku, pewnie do izby, z lewej strony jedno ciemne okno, może od komory.

- Dobryj wieczir – przywitał ich stojący na progu mężczyzna.
- Dobry wieczór – odpowiedziała trochę przestraszona. Znajoma miękkość języka, ten rosyjski zaśpiew przywitał ją u celu podróży.

U Mazurów

Krymno, rok 1922

Dom stał w pobliżu dworu Nipanicza. Walerian Mazur, gospodarz nazywany przez miejscowych Warionem, był synem Ukrainki służącej we dworze u pani Zawadzkiej i Polaka o nieznanym nazwisku, z przydomkiem Mazur, który w tym samym czasie był we dworze lokajem. Kiedy urodził się Warion, właściciel dworu nakazał Mazurowi poślubienie służącej. Dał mu kawałek ziemi obok dworskiego parku oraz drewno i zezwolił na postawienie domu. Ojciec Wariona już nie żył, kiedy Jan zajechał do Krymna, ale żyła jeszcze matka, wszyscy wołali na nią Babuszka. Miła i pogodna kobieta, widać przychylna ludziom, bo witała się z Wiktą i dziećmi ze szczerym uśmiechem.

Ciężka była dla Wikty pierwsza noc w obcym domu. Jazda pociągiem i spanie na twardych ławkach wydawały się przyjemniejsze. Marzyła o swoim łóżku, którego niestety nie dało się wstawić do izby. Nowe miejsce, obcy ludzie, cudzy dom, dziwne zapachy, duchota, wszystko jej przeszkadzało. Świadomość, że trzeba tak będzie przespać wiele nocy, była przerażająca i wyciskała bezwolne łzy. Jakżeby chciała teraz wrócić do siebie, zasnąć u boku męża w czystej pościeli i odzyskać utracony spokój.

Na szczęście gospodarze byli przyjaźni i nie robili problemów z udostępnieniem pomieszczeń. W sumie na czterdziestu metrach powierzchni mieszkało dziesięć osób. Jaś i brat Wikty spali w stodole, a ona, Walerka i dzieci w domu ze wszystkimi.

W izbie mieszkalnej pod ścianą stał duży piec. Mogły się na nim przespać nawet trzy osoby. Przedłużeniem pieca była długa i szeroka prycza. Spało się także na ławkach ustawionych za stołem, na które wystarczyło położyć sienniki. Wikcie przypomniały się czasy, kiedy i u nich leżało się na pryczach pokotem, ale to dawne dzieje. Do dobrego można się szybko przyzwyczaić, ciężko jest żyć po staremu, kiedy człowiek przywykł do wygody. Pocięchą w tej sytuacji była własna pościel, puchowe poduszki, miękkie i ciepłe pierzyny, które dawały jej złudzenie czystości.

Kolejne dni musiała się na nowo uczyć życia w gromadzie i gospodarzyć jak kiedyś jej babka. Na przykład piec w kuchni nie miał paleniska. Gotowało się wszystko bezpośrednio na ogniu w wielkich żeliwnych garnkach. Nazywali je czyhunami. Miały wąskie dna i gardziel, a szerokie boki. Wstawiano je specjalnie zakrzywionymi widłami na długim trzonku wprost do pieca. Piec Mazurów służył według potrzeb do wszystkiego. Piekło się w nim chleb, ziemniaki, przeróżne byliny, na blasze ryby, mięso, nawet pierogi. Nieswojo było jeść ze wspólnego garnka, a czasem i z jednej miski. Zdawało się niemożliwe, że ludzie jeszcze tak żyją. Widać, że świat w niektórych miejscach dużo wolniej się zmieniał. Walerka na wiele dni straciła apetyt, podobnie Ewa. Wiktorina na wszystkie sposoby próbowała pichcić po swojemu, nieśmiało, żeby nie urazić szczerych intencji gospodyni. Miała nadzieję, że obie strony mogą na tym skorzystać. Tylko Marysia dziwnie nie robiła problemu, jedzenie – byle tylko na czas podane – i swoboda, to jedyne kryteria szczęścia, miejsce nie było istotne. Jadła lepiej niż w domu, służyło jej tutejsze powietrze.

Klimat na Polesiu był dużo ostrzejszy niż na Kielecczyźnie, wiosna miała więc prawo trochę się

ociągać. Większość prac przy budowie domu i budynków gospodarczych przebiegała w uciążliwych warunkach, wiatr i spore opady śniegu przez wiele tygodni opóźniały postęp robót. Planowanie osiedla, wytyczanie dróg, ich budowa, problemy z ustalaniem własności trwały prawie do Świąt Wielkanocnych. Na pierwszym planie była przeprowadzka. Podział pozostałej ziemi, tak jak ustalono na samym początku, odłożono na później. W końcu na jednym z zebrań wypłynęła sprawa kształtu osiedla i miejsca na grunty publiczne, a więc na szkołę, kaplicę i cmentarz, była to wszak podstawa społecznego życia w kolonii. Każdy zgodził się oddać na ten cel odpowiedni procent ziemi. Pojawił się problem z kaplicą. Do budowy potrzebna była zgoda władz kościelnych i gminnych, a nawet państwowych. Teraz wystarczyło poczekać, aż przyjdzie odpowiedź na złożone już wcześniej petycje, i montować ekipę do prac budowlanych. Na szkołę wyznaczono kawałek gruntu na północy osiedla. Miejsce w sam raz na zabudowę. W tle pagórkowate wzniesienia, sosnowe lasy, więc zielono było nawet zimą. Kaplica miała stać w pobliżu, ale nieco na wschód, obok cmentarza przy drodze do lasu Luć.

Pozostałe grunty do podziału, tak zwane „dodatki”, nie rokowały najlepiej. Ogólnie grunt był słaby, pagórki pokryte piaskiem, a ziemi rolnej na lekarstwo. Na jednym końcu były głównie piachy, na drugim gleba mieszana, trudno to było podzielić. Jedna z działek wyglądała jak nadmorska wydma. Gospodarze patrzyli ze strachem, komu przypadnie na własność. Z takiego kawałka nie będzie żadnej korzyści. Tymczasem mierniczy, nie w ciemną bity, żeby to jakoś rozsądzić, ustalił, że to będzie wspólne zwirowisko, z którego skorzystają wszyscy. Piasek przyda się do produkcji cegły, do budowy pieców i kominów, również na podsypki, nie trzeba go będzie wozić z dalekich dołów kilka kilometrów od Krymna. Pagórek był spory, piachu powinno wystarczyć dla całej kolonii.

Pomysł okazał się doskonały. Piasek był miękki i czysty, a najważniejsze, że skończył się problem niechcianej ziemi. Teraz to może niektórzy i żalowali. Co sprytniejszy gospodarz zaczął przeliczać pieniądze, które mógłby zarobić, sprzedając piach na furmanki.

– To prawdziwy skarb – zachwycił się Jaś wyrobiskiem. – Nie trzeba płacić za transport ani za materiał. Wielka wygoda – tłumaczył Wiktorii, która podeszła do niego z kawałkiem chleba i gotowanej brukwi. – Gdyby mieć taką zwirownię, można by zrobić interes.

– To się jeszcze okaże. Na dobry interes nie trzeba szukać chętnego, ty pomyślisz, inny zaraz zrobi. – Wikta podchodziła do tego praktycznie.

– To dobro publiczne i wspólna działka – tłumaczył żonie.

– A kto tego dogląda? – zapytała, widząc, jak kilka osób sprawdza ładunek, a potem każe kwitować.

– To Podgórski, pomocnik sołtysa – wyjaśnił Jasiek. – Porządku pilnuje, żeby niektórym nie przyszło do głowy brać nie wiadomo ile, a potem sprzedawać obcym.

– Sam widzisz. – Wiktorii się wzięła pod boki. – Gdzie widać pieniądze, znajdzie się i kontroler. Za kilka dni postawią barak, w baraku biuro, i sołtys rozkręci interes.

– Kobieto – Jan protestował – przysłaś tu, żeby mnie straszyć, a ja mam wiarę w człowieka i nie dam się zbuntować.

Wiktorii zaczęła się śmiać.

– Jakiś ty łatwowierny. Jeszcze się chyba nie sparzył.

– Ano, jakoś miałem szczęście.

– A ja swoją wiarę straciłam, kiedy mi sąsiad zza płotu drewno wykradać zaczął. Myślałam, że źle widzę. Gdyby nie Adam, pewnie bym mu poszła nagadać. A tak, nawet nie mówiłam Józkowi. Jeszcze by się za łby wzięli przy jakiejś okazji. Niewiele trzeba, gdy sobie chłopcy wypiją wódki. Tyle lat człowiek przychylnie przez płot zagadywał, żeby na koniec prawdy się o ludziach dowiedzieć – mówiła rozgoryczona. – Jedno mnie tylko cieszy, że to, co zostało, dałam Kordelom. Przyszli po drewno gęsiego, może pięć razy obrócili i było po drewnie. Sąsiadka stała na drodze i spode łba patrzyła, jak nasze

drewno znika w domu Hildy.

– Aleś się, Wikta, tym zacierzawiła. – Uśmiechał się, patrząc na żonę. Stała zarumieniona obok, przy wozie, i ciągle mówiła. Cieszył się, kiedy tak razem stali. Pomyślał, że będzie dobrze, jeszcze tylko trochę wytrzymać i znieść niewygodę. Wikta była twarda, dzielnie znosiła ciasnotę w domu Mazurów. Znał ją, kiedy tylko robi się cieplej, zaraz zacznie porządki w ogrodzie. Część kobiet nie wytrzymała i wróciła do domów. Niektóre działki tak mocno zalała woda, że trzeba się było powstrzymać z budową. Na jego kawałku zrobiło się też zagłębienie. Na szczęście w dużej odległości od domu. Jan się nie martwił, żartował, że kaczki wiosną będą się miały w czym kąpać, nie trzeba ich będzie prowadzić do brodu.

Stali ciepło ubrani, bo chociaż wiosna wisiała w powietrzu, to ziemia była zmarznięta. Nocami wracały przymrozki, a puszczały dopiero o świcie.

– Hilda wiosną wyjeżdża do miasta. – Wikta ciągle wspominała sąsiadkę. – Po odwiedzinach Baški, kiedy to dała jej paczkę z Krakowa, przysłała do mnie z wizytą. Przysłała podziękować za drewno i tak, porozmawiać – opowiadała mężowi. Każdego dnia myślami wracała do Krasocina. Opowiadała Janowi, jak jej tam było bez niego, i o tym, co działo się po jego wyjeździe do Krymna. Było więc o czym rozmawiać przez wiele tygodni. – Rodzina obiecała Hildzie schronienie i dała jej pracę w Krakowie. Pracowita jest, to pewnie się przyda. A zawsze lepiej zatrudnić rodzinę niż obcych – dodała.

– A co z Ginterem, zabiera chłopca ze sobą?

– Ginter zostaje. Kto go tam chce, w Krakowie. Zostaje w domu. Obiecał, że zajmie się gospodarstwem pod ich nieobecność.

– Już widzę, jak Ginter pracuje – zakpił z sąsiada. – Zaraz wszystko sprzeda, a grosz przepije. Inaczej nie będzie.

– A może przejrzy na oczy – stwierdziła Wikta naiwnie. Jaś tylko machnął ręką na słowa żony.

Stali w kolejce po piasek i dobrze im było ze sobą.

– Boję się – powiedziała po dłuższej chwili. – Czy my się tutaj rozgościmy na dobre. Tylu obcych, jak się z nimi dogadać i żyć w zgodzie? Takie mnie nachodzą pytania i wątpliwości. Miejscowi są nieufni – narzekała do męża – i trudno się rozeznać, kto Ukrainiec, a który Poleszuc. Każdy mówi inaczej. Ruski znam przecież, ale ta mowa inna, pomieszana i twarda.

Jaś tylko głośno westchnął. Wolał tych spraw nie roztrząsać, raczej dać szansę losowi. Czas pokaże i da odpowiedź. Człowiek to mądra istota, jak zechce, znajdzie rozwiązanie. Po co się martwić i dręczyć? Kobiety chyba to jednak lubią. Z drugiej strony uwagi żony często były pomocne. Na męskich sprawach niby się nie znała, ale miała wycucie i zdrową miarę do ludzi. W sprawach ludzkich była od niego lepsza. Gdzie on wkraczał z butami, ona cicho przedła kobiecie praktyczne intrygi, unikając w ten sposób konfliktów.

– Wczoraj rozdzielali dodatki – powiedział do Wikty. – Mam mieszane uczucia i spore obawy, czy będzie z tej ziemi pożytek.

– To już wiesz, gdzie nasza ziemia? – chętnie zmieniła temat.

– Wiem – odpowiedział trochę beznamiętnie. Wikta zrozumiała, że woli o tym nie mówić. Skoro jednak już zaczął... – Zamiast losowania, jak wcześniej było ustalone, dawali ziemię w kolejności działek z zachodu na wschód. Najgorszy kawałek dostał Malecha. Same pagórki, połowa pola to piasek; piasek jak pył. Byle wiatr, a podrywają się tumany. Moja działka wcale nie lepsza, licho nadało, piachu też sporo. Nie miałem szczęścia. Nawet trawa na nim nie rośnie, resztki karłowatej sosny i badyłe dziewanny. Jedyne równe „dodatki”, całkiem bez pagórków i z niezłą ziemią, dostał Gąsiorowski, jest pierwszy od prawej – dodał rozgoryczony. – A potem, jak leci w kolejce Kaliszewscy, Krawczyńscy, Machnik i Żebrowski.

Wikta pokiwała głową. Miała w tej sprawie własne zdanie, ale nie chciała męża pogrążyć. Poczucie niesprawiedliwości nie pozwoliło jej jednak milczeć.

– A nie mogli zacząć od lewej strony? Ostatnie działki najgorsze, a pierwsze najlepsze. Od razu wiadomo, jak i komu dzielić. Mogli przydzielać od wschodu. Może tobie przypadłby wtedy dobry kawałek.

– Wikta, wszędzie są ugory, krzaki, pniaki albo las. Nie ma co teraz rozpaczać, czas pokaże, a prawo silnego stosuje się wszędzie. Gąsiorowski ma przywileje i taka jest prawda. Sporo dla nas załatwia, jeździ do powiatu, marnuje własny czas, żeby pomóc innym. To mu się pewnie należy. Mam być tym, co chaos wprowadza? Kobiety to zaraz chciałyby wdawać się w kłótnie – skwitował uwagę żony.

– Tak tylko mówię. – Wzruszyła ramionami. – Wiadomo, władza popłaca. To wie nawet dziecko – dodała. – Ciebie mi żal, bo się zaharujesz. Jak Kuśmierczyk potrzebny, to wiedzą, gdzie mieszka, ale coś dodać, coś pomóc, to nie ma chętnego.

– Każdy ma własne problemy, chłopska rola martwić się o swoje. Twój brat mi przecież pomaga, a społecznie pracuję z ochotą – próbował jej jakoś tłumaczyć. Wszyscy byli w trudnej sytuacji. Jakby tak zacząć kalkulować zasługi, dopiero byłby bałagan. – O ziemię potrafię zadbać. Znasz mnie, głupot nie gadam. Poradzę sobie z piachami, moja w tym głowa – zapewniał żonę. – Jeszcze z niej będzie pożytek, zobaczysz. A popiół z Krasocina był lepszy? A jakie zagony kapusty wyrosły po latach, aż się nadziwić nie mogłem.

– Ale sam często powtarzasz, że „gdzie rośnie kozia bródka i dziewanna, tam bez posagu panna”. Jan już nie odpowiedział. Kolejny wóz z piaskiem zawracał na stoku. Jeszcze tylko jeden przed nim i będzie podjeżdżał. Poklepał kobyłę po karku, bo już niecierpliwie grzebała kopytem w podmarzniętej darni. Głodna była, od rana w kieracie, więc i straciła cierpliwość. Myślał o swoim „dodatku”, rzeczywiście nie będzie z niego radości, przynajmniej z samego początku. Na pociechę nieco niżej rósł sosnowy las. Zrobi z pni krokwie w oborze, a nawet starczy na cienkie ściany. Jak wykarcuje łożę, młode brzoźki i olszynę, wytnie kępy rokity, pniaki, to za kilka lat pole tu będzie jak trzeba. Napracuje się więcej niż inni, trudno. W wielu miejscach widać mech i sitowie, podglebie jest twarde, podobne do łąk, a na wierzchu trochę próchnicy. Cienka jest, ale jak się zrobi drenarkę, dobry odpływ i wyrówna teren, bo dołków jest sporo i trochę wzniesień, za dwa, trzy lata będzie urodzajne pole. „A może dołem sosny posadzę, takie same jak ojciec w Krasocinie, choćby i na pamiątkę po tamtych, co poszły na dom”.

– Za to działkę przy domu mamy ładną – przypomniał Wikcie. – Będiesz mogła i ogród, i sad koło domu zasadzić, a trochę pola od drogi akurat na uprawy. A jak trzeba, dokupię ziemi. Dostanę pieniądze ze sprzedaży krasocińskiego zboża, to jeszcze oborę postawię przez lato. Czuję, że tutaj będziemy szczęśliwi. – Przygarnął ją lekko do siebie. – Tyle tu przestrzeni i dobre powietrze. Skończą się wreszcie choroby. To co, że daleko od ludzi, że ani miast wielkich tu nie ma, ani rozrywek. Byle był dostatek, zdrowie i żebyśmy mogli kupić więcej ziemi dla dzieci. – Zamyślił się po tych słowach. Ogarnął go taki spokój, taka pewność, że w tej dzikiej krainie mieszkają dobre duchy, które docenią ich trud i nagrodzą powodzeniem. Wiktoria coś do niego mówiła, ale jej nie słyszał. Chciał jeszcze chwilę nacieszyć się dobrą myślą, której dał się wyklucić i owładnąć. Dopiero gdy żona szarpnęła go mocno za rękaw, nastawił ucha.

– Jaśku – powtórzyła, twarz miała skupioną, pełną oczekiwania. Czuła, że mąż jest daleko, że najpierw musi się ocknąć, zanim do niego dotrze to, co mu chciała powiedzieć.

– Tak, tak? – Spojrzał zdziwiony. Koń szarpnął za lejce. – Zamyśliłem się – wyjaśnił żonie.

– Chciałam ci coś powiedzieć. – Przysunęła się bliżej, żeby mu szepnąć do ucha.

– Mów, Wikta, mów – ponaglał – tylko głośniej, koń mnie szarpie za uzdę.

– Chyba będę znów miała dziecko – powiedziała półgłosem, jakby się bała reakcji męża, a potem

szybko i głośniej dodała: – To już jest raczej pewne.

Jaś ją mocniej do siebie przygarnął.

– No widzisz, widzisz, miałem rację, to miejsce będzie szczęśliwe.

Późna kwietniowa Wielkanoc, nietypowa, skromna i prowizoryczna, a do tego w konflikcie czasowym z tutejszą, zesła się z nagłym przyjściem wiosny.

Deszcze i ciepłe wiatry podgrzewały intensywnie poleską ziemię, uwalniając z lodu zakłęta w nim wodę, która spływała obficie w każde zagłębienie terenu, tworząc rozlewiska. Krymno, niby zielona wysepka odcięta od świata, czekało, aż rzeki przyjmą ten nadmiar i poniosą dalej. Świeżo uklepana droga miała zbyt niskie nasypy i miejscami zaczęła przesiąkać. Zanosilo się na to, że po większych roztopach nie wytrzyma naporu wody, trzeba ją będzie poprawić do następnej zimy. Na każdej z działek pojawiły się spore kałuże, a nawet jeziorka. Domy stojące za nisko niespodziewanie znalazły się w wodzie. Na szczęście dotyczyło to tylko prowizorycznych baraków, do których mieli się właśnie przenosić pierwsi osadnicy. Lekcja pokory w konfrontacji z przyrodą dała im naukę, ale i wskazówki na przyszłość. Miejscowi uprzedzali, ale przyjezdni, u których o wodę zawsze było trudno, nie chcieli uwierzyć. Dopiero gdy zaczęła im wciekać do domów, pojęli, że nie każde doświadczenie wcześniej nabyte w nowym miejscu ma zastosowanie. Słabo zaludnione, porośnięte lasem i poprzecinane tysiącem strumieni obszary okazały się dla nich niewiadomą. Każdy z osobna zrozumiał, ile się trzeba nauczyć, nim się zostanie tutaj gospodarzem, a podstawa to pytać o wszystko tutejszych.

Dostępne dotychczas miejsca, pastwiska, olchowe łągi i wszelkie błonia zniknęły pod wodą. W oddali słyhać było szum rzeki, która niosła spróchniałe korzenie, przegniłe pnie drzew, błoto i muł z podmytych brzegów. Od świtu harmider ptaków wypłoszonych z łągowisk budził nowych mieszkańców kolonii, a pewnego dnia głośny dziewczęcy śpiew, który oznaczał nadejście wiosny, poderwał wszystkich na nogi. Nie było słyhać słów, tylko melodię, zawadzoną wysokim, przepełnionym tęsknotą głosem.

Śpiew zbudził Wiktorię, odruchowo położyła rękę na brzuchu. Nie czuła jeszcze dziecka, ale ten dziwny głos przestraszył ją trochę. Bała się tej poleskiej ziemi, dziwnej, obcej i strasznej. To był dopiero początek, a jednak Wikta czuła, że kiedy wiosna wybuchnie w pełni, przygniecie ją i otumani. Nie lubiła przesytu w żadnej postaci. Umiar i równowaga były jej życiową dewizą, i to dotyczyło także przyrody. Tymczasem miała wrażenie, że tutejsza wiosna przerośnie jej wyobrażenie. Pierwszy raz zrozumiała to w trakcie podróży pociągiem. Bezkresne nieużytki, gęste poszycie lasu zanurzone w wodzie i zapach zgnilizny wieczorem, który snuł się przez okna do wnętrza wagonu. Nie miała w sobie takiej wiary jak Jasiek. On oddał się cały nowym wyzwaniom, a ona, gdyby tylko mogła, na skrzydłach wróciłaby do domu. Nie żaliła się jednak, ale w marzeniach każdego dnia była w Krasocinie. Chodziła po swojej izbie, czystej, jasnej, i patrzyła na drogę, znajome płoty i lipę pod oknem. Tęskniła do bliskich, do braci i przyrodniej siostry, którą przecież sama wychowała, a której może już nie zobaczy. Zazdrościła mężowi, bo wybierał się do Krasocina, i gdyby nie ciąża i dzieci, pewnie ruszyłaby z nim bez wahania. Z drugiej zaś strony bała się bólu, który już tętnił pod skronią na myśl o ich domu zamieszkanym przez kogoś innego, i uczucia nieodwracalności palącego duszę od środka.

Telefon z Halifaksu

Poznań, rok 2009

Irena odezwała się kilka dni po moim powrocie z Chełma. Byłam jeszcze pod wielkim wrażeniem tamtego spotkania i nie do końca potrafiłam zebrać wszystko w całość. Chyba nic w moim dość długim życiu nie zaskoczyło mnie bardziej niż prawda, którą poznałam. Od dłuższego czasu, żeby nie powiedzieć, że od kilku lat, poruszałam się codziennie ścieżkami rodzinnych historii, a teraz całkiem przypadkiem weszłam z butami w cudzą. Przez to, że i ta historia w niektórych punktach była zbieżna z moją, miałam uczucie, jakbym była częścią cudzego dramatu.

Początkowo informacje, które zebrała Agnieszka, traktowałam z przymrużeniem oka. Nie byłam pewna, czy powinnam wkraczać na to pole minowe. Ktoś prawie przypadkiem zwierzył się przy kieliszku wina, więc czy miałam prawo wykorzystywać okazję? Kartkę od Ireny woziałam ze sobą przez rok. Czasami wpadała mi w ręce i wtedy myślałam, jejku, zawiodłam czyjeś oczekiwania. Lecz wyrzuty sumienia mijały, ustępując racjonalnej myśli, że to nie jest w końcu moja bajka. I gdyby nie tamta podróż do Kielc i zapal dociekliwej koleżanki, nie wiedziałabym o tym, że często ludzkie losy jak zakola na wartkiej Prypeci potrafią wciągnąć w wiry nawet tak odporne osoby jak ja.

Telefon od Ireny zwalił mnie po prostu z nóg.

– Paweł nie żyje – oznajmiła, nie mogąc powstrzymać łez. Powiedziała to, a potem przez dłuższą chwilę szlochała. Czekałam, aż się uspokoi. – Nie oddzwaniałam, przepraszam, nie mogłam, po prostu nie miałam siły. Nie chciałam o tym rozmawiać, mówienie o nim jeszcze bardzo boli.

Doskonale ją rozumiałam. Tylko nieliczni mają potrzebę wyrzucania smutku na zewnątrz, zanurzania się w nim powtórnie i ciągle na nowo. Nie wiedziałam, jak się zachować.

– O Boże – wyszeptalam jedynie.

Znowu płakała.

– Przepraszam, nie mogę mówić – próbowała się tłumaczyć. – Napiałam się wódki, żeby do ciebie zadzwonić, ale chyba nie działa. – Teraz się roześmiała.

– Może za mało? – Usłyszałam jej śmiech po raz drugi.

– Pamiętasz ten pierwszy wieczór u nas? – zapytała po chwili.

– Jasne, byliśmy same, Paweł był w szpitalu, miał kłopoty z kolanem.

– No, zgadza się. Tyle że to nie była kontuzja, tylko rak kości.

– O Boże – powtórzyłam zupełnie bez sensu. Ale, kurczę, cóż można w takiej chwili powiedzieć? Wszystkie słowa brzmią jak walenie w cymbały i do tego nienastrojone. Głos uwiązał gdzieś w gardle i tylko Bóg mi przychodził do głowy.

– Tydzień temu był pogrzeb, jeszcze nie doszłam do siebie, ale tyle razy dzwoniłaś, czułam, że to nie w porządku, że w końcu muszę się zmobilizować. Chociaż, powiem ci, to, że go nie ma, jest tak nieprawdopodobne. – Głośno wytarła nos. – Poszło tak szybko, chyba sam się nie zorientował. – Znowu płacz. – Tak się bałam, że będzie rozpaczał. Chybabym nie dała rady, gdyby się zegnał i umierał świadomie, umarłabym razem z nim. Myślał, że wyzdrowieje, był prawie pewny. Taki mądry facet, taki

racjonalny, a dał się zmanipulować – mówiła, a ja starałam się nie przerywać. Prawie nie oddychałam. – Teraz są takie silne środki przeciwbólowe, nawet nie wiedział, że zamiast kości ma watę.

– Daj spokój, Irena, nie wracaj już do tego – odważyłam się wreszcie odezwać.

– Nie mam z kim porozmawiać – zaczęła się żalić. – Z dziećmi nie mogę, córka jest załamana, a syn się nie odzywa. I te ciągłe telefony, kondolencje. Musiałam wyłączyć komórkę. Wiem, życzą mi dobrze. Chcą mnie wspierać. Ale ich słowa wydają się takie sztuczne, jakby nieszczerze.

– Nie dziw się, bardzo trudno mówić szczerze o czymś, czego się nie przeżyło.

– Tak też myślę i dlatego z nikim już nie rozmawiam. Do ciebie dzwonię z własnej woli – jakby się rozluźniła. – Mówiłaś ostatnio, chyba przed świętami, że masz coś w sprawie mojego ojca. Nie chciałam, żebyś czekała. Obarczyłam cię swoim kłopotem, a teraz milczę.

– Skoro tak długo czekało, to może jeszcze poczekać – zapewniłam na wszelki wypadek. – Zostawmy to na lepszy czas.

– Napracowałam się, zdaję sobie sprawę, że to nie było łatwe. Chętnie posłucham – deklarowała bez przekonania.

– W zasadzie to głównie zasługa Agnieszki, mówiłam ci wcześniej. Ja tylko sekundowałam. Gdyby to było za dawnej władzy, nic byśmy nie wskórały. Teraz jest o wiele prościej. – Nagle coś mi przyszło do głowy. – A może o tym napiszę? Przeczytasz, a potem zadzwonisz. To trudne wiadomości.

– Nie chcę trudnych wiadomości. Zbrzydły mi. Im dłużej żyję, tym mniej mnie spotyka dobrego. Powinno się umierać w młodości, zanim nadejdą.

– Młodość nie jest receptą na szczęście. Przykładem była choćby twoja matka.

– Trochę na własne życzenie. Nie potrafiła się uwolnić od traumy. Zamartwianie się nie miało sensu, nie dało jej nawet prostej odpowiedzi. Mogła to zmienić, tymczasem tylko Wiktor i Wiktor, i bezsensowne, jałowe pytania, którymi mnie zadręczała. Nie potrafiłam nawet współczuć. – Cierpienie pobudziło w Irenie żal i pretensję do innych za to, że nie mogła być w pełni szczęśliwa. – Nawet jak umarła, dręczyła mnie pytaniami, czułam wyrzuty sumienia, że nie umiałam jej pomóc, a właściwie nie chciałam. Myślałam wtedy – a po co nam ten Wiktor? Bez niego też jesteśmy szczęśliwi. Wróci, to mi ją odbierze, a może zechce zabrać do domu, do Polski? Bałam się tego jak ognia.

– Chyba nie będziesz po tylu latach oskarżać się o egoizm? To bez sensu. To już lepiej skup się na świeżym smutku i przeżyj go w pełni. Płacz, rozpaczaj, upij się parę razy, rzuć czymś o podłogę i takie tam sposoby na smutek. Przeczytaj kilka książek i popracuj nad swoim sacrum. A jak już się cała wypłaczesz, kiedy zbrzydną ci łzy i własny obraz w lustrze, wtedy z chęcią wrócisz do żywych.

– Coś ci muszę wyznać – powiedziała ściszym głosem, nie kupując mojego pomysłu.

– Słucham – odpowiedziałam równie cicho jak ona.

– On kiedyś do nas zadzwonił. Powiedział, że jest znajomym z Polski i chce porozmawiać z Heleną Wojciechowską. Zapytał mnie, z kim rozmawia. Odpowiedziałam mu, że sprzątam u pani Wojciechowskiej. A on na to, żebym jej powiedziała, jak wróci do domu, że dzwonił Wiktor. O mnie oczywiście nie zapytał.

– Matko, Irka!

– Nie przyznałam się mamie, stwierdziłam, że bez niego jesteśmy szczęśliwsze. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, czym jest prawdziwa miłość. Uważałam, że trzeba wykazać się rozsądkiem. Bez najmniejszych skrupułów rozmowę z ojcem na wiele lat wymazałam z pamięci.

Wysłuchałam wszystkiego bez słów, całego godzinnego wywodu na temat wyrzutów sumienia i tego, że niczego nie można naprawić. Gdy skończyłyśmy i telefon z Kanady zamilkł, poczułam ogromną ulgę. List, który pisałam w myślach do Ireny, powinien być dla niej rozgrzeszeniem.

Z wizytą w rodzinnych stronach

Lato, rok 1922

Jan rzeczywiście pojechał w rodzinne strony. Miał do załatwienia kilka spraw niecierpiących zwłoki. Przede wszystkim musiał odebrać pieniądze za zeszłoroczne zboże, które zasiał przed wyjazdem do Krymna. Większość gospodarzy była w podobnej sytuacji. Przy sprzedaży ziemi mieli ujęte w umowie, że zasiane zboże pozostaje do żniw ich własnością. Ponieważ nie mógł osobiście uczestniczyć w zbiorach, umówił się z Janem Słowikiem, wieloletnim przyjacielem rodziny, że to on skosi i wymłóci, a za pracę zabierze słomę. Resztę zaś rozliczą po przyjeździe Jana. Z pieniędzmi Jan wiązał pewne plany. Miał jeszcze dużo gotówki z państwowej pożyczki. Ustalili z Wiktoria, że jednak kupią dwie mleczne krowy. Zwierzęta zapewnią rodzinie wyżywienie i zbierze się więcej gnoju do nawożenia gleby. Jesienią powinni wprowadzić się do domu, bez zwierząt się nie obejdzie.

– Nie zapomnij o wszystkich wypytać, zajrzyj do Adama, sprawdź, czy kotek Ewy ma się dobrze, bo ciągle o niego pyta. Pojedź do braci, zapytaj, co u Julki. – Wiktoria z tęsknoty najchętniej wymieniłaby wszystkich. – Aha, jeszcze zajrzyj do Hildy Kordel. Ciekawa jestem, czy mieszka w Krasocinie, i co z Ginterem, i co z domem, jak się sprawują nowi właściciele – napominała męża.

– Wszędzie, gdzie każesz, pojedę, byle mi tylko wystarczyło czasu – obiecał, choć nie był pewien, czy sprostą zadaniu. – Najpierw muszę się rozliczyć ze Słowikiem. To dla nas najważniejsze. Inne sprawy to kaprysy – stwierdził, pakując worek.

– Pieniądze to jedno, a kaprysy żony drugie w kolejności – dopominała się Wiktoria. – Bez tego nawet nie wracaj.

Jan spojrzał na nią przez ramię. Trochę się nadąsała. Chciał się z nią tylko podroczyć. Na wszelki wypadek przed wyjściem z domu przytulił.

– Nie martw się, nie martw, wejdę do wszystkich domów, nawet do mysich nerek na Floriańskiej, i zapytam, jak sobie myszy radzą bez twoich bułeczek – żartował na odchodne.

Gąsiorowski z Malechą jechali do Kamienia Koszyrskiego w sprawie zezwolenia na budowę kościoła w kolonii. Zabrał się razem z nimi. Pociąg miał dopiero wieczorem.

Jechał nocą. Całą podróż przespał. Był bardzo zmęczony. Jednak kilkanaście godzin na drewnianej ławce dało mu się we znaki. Mimo to cieszył się, że szybko dotarł do celu.

Z wielkim rozczuleniem przebył drogę z Ludyni do Gruszczyna, jakby go niosły skrzydła. Potem prosto w dół, do swojej rodzinnej wioski. Mijały go furmanki, ludzie znani z nazwisk i z widzenia, kłaniał się im, jakby nigdy nic. Skąd mogli wiedzieć, że nie był tutaj od roku? Tymczasem droga ta sama, ludzie podobnie ubrani, domy, podwórka, nawet chałupa spalona pod koniec wojny straszyla czarnymi belkami, nieodbudowana.

– Cóż, jeden rok to niewiele, minął jak z bicia strzelił. Co chcesz, tutaj sto lat nie robi różnicy – powiedział Słowik, gdy siedzieli w domu przy piwie.

– Mnie się wydaje, jakby dziesięć lat minęło. Żyjesz, odkąd pamiętasz, w jednym miejscu, a potem inne miejsce, zupełnie obce, wszystko ci przesłoni. Przesłoni to, co kiedyś było ważne, bez czego życie

wydawało się nic niewarte. – Zwierzał się Jan koledze, lekko już wstawiony. – Przecież Weronka, moja pierwsza żona, była dla mnie wszystkim. Kiedy umarła, też chciałem umrzeć. Cholera, chłopie – zwrócił się do Słowika. – Ja już niewiele pamiętam. – Spojrzał ze łzami w oczach na święty obrazek wiszący na ścianie, jakby czekał pokuty za grzech zapomnienia. – Czasami nawet tęsknię – zapewniał – ale już nie wiem za kim. Tak myślę, że bardziej pamiętam brata, choć umarł wiele lat temu, matkę, nawet Szczepana mam przed oczami, stoi przede mną jak żywy. A jej – westchnął ciężko – ją jakoś mało pamiętam – zwierzał się szczerze koledze. Rozczulił się widokiem wioski, widokiem domu, obok którego przechodził tego dnia kilka razy i jakby mógł, toby tam wszedł i został na wieki. Nawet nie spojrzał na strumień, na swoje łąki kochane, ze strachu, że się rozpłacze. Tyle się w nim zebrało żalu i tęsknoty za czymś, co odeszło, i mimo czasów pełnych udręki było miłe sercu. – Na cmentarz jutro zajrzę, pożegniam się z nią i przeproszę. Może mi wybaczy. Popatrzę jeszcze na inne groby, obraz zachowam w sercu na wieki. Kto wie, kiedy tu znowu zawitam.

– No, toż nie jedziesz na koniec świata – zażartował Słowik, rozlewając do końca piwo. Na wesele musisz przyjechać, Weronika za Władka Raka wychodzi. Na wiosnę przenoszą się tutaj. – Ruchem głowy pokazał w kierunku Jaśkowego domu.

– A Biały, ten kolejarz, co kupił dom ode mnie?

– Do Kielc się przenosi, podobno.

– A dopiero co dostał pracę na kolei w Ludyni. – Jan był zaskoczony.

– Mówili, że sprzedaje, Władek Rak się dowiedział i kupił. Teraz on będzie naszym sąsiadem. Zawsze swój za płótem, a nie obcy – uśmiechnął się Słowik.

Jaśkowi mowę odjęło. Żal mu się nagle zrobiło. Rok temu, gdy wyjeżdżał, pełen był optymizmu. Chciał stąd uciec, daleko! Ale serce nie służy. Zawsze znajdzie drogę do domu.

– Nie ma czego żałować – pocieszał Słowik, bo widział wahanie Jana i zażawione oczy. – Wszędzie tak samo źle i tak samo dobrze. Zależy od człowieka. Kto chce się pławić w nieszczęściu, zawsze będzie płakał. Nawet gdy żyje w dostatku i wszyscy w domu zdrowi. A kto ma umysł otwarty, ten żyje i nie narzeka. Ty, Jasiu, nigdy nie byłeś zwyczajny. Niby chłop, jak inni, pracowałeś tu razem z nami, ale każdy patrzył, kiedy stąd uciekniesz. Jedź z Bogiem i bądź szczęśliwy – pobłogosławił dawnego sąsiada, bo mu się zrobiło go żal.

– Nieraz myślę, że życie jest jednym cierpieniem. Kilka dobrych lat, kilka tygodni w roku, gdy jesteś zadowolony. Ale gdzieś w tyle, cały czas, czai się mrok. – Jaś sposepniał. – I choćbyś nie wiem jak bardzo się starał i często uśmiechał, a nawet gdybyś był mądry, mądrzejszy od innych, stoi zawsze obok i czeka okazji.

– Ale teraz jest dobrze, nie ma co narzekać. Przecież chciałeś wyjechać, zrobić coś dla siebie. To masz, czegoś chciał – pocieszał przyjaciel. – Myśl o przyszłości, nie oglądaj się na Krasocin. Patrz do przodu i wracaj szczęśliwie do domu. – Zaczęli się poklepywać i nawzajem pocieszać. Jak chłop z chłopem, jak Polak z Polakiem, raz śmiali się, a raz płakali. W końcu dobili targu. Czas był najwyższy. Słowik jak zawsze uczciwie się z Jaśkiem rozliczył. Każdy wziął to, na co się umówili, i zanim zapał kogut, obaj już mocno spali.

Następnego dnia zajechał do Gruszczyzna. Wieś lizała powojenne rany, wielu nie wróciło do domów. Siostra Weronki Anielka wyszła w tym czasie za męża. Dom na Występach kupił od Żyda któryś z sąsiadów, a na jego miejscu postawił nowy. Ludzie z okolicy jeszcze wspominali dawne właścicielki i ubiegłoroczną wizytę Baśki.

– Mówią, że to zła kobieta, że już za dziecka ludzie się jej bali – opowiadał Dąbek. – Ale kto ją tam wie, nikt w niej przecież nie siedzi. Tylko ludzkie języki na wszystkim się znają.

– Coś w niej było innego – potwierdził Jasiek. – Ale żeby zła, tego bym nie powiedział. Raczej sprytna.

– Chyba przebiegła. Z chłopami robiła, co chciała. – Dąbek znacząco podkreślił wąsa. A Jan nie spytał na wszelki wypadek. – Wywieźli ją za Ural, aż do Gari.

– To cud, że żywa wróciła. – Nie wiedział, gdzie leży Gari, wystarczyło mu, że za Ural. To słowo miało siłę rażenia.

– Wiem, bo była w Gruszczynie. Przyszła pytać o sąsiada. Miał jej coś przechować. Chyba pieniądze. Ale pieniądze szlag trafił, bo sąsiad wszystko przepił i ślad po nim zagał. Pytała, czy nie mówił, gdzie się wybiera. Zdziwiłem się, bo przyjechała autem, na biedną nie wyglądała. Teraz ma nazwisko po mężu, nazywa się Barbara Popławska. O zesłanie jej nie zapytałem. Pomyślałem, że pewnie uciekła. Zawsze była dobra w nogach – zażartował Dąbek.

– Jak dzieckiem byłem, też mi się podobała. Miała w sobie ogień.

– I się tym ogniem nie raz poparzyła.

– Ale mieszka ponoć we Francji?

– Podobno – potwierdził Dąbek.

Czas naglił. Miał jeszcze przed sobą kilka ważnych wizyt. Pożegnał się z byłym teściem i ruszył do Sornatów. Mieszkali tylko kilka domów dalej, na samym skrzyżowaniu przy studni. U Sornatów został do wieczora, żeby zdać dokładną relację, a głównie uspokoić braci i macochę. Powiedział, że jesienią urodzi się dziecko i dadzą jakoś znać rodzinie. Ludzie byli ciekawi, jak się im wiedzie, czy nie żałują i nie chcą czasami wrócić. Jan w podnieceniu opowiadał o Krymie, o postępach prac i o planach, o stosunkach z miejscowymi i urodzie miejsca. Nie namawiał jednak na przyjazd.

– Kto nie przywykł do ciężkiej pracy, ma słaby charakter i boi się niepewnego, niech jednak nie ryzykuje – powiedział na odjeździe. – Ziemi jest dosyć, ale trudna w uprawie i miejsce trochę dzikie. Trzeba siły i hartu ducha, żeby temu podołać. Odwiedzicie nas w przyszłym roku, sami zobaczycie, podróż nie jest droga. Bilety bardzo staniały – zapraszał przed samym wyjściem. Nie straszył nikogo, wątpliwości zostawił dla siebie. Przyszłość pokaże, jak się to wszystko ułoży. Podziękował też za rodzinną pomoc, bez szwagra nie dałby rady. Obiecał przysłać go pod koniec lata.

– Dla mnie to wielka pomoc, sam bym to wszystko wiele dłużej robił, a Lutek jeszcze małe, ledwo zaczął chodzić. Lubi wprawdzie bawić się młotkiem, ale z marnym skutkiem, więc jeszcze raz z całego serca dziękuję rodzinie.

Z Lublina wyjechał nad ranem, był wypoczęty i odświeżony. Kilka dni wolnego pozwoliło mu odzyskać siły. Wiózł ze sobą podarki dla dzieci i moc pozdrowień, którymi ucieszy żonę. Spakował resztę narzędzi stolarskich, których nie zabrał wcześniej, a w woreczku na piersi wiózł pieniądze za zboże. Czas szybko mijał na ciekawych rozmowach z pasażerami. Pociąg był pełen podróżnych. Jechały nim wdowy po zesłanych na Sybir, zdegradowani żołnierze, pozbawieni majątków, dawni profesorowie powracający do zniszczonych, puszczonych z dymem domów. Miejscowi Poleszacy, Białorusini, każdy z nich z bagażem niełatwej historii. Cała rodzina Żydów bez dachu nad głową. Siedzieli na końcu wagonu z małym dzieckiem. Niezły zestaw, pociąg pełen ludzkiego nieszczęścia, z różnych zakątków Europy.

W końcu podróży zaczęli wysiadać, każdy na swoim przystanku, u samego celu lub tylko w drodze do niego. Jan minął Kowle, miał jeszcze przed sobą drogę na Kamień Koszyrski. Zdrzemnął się trochę, a później stanął przy oknie, patrząc na krajobrazy. Kiedy jechał wtedy po pierwszy, jesienią, okolica wyglądała inaczej. Teraz, jak okiem sięgnąć, wszystko stało w wodzie. Początkowo patrzył spokojnie, no cóż, rzeka wylała, ma prawo wiosenną porą. Lecz kiedy podmokłe tereny nie chciały się skończyć, a im bliżej domu, tym było ich więcej, zaczął wpadać w panikę. Do tego ta ostra zieleń zalanych łąk, która miejscami zmieniała się w żółte pola kaczeńców, wprawiła go w osłupienie, nie mógł się temu nadziwić. Widział ogromne przestrzenie zajęte przez bagna, miejscami zupełnie nagie, rzadkie sosnowe lasy na trzęsawiskach, niewielkie osady wśród bagien, do których można było dotrzeć chyba jedynie łodzią. Raz

po raz w pobliżu torów wznosiły się piaszczyste wydmy, obnażone pagórki lub wały usypane dla bezpieczeństwa kolei.

Od czasu do czasu pod tory podpływała rzeka lub jej nabrzmiące dopływy. Widział wśród trzciny niewielkie płachty zieleni, gęstą, wysoką trawę, a między tym zagajniki brzozy i olchowe łęgi wystające z wody.

Przywiózł do Krymna wiele pozdrowień z rodzinnych stron, same radosne wieści o narodzinach i ślubach, o tym, że Adam Ciosek przeniósł się do Ostrowa na stałe i już do miasta nie jeździ za pracą, mieszka teraz z córką i zięciem, że wszyscy są żywi i zdrowi, czego im także życzą. Sprawił tym Wiktorii wielką przyjemność. Oczy żony aż lśniły ze szczęścia. Walerka pytała Jasia o swoich bliskich, a Ewa chciała koniecznie wiedzieć, czy żyje jej ulubiony kotek. Tylko Mania niczego nie była ciekawa, goniła wiatr w polu, szczęśliwa, że robi się ciepło i nie musi przesiadywać w domu.

– Tłustochowicz chce mi sprzedać swoją ziemię. – Jaś przyszedł do domu z radosną nowiną. – To dobra działka – tłumaczył żonie. – Leży między działkami Malickiego i Kaliszewskiego. Jest oczyszczona, trochę uprawiana i prosta jak deska, wystarczy zaorać i obsiać – zapalił się. – Dodatek jest duży, porósł wrzosowiskiem, więc i grunt lepszy od naszego. Mnie powiedział pierwszemu, po starej znajomości, chciał być w porządku – wyrzucił na jednym oddechu.

To była świetna okazja i cena przystępna. Miałby ziemi tyle co Malecha i Wnuk, może nawet tyle, ile Kaliszewski.

Wiktorii nie była przeciwna. Pieniądze za zboże leżały w banku, została reszta pożyczki, a taka ziemia, to jakby manna z nieba. Po krótkiej rozmowie zdecydowali się na kupno działki Tłustochowicza. Pisemna umowa kupna-sprzedaży została sporządzona w obecności świadków i oblepiona skarbowymi znaczkami. W ciągu kilku dni miała zostać potwierdzona w urzędzie. Jan natychmiast zapłacił i następnego dnia przystąpił do orki. Chciał nacieszyć oko nowym nabytkiem i snuć plany zasiewów. Po powrocie z Krasocina kilka razy miał wątpliwości, bywało, że po ciężkim dniu przeklinał los i niełatwe życie. Tymczasem nowy nabytek, piękny żyzny płat ziemi, podniósł Jasia na duchu. Szedł za pługiem, pokrzykując na konia.

– Hej, gniada, hej, do niedzieli musimy zaorać, w poniedziałek zasiejemy, a w sobotę po Janie zbierzemy – rażno podśpiewywał.

W ciągu tych kilku dni między sprzedażą a oficjalną rejestracją gruntów na rzecz nowego właściciela Tłustochowicz tę samą ziemię sprzedał po raz drugi Józefowi Złotnikowi, po czym zwinął manatki i uciekł. Na to Złotnik, broniąc się, podobnie jak Jan, przed utratą nabytej ziemi, już w niedzielę obsiał kupione pole.

List

Poznań, rok 2009

Ustalenia dotyczące osoby Wiktora Wojciechowskiego, alias Kasztelan.

Wiktor Wojciechowski urodzony w 1916 roku w Chełmie. Matka – Leokadia Wojciechowska.

W 1939 roku zostaje powołany do wojska. W 1941 roku ranny w akcji na terenie Wielkiej Brytanii trafia na kilka tygodni do szpitala. Ma złamaną prawą łopatkę i obojczyk, po zdjęciu gipsu prawa ręka nie odzyskuje właściwej sprawności. Wiktor zostaje skierowany do Polski. W szpitalu poznaje Annę Kramer, ochotniczkę, służącą w pomocniczej Służbie Lotniczej Kobiet. Anna zakochuje się w Wiktorze z wzajemnością. Kradnie dla niego dokumenty poległego żołnierza na nazwisko Kasztelan, imiona się zgadzają, podobnie jak rok urodzenia. Wiktor zostaje w Anglii na jej utrzymaniu. Nie chce wracać do kraju. Posługuje się dokumentami zmarłego, kiedy szuka pracy. Przed bliskimi udaje zaginionego. Tęskni do Heleny, którą zostawił w Polsce, jednak miłość do Anny zwycięża. Próbuje się jakoś urządzić. Pod koniec wojny jednak muszą wrócić do kraju. Anna mieszka w Krakowie, jest mężatką, ma dwójkę dzieci, i życie bez dzieci staje się dla niej udręką. Poza tym mąż Anny choruje na cukrzycę, opiekuje się dziećmi, prowadząc zakład szewski. Przeważa troska o bliskich. Anna i Wiktor muszą się rozstać. Wiktor prosi ją o przechowanie dokumentów na nazwisko Kasztelan, jakby czuł, że kiedyś mogą się przydać, a sam z własnymi papierami wraca do rodziny.

Wymyśla historię o zbombardowanym pociągu w pobliżu Marsylii i chorobę. Później długą drogę powrotną do Polski i pobyt w oddziale partyzanckim, z którego niemal wszyscy zginęli w trakcie jednej z akcji. Jest wojenna zawierucha, nikt nie docieka, jak było naprawdę. Każdy ocalony to radość dla bliskich. W Polsce zastaje pusty dom i wiadomość o śmierci matki i ojczyma. Pogrążony w smutku po rozłące z Anną jednocześnie jest dręczony wyrzutami sumienia. Długo leczy duchowe rany, pomaga mu w tym Helena, z którą się niebawem spotyka. W grudniu 1945 roku biorą cichy ślub. Helena jest w ciąży.

Ten epizod, Irenko, już znasz z opowiadań. Potem jest Wrocław. Wiktor pracuje w Stoczni Rzecznej i prowadzi normalne życie. W roku 1951 masz już pięć lat. Ojciec dużo pracuje, wyjeżdża w delegacje, często na kilka dni, zazwyczaj do Krakowa. I nagle, pewnego dnia znika z waszego życia. Dalszą część historii odkrywa moja Agnieszka.

Korzystając z podanego przez Ciebie adresu w Kielcach, dociera do akt personalnych w Polskich Kolejach Państwowych i konsekwentnie idzie tym śladem. Odkrywa, że Wiktor, już wtedy Kasztelan, a nie Wojciechowski, od roku 1953 do 1956 pracował i mieszkał w Kielcach. Przypadkowo zostaje zdemaskowany i zwerbowany do pracy w tajnej policji. Za cenę utrzymania w tajemnicy miejsca pobytu i zmiany nazwiska zgadza się na współpracę. Przenosi się do Krakowa, do drukarni Wydawnictwa Ruch, gdzie pracuje do emerytury. Od tego momentu jest konfidentem, który ma za zadanie obserwować i zdawać relacje z nastrojów politycznych w przedsiębiorstwie, w którym wówczas pracuje. Podczas jednej z wizyt u Anny dowiaduje się, że zostanie ojcem. Mąż Anny jest bardzo chory i w roku 1963 umiera. Anna po krótkiej żałobie wychodzi za mąż za Wiktora. Kilka dni

później rodzi się ich syn Andrzej. Wiktor dostaje przydział na większe mieszkanie. Przeprowadzają się do bloków na Podgórzu. Są małżeństwem do 1974 roku. W tym roku Anna umiera podczas zabiegu usuwania wyrostka robaczkowego, przy zaawansowanym stanie zapalnym otrzewnej.

Po śmierci żony Wiktor wyjeżdża na pół roku do Chełma. Najpierw mieszka w hotelu, później przenosi się do dobrej znajomej mieszkającej na wsi. Na dwa lata wraca do Krakowa, ale tam nie znajduje spokoju. Więc znów wyjeżdża na wieś, tam się czuje najlepiej. Umiera w 1977 roku na zawał serca. Pochowano go jednak w Krakowie, w pobliżu grobu Anny.

Pewnie jesteś ciekawa, w jaki sposób weszłyśmy w posiadanie tak dokładnych informacji. Do tego momentu mogę Ci powiedzieć z grubsza. Obiecuję, że jak tylko Agnieszka wróci do domu, będzie w stanie zdać dokładną relację. Z tego, co wiem od niej, adres Twego ojca, pod nazwiskiem Kasztelan, znalazła po prostu w książce telefonicznej. W mieszkaniu po nim i Annie mieszkał ich syn, a obecnie zajmuje je niezamężna córka Anny, pani po siedemdziesiątce. Kobieta chętnie wpuściła Agnieszkę do domu, słysząc, że przyjechała w imieniu córki Wiktora z pierwszego małżeństwa, która przed śmiercią chciała poznać jego ziemskie losy. Pokazała Agnieszce wszystkie rodzinne zdjęcia i w szczególach wyznała jego ówczesne grzechy. Na szczęście знаła historię rodziców. Matka zwierzyła się córce w obawie, że po jej śmierci prawda przepadnie, a różnie może się zdarzyć. Choćby znajdzie się ktoś, kto zechce wnieść pretensje do spadku.

Irenko, ale to nie jest jeszcze wszystko. Tutaj do akcji weszłam osobiście. Wybrałam się do małej wioski położonej w lesie w okolicach Chełma, w której Wiktor Kasztelan, lub Wojciechowski, jak wolisz, spędził ostatnie lata życia.

Do Chełma dotarłam późnym wieczorem. Noc spędziłam w hotelu, a rano spróbowałam trafić pod właściwy adres. Miałam z tym dużo problemów, ale udało się. W domu pod lasem mieszkają teraz młodzi ludzie. Mają tam małe gospodarstwo i uprawiają warzywa pod folią. Agnieszka umawiała się telefonicznie.

Z młodą gospodynią rozmawiałymy przez godzinę przy kawie. Potem wręczyła mi spłowiałą teczkę przewiązaną dwoma sznurkami i szeroką czarną gumą. Podziękowałam, zapewniając, że koperta dojedzie nienaruszona do właściciela, czyli do Ciebie.

Dołączam ją do listu bez komentarza. Nie twierdzę, że nie zaglądałam do środka. Oczywiście, że byłam ciekawa. Poza tym miałam zobowiązania w stosunku do Agnieszki. Umarłaby ze zgrzyoty, gdyby nie mogła poznać w całości tajemnicy Wiktora Kasztelana. W tezcze jest wszystko. Cała prawda, w lepszym lub w gorszym wydaniu, sama ocenisz.

To napisałam w liście do Kanady. W kopercie Irena znajdzie odpowiedzi i raczej nie będzie się czuła najlepiej. Nie podałam jej szczegółów wizyty. To zostawiłam dla siebie, ponieważ dla mnie rozmowa o szarej kopercie okazała się przełomowa.

– Mnie tam wszystko jedno, kto odbierze papiery. Byle uczciwy. Właściwie to powinna mi pani dać dowód, że przyjeżdża od jej córki. Inaczej nie miałam nikomu oddawać. Ale córka pewnie dawno nie żyje.

– Rzeczywiście córka, Helena Wojciechowska, umarła wiele lat temu, ale jest wnuczka, Irena Sznajder, która mieszka obecnie w Kanadzie. Jeśli trzeba, to do niej zadzwonię i poproszę o potwierdzenie, że jestem tu z jej polecenia.

– Nie trzeba – szybko się wycofała. – Chętnie się wszystkiego pozbędę. Najpierw babcia, potem mama musiała tego pilnować, teraz ja. Najwyższy czas rozliczyć się z rodziną. Jak pani chce, to mogę najpierw

oprowadzić, a potem wejdziemy do środka. Jakąś kawę pani może wypije albo herbatę?

Niewiele było do oglądania, ale poszłam z czystej ciekawości, żeby zrozumieć, co mógł tu robić Wiktor w ostatnich latach życia.

W głównym budynku mieszkali obecni właściciele, w głębi podwórza stał mniejszy, drewniany, w bardzo złym stanie. Okna miał zasłonięte papierem i starymi szmatami. Pod szerniałymi ścianami grzały się w słońcu kury i więdły słoneczniki.

– Będziemy go wkrótce rozbierać – oznajmiła, jakby się wstydziła, że trzymają na podwórku takie stare próchno. – Przydaje się czasem, trzymamy tam stare graty, ale mieszkać już się w nim nie da. Kiedyś to był rodzinny letniak – wyjaśniła – a jeszcze wcześniej babka wynajmowała obcym, którym się w wakacje wieś marzyła i las, i pola.

– Czy to on tu mieszkał? – zapytałam, patrząc na smutny obraz zapadającego się pod ziemię domu.

– Tak, cały czas. W dzień siadał pod ścianą, gdzie te kury, i grzał stare kości. Jeszcze w środku zostało po nim łóżko i bielizniarka. Może pani sobie obejrzyć.

Nie chciałam. Poczułam się bardzo dziwnie. Zlał mi się w jedno obraz dziadków i wszystkich starych, krasocińskich domów, tych samotnych drewnianych chatynek, w których nikt już teraz nie mieszka, a także tych, w których można było jeszcze zobaczyć śnieżne firanki i kwiaty na parapetach. Ogarnęła mnie wielka nostalgia za czasem minionym, za ludźmi. Bardzo się z nimi zżyłam przez ostatnie lata. Mogłabym nawet powiedzieć, że więcej mnie było tam niż tu, w moich czasach. Przywiązałam się do tego stopnia, że sama nie mogłam zdecydować, gdzie jest mi lepiej. Nie chciałam patrzeć na ruiny czyjegoś życia. Na połamane łóżka, spróchniałe szafy i szerniałe lustra, w których już nie znajdę niczyjego odbicia. Chciałam zabrać te przekłete papiery, w których historia i los wykreśliły swoje własne mapy, i zakończyć smutną wędrówkę po polskich cmentarzach.

– Pan Wiktor był tu za młodu, przyjeżdżał czasami z matką. Babcia mówiła, że trochę wcześniej, zaraz po pierwszej wojnie, mieszkał tu jego ojczym. Zatrzymał się po powrocie z Syberii. Przyjechał z małą córeczką, na imię miała Helenka. Pani wie, to ta, co później została żoną Wiktora. Zatrzymali się tutaj, bo byli obdarci i wychudzeni. Dziewczyna ledwo chodziła. Trzeba ich było do życia przywracać. Mieszkali tutaj dwa lata, zanim się pan Karol ożenił z panią Wojciechowską i wyjechał z nią do Chełma.

Imię Karol zabrzmiało mi jakoś znajomo. Poczułam, jak mi coś zacisnęło pierścień wokół skroni, ale nie dałam po sobie poznać. Weszliśmy razem do domu. W przedpokoju wały się sterty butów, dużych i małych, sandałów i kaloszy. Z kuchni dochodził zapach ogórkowej na żeberkach.

Usiadliśmy w środkowym pokoju, z oknem od podwórza. Gospodyni przyniosła kawę, ja z kolorowej reklamówki wyjęłam kartonik z ciastem, które kupiłam w hotelowej cukierni.

– Później przyjeżdżali tu razem, całą rodziną – rozgadała się przy kawie na dobre. – Lubili ten mały domek, a dzieci miały więcej swobody niż w mieście. Wiem to wszystko od babci, a babcia od swojej mamy. Kiedyś często się ich wspominało, bo to była taka smutna historia.

– No tak – przyznałam – później oboje zginęli.

– W tym czasie Helenka była tutaj, u nas. Na całe szczęście. Dzięki temu przeżyła wojnę.

– Wtedy było wiele takich smutnych historii.

– No właśnie – przyznała i dla podkreślenia podniosłości chwili na moment zamilkła. Ja też milczałam.

– Pani pewnie poczyta sobie te dokumenty, polecam, ja już czytałam – przyznała bez skrępowania. Mówiąc to, z apetytem zajadała ciasto i co chwilę zapijała kawą. – Leżą tutaj tak długo. Trudno się było oprzeć. A jak przyjechała taka starsza pani z Kanady, podobno bardzo bogata, dobrym autem i z młodym kierowcą, to się podobno cała wieś zleciała. Mnie jeszcze wtedy nie było. Znam to z opowiadań. Ta pani kazała sobie podać teczkę z dokumentami i włożyła do środka kopertę. Bo jak się potem okazało, znali się z panem Karolem. Znali się z dawnych czasów, jeszcze sprzed pierwszej wojny. Sama pani widzi,

jaka to stara historia.

Po raz drugi w trakcie tej rozmowy zrobiło mi się słabo. Cierpka sypana kawa, której wypiałam ledwo łyk, mętna i czarna jak smoła, przypominała w tej chwili moje myśli.

– A ten pan Karol, jak on się właściwie nazywał? – Zapytałam, ponieważ uświadomiłam sobie, że do tej pory nie padło jego nazwisko.

– Trzeba by chyba sprawdzić. W środku jest nawet zdjęcie, jest także metryka Heleny. Bo wie pani, ona wcale nie była córką Karola, tylko tej pani z Kanady. Ta pani z Kanady miała ją z jakimś ruskim wojskowym. Rozmawiała z babcią przez całą noc, jakby się jej spowiadała. Piły razem wódkę. Wie pani, moja babcia to czasem lubiła sobie wypić. Podobno wtedy upiły się obydwie. Ona rano wyjechała, przyjechał po nią ten duży samochód. Babcia przez kilka dni z rzędu chodziła wieczorem do kościoła, mimo że nie była zbyt religijna. Podobno nawet krzyżem leżała przed samym ołtarzem. W końcu musiała przestać, bo dostała od tego zapalenia oskrzeli.

– Powiedziała, dlaczego się modli i za kogo? – zapytałam. Czułam, że rośnie mi mocno ciśnienie, a na twarz wychodzą rumieńce.

– Powiedziała mamie, ale albo jej, albo mojej mamie coś się pomyliło.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo ta pani z Kanady, nazwiska nie pamiętam, ale tam wszystko jest – kolejny raz pokazała na teczkę leżącą na stole – ona jej powiedziała, że czas już na nią, że przyjechała do Polski umierać.

– To chyba nic dziwnego. Ludzie często wracają do ojczyzny przed śmiercią. Nie chcą leżeć w całkiem obcej ziemi.

– Jasne, też tak uważam. Tylko że ona ponoć powiedziała, że się każe pochować pod drogą czy pod jakimś placem, bez krzyża i nagrobka, i żeby ludzie deptali jej imię po wsze czasy, na wieki wieków, amen.

– Jak to pod drogą?

– Że niby tyle w życiu nagrzeszyła, że nie zasługuje na więcej.

List z kopertą pojechał w swoją ostatnią podróż. Najważniejsze dokumenty skopiowałam. Nie byłabym pisarką, gdybym nie dostrzegła w nich literackiego potencjału, tym bardziej że jak ulał pasował do pisanej akurat historii. Losy moich prawdziwych bohaterów w metafizycznie nieprawdopodobny sposób splótły się ze sobą i nie pamiętam, żeby kiedykolwiek w życiu coś mną tak bardzo wstrząsnęło.

Karol Kordel nie zginął na wojnie, jak opowiadano w Krasocinie. W listopadzie 1918 roku razem z Legionem Czechosłowackim zawędrował na Syberię. Jakimś zrządzeniem losu ich oddział dotarł do Gari. Tam spotkał wielu zesłańców ze swoich stron. Między nimi była Baśka z Gruszczyna. Już prawie dziesięć lat, jak ją tam zesłali na podstawie zarzutu za utrzymywanie kontaktu z tajnymi organizacjami patriotycznymi. Baśka z Gruszczyna miała już trzydzieści cztery lata. W pierwszej chwili nawet jej nie poznał. Był chłopcem, kiedy ona była już kobietą. Przez dziesięć lat ułożyła sobie jakoś życie w tym piekle. Wszyscy znajomi, z którymi przyjechała, albo potonęli w trakcie spławiania drewna, albo umarli z przepracowania. Jej udało się przeżyć. Wpadła w oko jednemu z komendantów, to ją przygarnął do siebie. Chciał ją wyrzucić, kiedy się okazało, że jest z nim w ciąży. Nie dała się skrzywdzić. Pomogła mu

zapić się na śmierć. Została w jego chałupie aż do chwili, gdy do wsi weszły wojska francuskie. Francuzi wylądowali w Odessie, żeby w końcu dotrzeć razem z innymi wojskami w okolice rzeki Sośwy. Stacjonowali tam wystarczająco długo, żeby się Baśka zdążyła zakreścić. Wybiedziona była, nędznie ubrana, ale ciągle jaśniała na tle innych zesłanych kobiet. Dojrzał ją młody francuski oficer, który okazał się Polakiem. Obiecał, że jej pomoże. Nie przyznała się, że ma dziecko, ale nie chciała zostawiać córki w Gari, bo to jakby skazać na śmierć, a zabrać ze sobą nie mogła. I wtedy przydał się Baśce Karolek. Jego też omamiła wdziękami. Obiecała, że razem wrócą do Polski. Poprosiła, żeby się zajął tymczasem jej córką, a ona załatwi transport i pieniądze, w Gari znała prawie wszystkich. Zostawiła mu dziewczynkę na dwa dni. Trzeciego rano mieli razem wyruszyć. Ale po trzech dniach nie wróciła. Zabrała się z Francuzami. Miły i prawy oficer Julian Popławski przejął się swoją misją, i zanim dotarli do celu, pojął Baśkę za żonę. W krótkiej podróży poślubnej Barbara Popławska zajechała do wsi po matkę, nie wiedziała, że już umarła. Przy okazji odwiedziła Kordelów, przekazując hojne podarki, widać męczyły ją wyrzuty sumienia. Przywiozła też wiadomość od syna, że żyje.

Karol już nigdy nie wrócił do Krasocina. Przedarł się z dzieckiem do Chełma i tam osiadł na stałe.

Barbara Popławska zamieszkała z mężem w Krakowie. Później wrócili do Paryża. Ale gdy w Europie zrobiło się niebezpiecznie, kupili dom w Kanadzie i tam się osiedlili.

Po wojnie odszukała Helenę. Karol w tym czasie już nie żył. Za to Helena została sama z dzieckiem w zniszczonej doszczętnie Warszawie. Nadarzyła się wtedy jedyna okazja do odkupienia winy. Wykorzystując mężowskie koneksje, sprowadziła córkę do Kanady.

W tej historii jest wiele nieścisłości. Nie wszystko udało się wyjaśnić. Pewne epizody wydają się hipotetyczne, inne są faktami. Najbardziej zdumiewało mnie i dało do myślenia, że czasami to nie my gonimy za duchami przeszłości, tylko one nas dopadają.

Według prawa

Krymno, rok 1922

Prace przy budowie kolonii trwały w najlepsze. Lato rozkwitło w Krymnie z całą siłą. Roślinność wybujała w rozgrzanych i wilgotnych dolinach, wysychały rowy i piaszczyste łąchy. Plagi komarów i much przeszkadzały ludziom pracować. Nocami trzeba było uważać na wilki, którym zdarzało się podejść pod chaty. Żmije wylegiwały się na leśnych ścieżkach, na rozgrzanych kamieniach. Dzieci musiały się uczyć przetrwania w nowych warunkach.

Kto z Poleszuków i innych mieszkańców wioski miał ziemię, ten ją uprawiał i nawoził, kto był bezrolny, głównie kłusował w przepastnych lasach, w gęstych oczeretach albo zbierał owoce i zioła, a przede wszystkim łowił. Pobliskie stawy, jeziora, dopływy Prypeci pełne były ryb. Poleszuk, któremu przyroda ciągle wchodziła w paradę, utrudniając życie, musiał ją dla siebie oswoić.

Mimo całej miłości do świętokrzyskiej ziemi, takiego lata jak to Jaś wcześniej nie widział. Nie było nic a nic podobne do tego na łąkach za strumieniem. Tam niebo schodziło po sam horyzont, tutaj panoszyła się zieleń jak jakieś lichy, tak że nawet niebo wydawało się wszystkim zielone.

Urok miejsca działałby bardziej, gdyby nie sprawa procesu o ziemię. Krzywda, której dopuścił się na nim znajomy, bolała bardziej niż utrata pieniędzy, całego zarobku za zboże i sporej sumy z banku. Pochłaniała pozytywne myśli, przeszkadzała cieszyć się życiem. Gdyby Tłustochowicz był obcy, pewnie Jan jakoś by się zabezpieczył, dokonał kupna w urzędzie. Znali się jednak od dawna. Jan, naiwny, myślał, że wspólna dola coś dla człowieka znaczy, że łączy ich wszystkich przyjaźń i solidarność rodząca się w niezwykłych warunkach i że polska Kolonia Krymno jest dla nich wszystkich świętością. Rzeczywistość rozwiała Jasiowe złudzenia.

Józef Złotnik, drugi nabywca tego samego kawałka ziemi, nie zamierzał ustąpić. Mogli się przecież dogadać, podzielić ziemią na pół albo pieniędzmi, w końcu każdy z nich był poszkodowany.

– Właścicielem gruntu jest ten, który pierwszy obsieje – oznajmił krótko Jasiowi, kiedy się wreszcie spotkali. – Nie ma od tego odstępstwa. – Był hardy, nieprzystępny, stało za nim nie tylko prawo, ale i koneksje.

Biedny Jaś omal nie umarł z rozpacz. Wrócił jak zbity pies i aż się bał powiedzieć żonie. Poszedł drogą przez Luc i wrócił dopiero wieczorem. Zaczepiali go, pytali, jak było. Wielu próbowało mu radzić. Twierdzili, że jeśli zaorze zasiane zboże i zasieje ponownie, odzyska prawo do ziemi. Ale Jan nie chciał wchodzić w konflikt z prawem. Jeden oszust wystarczy.

Żeby jednak zrobić cokolwiek, nie czuć się jak ofiara, jak ktoś, kogo nawet dobry znajomy może nabić w butelkę, poszedł na posterunek zapytać o swoje prawa. Tam się niestety dowiedział, że jeśli żyto już powschodziło, taki czyn byłby karalny i nie dość, że stracił pieniądze, musiałby jeszcze pokryć koszty odszkodowania. Postanowił założyć sprawę. Jest w końcu prostym człowiekiem i nie musi wszystkiego wiedzieć. Jedno jest oczywiste, stała się niesprawiedliwość, którą trzeba uczciwie rozsądzić. Odpowiednie pisma zostały więc sporządzone i oficjalnie przesłane do Sądu Grodzkiego, który mieścił się w Kamieniu Koszyrskim. Teraz tylko czekać na wezwanie. Jan nie miał jednak wielkich nadziei.

Złotnik, człowiek na stanowisku, technik od budowy dróg i mostów, miał żonę spokrewnioną z tamtejszą zamożną szlachtą.

Zapowiadał się długi proces i potrzebny był adwokat. Bez adwokata nie było szans na wygraną. Skoro zdobył się na tyle odwagi, żeby wytoczyć proces Złotnikowi, musi postępować według zasad.

Ktoś mu polecił adwokata, specjalistę od praw gruntowych. Adwokat chciał poznać fakty, zanim da odpowiedź. Umówili się na długą rozmowę. Jan drobiazgowo wyłuszczył swój problem, podał fakty, o które adwokat dokładnie wypytał. Ulżyło mu, może jednak nie wszystko stracone. Miły człowiek, poświęcił mu sporo czasu, spokojnie wysłuchał. Kiedy jednak poznał już wszystkie szczegóły, stwierdził, że bardzo mu przykro, ale zna problem, ponieważ już wcześniej został wynajęty przez pana Złotnika.

Tego już było dla Jasia za wiele. Naiwny, sumienny, prostoliniorny chłop spod Kielc, a teraz spod Kowla, powiedział wszystko jak na spowiedzi, podzielił się każdą sugestią. Nie zostawił dla siebie żadnych argumentów.

Wiktorcia snuła się za nim jak cień. Bała się o męża. W sprawach honoru był wyjątkowo wrażliwy. Zapracowany, zmęczony, na koniec oszukany – to był policzek dla mężczyzny. Przepadły wszystkie oszczędności. Zostały tylko bankowe długi.

Ta sprawa odbiła się sporym echem w kolonii, a zdania były podzielone. Jedni trzymali z sąsiadem, drudzy z miejscowym. Jana najbardziej zadziwił fakt, że wszyscy już zapomnieli o tym, że ani on, ani Złotnik nie są niczemu winni, i że nikt nie osądza oszusta, tylko poszkodowanych.

Znalazł w końcu adwokata, który zgodził się prowadzić sprawę. Otwarcie uprzedził Jana, że przeciwnik zna wszystkie karty i trudno się będzie obronić. Mimo to nie odmówił pomocy. Draństwo było zbyt duże, żeby je lekko wybaczyć.

Zanim ciąża Wiktorii zaczęła być mocno widoczna, u Mazurowej zbliżał się czas rozwiązania, bo i ona czekała na dziecko. Dotychczas żyli razem bez zgrzytów. Mazurowie nie szukali konfliktów, a Babuszka promieniowała po prostu dobrocią. Rozpieszczała małego Lutka, traktując go jak wnuczka. Wszyscy równo dzielili się obowiązkami, a wieczory spędzali na długich rozmowach. Zdarzało się, że Jaś i Mazur solidnie popili. Późną nocą dołączali inni. A gdy dzieci już spały, to z ust do ust snuto opowieści o ludziach, zdarzeniach, jedni drugim próbowali przybliżyć prawdę o sobie, o tym, gdzie się urodzili i jak im się wiodło. Kuśmierczykowie opowiadali o życiu w niewoli, o wojnie, o bliskich, którzy zbyt szybko odeszli, o marzeniach na przyszłość. Gospodarze woleli prawić o poleskich legendach i duchach z przeszłości. Widać było, że ich religijność zakorzeniła się w starych przesądach, a religia była wierna pradawnym przodkom. Czary i bóstwa przetrwały i wciąż miały duże znaczenie.

Matka Mazura chętnie prawiła o czasach, które tylko ona mogła pamiętać. Przewijały się w opowiadaniach pradawne legendy i zapomniane kulty oraz nadal praktykowane zwyczaje przodków. Dla miejscowych na przykład węże były świętością. Gady, które Wiktorię i dzieci napawały strachem, traktowali z szacunkiem. Wąż w domu to dobry znak. Był postrachem myszy i złych duchów. Węże zimą spały często w szparach pod piecem, miały do tego prawo. Bywało, że czmychały z obory, gdy je ktoś niechący wypłoszył, albo z ciepłego strychu w stodole czy ze składu z drewnem. W wielu chałupach, opowiadał Mazur, zawsze się pali ogień zwany „wiecznym”, który nigdy, nawet latem nie jest wygaszany – to symbol szacunku, świętości i bezpieczeństwa. Nie wolno do niego przeklinać ani na niego spluwać, to przynosi domowi nieszczęście.

Opowieści tutejszych słuchało się z przyjemnością, ale i ze strachem. Świat duchów, leśnych strzyg i czartów, w polskim narodzie traktowany raczej jak baśń, tu, na Polesiu, przenikał rzeczywistość. Ludzie

lubią dziwne, niewytłumaczalne historie, które się ocierają o prawdę, a jednocześnie całkiem z nią mijają.

Osadnicy i miejscowi zbierali się wieczorami w grupy. Do Mazurów i Kuśmierczyków dołączali Fedorka, Gołdyn z żoną, Trojanowski, Głowala i w ciepłe krymneńskie wieczory radzili nad swoją przyszłością. Poleszuki słuchali zdumieni, ile w ich rozmowach jest konkretnych treści o sprawach technicznych i finansach, o giełdzie i o tym, gdzie lepiej wymienić marki, żeby nie stracić. Dziwiło ich, jak mało wiedzą za to o ziemi, na której żyją, o tradycji i możliwościach, które daje. Sami zanurzeni w skomplikowaną naturę tutejszej przyrody znali się na niej jak nikt. Łowili, polowali, zbierali wszelkie płody ziemi, traktując ją całą jak własne pole. Nie mogli zrozumieć Polaków, że nie ciągnie ich wcale do lasu, nad wodę, choć tam żywność jest na wyciągnięcie ręki, tylko wydają pieniądze na kupno zwierzyny, która wymaga trudnej i kosztownej hodowli i ciężkiej pracy. Woleli o świcie, w harmonii z naturą i z radością w sercu, sławić świat rzewnymi pieśniami. Pieśni żniwiarzy niosły się szeroko po poleskiej ziemi i rzeczywiście miały moc kojącą. Jakby szwadrony aniołów witały kolejny świt swoimi pieniemi.

Wiktorcia czuła, że w tym śpiewie jest wielka siła i moc oparta na więzi narodu, który mimo że nie ma korzeni i odrębności państwowej, kieruje się wspólnym instynktem, żywionym mocą duchów i miejscowych tradycji. Zwą się tutejsi, i nimi są, bez imienia, bez przywódcy, a jednak wewnątrz do siebie podobni i spójni, jakby ich masa była jednym organizmem w różnych postaciach i żyła, tętniąc i oddychając podobnie, a śpiew o wschodzie i zachodzie słońca był hymnem wspólnoty.

– Chciałabym urodzić już we własnej chałupie – zwierzała się mężowi Wiktorcia, kiedy siedzieli wieczorem przed domem. Jaś zmęczony, wsparty na łokciach spoglądał tępo przed siebie. Na środku podwórka gasło już ognisko. W popiele dochodziło kilka ziemniaków. Ostatnie, które przywiózł pociągami z Krasocina. Wczesna odmiana, słodkawa, twarda, elastyczna bulwa. Tutaj nie było takich ziemniaków. Ziemia słabo rodziła, a i odmian wczesnych nie znano.

– Ech, Wikta, też bym już chciał jeść przy swoim stole – westchnął. – Tyle tu luda, że myśli swoich nie słyszę. – Rozpiął koszulę i podwinął rękawy. Szyję miał spaloną słońcem do kołnierzyka, poniżej widać było jasną linię piersi, której nie wystawiał zwykle do słońca. – Dobrze mi tylko na sianie. Kładę się spać i od razu zasypiam. Już mi nawet smród od świń nie przeszkadza.

– Cudzy smród zawsze jest gorszy od własnego, własny przylega do skóry i jakby go wcale nie było, ale cudzy potrafi dopiec – trzeźwo odpowiedziała Wikta. – Czasami ci zazdroszczę i chętnie bym poszła na siano. Mazurowa każdego wieczoru oczadza izbę ziołami. Niby na złe duchy i czarcie moce. Czasami aż dech zapiera, tak dusi. Lutek potem kaszle pół nocy. Boję się, że jeszcze coś mu się od tego stanie.

– Taki to naród, Wikta. Modlitwy wieczorem nie zmówi, a wypowiada zaklęcia i odprawia rytuały. – Ale święte obrazki mają. Po jednym na każdej ścianie i krzyże nad drzwiami. To jak to, w zabobon wierzyć, kiedy na ścianie Chrystus w cierniowej koronie?

– Kto ich tam wie, jak oni się modlą. Nie nam się martwić. Inaczej są uczeni od dziecka, każdy po swojemu. – Jasiowi nie chciało się myśleć o boskich sprawach. Jego problemy były zwyczajne, z duchem i wiarą niewiele miały wspólnego. Liczył za to w głowie długość desek, czy ma dość słomy do pokrycia dachu i dość grube belki. Od powrotu z Krasocina ciągle kalkulował.

– Wiesz, Jasiu, widzę teraz, że życie panińskie w Gruszczynie, a potem z tobą było jednak inne. Wojna, głód czasami, że być już gorzej nie mogło, a tu jest gorzej po stokroć. Będąc w Prusach, marzyłam, że kiedyś i ja do miasta pojedę. Chciałam żyć lepiej, inaczej niż my na tej brudnej wsi. Jak już wróciłam do swoich, zrozumiałam, że mi do końca życia ziemia jest pisana. Tylko żeby ta ziemia chciała być trochę łaskawsza. W Prusach widziałam, jak mogą żyć ludzie zwykli, wcale nie bogaci. Wystarczy, że mądrzejsi, tacy, co potrafią myśleć, liczyć i inwestować.

– U nas, Wikta, ludzie też potrafią myśleć – przerwał jej Jasiu. – Ale jak nie ma pieniędzy, to myślenie

nic nie pomoże. Zobacz Mazurów. Oni nawet talerzy nie mają, w drewnianych miskach jedzą. Zobacz ich narzędzia. Ręcznie tkają, ty tkasz na warsztacie, którego nie musisz się wstydzić. A jak będą pieniądze, Wikta – powiedział z pasją – urzędnicy ci z Poznania przywiozą. Będziesz robić najlepsze płótna. To jest kalkulacja i myślenie. Nie trzeba do Prus wyjeżdżać. Ale do tego, Wikta, są potrzebne pieniądze – dodał podniecony. – A żeby były, nam, chłopom, jest ziemia konieczna. Ile mogę zarobić, pomagając w polu, wynajmując konia? Grosze, Wikta, grosze. Na życie codzienne wystarcza jedynie albo żeby kupić naftę czy cukier. Prawdziwy zysk daje dobra ziemia.

– Ale sam mówiłeś, że ziemia tu ńedzna.

– Krowę chciałem kupić, a nawet dwie – kontynuował. – Czarnula nam nie wystarczy. Będzie więcej mleka na masło i sery, a nadmiar się sprzeda. Zbuduję głęboki gnojownik, obornika nazbieram. Pojadę do samych Kielc, jak trzeba, albo do Brześcia, tomasówki kupię i fosforu, a najlepiej tych nowych azotowych nawozów, które dają wysokie plony.

Wiktorcia bała się wielkich obietnic. Mężczyźni często udawali hardych, potem wszyscy musieli cierpieć za ich odwagę. Bała się Jaśkowych pomysłów, te odważniejsze często nie były trafione. Nie chciała mu robić przykrości, stało się, wyjechali, teraz trzeba pracować, nie lękała się pracy. Lecz nie lubiła głupiego ryzyka i nadmiernej gorączki. Nie chciała być dla niego hamulcem, strofować, nie daj Bóg robić awanturę, wołała powolną perswazję. Z drugiej strony, nie znała się przecież na wszystkim.

– Najpierw, Jaśku, zbuduj dla nas dom, a potem pomyślisz o reszcie. Kto wie, jak się sprawy potoczą. Niech wpierw szczęśliwie urodzę – powiedziała do niego spokojnie. – Sam widzisz, że dłużej nie da się żyć na kupie. Kaliszewscy już mają domy, przenieśli się w maju, i Gołdyn postawił, obok rośnie stodoła, a studnię to mają już dawno.

– Wikta – odezwał się nieco spokojniej. – Ich tam jest chyba dziesięciu. Gdzie mnie się równać z nimi – powiedział urażony.

– Jasiu, ja nie z pretensjami do ciebie, tylko o umiar proszę. Po co kupować zwierzęta, skoro nie masz dla nich obory? Pod gołym niebem nocą stać będą?

Jaś na to opuścił ramiona i lekko się zgarbił. Uchodziło z niego powietrze. Czuł klucie pod łopatkami i piasek w oczach. Za długo był dzisiaj na słońcu, gorączka go od tego dopadła, niezdrowe podniecenie, i te wstrętne komary, wszelkie robactwo, które się z wody wylęgło, pokłuło go bezlitośnie. Tak, święta racja – pomyślał. Najpierw niech Wikta urodzi. Zląkł się nabiegłych myśli, czarnych, złowrogich, ukrytych głęboko w trzewiach.

– Będzie dobrze. – Dotknął jej dłoni. – Urodzisz, wszystko się dobrze ułoży. – Próbował się w tym upewnić. – O dom się nie martw, zdążę.

Spotkanie z Agnieszką

Poznań, rok 2010

Spotkałyśmy się po kilku miesiącach od zamknięcia sprawy. Agnieszka jechała nad Bałtyk, żeby rozchodzić nogę i popluskać się w morskich falach. Nie była tym razem sama. Przyjechała z Andrzejem, najmłodszym synem Wiktora Kasztelana i przyrodnim bratem Ireny Sznajder. Znajomość była świeża, ale z szansą na kontynuację, a Agnieszka promieniała. Jej piękne dłonie dalej rzucały się w oczy, schudła, miała ładną sylwetkę i elegancki makijaż.

Tematów do rozmowy przy kawie nie zabrakło. Początkowo czułam się onieśmielona obecnością młodszego od nas o kilka lat, przystojnego mężczyzny. Fajnie się na nich patrzyło. Do Poznania przyjechali w deszczu, nad miastem wisiały chmury, to niezbyt dobrze wróżyło jadącym nad morze. Ale oni byli pogodni, nie dostrzegali chmur ani rześistej ulewy.

– Wiesz – powiedziała do mnie na odchodne – nawet nie podejrzewasz, jaka jestem ci wdzięczna. Gdybyś wtedy w Kielcach nie dała mi tamtej kartki, moje życie leżałoby w gruzach.

Uśmiechnęłam się tajemniczo i ukradkiem spojrzałam na Andrzeja, jak jej podaje kurtkę i prostuje zadarty kołnierzyk.

Żegnaliśmy się na parkingu pod Zamkiem, zapraszając gorąco do siebie przy najbliższej okazji. Andrzej podał mi rękę, był nieco spięty. Wsiedli już do samochodu i zapięli pasy, a wtedy on opuścił boczną szybę.

– Zapomnieliśmy ci jeszcze powiedzieć, że za miesiąc przylatuje Irena. Pewnie będzie się chciała z tobą zobaczyć.

Dom

Krymno, lata 1922–1923

Przyszła jesień i słoty, które spowolniły budowę. Mimo to na dzikim ugorze z dnia na dzień przybywało domów, zagród, a w nich inwentarza. Niektóre rodziny ze względu na kłopoty zdrowotne opuściły Krymno, obiecując powrót na wiosnę. Kilka osób niestety zmarło. Jeden z Częstochowy utopił się w Prypeci. Byli tacy, którzy w popłochu sprzedawali działki i wracali w rodzinne strony. Jan z Wiktoria czekali na przyjscie kolejnego potomka. W pogodne dni praca na działce szła pełną parą. Równocześnie z domem Jan stawiał stodołę.

Dom wybudował mocny, na podwalinie z kamienia, ściany postawił z sosnowych kłoców spajanych na węgiel. Belki układał warstwowo, według zasad, w narożach połączył je zacięciami, żeby konstrukcja wytrzymała nacisk stropu. Długo trwało, zanim dotarły jodłowe kłocce na dachy. Trzeba je było dokupić osobno. Przy budowie stodoły Jan wykorzystał konstrukcję słupową, w pierwszej kolejności chciał postawić dach, a dopiero później ściany. Zdawał sobie sprawę z tego, że zanim postawi stajnię i oborę, minie kolejny rok. Założył więc, że do tego czasu konie, krowa i pozostałe zwierzęta przezimują w stodole. Musiał więc we wrotach wyciąć mniejsze drzwi, do codziennego użytku.

Po podzieleniu gruntów na podstawowe działki oraz „dodatków”, nadszedł czas, żeby przejąć pozostałe ziemie w Zabratowie. Majątek leżał kilka kilometrów na południe od Krymna i połączony był drogą prowadzącą z podwórka tamtejszego dworu na podwórko majątku hrabiego w Pylicach. Droga była niezwykła. Wyróżniała się tym, że biegła prosto, nie omijając zapadlin ani bagien. Ciągnęła się przez środek Zabratowa i krzyżowała z drogą na Pelebrody i Hołoby Małe. Krążyła legenda, że oba majątki były kiedyś własnością jednego ziemianina. Później, gdy zostały sprzedane, nowi, zaprzyjaźnieni właściciele ustalili, że poprowadzą do siebie drogę z jednego podwórka na drugie. Tamtejsi ludzie, którzy znali dawnych właścicieli, snuli o nich opowieści. Ktoś dla żartów wymyślił nawet anegdotę, w jaki sposób do tego doszło:

- Sądzę, waćpanie, że między nami nie powinno być krętych dróg.
- Ja, mości panie, myślę tako samo.
- No to, waćpanie, zróbmy prościutki trakt przez dziesięć wiorst, od dworu do dworu.
- Zgoda, mości panie. Ja wydam dyspozycje u siebie, aby zaczęto wytyczać drogę przez pola i lasy, jak batem strzelił – powiedział jeden.
- A gdzie lasu nie będzie to, waćpanie, każę lipy posadzić rzędem. Niech tę drogę do nas wyznaczają przez setki lat – dodał na koniec ten drugi.

I rosły te lipy w drodze na Zabratów, kto wie, jak długo. Droga rzeczywiście biegła prościutko i widać było na wskroś, a kiedy ktoś jechał, nie sposób było zabłądzić. Dawni panowie dbali o wygodę, żeby po wypiciu mocnego reńskiego łatwo było trafić do domu, nawet bez woźnicy.

Tak sobie opowiadali koloniści o zabratowskiej drodze.

Czas był najwyższy, żeby w końcu wydzielić z majątku przynależną im ziemię, ale szło to bardzo opornie. Raz nie było mierniczego, ponoć nie miał czasu, innym razem właściciela, a pełnomocnik zmarł

i nie było jeszcze następcy. To znów pogoda nie dopisała i wszystko musieli przełożyć. Ktoś wyraźnie nie był zainteresowany, żeby osadnicy na dobre rozgościli się w okolicy. W końcu trzeba było oszacować teren na podstawie otrzymanych map. Znalaziono więc słupy graniczne i uznano, że obszar między nimi należy do osadników. Później potwierdzili ten fakt miejscowi, którzy znali tamtejsze tereny.

Zachodnia część Zabratowa przylegała do lasu i pól małej wioski Pelebrody. Mieszkało w niej kilkanaście rodzin polskiej szlachty o katolickich tradycjach i kilka rodzin prawosławnych. Nawiązała się bliska zażyłość między nimi a osadnikami. Najpierw były wspólne interesy, a później przyjaźń. Jedni byli drugich ciekawi. Każdy miał własną przeszłość, było o czym opowiadać. Najpierw zadzierzgnęły się męskie przyjaźnie, później dołączyły kobiety. Jaś od jakiegoś czasu spotykał się z Żebrowskim i Łaskarzewskim. Jeden i drugi zjechali na Polesie nieco wcześniej od Jana. Zanim trafili do Krymna, wiele lat mieszkali w Ameryce. Żebrowski pracował przy wytopie stali, Łaskarzewski, lewicujący członek związków zawodowych, zasłynął tam jako jeden z organizatorów strajków w obronie praw pracowniczych. Dla Jana byli to ludzie niezwykajni, ciekaw ich był i polubił za otwarte głowy i przyjemne usposobienie. Przyjaźń zaczęła rozkwitać i łączyć całe rodziny. Tym bardziej, że już pod koniec listopada dom był prawie gotowy. Mogli więc zaprosić do niego gości. Wstawili w oknach szyby, przywiezione z Rokitna wielką furą do kilku chałup w kolonii. Ceny okien i transportu ustalono hurtowo, dzięki temu obniżono znacznie koszty.

W czasie kiedy Mazurowa leżała w połogu po urodzeniu syna Juryja, przysłała z powiatu wiadomość, że nowi mieszkańcy Krymna nie dostaną pozwolenia na budowę kaplicy. Wszystkich to bardzo zmartwiło. Znowu trzeba się będzie tułać po okolicy, szukając domu Pana. A jak nie ma kaplicy, to i cmentarza nie będzie. A bez księdza nie ma katolickiego pochówku. To był prawdziwy kłopot. Ale miejscowych to nie zdziwiło. Wspominali, że tutaj od wielu lat nie budowano katolickich świątyń. Istniał też zakaz ustawiania krzyży. Stare zachowano, nikt nie miał odwagi, żeby je usunąć, ale z czasem zapomniane zapadały się w poleskie błota. Podobno tu i ówdzie w lesie wystawały z chwastów i z traw na miejscach dawnych cmentarzy.

To kładło się cieniem na przedświąteczny nastrój osadników. Święta bez jasełek, bez mszy i bez żłóbka? To było nie do przyjęcia, żeby w Wigilię nie było pasterki. Młodszy pojada do innych wsi końmi albo pójdą piechotą, ale co ze starszymi? Magistrat nie wydał zgody i nie dawał nadziei na zmianę decyzji. Sołtysiem w Krymnie był Ukrainiec. Mówiło się wtedy, że właśnie za sprawą sołtysa budowa kaplicy nie doszła do skutku. Gąsiorowski z Nipaniczem pisali bez końca prośby i petycje, licząc na zrozumienie. Nauczyło ich doświadczenie, że trzeba czasem konsekwencji i wielkiego uporu, żeby coś załatwić. Czekali do wiosny, a potem do lata, aż przyszły kolejne święta i znowu nic z tego.

Został wolny plac, niezły kawałek ziemi. Nie mógł długo leżeć odłogiem. Wreszcie decyzją ogółu oddano ją Podgórkowskiemu. Wybrano Podgórkowskiego z rozmysłem. Ziemia przeznaczona pod kościół przylegała do jego „dodatku”. Poza tym Jan Podgórkowski był w tym czasie dziesiętnikiem – pomocnikiem sołtysa – i więcej mógł niż inni mieszkańcy. Liczono więc na pomoc w różnych negocjacjach z niechętnym kolonistom urzędnikiem. Ziemia miała być zapłatą z góry.

Problemów nie brakowało. Koloniści oswoili się z faktem, że jeszcze sporo wody popłynie w Prypeci, zanim można będzie spać spokojnie. Wciąż trwał proces o ziemię. Z nowym rokiem miała się odbyć rozprawa pojednawcza, ale było wiadomo, że nie przyniesie rozstrzygnięcia. Sprawa Żłotnika paradoksalnie przysporzyła Jasiowi przyjaciół i nowych znajomych. Większa część kolonii trzymała jego stronę i bardzo mu współczuła. Był dla innych namacalnym przykładem, że za dobro nie zawsze dobro otrzymasz, oraz że zanim cokolwiek zrobisz, upewnij się najpierw trzy razy.

Brat Wiktorii wyjechał z końcem października. Prace przy budowie domu były na ukończeniu. Chałupa Mazurów pękała w szwach, mieszkało się coraz trudniej jednej i drugiej rodzinie. Mazurowie dzielnie przetrwali najgorsze miesiące i żal im było rozstać się z lokatorami. Wspólne przebywanie miało bowiem swoje dobre strony. Nauczyli się wiele od siebie. Wiktoriana poznała miejscowe zwyczaje, poleskie tradycje, chwyciła trochę języka. Poznała niektóre rośliny, zioła, nauczyła się rozpoznawać ptaki, odróżniać jadowite gady od niegroźnych i już wiedziała, jak się przed nimi bronić. Mazurowa za to piekła chleb według polskiej receptury, nauczyła się tkać cienkie nici, farbować wełnę, szyć i ozdabiać pościel.

Na Polesiu nastąpiła zima. Rozległa, choć cicha Prypeć, która nawet jesienią wypełniała każde zagłębienie i parowała bagiennym oddechem, zgniłym, wiekowym torfem, nagle cała obumarła w lodzie. Zamarzała od wschodu poleskiej ziemi po zachód, od południa po samą północ. Stała się w końcu niezmierną lodową równiną, którą można przemierzać aż po odległy horyzont. Poleszycy, ludzie tej ziemi, wyzwalały się wtedy z niewoli, mając przed sobą jak na dłoni cały swój kraj. Zdaje się, że nawet leśne demony i tutejsze duchy zasnęły na kilka miesięcy. Można się więc zabawić, bezkarnie popić, a o świcie polować po bezkres białej drogi, która zimą zaprowadzi wszędzie. Nawet tam, gdzie latem nie można było nijak dotrzeć.

Każdego ranka na lodzie pojawiały się nowe wyjeżdżone sankami szlaki, niewidoczne wcześniej ścieżki wytyczone biegiem strumieni bądź szersze trasy, letnie dopływy rzek. Wśród omszałych, zaklętych w rzeźby drzew i krzewów na czystym śniegu można śmiało wędrować tropami zwierząt do ich legowisk, nor, na dawne żerowiska i wilcze łęgi.

Zimowe drogi po lodzie, po zamarznętej na kamień ziemi prowadzą w różnych kierunkach. Stałe trakty służą przybyszom, tutejsi jeżdżą skrótami. Zimowymi szlakami mkną sanie obciążone towarami – drewnem do tartaku, zbożem na targ, nawet bydłem na sprzedaż. Wystarczy palcem wyznaczyć kierunek i iść prostą drogą do celu.

A w lesie, w gęstym borze cisza jak makiem zasiał. Nie to co wiosenny gwar ptactwa, letni krzyk czapli czy nocny głos sowy. Tylko od czasu do czasu przemknie lis, niemal bezszelestnie, z rzadka jakiś ptak zakwili lub poderwie się czymś przestraszony. Może z zimowego odrętwienia wyrwie go tupot sarnich kopyt, trucht zająca, strzał myśliwego.

Mieszkańcy polskiej Kolonii Krymno z obawą zapuszczają się dalej od gospodarstw. Dzieciom nie wolno zbyt wcześnie wychodzić z domów. O świcie słychać bowiem strzały polujących Poleszuków, z oddali dochodzi tupot większej zwierzyny pędzącej po twardym lodzie, a na skraju lasu lśnią groźne wilcze ślepie. Z pobliskich chutorów rozlega się wycie psów, jasny księżyc świeci im z góry, niepokoi.

Wikcie nie udało się rodzić w nowym domu. Święta jeszcze spędzili u Mazurów i tutaj urodziła. Miała opiekę, dwie kobiety, które mogą pomóc. W nowym domu byłaby sama.

Wśród nocnej ciszy, w dźwięku pastorałek i kolęd śpiewanych po domach, pod mroźnym niebem poleskiej krainy przyszło na świat maleństwo. Dwudziestego dziewiątego grudnia Wiktoriana urodziła córkę. Na imię jej dali Genowefa.

Do nowego domu wprowadzili się wiosną 1923 roku. Wczesnym świtem, zanim drogi zrobiły się grząskie, przy lekkim mrozie, ale pod niebem wróżącym piękną pogodę, jechali wozem z całym dobytkiem nareszcie do siebie.

Dom ustawiony był frontem na południe, żeby słońce latem szło górą, a dach chronił przed żarem, za to zimą, kiedy sunęło nad ziemią, żeby oświetlało izbę i do zachodu ogrzewało ściany. Za domem było

miejsce na sad, przy drodze miał być ogród i grządki na kwiaty. Na prawo sterczał żuraw, a w studni woda sięgała prawie po brzegi cembrowiny. Na wprost wejścia Jaś postawił stodołę, razem z szopą na drewno, żeby zimą nie było daleko po opał.

Cóż to była za ulga, jaka radość dla Wikty i dzieci. Wprawdzie dom nie był wykończony, ale ciepły, nowy i własny. Jasna kuchnia z dużym piecem cieszyła wszystkie kobiety. Przy kuchni spora komora, obok izba z oknami od sadu i od podwórka – przestronna i widna. Nie było tylko podłogi, jedynie polepa z gliny i tymczasowa powała. To Jan zamierzał z czasem uzupełnić. Najważniejsze, żeby być na swoim. Wozem, stopniowo i bez pośpiechu, zwozili wszystkie meble. Stawiali je podobnie jak w Krasocinie. Tęsknili za dawnym domem. Mimo że ten był większy, miał osobną kuchnię, komorę i spichlerz, chcieli, żeby przypominał im rodzinne strony. Na łóżka wróciły wyszywane poduchy, na stół wzorzysta serweta. W kącie kołyska dla dziecka, prawdziwa, rzeźbiona, polska. I wszędzie ten zapach świeżego drewna, żywicy, pokostu przypominał bez przerwy, że oto nadszedł dla nich szczęśliwy okres, że teraz będzie tylko lepiej.

Przez całą wiosnę Jan poprawiał powałę, zdejmował deski i dobierał ładniejsze z szeroką twardzielą. Potem je heblował, fugował, aby nie było szpar. Zeszło mu kilka tygodni. Przydał mu się warsztat stolarski, który przywiózł z Krasocina. Mógł dzięki niemu wieczorami dopieszczać w domu każdy szczegół.

Przed Wielkanocą przywiózł deski, którymi wyłożył podłogę, szerokie, z pięknymi słojami. Dopiero teraz zrobiło się czysto i przyjemnie. Już nie trzeba było ciągle myć umazanych gliną rąk i kolan Lutka.

Ojciec kupił dzieciom skrzynkę kredy w różnych kolorach i każdego dnia na gładkiej podłodze powstawały barwne obrazy. Wyobraźnia dziecka, bogata bez względu na czas i miejsce, imponowała dorosłym. Bez ograniczeń tworzyła wizje szczęścia. Marzenia dzieci zamknięte w płaskim obrazku kiedyś, być może, zaistnieją naprawdę. Dom, koń, wóz z koniem w zaprzęgu, daleka droga, bezkres, krajobraz, może nawet rower, to już w najśmielszym marzeniu, albo parasolka dla panny, suknia z falbanką, lalka, kwiat, który nigdy nie więdnie, chmury niedościgłe i ptak w locie, i lokomotywa w obłoku pary. Na podłodze można było marzyć tak długo, dopóki starczyło kredy. I tylko szmata matki, mokra i bezlitosna, zmywała każdego wieczoru dziecięce dzieła sztuki.

Z wodami Prypeci

Krymno, październik, rok 1924

Gniada kłacz nie lubiła dzieci. Lutka w szczególności. Maluch Ignął do niej mimo wszystko. Ojciec zakazał synowi zbliżać się do konia, a nawet wychodzić z domu, kiedy koń był w pobliżu. W upalne dni wyprowadzał zwierzę na zewnątrz, żeby się trochę ochłodziło. Stodoła była drewniana, słońce nagrzewało ściany i w środku robiło się duszno. O zmroku otwierał na przestrzał wrota, żeby wpuścić chłodne powietrze z dworu. Prowizorka po prostu. Potrzebna mu była murowana obora. Grube mury nie będą się latem nagrzewały, a zimą dłużej zatrzymają ciepło. Poza tym w murowanej łatwiej utrzymać czystość.

Jan postawił już boksy, brakowało dachu. Dopóki było ciepło, krowom nie przeszkadzało niebo nad głową, większość życia i tak spędzały na łąkach. Jan miał nadzieję, że przed zimą uda się zamknąć budynek. Sosny, które porastały część jego „dodatku”, przeznaczone na dach, ktoś życzliwy wyrębał co do jednej. Niektórzy twierdzili, że zrobili to sami. Nie mogło być idealnie, widać takie są prawa dżungli.

Rok minął jednak szczęśliwie. Po trudach przeprowadzki nie mieli czasu ani nacieszyć się dziećmi, ani gospodarstwem. Do tego zbliżała się zima. Wiktoria miała pełne ręce roboty. Na szczęście była Walerka. Dziewczynki, Ewa i Mania, były już samodzielne, ale Lutek i mała Gienia wymagali ciągłej opieki. Mimo to udało się zasadzić sad za domem, małe, rachityczne drzewka bielone aż po koronę cieszyły oko. Przy domu wyrosły na grządkach warzywa, żeby pod ręką było to, co najbardziej potrzebne. Wszystko jeszcze prowizoryczne, tymczasowe, zarośnięte miejscami perzem i lebiodą. Potrzeba czasu, żeby nad wszystkim zapanować.

Lutek rósł jak na drożdżach i odkrywał świat po swojemu. Najbardziej cieszył go piesek, czarny, z białą łatką pod brodą. Ojciec dostał psa od Gołdynów i zaraz przywiązał do żerdzi przy płocie, żeby go wyszkolić. Chłopiec prosił, żeby nie krzywdzić zwierzaka.

– Trzeba od małego drażnić psa – ojciec cierpliwie tłumaczył – żeby był groźny dla obcych i nie pozwalał się głaskać. Wziąłem go na służbę, musi pilnować domu, jeśli chce u nas zamieszkać. A w nagrodę dostanie kość oraz miskę ciepłego mleka.

Tym sposobem czteroletni chłopiec uczył się zasad, według których nawet pieskom nie wolno się było lenić. Był wrażliwym dzieckiem, cichym, spokojnym, ale dociekliwym, nie pasował do pracy na roli. Było w nim coś z poety i marzyciela, gdzie mu tam pług i brona. Obserwował świat z wiecznym zachwytem, tęczę po deszczu, kwitnące drzewa i narodziny żrebaka. Chętnie chodził paść z siostrami krowy i gęsi zaganiać na trawę, można się było przy tym napatrzeć, zamyślić, a to przecież lubił najbardziej.

Wstawał o świcie, na równi z innymi, odmawiał pacierz, a potem dostawał kubek ciepłego mleka i pajdę chleba, i koniecznie witkę dla zdyscyplinowania niesfornych gąsiorów, które go chciały szczypać w pięty. Mleko zaraz wypijał, a chleb zabierał ze sobą.

W naturalnym zagłębieniu terenu przez cały rok zbierała się woda. Nazywali to miejsce kałużą. Tego kawałka pola nie dało się nijak uprawiać. Służył więc do szybkiego wypasu w różnych nadzwyczajnych

sytuacjach i jako pole do ćwiczeń dla początkującego pasterza. A w każdej pracy zdarzają się dramaty. Raz Lutek niechcący uderzył witką małą gąskę. Przewróciła się biedna na plecy i bezradnie machała łapkami. Nosił ją potem ze sobą, tuląc i chuchając, żeby tylko przeżyła. Poradził mu Stefek Gołdyn, starszy syn sąsiada, żeby gąskę zamoczyć w kałuży, zrobił tak i kałuża pomogła.

Kolonia piękniała. Rozrastały się domy, pączkowały budynki, przybywało trzody. Z miesiąca na miesiąc rozkwitało życie towarzyskie. Było już gdzie zaprosić gości, urządzić ślub czy chrzciny. Małą Gienię ochrzczili w kościele koło Pelebrodów. Chrzestną matką została żona Antoniego Kazika, ojcem Łaskarzewski. Potem końmi pojechali do Krymna, gdzie Wiktoria przygotowała godny okazji posiłek. Wszyscy usiedli do stołu, pojedli, popili za zdrowie nowej pociechy.

Z dnia na dzień życie nabierało kolorów, w zwykłym dla wsi cyklu dobowym i rocznym. Rodziły się dzieci, przybywało ludzi i dobra. W końcu zbudowano szkołę i kilka niezbędnych urzędów. Wiktoria i Jan czuli się szczęśliwi. W zapomnienie poszły lata wojny, śmierć bliskich, bieda i starach. O jutrze myśleli tylko pozytywnie, z nadzieją, że zło już do nich nie wróci.

Jan wieczorami zabierał dzieci na łąki, cały rok soczyste i świeże. Obsychały dopiero jesienią i wtedy można było obejść okolicę. Dzieci lubiły spacerować z ojcem. Najmłodsze dziecko zawsze niósł na plecach, a inne biegły obok. To był czas na snucie opowieści, czas na wspomnianie.

Niektóre miejsca przypominały Krasocin. Wtedy dotykał delikatnych nitek pamięci, wzruszał się, wspominając tamte lata, matkę, rodzeństwo, swój dom i ludzi. Zawsze ciepło wspominał Weronkę. Ta rana nigdy się nie zablizni. Patrzył na córki, żywe obrazy matki, i to mu musiało wystarczyć. Zresztą nie miał żalu do życia. Nagrodziło go w końcu szczerze dobrą, kochaną żoną, przyjaciółką, partnerem w doli i niedoli, mocną i charakterną.

Smuga cienia została daleko, teraz już tylko światło będzie prowadzić. Mają swój raj na ziemi, ciężko wypracowany. Lecz im trudniej było go zdobyć, tym radość jest z tego większa.

Miał przed sobą wiele dobrych lat, ale tego jeszcze nie mógł być pewny. Myślał pozytywnie i z wiarą, że to, co zbudował, będzie mocną podstawą, że kresowa gałąź rodziny da początek lepszym czasom. Zawsze lubił marzyć. Nie wszystkie marzenia udało się spełnić, ale to dobrze, warto coś zostawić na przyszłość. Człowiek bez planu staje się martwy za życia.

W tle zmieniały się losy świata, ale Jan oczyszczał z nich umysł. W imię starej zasady, że myślenie o smutkach otwiera im drzwi, postanowił zostawić je innym.

U siebie

Krymno, 2 stycznia 1925 roku

Drugiego stycznia 1925 roku Wiktoria Kuśmierczyk urodziła syna, na imię mu dali Antoni. Noc była mroźna, śnieg trzaskał pod płozami, kiedy Jan wioził akuszerkę. Potem, kiedy było po wszystkim, wyznał, jak bardzo cieszy go chłopak, dla ojca pomoc i kolejna wielka wyręka. I wiele się nie pomylił.

Z nastaniem lata 1925 roku Kolonia Krymno pracowała już pełną parą. Wykarczowano niemal każdy skrawek pola, zasiano zboża, ogrody z głowami kapusty i dorodnej marchwi były zapowiedzią dostatku w kuchni. Z końcem lipca, deszczowego i dusznego, zaczęły się pierwsze żniwa. Przyroda po mokrej wiośnie i jak zawsze wilgotnym lecie wypełniła cały krajobraz. Krzaki i wszędobyłskie trzciny zarastały łąki i rowy. Na pastwiskach, na obrzeżach lasów bujnie rosła trawa. Chłopi zacierali ręce na ten widok, zapowiedź kolejnych w tym roku sianokosów.

Wiktoria z dzieckiem na ręku wspartym na biodrze stała na skraju pola. Antoś rósł jak na drożdżach i nie sprawiał większych kłopotów. Patrzył przed siebie bystrym, uważnym wzrokiem, jakby już kalkulował, jaką zrobić psotę. Obok nich mała Gienia w ręce trzymała kwiaty, zwiędły już, smętnie spuszczać główki. Ciekawiła ją plamka na matki fartuchu, ciemna od malin, które zbierały w sadzie za domem. Na polu Jan z Kaliszewskim w łanie żyta radzili, kiedy zacząć kosić. Pięcioletni Lutek, dziecko ciekawe świata i ludzi, przysłuchiwał się ojcu z uwagą. Był tak bardzo skupiony na tym, o czym mówią, że nie dostrzegł bociana drepcącego za jego plecami. Łodygi wysokiego żyta rozstępowały się przed ptakiem i bezszelestnie za nim zamykały. Głowa Lutka wystawała trochę wyżej niż kłosa. Nagle spojrzał do tyłu, na matkę, i machając radośnie rękami, zaczął biec w jej kierunku, roztrącając giętkie łodygi. Oczy mu lśniły jak gwiazdy, a tłuste kłosa uderzały po twarzy.

Zakończenie

Lipiec, rok 2014

Pojechaliśmy tam czwartego lipca 2014 roku. Prowadził Piotr, chciał jechać z nami i pomóc. A może trochę pilnować dziadka? Ja obok, w roli pilota, choć przecież czuwał nad nami Hołowczyc. Wszystko było wcześniej umówione. To miał być prezent dla taty z okazji zbliżających się dziewięćdziesiątych urodzin. Trzymał się dzielnie, choć wiedziałyśmy z siostrą, która też nas wsparła swoją obecnością, że rozpiera go szczęście i z ledwością skrywa emocje. Pogwizdywał od czasu do czasu i śledził z uwagą drogę.

Właściwie wszyscy byliśmy podnieceni. Jeszcze kilka tygodni wcześniej nie przyszłoby nam do głowy, że to się kiedyś wydarzy. Nie powiem, że nie brałam tego pod uwagę, ojciec już wcześniej wspominał, że chętnie odwiedziłby Krasocin. Bałam się jednak, czy to wyjdzie mu na zdrowie. Miał ciągle w oczach rodzinną wioskę, tę z ckliwych opowieści rodziców, wyidealizowany obraz wielokrotnie przez nich przedstawiany, i nie chciałam, żeby się rozczarował. Wprawdzie Krasocin prezentował się bardzo okazale, był kolorowy, zadbany, żeby nie powiedzieć wymuskany, ale czy właśnie tego oczekiwał od niego mój tata?

– Byłem tam raz, krótko po wojnie, w czterdziestym szóstym. Wsiadłem na dworcu w Ludyni i piechotą poszedłem prosto do Gruszczyzna, a z Gruszczyzna ubitą drogą do Krasocina. Widziałem dom rodziców, nawet wszedłem do środka, wszystko dokładnie pamiętam – opowiadał wzruszony, a ja pomyślałam, znając jego wrażliwość: i niechaj tak zostanie.

Jednak sukces książek trzech braci Kuśmierczyków, Lucjana, Kazika i Antka, przeszedł najśmielsze oczekiwania. Egzemplarze wydane na domowej drukarce rozeszły się po rodzinie i niemal natychmiast zaczęli się zgłaszać następni zainteresowani. Nie było wyjścia, trzeba było skorzystać z fachowych usług. Skoro książki tak się podobały, niechaj wędrują dalej.

Wydawało się wtedy, w roku 2010, w czerwcu, gdy świeże egzemplarze książek trafiły do naszych rąk – pisał mój tata w prologu ostatniego wydania – że na tym koniec. Nie myślałem, że książki wypuszczone w świat zaczną żyć własnym życiem. Kolejne telefony od bliższej i dalszej rodziny dowodziły, że każdy trud wraca z jakimś zyskiem. Książki otworzyły okna innych domów, w których mieszkali ludzie związani z tą samą historią, ludzie, o których w tych książkach także piszemy. Marzenia rosły ze mną od chwili, kiedy pierwszy raz napisałem w komputerze „Krasocin”. Wydawało się, że to miejsce na ziemi nie powinno już dla mnie nic znaczyć. Dla mojego ojca, dla matki to miejsce ich urodzenia, nie mam z nim nic wspólnego. A jednak było inaczej. Z czasem, gdy wchodziłem w szczegóły życia rodziców, to miałem wrażenie, że wchodzę w ich skórę, a tęsknoty, o których często wspominali, stały się teraz moimi. Dlaczego gdy żyli, nigdy nie odwiedzili rodzinnych stron, tego się już nie dowiem.

Pewnie nie było to tak proste jak dziś, ale dobrze pamiętam nasze synowsko-ojcowskie rozmowy, gdy bywaliśmy na święta czy w czasie żniw, i to jak często wspominali dom przy Floriańskiej i Gruszczyn, Włoszczową i ludzi, których tam opuścili. Tę tęsknotę zostawili nam w spadku i uczucie jak zadra utkwilo w sercu głęboko. Bardzo chciałem jeszcze raz za życia odwiedzić miejsce, z którego pochodzili rodzice. Wszak częśćka ich była i we mnie, więc to jakbym teraz ja chciał bardziej niż oni, a czułem, że jedyne, co mnie jeszcze w życiu czeka, to zwiedzanie rodzinnych stron za pomocą street view, i nic więcej.

I spełniło się ojca marzenie. Sam je zrealizował. Gdyby nie ciekawość i ciągła potrzeba doskonalenia własnych umiejętności, nie byłoby naszej wyprawy.

Po roku, może po dwóch od wydania książek na adres mejlowy taty zaczęły przychodzić listy z Krasocina od pana Grzegorza Dąbrowskiego, historyka. On także przeczytał książki braci Kuśmierczyków i miał w związku z tym kilka uwag i pytań. Okazało się, że mimo dość szczegółowych opracowań dotyczących historii gminy Krasocin i całego powiatu włoszczowskiego, nie udało się do tej pory poznać losów grupy dawnych mieszkańców wsi, która w dwudziestolecie międzywojennym opuściła rodzinne strony i wyjechała na Kresy. Później rozdzieliła ich wojna i urwał się kontakt. Wielu nie przeżyło, a ci, którzy uszli z życiem, rozpierzchli się po kraju. Część z mejli pana Dąbrowskiego trafiła też do mnie. Zaczęła się miła wirtualna dyskusja. I znowu stało się jasne, że nie wystarczy nam internet ani telefon, że musimy się koniecznie spotkać.

To było niezwykle przeżycie. Konfrontacja pamięci z faktami i widok potomków bohaterów książek. „Domek nad Rzeczką” – uroczy pensjonat prowadzony przez wnuczki Adama Cioska, wizyta na Zarzeczcu, części wsi, w której każdy dom należy do kogoś z Kuśmierczyków. Dom Kaliszewskich przy Floriańskiej, działka, na której stał dom moich dziadków, pani Jadwiga Łopatowa, żyjący świadek tamtych czasów.

I stanąłem na ziemi przodków, w miejscu, z którego moi rodzice rozpoczęli swoją wędrówkę. Pomyślałem, stojąc przy bramie pustego placu, na którym mój ojciec wybudował dom dla najbliższych, że to puste miejsce chyba na mnie czekało. Musiałem je takie zobaczyć, żeby odczarować. Dzisiaj nieczęsto w samym środku miejscowości spotyka się puste place. Wzdłuż ulicy Floriańskiej stoją rzędem domy, pomiędzy nimi przerwa, to jakby symbol przerwania rodzinnej ciągłości, a to, że mimo wieku i problemów ze zdrowiem dotarłem do swoich korzeni, było przeznaczeniem, symbolicznym zamknięciem wielkiej wędrówki przez pokolenia, którą zapoczątkował Jan Kuśmierczyk niemal sto lat temu.

Spotkanie z rodakami, potomkami rodziny Kuśmierczyków i Sornatów, to jedno z najważniejszych spotkań w moim życiu, a niezwykła serdeczność ludzi, gościnność, dziś już coraz rzadziej spotykana, odrodziła w moim sercu wiarę w ludzką życzliwość. Nie wiem, jak mam dziękować wszystkim, którzy zadali sobie trud powitania mnie na ziemi moich ojców. Nie przypuszczałem, że tylu ich tam zapuściło korzenie. Szkoda, że już nie zdążę się nimi nacieszyć. Może, gdybym miał jeszcze czas, to odkupiłbym ten kawałek ziemi przy Floriańskiej i zbudował sobie na niej mały domek. Bo przecież nigdzie nie jest tak dobrze, jak wśród swoich.

Taki wpis widniał na ostatnich stronach rodzinnej kroniki, kolejnego wydania książki *Przypomnieć korzenie* wznowionej przez gminę Krasocin.

Niemal każdy krok był przeżyciem, dom, łąka, strumień, świadomość unoszących się w powietrzu duchów i cmentarz, na którym można było odnaleźć niemal wszystkich. Pani Emilia Dąbrowska z wielkim poświęceniem prowadziła kruzgankami historii nas i mojego szczęśliwego tatę. Pomyślałam po raz kolejny, że czasem warto posłuchać własnych dzieci i kupić dziadkowi komputer.

Pierwszy dzień w Krasocinie dobiegał końca, następny był już zaplanowany. Z aparatem pełnym zdjęć

wychodziliśmy z cmentarza w kierunku parkingu. Jeszcze chwila przy starym krzyżu, pomniku z 1897 roku, jeszcze spacer wokół małej kaplicy z tablicami pamiątkowymi na ścianach. Wokół wszystko wyłożone szarą kostką, na jednym miejscu, w ciemniejszym kolorze obrys prostokąta. Stałam w samym środku, patrząc pod nogi. Już miałam zadać pytanie.

– W tym miejscu jest grób – wyjaśnił pan Grzegorz Dąbrowski.

– Grób? – Stałam jak wryta. – A można wiedzieć, kto tutaj leży?

– Dokładnie to nie wiadomo. Jedni mówią, że jakiś ksiądz, inni, że starsza kobieta, ktoś, kto sporo nagrzeszył i kazał się tak pochować. Bez nagrobka i krzyża, na wieczną poniewierkę.

– I żeby ludzie deptali jego imię, po wsze czasy i na wieki wieków, amen – dodałam już od siebie.

Epilog

Pamiętam, kiedy w 2003 roku dotarła do mnie pocztą duża koperta od stryjka Lutka, znałam z grubsza historię rodziny. Niektóre jej wątki wykorzystałam nawet w jednej z poprzednich książek. Tymczasem to, co przyniósł listonosz, było jak zarzewie. Pomyślałam, że to cała prawda. Po latach okazało się, że dopiero początek. Na podstawie luźnych notatek braci, informacji i zapisków dalszych członków rodziny, pomocy krewnych z Brazylii, od znajomych i rodziny nie tylko z Krasocina, od ludzi, którzy po dziś dzień mieszkają w rodzinnych wioskach, udało się ocalić od wiecznego zatracenia pełną historię rodziny. W ciągu pięciu lat mój ojciec Antoni Kuśmierczyk przepisał obszerne notatki swoich dwóch braci Lucjana i Kazimierza, zebrane przez nich materiały, rysunki i zdjęcia, sporządził mapki, wykresy, wydrukował na domowej drukarce, skleił i opatrzył stosownymi okładkami sto egzemplarzy książki *Przypomnieć korzenie*, napisanej na podstawie notatek i informacji zdobytych przez brata Lucjana, osiemdziesiąt egzemplarzy własnych wspomnień – całą wojenną i powojenną drogę – *Wypadki* i dwadzieścia egzemplarzy wspomnień młodszego brata Kazimierza pod tytułem *Okruchy z życiorysu*. Pracowali we trzech jak mrówki i jak twierdzą, nie był to czas zmarnowany. Dzięki tej pracy odzyskali na chwilę młodość, a nawet zdrowie. Nie było czasu, żeby chorować, popędzali jeden drugiego, jeden drugiego mobilizował. A przede wszystkim nacieszyli się sobą jak nigdy.

Ta pierwsza notatka od stryjka Lutka miała dwadzieścia trzy strony, tytuł *Od Szczepana do Jana* i zaczynała się poniższym wstępem:

Kiedy teraz, w 2003 roku, posyłam swym krewnym przepisane wspomnienie o korzeniach naszych rodzin, mija 178 lat od przyścia na świat naszego protoplasty, Szczepana Kuśmierczyka, oraz 105 lat od jego śmierci.

Jednocześnie upłynęło 146 lat od narodzin Piotra Kuśmierczyka, syna Szczepana, i 106 lat od jego zgonu. Mijają też 144 lata od narodzin Józefy Majeckiej, żony Piotra, oraz 88 lat od jej pogrzebu w Krasocinie.

Czwartego marca minęła 117. rocznica urodzin Jana Kuśmierczyka, syna Piotra i Józefy, natomiast piątego lutego minęło 29 lat od jego nagłego zgonu. W bieżącym roku jest też rocznica urodzin Weroniki Kuśmierczyk, z domu Dąbek, pierwszej żony Jana, i mija 85 lat od jej śmierci. Drugiego grudnia 2002 roku upłynęło 110 lat od urodzin drugiej żony Jana, mojej mamy Wiktorii Kuśmierczyk, z domu Sornat, a piętnastego czerwca 2003 upłynie 29 lat od jej pogrzebu na cmentarzu we wsi Wilków, w powiecie namysłowskim.

Pośród wielu kultur narodów Ziemi istnieją obyczaje uznawania za szlachetne i ludzkie pamiętanie o tych, którzy dali życie nowym pokoleniom swych rodzin. Chciałem, aby te zapisane stronicie pozostały jak światełka pamięci o naszych Pradziadkach, Dziadkach i Rodzicach.

Zawsze lubiłem słuchać wspomnień moich Rodziców o naszych dziadkach, o krewnych oraz o miejscach, gdzie kiedyś żyli. – Tak pisze w części ogólnej. – Ich rodzinnymi stronami były wioski Krasocin i Gruszczyn. Leżą one obok linii kolejowej przy szosie Częstochowa–Włoszczowa–Kielce. Kiedy słuchałem tych opowiadań, byłem przekonany, że wszystko będę pamiętał. Teraz, po 30 latach, wiem, że Tato miał rację, mówiąc „Pozapisuj, synu, bo zapomnisz”. Miałem trochę notatek, ale

zginęły. Odnalazłem zaledwie kilkanaście kartek. Uzupełniam to pamięcią i spisuję w formie listu, aby prawnuki Szczepana, Piotra i Jana Kuśmierczyków mogły chociaż trochę dowiedzieć się o swoich przodkach, gdy w dojrzałym życiu zechcą ich wspomnieć.

Stryjek miał rację. Byłam w dojrzałym wieku i bardzo chciałam poznać tę historię, a nawet więcej, podzielić się nią z innymi. Nie dlatego, że była wyjątkowa albo sensacyjna. Zdałam sobie sprawę, że ludzkie życie, niełatwe zazwyczaj, warte jest zapisania.

Miejsca i ludzie wymazani z pamięci. Nie ma już tamtych domów, ogrodów, czas unicestwił ślady narodzin, miejsca pochówku przysypał pyłem historii. Na ich grobach buduje się czasem nowe miasta, autostrady. Zarosły ścieżki prowadzące za dom, za stodołę, w pole. Nie da się odnaleźć śladów stóp odbitych w błocie, przedmiotów, których dotykali, ani odwiedzanych przez nich zakątków. Byli dla siebie ważni, dziś już nie ma znaczenia, czy byli szczęśliwi. Czas płynie dalej, a w głowie kołaczą się myśli, że z nami będzie podobnie. Istniejemy dotąd, dokąd sięga pamięć tych, którzy nas wspominają. Zatrą się imiona, nazwiska, twarze, fakty z życia pokryją się plamą pleśni. Nie poznamy do końca historii świata i trzeba się z tym pogodzić.

Stare, bielone chałupy zostaną tylko w skansenach, jedynych miejscach pamięci. Malwy pod pochyłym płotem, stołki, ławy, bańki na mleko, słomiane zabawki przepełnione zapachem tamtych ludzi i miejsc, świat utracony odchodzi w smugę cienia. Dopóki krew pulsuje w skroni, jestem, a potem znikam.

Krystyna Januszewska, z domu Kuśmierczyk



Lucjan Kuśmierczyk syn Jana i Wiktorii. Dzierżoniów



Antoni, Kazimierz, Janek, Lucjan

Bracia Kusmierzyk

<i>Antoni</i>	<i>ur. 2.01.1925 r. - Poenani</i>
<i>Kazimierz</i>	<i>ur. 18.02.1927 r. - Strzelin</i>
<i>Jan</i>	<i>ur. 3.01.1931 r. - Wilków</i>
<i>Lucjan</i>	<i>ur. 20.08.1920 r. - Dzierżoniów</i>

Edycja 1991.

w Namysłowie 21.08.1991 r.

Spis treści

Wstęp

CZEŚĆ PIERWSZA

W podróży

Trudne wybory

Ślepy los?

Rozmowy przed domem

Lustro

Telefon od Jakuba

Rozterki matki

Pierwsze szkolenie

Wspomnienia

Niebieska wstążka

Czarne chmury

Kolejny krok

Jan i Weronika

W jednym domu

Rozmowy przy kawie

Nowina

Wiosna w pełni

Podział

Nowy dom

Powrót do domu

Do Prus

Wiktor K.

Niepokój

Wiosna

Wojna

Nowy sprzęt

Kontrybucje

I znowu historia

Wczesne ptaki

Samotność Jana

CZEŚĆ DRUGA

Wiktoria

Ślub

Długa droga

Bracia

[Mobilizacja](#)

[Lucjan](#)

[W domu](#)

[Marzenia Jana](#)

[Kolonia](#)

[Agnieszka](#)

[Sąsiedzkie stosunki](#)

[Rodziny w drodze](#)

[U Mazurów](#)

[Telefon z Halifaxu](#)

[Z wizytą w rodzinnych stronach](#)

[List](#)

[Według prawa](#)

[Spotkanie z Agnieszką](#)

[Dom](#)

[Z wodami Prypeci](#)

[U siebie](#)

[Zakończenie](#)

[Epilog](#)